

ENRIQUE JOVEN

TAJEMNICZY MANUSKRYPT

ENRIQUE JOVEN

TAJEMNICZY MANUSKRYPT

Z hiszpańskiego przełożyła
TERESA GRUSZECKA-LOISELET



Tytuł oryginału:
EL CASTILLO DE LAS ESTRELLAS

Copyright © Roca Editorial & Enrique Joven 2007
All rights reserved

First published in Spain by Roca Editorial

Published in Poland by arrangement with SalmaiaLit Bernard Fiol
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013 Polish translation
copyright © Teresa Gruszecka-Loiselet 2013

Redakcja: Hanna Machlejd-Mościcka

Ilustracja na okładce: Opal Works

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Zdjęcia wewnątrz książki: Shutterstock

Skład: Laguna

IBN 978-83-7659-719-5

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t.f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe
www.merlin.pl
www.fabryka.pl
www.empik.com

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

2013. Wydanie I

Druk: WZD7 - Drukarnia Iepa Onnlp

*To, co należy zinterpretować, powinno
iść w kierunku tego wszystkiego, co daje
się zbadać.*

MAX PLANCK
fizyk niemiecki (1858-1947)

Postacie historyczne związane z fabułą książki

- Bernini Giovanni Lorenzo** (1598-1680). Jeden z czołowych przedstawicieli włoskiego baroku, rzeźbiarz, architekt i malarz. Działał głównie w Rzymie, tworząc rzeźby o tematyce mitologicznej i religijnej. Jako architekt kierował budową Bazyliki św. Piotra, a także wykonał baldachim nad grobem św. Piotra. Do jego największych osiągnięć należy projekt przebudowy placu św. Piotra. Pracował również nad przebudową Luwru.
- Brahe Sophie** (1556-1643). Siostra Tychona Brahego, pomagała mu w obserwacjach astronomicznych; zajmowała się również historią, botaniką i medycyną.
- Brahe Tycho** (1546-1601). Duński astronom i matematyk. Wybudował na wyspie Hven dwa obserwatoria, w których doskonalili „przedteleskopowe” urządzenia do obserwacji kosmosu. W 1566 w pojedynku stracił część nosa; od tego czasu nosił protezę ze stopu złota i srebra. W 1597 opuścił Danię i po dwóch latach spędzonych w Niemczech osiadł w Pradze, gdzie został nadwornym matematykiem i astronomem Rudolfa II. Obserwacje Brahego umożliwiły Johannesowi Keplerowi odkrycie prawidłowości ruchów planet i sformułowanie tzw. praw Keplera.
- Cardano Girolamo** (1501-1576). Włoski matematyk, astrolog i lekarz pochodzący z Mediolanu. W 1550 wynalazł technikę kodowania wiadomości nazwaną matrycą Cárdena. Przewidział datę własnej śmierci i dla pewności tego dnia popełnił samobójstwo.
- Cassini Giovanni** (1625-1712). Włoski astronom, geodeta i matematyk. Założył obserwatorium paryskie i w 1671 został jego dyrektorem. Odkrył 4 księżycy Saturna, a w 1672 obliczył od-

ległość między Ziemią a Marsem, co pozwoliło mu oszacować (błędnie) wielkość Układu Słonecznego.

Darwin Karol (1809-1882). Angielski przyrodnik, autor teorii ewolucji, zgodnie z którą wszystkie gatunki pochodzą od wcześniejszych form. Rozgałęziony schemat ewolucji oparł na procesie, który określił jako dobór naturalny. Swoje rewolucyjne wówczas poglądy zawarł w opublikowanym w 1859 dziele *O powstaniu gatunków drogą doboru naturalnego*.

Dee John (1527-1608). Angielski matematyk, astronom, okultysta, kabalista, alchemik, nadworny astrolog Elżbiety I. W 1582 poznał Edwarda Kelleya i razem podróżowali po Europie. Został przyjęty na audiencji przez Rudolfa II i Stefana Batorego. Pod koniec życia interesował się aniołami. Przypisywano mu autorstwo *Manuskryptu Voynicha*.

Galileusz, Galileo Galilei (1564-1642). Włoski matematyk, astronom, astrolog, fizyk i filozof. W 1609 jako jeden z pierwszych użył teleskopu do obserwacji gwiazd, planet i księżyca, w 1610 odkrył księżyc Jowisza oraz obserwował fazy Wenus. Jako zwolennik heliocentrycznego modelu świata i teorii Mikołaja Kopernika, popadł w konflikt z Kościołem, stanął przed sądem inkwizycji i został zmuszony do publicznego odwołania swoich poglądów.

Gilder Joshua (ur. 1939). Amerykański pisarz i dziennikarz związany z partią republikańską: pisał przemówienia dla Regana i Georgesa Busha. W 2004 ukazała się *Heavenly Intrigue*, którą napisał wspólnie z żoną Anne-Lee Gilder. Zgodnie z przedstawioną w tej książce teorią Tycho Brahe został zamordowany przez swojego asystenta Johannes Keplera.

Huygenes Christiaan (1629-1695). Holenderski matematyk i filozof. Badania nad zasadami optyki umożliwiły mu zredukowanie w teleskopach aberracji, dzięki czemu obrazy kosmosu stały się wyraźniejsze. W 1655 odkrył księżyc Saturna, nazwany Tytanem. W 1676 jako pierwszy obliczył prędkość światła, myląc się zaledwie o 25% i udowadniając, że ma ona skończoną

wartość.

Kelley Edward (1555-1597). Angielski alchemik uważany za medium i krystalomantę. Otoczony aurą szarlatanerii, sam o sobie mówił, że odkrył kamień filozoficzny pozwalający zamieniać metale w złoto. W 1582 poznał Johna Dee i razem podróżowali po Europie. W Pradze bywał na dworze Rudolfa II.

Kepler Johannes (1571-1630). Niemiecki matematyk, astronom i astrolog, najbardziej znany z praw ruchu planet Keplera, które stały się jedną z podstaw teorii grawitacji Newtona. Ulepszył teleskop soczewkowy Galileusza. Był asystentem Tychona Brahe, a po jego śmierci został nadwornym matematykiem i astronomem Rudolfa II.

Kircher Athanasius (1602-1680). Niemiecki jezuita, teolog, filozof, przyrodnik, znawca języków orientalnych i badacz hieroglifów. Autor dzieła *China Monumentis*, stanowiącego ówczesne kompendium wiedzy o Chinach. W 1650 osiadł w Rzymie. Przez dłuższy czas był uważany za wynalazcę *laterna magica*, którą tylko opisał. W 1666 roku otrzymał od Marciego *Manuskrypt Voynicha*.

Kopernik Mikołaj (1473-1543). Polski astronom, autor *O obrotach sfer niebieskich*, w którym przedstawił heliocentryczną wizję Wszechświata. Formułując swoją teorię, czyli „wstrzymując Słońce i poruszając Ziemię”, dokonał przełomu, który pociągnął za sobą rewolucję naukową określaną jako przewrót Kopernikański. W 1616 dzieło Kopernika trafiło na indeks ksiąg zakazanych i zostało z niego zdjęte dopiero w 1757.

Marci Marcus – Marek Jan (1595-1667). Czeski lekarz, fizyk, matematyk, astronom i filozof, uważany za prekursora spektroskopii; w dziedzinie mechaniki upowszechnił wiedzę o zderzeniach ciał. Był rektorem Uniwersytetu Praskiego oraz profesorem wydziału medycznego. To on przekazał *Manuskrypt Voynicha* Athanasiusowi Kircherowi.

Lemaître Georges (1894-1966). Belgijski ksiądz katolicki i astro-

nom, jeden ze współtwórców kosmologii relatywistycznej; jako pierwszy zastosował w badaniach kosmologicznych fizykę kwantową. Jest twórcą hipotezy Wielkiego Wybuchu, nazywanej również hipotezą Pierwotnego Atomu.

Riccioli Giovanni Battista (1598-1671). Włoski jezuita – astronom, matematyk i fizyk, autor jednej z najważniejszych prac naukowych napisanych przez jezuitów w XVII wieku – *Almagestum Novum*. Odrzucał teorię Kopernika, ale podczas swoich wykładów na uniwersytecie w Bolonii omawiał ją jako niezgodną z oficjalną nauką Kościoła.

Rudolf II Habsburg (1552-1612). Od 1576 roku cesarz rzymsko-niemiecki oraz król Czech, Moraw, Austrii i Węgier. W związku z chorobą psychiczną w 1608 pozbawiono go korony Moraw, Austrii i Węgier, a w 1611 zmuszono do abdykacji z tronu czeskiego. Cechowała go chwiejna postawa wobec Kościoła, która okresowo sprowadzała się do odrzucania katolicyzmu i skłaniania się ku wiedzy tajemnej zbliżonej do satanizmu.

Voynich Wilfrid Michael (1865-1930). Amerykański bibliofil i antykwariusz polskiego pochodzenia. Urodzony na Litwie, z zawodu chemik i farmaceuta, w 1890 wyemigrował. W 1912 nabył od jezuitów księgę, nazwaną później od jego nazwiska *Manuskryptem Voynicha*.

Kalendarium wydarzeń historycznych

W Rzymie na miejscu zniszczonej przez pożar świątyni staje Panteon ufundowany przez cesarza Hadriana	125–	-1404-38 Powstaje <i>Manuskrypt Voynicha</i> (termin określony metodą datowania węglowego przez naukowców z Uniwersytetu Arizony)
W Norymberdze ukazuje się drukiem <i>De revolutionibus orbium coelestium</i> (O obrotach sfer niebieskich) Mikołaja Kopernika	1543 –	
Girolamo Cardano wynajduje technikę kodowania wiadomości znaną jako matryca Cárdena	1550-	
Zlecona przez Karola V Habsburga przebudowa zamku w Simancas zostaje zakończona i powstaje w nim główne archiwum państwowe	1558-	
W gwiazdozbiornie Kasjopei ukazuje się supernowa, obserwowana przez Tychona Brahego, Johna Dee i Girolama Cardana	1572-	

Rudolf II Habsburg zostaje królem Czech i Węgier	1576 –	– 1600-11	<i>Manuskrypt Voynicha</i> znajduje się w posiadaniu Rudolfa II
John Dee poznaje Edwarda Kelleya i razem podróżują po Europie	1582-		
John Dee mieszka w Pradze i bywa na dworze Rudolfa II	1582-86-		
Tycho Brahe osiada w Pradze, gdzie zostaje nadwornym matematykiem i astronomem Rudolfa II	1599 –		
Johannes Kepler pojawia się w Pradze i przebywa tam z przerwami do 1612; zostaje asystentem Tychona Brahego, a po jego śmierci w 1601 nadwornym matematykiem i astronomem Rudolfa II	1600-		
Rudolf II zamawia u Tychona Brahego tablice efemeryd astronomicznych, znane jako tablice rudolfiańskie	1601 -		
Johannes Kepler odkrywa supernową położoną w kierunku gwiazdozbioru Wężownika	1604-		
Johannes Kepler ogłasza swoje prawa ruchu planet w <i>Astronomia Nova</i> . Galileusz jako jeden z pierwszych używa teleskopu do obserwacji gwiazd, planet i Księżyca	1609 –	– 1611-22	<i>Manuskrypt Voynicha</i> według jednej z teorii jest w posiadaniu Jakuba Horcickiego z Tepencz, ogrodnika Rudolfa II

Galileusz zostaje zmuszony przez trybunał inkwizycyjny do publicznego odwołania swoich poglądów	1633 –	- 1638-62	<i>Manuskrypt Voynicha</i> znajduje się w posiadaniu Georga Barescha
Marcus Marci udaje się do Rzymu, gdzie poznaje jezuitę Athanasiusa Kirchera	1638 –	-1639	Georg Baresch przesłał Kircherowi list, który jest jak dotąd najstarszą wzmianką historyczną o <i>Manuskrypcie Voynicha</i>
		- 1662-66	<i>Manuskrypt Voynicha</i> znajduje się w posiadaniu Marcusa Marciego
		-1666	Jezuita Athanasius Kircher otrzymuje
		-1666-1870	w Rzymie <i>Manuskrypt Voynicha</i> od Marcusa Marciego i próbuje go rozszyfrować <i>Manuskrypt Voynicha</i> jest przechowywany w bibliotece Collegium Romanum

Podczas pierwszej kasacji 1773 –
Towarzystwa Jezusowego
Lazzari, bibliotekarz Collegium
Romanum, ratuje część księ-
gozbioru, powierzając go
kardynałowi Zeladzie, który
wywozi
księgi do Toledo; drugą część
zbioru ratuje Giuseppe Pigna-
telli

<p>Oddziały Emanuela II dokonują aneksji Papieskiego i konfiskata majątku Kościoła</p>	<p>1870 – -1870</p>	<p>Jezuita Peter Jan Beckx przejmuję <i>Manuskrypt Voynicha</i>, prawdopodobnie żeby go uchronić przed konfiskatą</p>
<p>W Villa Mondragone pod Rzymem, przekazuje jezuitom, chroni się przed prześladowaniem generała zakonu, ze swoim księgozbiorem</p>	<p>1885 –</p>	
	<p>-1912</p>	<p>Wilfrid M. Voynich, przekonany, że nabywa dzieło Rogera Bacona, kupuje od jezuitów z Villa Mondragone we Frascati koło Rzymu manuskrypt, nazwany później od jego nazwiska <i>Manuskryptem Voynicha</i></p>
	<p>-1961</p>	<p>Nowojorski antykwariusz H.P. Kraus odkupuje <i>Manuskrypt Voynicha</i> od spadkobierczyni Voynicha</p>
	<p>-1969</p>	<p>H.P. Kraus przekazuje <i>Manuskrypt Voynicha</i> w darze Uniwersytetowi Yale</p>
	<p>-2005</p>	<p>Zostaje wydana pierwsza podobizna (faksymile) <i>Manuskryptu Voynicha</i></p>

1

Manuskrypt Voynicha to niezwykła księga z ilustracjami sprzed ponad pięciuset lat. Jej osobliwość polega na tym, że po prostu nie można jej odczytać. Można co najwyżej pooglądać zawarte w niej obrazki. W przeciwieństwie do innych niezrozumiałych książek jak banalna *Hypnerotomachia Poliphili*, która stała się inspiracją dla pewnej udanej powieści *, *Manuskrypt Voynicha* jest „nie do ugrzyzienia”. Niemniej jednak ma swój realny byt. Obecnie manuskrypt jest przechowywany w Dziale Ksiąg Rzadkich biblioteki Uniwersytetu Yale w Stanach Zjednoczonych pod sygnaturą MS-408. Można przeglądać go w internecie, gdyż sieć udostępnia poszczególne strony. Po złożeniu zamówienia i uiszczeniu opłaty Uniwersytet Yale przesyła fotokopię dokumentu na CD. Tak więc samo istnienie *Manuskryptu Voynicha* nie jest żadną tajemnicą. Tajemnicą jest natomiast jego sens. To pismo hieroglificzne budziło największe zainteresowanie badaczy w XX wieku i obecnie.

* Ian Caldwell, Dustin Thomason *Regula czterech* (Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2005).

Zacząłem interesować się *Manuskrytem Voynicha* ponad dwa lata temu, wkrótce po przyjęciu święceń kapłańskich w zakonie jezuitów. Kolega z seminarium przygotowywał akurat biografię ojca Petrusa Beckxa, jednego z naszych dawnych przełożonych generalnych. Kochany Rafael – obecnie jest misjonarzem w Azji Południowo-Wschodniej – nie miał dużej wprawy w posługiwaniu się internetem i poprosił mnie o pomoc. Wyjaśniłem mu szybko działanie Google i to wystarczyło. Ku naszemu zdziwieniu wszystkie wyniki, jakie wyświetliła już za pierwszym razem ta popularna wyszukiwarka (a było ich około pięciuset), zawierały odniesienia do *Manuskryptu Voynicha*.

Rafał kontynuował potem już sam pracę nad biografią Beckxa, ja zaś uległem fascynacji tym dziwnym zjawiskiem. I tak oto znalazłem się w dwuosobowej grupie wytrwałych, niczym niezrażonych uczestników portalu pod nazwą Lista Voynicha. To takie wirtualne miejsce naszych spotkań, dzielenia się informacjami o nielicznych odkryciach i wielu nowych teoriach. W realu sprawy wyglądają bardziej prozaicznie: jestem nauczycielem fizyki i matematyki w jednym z jezuickich gimnazjów.

Księga ma jakieś dwieście czterdzieści pergaminowych stron rękopiśmiennych. Jest bogato ilustrowana, co umożliwia podział na rozdziały i części. Jedna z nich jest poświęcona medycynie, a przynajmniej ziołom leczniczym, druga biologii, jeszcze inna astronomii. Tekst składa się ze stu siedemdziesięciu tysięcy znaków wyraźnie pogrupowanych w „słowa” – jest ich trzydzieści pięć tysięcy, ale tylko dwadzieścia-trzydzieści różnych liter. Struktura języka „voynichiańskiego” – tak ochrzczono ten język z braku lepszej nazwy i wiedzy o jego twórcy – jest całkowicie nieznaną. Znamy historię tej książki, lecz to nam niewiele pomaga. Wręcz przeciwnie, wytwarza dodatkową aurę legendy. Tytuł pochodzi od nazwiska antykwarium pochodzenia rosyjsko-amerykańskiego Wilfrida M. Voynicha, który stał się właścicielem manuskryptu w 1912 roku. Nabył go od nas, od jezuitów. W początkach ubiegłego wieku mieliśmy tyle kłopotów, że musieliśmy wyzbyć się paru cennych rzeczy, by pokryć bieżące wydatki. (Niewiele zmieniło się pod tym względem w naszych czasach). Na sprzedaż poszło między innymi mienie wspomnianego Petrusa Beckxa. Ojciec Beckx zakamufłował książki zakonu jako własne, nie tyle ze złej woli czy egoizmu, ile po prostu z konieczności i zdrowego rozsądku. To były ciężkie czasy. W 1870 roku żołnierze króla Wiktora Emanuela skonfiskowali naszą bibliotekę w Rzymie. Wcześniej papież rozwiązał Towarzystwo Jezusowe, pozwalając jezuitom wynieść z domów zakonnych tylko przedmioty osobistego użytku. Niewiele jednak wiadomo o losach *Manuskryptu Voynicha* do 1912 roku.

Poczynając od 1912 roku, dzieją się rzeczy równie realne, jak

fantastyczne i tak jest do dziś. Wilfrid Voynich był przekonany, że nabył dzieło Rogera Bacona, który w zaszyfrowanej formie opisał swoje odkrycia naukowe nie do zaakceptowania w XIII wieku. Tak więc antykwariusz zabiera się do roboty i przesyła fotokopie manuskryptu znawcom twórczości sławnego franciszkanina. Żaden z nich nie potrafi nic odczytać. Jednakże w 1919 roku profesor uniwersytetu w Pensylwanii William Newbold dosłownie oszalał na punkcie *Manuskryptu Voynicha* i ogłosił, że Bacon wynalazł mikroskop oraz teleskop na trzysta lat przed Galileuszem. Dodał, że ilustracje w księdze przedstawiają komórki i galaktyki. Aby to udowodnić, oświadczył, iż wewnątrz manuskryptu odkrył drugi tekst, coś w rodzaju stenografii, i po wykonaniu sześciu konsekwentnych tłumaczeń za pomocą klucza szesnastoliterowego uzyskał anagram tekstu łacińskiego. Ta ezoteryczna interpretacja manuskryptu zyskała na kilka lat uznanie. W 1931 roku została obalona przez innego badacza Johna Manly'ego, który dał do zrozumienia, iż tłumaczenie dokonane przez Newbolda jest kompletną bzdurą. Tego samego roku Voynich umiera i księga przechodzi na własność jego żony. Próby odczytania hieroglifów trwają nadal. Sytuacja nie ulega poprawie, gdy grupa botaników oświadczyła po przeanalizowaniu rysunków z roślinami, że pochodzą one z Ameryki, która w czasie powstawania *Manuskryptu Voynicha* była ziemią nieznaną. Po zakończeniu drugiej wojny światowej rząd amerykański powierzył rozwiązanie zagadki najznakomitszym kryptologom wojskowym z Williamem Friedmanem na czele, tym samym, który wcześniej rozgryzł system kodowania depesz marynarki wojennej cesarstwa Japonii. Friedman miał na swoim koncie odczytanie paru innych historycznych tekstów za pomocą dostępnych komputerów, lecz nie poradził sobie z *Manuskrytem Voynicha*. Stwierdził jedynie, że tekst powstał w języku syntetycznym, utworzonym na bazie czystej logiki. Autorzy późniejszych badań dochodzą do dość zabawnych wniosków. W 1978 roku niejaki John Stojko uznał język manuskryptu za staroukraiński, tyle że bez samogłosek. W 1987 roku inny badacz tajemniczej książki Leo Levitov zapewnił, że jest to dzieło katarów, swoiste panaceum

literatury kieszonkowej. Tak było do czasu pojawienia się internetu i powstania Europejskiego Projektu Tłumaczenia *Manuskryptu Voynicha*, w którym biorę udział.

Wdowa po Voynichu trzymała książkę w sejfie do czasu swojej śmierci w 1961 roku. Jej spadkobierczyni sprzedała manuskrypt nowojorskiemu antykwariuszowi H.P. Krausowi. Ten kupił go za 24 500 dolarów i wystawił na sprzedaż za 160 000. Nie znalazł kupca. Znużony oczekiwaniem i zniechęcony czarną legendą manuskryptu w 1969 roku podarował go Uniwersytetowi Yale, gdzie znajduje się do dziś. Sława ilustrowanej książki urosła do jeszcze większych rozmiarów po nakręceniu o niej filmu z Indianą Jonesem. Ukazała się również gra komputerowa *Broken Sword* o hakerze, który ginie z rąk templariuszy po przetłumaczeniu tajemniczego rękopisu z sekretną informacją o ziemskich źródłach geoenergii. Ale to jeszcze nic w porównaniu z rzeczywistą historią *Manuskryptu Voynicha*, która jest dziwniejsza od fikcji.

2

Tego poniedziałkowego ranka świat wyglądał spokojnie. Może nawet przystanął? Gdyby tak było, moja lekcja nie miałaby sensu. Od ponad pół godziny stałem przy tablicy z kredą w dłoni, wyjaśniając dobrodziejstwa prawa grawitacji, i od ponad pół godziny nie rozpraszal mnie ani dzwonek telefonów komórkowych, ani złośliwy chichot dowcipnych komentatorów, których nigdy nie identyfikowałem. Czy to Newton miał taki czarowny wpływ na moich piętnastoletnich uczniów skłonnych o tak wczesnej porze dzielić się raczej zwierzeniami z weekendowych randek, niż słuchać uważnie wykładu z fizyki? Wątpię, ale ta cisza była wygodna dla nauczyciela.

– Aby lepiej zrozumieć to równanie – powiedziałem, wypisując sławny wzór określający siłę przyciągania grawitacyjnego między dwoma ciałami jako wprost proporcjonalną do iloczynu ich mas i odwrotnie proporcjonalną do kwadratu odległości między ich środkami – przydałoby się trochę historii. Kto wie o Newtonie coś więcej oprócz tego, że lubił jabłka?

Żadna ręka nie podniosła się w górę. Gdybym zapytał o Keanu Reevesa albo Eminema, wyrósłby natychmiast las rąk. Nie zniechęciło mnie to. No bo kim tak naprawdę był Newton?

– Isaac Newton był chyba największym myślicielem wszech czasów – odpowiedziałem sam sobie. – Bez niego nasze życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Na przykład nie mielibyśmy GPS-ów, ponieważ nie byłoby satelitów. I żadna komórka nie przeszkadzałaby mi w prowadzeniu lekcji.

W pierwszej chwili nikt nie zareagował. Spojrzałem na ostatnie ławki, skąd dochodziło uporczywe dzwonienie i jedna z wpatrzonych we mnie twarzy oblała się rumieńcem, zdradzając winnego. Nie chciałem bawić się w kwestie dyscyplinarne, zwłaszcza że moja

pogadanka przyniosła pierwsze efekty i senne audytorium zaczynało się ożywiać.

- Newton nie wynalazł satelitów, proszę ojca.
- To prawda – odparłem, zwracając się do chłopca, który zabrał głos, jednocześnie bazerząc coś w swoim zeszycie. – Ale bez znajomości prawa grawitacji nie umieścilibyśmy żadnego satelity na orbicie. A bez satelitów nie byłoby telewizji cyfrowej, systemów nawigacyjnych i wielu innych środków komunikacji, z których dziś korzystamy – oświadczyłem. – To jeszcze nie wszystko. Prawa Newtona pozwalają zrozumieć zjawisko przyływów i odpływów, kierunek biegu pocisku i oczywiście ruch planet. Wszystkie ciała we wszechświecie przyciągają się nawzajem w taki sam sposób. Dwa razy pomnożyć, raz podzielić i gotowe.

Pokazałem wypisany na tablicy matematyczny wzór na siłę grawitacji i kontynuowałem wykład, urozmaicając go paroma anegdotami, które na ogół podobają się nastolatkom.

- Newtonowi wystarczyły dwa lata ciężkiej pracy, aby stać się najlepszym matematykiem Anglii. Był geniuszem, lecz jednocześnie wielkim samotnikiem, markotnym i niezwykle roztrzepanym. Opowiadano, że czasami siadał na łóżku i tak siedział przez kilka godzin, nie pamiętając, czy zamierzał wstać, czy się położyć. Albo grzebał w oku igłą do szycia, żeby zobaczyć, co tam jest w środku.

Dzieciaki uśmiechnęły się, niektóre zaczęły dla wyglądu szturchać się długopisem w czoło między brwiami. Aby zapobiec nieszczęściu, mówiłem dalej:

- Newton wycofał się z aktywnego życia na całe dwa lata, które poświęcił rozmyślaniom. Owocem tego okresu jest książka znana jako *Principia*.

Przyniosłem do klasy współczesne wydanie tego dzieła: *Philosophiae Naturalis Principia Mathematica*, czyli *Matematyczne zasady filozofii przyrody*, w skrócie *Principia*. Podniosłem do góry, żeby wszyscy widzieli, i położyłem przed dziewczyną siedzącą w pierwszej ławce, zachęcając ją do obejrzenia i przekazania dalej.

- Publikacja tej książki przyniosła Newtonowi natychmiastową

sławę. Współcześni mu mędracy od razu zdali sobie sprawę, że to produkt niezwyklej inteligencji, coś wspaniałego. Potem już do końca życia obsypywano go zaszczytami, był pierwszym uczonym, który otrzymał w Anglii tytuł szlachecki. Książka ta – dodałem – traktuje o sile grawitacji, która wprawia w ruch planety, i wyjaśnia w sposób matematyczny przebieg toru krążenia. Trzeba wam wiedzieć, że satelita porusza się tak samo jak planeta. A więc tu znajdziecie odpowiedź na interesujące was sprawy.

Twarze uczniów wyrażały lekki sceptycyzm. Podawali sobie książkę z rąk do rąk. Niektórzy ważyli ją w dłoni, jakby sam ciężar stanowił o jej wartości. Nie da się ukryć, że *Principia* też podlegały prawu ciężenia.

– Newton – kontynuowałem – nie dokonał swego odkrycia na pustyni. Byli przed nim inni uczeni, którzy podłożyli podwaliny pod jego teorie naukowe. Sam napisał, że jeśli sięgnął wzrokiem dalej niż ktokolwiek, to tylko dlatego, że stał na ramionach olbrzymów. Miał na myśli czterech najznamienitszych badaczy w historii astronomii. Żyli w szesnastym i siedemnastym wieku. Jestem pewien, że dla wielu z was ich nazwiska zabrzmiały swojsko.

Zawiesiłem głos, żeby wzmóc efekt zaskoczenia.

– Polak Mikołaj Kopernik dowiódł jako pierwszy, że Słońce, a nie Ziemia jest centrum wszechświata.

Niektórzy uczniowie kiwnęli potakująco głową, jakby byli z nim za pan brat. Udałem, że im wierzę.

– Duńczyk Tycho Brahe przez czterdzieści lat wykonywał pomiary położenia gwiazd z precyzją, w której nikt mu nie dorównał ani wcześniej, ani później.

Tycho nie cieszył się wśród moich uczniów takim powodzeniem jak Kopernik.

– Włoch Galileo Galilei zbudował pierwszy teleskop.

Na szczęście wszyscy znali Galileusza, a przynajmniej tak to odebrałem.

– I wreszcie Niemiec Johannes Kepler, który odkrył, że planety poruszają się wokół Słońca po obwodzie elipsy, a nie koła.

– Kepler to ten morderca, prawda, ojcze?

Zdębiałem ze zdumienia.

– Co ty mówisz, Simónie?

– Przeczytałem to wczoraj w gazecie – odparł chłopak obojętnie.

Reszta klasy spojrzała na niego wrogo. Zabrział dzwonek na przerwę i nie mieli ochoty tracić czasu na wysłuchiwanie moich wyjaśnień. Dwadzieścia pięć komórek rwało się do działania.

– Nie wierz we wszystko, co pisze prasa – poprzestałem na stwierdzeniu. – A teraz wszyscy wychodzą z klasy!

Podszedłem do ostatniej ławki, żeby zabrać *Principia*. Ktoś przykleił na okładce kawałek gumy do żucia.

V

Wbrew temu, co się zwykło sądzić, przerwy nie wprowadzono po to, by dać dzieciom wytchnienie od zajęć lekcyjnych, tylko żeby nauczyciele mogli odpocząć od uczniów. Miałem przed sobą pół godziny na wypicie kawy w swoim pokoju i przejrzenie poczty elektronicznej. Wyszedłem z klasy i ruszyłem przez dziedziniec w stronę naszych pomieszczeń. Cała posiadłość jezuitów to cztery kwartały usytuowane w samym centrum miasta. Prawie połowę tej powierzchni zajmuje stuletnie kolegium. Obecnie w jego murach kształci się ośmiuset uczniów, chłopców i dziewcząt. Jest tu teren z przeznaczeniem sportowo-rekreacyjnym i boisko do gry w siatkówkę. Od sześciu lat mamy też krytą salę gimnastyczną, ponieważ politycy nie chcieli pozbawiać dzieci możliwości uprawiania sportu w dni deszczowe, a tutaj często pada. Bez szemrania wyasygnowali na ten cel pieniądze. Odrzucili natomiast nasz plan modernizacji pracowni naukowych w podpiwniczeniu głównego gmachu. Nie dostaliśmy dofinansowania na nową aparaturę, chociaż próbówki i retorty, przy których pracują nasi uczniowie, wyglądają tak, jakby pochodziły z gabinetu doktora Jekylla. Na nasze prośby zawsze odpowiadano argumentem o podziale kompetencji i odsyłano nas po dotacje do instytucji autonomicznych. W rządzie centralnym jest inna partia niż na szczeblu regionalnym, obie przerzucają się odpowiedzialnością i

skąpią każdego euro. Trzecią stroną w tym sporze jest ratusz, kontrolowany przez lobby budowlane. Nasz ekonom otrzymał ostatnio intratną ofertę kupna-sprzedaży z zaznaczeniem, że musimy się stąd wyprowadzić.

Dotarłem spokojnie na drugi koniec dziedzińca, żadna piłka nie przeleciała obok mnie. Nigdy nie wiem, czy specjalnie rzucają tak, żeby trafić w idącego, wolę myśleć, że to niechący. Pozdrowiłem naszego furtiana Matiasa, który rozmawiał przez telefon z hydraulikiem, narzekając na nieustanne problemy z kotłem grzewczym, i wszedłem do domu zakonnego. Szybko znalazłem się na drugim piętrze, przeskakując po trzy stopnie schodów naraz. W drodze do mojej samotni wstąpiłem na chwilę do sali telewizyjnej po wczorajszą gazetę. Zajmuję pokój nieco większy niż inni bracia, ponieważ jest to zarazem sala komputerowa przeznaczona do wspólnego użytku. Mamy tu trzy komputery połączone w sieć lokalną routerem, który umożliwia jednoczesny dostęp do łącza szerokopasmowego.

Chwilowo nie stać nas na nic więcej, chociaż bardzo bym chciał. Nie możemy robić żadnych inwestycji, skoro nie wiadomo, co nas czeka w najbliższym czasie i czy nie trzeba będzie się stąd wyprowadzić. Tymczasem coraz więcej braci korzysta z internetu. Dlatego nie zamykam drzwi na klucz, chyba że w godzinach lekcyjnych i nocą. Ta swoista kafejka internetowa jest czynna do jedenastej wieczorem.

Zaraz po wejściu jak zwykle uruchomiłem monitor mojego komputera. Główny komputer obsługujący trzy pozostałe był zawsze włączony. Program poczty elektronicznej przefiltrował wiadomości z Listy Voynicha – z pewnością jakieś nowe pomysły i próby rozszyfrowania tekstu podejmowane przez moich kolegów spoza murów. Przejrzę to sobie wieczorem. Przez filtr przedostała się informacja od Walda, który często używał innego protokołu do wysyłania swoich prywatnych e-maili. Waldo mieszka w stolicy Meksyku, więc nie muszę wysilać się na angielski, co pozwala zaoszczędzić trochę czasu, choć, szczerze mówiąc, jest dość uciążliwym kompanem. Ten chłopak chyba nigdy nie odchodzi od komputera, może czuje się samotny

albo cierpi na jakąś inną chorobę. Niewiele wnosi do pracy grupy, same banały i naiwne komentarze. Tym razem też nie było inaczej.

Witaj, Héctorze, przeglądam stare tłumaczenia. Myślę, że niektóre warto potraktować poważnie. Na przykład takie zdanie: „Oko Bożego Dzieciątka walczy o przestrzeń”. To może się odnosić do Gwiazdy Betlejemskiej. Co o tym myślisz? Znasz się na astronomii. Załóżmy, że chodzi o kometę lecącą w przestrzeni. Zanim zgłoszę to na forum, chciałbym poznać Twoją opinię. Waldo.

Nie zastanawiałem się długo nad odpowiedzią. To tłumaczenie zaproponował już dwadzieścia pięć lat temu Stojko. Uważam, że nie ma żadnego sensu.

Waldo, zapomnij o tym. Ta propozycja się zdeprecjonowała. Ma taką samą wartość jak zdanie typu: „La alfalfa daña a las jakas halagadas”*. Héctor.

* Lucerna szkodzi kapryśnym kucom (hiszp.).

Waldo straci kilka tygodni, zanim się zorientuje albo i nie, że nie warto głowić się nad analizą tej hiszpańskiej frazy, którą wzięłem z podręcznika do nauki maszynopisania jako przykład na wyłączne użycie klawiszy z drugiego rzędu tradycyjnej klawiatury w układzie QWERTY. Mam nadzieję, że nie pogniewa się za ten żart.

Rzuciłem się na łóżko z gazetą w rękę. Dopiero na ostatniej stronie poświęconej zazwyczaj ciekawostkom i plotkom znalazłem poszukiwany artykuł.

Podjeżnienie pada na Keplera. Trwa dochodzenie, czy astronom zamordował swojego mistrza, aby ukraść ważne dokumenty pomocne w pracach badawczych. Jak donosi agencja EFE, sławny niemiecki astronom i matematyk Johannes Kepler (1571-1630) zasiądzie na ławie oskarżonych w austriackim mieście Peuerbach, gdzie odbędzie się jutro debata grupy naukowców, czy ojciec nowoczesnej astronomii był mordercą. Niemiecki profesor Volker Bialas wygłosi referat pod tytułem „Trucizna reklamy. Reakcja na amerykańską tezę kryminologiczną o winie Keplera”, który będzie wprowadzeniem do dyskusji w ramach III Międzynarodowego Sympozjum Georg von Peuerbach w Górnej Austrii. Głównym celem rozpoczynającego się dziś forum z

udziałem licznych naukowców z wielu krajów jest prezentacja kolejnych etapów rozwoju modeli fizycznych i matematycznych, które dzięki okryciu Newtona pozwoliły obliczyć i opisać w XVII wieku ruch planet wokół Słońca.

Organizatorzy sympozjum zatytułowanego „Od Peurbacha do Newtona. Od teorii planetarnych do mechaniki nieba. Rewolucja Newtona” podkreślają między innymi rolę i znaczenie prac Keplera w tej ewolucji naukowej. Jednak tym razem będzie mowa nie tylko o jego istotnym wkładzie do skarbnicy wiedzy ogólnoludzkiej; uczestnicy sympozjum zastanowią się również, na ile poważna jest teoria amerykańskiego dziennikarza Joshuy Gildera, iż Kepler zamordował duńskiego matematyka Tychona Brahego (1546-1601). Ci dwaj uczeni poznali się w Pradze, mieście, które przyjęło Keplera wygnanego z Grazu za protestantyzm. Brahe był matematykiem cesarza Rudolfa II. Kepler z czasem zastąpił go na tym stanowisku, ale najpierw został jego ulubionym uczniem i pomocnikiem w pracy naukowej.

Teoria sformułowana przez Gildera wraz z jego żoną Anne-Lee i opublikowana w książce Heavenly Intrigue opiera się na materiale dowodowym z włosów zmarłego Brahego, mającym świadczyć, iż mistrz Keplera został otruty rtęcią. Amerykański dziennikarz doszedł do wniosku, że nikt inny, oprócz niemieckiego astronoma, nie mógł być autorem zbrodni popełnionej z powodów ambicjonalnych i chęci przejęcia zapisków Brahego, które Kepler odziedziczył po jego śmierci i wykorzystał do własnych odkryć. Na potwierdzenie tej tezy Gilder przytacza list napisany cztery lata później do jednego z angielskich uczonych, w którym Kepler przyznaje się niejako do kradzieży intelektualnej własności duńskiego matematyka. W emitowanej przez internet audycji austriackiej telewizji publicznej ORF Kepler mówi, iż wykorzystał okres żałoby i ignorancję spadkobierców Brahego, aby wejść w posiadanie materiałów swojego mistrza. Oczywiście nie obyło się bez procesu sądowego. Śławne prawa Keplera, ogłoszone w 1609 roku (opublikowane w jego dziele Astronomia Nova) i w 1619 roku (Harmonius Mundi), pozwoliły zrozumieć ruchy

planet wokół Słońca, ustanawiając modele, które są aktualne do dziś. Osiągnięcie to nie byłoby możliwe bez dzieła pozostawionego przez jego poprzednika Brahego. W tamtych czasach duński astronom był jednym z najwybitniejszych badaczy nieba i przez prawie czterdzieści lat notował dokładnie swoje obserwacje, które nie miały równych sobie w ówczesnej nauce.

Uzmysłowiłem sobie nagle pewien drobny, lecz ważny szczegół, na który dotychczas nie zwróciłem uwagi, chociaż tyle już czasu zajmowałem się tymi sprawami: dwóch świetnych matematyków, jednych z najlepszych w historii, pracowało dla Rudolfa II, lecz żaden z nich, o ile mi wiadomo, słowem nie wspomniał w swoich dziełach, listach czy pamiętnikach o istnieniu dziwnego manuskryptu. Spojrzałem na zegarek – jeszcze dziesięć minut do następnej lekcji. Cały ten skandal wywołała publikacja książki amerykańskiego dziennikarza. Powinienem bez trudu znaleźć ją na Amazonie. Wstałem z łóżka, żeby zasiąść na nowo przed komputerem.

Heavenly Intrigue: Johannes Kepler, Tycho Brahe, and the Murder Behind One of History's Greatest Scientific Discoveries. Joshua Gilder i Anne-Lee Gilder.

Chwyciłem za słuchawkę i wykręciłem wewnętrzny numer ekonomia. Na szczęście Julián był na posterunku.

– Julián? Tu Héctor. Chciałbym dokonać pewnego zakupu i potrzebuję twojej zgody. Podpiszesz mi zgodę na wydatek kilku euro?

– Ile?

– Siedemnaście. Chociaż nie! Zaczekaj! Wyjdzie mniej, bo ta cena jest w dolarach.

– Człowieku, nie zwracaj mi głowy takimi drobiazgami. Mam przed sobą ofertę z firmy budowlanej z liczbami o tylu zerach, że z trudem mieszczą się na papierze... Numer naszej karty płatniczej znasz.

Wypełniłem formularz zamówienia, wybierając najtańszy sposób przesyłki. Wróciłem do lektury streszczenia książki, które z grubsza pokrywało się z recenzją prasową. Przejrzałem jeszcze komentarze czytelników. Jeden był wyjątkowo wymowny:

Niebiańska intryga: Johannes Kepler, Tycho Brahe i morderstwo stojące za jednym z największych odkryć naukowych w historii. *Joshua Gilder i Anne-Lee Gilder [...] Znakomita książka o walorach naukowo-historycznych z autentycznym wątkiem kryminalnym. Autorzy przenoszą czytelnika w fascynujące czasy, gdy astronomia, astrologia i alchemia były gałęziami jednej i tej samej dziedziny wiedzy. Szczególnie ciekawy jest rozdział o alchemii i eksperymentowaniu z rtęcią, co pozwoliło autorom dojść do wniosku, iż była to substancja, za której pomocą został otruty Brahe. Opierając się na nowoczesnych technikach sądowych i analizie możliwych motywów zbrodni, Gilderowie dowodzą, iż głównym podejrzanym jest Kepler, jeden najślawniejszych astronomów w historii [...]. Obsesyjny perfekcjonizm Brahego kazał mu gromadzić całe tomy notatek. Zajęty obserwowaniem gwiazd nie miał czasu na analizowanie danych i potrzebował pomocnika takiego jak Kepler. W przeciwieństwie do szlachetnie urodzonego Duńczyka Kepler miał trudne dzieciństwo. Wychowywał się bez ojca w epoce nieustannych konfliktów religijnych. Brak kindersztuby nadrabiał niesłychaną arogancją. Wyjątkowo uzdolniony matematycznie doszedł z czasem do sformułowania nowej teorii ruchu planet. Dowody na jej poparcie znajdowały się w notatkach z wynikami czterdziestu lat pracy Brahego. Postanowił je sobie przywłaszczyć. To pragnienie wkrótce stało się jego obsesją, która pchnęła go do zabójstwa [...]. Według mnie ta książka zasługuje na odcinek w serialu Kryminalne zagadki Las Vegas. Wiele tropów prowadzi do odkrycia morderstwa. Autorzy nie twierdzą, iż mogą udowodnić winę Keplera, lecz wszystko na to wskazuje. Odnaleźli wiele nieznananych dotąd listów. Gdybym był ławnikiem, orzekłbym „winny”.*

Zaskoczyła mnie ta argumentacja. Proces bez dowodów i wyrok bez dowodów. Zupełnie jak w XVII, a nie w XXI wieku. Jak wtedy, gdy rodzina Keplera doznała prześladowań, a jego matce wytoczono proces o czary, po tym jak sąsiadka doniosła, że staruszka źle na nią spojrzała i od tego czasu ona cierpi na silne bóle. O mało nie zakończyło się to spaleniem na stosie. Koniecznie muszę przeczytać tę

książkę, aby wyrobić sobie własne zdanie.

Pora kończyć, bo zaraz będzie dzwonek na lekcję. Czuję się, jakbym sam miał iść na stos.

V

Wieczorem wróciłem do *Manuskryptu Voynicha*. Na Liście Voynicha z dnia na dzień przybywa komentarzy, ale każdy z dyskutantów idzie w innym kierunku. Można wyróżnić siedem głównych linii badawczych, przy czym żadna nie ma większych osiągnięć niż pozostałe. Najstarsza teoria głosi, iż dokument sporządzono za pomocą zaszyfrowanego alfabetu. W miejsce liter podstawiono znaki, które poprzysuwano w sposób bardziej lub mniej skomplikowany. Wystarczy odnaleźć odpowiedni algorytm, aby odwrócić cały ten proces. Główna wartość tej hipotezy polega na tym, że szyfrowanie metodą podstawiania było znane i stosowane dużo wcześniej, niż powstała ta księga, chociaż jej datowanie nie jest do końca pewne. Jednakże takie szyny łatwo złamać w epoce potężnych komputerów, które w błyskawicznym tempie przetwarzają wszelkie możliwe kombinacje i permutacje. Tymczasem żadna z prób odkodowania *Manuskryptu Voynicha* nie przyniosła rezultatu, co każe przypuszczać, iż użyto wyjątkowo skomplikowanego systemu ze sztucznym podziałem wyrazów, z których wyeliminowano samogłoski. Za tą teorią opowiada się większość członków Listy.

Inna, mniej liczna, grupa dyskutantów zakłada istnienie osobnej książki, czegoś w rodzaju poradnika dla tłumaczy tekstu. Aby rozszyfrować *Manuskrypt Voynicha*, trzeba najpierw znaleźć ową nieznaną księgę kodową. Bez niej tłumaczenie jest niemożliwe, chyba że została ukryta wewnątrz manuskryptu. Trzecia droga ma licznych zwolenników wśród nowo przybyłych dyskutantów. Nawiązuje do metody wymyślonej w 1499 roku przez Johannes Trithemiusa, która obecnie jest bardzo modna w podręcznikach z zakresu bezpieczeństwa informatycznego. Nosi nazwę steganografii. Nie jest to nic innego jak ukrycie pewnej informacji w morzu komunikatów bez istotnego znaczenia. Tej hipotezy nie da się łatwo udowodnić ani

obalić, ponieważ tajny przekaz można zakamuflować na nieskończenie wiele sposobów. Sam nie wiem dlaczego, ale odpowiada mi ta hipoteza. Językoznawcy, których nie brak w naszym klubie dyskusyjnym, opowiadają się za innym wyjaśnieniem. Unikają matematycznych argumentów jak diabeł święconej wody. Niektórzy z nich sądzą, że jest to po prostu jakiś egzotyczny język zapisany nieznanym alfabetem, prawdopodobnie pochodzenia azjatyckiego, pełen krótkich słów i lingwistycznych wzorców, które ulegają zmianie w zależności od tonu głosu. Przemawiałaby za tym historia tej książki, jeśli uda się udowodnić, że rzeczywiście przywiózł ją z Dalekiego Wschodu uczestnik wyprawy Marca Polo lub jakiś misjonarz – może nawet jezuita – podróżujący drogą otwartą w 1499 roku przez Vasco da Gamę. Nie przepadam za tą teorią, chociaż powinienem. Istnieją częściowe tłumaczenia na podstawie chińskiego dialektu z Mandżurii – całkowicie pozbawione sensu. Zdaniem innej grupy językoznawców *Manuskrypt Voynicha* powstał w języku poliglotycznym stanowiącym mieszankę wielu innych. Tu pojawia się wątek katarów, nie tyle za sprawą języka, ile ze względu na towarzyszące tekstom obrazy, które rzekomo przedstawiają katarskie rytuały religijne. Dla mnie jest to najbardziej absurdalna ze wszystkich możliwości. Najnowocześniejsze wyjaśnienie zasugerował Friedman, ekspert od kryptografii wojskowej. Jego zdaniem tekst został zakodowany w nowym sztucznym języku utworzonym od podstaw według pewnej logiki. Znaczenie wyrazu można wywnioskować na podstawie sekwencji liter i dlatego nowe słowa obfitują w prefiksy i sufiksy. Aspekt graficzny „voynichiańskiego” potwierdzałby tezę Friedmana, rzecz jednak w tym, że chociaż potrafimy zidentyfikować te prefiksy i sufiksy, nadal nie znamy ich znaczenia.

Ostatnią grupę tworzą sceptycy. Ci twierdzą, że *Manuskrypt Voynicha* jest jednym wielkim fałszerstwem wymyślonym po to, by oszukać króla Rudolfa II, który był równie naiwny jak łatwowierny.

7011c89 7011cc89 7011c89 911c89 011c89
702cc0x 0c2c1189 770c29 011c89 7011c89
011cax 7011ax? 2c211c9 71109 89702c
7011c11c 911c89 011c89 7011cc89 7011c89

Jak podaje większość miarodajnych źródeł, pierwszym właścicielem tej książki był Rudolf II (1552-1612), król Czech i Węgier, władca Świętego Cesarstwa Rzymskiego, przy czym urząd cesarza sprawował bardziej honorowo niż realnie, gdyż większość miast i ziem imperium posiadała pełną autonomię w szerszym znaczeniu tego słowa, niż to jest obecnie. Siostrzeniec Filipa II – syn Marii Habsburg i Maksymiliana II Habsburga – Rudolf spędził młodość na dworze hiszpańskim, gdzie rozwinął swoje upodobania do sztuki, nauk i matematyki, a także osobowość ponurą i depresyjną, która cechowała go przez całe życie. Swoją własny dwór założył w Pradze. Uwolnił się w ten sposób od udręki wiedeńskiego zamku, gdzie spędził z własnej woli cztery lata w zamknięciu, izolując się od nieustannych sporów między katolikami i protestantami i od gróźb ze strony Turków. Pokonawszy głęboką depresję, kazał stworzyć na swoim nowym dworze prywatne muzeum, które nigdy nie zostało otwarte dla publiczności. Wstęp do niego mieli tylko nieliczni wybrańcy. W obszernych galeriach muzeum zgromadził tysiące obrazów, rzeźb, szlachetnych kamieni i monet oraz inne rzadkie przedmioty. Jedną z osobliwości była kolekcja karłów. Podobno utrzymywał też regiment złożony wyłącznie z wielkoludów. W latach 1605-1606 poszerzył pałac o trzy nowe sale przeznaczone na bibliotekę oraz kolekcje zegarów i przyrządów naukowych. Zwiedzając ten labirynt z marzeń i snów, można było napotkać wylegujące się w przejściu egzotyczne zwierzęta albo dziwacznych osobników różnego autoramentu. Rudolf II kolekcjonował obrazy, grawiury, manuskrypty i książki, przyjażniąc się nie tylko z malarzami, filozofami i mistykami, lecz także z uczonymi jak Tycho Brahe i Johannes Kepler, którym udzielał finansowego wsparcia. W takim magicznym miejscu pojawia się *Manuskrypt Voynicha*.

Na ekranie monitora zamigotała ikonka, zawiadamiając o nowej wiadomości. Otworzyłem aplikację, by przeczytać, co John – bo to było od niego – miał mi do powiedzenia:

Hi Héctor. Program Joanny przyniósł nowe rezultaty. Szczegóły w załączonym pliku. John C.

John Carpenter pracował w Cambridge, dzięki czemu cieszył się autorytetem naukowca jak mało kto. Podpis z adresem obok nazwiska robił duże wrażenie: John M. Carpenter. Ph D In Physics. Royal Greenwich Observatory, Cambridge, UK. Miał wyższą rangę akademicką, ale tyle samo lat co ja – czyli trzydzieści cztery. A jeśli wierzyć fotografiom z jego strony internetowej, byliśmy do siebie podobni. Niemal identycznego wzrostu i wagi, obaj niezbyt przystojni, z początkami łysiny. John często odwiedzał Hiszpanię. A zwłaszcza obserwatoria astrofizyczne na Wyspach Kanaryjskich, gdzie przebywał parę razy w roku. Próbował pisać do mnie stamtąd po hiszpańsku.

Zapowiedziany plik zawierał transkrypcję dwóch stron *Manuskryptu Voynicha* z części zwanej astronomiczną. Pracowaliśmy nad tym od kilku tygodni, przedstawiając znaki na wszelkie sposoby, tak by otrzymać jakieś słowo łacińskie, angielskie, niemieckie, a może nawet hiszpańskie, oznaczające coś, co mogli znać autorzy księgi. Gwiazdę, planetę, konstelację, znak zodiaku, nazwę miesiąca – nieważne co, byleby to jakoś brzmiało. Korzystaliśmy z rozszerzonej wersji EVA. EVA to skrót od European Voynich Alphabet, który jest transkrypcją znaków *Manuskryptu Voynicha* na alfabet łaciński. Najbardziej znaną wersję stworzyli Gabriel Landini i Rene Zenderbergen po roku 1990. Cały tekst manuskryptu został już przepisany w ten sposób, dzięki czemu łatwo wygenerować kod dla komputera, badać relacje, analogie i statystyki. EVA działa w obie strony:

ed d xgar? &c za hadza &c ego
 dohyc do tyczo acv?dazhc

Założmy, że tak zaczynałby się *Don Kichote z La Manchy*, gdyby Cervantes napisał swoją powieść w języku „voynichiańskim”. Proces odwrotny, bo głównie to nas interesuje, pozwala zapisać cytowany wcześniej ustęp *Manuskryptu Voynicha* następująco:

*qotedy qoteedy qokedy ytedy okedor
qosheol ochekdy qgochy okdy qotedy
o keal qokalr shckhey qkolo dygoche
qoteeke ytedy okedor qoteedy qotedy*

Przeczytane na głos brzmi to dość zabawnie.

3

Tydzień później też działo się zabawnie od samego rana. Był piękny dzień, zapowiedziałem klasówkę z fizyki i napawałem się słodkim uczuciem zemsty za te wszystkie bzdury, jakie wygadywali na lekcjach. Większość z nich była przekonana, że gdyby przewiercić Ziemię na wylot i wrzucić do środka kamień, to wyleci on z drugiej strony. Myślałem właśnie o tym, przechodząc przez dziedziniec, gdzie chłopcy jak zwykle grali w kosza. Pokręciłem głową z niedowierzaniem i przyspieszyłem kroku. Wtem piłka wpadła mi sama w rękę. Instynktownie wycelowałem w stronę najbliższego kosza. Przeszła gładko przez obręcz, zataczając idealną parabolę.

– Nieźle – usłyszałem za swoimi plecami. – Poszczęściło się ojcu. Ale niech ojciec spróbuje powtórzyć.

Jeden z uczniów podał mi piłkę spod kosza. Kilku innych przyglądało mi się z rozbawieniem.

– To nie szczęście, tylko znajomość praw fizyki – odparłem spokojnie.

Znowu wycelowałem i trafiłem.

– Trzy punkty dla ekipy księży – zawołałem, podnosząc trzy palce prawej ręki niczym sędzia.

W tym momencie pomyślałem, że rzucę im wyzwanie na ich własnym terenie.

– Zaraz wam udowodnię potęgę fizyki, bo wiem, że nie uwierzycie, póki nie zobaczycie. Postaram się umieścić jak najwięcej piłek w koszu. Ile razy spudłuję, tyle dodatkowych punktów doliczę każdemu z was na poniedziałkowej klasówce.

Umówiliśmy się na serię dziesięciu strzałów do kosza zza linii rzutów za trzy punkty. Wiadomość szybko rozeszła się po dziedzińcu i wkrótce otoczyło mnie pół setki wyrostków pohukujących z rozba-

wieniem.

Pierwsza piłka. Kosz.

Druga piłka. Kosz.

Trzecia piłka zawisła na chwilę w powietrzu, ale wpadła do kosza.

Czwarta i piąta piłka przeszła przez obręcz, podnosząc siatkę.

Od tego momentu gwizdy ustały. Zrozumieli, że muszą zabrać się do nauki. Urosłem w ich oczach.

Szósty rzut. Znowu suspens, kilka gwizdów i oklaski, gdy piłka znalazła się w koszu. Wygrałem zakład i nie było sensu rzucać dalej. Rozgrzany zwycięstwem pospieszyłem do domu zakonnego. Nigdy dotąd nie grałem w piłkę z uczniami, byłem dla nich zarozumiałym profesorkiem, niezdolnym oderwać się od książki albo od komputera.

Matías stał w drzwiach i patrzył na mnie z miną trenera, który pragnie pochwalić zawodnika.

– No i narozrabiałeś w czasie przerwy, Héctorze.

Uśmiechnąłem się tylko i nic nie powiedziałem. Wbiegłem na schody, przeskakując jak zwykle po kilka stopni naraz.

Matías zawołał za mną:

– Zaczekaj, jest paczka dla ciebie!

Przesyłka od Amazona. W środku oczekiwana książka. Zacząłem czytać, jeszcze zanim wszedłem do swojego pokoju.

Trumna była przykryta czarnym aksamitem udekorowanym złotem z herbem rodowym. Przed trumną defilowali oficerowie z pochodniami pod pięknie przyozdobionym sztandarem, na którym wypisano jego tytuły i zaszczyty. Za trumną szedł jego koń i osiem innych w czarnej uprzęży. Potem mężczyźni, jeden za drugim, niosący zbroję Tychona i jego szpadę. Trumna spoczywała na ramionach dwunastu szlachciców. Za trumną kroczył najmłodszy syn zmarłego obok swojego stryja, szwedzkiego hrabiego Erika Brahego i barona Ernfrieda von Minckwicza. W kondukcje żałobnym uczestniczyli cesarscy kanclerze, szlachta i baronowie, służba i pomocnicy Tychona, wdowa, którą prowadziło dwóch królewskich sędziów, oraz trzy córki, każda pod opieką dwóch szlachciców. Thumy ludzi wyległy na ulice, tworząc gęsty szpaler. Kondukt z trudem torował sobie drogę między nimi.

Kościół był wypelniony po brzegi, nie dla wszystkich notabli starczyło miejsca. Po skończonym kazaniu hełm, zbroja, herb i szpada wielkiego astronoma zawisły w krypcie.

Tak Kepler opisuje uroczystości pogrzebowe Tychona Brahego w Pradze. Gilderowie przytaczają tę relację na jednej z pierwszych stron swojej książki. Podkreślają zarazem, podobnie jak większość biografów, że ten wielki astronom, historyczna postać i duma Danii, znalazł grób na obczyźnie. Czy to nie paradoks? Porównywałem początek *Heavenly Intrigue* z paroma innymi książkami z historii astronomii, które sam zakupiłem lub znalazłem w naszej bibliotece. Chwilowo nie ma powodu do oburzenia.

Śmierć Tychona Brahego jest bardzo dobrze udokumentowana w bibliografii. Ciekawie przedstawia to jego uczeń Johannes Kepler. Wszystko zaczyna się 13 października 1601 roku, zaledwie kilka dni po arcyważnym spotkaniu z Rudolfem II. Cesarz zamówił u Brahego jedno z największych dzieł naukowych: tablice efemeryd astronomicznych, które przejdą do historii jako tablice rudolfskie. Tego dnia Tycho Brahe, w towarzystwie swojego przyjaciela, udał się na kolację do pałacu Petera Ursinusa Rozmberka. Wśród szlachty obowiązywała zasada, że nie wolno wstawać od stołu przed gospodarzem. Prawdopodobnie dlatego Tycho znalazł się na łożu śmierci. Kepler daje w swych pamiętnikach dokładny opis tych fatalnych dni:

Brahe siedział przy stole, czując wielką potrzebę oddania moczu. Jeszcze nigdy tak długo się nie powstrzymywał. Chociaż dużo wypił i miał pełny pęcherz, mniej go to martwiło niż myśl o etykiecie. Ale po przyjsciu do domu nie mógł się zatłwić.

Tycho miał doświadczenie jako lekarz, więc zaordynował sobie różne leki. Bez skutku. Agonia trwała pięć dni i nocy, cierpiał na bezsenność, konał w straszliwych bólach.

W końcu oddał kilka kropel moczu, lecz pęcherz pozostał nieopróżniony. Do bezsenności dołączyła gorączka jelit i coraz częstsze chwile delirium. 24 października delirium ustąpiło. Pośród modlitw i łez, w otoczeniu pragnącej go pocieszyć rodziny, opadł z siły i umarł w spokoju.

W dalszej relacji Kepler ujawnia intymne szczegóły, które przeszły do historii.

Wtedy jego zapiski z obserwowania nieba zostały przerwane, trzydzieści pięć lat pracy dobiegło końca. Ostatniej nocy Brahe powtarzał w delirium, jak muzyk układający słowa pieśni: Non frustra vixisse videor. Nie pozwólcie, aby miało się okazać, że żyłem nadaremno.

Taką prośbę mógł kierować chyba tylko do Boga i do Keplera.

V

Egzemplarz z sygnaturą MS-408 jest prawdopodobnie największym skarbem biblioteki Uniwersytetu Yale. Nie tyle z racji treści – na pierwszy rzut oka jest to traktat o ziołach leczniczych – ile wskutek sławy zdobytej przez pięć wieków swojego istnienia. Aby uzyskać odpowiednią kompozycję miejsca, postanowiłem sięgnąć do materiału źródłowego. Mam na myśli fiszkę biblioteczną z lakoniczną informacją bez komentarzy i subiektywnych opinii. Po raz tysięczny zajrzałem na stronę Web Uniwersytetu Yale.

MS 408. Zaszyfrowany rękopis. Europa Środkowa (?), wiek XV lub XVI. Tekst o charakterze naukowym albo magicznym zapisany w niezidentyfikowanym języku, prawdopodobnie za pomocą szyfru na bazie znaków romańskich. Niektórzy badacze uważają, że jest to dzieło Rogera Bacona, ponieważ motywy ilustracji nawiązują w pewnym sensie do kwestii interesujących tego średniowiecznego filozofa [...]. 102 strony pergaminu, przeważnie ponumerowane cyframi arabskimi w formie współczesnej, w tym 5 folio podwójnych, 3 potrójne, 1 poczwórne i 1 sześciokrotne, złożonych do rozmiaru 225 x 160 mm, łącznie 240 stron [...]. Prawie wszystkie zawierają rysunki naukowe i botaniczne – niektóre z nich zajmują całą stronę – namalowane atramentem i akwarelą w różnych odcieniach zieleni, brązu, żółci i czerwieni. Jeśli wziąć pod uwagę pozorny temat ilustracji, rękopis dzieli się na sześć części. I: Część botaniczna z rysunkami 113 gatunków nieznananych roślin. Szczególna staranność w przedstawieniu kwiatów, liści i korzeni. Ilustracje są opatrzone tekstem. II: Część

astronomiczna lub astrologiczna z 25 diagramami astralnymi w postaci koncentrycznych kręgów i segmentów radialnych, niektóre ze Słońcem lub Księżycem w środku. Segmentom towarzyszą gwiazdy i napisy, występują tu również znaki zodiaku i sylwetki nagich kobiet, z których jedne stoją, a inne wylaniają się z czegoś podobnego do puszki lub tuby. III: Część biologiczna z rysunkami niedużych brzuchatych kobiet, które pogrążają się lub wylaniają z tub i kapsuł wypełnionych dziwnymi płynami. Te rysunki są największą zagadką rękopisu. Prawdopodobnie przedstawiają w symbolicznej formie proces rozrodczości człowieka i połączenia duszy z ciałem. IV: Część medalionów, których jest dziewięć, a na nich gwiazdy i coś na kształt komórek z włóknistymi strukturami łączącymi poszczególne koła. Medaliony mają promienie w kształcie wypełnionych gwiazdami płatków [...]. V: Część farmaceutyczna z prawie 100 rysunkami różnych gatunków ziół i roślin leczniczych, wszystkie opatrzone napisami [...] VI: Część ciągłego tekstu z gwiazdami na wewnętrznym marginesie [...].

Tekst powstał prawdopodobnie w Europie Środkowej pod koniec XV lub w XVI wieku; pochodzenie i dokładna data rękopisu są przedmiotem dyskusji. Spór toczy się także o zawile obrazki i nierozszyfrowane teksty. Rośliny zostały zidentyfikowane jako próbki przywiezione przez Krzysztofa Kolumba z Nowego Świata; to wskazywałoby na powstanie rękopisu po 1493. Należał do cesarza Rudolfa II z Niemiec (Święte Imperium Rzymskie, 1576-1612), który ponoć zapłacił za ten kodeks 600 złotych dukatów, przekonany, że nabył dzieło Rogera Bacona [...]. Przypuszcza się, że cesarz Rudolf zakupił rękopis od angielskiego astrologa Johna Dee (1572-1608), który własnoręcznie ponumerował każdą stronę w prawym górnym rogu. Ten kolekcjoner dzieł Rogera Bacona mieszkał w Pradze od 1582 do 1586 i w tym okresie odbywał spotkania z cesarzem. Notatki Dee zawierają wiadomość o otrzymaniu 630 dukatów w październiku 1586, natomiast jego syn Artur napisał, że w Czechach „ojciec miał książkę pełną hieroglifów, ale nie wiem, co się potem z nią stało”. Prawdopodobnie cesarz powierzył rękopis Jakubowi Horcickiemu z Tepenecz (zm. w 1622). W świetle ultrafioletowym można odczytać

pozostawiony przez niego napis. Niejaki Marcus Marci pokazał księgę jezuitcie Athanasiusowi Kircherowi (1601-1680) w 1666.

W 1912 Wilfrid M. Voy nich nabył ją od jezuitów z Frascati koło Rzymu. Nasza biblioteka otrzymała ten rękopis w 1969 w darze od H.P. Krausa, który zakupił go od Ethel Voynich.

To prawie cała obiektywna wiedza o *Manuskrypcie Voynicha*. Mieszmasz hieroglifów, cesarzy, astrologów i jezuitów. I jak tu się tym nie zainteresować.

v

Czekała na mnie wiadomość od Joanny. Krótka, bardzo krótka:
Hector, Read Scientific American!

Joanna pisała z jakiegoś szwedzkiego miasteczka, którego nazwy nie zapamiętałem. Zresztą to nie jest specjalnie ważne, bo dla nas jej świat ograniczał się do gabinetu i mnóstwa umieszczonych w nim komputerów. Taki mieliśmy obraz jej świata, jedyny, jaki do nas docierał, kiedy włączała Webcam. Zazdrosna o swoją intymność mogła pozwolić sobie na luksus pracowania we własnym domu dla pewnej firmy informatycznej, która płaciła jej kwoty odpowiadające jej ogromnemu talentowi. Ponadto broniła do upadłego wolnego software'u i w konsekwencji korzystanie z jej programów, w większości przypadków niekompatybilnych z moimi, stwarzało mi немало problemów. John pełnił funkcję tłumacza i to pozwalało nam posuwać się do przodu we wspólnych badaniach.

Czasopismo „Scientific American” publikowane jest w Hiszpanii jako „Investigación y Ciencia”. Z reguły artykuły zawarte w tym pierwszym ukazują się w przekładzie w tym drugim po miesiącu lub dwóch. Nasza szkoła je prenumeruje, tak więc zainteresowani uczniowie – których nie jest wielu – mają do niego dostęp w bibliotece. Mamy też kilka magazynów informatycznych, które cieszą się największym powodzeniem.

Nic mnie nie kosztowało poszukać ostatniego egzemplarza.

Wyszedłem po ciemku z pokoju i próbowałem bezskutecznie uruchomić wyłącznik światła. Ogólna awaria. W jakimś miejscu starej

elektrycznej tablicy rozdzielczej wyskoczyło jedno lub kilka zabezpieczeń różnicowych. Dodatkowy powód, żeby opuścić nasze stare włości. Wszedłem po omacku do portierni i pożyczyłem sobie pęk kluczy Matiasa. W tym momencie, jak za dotknięciem różdżki, wróciło światło. Podjąłem więc drogę odwrotną w stosunku do przebytej rano, mijając dziedziniec w stronę głównego budynku. Noc była zimna i ciemna, tym bardziej że nie było księżyca, który by odbijał choć trochę słonecznego światła. Ale na czystym, bezchmurnym niebie można było z łatwością rozpoznać gwiazdy. Pod wiecznie zagrażającym łukiem wojownika Oriona otworzyłem boczne drzwi prowadzące bezpośrednio do biblioteki. Przy samym wejściu jest stół z czasopismami oferujący zaciekawionemu uczniowi najnowsze numery. Egzemplarze z września i października już dotarły i leżały tam starannie ułożone, jakby na mnie czekały. Natychmiast znalazłem w pierwszym z nich artykuł, którego szukałem. Znalezisko Joanny było więc mocno spóźnione. Zaoszczędziło mi to poszukiwań w internecie i kłopotu związanego z tłumaczeniem.

Tajemnica Manuskryptu Voynicha: Nowa analiza kryptograficznego dokumentu sporządzonego przed ponad czterema stuleciami skłania do wniosku, że mamy do czynienia z bezładnym galimatiasem. Gordon Rugg.

Artykuł zajmował ni mniej, ni więcej, tylko sześć stron.

Ledwie zacząłem go czytać, światło znowu znikło.

I wtedy ktoś skorzystał, żeby zrobić to samo i z taką samą szybkością. Przesadzam, może trochę mniejszą. Ktoś, kto z pewnością przez cały ten czas zabawiał się wyłącznikami. Po chwili usłyszałem bieg, daleki skok, a później krzyk bólu przerywany wykrzyknikami, które ze względu na swoją skatologiczną naturę nie wydawały się pochodzić od żadnego mieszkańca domu zakonnego.

Z pewnością autorem tej psoty był jeden z chłopców albo może jakiś duch opłacany przez firmę budowlaną, żeby przyspieszyć naszą decyzję. Prawdopodobne skrócenie kostki stanowiło już jego pokutę.

Duński astronom Tycho Brahe nie cieszył się takim zainteresowaniem biografów jak trzech pozostałych badaczy uznanych przez Newtona za olbrzymów. Nie pozostawił po sobie konkretnego odkrycia na miarę systemu heliocentrycznego Kopernika, obserwacji teleskopowych Galileusza czy praw o ruchu planet Keplera. Miał błędną koncepcję wszechświata, a system „tychoniczny” (zwany tak od jego imienia) jest misterną próbą połączenia heliocentryzmu z geocentryzmem – walką Słońca i Ziemi o prymat w kosmosie. Prawdopodobnie dlatego historia potraktowała go niesprawiedliwie. Życie nie obeszło się z nim lepiej, toteż sporo osób zadaje sobie pytanie, w jakim kierunku rozwinęłaby się astronomia, gdyby Tycho żył chociaż trochę dłużej. Dziesięć lat później posługiwałby się teleskopem jak Galileusz i nie ulega wątpliwości, iż przyrząd ten w jego rękach zmieniłby koncepcję wszechświata jeszcze bardziej, niż uczynił to Włoch. Przedwczesna śmierć Duńczyka stanowiła zatem niepowetowaną stratę dla świata nauki. Co prawda nie był już taki młody – w 1601 roku miał pięćdziesiąt cztery lata, co wedle ówczesnych kanonów oznaczało już prawie starość – jednak zachowywał pełnię władz umysłowych.

W miarę jak czytałem książkę Gilderów – sięgając co chwila do moich własnych źródeł, by nie ulec nadmiernej intoksykacji – wydawało mi się to coraz bardziej oczywiste. Autorzy *Heavenly Intrigue* sprytnie zonglują półsłówkami. Obwiniając Keplera o śmierć mistrza, podkreślają zarazem rangę jego odkryć naukowych. Zadają mimochodem podchwytliwe pytanie: czy zbrodnia popełniona w imię rozwoju nauki staje się przez to mniej straszna i godna usprawiedliwienia. W rezultacie czytelnik nabiera przekonania, że naprawdę doszło do zbrodni na tle naukowym. Cel został osiągnięty.

Jedno jest pewne: Tycho Brahe miał tak ciekawe życie, że starczyłoby materiału na parę scenariuszy filmowych. Urodził się 14 grudnia 1546 roku w Skane, w jednej z tych rodzin arystokratycznych typowych dla Danii *Hamleta*. Typowych do tego stopnia, że jego kuzyn Frederick Rosenkrantz stał się pierwowzorem znanej postaci nieśmiertelnego dzieła Szekspira. (Ten niefortunny młodzieniec, pod groźbą wydziedziczenia, musiał iść na wojnę z Turkami, albowiem zrobił dziecko młodej damie. Jego sławny krewny starał się mu pomóc, ale na niewiele się to zdało, gdyż wkrótce potem Rosenkrantz zginął jako sekundant w pojedynku). Obecnie rodzinne miasto Tychona, Skane, leży w granicach Szwecji, lecz w tamtych czasach spora część dzisiejszej Szwecji oraz cała Norwegia należały do korony duńskiej. Była to niestabilna monarchia w stanie rozkładu. Odrażający zapach zgnilizny wygnał Tychona z kraju i kazał mu szukać schronienia pod niestabilnym parasolem Rudolfa II, który jest jedną z głównych postaci wyłaniającej się z moich notatek dramy.

Trudno jednoznacznie określić Tychona Brahego. Z pewnością jest prototypem człowieka renesansu. Bohater narodowy Duńczyków, Szwedów, Norwegów i Czechów uprawiał sztukę, literaturę, dyplomację, szermierkę, luksusowe życie i, nade wszystko, naukę. Jego poematy należą do arcydzieł literatury nordyckiej. Jako twórca dzieł inżynierskich, instrumentów i wynalazków nie ustępuje samemu Leonardowi. O upodobaniu do szermierki świadczyła deformacja twarzy, efekt młodzieńczego pojedynku. Kroniki mówią, że Tycho chciał rozstrzygnąć za pomocą szpady konkurs na najlepszego matematyka. Jego rywalem był duński szlachcic, studiujący, podobnie jak Brahe, na uniwersytecie w Wittenberdze. Młodzieniec ten stracił z wiekiem zamiłowanie do liczb, czego nie można powiedzieć o Tychonie. Aczkolwiek on też coś stracił w tym pojedynku, którego omal nie przyplącił życiem, a mianowicie nos.

W świeżą ranę od szpady wdała się infekcja. W tamtych czasach był to poważny problem, z którym medycyna nie zawsze sobie radziła. Tycho przeżył, ale już do końca życia nosił różne protezy nosa. Sam je fabrykował. Na co dzień używał lekkiej miedzianej, a na

specjalne okazje wkładał kosztowną protezę ze stopu złota i srebra, w naturalnym kolorze cery. Chirurgia plastyczna wtedy jeszcze nie istniała, lecz sztukę zachowywania pozorów opanowano do perfekcji.

Narodzinom Tychona Brahego towarzyszyła seria zadziwiających wydarzeń. Jego matka Beate Bille, małżonka duńskiego arystokraty Ottona Brahego, wydała na świat bliźnięta. Tycho dowiedział się dopiero po latach, że miał brata bliźniaka, który urodził się martwy. Rodzinna umowa zawarta przed porodem stanowiła, że jedno z dzieci będzie adoptowane przez brata Ottona, Jorgena Brahego, który był bezdzietny i chciał wychować sobie dziedzica w osobie bratanka. Kapryśny los doprowadził do rozłamu w łonie potężnego rodu Brahe. Nie wiadomo dokładnie, jak to się stało – dobrowolnie czy pod przymusem – w każdym razie rodzice musieli oddać małego Tychona Jorgenowi. Miał zaledwie dwa lata, kiedy przeszedł pod władzę stryja, który odtąd traktował go jak rodzzonego syna.

Coś, co wyglądało na porwanie, miało dla porwanego bardzo pozytywne skutki. Jego macocha Inger Oxe wywodziła się ze światłej rodziny mającej poglądy na życie nieco odmienne niż ród Brahe, dla których miarą sukcesu była szkoła wojskowa i służba królowi. Dzięki temu młody Tycho otrzymał wykształcenie akademickie, o jakim nie mógłby nawet zamarzyć, gdyby dorastał u boku swoich skorych do wojaczki braci. Bardzo szybko dał się poznać jako znakomity umysł. W wieku szesnastu lat prowadził poważne dyskusje na różne tematy naukowe z największymi autorytetami uniwersyteckimi w Kopenhadze. Sam został studentem tej uczelni w 1559 roku jako dwunastoletni chłopiec. Taka przedwczesna dojrzałość nie była niczym dziwnym w czasach, gdy ludzie żyli krócej niż obecnie. Program studiów na uniwersytetach luterańskich nie ograniczał się do łaciny, greki, hebrajskiego, logiki, retoryki i dialektyki. Wpływ Philippa Melanchthona, przyjaciela i ucznia Marcina Lutra, był tu ewidentny. Zrozumienie tekstów biblijnych wymagało znajomości literatury i historii. W studiach nad sacrum i starożytnością niezbędne były geometria i arytmetyka. Stąd już blisko do astronomii uważanej z powodów oczywistych za naukę najbardziej zbliżoną do nieba.

Astronomia pomagała ułożyć kalendarz liturgiczny i miała praktyczne zastosowanie w astrologii. Te dwie nauki wydawały się wówczas nierozdzielne. Podobnie jak wielu innych myślicieli Melanchthon wierzył, że ludzki los jest ściśle związany z gwiazdami i planetami. Tycho Brahe wcześniej zainteresował się astrologią. Johannes Kepler również i z jeszcze większym zapalem, Galileusz z trochę mniejszym. Z tych najznamienitszych jedynym, który nigdy nie ułożył żadnego horoskopu, był Polak Mikołaj Kopernik.

Zarówno Kepler, jak i Tycho uważali, że przyszłość jest zapisana w gwiazdach, lecz nie wierzyli w przeznaczenie. Wierzyli, że ludzka wola pokona – jeśli jest dostatecznie silna – wolę gwiazd i planet. Obaj zdobyli sławę i zrobili majątek na przepowiedniach opartych w dużej mierze na logice i tym, co dziś nazywamy psychologią. Byli na tyle rozsądni, by nie sprzeciwiać się woli monarchów, swoich protektorów, dla których astronomia miała rację bytu o tyle, o ile wiązała się z astrologią. Kiedy zdarzyło się, że jakiś szlachcic poskarżył się Tychonowi, iż otrzymał dwie sprzeczne przepowiednie od dwóch różnych astrologów, duński mędrzec mu odpowiedział, że prawdopodobnie korzystali z różnych tablic efemeryd. Dobrze wiedział, że tablice alfonsyńskie różnią się od Pruskich. Te pierwsze, ogłoszone w 1252 roku w Toledo, opracowało pięćdziesięciu arabskich i żydowskich astrologów pod patronatem króla Kastylii Alfonsa X Mądrego. Wywodziły się z klasycznego modelu Ptolemeusza, w którym Ziemia jest centrum wszechświata. Te drugie tablice, zadedykowane królowi Prus – stąd ich nazwa – odwoływały się do nowoczesnego modelu kopernikańskiego. Ani jedne, ani drugie nie pokrywały się z wynikami obserwacji Tychona, dlatego je odrzucił i zaczął od nowa mierzyć położenie gwiazd i planet. Miał wtedy zaledwie szesnaście lat.

v

Szesnaście lat to przeciętny wiek moich uczniów. Kiepsko wypadli na klasówce z fizyki. Ale przy poprawianiu prac spotkała mnie miła niespodzianka: jedna z nich była bez zarzutu. Ani jednego błędu w

opisach, wyliczeniach i rozwinięciu wzorów. Podobał mi się nawet charakter pisma. Autorem tej pracy okazał się specjalista od zadawania impertynenckich pytań, namiętny czytelnik gazet. Chłopak ciekawy świata, równie inteligentny, jak irytujący. Muszę z nim porozmawiać. Oczywiście po lekcjach, żeby nie musiał wstydzić się kolegów, którzy szczylicili się swoją ignorancją i brakiem pomysłu na życie.

Podnosiłem się z krzesła, żeby iść do klasy, kiedy Damián, dyrektor szkoły, wpadł jak burza do pokoju nauczycielskiego i od razu zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Kto to napisał, Héctorze? Podejrzewasz kogoś?
- Nie wiem, o czym mówisz...
- Nie byłeś na dziedzińcu?
- Jeszcze nie, ale już idę...

Wyszliśmy razem. Na jednej ze ścian zobaczyłem ogromne graffiti. Byłem zszokowany.

– Odkryliśmy napis dziś rano. W nocy któryś z uczniów przeskoczył przez mur i urządził sobie zabawę. Nie puszczę im tego płazem.

Damián był oburzony. Przypadki łamania dyscypliny szkolnej zdarzały się coraz częściej. Rozmowy z rodzicami uczniów kończyły się zawsze tak samo – ich pociechy są aniołkami, a my, choć to zabrzmi dziwnie, wcielonymi diabłami. Nie umiemy postępować z ich dziećmi, nie potrafimy zachęcić do nauki. Tymczasem punktualność przestawała być cnotą. Rodzice usprawiedliwiali każdą nieobecność dziecka w szkole z powodów czasem tak absurdalnych, że nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Ale to przekraczało granice przyzwoitości.

Słowa zamarły mi na ustach.

– Wszystko pomazane! – krzyczał Damián, wznosząc ręce ku niebu.

Całą ścianę pokrywały wielkie litery. Ktoś napisał dużymi literami zdanie... po „voynichiańsku”.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Na wszelki wypadek wy-

brałem rozwiązanie połowiczne, opowiedziałem *Damiánowi*, że w nocy parę razy gasło światło i słychać było stukot stóp, jakby ktoś biegł. To wyjaśnienie pasowało do tego, co chciał usłyszeć. Ale nie poinformowałem go, co to za litery. Postanowiłem zachować sekret, dopóki sam nie znajdę zadowolającego wyjaśnienia.

Odwołałem pierwszą godzinę lekcyjną z prostego powodu. Zapowiedziałem uczniom, że nie będzie lekcji ani przerwy, dopóki nie znajdą się winni. Kazałem siedzieć w ławkach i uczyć się po cichu. Młodzieńcze twarze zdradzały rozbawienie tym, co się stało, połączone niezadowolaniem z kary. A więc czują się niewinni. Wykorzystałem przymusowe okienko, by skopiować w notesie znaki nabazgrane na ścianie.

sa coxpa 8c a9xcl caeja 2o2c 9h

Porównałem je z EVA. Pominąwszy parę niedociągnięć w rysunku, które można złożyć na karb pośpiechu, transkrypcja nie sprawiła mi trudności:

Gniew Achillesa spadnie na ciebie

Odczytanie ukrytego przekazu też nie było trudne.

Ktoś mi grozi. Nie miałem pojęcia dlaczego. W jakim celu? Mógł to zrobić jakiś uczeń. Nie podejrzewałem żadnego z nich o znajomość greckiej literatury klasycznej, ale głośno zrobiło się ostatnio o filmie *Troja* i uczniowie się dowiedzieli, że Hektor, bohater trojański, ginie z rąk prawie niezwyciężonego Achillesa, bohatera greckiego.

Coś mi tu jednak nie pasowało. Nawet jeśli przyjąć, że to graffiti świadczy o nienawiści, to zwykle nienawidzi się takiego nauczyciela, który stosuje kary i stawia dużo złych stopni. Ja nie jestem zwolennikiem karania, a stopniami moi uczniowie się nie przejmują. Poza tym, jeśli ktoś jest w stanie użyć alfabetu „voynichiańskiego” do sformułowania konkretnej, choć zawołowanej groźby, to potrafiłby również prawidłowo stosować formuły Newtona, przy których nie musiałby się tyle natrudzić.

Zacząłem robić listę ewentualnych wrogów. Szybko zrezygno-

wałem.

Nie mam wrogów.

Co tu się dzieje?

v

Spędziłem popołudnie w swoim pokoju. Nie miałem lekcji, ale wcale mnie to nie cieszyło. Wiedziałem coś, czego inni nie wiedzieli. Problem w tym, że wiedziałem za mało. Chociaż nie... przecież to tylko zwykła bazgranina na szkolnej ścianie. Czym tu się martwić? Każdego dnia tysiące uczniów usiłuje zastraszyć swoich nauczycieli, najczęściej bez powodzenia. Tyle że w tym wypadku uczniowie nie zawinili. Są zbyt naiwni, by wymyślić coś tak skomplikowanego. Zbyt tępi do takiej finezji. Ignorancja łączy się z niewinnością.

Odkąd postanowiłem zostać księdzem, moje kontakty ze światem zewnętrznym uległy osłabieniu. Znalazłem nową rodzinę w murach seminarium, domach rekolekcyjnych, szkołach i parafiach. Moja prawdziwa rodzina żyła sobie spokojnie z dala od miasta, pracując w ogrodzie i na polu, odpoczywając przy pogawędkach z sąsiadami. Zapewne o tej porze, jak codziennie po południu, ojciec gra z przyjaciółmi w domino w kasynie, matka zaś siedzi przed telewizorem z moimi ciotkami i planują ekscytujący weekend w mieście na zakupach. Tam życie nie jest skomplikowane.

Niejeden raz prosiłem przełożonego o skierowanie na misję. Zawsze słyszałem tę samą odpowiedź: wszystko w swoim czasie. Nauczanie jest dziś dla jezuitów prawie jedynym źródłem dochodów. Darczyńcy trafiają się rzadko, a dotacje ze strony państwa niewyznaniowego zależą od politycznych rozgrywek. Bez pieniędzy nie ma misjonarzy, dlatego trzeba zajmować się intendenturą i pracą na zapleczu. Zresztą wcale się nie skarżę. Przynajmniej mam dużo wolnego czasu na medytacje i pasje. Sądzę, że nie wytrzymałbym długo z dala od ksiązek i matematyki.

Pokrzepiony tymi myślami doszedłem do wniosku, że ta historia z graffiti to pojedynczy incydent bez konsekwencji, wybryk jakiegoś zartownisia, który przekopiował znaki z mojej kartki znalezionej,

dajmy na to, obok drukarki. Postanowiłem kontynuować pracę z ostatnich tygodni. Za namową Joanny zmieniliśmy kierunek dotychczasowych rozważań, które nie przyniosły żadnych skutków, i zajęliśmy się steganografią. John cieszył się, że może wreszcie znaleźć coś istotnego w tym morzu tekstów bez znaczenia. Z góry zakładał, że to musi mieć związek ze starożytną astronomią. Próby udowodnienia, że to klasyczna kryptografia przez podstawienie, zostały wyczerpane. Algorytmy stały się tak skomplikowane, że problemem było samo ich zaprogramowanie. Nie wydawało się możliwe, by ktoś w XV wieku był w stanie odtworzyć najbardziej zawile schematy praktycznie z pamięci i bezbłędnie. Doskonałość jest jedną z najdziwniejszych cech *Manuskryptu Voynicha*. Chociaż trudno w to uwierzyć, księga nie nosi żadnych śladów poprawek ani skreśleń. Czyżby autor potrafił zakodować ręcznie ponad dwieście stron, nie myląc się ani razu? Taka doskonałość jest wręcz niemożliwa.

Dużo bardziej logiczna wydaje się teza, iż jeden lub kilka istotnych przekazów kryje się pod stosem śmieci. O ile łatwo jest pisać rzeczy bezsensowne, o tyle trudno się przy tym nie pomylić. To niewykonalne. Posadźmy małą przed maszyną do pisania i nauczmy ją uderzać w klawisze. Być może powstanie z tego powieść. Szansa minimalna, ale zawsze istnieje. A jednak mamy całkowitą pewność, że byłby to zwykły stek bzdur bez ładu ni składu. Tymczasem to, co możemy uważać za śmieci w *Manuskrypcie Voynicha* i co wydaje się zwykłym przypadkiem, wcale nie jest bezładem. Tutaj mała wiedziała, o co chodzi.

Miałem przed sobą „Scientific American” z artykułem Gordona Rugga, który przedstawia się jako doktor psychologii. Rugg opowiada się za tezą o fałszerstwie. Jak wynika z jego badań, autor lub autorzy księgi użyli szesnastowiecznej procedury generowania tekstów bez sensu. Posługując się tą metodą, Rugg wraz z pomocnikami stworzył strony bardzo podobne do tych z *Manuskryptu Voynicha*. Można było się tego spodziewać, zwłaszcza że my osiągnęliśmy rezultat prawie identyczny, a miejscami całkowicie identyczny z oryginałem. Był tylko jeden problem, a mianowicie: nasz model kodowania tek-

stu-śmieciami nie odtwarzał wszystkiego. I to coś, co pozostawało niepowtarzalne, nie dawało nam spokoju. Tam było coś oprócz śmieci. Igła w stogu siana, diament w błocie.

Podekscytowanie Joanny wynikało z faktu, że argumenty brytyjskiego psychologa pokrywały się częściowo z naszymi. Artykuł opublikowany przez Rugga w prestiżowym magazynie wytrącał nam broń z ręki. Sceptycy zaczęli dominować na forum Listy Voynicha. Niektórzy proponowali od razu przerwać i zrezygnować z dalszych badań. Inni zachęcali, by godnie dokończyć rozpoczęte działania, wspierając Rugga w pracy nad potężnym kodeksem, i umieścić ten kodeks w internecie, podobnie jak stało się ze znanym Projektem SETI* albo badaniami sekwencji genetycznych. Świeżo zdobyta popularność manuskryptu przyciągnie setki ochotników, którzy w martwym czasie swoich komputerów wykonają nowe algorytmy. Kilka miesięcy potem – mówiono – wszystko będzie gotowe. Użytkamy dokładną kopię *Manuskryptu Voynicha*, ale nie tłumaczenie.

* SETI – angielski skrót od Search for ExtraTerrestrial Intelligence, czyli program Poszukiwania Pozaziemskich Cywilizacji.

Żadne z nas – ani Joanna, ani John, ani ja – nie było zainteresowane przystąpieniem do tych nowych projektów. Może dlatego, że mieliśmy większą wiedzę niż inni, a może po prostu uważaliśmy nasz model za lepszy niż model Rugga. Mniej skomplikowany i zapewniający lepsze rezultaty. Jednocześnie – i to jest najważniejsze – nie mogliśmy uwierzyć, że *Manuskrypt Voynicha* zawiera zwykłe bazygry, ciąg nedorzecznych znaków wymyślonych w celu oszukania niemądrego króla. Publikując swój model, Rugg pozbawił nas paru atutów, lecz miało to również swoje dobre strony. Nasza teza nabiera większego znaczenia przez sam fakt, iż ktoś inny, w sposób całkowicie autonomiczny, rozwija taką samą lub zbliżoną teorię bełkotliwego tekstu. Inaczej mówiąc: tworzy się grupa ludzi myślących tak samo lub podobnie.

Znowu pomyślałem o małpie maszynistce. Choćby obżerała się bezustannie bogatymi w fosfor platanami, nigdy nie stworzy czegoś tak regularnego jak struktura pisma widocznego na stronicach ma-

nuskryptu, to oczywiste. Nie mogłaby na przykład napisać – dwa lub więcej razy z rzędu – najczęściej występujących słów. Rugg był tego samego zdania. Jak powstało takie *qokedy qokedy dal qokedy qokedy*? Nawet gdyby w maszynie były sprawne tylko klawisze z drugiego rzędu, a cała reszta nie działała, małpa nie odtworzy mojego ulubionego zdania: *la alfalfa dañ a lasjakas halagadas*, choćby miała na to tysiąc lat. W żadnym ze znanych języków nie istnieje taka powtarzalność słów w zdaniu. Ani przypadkowa, ani celowa. Oprócz powtarzalności w „voynichiańskim” występuje zadziwiająco regularny schemat w obrębie tych samych słów. Jedne sylaby pojawiają się tylko na początku. Inne – na końcu albo na początku, ale nigdy w środku. Takich kombinacji jest mnóstwo.

Zmęczony wypróbowywaniem rozmaitych schematów, odłożyłem długopis i poszedłem spać. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Ale nie sądzę, by podobało mu się, że jego kapłani spędzają noce nad hieroglifami.

5

– Simón, zostań jeszcze chwilę.

Przełożyłem ogłoszenie wyników klasówki na dzień następny. I tak już straciliśmy dużo czasu w związku z aferą graffiti i byliśmy opóźnieni z programem. Na dodatek zbliżało się Boże Narodzenie – dla uczniów ferie, a dla mnie dni skupienia. Nikt z nas nie będzie miał czasu na fizykę.

Uczniowie wyszli na dziedziniec, robiąc jak zwykle harmider.

– Porozmawiajmy o twojej klasówce.

– Aż tak źle? – spytał zaskoczony Simón. Zawsze był dość pewny siebie, ale na myśl o tym, że mógł nie zaliczyć, stracił kontenans.

– Nic podobnego! – zaprzeczyłem.

– Przysięgam, że nie ściągałem.

Oczywiście, że nie ściągał. Nie miałby od kogo.

– Przecież wiem. Doskonała praca. Na dziesięć punktów. – Uśmiechnąłem się.

– Dziękuję – wybąkał.

– Chciałbym, żebyś wiedział, że po raz pierwszy od dwóch lat stawiam ocenę celującą.

Simón wpatrywał się w podłogę, jakby miał poczucie winy. Potem podniósł oczy i złożył mi niezwykle propozycję.

– Proszę obniżyć mi do ośmiu, ojczcie.

– Co? – zdziwiłem się.

– Osiem wystarczy. A jeszcze lepiej siedem. Jajogłowych nie wpuszcza się na imprezy – dodał.

Westchnąłem. Zdaje się, że jajogłowy znaczy kujon. Na szczęście pamiętam etymologię tego słowa jeszcze z czasów studenckich, dlatego rozumiem, co Simón chciał powiedzieć.

– W porządku. Wobec tego teraz postawię ci siedem z plusem dla

zmyłki. Ale na koniec roku dostaniesz dziesięć punktów, bo tak ci się należy. To jasne – skomentowałem.

– Jeszcze raz dziękuję. – Odetchnął z ulgą. – A propos, doszły do ojca nowe wiadomości o zbrodniarzu?

– Mówisz o Keplerze?

– Tak, sprawdziłem w internecie. Mój tata pomógł mi w angielskim. Znaleźliśmy ciekawe rzeczy.

– Naprawdę?

Ten chłopak wciąż mnie zaskakiwał.

– Mogę opowiedzieć, jeśli ojciec chce. Ale najpierw muszę się wysikać.

Pobiegł w stronę toalet. Nie zatrzymywałem go. Bo jeśli jest coś bardziej upokarzającego dla nastolatka niż stopień celujący, to na pewno zasikane majtki. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów Tychona.

W gruncie rzeczy Simón nazywał się Simón, bez akcentu graficznego. Jego ojciec był Amerykaninem i pracował w konsulacie. Matka, Hiszpanka, przychodziła zawsze sama na zebrania rodziców. Nigdy nie widziałem ojca Simóna, zresztą nie zależało mi na tym. Wyobrażam sobie, że czuł logiczną awersję do szkoły prowadzonej przez hiszpańskich księży. Decyzję, gdzie kształcić dzieci, podjęła z pewnością jego żona.

V

Tego samego dnia, zaraz po obiedzie, zacząłem robić notatki na temat Keplera. Dotyczyły nie tyle jego odkryć i spraw uniwersalnych, ile życia osobistego. Urodził się 27 grudnia 1571 roku w domu dziadka w Weil der Stadt, małym miasteczku koło Stuttgartu. Dokładnie o wpół do trzeciej nad ranem. Do astrologii przywiązywano naówczas wielką rolę i traktowano z powagą jak dyscyplinę naukową – rzecz nie do pomyślenia w naszych czasach – tak że tego rodzaju szczegóły odnotowywano nadzwyczaj starannie. Sam Kepler opracował po latach swój horoskop, czyli kartę życia albo astralną, bo tak to się nazywało. Myślę, że trzeba czegoś więcej niż odwagi, by

zdobyć się na takie dzieło.

W grudniu tego samego roku, gdy urodził się Johannes Kepler, Tycho Brahe skończył dwadzieścia pięć lat. Dzieliło ich całe pokolenie, toteż wzajemne relacje, kiedy się poznają, będą przypominać układ mistrz-uczeń, pełen miłości i nienawiści ojcowsko-synowskiej, lecz na pewno nie przyjaźń czy choćby koleżeństwo mężczyzn w tym samym wieku. Różnili się nie tylko wiekiem, lecz jeszcze bardziej pozycją społeczną.

Tycho był częścią wpływowej, bogatej rodziny duńskiej, której członkowie mogli pozwolić sobie na taki luksus jak utrata nosa w honorowym pojedynku i zastąpienie go drogą złotą protezą.

Natomiast Kepler wywodził się ze zubożałej szlachty niemieckiej, i to bardzo zubożałej. Dziadek Sebald, głowa rodzinnego klanu, zachował co prawda dom i prestiż, ale został prawie bez pieniędzy. Ojciec Heinrich był wedle słów własnego syna niemoralnym brutalnym, kłótliwym, występny i źle wychowanym. Bardziej wyrozumiałą był Kepler w swoich pamiętnikach wobec matki Kathariny, którą z czasem uratuje od stosu inkwizycji. Wiosną 1575 roku Katharina zostawiła małego Johanna i jego młodszego brata pod opieką dziadków, a sama poszła szukać męża, który po kolejnej awanturze opuścił dom i zaciągnął się do wojska najemnego w poszukiwaniu pieniędzy i szczęścia, a na pożegnanie zbił żonę na kwaśne jabłko. W tym czasie Kepler zachorował na ospę, co oznaczało niemal pewną śmierć. Przeżył, ale potem już zawsze był słabego zdrowia i miał kłopoty ze wzrokiem. Nikt nie dałby złamanego grosza, że ten zezowaty chłopiec zostanie jednym z największych astronomów w historii.

Rodzinne miasteczko Keplera, Weil der Stadt, miało status wolnego miasta cesarskiego, czyli pewną autonomię w ramach Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Ten pompatyczny tytuł zdaje się wskazywać na dziedzictwo lub pozostałości po dawnym Imperium Rzymskim, niemniej jednak nie było to państwo święte ani rzymskie, ani prawdziwe imperium. W rzeczywistości Rudolf II rządził (przy czym słowo „rządzić” jest tu sporą przesadą) szeregiem księstw, wolnych

miast, biskupstw i innych terytoriów, z których w końcu powstały nowoczesne Niemcy, Austria i Czechy, a także część obecnej Polski, Francji i Holandii. Europa, otoczona ze wszystkich stron przez dawne imperium hiszpańskie, stanowiła skomplikowane puzzle wojen i religii, interesów politycznych i kościelnych. Jako wolne miasto Weil der Stadt posiadało specjalne przywileje handlowe i podatkowe. Lojalne wobec cesarskiej rodziny Habsburgów było katolicką wyspą na morzu protestantyzmu, gdyż cała okolica, włącznie z pobliskim Leonbergiem, gdzie Kepler dorastał, należała do wojowniczego księstwa Wirtembergii, w którym zwyciężyła reformacja. Kepler znalazł się między młotem a kowadłem i tak już miało zostać do końca jego życia. Zaledwie szesnaście lat przed jego przyjściem na świat, w 1555 roku, podpisano pokój augsburski, który rozstrzygał salomonowo problem religijny: *Cuius regio, eius religio*. Innymi słowy, władca danego terytorium sam wybierał religię dla swoich poddanych. W przypadku Keplerów sytuacja była jasna: wyznawali luteranizm. Jako pobożni luteranie nie mieli łatwego życia w mieście oficjalnie katolickim. Zwłaszcza że kontrreformacja gwałtownie przybierała na sile. O, nareszcie coś o jezuitach...!

V

Historycznie, ślady *Manuskryptu Voynicha* prowadzą do Towarzystwa Jezusowego. Z jakiegoś tajemniczego powodu my, jezuitci, mamy dar bilokacji. Może stąd bierze się nasze powołanie misyjne, potrzeba bycia w różnych miejscach naraz, głoszenia nauk Chrystusowych w każdym zakątku świata.

Manuskrypt Voynicha pojawia się współcześnie pod koniec 1912 roku, kiedy Voynich odnajduje go w bibliotece naszego domu w Mondragone pod Rzymem. Prawdopodobnie księga znalazła się tam dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej za sprawą jednego z naszych braci Athanasiusa Kirchera, który żył w latach 1601-1680. Kircher otrzymał ją od Marcusa Marciego. Ten nie miał co prawda święceń jezuitckich, lecz był ściśle związany z naszym zakonem. Marci był lekarzem i wykładowcą Uniwersytetu Praskiego. W 1638 roku odbył

podróż do Rzymu, gdzie spotkał Kirchera, wielkiego mędrca epoki. Ich przyjaźń przetrwała dwadzieścia pięć lat i pozostawiła po sobie obfitą korespondencję. Ostatni list Marciego do Kirchera zachowany między kartkami *Manuskryptu Voynicha* obecnie znajduje się w bibliotece Yale.

Kircher, Niemiec z pochodzenia, spędził prawie całe życie w Rzymie. Podobnie jak Kepler, Tycho czy sam Rudolf II interesował się każdą nowością pod słońcem i jeszcze dalej. Profesor matematyki w Collegium Romanum, po ośmiu latach pracy dydaktycznej zajął się wyłącznie nauką. Odwiedzali go liczni naukowcy, duchowni i członkowie królewskich rodów z całej Europy, przywożąc różne książki, wynalazki, dziwy przyrody i przyrządy mechaniczne. Słynne praskie muzeum cesarza Rudolfa ożyło po latach w Rzymie dzięki temu mądrymu jezuitcie. Bez karłów i wielkoludów muzeum Collegium Romanum, zwane również Kircherianum, stało się jedną z największych rzymskich atrakcji XVII wieku. Niemniej jednak ani Rudolf II w Pradze, ani Athanasius Kircher w Rzymie nie wymieniają wśród skarbów swoich muzeów księgi, która z czasem stanie się znana jako *Manuskrypt Voynicha*. Muzeum Kircherianum otwarto dla publiczności w roku 1651. Księga pojawia się w Rzymie piętnaście lat później, w roku 1666, wraz z ostatnim listem Marcusa Marciego do przyjaciela jezuitę. Po śmierci Kirchera w 1680 roku kolejni kustosze muzeum opracowywali szczegółowe katalogi zbiorów. W żadnym z nich nie ma wzmianki o *Manuskrypcie Voynicha*.

Nagle sytuacja się komplikuje. W 1773 roku następuje kasata Towarzystwa Jezusowego, co prowadzi do skonfiskowania wielu naszych dóbr. Lazzari, bibliotekarz Collegium Romanum, ratuje przed rozproszeniem tysiące ksiąg, symulując sojusz z jednym z głównych prowodyrów ruchu przeciwko jezuitom, kardynałem Zeladą, który zabiera część zbiorów do Toledo. Podczas inwazji napoleońskiej archiwum strzeże ojciec Pignatelli, chroniąc je przed grabieżą. W 1814 roku, po ostatecznej klęsce Napoleona, następuje reaktywizacja zakonu i zaczyna się proces odzyskiwania dóbr zakończony w 1824 roku. Wracają do nas muzea, biblioteki i nawet

Obserwatorium Astronomiczne. Nadal jednak nic nie wiadomo o miejscu ukrycia *Manuskryptu Voynicha*, choć prawdopodobnie przez cały ten czas pozostawał w Rzymie.

Straciłem już kilka wieczorów, próbując streścić na forum Listy Voynicha zmienne koleje losu mojego zakonu. Nasza reguła nie jest hermetyczna ani sekretna czy coś w tym rodzaju. Dostęp do naszych archiwów nie stwarza większych problemów, można skorzystać z nich w internecie. Nie kieruje nami żądza władzy ani chęć zysku, nie mamy nic do ukrycia. W przeciwnym razie mnie by tu nie było. Gdyby bracia zbywali milczeniem moje pytania, już dawno opuściłbym ich szeregi. Historia jezuitów to nie powieść o iluminacji i różokrzyżowcach.

W historii jezuitów występują ciekawe koneksje i relacje. Podobno sam Ignacy Loyola, późniejszy założyciel Towarzystwa Jezusowego, towarzyszył w młodości królewskiemu skarbnikowi Korony Kastylii w wyprawie do Tordesillas, gdzie miał poznać królową Joannę znaną pod przydomkiem Szalona. Joanna I Kastylijska była prababką Rudolfa II, głównego protagonisty opowieści o *Manuskrypcie Voynicha*, mecenasa Keplera i Tychona. Niewykluczone, że Rudolf po niej odziedziczył skłonność do depresji, dziwactw i szaleństwa. Zresztą wcale nie trzeba sięgać tak daleko, by dojść do wniosku, że miał to już we krwi.

Nie sposób opowiedzieć historii Towarzystwa Jezusowego, nie wspominając choć trochę o społeczeństwie tej epoki. Były to skomplikowane czasy dla Rzymu w związku z niedawną schizmą Marcina Lutra. Papież Leon X obłożył go klątwą i zachęcał Karola V – syna Joanny Kastylijskiej, świętego cesarza rzymskiego, króla Hiszpanii i Neapolu, władcy Niderlandów, który był, przynajmniej z pozoru, pobożnym katolikiem – do wystąpienia przeciwko Lutrowi i jego zwolennikom. Cesarz Karol zgodził się ich pojmać i uwięzić jako heretyków, lecz świadom wielkiej liczby konwertytów w Niemczech i ryzyka, jakie stanowi to wyzwanie, zażądał w zamian od papieża pomocy w przejęciu francuskich posiadłości w Italii. Odnosił sukcesy w bitwach, dopóki niespodziewane zdarzenie nie stanęło cieniem na

jego drodze: Leon umarł, a jego następca, bojaźliwy Klemens VII, opowiedział się po stronie Francuzów. To rozdrażniło Karola. Skoro papież chciał ukarać luteranów, to teraz luteranie ukarzą papieża. Wojska brata Karola, Ferdynanda z Austrii, złożone w większości z okrutnych i krwawych żołnierzy fortuny, takich jak ojciec Keplera, wkroczyły do Rzymu dowodzone najpierw przez księcia Burbonii, a potem – kiedy ten zginął podczas oblężenia – przez Juana de Urbinę. Represje były straszliwe. Żołnierze torturowali, łupili i zabijali każdego napotkanego człowieka. Jeśli to był ksiądz, tym gorzej dla niego: rozplatywali mu brzuch i rozrzucali wnętrzności po ulicach. Luteranie zachowywali się jak szaleńcy zaślepieni zacięłą nienawiścią. Wywlekali chorych ze szpitali i wrzucali do Tybru. Zmuszali katolików do odprawiania heretyckich mszy, zabijając tych, którzy odmawiali podawania komunii osłom. Bezczęścili święte relikwie, grali w piłkę głową świętego Jana. Mężczyzn wieszali za genitalia, a kobiety i zakonnice – zwłaszcza te ostatnie – były gwałcone. Wieczne miasto Rzym zdawało się mieć ku końcowi. Mieszkańcy w większości pomordowani lub ciężko ranni, sklepy pozamykane, ulice pełne nieoprzebanych trupów – tak mijała jego sława. Tymczasem w 1534 roku umiera w gorączce Klemens VII. Miasto powoli odżywa. Nowy papież Paweł III zdobywa pieniądze na opłacenie artystów odbudowujących jego zamki i pałace. Michał Anioł maluje *Sąd Ostateczny* w Kaplicy Sykstyńskiej. Dziesięć lat po tragedii składa wizytę w Wiecznym Mieście cesarz Karol V, który przezornie pozostawał w cieniu przez ten czas.

Karol V jest przyjmowany ze wszystkimi honorami przez liżący swoje rany Rzym. Paweł III przywraca miastu renesansowy splendor, ale coś już się zmieniło nieodwracalnie. Rzym rodzi się na nowo, a wraz z nim budzi się duch odnowy. Ten sam Paweł III zatwierdza w 1540 roku nowo powstałe Towarzystwo Jezusowe, którego członkowie ślubują synowskie oddanie osobie Ojca Świętego. I zwołuje sobór trydencki, sytuując Kościół katolicki na drodze kontrreformacji. Kończy ze starymi demonami, sprzedają odpustów i przywilejów duchowych. Argumenty leżące u podłoża buntu Lutera zostają wresz-

cie uznane, ale – ciekawa rzecz – po to, by go zwalczyć. Wraca zainteresowanie Nowym Testamentem i pismami ojców Kościoła. Luter osiągnął to, czego chciał, ale jest już za późno.

Po śmierci Pawła III w 1550 roku na tron papieski wstępują kolejno Juliusz III i Paweł IV. Ten ostatni, gorący zwolennik inkwizycji, opowiada się za twardą linią kontrreformacji. Nienawidzi nagości, wysyła na stos homoseksualistów, żąda zniszczenia fresków Michała Anioła. Kontynuatorem polityki twardej ręki i wstrzeźliwości będzie później Pius V, były dominikanin podobnie jak Paweł IV. Wygoni prostytutki z miasta, a Żydów z Państwa Papieskiego, ustanowi indeks ksiąg zakazanych. Jego następca Grzegorz XIII pokieruje Kościołem od 1572 do 1585 roku. W tym okresie rodzi się Kepler, Tycho rozpoczyna swoje obserwacje, a cesarzem Świętego Imperium Rzymskiego zostaje Rudolf II. Papież Grzegorz przeprowadza reformy w Kościele i reformę kalendarza (inspiratorem tej ostatniej był między innymi Kopernik) zwane od jego imienia gregoriańskimi, zakłada Collegium Romanum, wielką szkołę jezuicką, której absolwenci pójdą krzewić wiedzę w najodleglejszych zakątkach świata, nawet w Chinach i Japonii, a która po latach przekształci się w Uniwersytet Gregoriański. Do Collegium Romanum zajrzy niekiedy Galileusz i zyska tam zarówno prawdziwych przyjaciół, jak i zapiekłych wrogów. Olbrzymi, na których w przyszłości oprze się Newton, przebywali w tych samych miejscach w tym samym czasie.

6

– Héctorze! Masz gościa w recepcji.

Telefon od Matíasa obudził mnie rano głośnym brzęczeniem. A tak chciałem dłużej pospać, lekcje zaczynałem dopiero o dwunastej, a w nocy długo pracowałem. Szybko umyłem twarz w zimnej wodzie – nie dla orzeźwienia, tylko z konieczności, gdyż nasz stary bojler był zepsuty – włożyłem czystą koszulę, przyczesalem włosy i zszedłem na dół. Nie miałem pojęcia, kto to może być. Może jakaś matka wstąpiła po drodze na zakupy, żeby usprawiedliwić synka, który został w domu z powodu grypy albo złamał sobie obojczyk w czasie jazdy na rowerze, albo po prostu ma kaca po wczorajszej imprezie. Rzuciłem okiem przez oszklone drzwi i potwierdziły się moje przypuszczenia. Stała tam kobieta mniej więcej trzydziestopięcioletnia z wielką czarną walizką, potwornie ciężką, jak przekonałem się chwilę później. Wysoka brunetka, trzeba przyznać, że bardzo ładna.

– Dzień dobry pani. Z kim mam przyjemność?

Ściskając jej dłoń, uzmysłowiłem sobie, że przecież nikt nie wybiera się do supermarketu z walizką. Po niebie przetoczył się grzmot, więc nie czekając na odpowiedź, zaproponowałem:

– Proszę do środka, bo zmokniemy.

Kobieta nie odezwała się jeszcze ani słowem. Wydawała się onieśmielona. Albo wystraszona. Być może postanowiła odejść wreszcie od męża i przyszła zabrać ze szkoły syna, żeby razem wyjechać w nieznaną. Mimo nieprzespanej nocy moja wyobraźnia pracowała pełną parą. Dałem się ponieść marzeniom.

– Cześć, Hector. Jestem Waldo – odezwała się słodko z meksykańskim akcentem.

Drugi grzmot, jeszcze bardziej ogłuszający niż pierwszy, był jak najbardziej na miejscu w tym momencie. Rozszalała się gwałtowna

ulewa, a ja potrzebowałem prysznic. Byłem gotów wyjść na ulicę, żeby otrząsnąć się z osłupienia.

– Waldo? Z Listy Voynicha? Z Meksyku?

– Tak – odpowiedziała twierdząco na wszystkie trzy pytania naraz – a naprawdę nazywam się Juana Pizarro. Waldo to imię mojego komputera, ochrzcił go tak mój ojciec, który sam ma na imię Waldo.

Byłem oszołomiony. Ona i ten głupek to jedna osoba? No cóż, parytet jest obecnie w modzie. Nie mogła uprzedzić, że przyjeżdża? Zrobiłem dobrą minę do złej gry. Postanowiłem być miły, potem się nad tym zastanowię.

– Cieszę się, że cię widzę! – zawołałem z fałszywym uśmiechem, starając się, by wypadł pięknie.

– Znasz mnie jeszcze pod innym imieniem. Na Liście Voynicha przyjąłem nick Joanna.

Trzeci grzmot. Co za doskonała synchronizacja! A może ta kobieta jest zjawą z zaświatów i ma na swoje rozkazy pioruny? Przetarłem oczy wierzchem dłoni, rezygnując z dalszych pytań, dopóki całkiem się nie rozbudzę.

– Chodźmy, Juano – powiedziałem, biorąc ją pod ramię. – Opowiesz mi wszystko przy kawie w pokoju gościnnym. Na spokojnie i bez tych piorunów.

W pokoju panował przytulny nastrój. Matías włączył z samego rana dwa elektryczne kaloryfery, żeby biedni nauczyciele nie marzli w tej ogromnej sali wyposażonej w stoły, krzesła i fotele równie stare jak sam gmach liczący sobie prawie sto lat. Trzeba uważać zwłaszcza na drewniane krzesła, w większości stoczone przez robaki. Wybrałem dla Joanny albo Juany jedno z najlepszych, wyglądało w miarę solidnie.

– Zastanawiasz się pewnie, co ja tu robię.

Owszem, zgadła. Potwierdziłem skinieniem głowy, włączając ekspres Melitta. Wyjąłem stary filtr, włożyłem nowy i nasypałem kawy. Przez kilka minut słychać było tylko bulgotanie wrzącej wody. Byliśmy sami w cichej sali, dzieciaki siedziały w klasach, a tranzystor Matiasa, Bogu dzięki, nie miał baterii. Mój własny akumulator

ładował się powoli w miarę rozmowy i picia kawy.

Po dwóch filiżankach byliśmy już dobrymi znajomymi. Dowiedziałem się, że Juana używa dwóch, trzech, a nawet czterech różnych imion, żeby zalogować się na forum Listy Voynicha. Z tego, co mi powiedziała, inni robią tak samo. Tylko ja byłem naiwny jak dziecko we mgle, bo używałem ciągle jednego. Dała mi to odczuć, ale zrobiła to uprzejmie i delikatnie. Rozmnożenie bytów jest najprostszą metodą wspierania lub zdyskredytowania innych, a nawet samego siebie. John też tak robi, powiedziała. Okazuje się, że nasz wspólny przyjaciel Anglik zgłosił równoległe drugą teorię dotyczącą *Manuskryptu Voynicha*, tak zwariowaną, że woli się do niej nie przyznawać, lecz jednocześnie tak sugestywną, że nie chce z niej zrezygnować. To jedna z przyczyn wizyty Juany u mnie. Druga wbiła mnie w fotel z wrażenia, co zbiegło się – jakżeby inaczej – z nowym grzmotem.

– Grożono mi śmiercią.

Nie wiedziała dlaczego. Nie przychodził jej do głowy żaden powód. Ale była bardzo wystraszona. Postanowiła nam o tym powiedzieć, to znaczy Johnowi i mnie. No i musiała znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, żeby przeczekać burzę. Parsknęła śmiechem, pokazując na okno. Oczywiście nigdy nie była w Szwecji, nie pracowała dla wielonarodowego koncernu i nie miała dzieci. Wszystko, co nam pokazywała przez Webcam, to były efekty specjalne. Owszem, angielski znała doskonale dzięki studiom na uniwersytecie amerykańskim. Była z bogatej rodziny i nie musiała pracować. Ostatnie trzy lata poświęciła prawie całkowicie na próby rozszyfrowania *Manuskryptu Voynicha*.

– Kiedy e-maile z groźbami zaczęły przychodzić również na mój prywatny adres znany tylko najbliższemu znajomym, przestraszyłam się nie na żarty. Może to jakiś wariat albo dowcipniś, ale sporo o mnie wie. Dużo więcej niż ty i John. I to wie takie rzeczy, które trudno wymyślić na poczekaniu.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Do tej pory była poważna i zasępiąona.

– Ty też coś ukrywałeś. Dlaczego nie nosisz sutanny?

– Nie szata zdbi człowieka, jak mówi stare przysłowie. – Od-

wzajemniłem jej uśmiech.

- Podobasz mi się, Héctorze. Inaczej sobie ciebie wyobrażałam.
- I vice versa.
- Uważasz mnie za histeryczkę?

Wstałem z krzesła, podszedłem do okna i gestem zaprosiłem, żeby się zbliżyła. Przestało padać. Pokazałem na mur z graffiti przy szkolnym dziedzińcu.

- Czytaj.

Juana spojrzała uważnie i zaczęła sylabizować. Miała większą wprawę w „voynichiańskim” niż ja.

- Gniew Achi...

– Gniew Achillesa spadnie na ciebie – pomogłem jej skończyć. – Zanim tu się zjawiłaś, nie zastanawiałem się, co to może znaczyć, ale teraz już wiem.

Rozległ się nowy grzmot. Juana pobladła na twarzy, ale w porę się zreflektowała.

- Przecież burza minęła!

– To tylko nasi uczniowie – wyjaśniłem. – Właśnie zaczyna się przerwa, zaraz zobaczysz ich na dziedzińcu.

Tu na górze byliśmy bezpieczni.

v

Juana wynajęła pokój w pobliskim hotelu wielogwiazdkowym. Wstąpiła mnie odwiedzić po drodze na Wyspy Kanaryjskie, gdzie miała spotkać się z Johnem. Nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy. Oczywiście John wiedział, że przyjeżdża i kim naprawdę jest Joanna, tylko ja okazałem się taki niedomyślny. Poczulem się jak kamienny gość z przyklejoną do czoła kartką z napisem „głupiec”. Było jasne, że tych dwoje łączy coś więcej niż przyjaźń. Nie miałem nic przeciwko temu, tylko po co zadali sobie tyle trudu z ukrywaniem tego przede mną. Regularnie otrzymywałem od nich wiadomości e-mailowe, lecz nie wiedziałem, że John był w ubiegłym roku latem w Meksyku, a Juana często jeździła do Londynu.

Podaję, że Juana wyznała mi ich tajemnicę tylko dlatego, że

wystraszyła się gróźb. No i może było jej trochę przykro, że przeznaczili dla mnie w naszym trio taką drugorzędną rolę. Teraz namawiała mnie, żebym pojechał z nią na Teneryfę i poznał wreszcie Johna. Pod koniec miesiąca zaczyna się tam sezon obserwacji astronomicznych, ale John przyjeżdża wcześniej, żeby spędzić z nią krótkie wakacje. Zaplanowali to spotkanie z myślą o mnie, żebym nie musiał wyjeżdżać z kraju. Zapewniają mi wygodne lokum w willi. Wszystkie wydatki pokrywa prawdziwy Waldo, czyli ojciec Juany. Znowu poczułem się jak ostatni głupiec. Grzecznie odmówiłem, podając tysiące mniej lub bardziej przekonujących powodów, chociaż wystarczyło powołać się na moje obowiązki wobec uczniów. Byłem tym wszystkim tak zdegustowany, że chętnie zrezygnowałbym z pracy zespołowej nad *Manuskryptem Voynicha*, gdyby nie ciekawość, co też ci dwoje odkryli. Już wcześniej podejrzewałem, że John nie o wszystkim pisze. Aluzyjne uwagi Juany potwierdziły tylko to wrażenie. Mimo to nie chciałem im przeszkadzać w romantycznej schadzce. Po co im trzeci do tanga? Może kiedyś udzielię im ślubu, jeśli mnie o to poproszą. Teraz wystarczy, jak będziemy porozumiewać się, jak dotąd, za pomocą poczty elektronicznej czy nawet przez telefon, ale tylko w sprawach ściśle związanych z naszymi badaniami. Zastanawialiśmy się z Juaną, czy nie należy powiadomić policji o groźbach, których – jak dotąd – w naszym trio nie otrzymał jedynie John. Ale doszliśmy do wniosku, że na razie nie ma takiej potrzeby. Policjanci i tak mają dużo pracy w związku z rosnącą sławą internetu. Muszą namierzać pederastów, piratów, terrorystów, oszustów, samobójców i neonazistów. W końcu to tylko jedna pomazana ściana, którą Matías jeszcze tego samego dnia odmalował na biało. Zniknął dowód, a wraz z nim rozwiały się nasze zmartwienia. Wszystko wróciło do normy.

v

– Proszę zobaczyć, co ściągnęliśmy z internetu.

Simón został w klasie po dzwonku, zamiast pograć w piłkę z kolegami w czasie przerwy. To ciekawe, że mimo tylu kopniaków

skórzana piłka nie pękła. Podobna myśl przyszła mi do głowy, kiedy patrzyłem na tekst przyniesiony przez Simóna. Był to przedruk artykułu naukowego, który ukazał się w duńskim czasopiśmie niecały rok temu. Autorzy mieli czysto nordyckie nazwiska: Petersen i Jacobsen, i byli dyrektorami, pierwszy reprezentował muzeum nauk przyrodniczych, a drugi planetarium. Notki biograficzne i obfita bibliografia podkreślały wartość publikacji. Sam tytuł był wymowny: „How Tycho Brahe Really Died”, „Jak naprawdę umarł Tycho Brahe”. Simón nie miał cierpliwości czekać, aż skończę czytać, i zaczął streszczać z wielką precyzją.

– Podobno pęcherz nigdy nie pęknie, nawet jeśli komuś bardzo chce się sikać.

Podczas gdy Simón kontynuował streszczenie, przypomniałem sobie, że faktycznie, pierwsze piłki robiono ze zwierzęcych pęcherzy nadmuchiwanym powietrzem.

– Znaczący, Tycho umarł na co innego – mówił dalej – a że objawy były podobne jak przy zatruciu, ludzie zaczęli coś podejrzewać.

Szczegóły agonii Tychona Brahego znane są z opisów Keplera oraz doktora Johanna Jesseniusa, który był lekarzem astronoma: silne bóle, zaburzenia w pracy układu moczowego, uremia, bezsenność, gorączka i majaki. Takie same symptomy występują przy zatruciu metalami ciężkimi albo pewnymi roślinami. Motywy mogły być polityczne lub religijne – dodawali autorzy – tym bardziej iż katolikom i szlachcie przeszkadzało, że ten duński protestant ma taki wielki wpływ na słabego katolickiego cesarza Rudolfa II.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym przeprowadzono autopsję – ciągnął Simón. – W grobowcu nie znaleziono nosa ani żadnych kamieni, które mogłyby pochodzić z pęcherza.

Simón nie słyszał o tej młodzieńczej przygodzie Tychona ze szpadą i był zachwycony, gdy mu o niej opowiedziałem. Nie spodziewał się po tym wielkim uczonym zachowania godnego D'Artagnana. Najpierw poddano badaniom medycznym resztki brody astronoma. Podobno grób Tychona w Pradze został otwarty w 1901 roku podczas obchodów trzechsetnej rocznicy jego śmierci. Władze

zamierzały odrestaurować grobowiec, a przy okazji sprawdzić, czy zwłoki są tam nadal, gdyż krążyły pogłoski o ekshumacji w 1620 roku, kiedy katolicy zawładnęli Czechami. Na szczęście szczątki doczesne Tychona Brahego były na swoim miejscu obok prochów kobiety, prawdopodobnie jego żony Kristine, która zmarła kilka lat po nim. Wtedy to pobrano fragmenty całunu i brody, a dziewięćdziesiąt lat później Czeskie Muzeum Narodowe przekazało je w darze rządowi duńskiemu. W Kopenhadze próbki natychmiast zanieśono do Instytutu Medycyny Sądowej na stołecznym uniwersytecie, by rzucić trochę światła na stare plotki o zamordowaniu bohatera Danii. Za pomocą spektrometru absorpcyjnego zmierzono stężenie arsenu, ołowiu i rtęci.

– Miał w sobie tyle ołowiu, jakby próbowano go zabić z karabinu, ale strzały były niecelne – zażartował chłopiec.

Analiza włosów z brody wskazywała na wyjątkowo wysoką zawartość ołowiu, co otwierało pole podejrzeniom o morderstwo przez otrucie tym metalem. Jednak wtedy taką ewentualność odrzucono, ponieważ często znajdowano zwłoki z dużym stężeniem ołowiu, który w tych czasach był powszechnie używany do wyrobu naczyń kuchennych, rur, a nawet do słodzenia wina. Poza tym stężenie ołowiu w brodzie mogło powstać już po śmierci, jako że trumna była z ołowiu.

– Badania nie wykazały natomiast jakiegokolwiek szczególnie wysokiej obecności arsenu, klasycznej trucizny – dodał.

– Czyżby użyto rtęci, Sherlocku?

– No właśnie, ojcze Watsonie – odparł Simón z porozumiewawczym uśmiechem. – Symptomy odpowiadają dokładnie objawom zatrucia rtęcią. Zdaje się, że Tycho, oprócz tego, że był astronomem, zajmował się również alchemią.

Istotnie, Tycho poznał chyba wszystkie dyscypliny ludzkiej wiedzy, więc alchemia czy medycyna nie były mu obce. Interesował się metodą Paracelsusa, szesnastowiecznego lekarza o wielce nieortodoksyjnych metodach pracy. Tycho sam wytwarzał swoje leki, wiele z nich przepisywał Rudolfowi II na poprawę nastroju i przeciwko depresji. Rtęć była bardzo dobrze znanym składnikiem różnych

lekarstw i nie mogło jej zabraknąć w laboratoriach Tychona. Całkiem możliwe, że długotrwałe przyjmowanie leków opartych na rtęci spowodowało wysokie stężenie tego metalu, wykryte później w analizach medycyny sądowej. Czy to mogło zabić Tychona?

Simón kontynuował:

– Ponieważ nie wiadano, czy rtęć była ostateczną przyczyną śmierci, pobrano więcej próbek włosów Tychona. Tym razem były to włosy z cebulkami, toteż próbowano ustalić na podstawie porostu włosa, jak długo przed śmiercią nastąpiło spożycie trucizny. W 1996 roku użyto do tego jakiegoś specjalnego aparatu na Uniwersytecie Lund w Szwecji.

Czytałem, że chodziło o bardzo zaawansowane badania oparte na metodzie PIXE*. Wnioski były na pozór jednoznaczne: Tycho Brahe połknął duże ilości rtęci na dzień przed swoją śmiercią, co z pewnością było przyczyną zgonu. Powód? Prawdopodobnie to, co dziś nazwalibyśmy samoleczeniem.

* Skrót od Particle Induced X-ray Emission.

- A jaka jest w tym wszystkim rola Keplera? – spytałem.
- Przechodził tamtędy – odparł Simón. – Żaden film nie obejdzie się bez czarnego charakteru, a zbrodnia nigdy nie pozostaje bez kary. Przynajmniej w filmach amerykańskich.
- Dobrze to określiłeś. To takie amerykańskie fantazjowanie – orzekłem. – Trzeba zawołać resztę uczniów, bo czas rozpocząć lekcję. Dziś w programie równania z niewiadomymi. Kto wie, czy to nie trudniejsze do rozwiązania.

v

Po skończonej lekcji matematyki, jeszcze przed obiadem, poszedłem pożegnać się z Juaną. Stała już w drzwiach hotelu z walizką u boku, czekając na taksówkę, która zawiezie ją na dworzec. Zatrzyma się na noc w Madrycie, a rano wsiądzie w samolot i polecą na Wyspy Kanaryjskie. Tam czeka na nią niespokojnie John, który przyleciał nieco wcześniej czarterem bezpośrednio z Londynu.

- Przepraszam za spóźnienie. Miałem rozmowę z rodzicami kilku

uczniów – usprawiedliwiłem się, widząc, że jest zdenerwowana i ciągle spogląda na zegarek.

– Nie musisz za nic przeproszać – przerwała mi. – To ja zawiniłam i powinnam prosić o wybaczenie. Wpadłam do ciebie bez zapowiedzi, a na dodatek w stroju kobiecym.

Uśmiechnęła się. Zaraz potem zrobiła przeproszającą minę winowajczyni. Zza zakrętu wyjechała taksówka, kierując się w naszą stronę. Juana mówiła dalej:

– Nawet nie wiesz, Héctorze, jak bardzo się cieszę z naszego spotkania. Nareszcie cię zobaczyłam. Jesteś miły, sympatyczny i niezwykle bystry. Na pewno sobie z tym poradzisz.

Wręczyła mi brązową kopertę, całując mnie w oba policzki. Zarumieniłem się trochę.

– Żałuję, że nie mogę zostać dłużej. Nawet nie zdążyliśmy porozmawiać o *Manuskrypcie Voynicha*. Naprawdę nie możesz sobie pozwolić, by spędzić z nami weekend na Teneryfie? Poznałbyś wreszcie Johna. Loty czarterowe są bardzo tanie.

– Naprawdę – odpowiedziałem. – Mam bardzo dużo pracy w szkole. Nieustanne zebrania z rodzicami i tysiące innych spraw. Musimy podjąć decyzję o przeniesieniu szkoły. Spotkamy się przy innej okazji. Zobaczysz!

Juana wsiadła do taksówki, podczas gdy szofer walczył z jej ogromną walizką, próbując umieścić ją w bagażniku. To nam dawało jeszcze kilka sekund.

– Pisz codziennie. I koniecznie zajrzyj do koperty, znajdziesz tam coś dla siebie, co zajmie ci trochę czasu.

– Na pewno to zrobię, nic się nie martw. Pozdrów ode mnie Johna.

– *Ciao*. Uważaj na siebie.

– Ty też. Musisz już jechać. Do widzenia!

Taksówka ruszyła z miejsca. Patrzyłem za nią przez chwilę. Potem przyjrzałem się kopercie. Nie miała żadnych napisów, była zaklejona. Otworzyłem ją w drodze do szkoły. W środku była CD, a także inna koperta tak samo zaklejona i krótka instrukcja, co z tym zrobić. Juana

spędziła w tym mieście zaledwie półtora dnia. Po burzy przyszedł spokój i popołudnie przeznaczaliśmy na zwiedzanie. Pokazałem jej stare kościoły, katedrę, historyczne centrum i rzymskie ruiny. Podczas spaceru praktycznie nie było więcej mowy o groźbach, tym bardziej że Juana zmonopolizowała rozmowę opowiadaniem o swoich studenckich latach w Stanach Zjednoczonych i o tym – zwłaszcza o tym – jak bardzo kocha Johna. Dzień zakończyliśmy kolacją w meksykańskiej restauracji, gdzie oburzała się żartobliwie na kiepską kuchnię i całkiem poważnie dziwiła się wysokim cenom. To wszystko. Nie mówiliśmy o strachu ani o *Manuskrypcie Voynicha*, chyba że w celu podkreślenia, co nas łączy. Nas dwoje, a nawet troje, ponieważ imię Johna nie schodziło jej z ust. Przypuszczam, że w tej kopercie i na tej płycie mieszczą się wszystkie poufne informacje, którymi dysponują Juana i John.

Jakie to wszystko tajemnicze. Zupełnie jak w powieści.

W stołówce wrzało. Dopiero modlitwa dziękczynna przed jedzeniem zaprowadziła trochę spokoju.

– Mówisz, że nas wywłaszczą? Czy oni powariowali, Julianie?

– Na to wygląda, Matiasie – odparł zapytany. – Mogą nas wywłaszczyć w świetle prawa. Sędzia wezwie rzeczoznawców, którzy oszacują wartość posiadłości. A my musimy się wynosić, czy nam się to podoba, czy nie – dodał.

– Co z ofertą agencji nieruchomości? – spytałem zdumiony.

– Wycofali ją, kiedy się dowiedzieli, że rada miejska przeznaczyła te tereny na „cele pożytku publicznego”. Obawiam się, że tu jest pies pogrzebany.

– Żeby tylko pies... – oburzył się Matías. – Niezłe z nich sępy! Na pewno byli w zмовie. Nie możemy tego tak zostawić.

– Zadzwoń do naszego adwokata. Przyjdzie dziś po południu. Jednak sprawa kiepsko wygląda.

– Jak sądzisz, ile nam zapłacą?

Pytanie zadał przeor Carmelo. Wszyscy zamilkliśmy, czekając na odpowiedź ekonoma.

– W najlepszym razie jedną czwartą sumy proponowanej wcześniej przez agencję – odpowiedział powoli Julián. – To mniej niż połowa realnej wartości. Zakładając, że decyzja wydziału urbanistyki, którą otrzymałem dziś rano, nie ulegnie zmianie.

– Wystarczy na nową szkołę? – dopytywał się dyrektor Damián.

– Z trudem. Głównie na działkę i budynek, gorzej z wyposażeniem. Wszystkiego się nie odtworzy. Nie możemy wydać co do grosza. Może przyznają nam jakieś subwencje. Poza tym weźmiemy kredyt.

– Ile nam zostanie? – Matías nie ustawał w pytaniach.

– Na cele misyjne? – odpowiedział pytaniem Julián. – Nic. Zawieszamy tę działalność na najbliższe trzy albo cztery lata. Potem będzie lepiej, jeśli liczba uczniów pozostanie taka sama jak teraz.

Wszystkie twarze wyrażały bezradność. Carmelo odezwał się ponownie, próbując podnieść nasze morale.

– Zobaczymy, co powie nam ten adwokat. Jeszcze nie wszystko stracone. Znajdą się moi przyjaciele.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Czyżby zamierzał interweniować w urzędzie gminy, gdzie pewnie ma znajomości z dawnych czasów? Carmelo kieruje naszą jezuicką wspólnotą od prawie dwudziestu lat, zna wielu ludzi, niektórym wyświadczał różne drobne przysługi. To dobry człowiek i nigdy nie odmawia, jak się go o coś prosi.

– Héctorze, zostań po modlitwie w kaplicy. Muszę z tobą porozmawiać. Oczywiście, jeśli nie masz lekcji – poprosił.

– Dobrze, Carmelo. Dziś po południu mam grupę wsparcia. Ale dopiero o szóstej. Wcześniej jestem do twojej dyspozycji.

V

Przeor dołączył do mnie o czwartej. W jednej ręce niósł plik starych papierów, a w drugiej latarkę.

– Potrzyмай.

Wziąłem od niego latarkę, a on wyciągnął z kieszeni sutanny pęk starych kluczy. Potem podszedł do ołtarza i lekko przekręcił boczną część barokowego retabulum. Były tam drzwi prowadzące do czegoś w rodzaju magazynu, a może po prostu pomieszczenia, gdzie dawniej księża jezuici trzymali alby i ornaty. Wiedzieliśmy o ich istnieniu, ale byliśmy pewni, że są zamurowane.

Carmelo otworzył drzwi jednym z kluczy. Poprosił mnie o latarkę, włączył i zagłębił się w ciemności. Poszedłem za nim.

– To, co widzisz, a może raczej wyczuwasz, to stary korytarz z czasów przed budową kolegium – wyjaśnił. – Uważaj teraz na schodki, Héctorze.

Uważnie wpatrywałem się w podłogę i ściany. Wszędzie była wilgoć.

Zeszliśmy w dół jakieś dwadzieścia metrów. Zaskoczony milczałem przez całą drogę. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie do końca, że te podziemia istniały przez cały czas w samym centrum miasta i miałem je zawsze pod nogami.

– Koniec wędrówki – rzekł Carmelo, zatrzymując się na małym podeście. – Dalej nie odważyłem się zagłębić. Są tam tunele wypełnione fekaliami i szczury wielkości psa. Gdzieś tu w pobliżu łączą się stary i nowy system kanałów ściekowych.

Pokazał w kierunku wielkich ciosów kamiennych, które podtrzymywały sklepienie wyglądające na bardzo stare.

– To rzymski system kanalizacyjny, prawda? – zapytałem.

– Zgadza się, Héctorze. Dawny klasztor jezuitów miał podziemny labirynt. Zupełnie jak w Rzymie, chociaż nie tak rozległy. Czasy były nieciekawe.

– Aha. Domyślam się, że ratusz nic o tym nie wie.

– Nic a nic. Wystarczy jeden telefon do miejskiego konserwatora zabytków, aby wstrzymać wszelkie plany budowlane inicjowane przez nas czy przez gminę. Nawiasem mówiąc, budowa szkoły była bardzo tajemniczym przedsięwzięciem. Tu znajdziesz coś na ten temat.

Podał mi plik papierów, które przyniósł ze sobą. W półmroku niewiele mogłem wyczytać.

– To są notatki przeora z tamtych czasów i część korespondencji. Luźne kartki wybrane z archiwum, gdzie jest cały pamiętnik. Wiesz, dlaczego ci to przyniosłem...?

– Domyślam się. Zdaje się, że mam zasłużoną opinię mola książkowego.

– Coś w tym rodzaju. – Przeor się roześmiał. – Proponuję, żebyś to przestudiował i zastanowił się, co możemy zrobić i czy wiadomość o tych ruinach powinna wydostać się na światło dzienne.

Zamyśliłem się. Nikomu nie opłaca się kupić naszej posiadłości – ani gminie, ani agencji obrotu nieruchomościami – skoro prędej czy później dojdzie o interwencji ministerstwa. Trzeba rozegrać to wyjątkowo ostrożnie.

– Wracajmy. Zmarzłem do szpiku kości od tej wilgoci – po-skarżył się Carmelo. – Oczywiście nic nie widziałeś ani nie słyszałeś, jak na spowiedzi, Héctorze.

Uśmiechnął się. Odwzajemniłem porozumiewawczy uśmiech i w milczeniu podjęliśmy wspinaczkę do punktu wyjścia.

V

Miałem przed sobą na stole trzy kupki papieru. Po raz pierwszy od wielu miesięcy całkowicie wyłączyłem komputer. Po lewej stronie położyłem tajemniczą kopertę od Johna, Joanny i Juany (niezły tercet!). Po prawej – starą historię klasztoru. A w środku moje ostatnie próby tłumaczenia z języka „voynichiańskiego” włącznie z tekstem graffiti. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Oprócz tego został mi jeszcze do przeczytania spory fragment tekstu przyniesionego przez Simóna. Wszystko pilne, nic do odłożenia na potem. Postanowiłem podejść do tego spokojnie, najlepiej z filiżanką kawy w dłoni. Jest piątkowy wieczór, ale księża nie mogą codziennie chodzić po knaj-pach. Wystarczy, że wczoraj zjadłem kolację w towarzystwie ładnej, intrygującej Meksykanki, obsługa restauracji wzięła nas za parę zakochanych. Teraz znowu jestem sam w swoim pokoju i próbuję ułożyć kilka kompletów puzzli. Przedemną całą noc.

A gdyby tak pomieszać między sobą wszystkie części? Pomysł wydaje się absurdalny na pierwszy rzut oka, ale ma to swoją logikę. Założmy, że otwieramy ogromne pudło puzzli. Najprościej zacząć od posegregowania różnych elementów kolorystycznie. Tu niebieskie kawałki nieba, tam zielone fragmenty drzew, a obok różne elementy, z których można złożyć ludzkie ciało. Następnie odnaleźć cztery elementy o dwóch bokach prostych przecinających się pod kątem prostym, które pasują do narożników ramki. Dołożyć części, które będą tworzyć brzeg układanki – tych także jest niewiele. Ale można inaczej, to nie jest jedyna metoda. Nikt nam nie zabrania kierować się intuicją i na przykład układać według kształtów. Na niektórych elementach jest kawałek morza i kawałek nieba. Nie wiadomo, do jakiej grupy je zaliczyć, tymczasem – paradoksalnie – łatwo je

dopasować do siebie. Nie trzeba długo szukać, żeby znaleźć elementy sąsiadujące. Przez analogię można powiedzieć, że kiedy mamy kilka problemów, to zamiast rozwiązywać każdy z osobna, najpierw trzeba zbadać, co je łączy.

Jestem jezuitą, a *Manuskrypt Voynicha* należał do jezuitów.

Jestem jezuitą, klasztor, w którym mieszkam, jest jezuicki. I posiada pewien sekret, coś, co jest ukryte przed ludzkim okiem. Nie występuje tu żaden sylogizm – nigdy nie ukrywano w tych murach *Manuskryptu Voynicha* – lecz jezuici od zawsze kojarzą się z tajemnicami. Mamy więc linię przerywaną.

Studiowałem astronomię, a teraz uczę fizyki i matematyki w prowincjonalnym kolegium. Kepler i Tycho Brahe byli astronomami i matematykami na dworze królewskim. Próbuję odczytać zaszyfrowany dokument z tamtych czasów. Niewykluczone, że oni mieli go w swoich rękach. Wniosek: jestem naiwniakiem, skoro myślę, że uda mi się to, czego nie zrobili ci dwaj giganci. To jest linia sprzeczności.

Szedłem dalej przyjętym tokiem myślenia. Co ma z tym wspólnego rzekome otrucie Tychona Brahego? Bezsensowne pytanie. Dobrze wiadomo, że sam doprowadził niechcący do swojej śmierci. Przecież to jasne? Tylko po co autorzy *Heavenly Intrigue* zadają sobie tyle trudu, żeby czterysta lat później udowodnić coś przeciwnego? I dlaczego prawie jednocześnie nasila się zainteresowanie *Manuskrytem Voynicha* i podejmuje się nowe próby wyjaśnienia zagadki raz na zawsze? Dużo pytań bez odpowiedzi. Oto moja linia pracy.

Ostatnie elementy tych puzzli najmniej mi się podobają. Zamiast nagrody za nasz wysiłek spadają na nas groźby. Kto nam grozi, jedna osoba czy wiele? Z jakiego powodu i w jakim celu? Oto linia, której nie wolno przekroczyć. Pod żadnym pretekstem.

Wracam do sprawy śmierci Tychona.

Co wiem o alchemii i medycynie z końca XVI wieku?

Niewiele. Moja wiedza o alchemikach niewiele wykracza poza to, co mógł wiedzieć Harry Potter poszukujący kamienia filozoficznego. Nieznanej substancji zamieniającej każdy metal w złoto. Wielu uczonych – włącznie z Tychonem Brahem – uważało takie poszuki-

wanie za bezużyteczne. Podobnie jak postąpił z efemerydami astronomicznymi, Tycho sprawdzał na sobie skuteczność odkryć alchemii. Nie był pod tym względem wyjątkiem. Dla wielu uczonych tej epoki alchemia liczyła się jako sztuka chemiczna mająca zastosowanie w medycynie. Chodziło o wynalezienie środków i sposobów uwalniania ludzi od chorób. Pod tym względem Tycho, podobnie jak inni fizycy, był zwolennikiem kontrowersyjnego osobnika o nazwisku Philippus Theophrastus Aureolus Bombastus von Hohenheim, który przeszedł do historii po prostu jako Paracelsus.

Paracelsus postanowił skończyć z liczącą czternaście wieków medycyną Galena. Ta starożytna medycyna opierała się – podobnie jak dawna astronomia, którą Tycho zwalczał – na zasadach Arystotelesa. Choroba pochodziła z zachwiania równowagi między czterema składnikami ludzkiego organizmu, płynami ustrojowymi: krwią, czarną żółcią, żółtą żółcią oraz śluzem, czyli flegmą. Te płyny, zwane wówczas „humorami”, powodowały wapory i były odpowiedzialne za cechy fizyczne i mentalne danej osoby. Krew kojarzyła się w zasadzie pozytywnie. Odpowiadała za temperament łagodny i umiarkowany. Żółta żółć wiązała się ze złym humorem, gniewem i gwałtownością. Czarna żółć odpowiadała za melancholię i lenistwo. A flegma za pogodne usposobienie. Jeszcze dziś używamy pojęcia flegmatyk na określenie osoby potrafiącej zachować spokój i dobry nastrój w każdej sytuacji. Z kolei te cztery „humory” łączyły się z czterema podstawowymi właściwościami materii, która może być zimna, ciepła, sucha i wilgotna. Leczenie z chorób polegało na uregulowaniu „humorów” przez zaaplikowanie potrzebnej właściwości. Lekarz określał, kiedy należy upuścić krwi, dać na przeczyszczenie, zapisać środki moczopędne, ogrzać, ziębić albo smarować maściami.

Idea przywracania równowagi w chorym ciele była podstawą walki z największym nieszczęściem epoki – zarazą. W związku z odkryciem Ameryki dołączyła do dżumy inna, równie niszczycielska choroba – kiła. Dotychczas nieznaną, wydawała się bardzo dziwna lekarzom spod znaku Galena. Wtedy Paracelsus oświadczył, że nowe choroby wymagają nowego leczenia, a jego teorie zaczęły zyskiwać

zwolenników. Uważał, że ludzkie ciało jest mikrokosmosem, modelem kosmosu w zmniejszonej skali. Stany równowagi i relacje „na górze” są takie same jak „na dole”. Dlatego Tycho i zwolennicy Paracelsusa uznawali, że na niebie jest siedem planet, ponieważ na ziemi jest siedem metali, siedem jest także komponentów ludzkiego ciała. Ich wzajemne relacje, natura i zachowanie musiały być podobne. To, co dotyczy chemii metali, odnosi się również do części ciała. To, co widać na niebie, nie pozostaje bez wpływu na ludzkie zdrowie. Jeśli wziąć pod uwagę, że w owych czasach Księżyc i Słońce uznawano za planety, czyli ciała błędzące na niebie, i że do końca XVIII wieku nie znano innych ciał niebieskich – William Herschel odkrył Uran w 1781 roku – ta swoista ekwiwalencja była dość jednostronna.

Odpowiednikiem Słońca było oczywiście złoto. A w ludzkim ciele – serce. To samo przez się zrozumiałe. Księżyc miał swój ekwiwalent metalowy w srebrze. A jeśli chodzi o ciało, to chyba ze względu na srebrnoszary kolor, a może z powodów emocjonalnych, przypisywano Księżycowi mózg. Wówczas mózg nie był tym, czym jest teraz, a za najważniejszy organ człowieka uważano serce. Rzecz jasna, nie znano transplantacji, ale Johann Jessenius, osobisty lekarz Tychona, przeprowadził publicznie pierwszą sekcję zwłok w Pradze w 1600 roku na rok przed śmiercią swojego przyjaciela.

Jupitera wiązano z cyną i krwią, chociaż w mitologii klasycznej krew, wojny i śmierć były domeną Marsa. Wedle kryteriów medycyny alchemicznej Mars koreluje raczej z woreczkiem żółciowym i żelazem. Wenus z miedzią i nerkami. Saturn z ołowiem i śledzioną. A Merkury, posłaniec bogów, jest związany – jakżeby inaczej – z metalem o tej samej nazwie *. W ludzkim ciele odpowiadają mu płuca.

* Mercurio (hiszp.) – rtęć.

Obecnie nie wydaje się, by ta nowa medycyna alchemiczna przynosiła jakieś większe korzyści w porównaniu z medycyną Galena. Co więcej, już wtedy wiadano, że takie metale jak ołów, antymon i oczywiście rtęć są trujące po przekroczeniu pewnej dawki.

Tycho jako uczeń Paracelsusa próbował wydobyć w swoich piecach i kolbach czystą esencję metali. Różnica między trucizną a lekiem polegała jedynie na czystości mieszanki i wielkości dawki. To bardzo cienka linia.

Linia, która wyznacza granicę między życiem i śmiercią.

8

Spałem krótko, lecz słoneczny, ciepły poranek sprawił, że od razu poczułem się lepiej. Zaplanowałem na ten weekend samodzielną eksplorację podziemnych labiryntów. Miałem nadzieję, że przeor nie zdziwi się i nie uzna mojego zamiaru za niestosowny. Tym bardziej że przy okazji zrobię przegląd naszych zbiorów archiwalnych. Już miałem zejść na śniadanie do kuchni, gdy wpadła mi w oczy koperta od Juany. Postanowiłem ją otworzyć.

Wewnątrz była krótka notatka.

Zawierała tylko tyle:

Włóż do komputera CD i postępuj dalej zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Jeśli nie zdołasz dokończyć instalacji, otwórz małą kopertę. Uczyni to tylko w ostateczności.

W porządku. Nie rozumiem, dlaczego robią z tego taką tajemnicę, ale zanosi się na dobrą zabawę.

Włożyłem płytę do czytnika CD-ROM. Zbadałem zawartość za pomocą menedżera plików i kliknąłem dwa razy w jedyną ikonkę, jaka się ukazała. Plik nosił wymowny tytuł: HÉCTOR.EXE. Rozległ się szmer uruchamianej w stacji dysków płyty. Monitor zamigotał i nie było widać nic oprócz czerni.

Dopiero po chwili na ekranie pojawił się tekst:

Cześć, Héctorze. Najpierw musimy się przekonać, że to na pewno ty siedzisz przed komputerem. Dlatego musisz przejść kilka prób, jeśli chcesz kontynuować. Wciśnij ENTER.

Tak też uczyniłem. Na ekranie wyświetlił się nowy tekst.

Zagadka matematyczna. Jej rozwiązanie stanowiło klucz do następnego etapu. Miałem na to pięć minut.

Jesteś w grupie tysiąca osób, które będą rozstrzeliwane według osobliwego proceduru: egzekutor roztrzaska czaszkę jednego z

dwóch jeńców ustawionych w szeregu, zaczynając od pierwszego z brzegu. Pozostali przy życiu uformują nowy szereg i sytuacja się powtórzy. Będzie rozstrzelany co drugi, zaczynając od pierwszego, i tak dalej, dopóki na placu nie pozostanie ostatni jeńiec. Ten przeżyje. Które miejsce w szeregu powinieneś wybrać, gdybyś tam był?

Nie chciało mi się myśleć. Założmy, że 501.

Rozległ się strzał jak z armaty.

Ściszyłem wolumen głośników, żeby nie przestraszyć współbraci. Na ekranie pojawił się nowy tekst:

Błąd. Damy ci jeszcze jedną szansę, ale teraz masz tylko jedną minutę na odpowiedź. Nie radzimy wyłączać komputera. Jeśli to zrobisz lub przekroczysz wyznaczony czas, CD się sformatuje. Moglibyśmy zrobić to samo z twoim twardym dyskiem, ale nie zrobimy. Mamy nadzieję, że to doceniasz.

Uff. Nie pozwolą mi nawet wypić kawy. Tych dwoje to para wstrętnych sadystów. Faktycznie, moja pierwsza odpowiedź była głupia i bezmyślna, ponieważ 501 jest liczbą nieparzystą.

Gdybym wybrał tę pozycję, rozstrzelano by mnie zaraz w pierwszej turze. Muszę się zastanowić, zacząłem szperać gwałtownie w papierach rozrzuconych obok komputera w poszukiwaniu ołówka. Niechcący zaprowadziłem na biurku trochę ładu, gdyż część szpargałów spadła na podłogę. Zacząłem głośno myśleć, zapelniając bazygrołami białą kartkę papieru.

Przed rozpoczęciem egzekucji jest nas 1000. Po pierwszej turze zostaje 500. Potem 250, 125, 62, 31, 15, 7, 3 i na końcu jeden, założmy, że to ja. W sumie jest dziewięć rund i zawsze powinienem znaleźć się w miejscu parzystym, a skoro za każdym razem ustawiają nas parami, to znaczy, że jeśli chcę przeżyć, muszę dziewięć razy pomnożyć moją pozycję przez dwa. Tak więc $2 \times 2 \times 2 \times 2 \times 2 \times 2 \times 2 \times 2$ lub inaczej: podnieść 2 do potęgi dziewiętej równa się 512.

Zostało mi jeszcze piętnaście sekund. Sprawdzę odpowiedź, powtarzając wszystkie działania wspak.

Jeśli mam rację, to na samym początku, przed pierwszym strzałem, powinienem zająć 512, miejsce w szeregu. W drugiej kolejce strzałów

będę na pozycji 256, następnie na 128., 64., 32., 16., 8., 4., 2., i w końcu zostanę sam jeden. Będę żył. *Voilà!*

Wystukałem na klawiszach „512”.

Brawo, Héctorze. Kontynuujemy czy robimy przerwę na kawę?

Ta para cwaniaków czyta w moich myślach!

Zamknąłem program i zszedłem wreszcie do kuchni. Chyba zasłużyłem na co najmniej dwie filiżanki kawy, jeśli nie więcej.

V

W kuchni wpadłem na przeora. Minę miał nietęgą, wyglądał jak po nieprzespanej nocy.

– Dzień dobry, Héctorze!

– Dzień dobry, Carmelo – odparłem. – Dobrze, że cię widzę, bo chciałbym poprosić o klucz do drzwi kaplicy. Jeśli pozwolisz, pójde sam, żeby się rozejrzeć.

Przeor popatrzył na mnie posepnie.

– Tak, oczywiście – powiedział, podając mi pęk kluczy. – Wyciągnij ten najmniejszy. Zresztą nie wiem, czy to ma jeszcze sens.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytałem, walcząc z ogromnym kółkiem na klucze.

– Obawiam się, że twój trud będzie daremny. Wczoraj mieliśmy długie spotkanie z adwokatem do późna w nocy.

– I co?

– Urząd miasta planuje wybudowanie pod naszym budynkiem ogromnego podziemnego parkingu na ponad pięćset miejsc.

To jeszcze o niczym nie przesądzało. Przecież, gdy zaczną kopać, prędzej czy później muszą trafić na te rzymskie ruiny. Wtedy dojdzie do natychmiastowego wstrzymania prac budowlanych, a plany sponsorów i promotorów tej nieuczciwej operacji handlowej zakończą się fiaskiem.

– Nadal nie rozumiem – podkreśliłem.

– Zbyt wiele grup interesu zaangażowało się w ten projekt. Nawet zagraniczny kapitał. Nad parkingiem powstanie bowiem duże centrum handlowe. Sponsorzy poradzą sobie z każdą przeszkodą,

usuwać ją lub zalewając cementem. Nie pożałują na to grosza ani materiału.

– Nie wszyscy są przekupni – zaprotestowałem. – Odkrycie ruin archeologicznych narobi dużo szumu w prasie, na uniwersytetach i w ministerstwach. Tego się nie da wyciszyć. Zobaczysz, co się będzie działo!

– A kto im o tym powie? My?

– Dlaczego nie?

– Z bardzo prostego powodu, co uzmysłowił mi wczoraj adwokat. Gdybyśmy chcieli sprzeciwić się wywłaszczeniu, odbiorą nam licencję na prowadzenie szkoły.

– Mogą to zrobić? Przecież od stu lat prowadzimy działalność oświatową?

– Chyba nie, ale spróbują. Będą drążyć problem tak długo, aż znajdą w Madrycie kogoś, kto im pomoże. Niewykluczone, że już znaleźli, bo stawiają nam ultimatum. Nikt nie wie, ile pieniędzy zamierzają na to wydać, ale gotowi są poruszyć góry. Nie cofną się przed niczym. Wysyłają pogróżki nawet naszemu adwokatowi. Oczywiście w formie anonimów.

Stanowczo za dużo tych gróźb. Carmelo dostrzegł wyraz zdziwienia na mojej twarzy.

– Niestety, Héctorze, tak się sprawy mają – kontynuował. – Wczoraj adwokat powiedział, że nie będzie już dla nas pracował. Musi myśleć o swojej rodzinie. Znajdzie klientów mniej kłopotliwych niż my. Właściwie nie mamy wyjścia. Jeśli ujawnimy, co kryje się tam na dole – wskazał na podłogę – oskarżą nas o ukrywanie zabytków archeologicznych. Adwokat tego nie powiedział, nie rozmawialiśmy na ten temat, ale zaręczam, że tak będzie. Posądzą nas o działanie w złej wierze i wymierzą jeszcze większą karę. W tej sytuacji pozostaje nam tylko przyjąć to, co dają, i wynieść się na przedmieścia, gdzie zaczniemy wszystko od nowa.

– Pozwól jednak, że zatrzymam ten klucz – oświadczyłem przezornie.

– Rób, co chcesz. Wykonaj przynajmniej parę fotografii, póki

maszyny nie zależą tego miejsca betonem raz na zawsze.

– Jasne, a potem umieszczę te zdjęcia w internecie – zażartowałem, żeby zmienić ton rozmowy na mniej ponury.

Ale przeor przyjął to bez uśmiechu i mówił dalej z zasępioną miną:

– Mamy czas tylko do czerwca, do końca roku szkolnego. Nieco ponad sześć miesięcy.

– A gdzie odbędą się egzaminy wrześnieowe? Może w sali plenarnej urzędu miasta? – protestowałem. – Nic nie znajdziemy w tak krótkim czasie.

– To też przewidzieli. Na egzaminy wypożyczą nam sale nieczynnej szkoły publicznej. Tam zainaugurujemy nowy rok szkolny. Oczywiście trzeba będzie za to zapłacić. No, muszę już kończyć – przerwał.

Podniósł się z krzesła. Udałem, że nie widzę, jak zaciska powieki i przykrywa oczy dłonią. Wyszedł z kuchni bez słowa.

v

Nasza biblioteka liczy zaledwie około dwudziestu tysięcy tomów i zajmuje niewielką powierzchnię, cieszy się opinią szacownej instytucji, poważanej w mieście, które mocno podupadło ostatnimi czasy. Dlatego toczą się o nią boje, których koniec jest bliski i przewidywalny. Eksmisja ciąży nad naszą wspólnotą jak kłątwa. Miejska Kasa Oszczędnościowa chce, rzekomo bezinteresownie, przenieść cały księgozbiór do budynku, który bardziej się do tego nadaje. Nazwa biblioteki pozostanie ta sama nie tyle z szacunku dla donatorów, aczkolwiek jest to tylko depozyt, nie donacja – nigdy byśmy się nie wyzbyli tych zbiorów dobrowolnie – ile po to, by przyciągnąć nielicznych czytelników i miłośników dobrej książki, którzy wiedzą, że u nas znajdą to, czego szukają. Jest jasne jak słońce, że owa Kasa Oszczędnościowa (której, nawiasem mówiąc, zawdzięczamy ponieważ nasze przymusowe wygnanie) nie robi tego z miłości do literatury, lecz z chęci uzyskania znacznych ulg podatkowych z tytułu prowadzenia działalności na rzecz upowszechniania kultury. Jest to bardzo nęcąca perspektywa i dlatego co tydzień odwiedza nas –

ekonoma i mnie – złotousty przedstawiciel wspomnianej instytucji bankowej, namawiając do modernizacji naszej ksiąźnicy.

Rzeczywiście mamy z tym poważny problem. Traktowane za zwyczaj jako część szkoły pomieszczenia biblioteczne znajdują się w opłakanym stanie. W ostatnich latach były po prostu rupieciarnią. Skorodowany stół albo i szkolne ławki poplamione atramentem tak, że nie widać kawałka drewnianej powierzchni, przenieśliśmy do czytelnicy, zabierając stąd meble lepiej zachowane i rzadziej używane. Doszło do tego, że teraz nie da się usiąść nad książką lub czasopiśmie bez ryzyka wylądowania na podłodze w morzu trocin albo zaczepienia spodniami o jakiś zdradziecki gwóźdź. Księgozbiór rzadko jest aktualizowany, z jednej strony dlatego, że nie mamy pieniędzy na zakup nowych książek, a z drugiej – ponieważ zainteresowanie tym niewielkim bastionem wiedzy jest coraz mniejsze. *Mea culpa*. Sam byłem zdania, że lepiej przeznaczyć nasze skromne środki na rozwój urządzeń informatycznych niż na remont. Internet pozwala dotrzeć do każdego źródła wiedzy na świecie. Zawsze tak mówię, kiedy mnie o to pytają.

Ale tylko ten się nie myli, kto nic nie robi. Jeszcze tego samego dnia miałem się przekonać, że sieć nie jest panaceum na wszystko.

V

W bibliotece nie było nikogo, choć zawsze jest otwarta dla użytkowników z zewnątrz za symboliczną opłatą za kartę biblioteczną (uczniowie i absolwenci naszej szkoły nic nie płacą). Tej soboty nikt nie potrzebował niczego sprawdzić w książce albo w prasie. Najwięcej osób przychodzi w niedzielę przed południem, głównie dla naszej kolekcji starych komiksów – taki kaprys grupy jezuitów, którzy zaczęli je zbierać zaraz po wojnie i kontynuowali przez trzydzieści lat. Ze smutkiem trzeba przyznać, że ta kolekcja jest dziś naszym najcenniejszym, najlepiej notowanym skarbem, ciągle ktoś chce ją od nas odkupić. Jesteśmy szkołą dla dzieci, z sympatią patrzymy na komiksy, ale od dawna nie inwestujemy w nowe wydania. Oprócz zniszczonych historyjek obrazkowych mamy sporo podręczników i książek szkol-

nych. W początkach istnienia szkoły wielu uczniów nie było stać na własne podręczniki. Korzystali z wypożyczonych. Potem te książki wracały do biblioteki pomazane, pełne notatek, wierszy i obscenicznych rysunków. Do dziś mamy po kilkanaście egzemplarzy każdego tytułu na najwyższych półkach pod sufitem. Dużo miejsca zajmują też wszelkiego rodzaju poradniki, literatura klasyczna, filozofia i nauki przyrodnicze. Reminiscencją czasów, gdy nie istniała telewizja ani internet, a głód wiedzy trzeba było jakoś zaspokoić, jest kilkanaście wypchanych zwierząt. Gawrony, sowy, gołębie, para kotów, lis i nawet orzeł. Po ubiegłorocznym wypadku – jedna półka załamała się ze starości – postanowiliśmy przekazać uniwersytetom inne eksponaty, które towarzyszyły nam od dziesięcioleci: skorpiony, mięczaki, pajęczaki i wiele innych gatunków bezkręgowców, zazwyczaj przywożonych z egzotycznych krajów przez braci misjonarzy. Trzymaliśmy je w pojemnikach z formaliną. Kiedy zdarzył się ów wypadek, potłukło się sporo pojemników. Różne dziwne stwory znalazły się na podłodze, jakby nagle ożyły i zaczęły pełzać. Najwięcej strachu narobiła nam zielona ośmiornica, której nikt nie śmiał dotknąć, dopóki nie zjawił się Matías uzbrojony w węża z wodą.

Zszedłem do piwnicy, gdzie przechowujemy dokumenty zakonne naszego domu. Nazwaliśmy to pomieszczenie archiwum. Rzecz jasna, jest zamknięte na klucz, który nosi przy sobie Carmelo. Osoby spoza kongregacji nie mają tu wstępu, chyba że za specjalnym pozwoleniem. Nie wolno wynosić dokumentów z budynku ani robić fotokopii, innych zakazów nie ma. Ponieważ kserokopiarka jest zepsuta – na nieszczęście stała pod półką, która się zawaliła, i spadły na nią fragmenty minerałów niczym meteoryty – z dwóch ważnych zakazów pozostał tylko jeden. Niezależnie od tego, co stanie się z biblioteką, archiwum zabieramy ze sobą. Nie możemy dopuścić do tego, by zaczęli wyprzedawać je po kawałku pod pretekstem spłaty rat bankowych.

Szukałem materiałów związanych z Anselmem Hidałgiem, który był przeorem naszej wspólnoty od 1915 do 1922 roku, kiedy to zmarł na zapalenie płuc. Na półkach stały w należyтым porządku skrzynie,

puddła i teczki z listami, diariuszami i innymi pamiątkami po zakonnikach, którzy mieszkali w tym domu na stałe lub okresowo, poczynając od 1751 roku, daty wybudowania pierwszego klasztoru, aż do dziś. Z tamtego czasu zachowały się jedynie kościół wraz z przyległą kaplicą. Prawdopodobnie teraz też nie pójdą pod kilof ze względu na swoją wartość artystyczną. Nie stanowią wielkiego problemu dla urzędu miasta, ponieważ znajdują się na skraju i nie będą przeszkadzać nowym właścicielom. Dom powstał sto lat później, a budowa szkoły zajmującej większą część terenu rozpoczęła się u progu XX wieku. Pierwszy z tych budynków grozi zawaleniem się, drugi jest już stary i za mały. To właśnie ojcu Hidalgowi zawdzięczamy ambitny plan wybudowania szkoły na miejscu wyburzonej stajni, obory i niewielkiej gospody dla pielgrzymów, zamiast ogrodu warzywnego, który dostarczał pożywienia mieszkańcom domu. Był człowiekiem przedsiębiorczym, pozyskał aprobatę i pomoc przełożonych. Szkoła szybko stała się sławna w całej okolicy, a internat dla uczniów nigdy nie świecił pustkami z wyjątkiem przymusowej przerwy w czasie wojny domowej, kiedy wszystko zostało zamknięte. Dziś nie ma internatu, czasy się zmieniły, lecz w szkole panuje ten sam duch i te same zasady pedagogiczne, jak w momencie inauguracji w 1916 roku.

Skrzynia z naklejką „O. Anselmo Hidalgo, Przeor Jezuitów 1915-1922” wydawała się dość pojemna. Na pierwszy rzut oka zawierała co najmniej cztery grube zeszyty, prawdopodobnie pamiętniki, rulon papieru – to chyba plany powstających wówczas budynków, być może również plan obecnej szkoły – i plik listów przewiązanych czerwoną wstążką z zalakowanymi końcami. Oryginalna pieczęć świadczyła, że nie zaglądamo do tej korespondencji co najmniej od osiemdziesięciu lat. Rozpostarłem najpierw rulon papieru. Rzeczywiście były tu szkice poszczególnych pięter szkoły, plany domu, kościoła, a także innych, nieistniejących już zabudowań. Znalazłem też pożyłkłą kartkę z rysunkiem jakichś podziemnych przewodów. Zapewne miało to coś wspólnego z labiryntem, który pokazał mi Carmelo.

Ucieszyłem się, że nie będę błądzić po tych wąskich, ponurych i

mrocznych przejściach. Ostatnią osobą, która oglądała te plany przedemną, musiał być ojciec archiwista. Obecnie funkcja archiwisty i bibliotekarza zaczyna znikać i wkrótce pójdzie w zapomnienie jak wiele innych. To, co ja robię, w pewnym sensie jest kontynuacją ich dzieła. Internauta zamiast archiwisty, cyberkawiarnia w celi zakonnej jako archiwum.

Przydałby się tu jednak archiwista. Jedną z teczek ktoś zapomniał odstawić na miejsce i leżała niefortunnie obok rzeczy ojca Hidalga. Była bardzo stara, niewykluczone, że nie najstarsza w archiwum. Na grzbiecie widniał napis: „O. Lazzari, 1770”. Znałem to nazwisko, wiedziałem, że Lazzari był bibliotekarzem Collegium Romanum w czasach pierwszej kasaty Towarzystwa Jezusowego.

Prawdopodobnie ten rzymski jezuita był w naszym klasztorze trzy lata przed ogłoszeniem przez Klemensa XIV decyzji o zniesieniu zakonu „na zawsze”. Na szczęście dla nas to „na zawsze” nie trwało wiecznie. Jedna część rzymskiego archiwum znalazła się w Toledo za sprawą kardynała Zelady, drugą uratował Giuseppe Pignatelli, los reszty zbiorów, wśród których być może figurowało jakieś odniesienie do *Manuskryptu Voynicha*, pozostaje nieznany. Zdmuchnąłem z teczki kurz nagromadzony latami i rozwiązałem wstążki służące do przytrzymywania okładek. W środku była Biblia i dwie książki klasyków. *Wyznania* świętego Augustyna oraz niewielki tomik z wyborem pism świętego Tomasza. Poza tym przedmioty osobistego użytku bez większego znaczenia. Celem wizyty Lazzariego mogły być jakieś sprawy religijne, rekolekcje lub debata, powiedzmy, strategiczna, zorganizowana w wielkim sekrecie na ziemiach kastyljskich. Działo się to w bardzo trudnym dla Towarzystwa Jezusowego okresie, w 1767 roku, a więc trzy lata wcześniej jezuita zostali wypędzeni z Nowego Świata na rozkaz Karola III, a trzy lata później papież ogłosił rozwiązanie zakonu. Zawartość teczki nie miała dla mnie większego znaczenia, ale sama myśl o tym, że w moim klasztorze przebywał człowiek w jakimś sensie związany z *Manuskryptem Voynicha* – nawet jeśli to był tylko związek powierzchowny – wydawała mi się dziwnie intrygująca.

W piwnicy było słabe światło i tak dużo kurzu, że wołałem zabrać skrzynię ojca Hidalga do mojego pokoju, by spokojnie i w lepszych warunkach przejrzeć wszystko po kolei. Ściśle mówiąc, dom i biblioteka są osobnymi budynkami – biblioteka, jak już wspomniałem, powstała w budynku szkoły – łamałem zatem jedną z podstawowych zasad archiwistów. Ale ponieważ to ja decydowałem o tym, jak korzystać z archiwum, i cieszyłem się zaufaniem obecnego przeora, nie pomyślałem o konsekwencjach takiego postępowania. Nie zdałem sobie sprawy, że popełniam wielki błąd. Jeśli coś ma być strzeżone, powinno znaleźć się pod kluczem. Po łacinie: *con clave*. Czy nie tak wyglądają wybory Ojca Świętego?

V

Z trudem znalazłem dla ciężkiej skrzyni skrawek wolnego miejsca w moim zagraconym pokoju i poszedłem do łazienki, żeby się umyć. Byłem brudny jak nieboskie stworzenie od tego szperania na półkach w zakurzonej piwnicy, gdzie od lat nikt nie sprzątał. Kiedy wyszedłem z łazienki, jeszcze z ręcznikiem w ręku, skrzyni nie było. Zniknęła z całą zawartością, jakby rozwiała się w powietrzu. A przecież nie minęło nawet pięć minut. Nie słyszałem, żeby ktoś wchodził. Prawdopodobnie szum wody zagłuszył kroki złodzieja. Drzwi zostawiłem otwarte jak zwykle. Wyjrzałem na korytarz, ale nikogo nie było, moi bracia też nie zauważyli, aby ktoś obcy kręcił się podejrzenie po długich korytarzach naszego starego domu.

Carmelo przyjął tę wiadomość bez zdziwienia, to raczej ja byłem zdziwiony jego reakcją. Spodziewałem się reprimendy za moją nieostrożność, tymczasem przeor poprzestał na kilku lakonicznych, stereotypowych stwierdzeniach.

- Nic na to nie poradzimy.
- Trzeba wezwać policję. Przecież to przestępstwo – protestowałem.
- Raczej drobna kradzież. Co zginęło? Jakies papiery sprzed stu lat.

Nie ustępowałem i z uporem godnym lepszej sprawy próbowałem

mu przypomnieć naszą rozmowę z poprzedniego dnia.

– A nasza strategia?

– Już ci mówiłem, że to na nic. Daj temu spokój, Héctorze.

Chyba musiałem wyglądać jak dziecko gotowe się rozplakać, położył bowiem mi dłoń na ramieniu, jakby chciał mnie pocieszyć. On mnie, a nie na odwrót.

– Nie martw się, chodź, pomodlimy się na różańcu w kaplicy.

Posłuchałem niechętnie. Nie pojmowałem tej nagłej obojętności u kogoś, kto jeszcze niedawno zachęcał do szukania nowych argumentów, aby zapobiec grożącej nam eksmisji. Wyglądał jak zawodnik, który został znokautowany i teraz myśli już tylko o opuszczeniu ringu. Wolał się modlić, niż nadal zbierać razy.

Wiadomość o kradzieży mocno poruszyła jednak resztę naszej wspólnoty. Zwłaszcza gdy się dowiedzieli, że w skrzyni były pierwsze plany szkoły i, jak można sądzić, różne inne ważne dokumenty, akta notarialne, ekspertyzy, wyceny. Wszyscy uznali za pewnik – a najbardziej wojowniczy Matías i nasz administrator Julián – że złodziej działał na zlecenie magistratu albo samej firmy budowlanej, której źródła dochodu stanowiły dla wszystkich wielką niewiadomą. Bracia natychmiast skojarzyli ten incydent z graffiti na ścianie, przypominając sobie, jak im opowiadałem, że wtedy ktoś kręcił się po bibliotece. Wniosek nasuwał się sam z siebie, choć mocno uproszczony: chciano nam wykraść dokumenty i tytuły własności, a na dodatek nas skompromitować.

Jakby tego było mało, ktoś opublikował w głupiej lokalnej gazecie – finansowanej i kierowanej z ukrycia przez miejską Kasę Oszczędnościową (no właśnie!) – że wydział biologii znalazł wśród próbek podarowanych uniwersytetowi kilka miesięcy temu... ludzki płód! (w rzeczywistości był to płód cielaczka, ale kto by zwracał uwagę na takie szczegóły!). Warto nadmienić, że to ta sama gazeta, która wcześniej przedrukowała wiadomość o rzekomym otruciu Tychona przez Keplera. A jeszcze wcześniej ukazał się w niej artykuł broniący prawa części stanów Ameryki Północnej do nauczania i upowszechniania jako prawdziwej teorii kreacjonizmu, która kwestionuje dar-

winizm i ewolucję człowieka, uznając we wszystkim jedynie bezpośrednie działanie Boga. To się nazywa być bardziej papieskim od papieża! Bardziej papieskim niż sami jezuici!

W każdym razie żadne z tych wydarzeń nie wyjaśnia, dlaczego na murze szkoły pojawił się napis w języku „voynichiańskim” zawierający groźbę pod moim adresem. Martwiło mnie, że żaden kawałek puzzli nie pasuje do tego faktu.

Wszystkie niebieskie fragmenty nieba wydają się takie same.

Ile czasu zajęłoby mi ułożenie ich w całość? Może tyle, ile Tycho poświęcił na obserwacje nieba, czyli prawie czterdzieści lat. Natomiast Kepler wziął jego wyniki, poskładał i wszystko pasowało, działało jak w zegarku.

v

Wróciłem do swojego pokoju w fatalnym humorze. Tym razem zamknąłem drzwi na klucz, chociaż niewiele już miałem do ukrycia. Włączyłem wszystkie komputery. Programy Joanny – wciąż nie mogłem oswoić się z myślą, że naprawdę nazywa się Juana – Johna i moje własne wyświetlały się w pamięci i procesorach. Nie bardzo wiedziałem, po co to robię, gdyż nawet kody nie zostały zaktualizowane. Od kilku dni nie pracowałem na algorytmach ani znanych schematach stron *Manuskryptu Voynicha*, nie orientowałem się, czy Juana i John nadal idą tym samym tropem, czy przerzucili się już na coś zupełnie innego, jak sugerowała śliczna Meksykanka. Nie byłem w nastroju do rozwiązywania nowych zagadek, by dowiedzieć się, co ich obecnie zajmuje. Może później do tego wrócę, teraz miałem wszystkiego dość.

Gdy tak myślałem o tym wszystkim, ogarnął mnie pusty śmiech. Prawdziwy atak śmiechu. Nie mogłem się powstrzymać. Najpierw śmiałem się, bo mi grozono, potem, bo ktoś wszedł do mojego pokoju i okradł mnie w mojej obecności. Bo przeora dopadła dziwna apatia i obojętnie przyjmował to, co nas czeka po tylu latach pracy. Bo nie mogłem wyrzucić z pamięci obrazu Juany z czarnymi włosami opadającymi na oczy. Bo siedzę jak głupi przed komputerem. Czego

chce ode mnie Bóg? Znowu wystawia mnie na próbę? Jak wtedy, gdy podjąłem tę najważniejszą, choć nie do końca dla mnie jasną decyzję o wstąpieniu do zakonu. Decyzję, która zmieniła całe moje życie. Czy ja naprawdę miałem powołanie? Byłem szalonym ekologiem i anarchistą, chciałem zbawić świat, kierowałem się miłością do najuboższych i dążeniem do sprawiedliwości społecznej. Więc dlaczego zamykam się w tym pokoju, zamiast wyjść do świata? Nie wiem, gdzie jest to wyjście albo wejście, ale jestem gotów. Byle tylko świat nie pędził tak szybko. Zatrzymajcie go, błagam.

Ale nie. Bóg nie chce, by świat się zatrzymał. Bo gdyby tak się stało, cała nasza dzisiejsza wiedza straciłaby w jednej chwili jakiegokolwiek znaczenie. Co innego mieć wiarę, a co innego mylić ją z rozumem. Newton, Brahe, Galileusz, Kopernik, Kepler. Oni wszyscy byli wierzący. Wierzyli w Boga i w to, co robili. Żaden z nich nie umarł nadaremno. Nagle przestałem się śmiać i przesunąłem dłońmi po twarzy. Rozładowałem trochę wewnętrzne napięcie. Odpowiedź na moje ostatnie, najważniejsze pytanie miałem przed sobą – migotała, jakby robiła do mnie oko. Do świata wchodzi się przez internet. W sieci jest wszystko z wyjątkiem kilku zakurzonych pergaminów, które teraz spoczywają na biurku jakiegoś radnego. Trudno. Nie będę się dłużej nad tym rozwodził. Nie pozwolę sobie na kolejny kryzys wiary. Skoro Bóg przyszedł kiedyś w lekkich podmuchach wiatru, tym bardziej może się objawić na monitorze komputera. Najpierw sprawdzę, kim byli ci dziennikarze i dlaczego z takim uporem próbowali zniesławić Johanna Keplera, najwspanialszego matematyka z początku XVII wieku? To nie jest błaha kwestia. Czas się tym zająć.

Otworzyłem zatem największą encyklopedię świata, gdzie jest miejsce dla każdego z nas. Czasem wystarczy tylko się urodzić, aby już tam być. W książce telefonicznej, na liście przedszkolaków, w nieskatalogowanym artykule, w jednym z postów na forum kuchni tureckiej wyjaśniającym, jak przyrządzić słodkie tosty, żeby się nie spaliły. W internecie jest wszystko, trzeba tylko umieć szukać.

Google: *Gilder & Heavenly Intrigue*.

Wpisałem to hasło w oknie przeglądarki, ale nie natrafiłem na nic

szczególnego. Wręcz przeciwnie. Wyświetliło się tylko dziesięć tysięcy czterysta wyników wyszukiwania. Dla jednych to dużo, dla mnie za mało. Doznałem zawodu. Wszak to autor książki, która rzekomo świetnie się sprzedaje, dziennikarz o światowej renomie. Kliknąłem w kilka linków. Przeważnie otwierały się na recenzjach wydawniczych i stronach księgarni online, nie wnosząc nic nowego do moich poszukiwań. Po otwarciu jednej ze stron znalazłem wiadomość, z którą zdążyłem się już zapoznać w innym miejscu, tyle że tutaj miała kilka wersji językowych. Podała ją międzynarodowa agencja informacyjna, dlatego tę notatkę przedrukowały gazety z różnych krajów. Ale ona też nie wносиła nic nowego do tej historii.

Kilka osób zamieściło na forum czytelniczym własne opinie o tej książce nieodbiegające od recenzji przeczytanych przeze mnie na Amazonie. I to właściwie wszystko. Jeszcze tylko zwięzła notka biograficzna autorów Gilder & Gilder (żona, Niemka z pochodzenia, przyjęła nazwisko męża zgodnie z anglosaskim zwyczajem). Zaledwie dwa zdania na skrzydełku okładki. Powielane we wszystkich innych dokumentach znalezionych przez wyszukiwarkę. Pierwsze zdanie zrobiło na mnie ogromne wrażenie:

Joshua Gilder pracował w różnych czasopismach, pisał przemówienia dla Białego Domu, piastował odpowiedzialne stanowiska w Departamencie Stanu.

Drugie zdanie dotyczyło jedynej powieści Gildera zatytułowanej *Ghost Image* (Obraz ducha), która – jak podają internetowe źródła – przeszła bez większego echa. Trzeba przyznać, że tytuł ma dobry. Gilder wydał ją pod własnym nazwiskiem, podobnie jak pseudonaukowy esej *Heavenly Intrigue*. Reszta jego dorobku ukazała się pod innymi nazwiskami. Robił w świecie literackim za murzyna (tak to się teraz nazywa) i być może jest autorem któregoś z tych płomiennych przemówień wygłaszanych przez polityków w przeddzień niefortunnych inwazji militarnych. Cały czas pozostawał w cieniu. Niewykluczone nawet, że te dziesięć tysięcy czterysta stron w internecie to wciąż za dużo dla bezpieczeństwa narodowego.

9

Na tę niedzielę zaplanowałem dłuższą wizytę w podziemiach. Chciałem zejść do labiryntu po mszy o dwunastej, kiedy już wszyscy wyjdą z kościoła. Ale podczas mszy postanowiłem odłożyć tę wyprawę. Bez starych planów przeora Anselma Hidalga czułbym się trochę nieswojo, zresztą nie wiedziałem, czego konkretnie szukać. To miała być zwykła inspekcja, dlatego lepiej poczekać i przygotować się do niej należycie. Być może znajdę coś interesującego, przeglądając tę garść papierów, które uchowały się od kradzieży. Nic się nie stanie, jeśli zmienię plany i poświęcę to popołudnie na coś innego. Jest w czym wybierać.

Postanowiłem kontynuować rozgrywkę z Johnem i Juana. Została mi godzina do obiadu.

Wróciłem do pokoju i włożyłem na nowo CD do stacji dysków w moim komputerze. Powtórzyłem te same operacje – z jakiegoś dziwnego powodu program nie zachował wyników pierwszej tury, co wydaje mi się karygodnym niedopatrzaniem ze strony tak wytrawnych specjalistów od informatyki jak tych dwoje – i doszedłem do miejsca, na którym poprzednio skończyłem.

Brawo, Héctorze. Kontynuujemy czy robimy przerwę na kawę?

Na wszelki wypadek przyniosłem sobie kawę i nacisnąłem ENTER.

Zacząłem czytać:

Przyjrzelśmy się dokładnie teorii Gordona Rugga. Jest dość podobna do naszej, o czym zresztą mówiliśmy już w e-mailach. Rugg sugeruje, iż *Manuskrypt Voynicha* jest świadomym oszustwem. Kto je popełnił, dowiesz się już wkrótce, ale musisz okazać się godnym zaufania. Jak wiesz, *Manuskrypt Voynicha* ma formę zbyt skomplikowaną, by można go uznać za zbiór przypadkowych słów...

Jasne! Od miesiący próbowaliśmy przeróżnych kombinacji sylab, prefiksów i sufiksów. Wszelkie możliwe wariacje i permutacje. Przeszedłem na następną stronę prezentacji.

Niektóre regularności słów „voynichiańskich” dają się odtworzyć bez większego trudu. Wiesz o tym tak samo dobrze jak my. Ale nie wszystkie. Gordon Rugg spróbował wejść w skórę owego szalbiercy i zadał sobie następujące pytania: jakie znam metody wygenerowania języka na pozór realnego? Jakiej technologii - jeśli można tak powiedzieć - używano w XVI wieku?

Karty perforowane? – powiedziałem do siebie żartem. Przypomniało mi się, że dawno, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, wiedziałem, co można z nimi zrobić.

Falszeryz na pewno nie posłużył się metodą statystycznego przypadku. Zresztą w tamtym stuleciu nie wiedziano wiele o statystyce. Może miał jakieś proste urządzenie do generowania dużej ilości rozmaitych szablonów różniących się między sobą, które jednak prędzej czy później musiały się powtórzyć. Słyszałeś o czymś takim w XX wieku?

Szczerze mówiąc, nie. Mogę poszukać, jeśli trzeba. Z pewnością Rugg pisze o tym w artykule w „Scientific American”, którego jeszcze nie przeczytałem do końca. Ale założę się, że Juanowie sami zechcą mi o tym powiedzieć. Nie omyliłem się w swoich przypuszczeniach, lecz okazało się to bardziej skomplikowane, niż myślałem. Przynajmniej z pozoru.

Musimy znowu cię sprawdzić. Czy to na pewno ty, Héctorze? Sam rozumiesz, kwestia bezpieczeństwa.

Spodziewałem się tego. Dobrze znam tych gagatków. I mam nadzieję, że wkrótce jakiś ksiądz połączy ich węzłem małżeńskim, wszystko do tego zmierza.

Na monitorze pojawiła się nowa zagadka. Chyba trudniejsza od poprzedniej, bo dali mi na rozwiązanie dziesięć minut. Doszedłszy do tego momentu, już nie mogłem się cofnąć. Wypisane wcześniej kody dostępu zablokowały komputer i musiałem iść dalej albo wszystko stracić.

Po ciężkiej bitwie następuje przegrupowanie żołnierzy. Są smutni, ponieważ większość wyniosła z walki mniej lub bardziej poważne obrażenia...

Co za wyrafinowany sadyzm, pomyślałem.

...70 procent straciło przynajmniej jedno oko. 75 procent przynajmniej jedno ucho. 80 procent żołnierzy zostało bez jednej ręki. Aż 85 procent nie ma jednej nogi. Generał pragnie się dowiedzieć, ile ludzi straciło jedno oko, jedno ucho, jedną rękę i jedną nogę zarazem, aby zamówić dla nich medale i odznaczyć ich za waleczność...

Znałem tę zagadkę jeszcze z lat dziecięcych. Znalazłem ją w jednej z książek Lewisa Carolla. Juanowie dodali od siebie tylko parę ozdobników.

Rzuciłem okiem na półkę z książkami – niepotrzebnie, bo ta książka została w domu rodziców. Muszę pomyśleć. Rozwiązanie opiera się na teorii zbiorów. Zacząłem myśleć na głos jak poprzednio:

W najgorszym razie 70 procent nieszczęśników bez oka nie ma również ucha, ręki i nogi. Mielibyśmy 70 procent żołnierzy do odznaczenia. Ale to maksymalna liczba. Generał jest skąpy i nie przyzna aż tyle odznaczeń.

Zostało mi jeszcze trochę czasu na sprawdzenie słuszności mojego rozumowania.

Zacznijmy od końca: 30 procent nie straciło oka, a 25 procent nie straciło ucha, to znaczy, że w najlepszym razie 55 procent żołnierzy nie straciło oka ani ucha i nie ma ran na twarzy. W ten sam sposób można dowieść, że 20 procent zachowało obie ręce. To daje już 75 procent. A 15 procent ma obie nogi. W sumie 90 procent żołnierzy nie poniosło tych największych obrażeń, które czynią z człowieka wrak. Zostaje 10 procent. Ci pójdą w odставку, na wcześniejszą emeryturę. I dostaną medale.

Wpisałem „10” w odpowiednie pole.

Jesteś genialny, Héctorze. Wykorzystałeś tylko siedem minut. Kontynuujemy czy robimy przerwę na kawę?

Najpierw pójdę na lunch. Zostawiłem włączony komputer i zszedłem na dół do stołówki, uśmiechnięty od ucha do ucha, jakbym

wygrał główną nagrodę na loterii.

v

Niedzielny posiłek trwa dłużej niż zwykle. Dostajemy lepsze mięso, wszystko bardziej smakuje, bo to Dzień Pański. Nawet wino jest lepsze, najlepszy zaś deser karmelitanek. Traktujemy je z wielką sympatią, gdyż wszystkie pokończyły już siedemdziesiąt lat i od dawna zdane są tylko na siebie i swoje umiejętności cukiernicze, a mają do tego – trzeba przyznać – nadzwyczajny talent. Na tę niedzielę przygotowały dla nas nadzwyczajne ciastka kremowe nadziewane włosiem anielskim i truflami. Po deserze mała czarna i lampka likieru. Nie jesteśmy kartuzami, żeby odmawiać sobie drobnych przyjemności. Jedną z nich jest rozmowa. Tej niedzieli mówiliśmy tylko o jednym.

– Nie, Damián! Nie stać nas na taki wydatek. Trzeba się z tym pogodzić.

Ekonom odznaczał się nieustępliwością godną ministra skarbu.

– Nie możemy wysłać dzieci do tych baraków. Rada miejska zamknęła budynek rok temu na wniosek komisji zdrowia. Poza tym w dzielnicy roi się od przestępców.

Dyrektor szkoły nalegał. Propozycja urzędu miasta zakrawała na prowokację.

– Tam nie ma nic oprócz barów i pubów. Wydamy nasze dzieci na zatracenie. I tak już się nam buntują – zauważył Damián.

– Urzędnicy myślą, że robią nam wielką łaskę. Czy nie powiedział ci jeden z nich, że księża powinni zająć się również imigrantami i prostytutkami?

– Daj spokój, Matíasie. Nie mów tak – wtrącił przeor. – Mamy obowiązek nie tylko wobec naszych uczniów, lecz również wobec młodzieży z marginesu. W gruncie rzeczy ten radny powiedział prawdę.

– Jemu łatwo tak mówić – odparł zaciętrzewiony Matías. – Radni i politycy szastają pieniędzmi na podróże, diety i różne głupstwa. Widziałeś Muzeum Sztuki Nowoczesnej? – Zaperzał się coraz bar-

dziej. – Wstyd i hańba! Cztery żelazne pręty i worki z paszą przy-
mocowane do ściany cementem. A kosztowało to tyle, że połowa tych
pieniędzy starczyłaby na nową szkołę. Mają jeszcze czelność przy-
chodzić na mszę z kochankami!

– Uspokój się, Matiasie. Już wystarczy.

Było dla nas jasne, że Carmelo nie zamierza walczyć. Wiedzie-
liśmy, że władze miejskie prowadzą skandaliczną politykę w wielu
dziedzinach, i nikt nie protestował. Jedni nabrali wody w usta, inni
akceptowali takie postępowanie.

– Jak dorwę tego, kto napisał, że jezuici wkładają dzieci do sło-
ków po marmoladzie, wrzucę go do rzeki – oświadczył Matías,
stukając pustym kieliszkiem w drewniany blat.

Na ten sygnał wszyscy wstaliśmy od stołu ze smutnym uśmiechem
i goryczą w sercu.

v

Wróciłem do pokoju z postanowieniem, że zajmę się teraz Gilde-
rami.

Miałem do przejrzenia kilka stron w sieci Web oraz linki do nau-
kowców i historyków, którzy próbowali odpowiedzieć na ten pasz-
kwil. Prasa informowała o niewielkim kongresie w Austrii, na którym
wygłosił referat niemiecki biograf Keplera, znawca jego dzieła,
Volker Białas. Sądząc po tytule – „Trucizna reklamy. Reakcja na
amerykańską tezę o kryminalnej przeszłości Keplera” – autor referatu
nie traktował pozytywnie teorii Gilderów. Niestety, nie znalazłem
tego tekstu w internecie, chociaż długo szukałem. Wysłałem do Johna
e-mail z prośbą o pomoc. Austriacki kongres był poświęcony astro-
nomii. John łatwo znajdzie w bazie danych materiały na ten temat i
ściągnie dla mnie referat Białasa, zakładając, że został opublikowany
w *proceedings* jak każde wydarzenie naukowe. Zostawiłem na razie
Białasa i wróciłem do Gilderów.

Po chwili miałem przed oczyma krótką autobiografię, którą Joshua
Gilder sam wysłał do wydawnictwa dla celów kampanii promocyjnej
swojej pierwszej powieści. Polityczna poprawność w każdym calu.

Urodził się w Waszyngtonie w 1954 roku. Ojciec był psychoanalitykiem wojskowym. Okres dzieciństwa został przedstawiony na modłę filmową: za cenę nieludzkich wysiłków bohater pokonuje dysleksję i przymierza się do kariery pisania. Nadzwyczajny sukces! Choć miał poważne problemy z ortografią i literowaniem wyrazów* – Gilder przyznaje, że nie potrafił poprawnie napisać 30 procent słów – jego pierwsze artykuły spodobały się redaktorom naczelnym czasopism o tytułach tak sugestywnych jak na przykład „Nowy Lider”. Następnie został jednym z redaktorów „Saturday Review”, które zbankrutowało w 1982 roku. Wtedy przyjaciel kontaktuje go z Peterem Robinsonem, człowiekiem odpowiedzialnym za pisanie przemówień dla ówczesnego wiceprezydenta USA George'a H. Busha. Robinson przygotowywał co tydzień od siedmiu do dziesięciu wystąpień tego polityka, toteż chętnie zatrudnił Gildera do pomocy. Trzeba przyznać, że Joshua Gilder miał bujną wyobraźnię. Robinson awansował na murzyna Ronalda Reagana, rok później Gilder poszedł w jego ślady. Przez cztery lata układał polityczne dialogi. Przyznaje z zadowoleniem, że najbardziej udało mu się zdanie: *Go ahead. Make my day*, jedno z najślawniejszych w repertuarze jego szefa. Można je przetłumaczyć jako: „Rusz się, zrób mi wesoły dzień”. Pochodzi z kwestii Clinta Eastwooda w roli Brudnego Harry'ego. Ronald Reagan wypowiedział to zdanie podczas ostrej debaty kongresowej z opozycją na temat podatków. Gilder przytacza tylko tę jedną anegdotę, a poza tym nie bardzo wiadomo, co jeszcze napisał, naświetlił bądź sprowokował. Choć nie, z dumą wspomina o swoim przemówieniu przygotowanym na szczyt w Moskwie w 1988 roku, gdzie ustami Ronalda Reagana nalegał, żeby Rosjanie się poprawili. W następnym roku dostaje nominację na sekretarza stanu do spraw praw człowieka. Po otrzymaniu poważnych gróźb śmierci ze strony bułgarskiego KGB – jak pisze w swojej autobiografii – rezygnuje ze stanowiska i przechodzi do sektora prywatnego, gdzie otwiera firmę konsultingową. Jego żona Ann-Lee jest dziennikarką telewizji niemieckiej.

* Amerykańska obsesja na punkcie literowania jest nie zawsze dla nas zrozumiała, ponieważ po hiszpańsku pisze się praktycznie tak samo, jak się czyta. Co

innego w języku angielskim. Jest taka anegdota o pewnym wiceprezydencie, który w szkole nie umiał podzielić na sylaby słowa „ziemiak”. Przypomina mi się także odcinek telewizyjnego serialu *Simpsonowie* o tak zwanych *spelling bee*. W Ameryce konkursy Spellingu robią furorę wśród uczniów, rzecz nie do pomyślenia w Europie, a przynajmniej w Hiszpanii.

Jako pisarz beletrystyczny Joshua Gilder dał się poznać wcześniej tylko z jednej powieści. Jego drugie wejście na rynek książki stało się możliwe dzięki *Heavenly Intrigue* wydanej przez potężną oficynę Doubleday jesienią 2003 roku. Otóż Doubleday jest wydawnictwem, które zbiło fortunę na... *Kodzie Leonarda Da Vinci*. Z takim ojcem chrzestnym można mieć pewność, że prasa przyjmie firmowaną przez niego książkę przychylnie, a krytycy będą robić słodkie oczy i lawirować. Oto kilka pierwszych z brzegu próbek, jakich wiele krąży w sieci.

Heavenly Intrigue to czysta rozkosz, fascynująca lektura... śledztwo w sprawie morderstwa sprzed czterech wieków. Ciekawe i kształcące. „Washington Post Book World”.

Gilderowie napisali pracę historyczną, oryginalną i błyskotliwą, która powinna przekonać czytelników, iż jeden z największych uczonych w historii świata popełnił morderstwo z zimną krwią. „National Review”.

Kepler miał motyw, szansę i wiedzę, jak pozbyć się mentora, by zdobyć materiały, które posłużą mu do sformułowania teorii ruchu planet. Autorzy książki dokonali historycznej rekonstrukcji fascynującej epoki. „Kirkus Reviews”.

Co na to astronomowie? Zauważyli w ogóle tę książkę?

Prawie godzinę zajęło mi wyszukanie udokumentowanej recenzji. Znalazłem ją w „Journal for the History of Astronomy”, jednym z największych magazynów naukowych poświęconych dawnej astronomii. W numerze 35 z lutego 2004 roku Marcelo Gleiser opublikował rzecz następującą:

Jest wiele sposobów opowiadania jakiejś historii, zwłaszcza gdy bohaterowie nie żyją i nie mogą powrócić z zaświatów, aby się bronić lub oskarżyć innych. Gilderowie twierdzą, iż Tycho zażył śmiertelną

dawkę rtęci na trzynaście godzin przed śmiercią i że truciznę podał mu z wyrachowaniem na pół szalony Kepler, gotów zdobyć za wszelką cenę wyniki obserwacji prowadzonych przez Tychona. Argumentacja autorów składa się z trzech punktów: spożycie dużej dawki rtęci, podanie Tychonowi tej substancji z zamiarem otrucia go i na koniec wyraźne przypisanie całej winy Keplerowi, który zostaje w tej książce oskarżony o morderstwo. Pierwszy punkt jest wiarygodny, drugi wątpliwy, a trzeci – po prostu śmieszny.

Artykuł Gleisera nie odbił się, jak widać, szerszym echem w prasie. Przeczytało go pewnie tylko kilku ciekawskich, takich jak ja. Współpracownik „Journal for the History of Astronomy” zbija po kolei argumenty przedstawione w książce przez parę dziennikarzy. Zgadza się z tym, że trucizna była główną przyczyną śmierci Tychona Brahego, przypomina, że już wcześniej zostało to stwierdzone przez szwedzkich badaczy, którzy przeprowadzili analizę resztek włosów Duńczyka w zakładzie medycyny sądowej. (Pamiętam, że czytałem to samo, niemal słowo w słowo, kilka dni temu w artykule ściągniętym z internetu przez Simóna). Dalej Gleiser analizuje z miazdzącą logiką naukową kolejne teorie Gilderów.

Czy Tycho został zamordowany? Autorzy książki rozplývają siew pochwałach pod adresem Brahego. Wielkoduszny, uczciwy, przyjacielski, muchy by nie skrzywdził, niezdolny wyrządzić komuś krzywdy ani targnąć się na swoje życie. Z kolei Kepler opisany jako chory psychicznie, neurotyczny frustrat, egoista, gotów zrobić wszystko, byle móc udowodnić swój geometryczny ideał porządku kosmicznego. Tymczasem wśród historyków nauki panuje absolutne przekonanie, że Tycho był nie tyle szlachetny, ile agresywny, o cechach choleryka, zarozumiały, despotyczny wobec uczniów. Natomiast Kepler był skomplikowany, uczuciowy i bardzo religijny. W jego zapiskach nie ma nic, co pozwalałoby myśleć, że był zdolny zabić. Z pewnością chciał mieć obserwacje Tychona, ale to jeszcze nie znaczy, że go zamordował.

Na zakończenie swojej recenzji Marcelo Gleiser przytacza garść znanych faktów z życia Tychona Brahego. Jego biografia została

starannie zrekonstruowana w ciągu czterech wieków, głównie dzięki temu, że Duńczyk i jego uczniowie zapisywali dosłownie wszystko. Nie bez kozery Tychona można uznać za pierwszego wielkiego naukowca posługującego się eksperymentalną metodą badań. Gleiser snuje przypuszczenia – równie błyskotliwe jak te Gilderów, lecz dużo bardziej zwięzłe – na temat ewentualnego zabójstwa lub, co bardziej prawdopodobne, przypadkowej śmierci Tychona. Muszę prześledzić to wszystko dokładnie. Na dziś wystarczy. Wyłączyłem komputer i wzięłem się do przygotowania lekcji matematyki na dzień następny.

Rzeczywistość to rutyna.

10

A może nie.

Simón spędził weekend pracowicie. Podszedł do mnie po lekcji, jak tylko jego koledzy wybiegli z klasy przy dźwiękach polifonicznej muzyki komórek.

– Mam coś ciekawego. Choć nie wiem, czy to się ojcu spodoba.

– Dlaczego miałyby mi się nie spodobać?

– Bo to romantyczna historia.

– Poderwałeś dziewczynę? Nareszcie! Już się nie mogłem doczekać – żartowałem.

On też przyjął żartobliwy ton.

– Nie było kiedy. Siedziałem cały czas przy komputerze.

Wszystko przez ojca!

– Bardzo mi przykro. Pokazałem ci złą drogę. Powinniśmy wybrać się razem na podryw i zaszaleć. Nie jestem taki stary.

– Wiem. Słyszałem o wypadzie do La Tosca Mariachi. I to w dobrym towarzystwie, jak mówią wtajemniczeni. – Roześmiał się.

– O cholera! – wyrwało mi się niechcący. – Ale to tylko znajoma.

No już, opowiadaj tę swoją historię!

– Rzecz dotyczy Tychona Brahego.

Nie ukrywam, że byłem zaciekawiony. Co prawda romantyczna historia nie mogła dotyczyć Brahego, który nigdy nie zdradził swojej żony Kristine, córki skromnego pastora protestanckiego. Nie wiązała się zatem z okolicznościami jego śmierci ani z tym, co wyczytałem o Tychonie w artykule astronoma i historyka Marcela Gleisera. Ale posłuchajmy.

– Tycho miał siostrę alchemiczkę, która zakochała się w innym alchemiku. W takim facecie, który wciąż potrzebował pieniędzy.

Simón mówił o intymnej historii Sophie Brahe.

Sophie ma zaszczyt figurować w książkach historyczno-naukowych jako pierwsza kobieta zajmująca się astronomią. W czasach, gdy nikt nie słyszał o parytecie, Sophie Brahe była wyjątkową kobietą. W kronikach zapisała się także jako najbardziej wykształcona kobieta swojej epoki. Znała się na ogrodnictwie, uprawie warzyw i owoców, sztuce i astrologii (choć nie można jej nazwać stricte wróżką), środkach alchemicznych (opartych między innymi na medycynie Paracelsusa), literaturze i badaniach genealogicznych. Młodsza od Tychońa o dwanaście lat była jego ulubioną siostrą. Jako czternastolatka pomagała mu obserwować zaćmienie Księżyca i wtedy zapalała wielką miłością do astronomii. Sophie odegrała jeszcze inną ciekawą rolę w życiu swojego brata. Jego żona Kristine była plebejuską, nie mogła więc towarzyszyć mężowi w oficjalnych spotkaniach i uroczystościach przeznaczonych tylko dla arystokracji ani przyjmować królów i książąt na wyspie obserwatorium Hven. To dyplomatyczne zadanie wzięła na siebie arystokratka Sophie, natomiast Kristine pozostawała na drugim planie.

– Życie Sophie Brahe to czysty poemat – kontynuował opowieść Simón. – Może dlatego brat zadedykował jej piękne wiersze, jedno z najpiękniejszych w duńskiej literaturze.

Wielkie brawa dla mojego ucznia za pomysłowe połączenie nauki i literatury. Słuchałem dalej.

– Zgodnie ze zwyczajem epoki Sophie wydano za mąż za starego, bogatego szlachcica. Wcześniej owdowiała, w wieku zaledwie trzydziestu lat została sama z małym dzieckiem pod opieką ukochanego brata, który miał na nią wielki wpływ. Tak było, dopóki nie pojawił się Erik Lange. Poznali się na wyspie Hven, którą król Danii Fryderyk II podarował Tychońowi. Tycho urządził na niej obserwatorium astronomiczne. Miał niepodzielną władzę na wyspie, szkolił swoich uczniów w obsłudze instrumentów astronomicznych i technikach obserwowania gwiazd oraz planet.

– Wiem. Dzieje Uraniborga, tego fantastycznego obserwatorium, są mi dobrze znane – przerwałem. – To jeden z najpiękniejszych epizodów historii astronomii. Wyjątkowe miejsce, jedyne w swoim

rodzaju i chyba coś takiego już się nie powtórzy. Opowiem ci kiedyś przy okazji więcej o Uraniborgu, ale teraz skoncentruj się na wątkach romantycznych, bo zaraz koniec przerwy. Tylko patrzeć, jak twoi koledzy powrócą pełni zapału do matematyki – ironizowałem.

– Tycho i Lange przyjaźnili się, wymieniali wynikami badań i wspólnie prowadzili doświadczenia z alchemii. Uraniborg miało specjalne laboratorium do tych celów. Lange, potomek szlacheckiego rodu jak Tycho, był przekonany, że każdy metal da się zamienić w złoto. Na jednym z takich spotkań obu uczonych pojawiła się Sophie. Zakochała się w Eriku od pierwszego wejrzenia, oczywiście z wzajemnością. Jej wybranek szybko stracił cały majątek, a może ktoś mu w tym pomógł, nie wiadomo. W tamtych czasach nie brakowało łotrów, którzy wyciągali pieniądze od szlachty i króla w zamian za obietnicę kamienia filozoficznego.

Przypomniał mi się *Manuskrypt Voynicha*. Czytałem coś podobnego na ten temat. Jak doszło do tego, że owa księga znalazła się w posiadaniu Rudolfa II? Monarcha nabył ją za sześćset dukatów od dwóch bezwstydników zapewniających, że potrafią zamieniać ołów w złoto. Ciekawa zbieżność, o której wcześniej nie pomyślałem. Pierwszy element puzzli łączący nareszcie niebo z ziemią. Kiedy tak rozmyślałem, Simón pospiesznie kończył swoją opowieść.

– Lange jeździł po całej Europie, żeby ukryć się przed wierzyicielami. Zrujnował swoją rodzinę i przyjaciół, omal nie doprowadził do ruiny zakochanej Sophie... byli już wtedy po słowie. Nie zrobił tego tylko dlatego, że cały majątek Sophie należał do jej syna. Poślubił ją dopiero rok po śmierci Tychona, w tysiąc sześćset drugim roku. W tym okresie radził sobie całkiem nieźle pod względem finansowym, ale to nie trwało długo, ponieważ wciąż był opętany obsesją poszukiwania kamienia filozoficznego. Znowu wyruszył w drogę, stracił wszystkie pieniądze i zostawił Sophie samą. Umarł podobnie jak Tycho w Pradze. Był rok tysiąc sześćset trzynasty.

Simón zajrzał do swoich notatek. Zostało mu już niewiele.

– Sophie Brahe żyła dużo dłużej. Umarła w wieku osiemdziesięciu czterech lat jako osoba niesłychanie bogata. Majątku nie

zawdzięczała Langemu, bo ten do końca życia szukał kamienia filozoficznego, tylko dochodom z renty po pierwszym mężu i pieniądzom od syna.

– Jakie wnioski płyną z tego, co mi opowiedziałeś? – zapytałem.

– Takie, że Tycho był bogaczem, a Lange bankrutem. Dzieci Tychona nie mogły po nim dziedziczyć. Zrodzone z matki plebejuszki pochodziły z nieprawego łoża, jak stanowiło prawo szlacheckie. Dlatego Tycho Brahe musiał powierzyć zarządzanie majątkiem swojej siostrze i przyszłemu szwagrowi na wypadek swojej przedwczesnej śmierci.

– Coś mi się widzi, że próbujesz dzielić włos na czworo, Simónie.

– A jak robią Gilderowie? – odparował zrzęcznie. – Nawet wiem, skąd biorą ten włos. Z brody. Zresztą Kepler nie miał zielonego pojęcia o alchemii ani o medycynie – dodał. – Nie wiem nawet, czy słyszał o właściwościach rtęci. Może tylko w związku z pierwszą planetą Układu Słonecznego.

– Masz rację. Temu Langemu nie brakowało powodów ani możliwości, żeby otruć brata narzeczonej. Ale taka wersja jest za mało spektakularna i nie do przyjęcia w kategoriach handlowych dla Doubleday.

– Dla kogo?

– Nieważne. Żartowałem.

V

Poniedziałkowe popołudnie było wolne. Miałem do załatwienia kilka spraw na mieście, co zajęło mi parę godzin. Prozaiczne czynności, jak pójście z Matiasem do lekarza (znów dawały mu się we znaki wrzody) i wstąpienie do adwokata po jakieś dokumenty dla Juliana. Skorzystałem z okazji, żeby kupić sobie na wyprzedaży parę nowych koszul i sweter. Podczas spaceru z Juaną poczułem się fatalnie, gdy chciała wziąć mnie pod ramię. Zachnąłem się, pewnie pomyślała, że to z powodu mojego stanu kapłańskiego, ale nie, prawda jest taka, że miałem dziury w swetrze. Spaliłbym się ze wstydu, gdyby to zobaczyła. Po wyjściu z galerii handlowej trafiłem

na potworny korek. Na szczęście mnie to nie dotyczyło, bo szedłem na piechotę i posuwałem się do przodu szybciej niż tkwiące w korku samochody. Ale niechcący stałem się świadkiem rozmowy, która wytrąciła mnie z równowagi i wprawiła w przygnębienie.

– Co pani wyprawia?! Dlaczego pani nie jedzie?

– Nie mogę, panie policjancie. Czekam tu na syna. Punktualnie o piątej wychodzi z angielskiego.

– Nie widzi pani, co się dzieje? Przeszkadza pani w ruchu innym użytkownikom drogi. Tu nie wolno się zatrzymywać. Chłopcu nic się nie stanie, jak trochę zaczeka i wypije herbatkę.

– Niech pan nie będzie taki dowcipny. Mam prawo zatrzymać się na minutę i korzystać z niego. A jak się nie podoba, to niech urząd miasta wybuduje wreszcie te obiecane parkingi – odpowiedziała szorstko właścicielka samochodu.

– Księża nie pozwalają. Nie chcą sprzedać gminie tego terenu. Wie pani, jak z nimi jest. Najpierw windują cenę maksymalnie, a potem udają biednych i chodzą po jałmużnie.

– Wyrzucić ich stąd – ucięła kobieta. – Ładny przykład nam dają. Ciekawe, co pomyśleli sobie rodzice, kiedy prasa opublikowała zdjęcie istoty ludzkiej w pojemniku z alkoholem. Taki skandal! Kilka moich przyjaciółek zamierza zabrać swoje dzieci z tej szkoły. Wolą nie ryzykować, że coś im się stanie.

– W gruncie rzeczy to księża nie są tacy źli. A w próbówce jest mały Chińczyk zgarnięty ze śmietnika. Wie pani, że komuniści wyrzucają dzieci na śmietnik. Przyznam, że ja sam uczyłem się u jezuitów i nie narzekam – spuścił z tonu policjant, zadowolony, że korek powoli się rozładowuje.

– Aha, właśnie widać! I czego oni pana nauczyli? Nietolerancji i despotyzmu. Niech się pan nie martwi, już ruszam! – krzyczała kobieta coraz bardziej poirytowana. – Idzie mój syn. Teraz muszę się pospieszyć, żeby zawieźć go na katechezę i samej nie spóźnić się na zajęcia z jogi. Założę się, że dziś mam pozytywną energię, poniżej zera. Niech szlag trafi te hotele i restauracje. Wszystko już pozajmowane. I gdzie my teraz dziecku zrobimy przyjęcie pierwszoko-

munijne? Mam księży powyżej uszu!

– Tym razem pani daruję, ale jak to się powtórzy, zapłaci pani mandat. To nie jest tryb warunkowy, tylko oznajmujący – mówił policjant, oddalając się i gestykując gwałtownie w stronę samochodu, który przejechał na czerwonym świetle.

Kobieta zaczęła, aż chłopiec otworzył pudełko z podwieczorkiem, i przekręciła kluczyk w stacyjce. Zdażyła jeszcze pogrozić potomkowi, że da mu w ucho, jeśli znajdzie w samochodzie zatłuszczony papier po ciastku – po tych słowach opakowanie wyładowało na chodniku – dodała gazu i odjechali.

Tego popołudnia zetknąłem się z czymś, co telewizja nazywa pretensjonalnie sondowaniem opinii publicznej. Jednocześnie stwierdziłem, że nasz były uczeń do dziś pamięta rodzaje zdań i formy gramatyczne, natomiast ta pani nie ma chyba wielkiego pojęcia o żadnych formach, nie tylko gramatycznych.

v

Wróciłem do komputera, uruchamiając na nowo CD.

Po raz kolejny musiałem odpowiedzieć na znane już pytania i pić wystygłą kawę w oczekiwaniu na obiecane rewelacje.

Jesteś genialny, Héctorze. Wykorzystałeś tylko siedem minut. Kontynuujemy czy robimy przerwę na kawę?

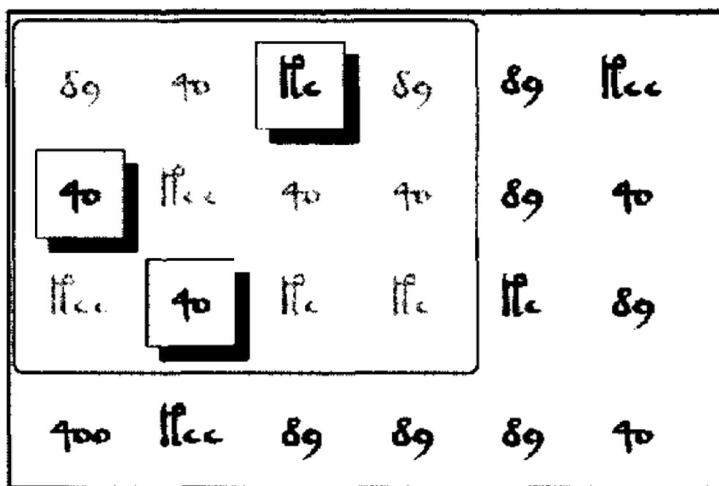
Kliknąłem na DALEJ. Rzecz jasna za drugim razem odpowiedź na pytanie o procent rannych po bitwie nie zajęła mi aż tyle czasu.

Manuskrypt Voynicha został napisany pomiędzy 1470 i 1608 rokiem. Wskazują na to zarówno wyniki datowania metodą archeologiczną, jak i supozycje, że niektóre z przedstawionych na obrazach roślin pochodzą z niedawno wówczas odkrytej Ameryki. Mamy również pierwsze udokumentowane informacje o pojawieniu się *Manuskryptu Voynicha* na dworze Rudolfa II. Jeśli weźmiemy pod uwagę teorie o autorstwie Johna Dee lub Edwarda Kelleya...

Oto główni podejrzani o fałszerstwo. Wiadomo, że obaj byli alchemikami. Mieli nie mniejsze ambicje niż Erik Lange, szwagier Tycho Brahe.

...dochodzimy do włoskiego kryptografa Girolama Cardana. W roku 1550 Cardano wynalazł technikę kodowania wiadomości znaną obecnie jako matryca Cardana. To nic innego jak sztywny kartonik z otworami rozmieszczonymi w taki sposób, że widać tylko pewne sylaby, a cały tekst jest zakryty. Kluczowe zdanie zapisuje się w okienkach, słowo po słowie, a resztę wypełnia tekstem pozbawionym sensu. Aby je odczytać, trzeba mieć kartonik, który przykryje słowa bez sensu, zostawiając na widoku tylko to, co istotne.

Rzecz wydawała się prosta. Załączony diagram pomagał lepiej zrozumieć tę metodę. Trafiłem w dziesiątkę z moją żartobliwą sugestią, że do wygenerowania sztucznego języka użyto kart perforowanych. Tak wyglądały pierwsze komputery odkryte w XVI wieku.



Tej metody można użyć w odwrotnym kierunku. Załóżmy, że mamy tabelę z trzema kolumnami i wypełniamy ją, wpisując w poszczególne kolumny prefiksy, środkowe sylaby i sufiksy. Jak leci, bez żadnego sensu. Niektóre miejsca pozostawiamy puste. W miarę przesuwania po tabeli matrycą Cardana z trzema okienkami, po jednym na każdą kolumnę, tworzymy prawie losowo rozmaite słowa. Nie wszystkie będą trzysylabowe, ponieważ nasza tabela zawiera puste komórki. Poruszając matrycę w różne strony - możemy ją przekreślać, obracać, robić, co tylko przyjdzie nam do głowy - za

każdym razem powodujemy zmianę wzorca. Jest to proces prawie nie do odtworzenia, niemal przypadkowy. Gordon Rugg uważa, że fałszerze zrobili coś w tym rodzaju. Skopiowali starannie każde słowo wygenerowane za pomocą tej metody. Jedno po drugim.

Następnie Juanowie wyjaśniają szczegółowo, do czego doszedł w swoich poszukiwaniach ten angielski badacz, z zawodu psycholog. W ciągu niespełna trzech miesięcy dwie osoby były w stanie wygenerować cały manuskrypt z dodatkiem fantastycznych, niezbyt starannie wykonanych rysunków. Moi przyjaciele mówią dalej o podziale dwumianowym, repetycji wzorów, koncepcjach statystycznych i innych nowoczesnych sposobach mających świadczyć o tym, że rozwiązanie zaproponowane w prestiżowym amerykańskim piśmie jest całkowicie wiarygodne. Powstaje tylko jeden problem. Możemy odtworzyć coś, co przypomina *Manuskrypt Voynicha*, ale jednocześnie rezygnujemy z odkrycia tajemnicy. Trzeba by bowiem przyjąć, że było to oszustwo. A nie ma stuprocentowej pewności co do tego. Nie pozostaje nam nic innego, jak kontynuować pracę nad naszą własną teorią.

Poświęciliśmy trochę czasu modelowi triady, który nam zasugerowałeś. Powstał pod wpływem odkryć dokonanych przez Friedmana w latach pięćdziesiątych. Moc obliczeniowa naszych komputerów gwarantuje lepsze rezultaty niż uzyskane przez Friedmana i bliższe oryginałowi w porównaniu z tym, co może osiągnąć Gordon Rugg ze swoją matrycą po latach pracy. Ale bądźmy realistami, Héctorze. W XVI wieku nie znano procesorów ani języków programowania. A my po wykonaniu milionów operacji otrzymamy w najlepszym razie kopię *Manuskryptu Voynicha*. Sens tego przekazu, jeśli taki istnieje, pozostanie na zawsze ukryty.

Mają rację. Odtworzyliśmy do tej pory kilka stron z *Manuskryptu Voynicha*, słowo po słowie. Nie było między nimi żadnego związku. Każde słowo to rezultat setek godzin pracy obliczeniowej. Brutalna siła.

Trzeba zmienić podejście do problemu. Zdaje się, że wreszcie mamy coś nowego. Zanim podzielimy się z tobą tą informacją, spróbuj

nam udowodnić, że jesteś w stanie myśleć niestereotypowo.

Wstrętne gryzonie! Znamy się już od roku, a oni mi okazują taki brak zaufania. Miałem ochotę wyłączyć komputer, zniszczyć CD, wyrzucić ich adresy z mojego notesu i z pamięci. W gruncie rzeczy czułem się oszukany, rozczarowany i wykorzystany.

Jednak ciekawość była silniejsza niż gniew. Nacisnąłem klawisz, żeby kontynuować. Logicznie rzecz biorąc, nowe zadanie powinno okazać się trudniejsze od poprzednich. I tak było. Wspaniałomyślnie dali mi na nie dwadzieścia minut.

Niedźwiedź wychodzi z nory. Najpierw idzie dziesięć kilometrów na południe, potem obraca się i pokonuje taką samą odległość w kierunku wschodnim. Na koniec przemierza kolejne dziesięć kilometrów na północ. Zmęczony postanawia wreszcie zakończyć swój spacer, po czym odkrywa, że stoi przed swoją jamą. Jakiego koloru jest niedźwiedź? Wprowadź słowo klucz i naciśnij ENTER.

Początkowo ta zagadka wydawała mi się bez sensu. Ale zaraz spostrzegłem dość prostą logikę. Jeśli nora niedźwiedzia znajduje się na biegunie, to udając się na północ czy na południe, nasz stopochodny idzie wzdłuż południka. Udając się zaś na wschód albo na zachód, zmienia jedynie południk. Jako że wszystkie południki zbiegają się na biegunie wędrowca, zawsze wraca do domu. Minęło zaledwie kilka minut, a ja już wiedziałem, że ten niedźwiedź to miś polarny. Jakiego koloru są niedźwiedzie polarne? Oczywiście, że są białe.

Wpisałem w pustym polu słowo „biały” i nacisnąłem żądany klawisz.

W głośnikach ryknęło przeraźliwie:

Błędna odpowiedź, Héctorze.

Program dawał mi tylko minutę na poprawkę. Jeśli nie zdążę, zostanę poinformowany o fatalnym zakończeniu. Reszta informacji na płycie zostanie skasowana.

Zrobiło mi się zimno, jakbym sam znalazł się na biegunie, na przeciw ogromnego niedźwiedzia, który parska mi oddechem w twarz. Odpowiedź była na pewno poprawna. Jakaś wada programu?

Nie, to raczej niemożliwe, znając programistów. Jakie inne kolory preferują misie? Nie ma ich tak wiele. Niedźwiedzie szare, brązowe i czarne, jak mi się zdaje. A także misie panda, ale panda to nie kolor, zresztą nawet nie niedźwiedź. Myśli tłoczyły mi się w głowie z wielką szybkością. Musiałem wybrać jakąś odpowiedź. Piętnaście sekund. Dziesięć. Pięć. Wystukałem pierwsze, co przyszło mi do głowy.

Nasze gratulacje, Héctorze. Kontynuujemy czy robimy przerwę na kawę?

Odetchnąłem z ulgą.

Sami pomogli mi znaleźć odpowiedź. Podsunęli mi to słowo. Wystarczyło najprostsze rozumowanie. Bez arytmetycznych operacji ani pojęć geograficznych. Odpowiedź była zawarta w poleceniu do zadania. Zagadka stara jak świat. Rozwiązanie najprostsze z możliwych.

Nie bez kozery John był fanatykiem *Władcy pierścieni* i Tolkienna*.

Zgodnie z logiką słowo wystukane *in extremis* brzmiało: klucz.

* Bohaterowie *Władcy pierścieni* stają przed kamiennymi drzwiami kopalni Morii, na których widnieje napis: „Powiedz: »przyjacielu«, i wejdź”. Hasłem do otwarcia zamkniętych wrót jest oczywiście „przyjacielu”.

11

– Trygonometria, którą widzicie na tablicy, nie jest nową dziedziną wiedzy. Liczy, bagatela, jakieś dwa tysiące trzysta lat.

Ta informacja nie wywarła na moich słuchaczach większego wrażenia. Musiałem znaleźć inny sposób, aby ich zainteresować.

– Już na trzysta lat przed naszą erą młodzi Grecy studiowali Euklidesa. Siedzieli na kamiennych ławach i nie wychodzili na przerwę, dopóki nie rozwiążali zadań z trójkątami – postraszyłem uczniów. – W owych czasach handel opierał się na żegludze. Nie istniały satelity GPS dla ułatwienia orientacji. Nie istnieli Amerykanie, którzy by to wymyślili. Ameryki też jeszcze wtedy nie było. Kolumb odkrył Nowy Świat, ponieważ pomylił się w wyliczeniach. Geometria nie była jego mocną stroną.

– Jaki błąd popełnił? – zapytała dziewczyna z pierwszej ławki.

– Źle obliczył obwód Ziemi – odpowiedziałem. – W czasach Kolumba mędrzy z uniwersytetu w Salamance doskonale znali wyniki pomiarów dokonywanych przez starożytnych Greków, którzy wyliczyli z dużą dokładnością, że obwód Ziemi wynosi w zaokrągleniu czterdzieści tysięcy kilometrów. Tymczasem Kolumb sądził, że to tylko trzydzieści tysięcy kilometrów i że szybciej dotrze z Hiszpanii do Azji, jeśli popłynie ze wschodu na zachód, a nie odwrotnie. W połowie drogi natrafił na nieznaną kontynent.

– Czy wtedy jeszcze wierzono, że Ziemia jest płaska? – wtrącił tym razem Simón.

Wyjaśniłem sprawę.

– Skądże! Nic podobnego. Od dawna już wiedziano, że Ziemia jest kulą. Nie były potrzebne zdjęcia z kosmosu, żeby się o tym przekonać. Wystarczyło poobserwować znikające na horyzoncie statki, aby uświadomić sobie krzywiznę powierzchni Ziemi. W polu

widzenia najdłużej pozostawały maszty.

Wróciłem do głównego tematu.

– Trygonometria oznacza, najprościej mówiąc, mierzenie trójkątów. Wzory Euklidesa znakomicie służyły i nadal służą do pomiarów odległości. Albo wysokości. Dzięki temu można było sporządzać mapy. Pozwalały również obliczyć położenie gwiazd dużych i małych oraz planet.

W tym momencie postanowiłem napędzić trochę wody na swój młyn.

– Wszystkie rysunki i schematy Kopernika, Tychona, Galileusza i Keplera bazują na Euklidesie. Geometria długo pozostawała bez zmian. Jeszcze kilkaset lat temu była taka sama jak na początku. Uczymy jej w szkole, ponieważ pozwala wykonać większość obliczeń, które są nam potrzebne w życiu codziennym.

Moi uczniowie przyjęli to obojętnie. Nie przekonałem ich, że znajomość matematyki przynosi wiele korzyści. Odwróciłem się do tablicy pokrytej trójkątami o różnych funkcjach i zakończyłem lekcję zadaniem pracy domowej.

– Na jutro proszę zrobić zadania od dziesiątego do piętnastego. Wszystkie. Nie przyjmę żadnych usprawiedliwień.

– Ale dziś są *Champions* w telewizji – zaproponował największy leń.

– Jutro pójdziesz na pierwszy ogień. Dostaniesz najtrudniejsze zadanie. Trzynaste. Uważaj, bo trzynastka przynosi pecha. A teraz wszyscy na zewnątrz.

Dzwonek na przerwę przestał dzwonić. Wycierałem jeszcze tablicę, kiedy zza pleców dobiegł mnie głos Simóna.

– Proszę ojca, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o dawnej astronomii i astronomach. Nie rozumiem, dlaczego wyniki pracy Tychona były dla Keplera aż tak ważne, że posunął się do morderstwa, by je zdobyć, jeśli to prawda, co piszą na ten temat. Prędzej zrozumiałbym morderstwo w afekcie, gdyby w grę wchodził jakiś tajny trójkąt miłosny – zażartował chłopiec.

– Spróbuję ci to wyjaśnić pokrótce, bez wdawania się w szcze-

góły – podjąłem wyzwanie. – Do szesnastego wieku ludzie wyobrażali sobie niebo i Ziemię tak jak w modelu Arystotelesa. Ziemia stanowiła centrum wszechświata, a wszystko inne krążyło wokół niej. Ten prościutki model znakomicie funkcjonował. Żeglarze orientowali się w kierunku podróży według gwiazd i dopływali do celu.

Wyraz twarzy Simóna świadczył, że niewiele z tego rozumiał.

– Kiedy obserwujemy niebo – kontynuowałem – widzimy przede wszystkim to, że gwiazdy poruszają się ze wschodu na zachód i wydaje nam się, że to my tkwimy nieruchomo w jednym i tym samym miejscu względem gwiazd. Słońce też jest gwiazdą. Kiedy wschodzi, jego światło przyćmiewa całą resztę. Kiedy zachodzi i zapada noc, widać, że gwiazdy poruszają się prawie zawsze tak samo. To stwierdzenie dotyczy prawie wszystkich gwiazd. Nie ma przy tym znaczenia, czy uważamy za centrum wszystkiego Ziemię czy Słońce.

– Aha – przytaknął nie do końca jeszcze przekonany Simón.

– Jednakże pewne gwiazdy wypadają z tego rytmu – mówiłem dalej. – Zachowywały się tak, jakby błądziły, i dlatego Grecy nazwali je planetami. To słowo znaczy dokładnie: ciała błądzące.

– Znikały?

– Nie. Ale poruszały się inaczej niż reszta. Czasem w odwrotnym kierunku, z zachodu na wschód. Największym figlarzem, że się tak wyrażę, był Mars.

Chłopiec słuchał uważnie.

– Dyskusje między Tychonem i Keplerem dotyczyły głównie tej planety. Przez ponad trzydzieści lat Tycho obserwował i zapisywał położenie Marsa względem gwiazd stałych. Choć dużo nad tym myślał i bardzo się starał, nie zdołał dobrać dla tej orbity żadnej ze znanych krzywych. Wynajął Keplera do pomocy przy swoich pracach badawczych. Nie trzeba dodawać, że Keplerowi wystarczył jeden rzut oka na wyniki pomiarów, aby stwierdzić, że Mars porusza się po orbicie, która jest elipsą ze Słońcem w jednym z ognisk.

– Przecież to proste – zauważył Simón.

– Ale wtedy wcale nie było takie proste. Przeskoczyłem sporą część historii. Kiedy starożytni astronomowie odkryli planety i

zobaczyli, że one poruszają się inaczej niż gwiazdy, postanowili przypisać je rozmaitym sferom. Już nie było jednego, jedyne sklepienia niebieskiego ze stałymi gwiazdami, które poruszają się w jednym rytmie i wszystkie krążą wokół Ziemi. Wszechświat objawił się w postaci szeregu koncentrycznych sfer krystalicznych umieszczonych jedna w drugiej i poruszających się miarowo. Każda planeta, a także Księżyc i Słońce miały swoją własną sferę. Ziemia pozostawała nieruchoma jako centrum tego wszystkiego. Ostatnią sferę stanowił krąg gwiazd stałych, niezmiennych.

– W ten sposób starożytni znaleźli odpowiedź na pytanie, dlaczego planety tak dziwnie się poruszają. Dlatego, że krążą po różnych sferach – podsumował inteligentnie Simón.

– I tak, i nie. Z filozoficznego punktu widzenia model ten okazał się funkcjonalny. Ale nie z geometrycznego. Nie dawało się określić dokładnie ruchu sfer wewnętrznych. Nie można było odtworzyć w wiarygodnej formie, którędy i kiedy przechodzą planety. Model stawał się coraz bardziej skomplikowany. Z początkowych ośmiu sfer zrobiło się pięćdziesiąt kilka. Jedne miały poruszać drugimi w jakiś specjalny, bardzo zawiły sposób. Wreszcie w drugim wieku Ptolemeusz z Aleksandrii opracował szereg tabel i wyliczeń pozwalających przewidzieć ruchy planet z dużą dokładnością. Wymyślił wspaniały model geometryczny, pełen krzywizn i swojsko brzmiących nazw typu: epicykl, ekwans i deferent. Geometria zatriumfowała. Model geocentryczny służył ludziom tak dobrze, że przez czternaście stuleci nikt nie kwestionował kosmologii Arystotelesa z Ziemią jako centrum wszechświata.

– Aż tak długo to trwało? – Simón miał sceptyczną minę.

– Nie tak długo, jeśli wziąć pod uwagę tamte czasy. Słudzy Kościoła nie zawsze byli tacy fajni jak twój rozmówca. – Żartobliwie stuknąłem się palcem w pierś. – Model arystotelesowy ustalał, że Ziemia jest w centrum boskiego aktu stworzenia, a człowiek na Ziemi. Chrześcijańscy filozofowie i teologowie ze świętym Tomaszem na czele zaadaptowali idee Arystotelesa i wiara zajęła miejsce nauki. To był jeden z największych błędów w historii Kościoła.

- O mało nie spalili Galileusza, prawda?
- Galileusz został oskarżony przed inkwizycją i zmuszony do wyparcia się swoich teorii. Mniej szczęścia miał kilka lat wcześniej inny współczesny Tychona i Keplera, Giordano Bruno, który spłonął na stosie. Pierwsi nowożytni astronomowie byli przezorni – ciągnąłem. – Najlepszym dowodem jest postawa Kopernika. Z wielką ostrożnością ogłosił swój nowy model kosmologiczny, a książkę mówiącą o tym, że Słońce jest centrum wszechświata, a nie Ziemia, zadedykował na wszelki wypadek papieżowi. Kopernik umarł w tysiąc pięćset czterdziestym trzecim roku, zaledwie miesiąc po opublikowaniu życiowego dzieła, nad którym pracował prawie dwadzieścia pięć lat. Zatyłował je *O obrotach sfer niebieskich*. Proroczy tytuł: *De revolutionibus...* Dziś każdą wielką zmianę, niekoniecznie w dziedzinie nauki, nazywamy potocznie kopernikańską. Mówimy „rewolucja kopernikańska”, „przełom kopernikański” i tak dalej. Nawet w języku widać wielki wpływ astronomii.

- A kiedy pojawiają się Tycho i Kepler?

- Kilka lat później. Model kopernikański nie zdążył się jeszcze upowszechnić i nie odniósł natychmiastowego sukcesu, chociaż teraz wydaje nam się wspaniałym, epokowym odkryciem. Początkowo Kopernik sądził, że orbity planet mają doskonały kształt koła, toteż porobił błędne wyliczenia. Kiedy zdał sobie z tego sprawę i próbował naprawić swój błąd na podstawie danych eksperymentalnych, musiał uciec się do epicyklów i deferentów. Jak Ptolemeusz. Opracowane według jego modelu tablice efemeryd wcale nie były lepsze od tych dawniejszych. Dlatego żeglarze i ludzie uczeni pozostali przy modelu geocentrycznym, nadal uważając go za prawidłowy, zwłaszcza że nie kolidował z panującą religią i nie negował idei wielkiego Arystotelesa. W gruncie rzeczy Tycho nigdy nie przyjął modelu Kopernika. Zaczął od zera, notując pozycje gwiazd i planet z nigdy dotąd niewidzianą precyzją. I zatrzymał się w połowie drogi.

- Co to znaczy?

- Że jemu też nie udało się pogodzić geometrii z rzeczywistością. Zabrakło mu na to czasu. Tycho miał własną koncepcję wszechświata

z Ziemią pośrodku i krążącymi wokół niej Słońcem oraz Księżycem. Ale pozostałe planety nie obracały się już wokół Ziemi, tylko wokół Słońca. Tycho miał wyniki swoich obserwacji, lecz nie umiał stworzyć prawidłowego modelu. W owym czasie Johannes Kepler dał się już poznać jako znakomity matematyk, lecz nie wiodło mu się najlepiej. Miał wiele kłopotów z powodu swojego przywiązania do luteranizmu. Resztę już znasz mniej lub bardziej dokładnie.

– Czy Kepler był zwolennikiem Kopernika? – dopytywał Simón, jakby nie chciał zakończyć tej rozmowy.

– Tak. I często dochodziło na tym tle do nieporozumień między uczniem a mistrzem. Tycho żądał od Keplera skonfrontowania wyników obserwacji ze swoim modelem wszechświata. Kepler podjął się tego zadania, lecz pracował bez zapału i wcale nie ukrywał, że ma własne poglądy na ten temat. Między innymi dlatego Tycho nie udostępnił mu od razu wszystkich pomiarów, tylko wydzielał małymi partiami jak lekarstwo.

– Aha, to bardzo interesujące.

– Też tak sędzę. Astronomia zmieniła sposób widzenia nieba. Zmiany w astronomii pociągały za sobą przemianę całej nauki i społeczeństwa. Z czasem wiara i rozum stały się odrębnymi pojęciami i dziś nikt nie wątpi, że bez dorobku astronomów olbrzymów nasz świat wyglądałby zupełnie inaczej.

Simón przytaknął usatysfakcjonowany moimi wyjaśnieniami. Minęło już pół godziny i reszta klasy czekała w drzwiach, żeby zająć swoje miejsce w ławkach. Niektórzy przysłuchiwali się naszej rozmowie.

– Proszę ojca, kiedy będę mogła popatrzeć przez teleskop? – zapytała głośno dziewczyna z pierwszej ławki, przechodząc obok mojego biurka.

Odpowiedziałem bez namysłu:

– Już niedługo.

Reszta piętnastolatków dołączyła do niej chóralnie.

– A ja? Ja też chcę! I ja!

Nazwisko Johna Dee pojawia się często w historii *Manuskryptu Voynicha*. Wymieniają je również biografowie Tychona Brahego, co stanowi dla mnie wartość dodaną. Dee zasłużył sobie na drobną wzmiankę w historii astronomii jako jeden z nielicznych, którzy oprócz Duńczyka odnotowali w 1572 roku wybuch supernowej.

Zanim zajmę się burzliwym życiem alchemika Dee, muszę sprawdzić, jak to było z owym sławnym zjawiskiem gwiazdowym, które słusznie przeszło do historii pod nazwą Supernowa Tychona. Otóż 11 listopada 1572 roku Tycho wracał wieczorem z laboratorium alchemicznego do domu na kolację. W pewnym momencie podniósł głowę, spojrzął do góry (zresztą może zawsze kroczył ze wzrokiem utkwionym w niebo?) i zobaczył nową gwiazdę. Znał na pamięć położenie prawie wszystkich dostrzegalnych gołym okiem gwiazd, a było ich na tej szerokości geograficznej prawie cztery tysiące – i aż przystanął ze zdumienia. Ujrzał nową gwiazdę w miejscu, gdzie wcześniej nic nie było, świeciła jaśniej od innych, mocniej niż Syriusz i Vega albo najjaśniejsza z planet, czyli Wenus. Tycho zachował się w tej sytuacji bardzo rozsądnie. Natychmiast przywołał służbę, uczniów i swoich chłopów – Tycho był bowiem właścicielem tej wyspy – i kogo tylko spotkał po drodze. Długo stali z zadartymi głowami, spoglądając we wskazanym kierunku, i potwierdzili odkrycie. Przez kilka następnych nocy Tycho uważnie obserwował gwiazdę. Ku swemu zdziwieniu i wbrew temu, co wstępnie przyjął za pewnik, gwiazda nie poruszyła się, nie miała ogona ani jasnego halo, błyszczała tak samo jak na początku. A więc to nie była kometa.

Odkrycie supernowej, jak sam ochrzcił to zjawisko, stanowiło przełomowe wydarzenie. Nie tylko dlatego, że przybyła jeszcze jedna gwiazda. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów stało się coś takiego. Co prawda w 1054 roku pojawiła się inna supernowa, której pozostałości znane są obecnie jako Mgławica Kraba, lecz widziano ją jedynie – a przynajmniej odnotowano – na Dalekim Wschodzie, w Chinach i Japonii, toteż Tycho nie mógł o niej wiedzieć. Kosmologia Arystotelesa traktowała niebo jako stałe, niezmienne, z wyjątkiem Księżyca, komety zaś uważano za zjawiska atmosferyczne zacho-

dzące w sferze Ziemi. Jeśli Tycho już wtedy powątpiewał w absolutną słuszność i niezawodność teorii Arystotelesa (bo na pewno zwątpił jakiś czas potem, gdy zmierzył paralaksę komety i prawidłowo usytuował ją z dala od orbity Księżyca), to pojawienie się supernowej dostarczyło mu nowych argumentów.

Przypomniałem sobie o innych zadziwiających przypadkach w historii astronomii. Supernowe są niezwykle rzadkim zjawiskiem w naszej Galaktyce, na naszej Drodze Mlecznej. Tworzą się wtedy, gdy gwiazda o dużej masie, znacznie przekraczającej masę Słońca, starzeje się i zaczyna spalać pierwiastki chemiczne w swoim jądrze dla pozyskania energii, która utrzyma ją przy życiu. W procesie fuzji wodór przekształca się w hel, ten z kolei następnie zamienia się w węgiel, potem powstają coraz cięższe pierwiastki i tak dochodzi do wyprodukowania żelaza. Atomy żelaza nie podlegają już fuzji, toteż energia się wyczerpuje i gwiazda w jednej chwili zapada się w sobie pod wpływem olbrzymiej siły grawitacyjnej. Rezultatem jest potężny wybuch. Droga Mleczna liczy sto miliardów gwiazd, lecz taka zapaść przydarzyła się tylko trzem z nich, średnio raz na tysiąc lat. W tym ostatnim tysiącleciu pierwszą supernową zaobserwowali astronomowie z Dalekiego Wschodu. Drugą Tycho Brahe. A trzecią, niedługo potem, w 1604 roku, zobaczył... Johannes Kepler. Od tamtej pory nie zapadła się żadna inna gwiazda w naszej Galaktyce.

Przeglądając najobszerniejszą biografię Tychona Brahego pióra Victora E. Thorena, zatytułowaną *The Lord of Uraniborg*, natrafiłem na pewien ciekawy szczegół. Autor opowiada o licznych podróżach Duńczyka po Europie w okresie przed Uraniborgiem. Podczas tych podróży Tycho nawiązuje przyjaźń z wieloma uczonymi, dzieli ich troski i radości. Jesienią 1577 roku przedłuża pobyt w Niemczech, w Regensburgu, z powodu koronacji cesarza Świętego Imperium Rzymskiego Rudolfa II, który po latach, gdy będzie na wygnaniu, znajdzie w Tychonie mentora i przyjaciela. Owej jesieni nasz astronom jest jedynie młodym arystokratą, poddanym króla Fryderyka II Duńskiego, którego miłuje i wiernie mu służy w licznych podróżach dyplomatycznych, łącząc tę pracę z pogłębianiem swoich zainteres-

sowań naukowych. W tym samym czasie i miejscu poznaje czeskiego fizyka o nazwisku Thaddeus Hayek. Nie miałoby to większego znaczenia, gdyby nie fakt, że Hayek jest jawnym zwolennikiem Paracelsusa i sławnym alchemikiem, a takich ludzi Tycho szczególnie sobie ceni. Hayek napisze kilka lat później – jak wynika z biografii Brahego – że widział na własne oczy przemianę rtęci w złoto dokonaną przez Johna Dee do spółki z jakimś dziwnym człowiekiem. Zdarzyło się to ponoć w 1584 roku. Tak się składa, że właśnie w tym okresie, na przełomie lat 1584 i 1585, zjawia się na dworze Rudolfa II w Pradze John Dee z Edwardem Kelleyem.

Historia lubi przypadki.

Nie pozostaje mi nic innego, jak prześledzić życie, dzieło i cuda – o ile takowe istniały – tej złowieszczej pary. Zamknąłem książkę Thorena i posurfowałem w sieci.

Dziwactwa doktora Dee i Kelleya oraz ich związki ze światem okultyzmu i ezoteryzmu są przedmiotem wielu stron internetowych pełnych niedorzeczności i niewyjaśnionych zdarzeń. Niełatwo odzielić rzeczywistość od fikcji w życiu osób twierdzących, iż prowadzą rozmowy z aniołami w języku Adama i Ewy. Zrobiłem sobie kawę i postanowiłem wynotować co ciekawsze informacje. Byłem przekonany, że zajmie mi to niewiele czasu, bo cóż więcej można powiedzieć o Johnie Dee ponad to, co już wiedziałem. Jednak się myliłem.

v

Nazwisko Dee występuje prawie zawsze w połączeniu z tytułem doktora lub z imieniem. Wiadomo, że urodził się 13 lipca 1527 roku w jednej z londyńskich twierdz. Nie wiemy, co robiła tam tego dnia jego matka, chociaż pewnie miało to coś wspólnego z tym, iż ojcem Dee był kupiec tekstylny, krawiec Henryka VIII. John, potomek szlacheckiego rodu Walińczyków (nazwisko Dee, który był wielokrotnie oskarżony o praktykowanie czarnej magii, znaczy po walijsku „czarny”), był znakomitym uczniem w Essex i studentem w Cambridge. Świetnie znał łacinę, grekę, arytmetykę, geometrię, filozofię

oraz – jakżeby inaczej – astronomię. Podobnie jak Tychona i Keplera fascynowała go astrologia. Dee wierzył, iż planety emitują coś w rodzaju siły, która wywiera szczególny wpływ na ciała, a zwłaszcza na ludzi. Miał zatem mętne pojęcie czegoś, co sto lat potem jego rodak Isaac Newton sformułuje matematycznie jako siłę przyciągania.

Tak jak Tycho John Dee zaczął podróżować dla pogłębienia swojej wiedzy. Pracował kilka lat ze sławnym matematykiem, geografem i kartografem Gerardem Mercatorem i nauczył się od niego techniki sporządzania map, którą z czasem przyniósł do Anglii. Przypisuje mu się pierwszeństwo w zastosowaniu geometrii euklidesowej do żeglugi i wytyczeniu na mapach najdalej wysuniętych na północny wschód i północny zachód morskich szlaków. Przetłumaczył na język angielski największe dzieło Euklidesa, słynne *Elementy*.

Zadumałem się. Ciekawe... Tego samego dnia, gdy wyłożyłem swoim uczniom korzyści płynące z geometrii euklidesowej, odkrywam jednego z najważniejszych propagatorów Euklidesa w Europie. Jak dotąd biografia naukowa Johna Dee jest bez zarzutu. Sprawa komplikuje się później.

Dee wraca do Anglii, gdzie rządzi Edward VI, dziewięcioletnie dziecko, które długo nie pożyje. Król Edward umiera w 1553 roku w wieku piętnastu lat. Nieco wcześniej książę Northumberland – John Dee był na jego dworze – zamówił u włoskiego fizyka Girolama Cardana horoskop małego króla. Podobno Cardano przesiedział nad tym setki godzin i przewidując złowieszczy finał, postanowił milczeć. Natomiast inne źródła podają, że Włoch się pomylił, przygotował horoskop, który okazał się nieprawdziwy. Prawdopodobnie był świadom, że sporządzając kartę astralną dla króla, naraża się na niebezpieczeństwo posądzenia o szpiegostwo, i dlatego wołał zachować ostrożność.

To dość zagmatwany epizod. W szesnastowiecznej Anglii intrygi trwały nieustannie. Dla mnie najciekawsze w tym wszystkim jest to, że John Dee i Girolamo Cardano znali się i razem pracowali. Wspomina o tym również Gordon Rugg. Teoria zaszyfrowania *Manuskryptu Voynicha* według wymyślonej przez Włocha metody nabiera

rumieńców.

Śmierć Edwarda VI przynosi wiele komplikacji doktorowi Dee. Na tron wstępuje siostra Edwarda Maria, która przywraca katolicyzm i wkłada całą energię w zniszczenie protestantów. „Zniszczyć” było w owych czasach synonimem spalania. John Dee zostaje aresztowany, dom zapieczętowany, książki i inne jego rzeczy ulegają skonfiskowaniu. Jest rok 1555. O jego winie przesądzą notatki z różnymi wyliczeniami. Wszystko, co ma związek z liczbami, kojarzy się z kabałą, numerologią oraz innymi sztukami magicznymi i heretyckimi. Pada oskarżenie o przynależność do tajnej sekty protestanckiej, sporządzanie horoskopów dotyczących królowej i jej małżonka oraz rzucenie złęgo uroku na królową Marię. Dee ma proces z wyrokiem skazującym, ale szybko wychodzi na wolność. Dziwne. Nie zmienia to jednak faktu, że popada w całkowitą ruinę.

Tymczasem Dee pracuje dla królowej. W następnym roku przedstawia projekt budowy wspaniałej Biblioteki Królewskiej, największej w Anglii. Projekt zostaje odrzucony. Mimo to John Dee nie przestaje gromadzić książek za własne pieniądze i na własne ryzyko. W pewnym okresie ma ich blisko cztery tysiące. Biorąc pod uwagę to, że uniwersytet w Cambridge posiadał wówczas zaledwie dwieście woluminów, księgozbiór Dee należy uznać za imponujący. Figurują w nim pozycje z filozofii, alchemii, astrologii i astronomii – stanowiące w tym czasie jedną i tę samą dziedzinę – medycyny, teologii i innych dyscyplin wiedzy. Czy w księgozbiórze był również *Manuskrypt Voynicha*? Nie wiadomo, to tajemnica. W 1558 roku królowa Maria umiera i na tron wstępuje Elżbieta. Sytuacja ulega zmianie.

Elżbieta jest protestantką, więc Anglia też staje się protestancka. Johna Dee spotyka zaszczyt ustalenia, jaki dzień będzie najlepszy na koronację nowej królowej. Wybiera 15 stycznia 1559 roku. Historia potwierdza, że był to trafny wybór. Elżbieta panuje długo i szczęśliwie, z wielką korzyścią dla Anglii i dla Johna Dee, który awansuje, umacniając swoją pozycję na dworze. Zostaje królewskim astrologiem. Wszystkie ówczesne dwory europejskie miały własnych astrologów i alchemików i traktowały bardzo poważnie kwestię

poszukiwania kamienia filozoficznego. Podobno oprócz tej funkcji Elżbieta powierzyła Johnowi Dee również inne, mniej magiczne, za to bardziej prozaiczne zadania. Do najciekawszych należy rola podwójnego agenta w wojnie angielsko-hispańskiej. Jego tajny numer identyfikacyjny to 007. Ni mniej, ni więcej. Brzmi kabalistycznie i bardzo filmowo. Podobno ta anegdota zainspirowała pisarza Fleminga, twórcę sławnej postaci Jamesa Bonda.

Pozostaje sprawdzić jeszcze jeden trop łączący Johna Dee najpierw z Tychonem, a następnie z Girolamem Cardanem. Jest nim wspomniane już pojawienie się supernowej. Skoro w związku z tą gwiazdą eksplozją Tycho i Dee występują obok siebie w biografii tego pierwszego, to podobny zapis powinien pojawić się w biografii drugiego z nich. I rzeczywiście. Kiedy Dee opublikował swoje wnioski z obserwacji tego zjawiska, wyjaśniając sens zastosowania metod trygonometrycznych do pomiaru odległości, w jakiej znajdowała się gwiazda, Tycho uznał tę pracę za godną podziwu. Tymczasem Cardano, trzeci uczestnik debaty o gwiazdnych eksplozjach, nie zgadza się z twierdzeniem, iż supernowa jest nową gwiazdą. Jego zdaniem jest ona tą samą gwiazdą, która wskazywała Trzem Królom drogę do Betlejem, a fakt pozostawania w ukryciu od czasów narodzin Jezusa Chrystusa ma głębokie przyczyny ściśle związane z jej boską naturą. John Dee jest w gruncie rzeczy astronomem kopernikańskim. W swoich tekstach poświęconych obserwacjom nieba jest dużo bliższy Brahemu niż Cardanowi. Stopniowe gaśnięcie supernowej Dee wyjaśnia jej powolnym oddalaniem się od Ziemi.

Poczynając od tego momentu, w życiu Johna Dee zachodzi radykalna przemiana. Zaczyna rozmawiać z aniołami i robi różne dziwne rzeczy na tle religijnym. Nawet mnie, zakonnika, rażą takie przejawy pobożności. Lepiej pójść spać, niech mi się przyśnią wszechobecne aniołki. Nie mam już siły na czytanie o magicznym życiu doktora Johna Dee. A tym bardziej o jego dziwnym wspólniku Edwardzie Kelleyu.

12

Odkąd pożegnałem się z Juaną w drzwiach hotelu, nie miałem żadnych wiadomości od moich przyjaciół. Ani e-maila, ani wido-kówki z plażą na Teneryfie albo wulkanem Teide. John nie odpo-wiedział na moją prośbę o *paper* profesora Volkera Bialasa w sprawie książki Gilderów. Pełen ojcowskiej troski wykręciłem numer telefonu komórkowego, który zostawiła mi Meksykanka: Usłyszałem sygnał, jakby telefon był wyłączony lub poza zasięgiem, raczej to pierwsze. Po raz pierwszy od roku nie miałem z nimi kontaktu. Akurat teraz, kiedy znajomość wirtualna zaczęła przeradzać się w realną. Nie wiedziałem, czy zatrzymali się w hotelu, czy wynajęli willę, zresztą nie miałem żadnego adresu. Po co mieliby mi go zostawiać, skoro odrzuciłem ich zaproszenie.

Chyba nie było powodu do zmartwień. To normalne, że pragnęli spędzić kilka dni sam na sam, z dala od reszty świata, aby nacieszyć się sobą. Mieli prawo do prywatnego miodowego miesiąca. A jednak dziwiło mnie, że zrobili z tego taką tajemnicę. Jedyna forma kontaktu, jaka mi pozostała, to owa zaszyfrowana CD, której nie przerobiłem do końca, zniechęcony możliwością porażki. Chwilowo nie miałem ochoty kontynuować. Porażka oznaczałaby dla mnie całkowitą przegraną – utratę twarzy i zawartości płyty. Spróbuję jeszcze zadzwonić i wysłać parę e-maili. Może mają trudności z dostępem do internetu.

Miałem zresztą inne powody do zmartwień. Chodzi o przyszłość mojej wspólnoty. Ostatniej nocy znowu ktoś uraczył nas napisem na murze, tym razem na zewnętrznej części, od ulicy, żeby dobrze było widać. Słowa napisane wyraźnie w alfabecie łacińskim krzyczały:

Spekulanci. Mordercy.

Nie muszę dodawać, jak wielka była konsternacja moich współ-

braci. Trudno zrozumieć, że ktoś może się posunąć do określenia swoich bliźnich mianem mordercy tylko dlatego, że ma kłopoty z parkowaniem samochodu w centrum miasta. I nie patrzy, że ci bliźni od prawie stu lat prowadzą szkołę dla młodzieży, w której uczą się dzieci wielu mieszkańców tego miasta, może nawet jego własne, albo on sam, że nie wspomnę o uldze dla duszy, jaką wierni znajdowali dzięki nam – dawniej w parafii, a teraz w starym kościele.

Kościół. Muszę wreszcie zbadać dokładnie jego podziemia.

Co prawda nie odnalazła się skrzynia z dokumentami i planami budynku z czasów przeora Hidalga, ale gdzieś tu powinny być na biurku materiały, które dał mi Carmelo w dniu naszej wspólnej wyprawy do podziemnego labiryntu. Miałem taki bałagan w papierach od kilku dni, że szukanie zajęło mi dłuższą chwilę. Były na samym spodzie przyrzucone innymi kartkami. Wyciągnąłem je stamtąd i zacząłem przeglądać w pozycji leżącej, gdyż wolałem wrócić do łóżka.

Kilka stron nie zawierało nic więcej oprócz opisu codziennych zajęć Anselma Hidalga. Rozkład dnia łatwy do przewidzenia. Przeor prowadził tryb życia typu *ora et labora*. Msze, lekcje, odwiedziny u chorych, wizyty w domach parafian, sporadyczne spotkania z politykami, majstrami murarskimi i różnymi urzędnikami. Dokładnie zapisuje wydatki i przychody, te pierwsze na czerwono, drugie na niebiesko. Na osobnej kartce jest coś w rodzaju poematu – czyżby stary przeor uprawiał poezję? Zachowany wiersz wydał mi się kiepskim naśladownictwem świętego Jana od Krzyża i nie zrobił na mnie wrażenia. Poza tym mnóstwo rysunków. Wygląda to tak, jakby dzieciak bazgrał z nudów na papierze w czasie lekcji. Nic z nich nie wynika. Koń, pies, mężczyzna pałący fajkę. Grube, nagie kobiety w beczkach albo puszkach.

Zaraz! Grube, gołe kobiety w puszkach?

Szybko zeskoczyłem z łóżka. Coś mi tu nie pasuje. Rysowaniem nagich kobiet zabawiają się głównie uczniowie, a nie poważny przeor jezuitów, który już dawno ukończył siedemnaście lat. Ale te rysunki wydają mi się znajome, nawet nie wiem skąd.

Rzeczywiście. Porównałem bohomyzy Anselma Hidalga z rycinami z *Manuskryptu Voynicha*. Podobieństwo było znaczne. Może niezupełne, ale na tyle duże, by wykluczyć jakąkolwiek perwersję u dawnego przeora. Nie ulega wątpliwości, że zakonnik kierujący jezuicką wspólnotą i klasztorem, gdzie ja obecnie mieszkam, również interesował się *Manuskrytem Voynicha*. I, co bardziej intrygujące, prawdopodobnie miał go w swoich rękach.

Przyjrzałem się jeszcze raz reprodukcjom oryginału. Kobiety namalowane przez Hidalgo wykazywały pewne podobieństwo do postaci ze stron części astronomicznej *Manuskryptu Voynicha*. Nie były identyczne, ale reprezentowały taki sam kanon piękna, jeśli można tak powiedzieć. Na stronach wypełnionych ręką przeora nie było jednak żadnego innego znaku czy litery przekopiowanej z alfabetu „voynichiańskiego”. Tylko te kobiety. Muszę o tym pamiętać. Manuskrypt zawiera sporo rycin z grubymi kobietami – może są ciężarne? – na temat których badacze *Manuskryptu Voynicha* ukuli bezlik romantycznych hipotez. Pewna rycina z bogatymi zdobieniami przedstawia tę samą grupę kobiet zanurzonych jak w kąpeli w jakichś płynach wypełniających naczynie połączone. Jedna z najbardziej sugestywnych hipotez tłumaczy, że jest to alegoria łączności duszy z ciałem. Być może w momencie narodzin. Albo alegoria rozdzielenia obu bytów w chwili śmierci.

Pora wyruszyć na nową wycieczkę.

Wziąłem klucz do wejścia do podziemnych korytarzy, latarkę ze świeżo zmienionymi bateriami i poszedłem prosto do kaplicy.

O tej porze świeciła pustkami.

Zakonnicy byli przeważnie w swoich pokojach albo w sali telewizyjnej. Część z nich z pewnością siedziała jeszcze w kuchni, dyskutując, co robić w tej nowej sytuacji, która spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Istniało już wstępne porozumienie z ratuszem. Koniec końców lepiej ustąpić z podniesioną głową, niż dać się wyrzucić. Ale obu stronom było jeszcze daleko do uzgodnienia stanowisk w kwestii odszkodowania za przymusowe wywłaszczenie. Poza tym nie mogliśmy zgodzić się na przeprowadzkę do starego

budynku zastępczego, który nam zaproponowano, do czasu wybudowania przez nas nowej szkoły: był zbyt zniszczony, aby prowadzić w nim lekcje z młodzieżą. Damián, Carmelo i Julián chodzili na zebrania z przedstawicielami instytucji zaangażowanych w tę sprawę, oficjalne rozmowy przeciągały się w nieskończoność, a niektóre kończyły z fatalnym skutkiem.



Długo mocowałem się z zamkiem u drzwi. Carmelo nie miał z tym żadnego problemu, widocznie znał jego właściwości, a ja musiałem dopiero się nauczyć. Po wejściu do środka zostawiłem drzwi otwarte i na wszelki wypadek zaklinałem je kawałkiem tektury. Stary, zardzewiały mechanizm zamka nie budził we mnie zaufania. Kto mi zagwarantuje, że zdołam je otworzyć, jeśli znowu zatrzasną się niespodziewanie? Pomacałem kieszeń w spodniach. Telefon komórkowy tkwił na swoim miejscu, chociaż nie wiadomo, czy tam na dole będzie zasięg. To wszystko, co wziąłem ze sobą. A mogłem zabrać jeszcze kromkę chleba, żeby znaczyć drogę okruszkami, albo sznurek, który ułatwiłby mi orientację w labiryncie. Ale nie pomyślałem o tym.

Właściwie nie było się czego bać.

Szedłem tą samą trasą, którą przemierzyłem z Carmelem kilka dni temu. Nie było innej opcji. Wąskie schody prowadziły tylko w jednym kierunku – na dół – i nie miały żadnych odgałęzień. Wkrótce

znalazłem się na podeście, gdzie zakończyliśmy swoją poprzednią wyprawę. Z bliska dobiegał szum wody. Słychać było też inną bieganinę i szelest sunących kroków. Poświeciłem latarką w tamtą stronę, chociaż lepiej było tego nie robić. Szczur przeleciał jak bolid między moimi stopami. Nie zdołałem powstrzymać okrzyku wstępu i wymierzyłem mu kopniaka, ale chyba nie muszę dodawać, że chybiłem. Piłka nożna nie jest moją silną stroną, wolę koszykówkę.

Skierowałem latarkę na wyświetlacz telefonu komórkowego. Istotnie, nie było zasięgu. Nie zadzwonię stąd ani nie odbiorę telefonu. Trochę się wystraszyłem, lecz zaraz pomyślałem, że to głupia reakcja. W razie czego wystarczy zrobić zwrot w tył i wejść na schody prowadzące do góry. Próbowałem stworzyć w myślach plan sytuacyjny, odgadnąć, co miałem nad głową. Bez powodzenia. Schody skręcały parę razy, zanim tu mnie przywiodły, a ich proste odcinki były różnej długości. Następnym razem wezmę ze sobą odbiornik GPS. Trzeba korzystać z najnowszych technologii. Głupiec ze mnie! Jeśli komórka nie działa tu na dole, to żaden globalny system pozycjonowania nie pomoże.

Postanowiłem dać sobie trochę czasu na eksplorację. Powiedzmy, piętnaście minut, a potem wrócę do punktu wyjścia. Posuwając się do przodu, będę skręcał tylko na prawo. Jeśli zaistnieje taka opcja, to oczywiście. W przeciwnym razie skręcę w lewo. Tej samej zasady będę się trzymał w drodze powrotnej. Uważam siebie za dobrego eksploratora obdarzonego niezłym zmysłem orientacji.

Tamta pierwsza wyprawa nie przyniosła nic interesującego. Masa szczurów, odór powodujący mdłości, i to wszystko. Część rzymska zachowała się w stanie prawie nienaruszonym, ale nie było na co patrzeć. Rząd ślepych studni połączonych między sobą. W rurach znajdowało się trochę wody wskutek przesiąkania nowszych przewodów kanalizacyjnych wybudowanych kilka metrów wyżej. Dziwne, że miejscy architekci nie zauważyli rzymskiego systemu kanałów ściekowych. Choć może zauważyli, kto wie. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, pod jakim budynkiem przechodziłem w tej chwili. Wydaje mi się, że to Muzeum Sztuki Współczesnej. Wybudowano je

kilka lat temu na działce należącej do rodziny pana burmistrza.

v

Następnego dnia lekcje dłużyły się w nieskończoność. Fizyka równi pochyłej nie wchodziła uczniom do głowy, pierwiastki kwadratowe rozsadały mi skronie. Zwolniłem ich wcześniej do domu z powodu chwilowej niedyspozycji nauczyciela.

Położyłem się do łóżka, żeby przeczekać do kolacji. Nie chciało mi się spać, ale po przejściu z równi pochyłej do pozycji horyzontalnej poczułem dużą ulgę. Dodatkowo pomogła mi aspiryna. Ustało pulsowanie w skroniach i odzyskałem jasność myślenia. Czy dużo ryzykuję, jeśli włożę ponownie płytę do czytnika CD-ROM? Eee, chyba nie, przecież dali mi ją przyjaciele. Nic by się również nie stało, gdybym od razu otworzył tę mniejszą kopertę dołączoną do płyty. Leżała w szufladzie szafki nocnej. Szufladę zamykałem na klucz, odkąd zniknęła z pokoju skrzynia z dokumentami ojca Anselma Hidalga. Chociaż jeśli się bliżej zastanowić, złodziej mógł z powodzeniem wynieść taki mebel, gdyby chciał, przecież poradził sobie z dużo większą skrzynią. Na szczęście szafka stała na swoim miejscu. Widocznie złodziej pomyślał, nie bez racji, że w szufladzie szafki nocnej znajdzie jedynie Biblię, bo taki dziwny zwyczaj mają wszystkie hotele amerykańskie. Kopertę Juany wsunąłem między Stary i Nowy Testament cudownej Biblii, którą otrzymałem od matki w dniu moich święceń kapłańskich. Czasy przed przyjściem Jezusa na świat i po nim. Moje własne przedtem i potem.

Uzmysłowiłem sobie nagle pewien szczegół, na który wcześniej nie zwróciłem uwagi. Przeglądając w archiwum przedmioty pozostawione w naszym domu przez bibliotekarza Lazzariego w 1770 roku, znalazłem tylko Biblię i parę klasycznych tekstów. Czy zadałem sobie trud przekartkowania tych książek? Oczywiście, że nie. Byłem zbyt zaintrygowany planami ojca Hidalga, by pomyśleć o otwarciu starej Biblii. Teraz, gdy zrozumiałem, że Hidalgo mógł mieć w swoich rękach *Manuskrypt Voynicha*, należałoby się przekonać, czy w rzeczach Lazzariego znajdę coś na ten temat.

Moje rozumowanie było tak proste, że prawie się przestraszyłem. Wiadomo skądinąd, że kiedy jezuita musieli udać się na wygnanie, główny bibliotekarz zakonu w rozpaczliwym wysiłku ocalenia ogromnej kolekcji książek i dokumentów dokonał podziału księgozbioru na części, które kazał ukryć w różnych miejscach. Jedną w Toledo, drugą w Rzymie, jeszcze inną we Francji. Dlaczego nie miałyby pomyśleć wtedy również o naszej skromnej, mało znanej siedzibie? Nowe budynki, świeżo oddane do użytku zakonników, małe miasteczko, spokój rzadko odwiedzanego klasztoru – trudno o lepsze miejsce na przeczekaanie ciężkich czasów.

Podniosłem się z łóżka i ponownie zszedłem po schodach w dół, do archiwum. Ból głowy całkiem ustąpił.

v

Teczka z napisem *O. Lazzari, 1770* leżała tam, gdzie ją odłożyłem. Rozwiązałem sznurki przytrzymujące kartonowe okładki i światło padło na stare księgi, niewykluczone, że dopiero po raz drugi w tym stuleciu.

Szybko przerzucałem zakurzone strony świętego Augustyna i świętego Tomasza. Nic oprócz kurzu. Żadnych osobistych notatek. Było to kiepskie wydanie nieodznaczające się niczym szczególnym.

Następnie zajrzałem do Biblii.

Jak tu nie wierzyć w działanie Ducha Świętego?

Pomiędzy Starym i Nowym Testamentem tkwiła zamknięta koperta.

Schowałem ją do kieszeni, przekręciłem klucz w drzwiach do archiwum, pogasiłem wszystkie światła i czym prędzej poszedłem do pokoju.

Tym razem od razu upewniłem się, czy drzwi są dobrze zamknięte, i dopiero wtedy zbadałem zawartość tajemniczej koperty.

v

Na złożonej na pół kartce papieru znajdowało się jedno zdanie.

Po łacinie, żeby było śmieszniej. W niezbyt klasycznej formie, z pominięciem niektórych liter.

Haec immature a me jam frustra leguntur oy.

Na pierwszy rzut oka te strzępki słów układają się w następujące zdanie:

„Daremnie próbowałem to zbadać, za wcześniej”.

Co to może znaczyć? Tylko tyle, że ktoś próbował coś zbadać za wcześniej. I chyba mu się nie udało. Tylko tyle i aż tyle. Można by to zdanie interpretować na wiele sposobów. Gdyby nie fakt, że zostało napisane gęsim piórem na osiemnastowiecznym papierze od dwustu pięćdziesięciu lat przechowywanym w murach mojego klasztoru, uznałbym to za kolejny wybryk moich makiawelicznych przyjaciół.

A tak, słowa te można odnieść nawet do *Manuskryptu Voynicha*. Brzmi to bardzo logicznie.

Z tego, co wiem, nikt nie zdołał odczytać tego manuskryptu. Z pewnością księga przeszła przez wiele jezuickich rąk, lecz nie została rozszyfrowana. Najbardziej zaintrygował mnie dopisek: „za wcześniej”. Za wcześniej na co i dlaczego? Może należało na coś albo na kogoś poczekać?

Odsunąłem od siebie ów stary dylemat, by stawić czoło nowym, bardziej współczesnym rozważaniom. Płyta CD zawirowała w czytniku komputera, dobrze znane obrazy z wielką szybkością przesuwały się jeden po drugim – fajnie znać z góry rozwiązanie zagadek – dopóki na monitorze nie przewinęła się sympatyczna adnotacja Juanów.

Nasze gratulacje, Héctorze. Kontynuujemy czy robimy przerwę na kawę?

Kawę już wypilem, toteż od razu klikam na DALEJ.

Nie widzimy oczywistej rzeczy. Co jest najłatwiejsze do rozszyfrowania w *Manuskrypcie Voynicha*?

Wielokrotnie stawialiśmy sobie to pytanie. Johnowi i mnie najłatwiejsze wydają się oczywiście schematy astronomiczne. Imiona głównych konstelacji zodiaku, nazwy miesięcy i wielu gwiazd istnieją już od tak dawna, że z powodzeniem mogłyby figurować w *Manuskrypcie Voynicha*. Botanicy z pewnością odpowiedzieliby na tak zadane pytanie, że najłatwiej rozszyfrować strony z roślinami. Ale

niestety, nie ma tam napisów. Dlatego astronomowie mają przewagę nad botanikami.

Założę się, że pomyślałeś o diagramach astronomicznych. Zawsze tak mówisz.

Zdolny chłopak. I zdolna dziewczyna, gdyż wspólnie przygotowali tę płytę. Bezbłędny hiszpański to z pewnością zasługa Joanny. Znaczący Juany.

Przyjrzelśmy się im ponownie. Ale w inny sposób.

Ciekawe jaki? Sprawdzali odbicie w lustrze? Próbowali czytać z prawej strony do lewej jak Arabowie? Albo eliminując samogłoski jak Żydzi? Robiono to już tysiące razy.

Najsławniejszy jest chyba diagram ze strony 67 *Manuskryptu Voynicha*. Składa się z dwunastu części, które łatwo wyróżnić. Mogą oznaczać dwanaście miesięcy roku albo dwanaście znaków zodiaku. Centralna figura odpowiada prawdopodobnie Księżycowi. Wiele razy głowiliśmy się nad tym we troje.

To fakt. Każda z dwunastu części dzieli się na dalsze dwie. Jedna zawiera słowa – być może nazwy własne – a druga kiepsko narysowane gwiazdy. Ilustracja ta jest tak sławna, że była swego czasu „astronomicznym zdjęciem dnia” w serwisie internetowym utworzonym przez grupę astronomów, którzy codziennie pokazują inny obraz nieba lub przestrzeni kosmicznej fascynujący swoją urodą albo tajemniczością. Z ciekawości zajrzałem do archiwum portalu. I rzeczywiście, pod datą 26 sierpnia 2002 roku znalazłem wspomniany rysunek.

Przyjrzelśmy się temu ponownie. Ale w inny sposób.

Wkurzają mnie ci moi przyjaciele, za bardzo się powtarzają.

Ja też przyjrzałem się reprodukcji. Nic nowego pod Słońcem.

Ani wokół Księżyca.

Héctorze, pomyśl o niedźwiedziu polarnym.

Zimno, zimno, zakpiłem z siebie.

Gwiazdy nie pozwalają Ci widzieć nieba?

Czyżby tam było coś jeszcze oprócz gwiazd?



Owszem, jest coś innego.

Trzy koncentryczne kręgi wokół dużej gwiazdy i słowa wypełniające przestrzeń między nimi. Mogą obracać się wokół centralnej gwiazdy podobnie jak sfery Arystotelesa albo planety Kopernika. Wniosek nasuwa się sam, dziwne, że jeszcze nikt na to nie wpadł. Oczywiście z wyjątkiem Johna. Astronomiczna rycina z *Manuskryptu Voynicha* to coś w rodzaju... kasy pancernej. Wystarczy prawidłowo poruszyć kręgami, aby mechanizm zaskoczył, a potem już tylko otwierasz drzwiczki i wyciągasz skarb. Problem w tym, że nie znamy kombinacji uruchamiającej dostęp do tego sejfu.

Masz rację, Héctorze, wszystko sprowadza się do odgadnięcia

kombinacji złożonej z trzech elementów. Ale tym razem jesteśmy w lepszej sytuacji. Mamy mniej sylab do przeanalizowania.

Niepoprawni optymiści, przecież liczba potencjalnych kombinacji nadal jest ogromna, rzekłbym nawet: astronomiczna. Mimo to poczułem niezwykły entuzjazm. Genialny pomysł!

A teraz otwórz kopertę. Najpierw zniszcz CD. Do zobaczenia, Héctorze.

Posłuchałem. Wsunąłem płytę z czytnika CD-ROM i połamałem. Aby uniemożliwić ewentualną rekonstrukcję dysku, wlałem trochę alkoholu do ceramicznej popielniczki, włożyłem kawałki płyty, wziąłem do ręki zapalniczkę i podpaliłem. Po chwili zrobiła się z tego śmierdząca plastikowa grudka.

Wtedy podszedłem do nocnej szafki, żeby wyjąć z szuflady Biblię z ukrytą kopertą od Juany. To już drugi sekret, który poznam tego dnia. Chociaż z góry wiedziałem, co znajdę w środku.

Ostrożnie rozerwałem brzegi koperty, starając się nic nie uszkodzić, gdyż w przeciwnym razie nie dostanę od Iberii zwrotu pieniędzy. Jak słusznie podejrzewałem od kilku dni, w kopercie był bilet lotniczy na Wyspy Kanaryjskie.

13

Tej nocy spałem jak suseł. Wyjaśniła się część niewiadomych, jakie ostatnio mnie nurtowały. Doszedłem do końca CD. John i Juana słusznie zaplanowali moją podróż na początku ferii. Bilet był wystawiony akurat z tą datą, zapewne wyjdą po mnie na lotnisko na Teneryfie. Widocznie spodziewali się, że rozwiążę wszystkie zadania z płyty. A nawet gdybym nie rozwiązał, to i tak wsiądę w samolot, żeby na miejscu wszystkiego się dowiedzieć. Cała ta fanfaronada i tajemniczość otaczająca płytę były podstępem moich przyjaciół, aby zaabsorbować mnie na nowo *Manuskryptem Voynicha*. Nie musieli aż tak się wysilać! O niczym innym tyle nie myślę od dłuższego czasu. Wiedzieli jednak, że normalnie nie przyjąłbym ich zaproszenia. Dlatego wymyślili przynętę.

Bez trudu uzyskałem zgodę na wyjazd. Przeor nie widział problemu w tym, że chcę wziąć urlop kilka dni wcześniej, niż było przewidziane. Należy ci się, powiedział. Dodał, że zmiana klimatu dobrze mi zrobi i nie powinienem ciągle siedzieć w książkach, nie tylko uczniowie potrzebują relaksu i rozrywki, ciało pedagogiczne również.

Miałem jeszcze tydzień do spotkania z Johnem i Juana. Mogłem wykorzystać ten czas na obracanie krążków gwiazdowego diagramu. Nie było łatwo. Słowa towarzyszące promieniom księżycowym nie kojarzyły się z niczym znanym. Ani w astronomii, ani w astrologii. Na oko były to tylko znaki „voynichiańskie” bez ładu ani składu. Owszem, utworzone według wzoru: prefiks – sylaba – sufiks, ale nic poza tym. Żaden element się nie powtarzał. Byłoby dużo łatwiej, gdyby istniały na przykład wspólne końcówki. Jak w przypadku nazw miesięcy. Po hiszpańsku i w wielu innych językach październik, listopad i grudzień kończą się tak samo. Weźmy dla porównania

angielski. Albo łacinę: *September, October – Octobris, Novembris, December – Decembris*. W „voynichiańskim” tak się nie zdarza. I tu sprawa się komplikuje.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czego szukać przy obracaniu dysków. Wiedziałem tylko, że są trzy i że słowa w języku „voynichiańskim” stanowią zwykle triady. Diagram mógłby być kluczem do rozszyfrowania całej książki. Albo i nie. Może tylko on zawiera jakieś przesłanie, a reszta tekstu jest pozbawiona sensu, istnieje tylko po to, by sprowadzić na manowce zniecierpliwionego tłumacza. Ten diagram może być wszystkim albo niczym. Nie ma co trąbić na zwyczajstwo. Skoro nie da się zidentyfikować dwunastu miesięcy, dwunastu konstelacji, dwunastu apostołów albo dwunastu krasnoludków, cokolwiek, byleby to miało jakieś znaczenie, nie mamy żadnej wskazówki, jak obracać tymi dyskami, w którą stronę. Tam, gdzie słońce wschodzi? Czy tam, gdzie zachodzi? Może trzeba odczytywać ten diagram w określonym dniu? Na przykład podczas solstycjum albo ekwinokcjum. Jest za wcześnie czy zbyt późno?

Zostawię sobie te pytania na inną okazję. Teraz zajmę się czymś lżejszym i przyjemniejszym.

V

Kim był Edward Kelley?

Zacząłem szukać w internecie. Po krótkiej chwili miałem przed oczami biografię godną bohatera średniowiecznej powieści łotrzykowskiej.

Prawdopodobnie urodził się w 1555 roku w Worcester w Anglii jako Edward Talbot. W dzieciństwie pracował jako pomocnik w aptece, co mogło mieć wpływ na jego upodobanie do ziół i do alchemii. Z pomocnika awansował na pisarza, a potem na notariusza publicznego w Lancaster. Tak rozpoczął swoją karierę oszusta. Przyłapany na fałszowaniu dokumentów został aresztowany i skazany na wygnanie. Na pocieszenie otrzymał obcięte uszy. Swoje własne. Tak wówczas karano za fałszerstwo. Na wszystkich rysunkach i rycinach figuruje odtąd z długimi włosami i brodą, w dużym kapelu-

szu z szerokim rondem, wciśniętym, teoretycznie, aż do uszu. Czysta kokieteria, jak mniemam.

Talbot znajduje schronienie w Walii, gdzie zmienia nazwisko na Kelley. Tam zaczyna rozpowiadać dookoła, iż jest w posiadaniu starego rękopisu (czyżby *Manuskryptu Voynicha?*), którego nikt nie potrafi odczytać. Oprócz niego, rzecz jasna... Księga ta mówi rzekomo, jak znaleźć kamień filozoficzny. Poza tym Kelley wyznaje każdemu, kto zechce go wysłuchać, że niebiańska istota – prawdopodobnie anioł – przywiodła go do miejsca zwanego Northwick Hill, gdzie w ruinach starego opactwa, w grobowcu biskupa, znalazł księgę i dziwną czerwoną tynkturę służącą do przemiany metali w złoto.

Ta osobliwa historia była tak niewiarygodna, że – paradoksalnie – uwierzyło w nią wiele osób. Po pierwsze, dlatego iż powszechnie sądzono, jakoby w grobowcach księży i biskupów katolicy ukrywali skarby przed protestantami. W tamtych czasach zmieniano religię wraz ze zmianą królowej – jak w grze w szachy. A po drugie, ponieważ wiara w duchy była czymś naturalnym. Sam John Dee, utalentowany matematyk i uczony, zaufał Kelleyowi bez zastrzeżeń. I nie tylko on. Wiara w anioły była tak rozpowszechniona, że cherubinom, serafinom i całej reszcie anielskiej fauny – Boże, wybac mi nonszalancki ton! – przypisywano udział w poruszaniu sfer niebieskich.

Dee i Kelley nawiązują znajomość w 1581 lub w 1582 roku. Pierwszy z nich miał za sobą nieudane próby rozmawiania z aniołami. Drugi słynął z tego, że może to robić bez trudu. Dee nie miał dużo pieniędzy – królowa Elżbieta nie była zbyt szczodra – ale miał niewątpliwy atut w postaci wpływów na dworze. Przy pierwszej lepszej okazji Kelley zjawił się u niego w domu z kryształową kulą*. Utrzymywał, iż to magiczne lustro umożliwi mu kontakt z duchami. Przez pewien czas Dee skrupulatnie notował wszystko, co Kelley rzekomo usłyszał z zaświatów. Był przekonany, że na wezwanie odpowiadają tylko dobre duchy i że dzięki nim można bezpiecznie pogłębić swoją wiedzę. Dee traktował Kelleya jako medium w kontaktach z duchami, które doń mówiły w anielskim języku zwanym

językiem Enocha.

* Ta magiczna kula należała potem do Johna Dee, a obecnie można ją oglądać w Muzeum Brytyjskim w Londynie.

„Enochiański” jest oczywiście językiem wymyślonym, ale ma swój alfabet i licznych zwolenników w internecie. Ci szaleńcy zadbali o należyte udokumentowanie. Z wiadomych powodów „enochiański” bardzo przypomina swoją strukturą język angielski i daje się tłumaczyć prawie słowo w słowo. Litery „enochiańskie” łatwo zastąpić łacińskimi. Wyrazy składają się z samych spółgłosek lub tylko z samogłosek. W tym sensie „enochiański” odziedziczył pewne cechy kabalistyczne. Liczy około tysiąca znanych słów, które występują w dziewiętnastu poematach symbolicznych. Niestety, jakiegokolwiek podobieństwo między tym językiem i „voynichiańskim” jest najzupełniej przypadkowe. Pierwszy z nich daje się odczytać, drugi – jak dotąd nie. Przez pewien czas spekulowano, że *Manuskrypt Voynicha* został napisany w tym nowym języku skonstruowanym oczywiście przez duet Dee-Kelley. Później okazało się jednak, że one nie mają ze sobą nic wspólnego.

Kiedy władze znowu zaczynają deptać mu po piętach, Edward Kelley namawia Johna Dee do opuszczenia Anglii. Wyruszają w długą podróż, zatrzymując się najpierw w Niemczech, a następnie w Polsce, gdzie są gośćmi tajemniczego księcia – lub hrabiego – o nazwisku Łaski. Ów książę alchemii radzi im dołączyć do dziwnego dworu faworytów cesarza Rudolfa II w Czechach. Cesarz jest łatwowierny i podatny na depresję, wydaje krocie na poszukiwanie jeszcze większych bogactw materialnych – czyli kamienia filozoficznego – a także spokoju i szczęścia, gdyż czuje się ciągle zagrożony i prześladowany przez zły los. Jadą więc do Pragi w doborowym towarzystwie, gdyż po drodze dołączają do nich inni awanturnicy, jak katolicki renegat Pucci, który traktował Johna Dee jak proroka.

Dee i Kelley pojawiają się w stolicy Czech prawdopodobnie w 1585 roku. Podobno doktor Dee wyznał cesarzowi Rudolfowi, iż w rozmowach z aniołami, konkretnie z Urielem, jakie przeprowadził w dniach 21-22 września 1584 roku (a jak wiadomo, w sprawach

niebiańskich trzeba być rzeczowym, podawać dokładną datę i imię rozmówcy), tenże anioł przekazał mu sekret wytwarzania kamienia filozofów. Dzięki rękopisowi (może naprawdę chodziło o *Manuskrypt Voynicha!*), czerwonej tynkturze i boskiej pomocy Dee może teraz zamieniać metale w złoto. Tak to przedstawił. Tymczasem szereg niejasnych i mało prawdopodobnych wydarzeń, jakie następowały po sobie podczas ich pobytu w Pradze, sprawił, że losy Dee i Kelleya potoczyły się odmiennie. W miarę jak Kelley stawał się ulubieńcem cesarza, John Dee popadał w niełaskę. Rok później – w 1586 – udaje się na wygnanie z rozkazu katolickiego papieża Sykstusa V. Razem z nim opuszczają Pragę jego wyznawcy, między innymi renegat Pucci. Ciąży na nich oskarżenie o uprawianie czarnej magii.

Ciekawe i zabawne.

Ale to jeszcze nie wszystko. Nie spodziewałem się znaleźć aż tylu informacji na ten temat. Dodatkowo potrzebowałem wyjaśnić parę kwestii religijnych. Wedle jednej ze szkół myśli średniowiecznej sam Bóg dał alchemię Adamowi oczywiście za pośrednictwem anioła. Tym razem był to Anioł Tajemnic znany w niebiosach pod imieniem Raziel. Adam przekazał tę wiedzę Enochowi. Następnie Enoch Abrahamowi, ten Mojżeszowi, a Mojżesz Hiobowi, który po wielu cierpieniach uzyskał kamień filozofów i pomnożył przez siedem – magiczna liczba – swój początkowy stan posiadania. Enoch to postać tajemnicza i niejasna, ponieważ występuje dwukrotnie w Księdze Rodzaju. Za pierwszym razem jako syn Kaina. Był więc wnukiem Adama, co tłumaczy zażyłość między nimi. Druga wzmianka biblijna ma ściślejszy związek z alchemią. Dowiadujemy się, że Enoch był synem Jareda, ojcem Matuzalema, dziadkiem Lameka i pradziadkiem Noego. Czytamy dalej, że był człowiekiem sprawiedliwym, „żył w przyjaźni z Bogiem” przez 365 lat, a następnie znikł, lecz nie umarł, „bo zabrał go Bóg”. Tylko tyle.

W dzieciństwie fascynowały mnie opowieści biblijne Starego Testamentu. Dziś o Enochu dowiadujemy się więcej z internetowej encyklopedii Wikipedia:

Enoch był pierwszym, który wymyślił książki i różne formy pisma. Starożytni Grecy wierzyli, że Enoch to Hermes Trismegistus, który nauczył synów ludzi sztuki budowania miast i ustanowił wspaniałe prawa... Posiadał wiedzę o zodiaku i o biegu planet. Nauczył synów ludzi, że powinni wielbić Boga, powinni pościć, modlić się, dawać jałmużnę, ofiary wotywnie i dziesięcinę. Potępił wstrętne jedzenie i pijaństwo, wprowadził festiwal ofiar dla uczczenia słońca w każdym znaku zodiakalnym.

Enoch jest również prorokiem w Koranie, gdzie nosi imię Idris. Jak mówi Księga Enocha, apokryficzny tekst hebrajski, Bóg zabrał go do siebie i przemienił w anioła Metatrona. Jest on zatem kolegą Uriela, ulubieńca Johna Dee i Edwarda Kelleya. Dla alchemików Enoch miał wielkie znaczenie, uważali go za wynalazcę alfabetu i całego systemu symboli, które w odpowiedniej kombinacji mogły przekształcać metale, a nawet ludzi, anioły i duchy.

v

Nie sądzę, by Tycho czy Kepler zgadzali się z treścią cytatu zaczerpniętego z Wikipedii. Jego autorem jest – jak należy sądzić – Bar Hebraeus, teolog syryjski z XIII wieku, wedle którego Enoch nie tylko odkrył ruch planet, lecz także badał znaki zodiaku. Prawdopodobnie obaj astronomowie znali ten cytat. Uważali jednak, że każdą kwestię związaną z niebem trzeba należycie udokumentować.

Wyjaśniłem Simónowi, kim był Enoch, nie wspominając oczywiście o *Manuskrypcie Voynicha*. Dodatkowa lekcja ze Starego Testamentu, zapomnianej historii sacrum. Ja znam ją ze szkoły, lecz na szczęście lub na nieszczęście teraz tego nie uczą.

– Uczyleś się, że Adam i Ewa są naszymi prarodzicami? – zapytał.

Ostatnio przeszliśmy na ty. Sam mu to zaproponowałem, podobnie jak reszcie klasy, ponieważ dziwnie się czułem, słysząc „proszę ojca”, i miałem wrażenie, że to mnie postarza.

– Jeśli chcesz znać prawdę, to ci powiem, że ja chodziłem do szkoły w schizofrenicznych czasach. Wyobraź sobie – dodałem – że

jesteś na lekcji biologii. Nauczyciel, młody ksiądz, taki jak ja, wyjaśnia ewolucję gatunków według Darwina. I mówi, że wszyscy pochodzimy w ten czy inny sposób od wspólnego przodka: od małpy. A na następnej lekcji stary ksiądz, który uczy religii, mówi zupełnie co innego. Że Bóg stworzył Adama i Ewę. Z nicości.

– Amerykanie uczą podobnie – odparł.

Simón znowu miał w ręku lokalną gazetkę.

– Mówiłem, żebyś nie wierzył we wszystko, co piszą gazety. Nie warto.

– Co to jest Inteligentny Projekt?

– No właśnie. Przede wszystkim wcale nie taki inteligentny – odpowiedziałem. – To zniekształcona wersja teorii ewolucji, bliższa klasycznej wersji kreacjonistycznej i przez nią skażona. Kreacjonizm mówi, że człowiek pojawił się na Ziemi wskutek bezpośredniego działania Boga, a nie w wyniku naturalnej ewolucji. Natomiast Darwin prawidłowo postrzegał ewolucję jako proces niekierowany, o którego rezultacie decyduje chwilowy zbieg okoliczności.

– To skąd się wzięła ta nazwa: Inteligentny Projekt?

Simón jak zwykle atakował mnie pytaniami.

– Zwolennicy tej teorii uważają, że życie jest zbyt zawile, by wzięło się z przypadku, toteż ewolucją musiała kierować jakaś wyższa inteligencja. Oczywiście Bóg. Jest w tym swoisty fundamentalizm chrześcijański – dodałem. – Kreacjoniści nie robią nam żadnej przysługi. Wszystko wygląda dużo prościej, gdy oddzielimy naukę i religię.

Ta rozmowa zaczęła mnie wciągać.

– Pomyśl, jakim nieszczęściem był dla Kościoła średniowieczny obskurantyzm. Do dziś krytykuje się nas za proces Galileusza, chociaż minęło już tyle wieków.

– To czego chcą Amerykanie?

– Po pierwsze: nie wszyscy, tylko mała grupa – zaznaczyłem. – Mała, ale wpływowa. W niektórych stanach, na przykład w Kansas, domagają się, by włączyć tę teorię do programu nauczania biologii jako alternatywę dla teorii Darwina na takich samych warunkach i z

równą liczbą godzin. Dla nich jest nie do zaakceptowania brak jakiegś siły wewnętrznej w przyrodzie lub zewnętrznej w niebie, która popycha żywe istoty do samodoskonalenia. Uważają, że wszystko musi mieć cel. Albo przyczynę. Amerykańscy naukowcy i uniwersytety nie podejmują z nimi dyskusji. Ale kilku ostatnich prezydentów, z wyjątkiem demokracji Clintona, odniosło się przychylnie do petycji rozmaitych organizacji ewangelickich, które są bardzo potężne.

– Nie rozumiem, jak mogli przekonać tylu ludzi. No, ale Amerykanie wylądowali pierwsi na Księżycu. I wciąż dokonują nowych odkryć – odparł sceptycznie Simón. – Kto jak kto, ale oni na pewno znają się na nauce. Ja jestem w połowie Amerykaninem.

Fakt. Przypomniałem sobie, że jego ojciec pracuje w konsulacie.

– Zapytaj swojego ojca. Kreacjoniści mają pieniądze. Mają adwokatów i polityków. Mają stacje telewizyjne. I zręcznych kaznodziejów, którzy trafiają z takimi argumentami do prostych ludzi, okraszają swoje wywody cytatami z Biblii i różnych dziwnych powieści.

– Na przykład?

– Na przykład wróćmy do Enocha. Otóż według mormonów, którzy stanowią tylko drobną część kreacjonistów, Enoch założył w grzesznym świecie miasto sprawiedliwych, Zion. Bóg uratował go wraz z mieszkańcami tego miasta przed Wielkim Potopem, przenosząc ich w bezpieczne miejsce. Pozostał tylko Matuzalem z rodziną, do której należał Noe, żeby sprawiedliwi zaludnili na nowo ziemię.

– Gdzie Bóg przeniósł Enocha?

– Myślę, że do szczęśliwej Arkadii.

– Co to jest ta Arkadia?

– Kurczę, Simón, zwariuję od twoich pytań – jęknąłem desperacko. – Wiesz co?

– Nie wiem.

– Idę pograć w koszykówkę. Tobie radzę to samo.

Resztę dnia poświęciłem na badanie losów *Manuskryptu Voynicha*. Z dworu Rudolfa II przeszedł w ręce Marcusa Marciego, a następnie do mędrca Athanasiusa Kirchera. Odtąd był przez pewien czas własnością jezuitów. Jednak w okresie między rokiem 1680 – data śmierci Kirchera – a 1773, kiedy następuje pierwsze rozwiązanie Towarzystwa Jezusowego i wszystkie nasze archiwa zmieniają siedzibę, nic nie słyhać o *Manuskrypcie Voynicha*. Nie figurował w katalogach ani w muzeach, ani w bibliotekach zakonu. Może ze względu na swoją treść został ukryty lub otoczony znową milczenia. Kto to wie? Zwłaszcza że spora część ilustracji może uchodzić za demoniczne, głównie rysunki nagich kobiet w ciąży i karty astralne. Każdy mógł to uznać za traktat o czarach. Rysunki nieznanych roślin, nieznanne układy gwiazd i dziwaczne znaki zamiast liter. Takiej książki nie wolno udostępniać nieprzygotowanemu czytelnikowi. Ktoś musiał podjąć decyzję, że ów niezrozumiały manuskrypt nie wyjdzie na światło dzienne. Co nie znaczy, że należało go zniszczyć. Może się bowiem okazać, że to wartościowe dzieło, które trzeba strzec do momentu, aż pojawi się odpowiednia osoba powołana do wyjaśnienia tajemnicy.

To nie muszę być ja. Choć przyjemnie się ludzić.

Ale książka już od dawna przestała do nas należeć. Po śmierci ojca Roothana, który był naszym generałem po pierwszej restauracji, na czele Towarzystwa Jezusowego stanął Petrus Beckx. Jest więcej niż pewne, że książka przeszła przez jego ręce – na okładce manuskryptu zakupionego przez Wilfrida Voynicha w 1912 roku zachowała się nalepka z napisem: *Z prywatnej biblioteki P. Beckxa*. W 1870 roku wojsko Wiktora Emanuela weszło do Rzymu i zabrało nam wszystko z wyjątkiem majątku osobistego. Żołnierze musieli liczyć się z tym, że jezuici mają sporą rzeszę przyjaciół wśród rzymskich katolików, którym mogłaby nie spodobać się taka grabież. Mimo to nowy rząd zajął siedemdziesiąt bibliotek z księgozbiorem liczącym ponad czterysta tysięcy pozycji, które zostały przekazane do Biblioteki Narodowej. Znalazła się tam również korespondencja Marciego i Kirchera oraz eksponaty z prywatnego muzeum tego ostatniego.

Ograbiono nas prawie doszczętnie. Po drugiej restauracji odzyska-
liśmy tylko część utraconych dóbr.

W okolicach Rzymu leży Villa Mondragone – góra smoka – wy-
budowana w 1577 roku przez kardynała Altempa. W 1613 roku
nabył ją kardynał Scipione Borghese, późniejszy papież Paweł V. W
1865 roku została przekazana Towarzystwu Jezusowemu. Tu schronił
się przed represjami nasz generał. Oczywiście zabrał ze sobą swoje
książki. W 1896 roku, kiedy zakon przeżywa znowu okres boomu pod
przyjaznymi rządami papieża Piusa X, Villa Mondragone staje się
naszą własnością. Budynek jest w fatalnym stanie. Okazuje się, że
trzeba coś sprzedać, żeby mieć pieniądze na odrestaurowanie. Nie-
bezpieczna decyzja, ponieważ Towarzystwu Jezusowemu zawsze –
zarówno kiedyś, jak i teraz – zarzucano merkantylizm. Część liczą-
cego ponad tysiąc tomów księgozbioru musiała iść na sprzedaż. Całą
akcję utrzymywano w wielkim sekrecie, dopuszczając do licytacji
tylko dwóch antykwariuszy. Przy okazji papież Pius X skorzystał z
przysługujących mu praw i zafundował Bibliotece Watykańskiej
około trzystu książek. Było to w 1912 roku. W tym samym czasie
ekscentryczny kolekcjoner książek Wilfrid Voynich, Amerykanin
litewskiego pochodzenia, zakupił potajemnie trzydzieści jezuickich
woluminów. Voynich nigdy nie ujawnił, w jaki sposób wszedł w
posiadanie *Manuskryptu Voynicha*, taki był warunek tej sekretnej
transakcji. Dopiero po jego śmierci wdowa dowiedziała się z testa-
mentu o pochodzeniu książki.

Voynich sądził, iż nabył rękopis angielskiego mnicha Rogera
Bacona. Niezwykłą, zaszyfrowaną księgę z opisem pierwszych
odkryć naukowych franciszkanina. Poczynając od 1912 roku, dzieje
Manuskryptu Voynicha są już dobrze znane. Tymczasem sama księga
– owoc szalbierstwa Johna Dee, Edwarda Kelleya albo obu naraz, a
może rzeczywiście dzieło mistrza Bacona – wciąż kryje w sobie
tajemnicę.

Niewiele też wiadomo o przechowywaniu *Manuskryptu Voynicha*
w jezuickich klasztorach i bibliotekach. Wszystko zaczęło się w
momencie, gdy księga dotarła do Rzymu wraz z listem od Marcusa

Marciego. Prawdopodobnie w roku 1666. Dokładnie dwieście czterdzieści sześć lat potem Wilfrid Voynich przybywa do Rzymu, by odebrać ją z Villa Mondragone. Przez prawie dwa i pół wieku tajemniczy rękopis mógł przechodzić z rąk do rąk, może próbowano złamać kod i odkryć jego sekret, a może przeleżał w jakimś nieznanym miejscu, pokrywając się kurzem.

Zastanawiałem się, w jakim celu bibliotekarz Lazzari przyjechał do naszej świeżo wówczas wybudowanej siedziby. Co znaczyła koperta wetknięta między kartki należącej do niego Biblii i jaki to ma związek z *Manuskryptem Voynicha*. Dlaczego w początkach wieku jeden z naszych przeorów Anselmo Hidalgo próbował odtworzyć ryciny tego manuskryptu. Za dużo tych pytań bez odpowiedzi. A na dodatek ktoś kradnie mi skrzynię z pamiątkami po przeorze Hidalgu.

Nie dam się wystrychnąć na dudka.

Stawili się prawie wszyscy.

Wzięli kanapki, picie, termos z ciepłą kawą – specjalnie tego dopilnowałem – rękawiczki, czapki, szaliki i ciepłe ubrania.

Zimą niebo przedstawia prawdziwy spektakl. Wszystko wskazywało na to, że widzowie, którzy wytrzymają bez spania, nie będą zawiedzeni. Artyści na pewno nie zawiodą i wyjdą na scenę. Pogoda nam sprzyjała. Było zimno, to fakt, jak przystało na drugą połowę grudnia w tej części Kastylii. Ale noc była bezchmurna i gwiazdy świeciły jak nigdy.

Kierowca autobusu dowiózł nas bezpiecznie na miejsce. Nie jechaliśmy daleko, zaledwie pięćdziesiąt kilometrów – tyle, aby zostawić za sobą natrętne światła miasta. Zamierzaliśmy wspiąć się na wzgórze ze starym zamkiem i ustawić przy jego murach teleskop. Droga była należycie wyasfaltowana, toteż bez kłopotu dojechaliśmy na sam szczyt. Na szczęście dla mnie, bo miałem do dźwigania teleskop. A statyw swoje ważył.

Kierowca zahamował łagodnie.

– Może być tu, proszę ojca? – spytał, zatrzymując się przy zamku.

– Tak, ale niech pan stanie koło muru, żeby zapewnić nam schronienie od wiatru.

Zręcznie pomanewrował, ustawiając się tyłem do kamiennego ogrodzenia. Następnie zgasił silnik.

– To trochę potrwa – uprzedziłem go. – Nie musi pan tu czekać. Zadzwoń do pana na komórkę, jak będziemy gotowi do powrotu.

– Szykuje się fajna imprezka astronomiczna, a ja miałbym stracić taką okazję? – Zaśmiał się. – Nigdy w życiu! Jeśli ojcu nie przeszkadza, zostanę z wami. Też chciałbym popatrzeć przez teleskop.

– Nie ma sprawy. Młodzi dadzą panu coś na przekąskę. Przygotowali tyle jedzenia i picia, że starczyłoby dla całego pułku.

Zacząłem ustawiać aparaturę.

Było jeszcze wcześniej. Trochę po wpół do ósmej, ale słońce zaszło już dobrą chwilę temu. Rozdzieliłem wśród dzieci mapy nieba, które wziąłem ze sobą. Przyniosłem też laptop, żeby sprawdzać dokładny czas pojawiania się gwiazd na niebie. Miałem przewagę nad dawnymi astronomami, ale tu nie chodziło o dorównanie Tychonowi, Keplero wi czy Galileuszowi, tylko o praktyczny aspekt wyprawy. Każdy nauczyciel marzy, że któryś z jego uczniów zostanie sławnym naukowcem. Ja też snułem takie marzenia.

– Uwaga! – krzyknąłem. – Zanim uporam się z montażem, zlokalizujcie mi cztery strony świata. Potem popatrzcie na zachód i powiecie, co tam widać.

Podniósł się wielki harmider w grupie prawie trzydziściorga uczniów. Wszyscy próbowali ustalić, gdzie jest zachód. Kłótnię uciął w końcu nasz kierowca, który miał na imię Miguel i był bardzo miły. Wiedział, gdzie znajduje się autostrada północna, i prawidłowo wskazał kierunek. Tymczasem ja walczyłem z celestronem.

Sama regulacja zajęła mi jakiś kwadrans. Gdy zlokalizowałem Gwiazdę Polarną, dostosowanie kąta nachylenia do szerokości geograficznej i ustawienie osi obrotu i elewacji było już rzeczą prostą. Po wprowadzeniu tych parametrów automatyczny montaż równikowy zrobił całą resztę. Podłączyłem się do niego z komputerem i zaproponowałem programowi trzy równo odległe gwiazdy jako podstawę kalibrowania. Program kontrolny teleskopu utworzył własną mapę nieba. Na początku było z tym trochę problemów, ale okazało się, że wprowadziłem do systemu niewłaściwą godzinę.

Następnie kazałem teleskopowi wyszukać Wenus. Osie deklinacji i rektascensji prostej zaczęły przesuwać się błyskawicznie ku zafascynowaniu wdzięcznej publiczności.

– To chyba jakiś trik.

– Technika, moi drodzy. A co, myśleliście, że przy tym zimnie będziemy rozwiązywać zadania z trójkątami?

Rozpocząłem lekcję.

– W porządku. Oto pierwszy przystanek w podróży po Układzie Słonecznym. Ten najjaśniejszy punkt na zachodzie, który zaraz zajdzie i zniknie, to Wenus. Gwiazda wieczorna.

Prawie wszyscy wyciągnęli palce w stronę najmocniej świecącego obiektu, trzeciego pod względem jasności po Słońcu i Księżycu. Chociaż dziś nie było go dobrze widać.

– Wenus idzie za Słońcem i zaraz stracimy ją z oczu na horyzoncie. Podchodźcie po kolei do teleskopu, żeby jej się przyjrzeć. Tylko proszę się nie pchać. Za nieostrożne poruszenie statywem obniżę stopień na najbliższym sprawdzianie – uprzedziłem.

Po kolei podchodzili do tuby z niemal religijnym respektem. Pierwsi nic nie powiedzieli po obejrzeniu. Odezwwał się dopiero Simón:

– Dlaczego widać tak mało? Wygląda jak plasterek.

– Wenus podobnie jak Księżyc ma swoje fazy. Odkrył je Galileusz, i to było jednym z głównych argumentów za tym, że Słońce, a nie Ziemia, jest centralnym ciałem niebieskim.

Po chwili przestawiłem zupełnie celownik teleskopu, kierując go na wschód. Właśnie wyląniał się Mars. Na nowo ustawiła się kolejka dziewcząt i chłopców gotowych zajrzeć w okular. Najczęściej padały komentarze, że jest czerwony i nie większy niż fasolka. Simón wzruszył ramionami i poprzestał na stwierdzeniu:

– Naprawdę nie wiem, jak można zabić dla czegoś takiego.

– Ja też nie – dodałem. – A poza tym oni nie mieli teleskopów. Mieli tylko cierpliwość.

Nieskończoną cierpliwość. Noc dopiero się zaczynała, a co poniektórzy chętnie by już zdezerterowali. Dodałem im otuchy, zachęcając, żeby coś przegryźli dla nabrania sił i poobserwowali niebo gołym okiem.

– Widzicie tę grupę gwiazd w pobliżu Marsa? Ile ich jest?

Ktoś naliczył cztery. Ktoś inny pięć. A jasnooka dziewczyna – ciekawe, czy kolor oczu ma wpływ na percepcję? – odpowiedziała, że siedem.

– To Plejady. Według mitologii greckiej Atlas miał siedem córek, które Zeus zamienił w gołębicę, aby pofrunęły do nieba, uciekając przed Orionem.

– Musiały uciekać? – zapytała jasnooka.

– No tak... – Zawahałem się. – Bo w gruncie rzeczy Orion nie był dla nich odpowiednim towarzystwem. Typ aroganckiego przystojniaka.

Opowiedziałem im historię nieustraszonego wojownika Orion. Jego gwiazdozbiór też pojawił się już na wschodzie. Wszyscy widzieli wyraźnie jego pas i łuk, a także najjaśniejsze gwiazdy: niebieską Rigel i czerwonego olbrzyma Betelgeuse na ramieniu Orion.

– Mnie to przypomina raczej imbryk do kawy – zażartował Miguel.

– Masz rację. Dziś byłaby to konstelacja kawowego imbryka, ale wtedy nie znano jeszcze kawy. Ale, ale, na to słowo mój organizm reaguje jak pies Pawłowa – oznajmiłem – dlatego zarządzam przerwę. Popatrzcie sobie na Księżyc, który właśnie wstaje, i na ten błyszczący punkcik, który go poprzedza. Nagroda dla tego, kto odgadnie za pomocą mapy niebieskiej, co to jest.

Usiadłem na kamieniu z termosem gorącej kawy w ręku, spoglądając co rusz na niebo. Miguel usiadł obok mnie.

– Niełatwo utrzymać dyscyplinę takiej zgrai – stwierdził po chwili. – Mam syna w ich wieku. O tej porze pewnie szlają się z kolegami po knajpach. Nic na to nie mogę poradzić. Gdy próbuję mu czegoś zabronić, przestaje się do mnie odzywać.

– Taki wiek, że nie wiedzą, czego chcą. Każdy idiota może im zaimponować. Nawet ja – dodałem z przymrużeniem oka.

Miguel roześmiał się i znowu zapałzył się w niebo.

– Coś księdzu powiem. Jeśli chodzi o religię, to ja jestem niewierzący. Ale czasem tak sobie myślę, że coś musi być. Ktoś umieścił te gwiazdy tam w górze.

Tym razem ja się roześmiałem. Przypomniało mi się, że to samo powiedziałem mojemu ojcu, kiedy pierwszy raz pokazał mi gwiazdy. Miałem wtedy dziesięć lat i nie chciałem przystąpić do Pierwszej

Komunii. Potem zmieniłem zdanie, jak widać.

- Héctorze, naceluj teleskop na Księżyc. Proszę!
Dzieci mnie wzywały.

Podniosłem się, żeby podać komputerowi komendę skierowania teleskopu na pozycję satelity. Księżyc był w pierwszej kwadrze i dobrze go było widać. Zanim dopuściłem ich do oglądania, nałożyłem filtr na okular, żeby zmniejszyć ilość światła. Nie chcę nikogo oślepić. Uznali to za przesadę. Ale dopiero się działo, kiedy przysunęli tubę do oczu!

- Kurczę, jaki piękny!

Chłopak oberwał kuksańca z oczywistych powodów. Następni wyrażali swój zachwyty i zdziwienie bardziej wstrzemięźliwie.

- Superklejnot.
- Porusza się!
- Widać amerykańską flagę?
- Coś ty, ale za to jest cały przyszczaty jak twoje oblicze.
- Uważaj, co mówisz!
- Odsuń się, impertynencie. Teraz moja kolej.

Trwało to dłuższą chwilę, tymczasem Miguel i ja rozmawialiśmy o rzeczach boskich i ludzkich, zajadając kanapki i popijając każdy ze swojego termosu. Kiedy młodych znudziło oglądanie Księżyca – prawdę mówiąc, wcale ich to nie nudziło, ale już inni aktorzy zaczęli wychodzić na scenę – ponownie przesunąłem celownik mojego celestrona.

- Dobrze, a teraz konkurs z nagrodami. Kto powie, jak nazywa się punkt, który świeci stałym blaskiem tuż obok Księżyca.

Cisza.

- Nie martwcie się. To była pułapka. Planety nie figurują na planisferach z kartonu. Zaczynamy drugą turę. Najpierw dziewczęta.

- O cholera... przecież to Saturn.

Pociągnąłem mocno za warkocz dziewczynę z niewyparzonym językiem. Oderwała się na moment od teleskopu, ale nawet się nie skrzywiła.

- Héctorze, nie wygłupiaj się! – krzyknęła, przyciskając się na

nowo do tuby.

Może zrobię z nich paru astronomów, ale kiepsko spisuję się w roli wychowawcy. Czy nie pozwalałam im na zbyt dużą poufałość? Zacisnąłem dłoń na kubku z ciepłą kawą i powoli wycofałem się na swój kamień. Ale najpierw założyłem im okular z większym powiększeniem, żeby lepiej było widać innego *Władcę pierścieni*.

Czas płynął błyskawicznie. Na moim zegarku była już druga w nocy, planety poruszały się po swoim. Mars lada moment zajdzie na zachodzie, a Saturn przechodził akurat nad naszymi głowami.

- Nie zimno wam?
- Nie!

Odpowiedź była jednogłośnie. Wróciłem do rozmowy z Miguelem, który skończył obserwowanie Saturna.

- To nie do wiary. Naprawdę nasze statki docierają aż tam?
- Tam i jeszcze dalej – sprecyzowałem. Spojrzałem ponownie na zegarek, zrobiło się późno, a na trzecią powinniśmy być z powrotem w szkole.
- Mnie się nie spieszy. Autobus muszę odstawić o ósmej rano. Kiedy wyjdzie Jupiter?

Sprawdziłem w komputerze. Można go zobaczyć dopiero przed piątą.

- Mnie to nie przeszkadza. Świetnie się bawię, amunicji mamy pod dostatkiem – powiedział, wskazując na kanapki.

Zebrałem całą grupę i przedstawiłem im sytuację. Jupiter wart jest bezsennej nocy. A jeśli wytrwają do siódmej, zobaczą na dodatek Merkurego, który wstaje tuż przed świtem, i panorama będzie kompletna. Wrócimy za dnia. Jeszcze nie skończyłem, kiedy wyciągnęli komórki, wysyłając do rodziców stosowne SMS-y. Nikt nie chciał rezygnować ze spędzenia całej nocy pod gołym niebem.

- Jeszcze kanapkę, Miguel? Zostały z szynką. Iberyjska, nie byle co!
- Oj, dogadza się teraz dzieciom. W czasach mojej młodości zwykła kiełbasa była rarytasem.

Wyszli po mnie na lotnisko. Stali uśmiechnięci, ze splecionymi rękami.

Ja też uśmiechnąłem się do nich przez szybę. Nie miałem jeszcze swojego bagażu.

Podróż upłynęła spokojnie. Choć samolot wylądował w Barajas przed czasem, trzeba było długo czekać na odbiór walizki, więc poprzestałem na chodzeniu po farańskich halach i galeriach lotniska. Nie wiem, czy czasowniki „poprzestać” i „chodzić” nie wykluczają się nawzajem, ale to już temat na inne rozważania. Perspektywa kilku dni urlopu bez dzieci i bez ich rodziców wprawiała mnie w dobry humor. Przez tydzień będę taki sam jak dawniej. Kiedyś uwielbiałem podróże. Zwiedziłem pół świata, omijając z daleka turystyczne szlaki, by na własne oczy zobaczyć nędzę wielu krajów. Widziałem samoloty pełne turystów – *only for men* – goniących za seksem szybkim, tanim i bez skrupułów, poznałem amatorów *shoppingu*, poszukiwaczy dzikiej natury, pragnących ją okiełznać za pomocą wymyślnych urządzeń do wspinaczki i łażenia po górach, a także nienasyconych pożeraczy archeologicznych i ludzkich ruin. Bezlik turystów w bezliku krajów. A wszędzie jedno i to samo – przepaść między bogatymi i biednymi.

Obecna podróż nie miała wiele wspólnego z tamtymi. Zresztą odkąd wstąpiłem do zakonu, zajęcia seminaryjne i studia uniwersyteckie nie dawały mi dużo okazji do podróżowania. Nie wyjeżdżałem tak często jak przedtem. Mimo że wybrałem – nieprzypadkowo – zakon misjonarzy. Już wcześniej zdarzało mi się napotkać przypadkiem tych nadzwyczajnych ludzi przebywających w odległych zakątkach Afryki, Azji Południowo-Wschodniej czy Ameryki Łacińskiej, zawsze gotowych poświęcać się dla innych bez oglądania się na siebie. Spędziłem z nimi tyle czasu, że zaraziłem się ich chorobą.

Objawia się głównie wysoką gorączką i bezsennością. Lekarze mówią na to: malaria. My lubimy mówić, że to solidarność.

Podróż trwała zaledwie dwie godziny. Wiatr z tyłu popychał airbus tak mocno, że wylądowaliśmy na Teneryfie dwadzieścia minut przed czasem. Przedtem długo musieliśmy czekać przy taśmie bagażowej. Zgodnie z przedostatnią regułą prawa Murphy'ego moja walizka była na samym końcu. Dosłownie w ostatniej chwili, kiedy już obawiałem się najgorszego. Ucieszyłem się na jej widok bardziej, niż gdyby pojawiła się jako pierwsza.

Z tym samym uśmiechem na twarzy podszedłem do moich przyjaciół. Przywitałem się najpierw z Juaną – wyglądała jeszcze ładniej niż poprzednio z brązową opalenizną po kilkudniowym pobycie na plaży – a następnie z Johnem. Był wyższy, niż sądziłem na podstawie zdjęć. Mówił po hiszpańsku dużo lepiej, niż pisał. Podejrzewam, że to zasługa Juany.

– Miło cię znowu widzieć, Héctorze – zaczęła żartobliwie Juana, nawiązując do naszej pierwszej rozmowy, i pocałowała mnie w oba policzki. Spiekłem raka, ale dzielnie odwzajemniłem całusa na powitanie, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

John był czerwony od stóp do głów jak każdy prawdziwy brytyjski *guiri* na Wyspach Kanaryjskich. Przy nim mogłem rumienić się do woli i nie było w tym nic dziwnego.

- Cześć, Juano. Cześć, John. Nareszcie razem wszyscy troje.
- Jak trzej moskitierzy – powiedział z patosem John.

Juana i ja zareagowaliśmy śmiechem na to przejęzyczenie. Było bardzo zabawne i długo śmialiśmy się z biednego Johna, który nie rozumiał, o co nam chodzi. Zrobił zagniewaną minę i dopiero po chwili udało nam się powstrzymać atak śmiechu i wyjaśniliśmy Johnowi, co nas tak ubawiło. Na szczęście miał spore poczucie humoru. W ogóle był rozsądny i opanowany, o czym miałem się przekonać w ciągu najbliższych dni.

Po beładnej rozmowie typowej dla ludzi, którzy znają się od dawna, ale widzą się po raz pierwszy w życiu, opuściliśmy halę przylotów. Juana dyrygowała:

– Idziemy, Héctorze. Nasz samochód stoi niedaleko.

Usiadła za kierownicą. John wołał nie ryzykować. Po pierwsze, dlatego że dla kierowców przyzwyczajonych do jazdy lewą stroną ruch prawostronny potrafi być piekłem przy skręcaniu na rondzie i na placach. A po drugie – na ulicach Teneryfy ruch jest wyjątkowo chaotyczny. Turyści w wynajętych samochodach nie znają tutejszych dróg i zwyczajów, toteż ciągle wpadają na wyspiarzy, którzy jeżdżą powoli, z dostojeństwem, co doprowadza tych pierwszych do szału.

Słabo znałem Teneryfę. Byłem tu kiedyś jako dziecko z rodzicami.

Wulkan Teide nadal znajdował się w samym centrum wyspy. Wokół niego ciągnęły się domy, apartamenty i hotele, które zajmowały każdy skrawek ziemi, spychając naturę na ostatnie miejsce.

Wjechaliśmy na autostradę Norte. Minęliśmy Puerto de la Cruz, a potem pojechaliśmy kilka kilometrów w górę do Orotavy. W tej malowniczej okolicy rozpościerało się w dolinie luksusowe osiedle, gdzie Waldo, ojciec Juany – „tatuś”, jak go nazywała – wynajął (Juana mówiła „odnajął”) wspaniałą willę, w języku Meksykanki: *bungalow*.

– Jesteśmy na miejscu. Wysiadać!

Posłuchaliśmy od razu.

Powietrze było czyste i rześkie, ale nie tak chłodne jak w moim mieście. Podniosłem głowę, kontemplując przez chwilę śnieżny szczyt wysokiego prawie na cztery tysiące metrów wulkanu. Po jego lewej stronie powyrastały, jak grzyby po deszczu, wieże i kopuły teleskopów obserwatorium astronomicznego.

– Kiedy wracasz do pracy? – spytałem Johna, pokazując białe punkty nad naszymi głowami.

– Dopiero za kilka dni. Ale nie tutaj – dodał.

John wyjaśnił mi, że brytyjskie teleskopy znajdowały się na sąsiedniej wyspie La Palma, w obserwatorium Roque de los Muchachos. Obserwatorium na Teneryfie służyło prawie wyłącznie badaniom Słońca. Nie wiedziałem o tym. John był kosmologiem, pracował głównie nocami.

– Bardzo chciałbym zobaczyć twoje obserwatorium.

W moich słowach pobrzmiwał ton prośby, niemal błagania. Nie

mogłem wrócić z podróży bez sfotografowania wielkich teleskopów z La Palmy. Uczniowie nigdy by mi tego nie wybaczyli.

– Twoje życzenie, Héctorze, jest dla nas rozkazem – powiedziała z uśmiechem Juana.

Od razu ustaliła, kiedy jedziemy. John zgadzał się na wszystko.

Okazało się, że on zna wielu astronomów z La Palmy i bez trudu załatwi dla mnie przepustkę. Rozmawialiśmy o wycieczce, która zapowiadała się bardzo ciekawie. Tym dziwniej zabrzmiały w pewnym momencie słowa Juany:

– Mnie tam wszystko jedno. Mogę zostać na plaży, kiedy wy pójdziecie do obserwatorium.

W pierwszej chwili nie zwróciliśmy na to większej wagi. John był astronomem, ja pasjonatem astronomii, natomiast Juana nie miała nic wspólnego ze światem gwiazd. W Stanach Zjednoczonych studiowała prawo i filologię angielską. Kiedy jej się znudziło, przerzuciła się na informatykę. Nie musiała zarabiać na życie. Ojciec płacił za wszystko i wydawała się szczęśliwa.

Na dodatek zakochała się w Angliku bez pamięci i z wzajemnością.

Czułem się trochę skrępowany w ich towarzystwie, zwłaszcza gdy Juana wlepiała w Johna swoje piękne czarne oczy. Ciągłe kleili się do siebie. Dwa pierwsze dni przeznaczaliśmy prawie w całości na turystykę górską i plażową, gdyż na Teneryfie można uprawiać obie naraz. Zaliczyliśmy też wiele sklepów i restauracji.

Próbowaliśmy oderwać się na jakiś czas od *Manuskryptu Voynicha*, od gróźb, rutyny i wszystkich innych problemów. Jeśli nam się udało, to głównie dlatego, że ani razu nie włączyliśmy komputera. Zresztą nie było jak. Zakochana para wciąż trzymała się za ręce, rozłączając je tylko w porze posiłków. Podawali sobie jedzenie do ust. Tego już było dla mnie za wiele. Przez dwa dni czułem się jak kamienny posąg komandora zaproszony na ucztę kochanków. Miałem szczerze dość zachwyków nad pięknem natury i słodkiego szczebiotania moich miłych gospodarzy. Chciałem zabrać się wreszcie do pracy.

– Co jeszcze macie?

Patrzyli na mnie jak cielęta na malowane wrota.

– Pytam, czy coś znaleźliście? – wyjaśniłem.

Pokręcili przecząco głowami.

– Niewiele – odpowiedziała Juana, podczas gdy John poszedł po swój przenośny komputer. – Odgadłeś znaczenie koncentrycznych kręgów, prawda? – zapytała.

– No tak, to niezły trop – odparłem. – Kręgi mogą być kluczem do odszyfrowania całej książki. Mogą, ale nie muszą.

John był już z powrotem i podłączał laptop. Po chwili mieliśmy na ekranie „voynichiańskie” słowa z trzech kręgów otaczających dużą centralną gwiazdę i domniemane konstelacje.

– Coś ci pokażę, Héctorze.

Otworzył arkusz kalkulacyjny. Juana założyła małe okulary, w których jej cudowne czarne oczy traciły sporą część magnetycznego uroku. Pograżyłem się w zadumie.

– Héctorze... – odezwał się John, wyrывая mnie z zamyślenia. – Spójrz na to. W kręgu zewnętrznym można wyróżnić sto dwadzieścia sylab połączonych przeważnie w triady. W środkowym jest ich sto. A w kręgu wewnętrznym osiemdziesiąt.

Szybko policzyłem w myślach.

– To nam daje... prawie milion możliwych kombinacji.

– Dokładnie dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy – sprecyzowała zmieniona Juana. Wyglądała jak surowa nauczycielka matematyki.

– Komputer sobie poradzi. W czym problem? – spytałem.

– W tym, że nie wiemy, czego szukać. Możemy skonstruować milion triad, ale skąd będziemy wiedzieć, która z nich oznacza coś konkretnego?

Wpatrując się w swojego ukochanego Johna, Juana dodała:

– Trzeba by sprawdzać każdą z nich po kolei. Komputery nie myślą, nie widzą związków.

– Nie czują i nie cierpią – dokończyłem.

– Co proponujesz?

John przyglądał mi się uważnie, jakby sądził, że przyjechałem na Teneryfę z gotową odpowiedzią. Tymczasem ja wiedziałem tyle samo co oni. Zacząłem myśleć na głos.

– Tym razem nie możemy użyć siły – rzekłem. – Sejfu nie otwiera się dynamitem, żeby nie spalić pieniędzy.

– Ładna metafora – zauważyła Juana już bez okularów.

Trzymała je teraz na głowie jak opaskę i znowu wyglądała zachwycająco. Usiłowałem się skupić.

– Proponuję wrócić do historycznych tropów. Większość uczestników Listy Voynicha wyznaje tezę o mistyfikacji dokonanej przez Johna Dee i Edwarda Kelleya, być może opierając się na umiejętnościach Cardana.

– Jeśli to jest oszustwo, po co doszukiwać się sensu – przerwał mi John.

– No dobrze, przyjmijmy jednak, że w tym oszustwie jest sens. Że ci dwaj zaszyfrowali jakieś przesłanie i dobrze je ukryli. Trzeba myśleć pozytywnie. Zacznijmy od obiektu centralnego. Co to jest?

– Większość badaczy uważa, że to Księżyc.

– Ja tak nie uważam. Księżyc nie jest w centrum niczego.

– W takim razie Słońce? – spytała dziewczyna.

– Też nie. Nie może być jednocześnie Słońca i gwiazd – stwierdziłem.

– Jakaś planeta? Jakaś szczególna gwiazda? – zastanawiał się głośno John.

Jasne. To jest to.

W głowie zabłysła mi pewna myśl. Zerwałem się z kanapy i klepnąłem w czerwone od słońca plecy Johna. Nic nie powiedział, chociaż musiało go to zboleć. Już wiem! Dumny ze swojego odkrycia pozwoliłem sobie na żart.

– Powiem wam, jeśli wytrzymacie dziesięć minut bez całowania.

Popatrzyli na siebie, jakbym żądał rzeczy niewykonalnych. Kiwnęli potakująco.

– Trudno – powiedziała z rezygnacją Juana w imieniu swoim i Johna. – Wyrzuć to wreszcie z siebie, diabelski klecho.

– Supernowa Tychona.

Wyraz twarzy Juany świadczył o niezrozumieniu – niewiele wiedziała o astronomii – ale John zrobił oczy jak talerze. Wszedł mi w słowo. Mówił o rzeczach, które znałem już od kilku tygodni.

– Supernowa pojawiła się w tysiąc pięćset siedemdziesiątym drugim jako najjaśniejsza gwiazda na niebie. Widział ją Tycho, widział John Dee i obaj porównali swoje obliczenia paralaksy. Cardano też.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Cardano nie chciał przyjąć, że to nowa gwiazda. Był przekonany, że ujrzeni Gwiazdę Betlejemską. Data pojawienia się supernowej zbiega się z przypuszczalną datą powstania *Manuskryptu Voynicha*.

– Zdaje się, że pozycje gwiazd są mierzone w stopniach. – Juana zaskoczyła nas tą uwagą. – To może być klucz do obracania krążkami. Jak w powieściach kryminalnych. Dwadzieścia na prawo, pięć na lewo i skarb jest w naszych rękach.

Trzeba przyznać, że stanowiliśmy udaną ekipę. John zaczął robić narzeczonej krótki wykład z gwiazdnej kartografii.

– Masz rację, Juano. Potrzebne są dwa kąty, żeby poznać dokładną pozycję jakiejś gwiazdy na niebie.

– Mamy zatem o jeden krąg za dużo, *darling*. – Nie pozwoliła mu skończyć.

Trafna obserwacja. Teraz ja przejąłem pałeczkę.

– Zastanawialiście się nad tym?

Wpatrywali się we wskazany punkt.

W górnej części diagramu było coś dziwnego, jakby odstęp między wyrazami, które dotąd biegły równomiernie w pierwszym i trzecim kręgu. Natomiast krąg środkowy zawierał cztery znaczki. Poprosiłem Johna o cyrkiel.

– Poszukaj w kuchni, w szufladzie na sztućce – zadrwiła Juana.

Ku jej zdziwieniu John wyjął cyrkiel z plecaka. Popatrzyłem na nią kpiąco.

– Taki mężczyzna to skarb. Będiesz mieć męża niemal doskonałego.



Wymierzyłem cyrklem dokładnie cały diagram. *Gap*, jak nazywał to coś John (nie znaleźliśmy odpowiedniego słowa po hiszpańsku), miał mniej więcej pięć stopni. W głowie zabłysła mi nowa myśl, jakby anioł podpowiadał mi szeptem do ucha rozwiązanie zagadki hieroglifów, i znowu zażartowałem:

– Kolejne dziesięć minut abstynencji, a powiem wam, co to jest według mnie.

– Nie wiem, czy dam radę – poskarżyła się Juana. – Jak wy, księża, możecie wytrwać w celibacie latami?

Puściłem mimo ucha to pytanie. Wyjaśniłem im moją teorię. Koło ma 360 stopni. Jeśli je trochę rozciągnąć, będzie 365 stopni.

– Być może te dwa kręgi bez znaczników są niekompletne – rozumował John. – Pokrywają tylko trzysta sześćdziesiąt stopni. Z czego należy wnosić, że odpowiadają współrzędnym kątowym gwiazdy.

– Natomiast ten trzeci miałby związek z czymś, co składa się z trzystu sześćdziesięciu pięciu części – dokończyła Juana i przesunęła okulary na oczy.

– Trafiony zatopiony – podsumowałem.

John zerwał się na równe nogi.

– Dwie współrzędne i dokładna data. Mamy te dane, Héctorze?

liśmy bez trudu: 11 listopada 1572. Tak więc wewnętrzny krąg należało obrócić o 316 pozycji – po jednej na każdy dzień, licząc do jedenastego dnia jedenastego miesiąca – spośród 365 możliwych. Tylko w jakim kierunku? Szybko uzgodniliśmy, że czas najlepiej mierzyć zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Gorzej ze współrzędnymi supernowej. Jako gwiazda nieistniejąca, która żyła zaledwie kilka miesięcy, nie figuruje w klasycznych katalogach. Wiedzieliśmy, że wybuchła bardzo blisko gwiazdozbioru Kasjopei, ale to nam dawało zbyt duży margines błędu. Po dłuższych poszukiwaniach trafiliśmy na właściwe dane, choć już się obawiałem, że bez notatek Tychona Brahego będzie to niemożliwe. Okazuje się jednak, że sztuczny satelita sfotografował ostatnio resztki supernowej, rejestrując pozostałe po wybuchu promienie X. Obok zdjęcia NASA widniały następujące współrzędne:

Rektascensja: 00h 25m 17s

Deklinacja: 64° 08' 37"

Były to oczywiście dane równikowe.

– Musimy przenieść się mentalnie do roku tysiąc sześćsetnego, dowiedzieć się, jakie współrzędne były wówczas w użyciu, i wprowadzić poprawkę dla danej epoki – zauważył John.

– Słusznie – odpowiedziałem. – Ruch precesyjny mógł spowodować zmianę deklinacji mniej więcej o dwa stopnie.

Niby niedużo, lecz to może oznaczać zmianę położenia: paralaktyczne przesunięcie do przodu albo do tyłu.

– Można wiedzieć, o czym wy, do diabła, mówicie?

Juana była wściekła. Powiedzenie, że ignorant to człowiek szczęśliwy, do niej się nie odnosi. Jej głos brzmiał surowo, oczy patrzyły zimno zza profesorskich okularków. Ponieważ John surfował jak szalony, szukając wartości ekwinokcjum, mnie przypadła w udziale rola wyjaśniającego.

– Stałe współrzędne równikowe wymyślono dla uniknięcia problemów związanych ze współrzędnymi lokalnymi zmieniającymi się w czasie. Odnoszą się do równika niebieskiego. Deklinacja jest łukiem koła godzinowego zawartym między płaszczyzną równika

niebieskiego a środkiem gwiazdy. Mierzy się ją w stopniach od zera do dziewięćdziesięciu, wychodząc od równika. Obiekty położone na północnej półkuli nieba mają deklinację dodatnią, a na południowej ujemną. Z kolei rektascensja jest łukiem mierzonym od punktu Barana do południka, nad którym przechodzi gwiazda. Mieści się w skali od zera do dwudziestu czterech godzin.

Juana była dobra w matematyce i w lot chwyciła takie wyjaśnienia.

– Co to jest punkt Barana?

– Jest to punkt przecięcia się równika niebieskiego z ekliptyką, czyli takie miejsce na niebie, w którym znajduje się Słońce w chwili równonocy wiosennej. Przypada dwudziestego pierwszego marca. Zwany także wiosennym punktem ekwinokcjum. To astronomiczny kilometr zero – dodałem.

– No właśnie – przerwał mi John – punkt Barana jest niewątpliwie punktem zero dla Tychona Brahego i prawdopodobnie również dla jego współczesnych. Tak wynika przynajmniej z opracowanych przez niego tablic astronomicznych na rok tysiąc pięćset dziewięćdziesiąty ósmy.

– Jakich współrzędnych używał? – zapytałem z pewnym niepokojem.

– Hm... Ekliptycznych, niestety. Tego się obawiałem – odpowiedział i zwrócił się do Juany z wyjaśnieniem: – Te współrzędne odnoszą się do płaszczyzny ekliptyki, po której poruszają się Słońce i planety. Okazały się bardziej praktyczne dla celów astronomii planetarnej uprawianej w tamtych czasach. Musimy przełożyć dane deklinacji i rektascensji na niebieską długość i szerokość, czyli współrzędne ekliptyczne. Długość też bierze swój początek z punktu Barana, co znacznie ułatwia sprawę. Wynosi od zera do trzystu sześćdziesięciu stopni. To nam daje obrót jednego z kręgów.

– A niebieska szerokość? – spytała Juana.

– Na naszej półkuli wynosi od zera do dziewięćdziesięciu stopni – poinformował Juan, po czym dodał: – Wszystko gra. Kto na ochotnika rozwiąże problem trygonometryczny? Jeśli nikt się nie zgłasza, znajdę program, który zrobi to za nas.

– Chętnie bym to zrobił, ale nie mamy czasu – blagowałem.

John wystukał liczby na komputerze.

– *Voilà*, gotowe. Proszę zanotować. Po uwzględnieniu korekty dla danej epoki otrzymujemy szerokość rzędu trzydziestu siedmiu stopni. I długość... prawie pięćdziesięciu czterech stopni.

Juana zapisała na kartce papieru i odezwała się śpiewnie:

– Podsumowując, trzeba obrócić jeden dysk o trzydzieści siedem pozycji. Prawdopodobnie ten najmniejszy, ale nie wiemy, w którą stronę. Środkowy obróci się o trzysta szesnaście pozycji w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. A zewnętrzny o pięćdziesiąt cztery. W tym samym kierunku co poprzedni.

– Trzydzieści siedem, trzysta szesnaście, pięćdziesiąt cztery. Nieźle brzmi ta kombinacja. Jak w kabale. – Roześmiałem się. – John na pewno ma jakieś nożyczki i papier. Wytniemy koła, namalujemy na nich znaki „voynichiańskie” i będziemy obracać.

– Wszystko już gotowe – odparła Juana. – Jak widzisz, zajmowaliśmy się ostatnio *Manuskryptem Voynicha*, a nie tylko sobą.

Pokazali mi trzy krążki wielkości klasycznych płyt winylowych, wycięte z kartonu, z przyklejonymi wyrazami, które przekopiowali z oryginału, w sumie około trzystu. Wyrazy były podzielone na sylaby i rozmieszczone horyzontalnie tak, by można je było czytać.

Taki system znacznie ułatwiał tworzenie słów. John obrócił krążkami i zapytał:

– Zagramy w ruletkę? Kto pierwszy na ochotnika?

Zgłosiła się Juana.

Pierwsza próba dała sto nowych słów. Przeglądaliśmy każde z osobna i łącznie. Miały taki sam sens jak wszystkie pozostałe z *Manuskryptu Voynicha*. Czyli żaden. Ponawialiśmy próby z pewnymi modyfikacjami. Najpierw kręciliśmy pierwszym krążkiem w odwrotną stronę. Potem przestawiliśmy szerokość i długość. Próbowaliśmy również czytać nowe słowa od środka na zewnątrz, a nie tylko od końca do początku.

Po dwóch godzinach obracania krążkami doszliśmy do wniosku, że lepiej iść na piwo do baru nad morzem. No cóż, trzeba uzbroić się

w cierpliwość.

Wszystko przed nami.

v

– Sądzisz, że w pewnym okresie *Manuskrypt Voynicha* mógł znajdować się w twoim klasztorze?

– Nie, to raczej niemożliwe – odpowiedziałem Johnowi. – Jestem jednak pewien, że ojciec Lazzari, ważna postać w historii jezuitów, przebywał w naszym klasztorze przez kilka dni. Nie mam pojęcia, po co tam przybył, prawdopodobnie chciał sprawdzić, jak postępuje budowa nowej siedziby Towarzystwa Jezusowego. Wiem też, że jeden z naszych dawnych przeorów, budowniczy szkoły, która powstała w początkach wieku, widział *Manuskrypt Voynicha*. Oczywiście mógł go zobaczyć w Rzymie.

Opowiedziałem im o kradzieży dziennika i dokumentów należących niegdyś do Anselma Hidalga. Byli zaskoczeni, lecz natychmiast skojarzyli ten fakt z wcześniejszymi groźbami. Pomny na regułę posłuszeństwa nie wspomniałem natomiast o istnieniu podziemnych korytarzy.

– Wszyscy w klasztorze uważamy, że firma obrotu nieruchomościami ma coś wspólnego z tą kradzieżą. Ktoś chce przejąć naszą posiadłość. Skrzynia zawierała stare plany budynków znajdujących się na tym terenie. W tym również plany szkoły. Takie rzeczy mogły interesować tylko firmę budowlaną, prasę albo ratusz. Nie widzę tu żadnego związku z *Manuskrytem Voynicha*.

– Ale tobie też grożono tak jak Juanie, prawda?

– Nie bezpośrednio. Nie otrzymywałem e-maili czy telefonów z groźbami. Pojawiły się tylko tajemnicze słowa na murze napisane w alfabecie „voynichiańskim”.

– Jeszcze ci mało? Ja cały czas o tym myślę! – zawołała Meksykanka. – Boję się, że po powrocie do domu znów zaczną się takie telefony. Już trzy razy zmieniałam numer mojej komórki.

– Pozostań ze mną w Cambridge tak długo, jak chcesz. Mieszkanie jest małe, nic specjalnego, lecz miasteczko przytulne, o krok od

twojego ukochanego Londynu.

– Dzięki, skarbie, ale wiesz, że muszę wrócić do tatusia. Nie zostawię go samego, jest stary i bardzo za mną tęskni.

Rozmowa potoczyła się dalej w tonacji melodramatycznej, kochankowie padli sobie w ramiona, obsypując się pocałunkami, jakby mnie tam nie było. Nie chciałem im dłużej przeszkadzać. Zapłaciłem rachunek i wstałem od stołu, zostawiając ich samych. Zresztą miałem ochotę pospacerować samotnie po plaży. I przemyśleć parę spraw. Piękna noc zapraszała jednych do medytacji, a innych do miłości.

V

Wróciłem po godzinie z kolejnym lodem w ręku. Niezłe jak na drugą połowę grudnia. Moi rodzice i bracia zakonni na pewno już palą w piecach, żeby nie zmarznąć, a ja jestem na Wyspach Kanaryjskich. Wracałem do miasteczka po długim spacerze na plaży. Szedłem ulicami, po których przewalały się tłumy ludzi, przeważnie rozleniwionych, zadowolonych z życia turystów. Takich jak ja. Nie zastałem już Johna i Juany w barze przy stoliku. Pomyślałem to, co zwykle myśli się w takich sytuacjach, i postanowiłem powłóczyć się jeszcze z godzinę, żeby nie przeszkadzać młodym. Niech mają trochę czasu dla siebie. Zmęczony długim spacerem i objedzony lodami poszedłem wreszcie w stronę willi. Było już późno. Na wszelki wypadek przed wejściem narobiłem sporo hałasu.

– Co się wygłupiasz! – krzyknął John, otwierając mi drzwi. – Zachowujesz się jak typowy Hiszpan.

Ubawiło mnie zdanie wzięte żywcem z angielskiego. *Typical Spanish.*

W salonie John pracował sam nad diagramem. Oderwał się tylko na chwilę, żeby otworzyć mi drzwi, i natychmiast usiadł znowu do komputera.

– Gdzie Juana? – zapytałem.

– Na górze, w swoim pokoju. Boli ją głowa. Mnie też – dodał ostrzegawczo.

Było jasne, że się pokłócili. Chyba pierwszy raz, odkąd się znają.

Wziąłem z półki starą gazetę. Zacząłem czytać z udawanym zainteresowaniem. Minęło prawie pół godziny, zanim John zauważył, że trzymam w ręku starą gazetę sportową. A znał mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że to nie jest moja ulubiona lektura.

– Nic nie rozumiem.

– Cierpliwości – odpowiedziałem z roztargnieniem, sądząc, że mówi o *Manuskrypcie Voynicha*.

– Nie wiem, co robić. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie.

Mówił o swojej ukochanej. Westchnąłem i wszedłem w rolę spowiednika.

– Jakiś problem?

– Tak. Może ty ją zrozumiesz, przecież jesteś pasterzem.

– O tyle o ile. Owcę odróżnię od krowy, jak zameczy – zażartowałem. John zrozumiał żart dopiero po kilku sekundach.

Ale natychmiast zaripostował.

– Przecież pastor i pasterz to jedno i to samo. – Uśmiechnął się.

Próbowałem mu wyjaśnić, że niezupełnie to samo. Jestem duszpasterzem, czyli księdzem. W krajach anglosaskich słowo „pasterz” kojarzy się z pastorem, kaznodzieją Kościoła protestanckiego. Duchowni katoliccy mają mniejszą skłonność do przemówień, aczkolwiek stać nas na wygłoszenie dobrej homilii, gdy zajdzie taka potrzeba. My mówimy na duszpasterza kapłan albo po prostu ksiądz.

– O co jej poszło? – zapytałem.

– Pomyślała, że się z niej naśmiewam. Palnęła mi takie kazanie, wybacz to słowo, że nie wiedziałem, gdzie oczy schować, i poszła do siebie na górę.

– Tej nocy obaj zachowamy abstynencję – znowu zażartowałem, próbując rozładować sytuację. John odprężył się i stał się bardziej rozmowny.

– Nie wiedziałem, że jest aż tak religijna. Gdybym wiedział, byłbym bardziej powściągliwy.

– Religijna czy nie, pośpiech nie jest najlepszym doradcą w tych sprawach.

Znowu popełniłem błąd. To, co mówił John, wcale nie dotyczyło

seksu. Z jakiegoś dziwnego powodu, my, księża, zazwyczaj nawiązujemy do seksu, kiedy małżonkowie albo narzeczeni mają jakieś problemy.

– Daj spokój, Héctorze. Nie o to chodzi.

– Ach tak.

– Juana ma poglądy... takie jakieś staroświeckie. Nie wiem, jak to wyrazić.

– Spróbuj. Byle po hiszpańsku.

– Zaczęła mówić zupełnie jak Waldo. Pamiętasz go?

– Tak. To jej drugie „ja” na forum Listy Voynicha.

– No właśnie. Waldo pisał same głupstwa.

A więc nie ja jeden tak myślałem. Waldo był dziwny. Interesowało go – to znaczy ją – przede wszystkim magiczne pochodzenie *Manuskryptu Voynicha*. Uwielbiała spekulacje na temat aniołów i boskiego pochodzenia książki. Wszystkie symbole miały jego – jej – zdaniem związek z Biblią i Enochem, z nieznanymi świętymi księgami, które czekają na odkrycie, i z fantastycznymi opowieściami Johna Dee i Edwarda Kelleya.

– Zastanawialiśmy się z Juaną, czy ów diagram może mieć coś wspólnego z Gwiazdą Betlejemską. Cardano twierdził, że supernowa była właśnie taką gwiazdą.

– Wypróbować dwudziesty czwarty grudnia zamiast jedenastego listopada – powiedziałem. – To może być ciekawe. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Już to zrobiliśmy. Jak się domyślasz, podstawienie tej nowej daty też nic nie dało. Powiedziałem półzartem, że został nam jeszcze dzień zwiastowania, kiedy archanioł Gabriel stanął przed Maryją.

– Jaki to ma związek z diagramem? Kiepski żart, ale to jeszcze nie jest powód do gniewu – zauważyłem.

– Ująłem to trochę inaczej. Zakwestionowałem dziewictwo Maryi – przyznał.

– Idiota!

Niech ma, na co zasłużył. Myślałem, że jest mądrzejszy.

– Wybacz, Héctorze. Nie chciałem nikogo obrazić. Ani jej, ani

ciebie. Wysłuchaj mnie do końca.

– Dobrze, ale jeśli znowu powiesz coś w tym stylu, to ja też pójdę spać – zagroziłem. – Są dwa rodzaje ludzi niewierzących. Ateiści i idioci. Możesz zaliczać się do tej pierwszej grupy, to mi nie przeszkadza, lecz byłoby mi przykro, gdybym musiał zakwalifikować cię do drugiej.

– Nazywaj mnie idiotą, jeśli chcesz, ale pozwól kontynuować. Kiedy Juana to usłyszała, uderzyła mnie w twarz. Potem wyzwala mnie od głupich naukowców, którzy nie uznają żadnych wartości i w nic nie wierzą. Krzyczała, że powinienem przeczytać Biblię i że kto jak kto, ale ja na pewno pochodzę od małpy.

– I słusznie, bo zachowałeś się jak goryl.

– Potem wstała i zanosząc się od płaczu, poszła do swojego pokoju. Zamknęła się na klucz – relacjonował wzburzony. – Siedzi tam nadal. Próbowałem ją przeprosić, ale nie otwiera mi drzwi. Mówi, że nigdy więcej nie pozwoli się dotknąć.

Nie wiedziałem, jak go pocieszyć. Mogłem wymyślić na poczekaniu jakąś pobożną radę. My, księża, mamy w tym dużą wprawę. Ale on naprawdę ją kochał.

– Zostaw ją teraz w spokoju. Jutro z nią porozmawiam. A jeśli do tego czasu sam znajdziesz rozwiązanie *Manuskryptu Voynicha* – dodałem – Juana na pewno ci wszystko wybaczy i zapomni. Czyń pokutę za swoje grzechy, Angliku.

I poszedłem spać.

V

Na drugi dzień rano zjedliśmy śniadanie w grobowej atmosferze.

– Héctorze, bądź tak dobry i weź od Anglika marmoladę. On nie rozumie, jak się do niego mówi – powiedziała z ironią Juana.

John podsunął w moją stronę marmoladę, masło i świeże bułeczki z czekoladą, które kupił specjalnie dla niej. Nawet na niego nie spojrziała.

– Marmolada dla Waszej Wysokości. – Z czarującym uśmiechem podałem jej to wszystko na tacy. Nie wzięła i nie odwzajemniła

uśmiechu. Wręcz przeciwnie.

- Ten idiota niczego nie zrozumiał. Powiedziałam „marmolada”.

Only.

Postawiłem tacę na stole. Lepiej nie żartować, sprawa wygląda poważniej, niż sądziłem. Próbowalem skierować rozmowę na inne tory. Rezultat był fatalny.

- A więc jutro jedziemy do La Palmy?

- Beze mnie.

Odpowiedź Juany zabrzmiała kategorycznie. John dał za wygraną.

- Pojedziemy sami. Obiecałem pokazać ci obserwatorium.

Do końca dnia nie zamienili ze sobą ani słowa.

Nasz samolot był małym czterosilnikowym śmigłowcem, który co godzina kursował z Teneryfy do La Palmy. Przyjmował na pokład zaledwie trzydzieści osób i potrzebował nie więcej niż trzydziestu minut na pokonanie tej odległości. W sam raz, aby zjeść czekoladki rozdane przez stewardesę pasażerom. Wykupiliśmy bilet w obie strony, ponieważ miała to być krótka wizyta i powrót tego samego dnia. John nie tracił nadziei, że Juanie przejdzie złość i zdążą się pogodzić, zanim ona wyjedzie do swojego kraju. Nasze plany uległy jednak zmianie, gdy na terminalu lotniska, na kwadrans przed wejściem na pokład, zabrzączał telefon komórkowy Johna.

– Ciekawe, nowa wiadomość w momencie, gdy zamierzałem wyłączyć aparat – skomentował.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran swojej nokia, zmieniony na twarzy. Szybko zapytałem o powód, nie tracąc nadziei, że to dobra wiadomość.

– Co się dzieje?

– Juana jest na innym lotnisku. W południowej części wyspy.

– Zmieniła zdanie? Pomyliła lotniska?

– Nic podobnego. Przesyła mi trasę swojego lotu: *TFS-MAD-MEX*. Nawet się nie pożegnała – dodał zrezygowany. Potem zacisnęła zęby i z udawanym spokojem zaproponował zmianę biletu powrotnego. Nie było sensu gnać na złamanie karku.

– Chodźmy do informacji, Héctorze. Może uda się to załatwić.

Nie było problemu z zamianą. John zdecydował, że zostanie już w La Palmie, zatrzyma się w hotelu przy obserwatorium, żeby mieć blisko do pracy, która potrwa dwa tygodnie. Na szczęście miał przy sobie swój bagaż. Nie chciało mu się wracać na Teneryfę, gdzie już nie spotka Juany. Zaproponował, że spędzimy noc w obserwatorium,

choć zwykli turyści nie mają do tego prawa.

– Nie przejmuj się, przedstawię cię jako stypendystę i mojego asystenta – zazartował. – Zresztą dużo nie pośpisz, skoro musisz wyjechać z rana.

To mi nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, ucieszyłem się z tej propozycji. Miałem za sobą wiele bezsennych nocy i byłem do tego przyzwyczajony. Mój bilet powrotny na Teneryfę był tak dopasowany, bym zdążył na samolot wylatujący do Madrytu. W ten sposób spędzę święta Bożego Narodzenia na półwyspie z rodziną.

Komórka Johna znowu zabrzęczała.

– Coś nowego? Zmieniła zdanie?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Przypomniała sobie o całusach. Oczywiście przesyła je tylko dla ciebie – dodał z ironią.

John parokrotnie próbował skontaktować się z Juaną, bez skutku. Wreszcie skapitulował i wyłączył telefon. Weszliśmy na pokład niewielkiego samolotu, który szybko oderwał się od ziemi i wzbił w niebo. Lecieliśmy w morzu chmur, ponad które wystawał śnieżny czubek wulkanu. Spektakularny widok.

v

Równie spektakularny okazał się krajobraz kanaryjskiej wyspy La Palmy. Mieszkańcy mówią o niej *la isla bonita** jak w tytule piosenki Madonny. Jest to wyspa pochodzenia wulkanicznego z gigantycznym kraterem Caldera de Taburiente. Z lotu ptaka wygląda tak, jakby jakaś nadprzyrodzona istota zanurzyła w jej wnętrzu gigantyczną łyżkę, wyrwijąc spory kawał ziemi. Obserwatorium astronomiczne znajduje się na najwyższym z otaczających krater wzniesień, które składa się z dziwacznych skał bazaltowych, zwanych Roques, przypominających swym wyglądem ludzkie postaci. Stąd nazwa miejsca i samego obserwatorium: Roque de los Muchachos**. O tych i innych rzeczach opowiadał nam Marco podczas wspinaczki. Marco Giuliani to włoski astrofizyk, który podobnie jak John miał wyznaczony czas na używanie jednego z teleskopów obserwatorium. Sprawnie prowadził samochód po pełnej zakrętów drodze wznoszącej się z poziomu

morza do prawie dwóch tysięcy czterystu metrów wysokości, gdzie mieści się zakład naukowy. Pod koniec jazdy miałem w ustach pół czekoladki zjedzonej w samolocie, a drugą połowę w żołądku. Pożegnaliśmy się z Markiem do czasu obiadu – w tym momencie rzucało mną na samą myśl o jedzeniu – i pomaszzerowaliśmy przed siebie wzdłuż wewnętrznej drogi łączącej różne budynki. Szło się ciężko, efekt wysokości dawał się mocno we znaki. Już po paru krokach byłem zmęczony i tak zadyszany, że ledwie mogłem wykrztusić słowo.

* Piękna wyspa (hiszp.).

** Skała Chłopców (hiszp.).

– Ciekawe – sapnąłem – że obserwatoria astronomiczne powstają zwykle na wyspach.

– Nie tylko ciekawe, lecz ponadto praktyczne i zgodne z logiką – odparł John. – Dwa najlepsze na świecie miejsca do obserwowania sklepienia niebieskiego występują na wyspach wulkanicznych, gdzie są wysokie szczyty i czyste niebo. To Hawaje na Pacyfiku i Wyspy Kanaryjskie na Atlantyku. Spójrz tam. – Pokazał ręką, zmieniając temat rozmowy. – Ten ogromny panel luster o średnicy ponad piętnastu metrów służy do detekcji promieniowania Czerenkowa.

Nie miałem zielonego pojęcia, co to za promieniowanie, i nie próbowałem się dowiedzieć, gdyż co innego frapowało mnie w tej chwili.

– A wiesz, że Tycho Brahe miał wyspę tylko dla siebie? – powiedziałem, cudem odzyskując oddech.

– Wiem, miał wyspę Hven na Morzu Bałtyckim – odrzekł John. – Leży między największą z duńskich wysp, Zelandią, i Półwyspem Skandynawskim. To ledwie kilka tysięcy metrów kwadratowych. Wyrzucił go stamtąd młody król Danii, który potem uwił w obserwatorium Tychona dyskretne gniazdko miłości dla swojej kochanki. Całe szczęście, że Tycho już wtedy nie żył i tego nie widział – dodał.

Nie wydawał się zbyt zainteresowany szczegółami życia duńskiego astronoma, gdyż od razu powrócił do tematu promieniowania Czerenkowa.

– W ubiegłym roku było sporo kłopotów z tym urządzeniem. Wyobraź sobie, mieliśmy awarię napędu montażu: wszystkie lustra zatrzymały się w pozycji skierowanej ku słońcu. Lupa o średnicy piętnastu metrów. Nic nie pozostało w pobliżu. Wszystkie krzewy i zarośla spaliły się na węgiel.

Rzeczywiście, spory kawałek powierzchni nosił ślady pożaru. Tymczasem mnie nadal intrygował związek między wyspiarstwem i astronomią. Mam wrażenie, że stan odizolowania sprzyja dobrej pracy.

John zaprowadził mnie do budynku, gdzie będzie pracować przez wiele następnych nocy; znajdował się tam teleskop Williama Herschela, ochrzczony tak na cześć sławnego brytyjskiego astronoma, który dokonał wielu odkryć, między innymi planety Uran i położenia Słońca w naszej Galaktyce. Jako pierwszy zaprojektował prawdziwie wielki teleskop. John mówił o tym, kiedy wchodziliśmy do środka. Drewniane drzwi budynku mieszczącego ogromną sferyczną kopułę Herschela dziwnie przypominały wejście do kościoła. Zwróciłem mu na to uwagę.

– Dziwisz się, mnichu? Nie bez kozery teleskop nazywa się metaforycznie Świątynią Nieba.

Rzeczywiście, wchodząc do teleskopu Williama Herschela, miałem niemal identyczne wrażenie jak w momencie wejścia do katedry. Jakby porywało mnie coś nienamagalnego i unosiło wysoko w pobliże boskości. To miejsce było autentyczną katedrą, gigantyczną konstrukcją ze szkła i stali poświęconą wyłącznie kontemplacji nieba. Zagapiłem się na imponujące sklepienie i strukturę urządzenia podtrzymującego niemal doskonałe lustro o średnicy ponad czterech metrów.

– Poczekaj, aż zobaczysz to w ruchu dziś w nocy. Działa jak kilkutonowy zegar.

– Już nie mogę się doczekać – powiedziałem w zamyśleniu, pstrykając zdjęcia dla moich uczniów.

Stołówka hotelowa przypominała wieżę Babel. Słyszało się angielski, francuski, niemiecki, włoski, a nawet hiszpański, zadając sobie trochę trudu z rozróżnieniem języków. Marco i para hiszpańskich inżynierów zatrudnionych przy olbrzymim kanaryjskim teleskopie dosiedli się do naszego stolika. Mogliśmy zatem posługiwać się językiem Cervantesa w naszej niewielkiej grupie.

– Hej, John! Ty znowu tutaj?! – zawołał jeden z nich, chudy, brodaty osobnik z podkrążonymi z niewyspania oczami.

Wyglądał, jakby od kilku dni nie spał.

– Hej, Enrique! Znowu – odparł John. – Od jutra zaczynam dwutygodniową sesję obserwacyjną. Pozwólcie, że wam przedstawię Hécтора – dodał.

John przedstawił mi parę inżynierów, a ci uprzejmie ścisnęli moją dłoń. Od wielu dni walczyli z jednym z detektorów Ozyrysa, boga śmierci – takie imię otrzymał jeden ze skomplikowanych instrumentów kanaryjskiego teleskopu. Milczałem podczas obiadu wsłuchany w rozmowę astronomów. Zafascynował mnie ich świat. Odezwąłem się jedynie po to, by powiedzieć coś głupiego:

– Kto chce kawy? Zaraz przyniosę.

– Nie ma mowy – zachnął się Marco. – Kawa z tego automatu nie nadaje się do picia. Przenosimy się wszyscy do Galileusza, gdzie podają prawdziwe cappuccino.

Wsiadliśmy do samochodu Marca, który zawiózł nas na sam szczyt obserwatorium. Tam znajduje się Telescopio Nazionale Galileo, klejnot włoskiej astronomii. Chyba nie trzeba wyjaśniać, dlaczego tak się nazywa. Budynek jest dziwny, w niczym niepodobny do reszty teleskopów o białych kopułach, przypomina spichrz. Niemniej jednak stanowi istny cud technologii. Wymodelowany w tunelu wiatrowym, by uzyskać jak najlepsze parametry luster i pozostałych instrumentów.

Nasz gospodarz zaprowadził nas do małego pomieszczenia służącego z pewnością jako miejsce zebrań. Pośrodku ustawiony był stół, a na ścianach wisiały plakaty z kongresów astrofizyki, wspaniałe zdjęcia mgławic i galaktyk uchwyconych za pomocą Galileusza i

grafika poświęcona sławnemu astronomowi z Wenecji, przedstawiająca jego życie, dzieło i niezwykle wynalazki.

Nagle odniosłem wrażenie *déjà vu* i stanąłem jak wryty ze szklanką pysznego cappuccino w dłoni.

Haec immature a me jam frustra leguntur oy

Taki napis widniał na rycinie.

W tym momencie straciłem poczucie czasu i przestrzeni. Zdawało mi się, że śnię. Obudził mnie głos Johna mówiącego:

– *Cynthiae figures aemulatur mater...*

– Co to? Czyżbyśmy mieli wybierać papieża? – zażartował Marco, słysząc nas mówiących po łacinie. – Komu jeszcze kawy?

– Ja poproszę – powiedziałem błagalnie wciąż oszołomiony.

Potrzebowałem nowej dawki, by szybko dojść do siebie.

– *Cynthiae figures aemulatur mater amorum*. Chyba tak jest woryginalie, ale nie mam pewności – dokończył zdanie John.

– Matka miłości naśladuje fazy Księżyca? – spróbowałem swych sił w tłumaczeniu.

– Mniej więcej tak. Galileusz napisał to zdanie, kiedy odkrył fazy Wenus. Ta planeta przechodzi fazy rosnące i malejące podobnie jak Księżyc.

– O czym wy mówicie? – wtrącił zaintrygowany Marco.

John odpowiedział:

– Galileusz lubił otaczać swoje odkrycia aurą tajemniczości. Nie wiadomo, czy robił to z lęku przed wrogami, czy po prostu dlatego, że bawiła go gra słów. Ujrzawszy dziwny kształt Wenus, zapisał to w ten sposób, w postaci zdania figurującego na grafice.

– Które jest anagramem zdania rzeczywistego – zauważyłem mimochodem.

– Tak mówi legenda. Po prostu poprzestawiał litery – dodał John.

– Cesarski matematyk nie zdołał rozwikłać tej zagadki. Z kolei Galileusz postanowił nie ujawniać jej znaczenia nikomu innemu oprócz samego cesarza, który musiał go o to błagać, by uciszyć niepokój swojego matematyka.

– Kto był tym matematykiem? – zapytałem, z góry znając od-

powieź.

– Oczywiście Kepler. A któż by inny?

v

Asystowanie *in situ* przy nocnej pracy wielkiego teleskopu nie jest ciekawym zajęciem dla amatora astronomii. Zwłaszcza gdy instrumenty mają za zadanie, jak to się często zdarza, wychwycić dane spektralne. Ku mojemu rozczarowaniu tak było również tej nocy. Laik nie ma tu wiele do oglądania. Natomiast dla astrofizyków jest to zajęcie pasjonujące. Być może tędy przebiega linia demarkacyjna pomiędzy astronomią i astrofizyką, podobnie jak wiele lat temu za sprawą Keplera, Tycho i Galileusza zarysowała się linia prowadząca do całkowitego rozdziału astronomii od astrologii. Obecnie instrumenty naukowe badające niebo służą głównie uzyskiwaniu „widm” poprzez rozdzielanie światła, które dociera w zależności od swojej energii. W ten sposób pozyskuje się informacje tak różnorodne, jak skład chemiczny istniejącej lub nieistniejącej już gwiazdy i prędkość, z jaką oddala się od nas jakaś galaktyka.

– Już? To wszystko? – niecierpliwie się, widząc na monitorze instrumentu szereg równoległych, dość niewyraźnych linii. Czekał na ten rezultat pracy detektorów ponad trzydzieści minut.

– Jeszcze ci mało? – zachnął się John. – Przecież to wspaniałe!

John próbował mi wyjaśnić z niewielkim skutkiem związek tych kresek ze zjawiskiem przesunięcia ku czerwieni jego galaktyk. Uważał je za swoje! Czemu nie? Gwiazd i galaktyk jest tyle, że starczy dla każdego.

– Nie bądź człowiekiem małej wiary! – zawołał ze śmiechem.

Otworzył kilka plików z obrazami zachowanymi na twardym dysku. Te zdjęcia zrobiono sześć miesięcy temu aparatem z trybem podczerwonym, który umieszczono w teleskopie Herschela. Wydały mi się dużo ciekawsze niż wiązki linii pojawiające się co pół godziny na ekranie.

– Tu masz galaktyki – powiedział, pokazując na plamy widoczne pośrodku. – Tam również, ale dużo bardziej odległe.

John wskazywał ołówkiem na łuki świetlne otaczające centralną grupę obiektów. Trajektorja światła pochodzącego od obiektów bardziej oddalonych była skrzywiona, co stwarzało osobliwy efekt.

– Najbliższe nam galaktyki deformują przestrzeń wokół siebie – wyjaśniał dalej John coraz bardziej rozentuzjasmowany. – Światło z odległych galaktyk porusza się w tej zdeformowanej przestrzeni i ulega skrzywieniom, zanim dotrze do zwierciadła teleskopu.

– Słyszałem coś na ten temat – wtrąciłem, przypominając sobie jedno z najdziwniejszych zdań nowoczesnej fizyki: światło waży, choć nie posiada masy.

To, na co patrzyłem tej nocy, było ewidentnym dowodem, iż teoria Newtona została skorygowana i uzupełniona. Musiało upłynąć ponad dwieście lat, aby tak się stało. Dokonał tego Albert Einstein dorównujący inteligencją angielskiemu geniuszowi. Problem nie polegał już na tym, że dwa ciała przyciągały się z siłą wprost proporcjonalną do ich masy, lecz że masa ciała deformuje otaczającą go przestrzeń. Inne ciała muszą potem poruszać się w tej elastycznej, niewidzialnej tkance przestrzennej, nawet te, które nie mają żadnej masy jak światło. I niekoniecznie poruszają się w linii prostej.

Przez dłuższą chwilę rozmawialiśmy na ten temat z Johnem, czekając na kolejne wyniki odczytane przez detektory. John zadał mi ciekawe pytanie wskazujące na główne różnice między teorią grawitacji u Einsteina i u Newtona.

– Wyobraź sobie, że Słońce nagle znika. Co wtedy stanie się z Ziemią? – zapytał.

– Przypuszczam, że wystrzeli z orbity na zewnątrz, gdy nie będzie przyciągana przez Słońce – odparłem.

– Zgadza się, ale... czy równocześnie?

Musiałem się zastanowić.

Wraz ze zniknięciem Słońca zniknie jego siła oddziaływania na Ziemię. Newton odpowiedziałby, że nastąpi to równocześnie. Ziemia rozpocznie swoją podróż międzygwiazdą w tym samym momencie. Ale odpowiedź poprawna brzmiała inaczej.

– Wraz ze zniknięciem Słońca zajdą zmiany w przestrzeni – John

odpowiedział sam na swoje pytanie. – Ale Ziemia nie odczuje tego natychmiast. Można to porównać z morskimi falami, które potrzebują trochę czasu, by dotrzeć do brzegu.

– Przepuszczam, że istnieje jakaś granica tej prędkości – przerwalem. – Osiem minut?

– Mniej więcej.

– Ale ponieważ tyle samo czasu biegnie światło od Słońca do Ziemi, zniknięcie Słońca zauważylibyśmy dopiero po ośmiu minutach.

– Dobrze rozumiesz – pochwalił mnie John.

– Tak więc wypadniemy z orbity w tym samym momencie, gdy ujrzymy gasnące Słońce.

– Brawo, Héctorze. Zobaczysz, że razem rozwiążemy zagadkę *Manuskryptu Voynicha*.

v

Noc się dłużyła. Instrument musiał powtarzać raz po raz te same pomiary, sprawdzać, robić zestawienia, korekty i kalibracje. Teleskop pracował bezszmerowo, namierzając z nadzwyczajną precyzją zawsze ten sam punkt na niebie i poruszając się wraz z nim. John słusznie zapowiedział dziś rano, że teleskop będzie chodził jak zegar. Mechanizm zegarowy wydawał się jeszcze w miarę prosty w porównaniu z innymi. Lustra i siłowniki deformowały się i poruszały, aby kompensować gwałtowne podmuchy wiatru, zmiany w gęstości atmosfery, ciężar własny. Wszędzie były ekrany i wskaźniki rejestrujące aktualny stan zdarzeń. Zdaniem Johna nie działo się nic alarmującego, toteż mogliśmy spokojnie porozmawiać o *Manuskrypcie Voynicha*.

– Dowiaduję się od ciebie ciekawych rzeczy. Mówisz, że w Biblii Lazzarięgo znalazłeś kartkę ze słowami Galileusza – powtórzył zdziwiony.

– Zamurowało mnie, gdy zobaczyłem dziś po południu grafikę z tym samym tekstem. Nie miałem pojęcia, że to słowa Galileusza. Sądziłem początkowo, że Lazzariemu chodziło o *Manuskrypt Voynicha*.

– Rzeczywiście, dokładne tłumaczenie tego zdania może na to wskazywać. – John się uśmiechnął, dorzucając po chwili: – „Daremnie próbowałem to zbadać, za wcześniej”.

– Okazuje się jednak, że tłumaczenie nieuporządkowanego anagramu to zmyłka dla inkwizytorów.

– Dlaczego ta notatka znalazła się w zamkniętej kopercie wsuniętej w Biblię z tysiąc siedemset siedemdziesiątego roku i pozostawionej w hiszpańskim klasztorze jezuitów?

– Nie mam pojęcia – przyznałem.

– Może ten bibliotekarz był miłośnikiem astronomii? – zastanawiał się John.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparłem szczerze. – Ale nie sądzę.

– Chyba że miał jakiś szczególny powód, by zainteresować się tą nauką. Załóżmy, że pragnął przetłumaczyć jedną z najcenniejszych ksiąg w swoich zbiorach.

– Niewykluczone – przytaknąłem. – Dodam jeszcze jeden argument na poparcie tej tezy.

– Jaki?

– Kepler.

– Kepler? – zdziwił się John.

– Tak. Zastanawiam się, jak to możliwe, że cesarski matematyk Rudolfa II nigdy nie napomknął w swoich pismach o istnieniu *Manuskryptu Voynicha*. Zwłaszcza że wiedział, ile cesarz zapłacił za to dzieło. Gdybym to ja wydał majątek na zdobycie zaszyfrowanej księgi – rozważałem – czy nie próbowałbym za wszelką cenę znaleźć do niej klucz? Czy nie zatrudniłbym do tego moich najlepszych matematyków?

– Tychona i Keplera!

– Dokładnie. Sądzę, że Lazzari pragnął dać wskazówkę temu, kto otworzy kopertę, ktokolwiek by to był. Znajdował się w takiej samej sytuacji jak Galileusz. Był prześladowany w Rzymie.

– Użył tego samego zdania, nadając mu dodatkowe znaczenie. Miał bowiem na myśli książkę, naszą książkę – podkreślił John, który

przejawiał silny instynkt posiadania czy to ksiąg, czy galaktyk.

– Galileusz nie ma nic wspólnego z *Manuskryptem Voynicha*, lecz Kepler chyba tak. Osobiście jestem tego pewien – snułem moje rozważania coraz bardziej podekscytowany.

– Ergo: trzeba lepiej poznać Keplera – podsumował John.

Nowe widmo pojawiło się na ekranie, ostatnie już tej nocy. Technik obsługujący nośnik wszedł do sali kontrolnej i powiadomił nas, że pora zamknąć kopułę. Wstawał świt. John wyłączył program sterujący. Następnie obaj zaprogramowali pozycję teleskopu, który patrzy w zenit. Na tym zakończyli pracę.

Wyszliśmy na zewnątrz. Było zimno jak diabli. Wsiadliśmy do samochodu i technik zawiózł nas do hotelu. Zdążyliśmy na ostatnią kawę przy stoliku z tymi, którzy jeszcze nie poszli spać, i tymi, którzy właśnie się obudzili. Bez większych problemów dołączyłem do niewielkiego konwoju samochodów odwożących astronomów i pracowników obsługi technicznej. Ekipa z nocnej zmiany wracała do miasta, poranna rozpoczynała pracę. Podrzucą mnie do miejsca, gdzie złapię taksówkę na małe lotnisko położone z dala od centrum.

Uściskałem Johna na pożegnanie.

– Pisz, Angliku. Wiesz, że otwieram pocztę pięć razy na dzień.

– Będę pisać, mnichu. Pomódl się za mnie. Przyjmę każdą pokutę za moje grzechy. – Uśmiechnął się smutno.

Nie mieliśmy żadnych wiadomości od Juany, która o tej porze powinna znajdować się nad Atlantykiem, lecąc w kierunku Meksyku.

– Dlaczego nie ustawiliście szopki?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

Jej brat bliźniak był bardziej rozmowny.

– Mama nas ukarała.

– Zaraz z nią porozmawiam. Tymczasem poszukajcie w swoich zabawkach rzeczy, które mogą nam się przydać do zrobienia szopki.

Był dzień Wigilii. Padał śnieg i wioska wyglądała jak z obrazka. Ludzie robili ostatnie zakupy przed świętami, wybierali prezenty, wysyłali kartki z życzeniami. Ojciec jeszcze nie wrócił z partyjki kart, która dziś wyjątkowo się przedłużyła. Wolał nie przeszkadzać w przygotowaniach do kolacji, zwłaszcza że dom był pełny jak nigdy. Matka krzątała się w kuchni, moja siostra nakrywała do stołu. Natomiast szwagier, podobnie jak mój ojciec, przezornie wycofał się do salonu i oglądał w spokoju telewizję.

– Siostrzyczko – powiedziałem, wchodząc do kuchni – dlaczego dzieciaki nie mają szopki? Zapomniałaś, jaki dziś dzień?

Pociągnąłem ją za warkocz. Oczywiście obraziła się na mnie. Ale nie nawymyślała mi jak moje uczennice. Nie chciała tego robić w obecności matki.

– Żyjecie ze sobą jak pies z kotem – powiedziała ze śmiechem nasza rodzicielka. – No już, zostaw nas same, Héctorze. Zajmij się szopką i nie przeszkadzaj.

– Powiedziałam im, że nie będzie szopki, bo są niegrzeczne. Ciągle się biją – usprawiedliwiała się moja siostra.

– Zupełnie jak wy, kiedy byliście w ich wieku – odparła matka. – Nie ma się czego dziwić.

– Chodź, wujku. Pomóż nam. Nie jesteś jeszcze taki stary – powiedział chłopczyk.

– Co przygotowaliście? – zapytałem.

Mała Alicia przyniosła całe naręczce zabawek. Ustaliliśmy, że Barbie w stroju panny młodej będzie Maryją. Mój siostrzeniec Daniel uparł się, że jeden z jego Action Man musi być w takim razie Józefem. Znowu wybuchła kłótnia i siostra miała do mnie pretensje.

– Widzisz? Ciebie to bawi!

Udało mi się zaprowadzić pokój między nimi. Malec niechętnie zgodził się, że na Józefa najbardziej pasuje mnich Jedi, bo ma kaptur i w ogóle, a świetlny miecz może udawać łaskę. Figurki Action Mana też znalazły dla siebie miejsce na scenie – ustawiliśmy je pochylone wśród trocin udających pustynne wydmy. Uzbrojone po zęby!

– Jak w prawdziwej Palestynie z początków dwudziestego pierwszego wieku – stwierdził mój ojciec.

– Przesadzasz – powiedziała uszczęśliwiona matka, całując go w policzek. – Tak się cieszę, że jesteśmy wszyscy razem. Héctorze – dodała – proboszcz pragnie, byście razem odprawili pasterkę. Tylko nie poplam marynarki.

Nic się nie zmieniło w moim rodzinnym domu.

– A gwiazda?

Mała Alicia zauważyła, że szopce czegoś brakuje.

– Nie mamy gwiazdy – odpowiedziałem. – Ale zaraz zrobimy. Przynieście nożyczki, tekturkę, klej i srebrny papier. Oraz kompas – dodałem, śmiejąc się w duchu.

v

Robienie Gwiazdy Betlejemskiej zajęło nam trochę czasu. Zresztą ta sławna gwiazda przez wieki nie dawała spokoju astronomom i do dziś stanowi przedmiot sporów i dyskusji.

Może była to kometa, może meteor, a może nawet supernowa. Żadne wydarzenie astronomiczne nie zbiega się z datą narodzenia Jezusa z Nazaretu. Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie dał właśnie Johannes Kepler. Święty Mateusz powiada w swojej Ewangelii – napisanej pomiędzy siedemdziesiątym a osiemdziesiątym rokiem po przyjsciu na świat Jezusa – że „gwiazda, którą widzieli [Mędrcy] na wschodzie, szła

przed nimi, aż przyszła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię”*. Kepler, pobożny duchowny, ale i naukowiec, przypuszczał, że Mateusz przyozdobił to wydarzenie jakimś zjawiskiem astronomicznym. On sam obserwował w 1604 roku supernową, która utworzyła potrójną koniunkcję – pozorne zbliżenie trzech ciał niebieskich – z Jowiszem i Saturnem. Tak więc cofnął się w czasie i zaczął szukać koniunkcji tych planet w pobliżu roku zero. Wynikiem tych poszukiwań okazał się rok 7 p.n.e. Historyczne ślady są w przybliżeniu zgodne z tą datą. Święty Łukasz mówi, że „w owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie”. Ten dekret został wydany w roku 8 p.n.e. i spowodował podróż Józefa i Marii. Potwierdzają tę hipotezę inne zapisy, jak ten odnoszący się do śmierci Heroda III Wielkiego, który był gubernatorem w czasie narodzenia Jezusa. Otóż według historyka rzymskiego Józefa Flawiusza ta śmierć nastąpiła wkrótce po zaćmieniu Księżyca w roku 4. W konsekwencji Jezus Chrystus paradoksalnie urodził się – co najmniej – pięć lat przed... swoim własnym przyjściem na świat.

* Wszystkie cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia, wyd. IV, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1991.

Ponadto kalendarze zbyt często się zmieniały, by sprawy do siebie pasowały. Używany przez całe średniowiecze kalendarz juliański został zastąpiony gregoriańskim, który miał go dostosować do roku astronomicznego. W krajach katolickich, wśród nich w Hiszpanii, we Francji i oczywiście w Rzymie, reforma ta została uznana w 1582 roku. W krajach protestanckich została przyjęta dopiero w roku 1700. A w Anglii trzeba było czekać do roku 1752, by kalendarz gregoriański został przyjęty jako oficjalny.

To kazało mi wrócić myślami do *Manuskryptu Voynicha*.

Supernowa Tychona, Dee i Cardana ukazała się w 1572 roku, zaledwie dziesięć lat przed wprowadzeniem nowego kalendarza. Czy pojawił się jakiś błąd w datowaniu? Czy rzeczywiście był to 11 listopada 1572 roku?

Rozmyślałem nad tym wszystkim, rysując gwiazdę. Ku zaskoczeniu moich siostrzeńców cyrkiel podzielił okrąg na sześć doskonale










jednakowych części, a po połączeniu punktów ukazała się gwiazda Dawida, żydowska gwiazda o sześciu wierzchołkach utworzona przez dwa przecinające się trójkąty. Prawdziwy cud matematycznej dokładności, liczb i geometrii. John Dee był wytrawnym geometrą. Kiedy trzeba narysować gwiazdę i zapisać jej datę, należy to zrobić dokładnie. Reforma gregoriańska została wprowadzona w 1582 roku przez papieża Grzegorza XIII po wieloletnich przygotowaniach. Miała na celu dostosowanie roku juliańskiego używanego już w czasach rzymskich – a dokładnie od 45 roku p.n.e. – do tak zwanego roku zwrotnikowego. Ten ostatni to dokładnie rok astronomiczny, jako że mierzy czas upływający pomiędzy dwoma kolejnymi przejściami Słońca przez punkt Barana. I trwa 365 dni, 6 godzin, 9 minut i 10 sekund. Rok juliański w stosunku do astronomicznego był obarczony błędem wynoszącym 3 dni co 400 lat. Nie było to dużo, ale w czasach Grzegorza XIII – a więc w czasach Johna Dee, Tychona Brahego i Johannesesa Keplera – błąd ten wzrósł już do około dziesięciu dni. Stopniowo kalendarz liturgiczny oddalał się od astronomicznego, a to stanowiło problem. Tak więc reforma polegała przede wszystkim na usunięciu za jednym zamachem tych dziesięciu dni. Dlatego też w krajach katolickich po dniu 4 października 1582 roku nastąpił 15 października tegoż roku. Historia przekazuje, że święta Teresa od Dzieciątka Jezus umarła w nocy owego 4 października, a została pochowana dnia piętnastego, czyli nazajutrz, jak to było w zwyczaju.

Po mszy przez pewien czas pracowałem samotnie w salonie. Podłączyłem modem przenośnego komputera do telefonu, a stąd do internetu. Wszyscy już poszli spać. I wtedy odkryłem coś naprawdę ciekawego. John Dee – w czasach, gdy był doradcą królowej Elżbiety – usiłował doprowadzić do tego, by Anglia zastąpiła swój kalendarz tym, który przyjęły kraje katolickie, kierując się kryterium astronomicznym, zgodnie z jego własnymi, dokładniejszymi wyliczeniami. Królowa, namawiana przez arcybiskupa Canterbury, stanowczo się sprzeciwiła. Sądzono, że przywróci to Anglię na łono katolicyzmu. Tak więc jeszcze przez 170 lat Brytyjczycy mieli trwać w tym błędzie.

Czy autorzy mogli przedstawić na diagramie rękopisu rzeczywistą

datę astronomiczną, a nie datę będącą w niezgodzie z pozycją Słońca? Wchodząc w skórę któregośkolwiek z nich, było logiczne, żeby tak myśleć. Dzień 11 listopada stawał się w ten sposób dniem dwudziestym pierwszym. Nie miałem pod ręką krążków Juanów, więc postanowiłem zamówić je u moich małych siostrzeńców. Zachwyciło ich posługiwanie się nożyczkami, kartonem, a zwłaszcza cyrklem. Mieli zajęcie na parę godzin.

V

Następnego wieczoru rozpocząłem moje własne porównania. Miałem już kilka tarcz niemal identycznych jak krążki Juanów, prawdę mówiąc, z kilkoma nadprogramowymi chlapnięciami kleju jako przejaw frenetycznego entuzjazmu brzdąców, ale wynik był taki sam. Użyłem oryginalnych znaków „voynichiańskich”, a nie alfabetu zastępczego, który znamy jako EVA. Chociaż ten ostatni jest bardziej użyteczny do konstruowania algorytmów programowania, pomyślałem, że mogłby niepotrzebnie uwarunkować mój prosty eksperyment. Znaki „voynichiańskie” są dość jasne. Wiele z nich wygląda na litery łacińskie, jak „” lub „”. Inne są jak cyfry: „”, „”, czy „”. Początkowo sądzono, że obecność cyfr pomieszanych z literami mogła mieć związek z możliwością użycia wzorów alchemicznych lub dat astrologicznych. Później stwierdzono, że częstotliwość ich występowania jest podobna jak liter, i przypisano je po prostu do tych właśnie znaków. Zwykłe podobieństwo do cyfr spowodowane przypadkiem kierującym ręką rysownika. Są też inne nieznanne znaki jak rodzaj podwójnej litery „”, znak zapytania „?””, a nawet coś podobnego do greckich liter *nu*, *iota*, *rho* i innych stosowanych we wzorach matematycznych. Na pozór nie mają żadnego sensu. Biorąc pod uwagę częstotliwość ich pojawiania się w rękopisie, każdej z nich przypisuje się literę łacińską. Symbolowi „” przypisuje się literę „e” gdyż jest najczęściej używana. Symbolowi „” – literę „o”, symbolowi „” – literę „s” i podobnie dalej, do końca alfabetu. Wygląda na to, że litery „voynichiańskie” pogrupowane są w sylaby, a te w wyrazy znacznie łatwiej rozpoznawalne.

Na Teneryfie użyliśmy kombinacji:

37-316-54

Jeśli moja nowa teoria kalendarza była słuszna, teraz należało dodać do środkowego krążka dziesięć dodatkowych posunięć. A więc:

37-326-54

Wziąłem papier i ołówek i po obróceniu trzech krążków na podane pozycje rozpocząłem powolną transkrypcję znaków. Większość wyrazów utworzonych z tymi trzema wypisanymi na krążkach sylabami nie miała sensu. Ale dwanaście spośród nich dokładnie odpowiadało wierchołkom gwiazdy astronomicznego diagramu i po ich ponownym uporządkowaniu wykazywało wspólną cechę. Umieściłem podobne sylaby na początku jako przedrostki i zrobiłem to samo na końcu z przyrostkami. Sylaby nieznanne pozostały w środku.

ff-na-2u2	o-ls-nc2
fff-ls-nc2	8-na-2u2
2-na-2u2	9-ls-nc2
ff2-ls-nc2	x-na-2u2
^na-2u2	ff-na-2u2
f-na-2u2	fff-na-2u2

Po przetłumaczeniu na EVA większość wyrazów miała sens. Nie tylko najczęściej występujące litery niemal całkowicie odpowiadały łacińskim, ale ponadto cyfry... zachowywały się jak cyfry.

«t—va—rivs»	«0—kj—ver»
«tt—kj—ver»	«8—va—rivs»
«2—va—rivs»	«9—kj—ver»
«t2—kj—ver»	«x—va—rivs»
«v—va—rivs»	«vt—va—rivs»
«4—va—rivs»	«vtt—va—rivs»

Z dwunastu wyrazów osiem miało zakończenie „ius”, co było dość

łatwo przetłumaczyć: *Ianuarius, Februarius, Martius, Aprilis, Maius, Iunius, Julius, Augustus*. Pozostałe cztery kończyły się na „ber”. Odpowiadały więc pozostałym miesiącom: September, October, Novembris, December. Cyfry wskazywały na pewien porządek.

11-na-2u2	«t—va—rivs»	Styczeń
2-na-2u2	«2—va—rivs»	Luty
x-na-2u2	«x—va—rivs»	Marzec
4-na-2u2	«4—va—rivs»	Kwiecień
v-na-2u2	«v—va—rivs»	Maj
111-na-2u2	«vt—va—rivs»	Czerwiec
1111-na-2u2	«vtt—va—rivs»	Lipiec
8-na-2u2	«8—va—rivs»	Sierpień
9-11s-2u2	«9—kj—ver»	Wrzesień
o-11s-2u2	«0—kj—ver»	Październik
1111-11s-2u2	«tt—kj—ver»	Listopad
112-11s-2u2	«t2—kj—ver»	Grudzień

Musiałem jak najszybciej opowiedzieć o tym Juanie i Johnowi.

Wreszcie w tym ogromnym galimatiasie bazgrołów znaleźliśmy coś, co miało jakiś sens. Niektóre teksty w *Manuskrypcie Voynicha* nie były cczą formą. Przynajmniej jedna rycina z wyrazami miała jakąś logiczną konstrukcję. Należałoby sprawdzić, czy pozostałe diagramy książki zostały utworzone w ten sam czy w inny sposób. A przede wszystkim trzeba było znaleźć odpowiedź na zasadnicze pytanie.

I co dalej?

Wszyscy znamy nazwy miesięcy. Nawet dzieci.

W gruncie rzeczy pytanie było dużo bardziej skomplikowane.

Czego tak naprawdę szukamy?

Juana pogratulowała mi lakonicznie i życzyła szczęścia. Uprzedziła, że zamierza przeanalizować moje tłumaczenie symboli. Nawet jeśli znajdzie w nim błędy – dodała żartobliwie – życzenia szczęścia pozostają aktualne z okazji świąt Bożego Narodzenia. Natomiast John zareagował euforycznie na wiadomość o moim odkryciu. Uszczęśliwiłeś mnie – pisał. W obserwatorium padał śnieg, od dwóch nocy nie można było otworzyć kopuły teleskopu ani podłączyć instrumentów. Święta spędzał z dala od rodziców mieszkających w Londynie i na dodatek nie miał żadnych wiadomości od swojej ukochanej Juany, która nadal nie raczy odebrać telefonu.

John wyraził swoją radość po angielsku: *Make my Day!*

Przypomniałem sobie, że tego określenia użył Gilder. To znaczy duet Reagan-Gilder, a raczej trio w osobach Reagan-Gilder-Eastwood. Może dlatego tej nocy miałem dziwny sen. Przyśniło mi się, że Johannes Kepler wyciąga olbrzymi rewolwer Magnum i mierzy do zdziwionego Tychona Brahego, który broni się przed nim, wymachując krótką szpadą. Po pierwszym strzale odpada mu nos z twarzy. Zabiwszy Tychona, Kepler z mojego snu szpera w jego mieszkaniu, wyraźnie czegoś szuka, otwiera wszystkie szuflady, wreszcie znajduje teczkę z napisem na okładce: *Daremnie próbowałem to zbadać, za wcześnie*. W środku jest *Manuskrypt Voynicha*. Kepler uśmiecha się na ten widok i ucieka z teczką pod pachą.

V

Siostrzeńcy ściągnęli mnie z obłoków na ziemię.

– Chodźmy, wujku. Mama powiedziała, że zabierasz nas dziś do kina.

Spojrzałem na zegarek.

– Nie za wcześnie? Dopiero dziesiąta rano.

Dzieci wzruszyły niewinnie ramionami i powtórzyły z uporem:

– Chodźmy. Ubieraj się, przecież obiecałeś.

Nie przypomniałem sobie, bym cokolwiek obiecywał, lecz siostrzeńcom należało się kino. Był to ostatni dzień moich krótkich wakacji bożonarodzeniowych przed powrotem do klasztoru i do pracy

w szkole. Ostatni dzień roku miałem spędzić z moimi współbraćmi, żeby podjąć ostateczną decyzję w sprawie przeprowadzki, która zdawała się nieunikniona.

– Do jakiego kina idziemy? Wybraliście już film?

Te dwa głupie pytania dowodziły, jak rzadko bywam w rodzinnej miejscowości. Filmy wyświetlano teraz w sali udostępnionej przez władze miejskie, która wypełniała się składanymi krzeselkami przy takich okazjach, jak zebrania mieszkańców, ewentualnie spektakl miejscowego teatru, mityng polityczny lub projekcja filmowa, co miało miejsce tym razem. Zamknięto dwa małe kina z czasów mojej młodości, zlikwidowano wiele innych rzeczy, miejscowość podupadła tak bardzo, że z trudem mogła sobie pozwolić na utrzymanie liceum dla małej grupki uczniów. Była to głównie młodzież z okolicznych wiosek, jeszcze mniejszych niż moja, a także dzieci imigrantów, jedyna nadzieja na ożywienie rolnictwa, handlu i resztek przemysłu w tym rejonie.

– Oczywiście wybrali. Interesuje ich dobre kino artystyczne. W jednej z sal multipleksu idzie właśnie świetny film o Kurdystanie – odezwała się drwiąco moja siostra, nalewając mi do filiżanki kawy. – W wersji oryginalnej z napisami, tak jak lubią.

– Idziemy na *Star Wars* – odparł mały Daniel z doskonałym akcentem angielskim, nie zwracając uwagi na słowa matki.

– Nie ma nic nowszego? Aż tak u was źle? Dlaczego nie zagłosujecie na innego wójta? – odpowiedziałem ironią na żart mojej siostry i prośbę malucha.

– Chodźmy na *Zemstę Sithów* – upierał się dzieciak. – To ostatnia część trylogii.

– Nie znam tego filmu – przyznałem. – O której się zaczyna?

– Punkt jedenasta. Pospieszcie się, żeby zająć dobre miejsca. Nie kupuj dzieciom cukierków, bo potem nie chcą jeść obiadu.

– Musimy teraz? Nie można później? – protestowałem.

– Dziś nie można. Po południu salę wynajmują ewangelicy na uroczystości chrzcielne – poinformowała mnie siostra.

– Chcesz, żebym na to też poszedł z dziećmi? – kontynuowałem,

sądząc, że siostra nadal robi sobie kpiny.

Ale tym razem nie żartowała.

– Synu, nawet nie wiesz, ile tu się zmieniło – wtrąciła matka, wchodząc do kuchni z kurtkami i szalikami dzieciaków w rękę. – Jest nawet nowy pastor.

– Niemożliwe! Czyżby stary Porretas przeszedł na emeryturę? – Roześmiałem się, nie wierząc do końca w to, co usłyszałem. Pastuch Porretas* pilnował wioskowego bydła. Zasłużył sobie na ten przydomek, gdyż często wylegiwał się na łące całkowicie nagi, paląc papierosa z dziwnej mieszanki ziół, które sam zbierał w górach. Owcom to nie przeszkadzało, dzieciakom, do których się zaliczałem, też nie.

* *En porretas* (hiszp.) – nago, na golasa.

– Wioska rozwija się pomału dzięki Latynosom. To dobrzy ludzie, pracowici. Przyjeżdżają do nas z Ekwadoru, Boliwii, Kolumbii i Hondurasu.

– Nie widzę w tym nic złego – powiedziałem.

– Ale odbierają wam klientelę – zauważyła moja siostra. – Jezuitci jeżdżą na misje do Ameryki Południowej, a ludzie stamtąd przybywają do nas. Księża katolicy coraz mniej są potrzebni do szczęścia. Zostaniecie bez pracy.

– Zabieram dzieci do kina – uciąłem rozmowę. – O której obiad?

– Gdy wrócicie, synku – odpowiedziała matka, całując mnie w policzek.

Przyjemnie było wrócić do domu i czuć się jak dawniej.

v

Wszystkim nam smakowała prażona kukurydza – jasne, że nie posłuchałem upomnień siostry – a film bardzo mi się podobał i ubawiłem się setnie. Zemsta Sithów nie liczyła się z żadnymi prawami fizyki, co dzieciom wcale nie przeszkadzało. Poruszanie się z szybkością światła było dla nich czymś normalnym, wystarczyło wziąć rozmach i znaleźć właściwą czarną dziurę. Na asteroidach o średnicy zaledwie kilkuset metrów panowało takie samo ciążenie jak na Ziemi,

choć one były w środku puste. Wojny gwiazdne toczyły się w potężnym zgiełku dźwięków *dolby surround*. Biorąc pod uwagę, że przestrzeń jest pusta, pozostaje zagadką, w jaki sposób rozchodzą się tam fale dźwiękowe. Może przez tunele czasoprzestrzenne, drgania membrany lub negatywną energię. Nawet mniejszą niż zero, pomyślałem z przekąsem. Jednakże nie to było ważne, tylko wyobraźnia działająca cuda, gdyż po projekcji dzieciaki oklaskiwały jak szalone ten pokaz efektów specjalnych i fantazji.

Najdziwniejsze zdarzyło się na koniec.

Z pierwszego rzędu wyszedł elegancki młodzieniec w garniturze i krawacie i zbliżył się do dzieci. W klapie marynarki miał identyfikator, ale na wszelki wypadek zapytałem Daniela.

- Kto to?
- Psor od historii religii.
- Czego chce?
- Zbiera rysunki na konkurs – powiedziała mała Alicia, wyciągając z kieszeni kurteczki złożoną na pół kartkę papieru.
- Co to? – zapytałem znowu, pokazując na rysunek.
- Arka Noego – odpowiedziała z dumą. – Narysowałam wszystkie zwierzęta, jakie znam.
- A gdzie dinozaury? – indagowałem dalej z żartobliwą czułością.

Mała pomyślała przez chwilę.

- Zapomniałam. Pomożesz mi, wujku? – poprosiła, podsuwając ołówek.
- Jasne.

Ku uciesze jej brata i mojej narysowałem ogromnego *Tyranosauriusa Rexa* na statku.

W 1589 roku Tycho Brahe znajdował się u szczytu sławy. W wieku niespełna czterdziestu lat był dobrze znany i szanowany w środowisku europejskich uczonych. Natomiast Johannes Kepler miał wówczas siedemnaście lat i wybierał się dopiero na uniwersytet w Tybindze. W przeciwieństwie do bogatego arystokraty Tychona Kepler zabrał ze sobą zaledwie kilka książek i żadnych pieniędzy. Szybko się zorientował, że teologia i matematyka – nie pomijając oczywiście astronomii – kroczą ramię w ramię w poszukiwaniu prawdy i porządku wszechświata. W Tybindze pobierał nauki u Michaela Mästlina, astronoma cieszącego się takim samym szacunkiem jak Tycho i uznawanego naówczas za największy autorytet w tej dziedzinie. Aczkolwiek nauczano wciąż astronomii według modelu Ptolemeusza, Mästlin należał do nielicznych naukowców, którzy uwierzyli w teorię Kopernika, że planety włącznie z Ziemią krążą wokół Słońca. Kepler szybko przekonał się do tej idei. W jego mistycznym myśleniu było naturalne, iż Słońce, najjaśniejsza gwiazda, źródło światła i życia, symbolizuje Twórcę Kreatora i znajduje się w centrum wszechrzeczy. Wszechświat stworzony przez Boga mógł być jedynie doskonały. Poszukiwanie w nim harmonii stało się u Keplera obsesją na całe życie.

Ukończył studia w 1591 roku z nadzieją, że zostanie kaznodzieją luterańskim. Był pobożnym chrześcijaninem, ale ponieważ bronił teorii Kopernika, nie budził zaufania zwierzchników swojego Kościoła. Były to czasy podziałów, sztywnych dogmatów i ciągłych kontrowersji. Uznany za sympatyka kalwinistów nie miał szans na kaznodziejstwo. Po latach padnie pod jego adresem dodatkowe oskarżenie o przyjaźń z katolikami, zwłaszcza z naukowcami spod znaku Towarzystwa Jezusowego (znowu pojawia się wątek jezuicki),

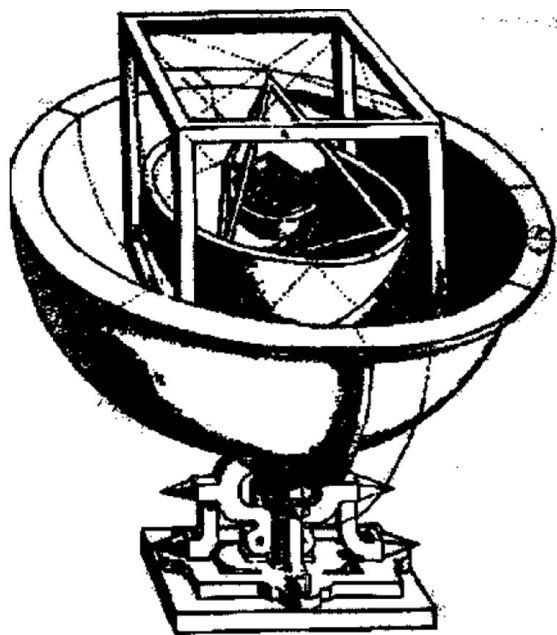
toteż nigdy nie pozyska pełnego zaufania zreformowanych luteranów. Kepler zostaje więc nauczycielem matematyki w małej szkole w austriackim mieście Graz. I tu następuje w jego życiu radykalna zmiana. Tak radykalna, że – jak można przeczytać w jego biografii – dotyczy nawet kalendarza. W Tybindze obowiązywał kalendarz juliański, a na granicy z Bawarią wchodził w użycie gregoriański. Podróż do Grazu zajęła mu dziesięć dni dłużej, niż początkowo planował.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślałem.

Szkołę, do której przybył Kepler, założono w 1574 roku jako ri-postę na powstałą rok wcześniej szkołę katolicką prowadzoną oczywiście przez jezuitów. Kepler znowu znalazł się między młotem a kowadłem. Harmonijna koegzystencja dwóch wyznań w Grazu mogła okazać się pozorna i nietrwała. Tymczasem młody protestant zajmował się różnymi rzeczami oprócz pracy w szkole. Najbardziej znamienne było jego zainteresowanie astrologią. Keplerowi przypisuje się znane powiedzenie, że astrologia to „szalone dziecko astronomii”. Po latach sformułuje następującą opinię: „Astronomom zdarza się mieć rację, ale to czysty przypadek”. Niemniej jednak Kepler wierzył tak jak Tycho, że gwiazdy mają pewien wpływ na ludzi. Do obowiązków matematyka należało układanie przepowiedni do kalendarzy. Na rok 1595 zapowiedział bardzo srogą zimę, bunt chłopów i atak Turków od południa. Utrafił ze wszystkim i zyskał sobie ogromną popularność. Niewiele ryzykował prognozowaniem pogody, ponieważ od lat odnotowywał wszystkie zmiany meteorologiczne podobnie jak Tycho. Z kolei wśród chłopów i Turków panowało wrzenie, toteż łatwo było przewidzieć, że prędzej czy później wybuchną.

W tym samym roku Kepler dokonał wyjątkowego – acz błędnego odkrycia. Badał koniunkcje Júpitera i Saturna, to znaczy, kiedy Júpiter wysunie się przed Saturna w zodiaku. Spośród znanych wówczas planet te dwie były najbardziej oddalone i co za tym idzie, najwolniejsze. Zdarza się co dwadzieścia lat, że Júpiter – nieco szybszy – wyprzedza Saturna. Kepler wyrysował kolejne koniunkcje znane w

jego czasach i zdał sobie sprawę, że tworzą one przemieszczające się trójkąty, które krążą wokół centralnego punktu. Taki sam rysunek można uzyskać za pomocą kawałka sznurka, jeśli używając kilku gwoździ jednakowo odległych wewnątrz okręgu, naciągnie się go w taki sposób, że koniec jednego trójkąta będzie początkiem następnego. W wyniku tego wszystkiego pojawiał się drugi okrąg wewnętrzny wpisany w trójkąty. Zrobiło to na Keplerze duże wrażenie i w jego umyśle pojawiło się wiele pytań. Dlaczego okrąg? Dlaczego jest tylko sześć planet, ani jednej mniej, ani jednej więcej? Dlaczego poruszają się z pewną prędkością, która zmienia się w pewien sposób? Dwa tysiące lat po Arystotelesie Kepler poczuł, że na tym diagramie ma przed oczami porządek wszechświata, doskonałość Boga w harmonii kosmosu. Nie mogło być na niebie nic przypadkowego ani bezsensownego. Znalazłszy relację między orbitami Jupitera i Saturna – trójkąt, pierwszą figurę w geometrii – pokusił się o to samo w odniesieniu do reszty planet. Starał się dopasować kwadrat między Marsem i Jupiterem, pięciokąt między Ziemią i Marsem, sześciokąt między Ziemią i Wenus i tak dalej.



Kepler był miłośnikiem geometrii, świetnym matematykiem.

Ale podstawowe płaskie formy nie pasowały do planetarnych orbit. Wtedy zaczął eksperymentować z bryłami i użył wielościanów. Jest tylko pięć takich, które można wpisać w kulę lub na niej opisać: czworościan, sześcián, ośmiościan, dwunastościan i dwudziestościan. Dla Keplera orbita Ziemi była miarą wszystkiego. Wokół niej można było opisać dwunastościan. Kula, która mogła go zawrzeć, byłaby orbitą Marsa wpisaną z kolei w czworościan. To samo z Jupiterem i sześciánem, którego sfera zewnętrzna byłaby orbitą Saturna. Przeprowadził to samo rozumowanie wobec reszty planet, tych wewnętrznych: Wenus i Merkurego. We wszystkim był jakiś porządek. Pięć brył doskonałych i kula dla sześciu planet. Odległości między nimi były więc z góry ustalone. Należało tylko sprawić, by obserwacje doświadczalne zgodziły się z teorią, a wielkość boskiego planu potwierdzona.

Bez porównania najlepszymi obserwacjami nieba z Ziemi były obserwacje prowadzone przez Tychona. Kepler napisał do swojego ukochanego mistrza Michaela Mästlina, który okazał wielki entuzjazm wobec tego odkrycia i zachęcił go do opublikowania. W ten sposób Tycho mógł zapoznać się z pracą Keplera. Ten ostatni miał przedstawić swoją teorię w tomie wydanym w 1597 roku. Książka miała małe wymiary, ale wielki tytuł: *Wprowadzenie do prób kosmologicznych, zawierające tajemnicę kosmologiczną cudownej proporcji sfer niebieskich oraz o prawdzie i szczególnych przyczynach liczby, rozmiaru i okresowego ruchu niebios*. Bardziej znana pod skróconym tytułem *Mysterium Cosmographicum* albo po prostu *Mysterium*. Kepler nie zwlekał z wysłaniem kopii *Mysterium* do innych astronomów swojej epoki. W tym czasie Galileusz wykładał na Uniwersytecie Padewskim, ale jeszcze nie był znany. Brakowało kilku – bardzo niewielu – lat do wynalezienia teleskopu. Kepler nie przekazał mu swojej książki, ale ten esej – z pewnością za pośrednictwem jakiejś trzeciej osoby – dotarł do rąk Włocha. Galileusz pisze wówczas do Keplera po raz pierwszy i w pochwalnym liście mówi, że jest już zwolennikiem modelu kopernikańskiego, lecz nie chce

przyznać się do tego publicznie z obawą przed reakcjami i kpinami kolegów. W odpowiedzi Kepler namawia go do tego i prosi o obiektywną krytykę swojego *Mysterium*. Jednak Galileusz nie odpowiedział na ten list Keplerowi. Musiało minąć jeszcze trzynaście lat, żeby korespondencja między tymi dwoma gigantami nawiązała się ponownie.

A Tycho? W niejasnym epizodzie historii astronomii Tycho Brahe stał się ofiarą plagiatu swojego własnego modelu planetarnego. Inny astronom jego czasów, niejaki Ursus, ten sam, który poprzedził go jako cesarski matematyk na dworze Rudolfa II – funkcję tę piastowali kolejno Ursus, Tycho i Kepler – opublikował opis modelu tychońiczego jako swojego własnego wynalazku. Kepler wysłał swoją książkę Ursusowi i mimowolnie został wplątany w polemikę, która o mało nie pogrzebała jego nadziei. Tycho nie znał naturalnie młodego Keplera i pierwsza wiadomość, jaką uzyskał o jego istnieniu, mówiła o cudzoziemskim przyjacielu jego nieprzyjaciela Ursusa. Jednakże i na szczęście *Mysterium* przekazał Tychonowi Michael Mästlin. Za jego pośrednictwem Kepler poznał opinię wielkiego duńskiego mistrza o sobie, a tylko to go w gruncie rzeczy interesowało. Pomimo zrozumiałego poirytowania Tycho okazał zainteresowanie teoriami Keplera, lecz uprzejmie odrzucił model wielościanów zawarty w *Mysterium*, ponieważ nie pasował on do jego danych eksperymentalnych (co ściśle odpowiadało prawdzie). Pochwalił natomiast za pomysłowość, zachęcając Keplera, aby wykorzystał swoje zdolności matematyczne i dostosował obserwacje do modelu tychońiczego. Niedługo potem zaczęli pracować wspólnie.

Takie były najciekawsze dane, jakie znalazłem w związku z pierwszymi listami tych trzech wielkich uczonych. Bezlik nieporozumień i opóźnień zmieszanych ze szczyptą dumy i miłości własnej. Może gdyby poczta była szybsza – powiedzmy internet – wszystko potoczyłoby się łatwiej.

Tymczasem otrzymałem powiadomienie, że mam nową wiadomość.

Od Juany.

Witaj, Héctorze!

Wspaniale zinterpretowałeś astronomiczne dyski z *Manuskryptu Voynicha*, po prostu cudownie. Sprawdziłam dokładnie wszystko po kolei i zgadza się. Jesteś na dobrej drodze. Co do tego nie ma wątpliwości.

Nie ukrywam jednak, że czuję się przygnębiona.

Nie tyle z powodu *Manuskryptu Voynicha*, ile - jak pewnie się domyślasz - z powodu Johna. Dlatego myślę, że najlepsze, co mogę zrobić w tej chwili, to wycofać się z realizacji naszego wspólnego projektu. Nie chcę cierpieć ani sprawiać komuś cierpienia, a tym bardziej nie chcę być dla was ciężarem i przeszkadzać w dobrej współpracy.

Myślałam, że on jest inny. Szlachetny, inteligentny, miły. I oczywiście przystojny. Prawdziwy dżentelmen. Pomyliłam się. Jest takim samym bezmyślnym kretyńcem jak większość facetów, których spotkałam na uniwersytecie. Niewiele o mnie wie i nawet nie próbuje zrozumieć. Gdyby wiedział o pewnych sprawach, na pewno nie odezwałby się do mnie w ten sposób. Choć niewykluczone, że w ogóle przestałby się do mnie odzywać.

Czy mogę Ci coś wyznać, jak na spowiedzi, Héctorze?

Myślę, że tak.

Podaję Ci, że obaj, zarówno Ty, jak i on, uważacie mnie za rozpuszczoną dziewczynę, która na wszystko może sobie pozwolić, bo ojciec - być może wskutek poczucia winy, że wychowała się bez matki - zaspokaja każdy kaprys sieroty. Po szkole średniej w Meksyku wyjechałam na studia do Stanów Zjednoczonych. Studiowanie było tylko pretekstem do wyrwania się z domu. Czas mijał mi na zabawach i piciu. Zmieniałam mężczyzn jak rękawiczki, przechodziłam z łóżka do łóżka, nie zastanawiając się nad tym, co robię. Zaczęłam brać narkotyki. Mogłam kupić, jakie tylko chciałam, stać mnie było na to. Zawsze miałam coś w pogotowiu dla siebie, a także dla innych, jeśli potrzebowali. Tak upłynął ponad rok.

Pewnej nocy miałam zapaść. Nic z tego nie pamiętam. Obudziłam się w łóżku szpitalnym. Dowiedziałam się od lekarzy, że jacyś wy-

cieczkowicze znaleźli mnie nagą i nieprzytomną na poboczu szosy. Policja przeprowadziła śledztwo. Okazało się, że zostawili mnie tam koledzy z uniwersytetu, sądząc, że nie żyję.

Bali się zadzwonić po lekarza, bo wcześniej było za dużo seksu, alkoholu i ćpania. Ze szpitala trafiłam do najlepszej w Teksasie kliniki leczenia z uzależnień. Ojciec płacił skrupulatnie za mój pobyt. Odtąd moje życie zaczęło się zmieniać i nabierać sensu. Tam dano mi do ręki Pismo Święte, uwierzyłam w Chrystusa i zaczęłam uczyć się życia zgodnie z Biblią.

To są sprawy dla Ciebie oczywiste, bo sam jesteś głęboko wierzący i praktykujący. Poświęciłeś życie Chrystusowi. Ale John tego nie pojmuje i nigdy nie pojmie. Jego chłodny racjonalizm doprowadza mnie do szału. Nie chcę dłużej znosić takiego lekceważenia.

Po powrocie na uniwersytet w Teksasie rzuciłam prawo i zajęłam się informatyką, językiem komputerowym. Ty mówisz na komputer „ordenador”. Takie określenie lepiej pasuje do tego, co chcę Ci wyjaśnić. Praca z maszynami pomogła mi uporządkować życie. W naszym uniwersyteckim centrum studyjnym próbowaliśmy zasypać przepaść między dręczącymi pytaniami, które każdy sobie stawia, i głębokimi odpowiedziami, jakie przynosi Nowy Testament. Biblia powstała werbalnie z natchnienia Ducha Świętego, jest Słowem nieomylnym napisanym przez Boga. Jezus jest Bogiem, Słowem Żywym, które stało się Ciałem poprzez swoje cudowne poczęcie i narodziny z Dziewicy. Żył bez grzechu, lecz umarł na krzyżu, pokutując za grzechy ludzi. Nie mogę być z człowiekiem, który urządza sobie kpiny z Chrystusa. Bóg przywrócił mnie do życia. Prawdziwego życia.

Jeśli John Cię zapyta o przyczyny mojego zachowania, mam nadzieję, że zdołasz mu to wyjaśnić. Ty wierzysz w to samo co ja.

Spróbuję o nim zapomnieć. Będę modlić się za niego codziennie.

Teraz rozumiesz, dlaczego najlepszym wyjściem dla nas wszystkich jest moja rezygnacja ze wspólnej pracy nad *Manuskryptem Voynicha*, prawda? Nie chcę więcej komplikacji. Wystarczy mi tych, które mam.

Pamiętaj, żebyś mnie zawiadomił, kiedy wszystko rozszyfrujecie.
Tego dnia będę szczęśliwa.

Buziaki. Trzymaj się!

Juana

– Héctorze, dołącz do nas, gdy skończysz. Prawie wszyscy są już w kaplicy.

Matias wszedł na piętro, żeby mnie powiadomić. Pograżony w lekturze tekstu od Juany straciłem poczucie czasu. Życie naszej wspólnoty wracało po świętach do normy w atmosferze niepewności. Przeor uznał, że stosowniejszym miejscem do zebrania jest teraz kaplica, a nie – jak dotychczas – zwykła sala.

Nie będzie więc kawy.

Carmelo rozpoczął zatem od modlitwy *Ojciec nasz*, po której nastąpiła krótka inwokacja o wstawiennictwo Ducha Świętego przy podejmowaniu naszych decyzji. Chociaż to nie był sobór ani konklawe, nasze zebranie musiało rozstrzygnąć o losie dwudziestu osób i kształceniu kilkuset dzieci.

– Bracia, dobrze wiecie, co nas tutaj sprowadza – rzekł Carmelo po zakończeniu modlitw.

Wszyscy przytaknęliśmy w milczeniu. Przeor wziął głęboki oddech i mówił dalej z widocznym wysiłkiem. Najwyraźniej był czymś mocno poruszony. To nie zapowiadało nic dobrego.

– Wielu z was spędziło kilka dni w rodzinnych domach, świętując narodziny naszego Pana w towarzystwie rodziców i rodzeństwa. Część nie ma już innej rodziny prócz zakonu, więc zostaliśmy tutaj. Nie było nam łatwo.

Wydawało się, że Carmelo nawiązuje do swojej sytuacji. Jego sędziwa matka umarła rok temu. Miał jeszcze jakichś dalekich kuzynów, ale to my byliśmy dla niego wszystkim. Wiedzieliśmy o tym i rozumieliśmy, że czuł się w tych dniach osamotniony. Ale nie to było główną przyczyną jego przygnębienia.

– Dwa dni temu otrzymaliśmy nowe wezwanie sądowe do opuszczenia naszego domu zakonnego.

Ta wiadomość większość z nas zaskoczyła. Spojrzałem na Damiána, dyrektora szkoły, zdziwionego tak samo jak ja. Niemal jednogłośnie poprosiliśmy przeora o więcej informacji na ten temat. Otrzymaliśmy je od Juliana, który musiał przerwać swój urlop i wrócić wcześniej do klasztoru, zważywszy na powagę sytuacji.

– Jest tak, jak mówi Carmelo.

Głos Juliana zabrzmiał jak na pogrzebie. Ekonom przedstawił techniczne aspekty problemu, oszczędzając wyjaśnień przeorowi.

– Urząd miasta działa w złej wierze. Nie uszanował reguł o terminie wyprowadzenia. Nie było mowy o spotkaniu pojedynczym w celu porozumienia stron. Zwykły spisek za naszymi plecami – podsumował.

– Jeśli jest tak, jak mówisz – wtrącił Damián – mamy prawo złożyć odwołanie i przystopować ich działania.

– Już to zrobiliśmy, ale nasze odwołanie zostało odrzucone z powodu błędów formalnych – odezwał się znowu Julián. – Co gorsza, nie mamy adwokata. Zwróciłem się o pomoc do naszego domu zakonnego w Madrycie, żeby tam znaleźli dla nas prawnika.

Tym razem ja zabrałem głos.

– Kto wywiera największą presję?

– Gdybym umiał na to odpowiedzieć, wiedzielibyśmy, czego się trzymać – odparł Julián. – W ostatnim tygodniu miejscowy dziennik poświęcił nam trzy komentarze redakcyjne. Najłagodniejszy epitet użyty pod naszym adresem to „merkantyliści”. Ale to nie wszystko. Firma patronująca planom budowy już ogłosiła konkurs na pracowników. Na liście oczekujących znalazło się ponad tysiąc osób. Wszyscy są przekonani, że dostaną pracę. Od prostych cieśli po pracowników administracyjnych i personel ochrony. Niektórzy już podpisali formalne kontrakty i odebrali zaliczkę na poczet przyszłej pensji.

– Co na to politycy?

– Wszystkie drzwi są dla nas zamknięte. – Julián nie dawał nam żadnej nadziei. – Jedni wyjechali na narty, inni są na zebraniu partyjnym z sekretarką. Nikt nic nie wie i nie chce wiedzieć. Tymczasem

wydarzenia następują po sobie w błyskawicznym tempie.

– Jakie mamy teraz wyjście?

– Żadnego – odpowiedział pesymistycznie Carmelo. – Pozostaje nam tylko modlitwa.

– Co poza tym?

Moje pytanie chyba nie spodobało się przeorowi, gdyż spojrzął na mnie z dezaprobatą. Wszyscy milczeli, spodziewając się, że zostaną skarcony. Jednak nic takiego się nie stało. Po upływie kilku sekund – wystarczająco dużo, by Carmelo skorzystał z prawa do repliki – ponownie zabrał głos ekonom.

– Budynki należące do jezuickiego kompleksu należy opuścić do pierwszego marca z wyjątkiem gmachu szkolnego. Szkoła zostanie otwarta do trzydziestego czerwca, to oczywiste. Zmodyfikowany plan zagospodarowania przestrzennego, przyjęty przez radę miejską w trybie pilnym – Julian czytał oficjalny dokument – przewiduje cesję terenów z wyjątkiem kościoła Świętej Marty wraz z przyległym budynkiem (to ta kaplica, w której się znajdujemy) w drodze przetargu publicznego. Wyniki przetargu ogłosi notariusz po otwarciu zalakowanych kopert, co nastąpi w dniu trzydziestego grudnia bieżącego roku. To znaczy pojutrze. – Julián zakończył lekturę i pokazał nam kartkę z wezwaniem, zaznaczając, że druga strona jest pusta. – To wszystko.

– A więc pojutrze dowiemy się, kto za tym stoi – zauważyłem.

– Puste marzenie – powiedział Julián. – To jakaś spółka podstawiona. Nie udało mi się sprawdzić przez kogo i dlaczego. Wszyscy mówią, że z zagranicznym kapitałem, ale nikt nie wie nic pewnego.

Przeor zabrał głos po raz ostatni.

– Julián czyni starania, by umieścić nas w dawnym klasztorze karmelitanek. Wielki, rozpadający się gmach. Trzeba będzie trochę zainwestować w jego readaptację. Kiedy przeniesiemy się stamtąd do nowej siedziby, jeśli Bóg pozwoli, zostawimy siostrzyczkom dwadzieścia parę pokoi w całkiem przyzwoitym stanie. Będą mogły otworzyć niewielkie schronisko dla podreperowania swojej trudnej sytuacji finansowej. Karmelitanki z radością przyjęły naszą propozy-

cję. A teraz – zakończył – wracajmy do obowiązków.

Przynajmniej nie zabraknie nam ciasteczek do kawy, pomyślałem w duchu, podnosząc się lekko zdrętwiały z niewygodnej, drewnianej ławy. Rzuciłem kątem oka na boczne drzwi za ołtarzem i poczułem, że pragnę tam zajrzeć ponownie. Zrobię to jutro – postanowiłem. – Wezmę zapasowe baterie, dobre buty i uzbroję się w cierpliwość.

Nie chciałem zagłębiać się w podziemia kapliczki bez sprawdzenia, czy nie ma gdzieś jakichkolwiek planów. Wróciłem do archiwum i przejrzałem na nowo to, co zostało po tajemniczej wizycie ojca Lazzariego w naszym klasztorze, a także pamiątki po naszym dawnym przeorze Hidalgu. Ponownie przekartkowałem Biblię tego pierwszego, gdzie poprzednio znalazłem kartkę z cytatem z Galileusza. Mam wrażenie, że w ten sposób Lazzari chciał mnie naprowadzić na trop Keplera, a może i do *Manuskryptu Voynicha*. Teraz nic nie znalazłem. Czyste kartki bez żadnych podkreśleń.

Tak wydawało mi się na pierwszy rzut oka.

Zrozumiałem, dlaczego Lazzari nie pozostawił żadnych notatek na kartkach Biblii. Po prostu nie należała do niego, a pisanie w cudzej książce jest brzydkim nawykiem. Na pierwszej stronie Biblii, którą trzymałem w dłoniach, figurowało nazwisko: Giambattista Riccioli. I data: 1661.

Dziwna rzecz. W tym samym roku przesyłka z *Manuskrytem Voynicha* dotarła do Rzymu, do rąk uczonego jezuita Athanasiusa Kirchera. Następnie manuskrypt ginie z oczu na prawie dwieście pięćdziesiąt lat. Ciekawe dlaczego Lazzari przywiózł do Hiszpanii stary, pożyczony lub подарowany mu przez kogoś egzemplarz Biblii. Nic mi nie przychodziło do głowy. W każdym razie nasz archiwista włożył ją między przedmioty Lazzariego. Książki często zostawia się przez zapomnienie na nocnej szafce koło łóżka.

Albo kładzie sieje tam celowo, żeby ktoś wziął i przeczytał.

Szczególnie jeśli chodzi o Biblię i Pismo Święte.

Giovanni Battista Riccioli nie był dla mnie człowiekiem nieznanym. Przypuszczam, że dla Johna też nie. Anglik słusznie insynuował powiązania jezuitów z astronomią. Ricciolego uważa się za autora

najważniejszych spośród prac naukowych napisanych przez jezuitów w XVII wieku. Jego *Almagestum Novum* ukazało się drukiem w 1651 roku. Pierwsze *Almagestum* poprzedzające książkę Ricciolego było arabską kompilacją antycznych obserwacji dokonanych przez Ptolemeusza, ojca dawnej astronomii i systemu geocentrycznego. Riccioli w swojej pracy poddaje stare teorie rewizji, próbując je zrekonstruować i zharmonizować z nowymi odkryciami, które umożliwił wynalazek teleskopu. Odrzuca teorię Kopernika – jesteśmy w ciężkich czasach naznaczonych działalnością Świętego Oficjum i procesem sądowym Galileusza – ale nie do końca. Uważa się, iż w skrytości ducha był zwolennikiem heliocentryzmu. Dlatego wybrał rozwiązanie kompromisowe, wykładając oba systemy na najstarszym europejskim uniwersytecie w Bolonii. Nie omieszkał przy tym podkreślić – co było pobożnym kłamstwem z jego strony – iż Kopernika i Keplera należy traktować wyłącznie jako hipotezę studyjną przeciwną oficjalnej nauce Kościoła. Do niewątpliwych zasług Ricciolego zalicza się opracowanie do spółki z innym jezuitą Franceskiem Marią Grimaldim szczegółowych map Księżyca oraz przyjaźń i protekcję, jakimi darzył wielkiego siedemnastowiecznego astronoma Giovanniego Cassiniego. Nazwiska Riccioli i Cassini wiążą się ściśle ze sobą w historii astronomii.

Nie można mówić o Cassinim bez nawiązania do Huygensa. To pierwsi astronomowie, którzy badali Saturna przez teleskop kilka lat po tym, jak Galileusz dostrzegł dziwne kształty po bokach tej planety, coś jakby uchwyty albo uszy, które wziął za dwa satelity. Huygens dostrzegł wyraźnie, że to były pierścienie, i odkrył największy księżyc Saturna – Tytana. Cassini odkrył dużą przerwę w pierścieniach Saturna – zwaną dziś przerwą Cassiniego – i znalazł cztery dodatkowe księżyce: Japetus, Rhea, Tethys oraz Dione. Na cześć tych astronomów misja kosmiczna, która ustawiła ziemską sondę na powierzchni Tytana, nosi nazwę: Cassini-Huygens.

Cassini nie został jezuitą, choć był pobożnym i bogobożnym człowiekiem. Pobierał nauki w jednym z naszych kolegów w Genewie w latach 1638-1642. Stamtąd przeniósł się na prestiżowy Uni-

wersytet Boloński. W wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat wykładał astronomię. Z tej racji i ze względu na niesłychaną błyskotliwość porównuje się go czasem – przynajmniej w podręcznikach historii – z Tychohem Brahem. Podobnie jak Duńczyk zaobserwował on kometę w 1652 roku i stwierdził, że znajduje się dużo dalej niż Księżyc. Kolejna sprzeczność – tym razem na terenie katolickim – z wciąż obowiązującą naówczas arystotelesową doktryną o stałości i niezmienności sfery niebieskiej. Cassini zyskał za życia uznanie, jakiego nie miał Galileusz, lecz z czasem geniusz tego ostatniego przyćmił częściowo ową sławę. Uporządkował nowy kalendarz gregoriański, wyliczając z wielką precyzją lata przestępne. Zrobił to za pomocą heliometru zainstalowanego w bolońskiej bazylice Świętego Petroniusza. Obliczył również kąt nachylenia osi Ziemi, osiągając wynik niemal doskonały. Błąd w jego wyliczeniach wynosi poniżej 0,005 stopni.

Zrobił poza tym coś więcej. Udowodnił ważność drugiego prawa Keplera, które mówi, że ciała niebieskie poruszają się tym szybciej, im są bliżej Słońca, i wolniej, gdy się oddalają. Dziesiątki lat później Newton poda fizyczną wykładnię tego fenomenu w swoim sławnym dziele *Principia*.

A więc znowu spotykam swoich starych znajomych.

Znowu Kepler. Cassini i Kepler. Jezuici i Kepler.

Gdzieś tu musi pojawić się *Manuskrypt Voynicha*.

v

Podobnie jak za pierwszym razem tak i teraz wsunąłem między drzwi i framugę kawałek tektury, chciałem zostawić je lekko uchylone i zablokować przed zatrzaśnięciem. Docisnąłem tekturę, żeby nie wypadła. O tej porze, po kolacji, nikt nie przyjdzie do kaplicy i nie zauważy, że stare drzwi są półotwarte. Pierwszy odcinek trasy zdążyłem już dobrze poznać. Schody wiodące w dół, do podestu, gdzie droga się rozgałęziała. Poprzednio skręcałem zawsze na prawo, chyba że nie było innego wyjścia, i musiałem udać się w lewo. Wracając, trzymałem się tego samego szlaku. Teraz postanowiłem inaczej. Będę

skręcać w lewo tak długo, jak to możliwe.

Przez pierwsze dziesięć minut nie wydarzyło się nic zasługującego na uwagę. Zasypane studnie, stare kanały podziemne, wszędzie pełno szczurów. Przeszedłem kolejne dziesięć minut. Niektóre strefy wydawały mi się znajome. Być może korytarze łączyły się między sobą. Jednak ponieważ wybierałem prawie zawsze kierunek przeciwny niż za pierwszym razem, powtarzające się odcinki trasy miały co najwyżej kilka metrów.

W pewnym momencie usłyszałem czyjeś kroki i przystanąłem.

– Carmelo?

Kto, jeśli nie on, mógł wejść do podziemi?

– Carmelo, to ty? – powtórzyłem głośniejsze.

Wyteńczyłem słuch, ale nikt nie odpowiedział. Ktoś – ktokolwiek to był – przyspieszył kroku i zaczął biec. Ja też pobiegłem w tę samą stronę, kierując się jedynie słuchem i zapominając o zasadzie *boy scouta*, której do tej pory skrupulatnie przestrzegałem. Ku mojemu zdziwieniu nagle znalazłem się na głównym podeście. Najwyraźniej kręciłem się w kółko jak głupi. Wciąż słyszałem kroki uciekającego. Zatętniły na schodach jeszcze szybciej i głośniejsze.

Pobiegłem za nim.

Zanim się spostrzegłem, oberwałem drzwiami prosto w nos. Krzyknąłem nie tyle z bólu, ile ze złości. Z góry wiedziałem, że ten ktoś nie wróci, żeby otworzyć mi drzwi. Klucz obracał się w zamku, ale drzwi nie puszczały, co znaczyło, że są zaryglowane od zewnątrz. Moi współbracia spali spokojnie w głównej części domu na tyle daleko, że nie usłyszą, choćbym nie wiem jak głośno wołał. Największe ranne ptaszki przyjdą pomodlić się w kaplicy dopiero przed siódmą. Wtedy zacznę wołać, żeby ktoś mnie uwolnił. Miałem przed sobą kilka godzin czekania, które trzeba czymś wypełnić. Miałem również zapas baterii i dużo cierpliwości, toteż postanowiłem wrócić do podziemi.

Znalazłszy się ponownie na głównym podeście, gdzie zaczynały się rozgałęzienia, usiadłem na ziemi, wyjąłem ołówek i papier. Naszkicowałem z pamięci znane mi korytarze. Te z prawej i te z lewej

strony. Wstałem i kierując się tym schematem, wybrałem drogę na skrót do głównej części rzymskich ścieków. Z wyjątkiem kilku drobnych korekt, które naniosłem po drodze, mój plan okazał się pomocny. Doszedłszy na miejsce, znowu usiadłem. Tym razem na wielkim kamieniu, który obsunął się z jednego z łuków podtrzymujących konstrukcję, mimo wszystko nadal dość stabilną – cud, że to się nie zawaliło. Zgasilem na chwilę latarkę, żeby oszczędzić baterię, i rozmyślałem w ciemnościach, co dalej robić. Jedną z opcji było zejść z wytyczonego szlaku i podążyć wzdłuż strumyka śmierzdzącej wody, która wyciekała z położonych wyżej przewodów świeższej daty. W ten sposób zbadam wszystkie korytarze i uzupełnię naszkicowany plan. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Kiedy doszedłem do końca, spotkała mnie niespodzianka.

Altissimum planetam tergeminum observavi.

Słowa starannie wyryte na murze. Dużymi literami.

Przepisałem je. Dokładne tłumaczenie brzmi: Widziałem najwyższą z planet... potrójną? Trójpostaciową? Łatwo przetłumaczyć, trudniej zrozumieć.

Co to znaczy? Kto wyrył te słowa? Dlaczego tu, w takim miejscu?

Wróciłem tą samą drogą do głównego pomieszczenia, gdzie znów przysiadłem i zgasilem latarkę. Próbowałem odpocząć. Najwcześniej za dwie godziny pojawi się ktoś, kto otworzy mi drzwi i wyjdę na wolność.

v

– Skąd się tu wzięłeś?

– To długa historia, później ci ją opowiem – odpowiedziałem poczciwemu Matiasowi, który przyszedł do kaplicy jako pierwszy. Powinienem się domyślić, że nasz intendent wstaje najwcześniej. – Najważniejsze, że jesteś i wyratowałeś mnie z kłopotu – mówiłem urywanym głosem, z trudem łapiąc oddech po długim wołaniu przez drzwi.

– Jasne, że teraz nie ma na to czasu – odparł. – Jeszcze o niczym nie wiesz, prawda?

– A o czym miałbym wiedzieć? Stało się coś? – spytałem zaintrygowany.

– Carmelo źle się poczuł zaraz po kolacji. Siedzieliśmy przy kawie, kiedy stracił przytomność i upadł.

– Boże drogi... – wyjąkałem.

Matías opowiadał dalej. O północy przeora przewieziono do szpitala w ciężkim stanie. Ostatnie wiadomości na ten temat – dwóch braci czuwa przy łóżku chorego, przekazując informacje przez telefon – nie są pocieszające. Ogarnął mnie wielki niepokój, nie tylko dlatego, że darzyłem przeora przyjaźnią.

Uzmysłowiłem sobie w tym momencie, że to nie on zniknął mnie w podziemiach na całą noc. Było mi przykro, że go o to podejrzewałem. Poczulem się brudny od wewnątrz tak samo jak na zewnątrz. Bez słowa poszedłem do swojego pokoju, żeby wziąć prysznic. W pośpiechu wypilem kawę na stojąco i udałem się do szpitala razem z innymi braćmi.

Kiedy tam dotarliśmy, Carmelo już nie żył.

v

Następne dni były trudne dla wszystkich. Zaczęło się od gorzkiej dyskusji z lokalnymi władzami, które nie wyraziły zgody na pochowanie przeora w naszej kaplicy. Rzekomo z powodów sanitarnych, ale czuliśmy, że to nieprawda. Krążyło nad tym wszystkim widmo eksmisji. Poszliśmy na kompromis, rezygnując z naszego kościelnego prawa, i postanowiliśmy skremować zwłoki Carmela. Urnę z prochami postawiliśmy w małej wnęcie, gdzie przeor lubił się modlić i gdzie tak często rozmyślał, co najlepszego można zrobić dla naszej małej wspólnoty.

Następnym posunięciem były wybory nowego przeora. Gdy przełożeni wyrazili zgodę, odbyło się tajne głosowanie. W tym celu zgromadziliśmy się w naszej starej kaplicy. Julián – ekonom naszej wspólnoty i prawa ręka zmarłego przeora – został wybrany w pierwszej turze. Z pokorą przyjął swoją nową funkcję i od razu przystąpił do rozwiązywania problemów, które wszystkich nas przyprawiały o

poważny ból głowy. I które z pewnością odbiły się negatywnie na słabym zdrowiu przeora Carmela, może nawet przyspieszyły jego śmierć.

Nazajutrz po wyborach wezwał mnie Julián i zaproponował, żebyśmy poszli razem do pokoju Carmela. Otworzył drzwi kluczem uniwersalnym. W milczeniu weszliśmy do środka.

Miałem wrażenie, że zakłócamy spokój naszego umiłowanego brata, ale on zasnął już snem wiecznym.

– Héctorze – powiedział Julián – jesteś odpowiedzialny za archiwum, więc przejrzyj te rzeczy, które należały do zmarłego. Trzeba je uporządkować i skatalogować. Tak nakazuje nasz zwyczaj. Wybierz, co powinno się znaleźć w dziale pamiątek po zmarłych jezuitach, aby przyszłe pokolenia mogły badać życie i dzieło naszego brata. Zostawiam cię samego – zakończył.

Skinąłem głową, rozglądając się po pokoju. Pełniąc funkcję przeora przez wiele lat, Carmelo zgromadził mnóstwo książek. Na biurku leżały zeszyty z notatkami i dziennik, w którym zapisywał różne rzeczy do ostatniego dnia. Pisał tylko ręcznie. Nie dał się namówić na maszynę do pisania. A tym bardziej na komputer. Czekam na niego dużo pracy.

Wtedy ją zobaczyłem. Była tu. Wyglądała tak samo jak w chwili, gdy zabierałem ją z archiwum.

Skrzynia z materiałami i planami należąca do Anselma Hidalga.

Nic nie powiedziałem. Zamknąłem za sobą drzwi, chowając klucz do kieszeni.

20

– Héctorze, ktoś do ciebie. Zejdź na dół.

Słyszając głos Matíasa w interfonie, od razu pomyślałem o Juanie. Znowu niespodziewana wizyta? Coś nowego w związku z *Manuskryptem Voynicha*? A może postanowiła pogodzić się z Johnem? Zbiegałem po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Chciałem przekonać się jak najszybciej, że to na pewno Juana.

Prawie zgadłem.

Nie mogę powiedzieć, żebym był rozczarowany na widok mojego gościa.

– John – wykrzyknąłem, ściskając go serdecznie. – Myślałem, że już jesteś w Anglii.

– Cześć, Héctor – przywitał się uśmiechnięty. – Jak widzisz, jeszcze nie. Wyjeżdżam za dwa dni. Trzeba było skrócić pobyt w La Palmie, bo w takich warunkach nie dawało się prowadzić obserwacji. Spadło tyle śniegu, że groziło nam odcięcie od świata. Pierwszy raz w życiu widziałem taką śnieżycę w górach. Zresztą tu też macie zimę.

Rzeczywiście, na dworze śnieg sypał aż miło. Tak jak wizycie Juany towarzyszył deszcz, z Johnem będzie mi się kojarzyć odtąd śnieg. Rozmawialiśmy po hiszpańsku. Mój przyjaciel Anglik coraz lepiej władał tym językiem.

– Zmieniłem połączenia lotnicze. Pojutrze mam samolot do Londynu z Madrytu. Pomyślałem, że cię odwiedzę i zobaczę, jak ci się żyje. Nie przeszkadzam? – zapytał z lekkim niepokojem w głosie.

– Jasne, że nie – odparłem. – Nie musisz szukać hotelu, znajdzie się dla ciebie w klasztorze pokój gościnny. Nawet niejeden – powiedziałem, myśląc o niedawno zmarłym przeorze. – Zostań, pomożesz mi zbadać nowe ślady dotyczące *Manuskryptu Voynicha*. Jestem coraz bardziej pewien, że jezuici mają wiele wspólnego z historią tego

manuskryptu.

– Świetnie, Héctorze. Jeszcze raz gratuluję wspaniałego odkrycia. Odczytanie księgi w diagramie astronomicznym jest pierwszym poważnym dowodem, że ta księga ma jakiś sens.

– Dziękuję, John. Ale nam to niczego nowego nie daje. O tym, że ma sens, wiedzieliśmy od początku. Później do tego wrócimy – uciałem rozmowę. – Teraz chodź, pokażę ci twój pokój i napijemy się kawy.

– Wedle rozkazu, ojciec – zażartował.

Julián zaakceptował zaproszenie Johna. Namawiał go nawet do pozostania dłużej, gdyż chciał poćwiczyć z nim swój angielski. Daliśmy mu pokój z łazienką w odnowionej części budynku, która została dostosowana do potrzeb współczesnych. Po drodze poznał niektórych członków naszej wspólnoty. Poinformowaliśmy go również o ciężkich chwilach, jakie przeżywamy w związku z odejściem przeora i wezwaniem sądowym do opuszczenia tego miejsca. John orientował się trochę w tej drugiej sprawie, ponieważ już wcześniej mu o tym mówiłem, ale nie wiedział o śmierci Carmela. Złożył nam szczerze wyrazy współczucia. Jednocześnie zapewnił Juliana jako nowego przeora, że postara się nie przeszkadzać i nie zakłócać swoją obecnością naturalnego trybu życia wspólnoty. Pragnie być traktowany przez te dwa dni jako jeden z nas.

Po południu wyszliśmy na miasto. Oprowadziłem go po tych samych miejscach, które kilka tygodni temu pokazywałem Juanie. Szybko skierował rozmowę na jej temat.

– No mów, na pewno coś wiesz – nalegał, kiedy zmęczeni zwiedzaniem starych kościołów i ruin usiedliśmy w kawiarni.

– Owszem, dostałem od niej krótkiego e-maila – ulitowałem się nad Johnem, ale nie chciałem mu zdradzać wszystkich sekretów jego ukochanej, która raczej nie zamierzała się z nim pogodzić. Poza tym obowiązywała mnie tajemnica spowiedzi *sui generis*, Juana wyraźnie mnie o to poprosiła.

– Pytała o mnie? – Johna niełatwo było zniechęcić.

– Nie – skłamałem. – Pisz tylko o *Manuskrypcie Voynicha* i o

steganograficznym odkryciu nazw miesięcy wypisanych na astronomicznym diagramie. Wciąż nad tym pracuje. Obiecała podzielić się ze mną swoimi spostrzeżeniami.

Nie było w tym ani słowa prawdy, ale uznałem, że chwilowo tak będzie najlepiej dla nich obojga. Juana wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie wróci do Johna i wycofa się z pracy nad *Manuskryptem Voynicha*, jakby jedno było związane z drugim. Obawiam się, że nasze trio się rozpadnie. Nie chciałem zasmucać Johna, był taki ożywiony i pełen nadziei, że nareszcie trafiliśmy na właściwy ślad.

Nie wiem, czy go przekonałem, ale przyjął do wiadomości moje słowa i przestał wypytywać o Juanę. Zainteresował się natomiast wątkiem jezuickim pojawiającym się co rusz – przynajmniej tak mi się zdawało – w historii naszej sławnej księgi. Opowiedziałem mu o antycznych podziemiach klasztoru. Po śmierci Carmela czułem się zwolniony z konieczności dochowania sekretu.

– A co z tą kradzieżą skrzyni? – przypomniał sobie.

– Wyobraź sobie, że znalazłem ją w pokoju przeora. Nie pytaj, jak to możliwe i skąd się tam wzięła – powiedziałem. – Nie rozumiem, Carmelo najpierw mnie zachęcał do szperania w tych papierach, a zaraz potem przeszkodził, odbierając mi po kryjomu tę skrzynię. Naprawdę nie wiem, dlaczego tak postąpił.

– Pokaż mi te materiały – poprosił.

– Czemu nie – odparłem. – Przydasz mi się do pomocy. Dwie pary oczu widzą więcej niż jedna. A te stare szpargały wymagają wnikliwego spojrzenia.

v

Po kolacji zeszliśmy do archiwum.

Nauczony przykrym doświadczeniem odstawiłem skrzynię z dokumentami Anselma Hidalga na właściwe miejsce. To pozwoli uniknąć nowych kłopotów. Każdy, kto zechce teraz skorzystać ze zbiorów archiwalnych – nawet nowy przeor – musi zwrócić się do mnie o pomoc. Dzięki temu archiwalia są bezpieczne.

Zapaliłem światło i zamknąłem drzwi od wewnątrz. Stara dREW-

niana skrzynia zatrzeszczała głucho, kiedy stawiałem ją na ziemi. Chmura kurzu i drzazg poszybowała do góry, przyprawiając mnie o kichanie.

– *Bless you!* – zawołał ze śmiechem John.

– Dziękuję – odpowiedziałem automatycznie. – Patrz, tu są te plany.

Rozwinąłem stary rulon.

Pierwsze, co przykuło naszą uwagę, to szkic podziemnych korytarzy. Nie był zbyt szczegółowy. Nieznany autor nawet nie zadał sobie trudu używania linijki. Wyglądało, jakby się bardzo spieszył. Wyjąłem z kieszeni sporządzony przeze mnie plan i przez chwilę porównywałem oba rysunki.

– Mogę sobie pogratulować – powiedziałem. – Z tego, co widzę na tym starym planie, zostało mu jeszcze do zbadania parę bocznych korytarzy oraz pomieszczenia na samym końcu. Nie odważyłem się zagłębić tak daleko.

– Co tu jest? – John pokazał na znak, który postawiłem na swoim planie w miejscu, gdzie znalazłem ów łaciński napis.

Wyjaśniłem mu, o co chodzi.

– *Altissimum planetam tergeminum observavi*. Tu mam przepisane to zdanie. To chyba takie antyczne graffiti związane z jakimś bóstwem, na przykład z bogiem Olimpu Jupiterem.

John popatrzył na mnie zdumiony. Uśmiechnął się ironicznie i popukał w moją głowę.

– Jest tam kto? – wrzasnął mi do ucha.

– Zwariowałaś?! – oburzyłem się.

– Nie kumasz?

Nic nie kumałem. „Widziałem najwyższą z planet... potrójną? Trójpostaciową?”. To mi niewiele mówiło. Tylko tyle, że najwyższa planeta może być metaforą Jupitera, boga Rzymian. Nic więcej nie przychodziło mi do głowy.

– To jeszcze jedno sławne zdanie Galileusza, przyjacielu Héctorze. Jedna z tych jego zagadek sformułowanych tak, by zawiadomić o odkryciu dokonanym za pomocą pierwszego teleskopu, a jedno-

cześnie zakamufłować znaczenie tego odkrycia. To nie ma nic wspólnego z rzymskimi bóstwami – zakończył.

– Jaka jest najwyższa planeta? – zapytałem.

– W tamtych czasach była nią ta najbardziej odległa, czyli Saturn – odparł. – Kiedy Galileusz mówi o trzech kształtach, ma na myśli dwa księżycy i samą planetę. Był przekonany, że dokonał tego odkrycia dzięki swojemu wynalazkowi. Dopiero później Christiaan Huygens dysponujący lepszymi urządzeniami określił to zjawisko jako system pierścieni. To nie były księżycy ani uszy po bokach planety. To były sławne pierścienie.

– Czytałem coś na ten temat – oświadczyłem. – Mam wrażenie, że umieszczając w Biblii karteczkę z pierwszym cytatem, Lazzari chciał, żebyśmy bliżej zainteresowali się Keplerem. Ale ten drugi cytat? Skąd się wziął w takim miejscu? Czyżby wyrwał go osobiście mój sławny poprzednik? – zastanawiałem się.

– Zobaczmy, co tu jeszcze mamy – powiedział John, porzucając na chwilę temat Saturna. – Podoba mi się tutaj!

John rozwinął drugi plan, większy i bardziej szczegółowy od pierwszego. Już na pierwszy rzut oka widać było, że to rysunek bazyliki, a nie naszego kościółka pod wezwaniem Świętej Marty.

– Plan bazyliki Świętego Petroniusza w Bolonii – przeczytał. – Jest też data: 1655 i podpis: *doctor Giovanni Cassini genovese*.

– No tak! – wykrzyknąłem. – Teraz rozumiem!

John domagał się wyjaśnień.

– Cassini i Riccioli. To jasne jak słońce – powiedziałem głośno i wstałem, bo niewygodnie było siedzieć na podłodze.

– Astronom Riccioli? Ten od pierwszych map Księżyca?

– Ten sam. Był jezuitą, jednym z najwybitniejszych umysłów swej epoki. Cassini pracował w Bolonii jako jego protegowany. Biblia Ricciolego z jakichś dziwnych powodów trafiła do naszego klasztoru. Pozostawił ją Lazzari.

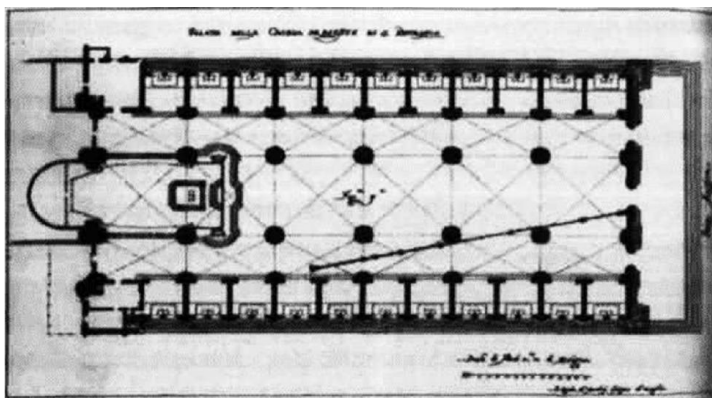
– To wyjaśnia również sprawę Saturna. Sonda Cassini! – żartował John, bawiąc się w grę słów. – Wasz dawny bibliotekarz dobrze to wszystko obmyślił. Zakładając, że chciał naprowadzić kogoś na ślad

Manuskryptu Voynicha.

– To całkiem prawdopodobne. W tamtych czasach księga znajdowała się w naszych rękach i była dobrze ukryta. Lazzari mógł obawiać się, że *Manuskrypt Voynicha* nigdy nie wyjdzie na światło dzienne, i pragnął pozostawić ślady jego obecności w tym miejscu. Aczkolwiek – dodałem – nigdzie nie mówi tego wyraźnie.

– Tu jest jakaś linia, cyfry i kropki. Widzisz? – John pokazywał na plan bolońskiej bazyliki.

– To sławna meridiana, linia południkowa. Chodź, poszukamy czegoś w internecie na ten temat. Wracamy na górę, John.



Pierwszą niespodziankę – i radość – sprawiło nam potwierdzenie, że nasze ostatnie odkrycia wiążą się w jakimś sensie z *Manuskrytem Voynicha*. Księga znika na długie lata po tym, jak Marcus Marci przekazuje ją Athanasiusowi Kircherowi. Było to w 1666 roku. Prawdopodobnie nasz uczonej jezuita próbował złamać kod. Miał już w dorobku udane próby rozszyfrowania części egipskich hieroglifów. Choćby tych z obelisku *Minerva* wykopanego dokładnie rok wcześniej – w 1665. Rzeźbiarz Bernini umieścił potem ten obelisk na grzbiecie niedużego słonia na jednym z rzymskich placów. Kircher był człowiekiem godnym swojej epoki: interesowały go wszystkie dziedziny wiedzy. Pisał o sprawach tak różnych jak muzyka, optyka, hydraulika, magnetyzm i filologia. Poświęcił wiele wysiłków na ujednoczenie geografii ziemskiej w taki sam sposób, jak kilka lat

wcześniej dokonano – z powodzeniem – przynajmniej w katolickiej części świata – ujednoczenia kalendarza gregoriańskiego. Wielki zamysł geograficzny Kirchera (Consilium Geographicum) miał swoją rację bytu, zważywszy na fakt, iż jezuici docierali w najodleglejsze zakątki Ameryki, Afryki, Chin i Japonii. Rzecz nie polegała tylko na tym, by wiedzieć, gdzie iść, ale też zidentyfikować swoje miejsce pobytu w danym momencie. Problem geograficznej lokalizacji był skomplikowany zwłaszcza dla żeglarzy. Kircher postanowił ustalić współrzędne – długość i szerokość – dla wszystkich misji i kolegiów jezuickich, korzystając z pomiarów wykonanych przez samych misjonarzy, którzy posiadali stosowną wiedzę jako najlepiej wykształceni ludzie w tamtych czasach. Specjalnie powierzono im takie zadanie, żeby Kircher miał do swojej dyspozycji niezbędne dane, które poddawał interpretacji i kompilacjom. Prowadził regularną korespondencję z blisko ośmiuset osobami (rzecz trudna do wyobrażenia nawet w epoce internetu) i do dziś zachowało się w Rzymie ponad dwa tysiące listów Kirchera. Obliczenie szerokości nie sprawiało większego kłopotu – wystarczyło zmierzyć wysokość Słońca w południe lub położenie Gwiazdy Polarnej nocą. Gorzej z pomiarami długości, zwłaszcza na morzu. Początkowo był to problem nie do pokonania. Kircher wyszkolił swoich wysłanników w pomiarach tak zwanej deklinacji magnetycznej, ale osiągnęte wyniki nie były tak dobre, jak się spodziewał. Jego szeroko zakrojony projekt geograficzny zakończył się klęską. Na tym tle doszło do konfliktu z innym jezuitą i astronomem Giambattista Ricciolim, wielkim autorytetem katolickiego świata nauki w owych czasach.

– To bardzo ciekawe – orzekł John, kiedy skończyliśmy przeglądać strony internetowe w komputerze. – A co wiemy o bolońskiej bazylice? – zapytał.

– Budowę bazyliki Świętego Petroniusza rozpoczęto w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym i uzupełniono w tysiąc sześćset pięćdziesiątym dziewiątym roku, przy czym główna fasada pozostała nieukończona do dziś – zacząłem czytać. – Świątynię zaprojektował Antonio di Vincenzo w stylu późnego gotyku włoskiego. Wzięła imię

od patrona miasta Bolonii. Było to miejsce licznych wydarzeń historycznych, do najważniejszych należy koronacja Karola Piątego na cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego w tysiąc pięćset trzydziestym roku. Bazylika Świętego Petroniusza to także kościół Uniwersytetu Bolońskiego, najstarszego w Europie i na świecie. Tu przybył w tysiąc pięćset siedemdziesiątym piątym dominikanin Ignazio Danti, kosmograf Kośmy Pierwszego Medyceusza. Danti, wykładowca matematyki i astronomii, był członkiem komisji powołanej do przygotowania nowego kalendarza. Nie na próżno papież Grzegorz Trzynasty urodził się w Bolonii.

– Nowy kalendarz wprowadzono w świecie katolickim w tysiąc pięćset osiemdziesiątym drugim roku – przypomniał John dobrze znany fakt. Przeskakiwaliśmy ze strony na stronę.

Obserwowanie ruchu Słońca na przestrzeni roku i dokładne określenie solstycjum i ekwinokcjum były podstawą do ustalenia lat przestępnych. Danti zaprojektował we florenckim kościele Santa Maria Novella instrument astronomiczny zwany meridianem. Świecista plama – obraz Słońca – na posadzce wielkiego kościoła, kiedy promienie słoneczne przenikają do środka przez mały otwór w dachu, pozwala określić rozmaite pozycje Słońca i zmiany w jego ruchu dużo lepiej niż dotychczas znane metody, takie jak gnomon czy zegar słoneczny, i wyliczyć długość cienia.

– Meridiana opiera się na zasadach działania *camera obscura* – wtrącił John.

– Nic nie mów – przerwałem. – Założę się, że Kepler z tym też miał coś wspólnego.

– Zaraz zobaczymy – odparł mój przyjaciel, wracając do czytania. – W gruncie rzeczy nie wiadomo, kto odkrył efekt będący podstawą fotografii. Powszechnie uważa się, że Leonardo, ponieważ wykorzystywał go przy rysowaniu, podobnie jak Durer. Otwór w ścianie rzutuje odwrócony obraz kopiowanego przedmiotu. Jednak dopiero Kepler wyjaśnia, jak to działa. Po raz pierwszy w tysiąc sześćset czwartym roku, a może później. – John zmarszczył czoło, odrywając wzrok od monitora. – To pomyłka. Kepler wyjaśnił dzia-

łanie teleskopu Galileusza w swoim traktacie z optyki.

– Kepler znał się na wszystkim.

– Najpierw w bolońskiej bazylice był instrument, który wykonał dla Florencji – czytał dalej John. – Jakiś czas później przełożeni bazyliki Świętego Petroniusza z mądrym jezuitą Ricciolim na czele powierzyli młodemu, znakomitemu astronomowi Giovanniemu Cassiniemu wybudowanie lepszej, bardziej precyzyjnej meridiany.

– Oglądałem meridianę Cassiniego na licznych stronach internetowych. To, że jest zaznaczona na tym planie, świadczy o jego autentyczności – podkreśliłem.

– Co tu robi plan sytuacyjny bolońskiej bazyliki?

– Podejrzewam, że to sprawka Lazzariego, który wyjątkowo sobie upodobał przedmioty należące do Ricciolego – zażartowałem, mając na uwadze egzemplarz Biblii bibliotekarza.

– Ale plan był w skrzyni niejakiego Hidalga, który, jeśli dobrze pamiętam, żył w późniejszych czasach – zauważył Anglik.

– Istotnie. W naszym świętym domu zakonnym dokumenty pojawiają się i znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – ironizowałem, chociaż mnie samego te zdumiewające rewelacje wprawiły w stan zagubienia. – I co z tego?

– Czy to aby nie ten sam mnich, który skopiował parę obrazków z *Manuskryptu Voynicha*?

– Ale co z tego? – powtórzyłem.

– Zaraz zobaczymy – odparł John. – Masz tu gdzieś te rysunki? – zapytał.

Pokazałem Johnowi niezgrabne szkice nagich kobiet skopiowane sto lat temu, nie wiadomo gdzie i po co, przez przeora Anselma Hidalga. Obejrzał je dokładnie i powiedział od niechcenia:

– W tym podziemnym labiryncie musi coś jeszcze być.

v

Propozycja Johna, by zejść do podziemi, była dla mnie poważnym problemem. W zasadzie tylko zmarły Carmelo wiedział o ich istnieniu. Faktem jest jednak, że to. Matías wyciągnął mnie stamtąd ostat-

nio, gdy zatrzasnęły się drzwi. Powiedziałem mu wtedy, że za tymi drzwiami znajduje się stary schowek na komże i ornaty. Nie zadawał więcej pytań, więc sądziłem, że na tym się skończy. Zatem nikt oprócz mnie nie wie o podziemnym labiryncie. Czy powinienem poinformować nowego przeora o jego istnieniu?

Z bliżej nieokreślonego powodu uznałem, że nie muszę tego robić. Postanowiłem zatrzymać dla siebie ten sekret, łamiąc podstawową zasadę zakonu.

Dlatego teraz John i ja musimy działać po kryjomu.

Wybraliśmy się do podziemi nazajutrz. Była to noc sylwestrowa.

Nikt nie zapytał, co robimy tak późno w kaplicy, ponieważ w taką noc nie idzie się wcześniej spać. Wszyscy mieszkańcy naszego domu czuwali do północy, a nawet jeszcze dłużej. Dopiero około drugiej zrobiło się pusto. Bracia wycofali się na odpoczynek. Zostaliśmy sami. Zaopatrzyliśmy się wcześniej w nieodzowne latarki z zapasem baterii, na wszelki wypadek wzięłem również duży śrubokręt i młotek, żeby mieć pewność, iż tym razem nie powtórzy się przykra historia z poprzedniej wyprawy. Wrzuciłem do małego plecaka kompas, plany Hidalga i mój własny notes do zapisywania wszelkich uwag, jakie nam się nasuną po drodze, i parę batoników czekoladowych. John lekkomyślnie zjadł swoje, zanim znalazł się na schodach, nie przejmując się groźbą, że możemy pozostać w zamknięciu do późnych godzin rannych. Ci Anglicy są chyba uzależnieni od batoników Marsa.

Zablokowałem drzwi i zaczęliśmy schodzić. Bez problemu dotarliśmy do głównego pomieszczenia, gdzie droga się rozwidła. John oglądał to wszystko z rosnącym zaskoczeniem, zwłaszcza pozostałości rzymskiej kanalizacji.

– Jak dotąd wszystko jest pod kontrolą – powiedziałem, wskazując na mapę. – Co dalej?

– Na lewo, oczywiście – zażartował John i nie oglądając się na mnie, skręcił w pierwszy korytarz.

Przez pół godziny badaliśmy różne przejścia. Wszystko zgadzało się z planami. Zaprowadziłem Johna pod obelisk z wyrytym zdaniem

Galileusza. Nie znaleźliśmy po drodze nic ciekawego.

– Nie szkodzi. Zaraz zobaczymy, co tam jest. Idziemy.

Poszliśmy, ale nic nie zobaczyliśmy.

Wielka pięciometrowa ściana zagrażała przejście. Wyglądała na dużo późniejszą od korytarzy. John obmacał ją uważnie i powiedział:

– Dalej nie przejdziemy. Ani my, ani nikt inny. Daj sobie spokój z młotkiem, Héctorze. Tej ściany nic nie ruszy. – Po czym dodał: – To jest jak mur Plancka.

John wylatywał następnego dnia do Londynu. Mieliśmy jeszcze kilka godzin na rozmowę. O Juanie – jak bardzo za nią tęskni – o diagramach i o tym, że lubi przebywać w Hiszpanii. Obiecał, że po powrocie do Cambridge od razu poszuka dla mnie materiałów z kongresu w Austrii na temat książki zniesławiającej Keplera. Zgodził się ze mną, że jest to postać kluczowa w historii *Manuskryptu Voynicha*. Oczywiście rozmawialiśmy też o murze.

Mur Plancka.

John wytłumaczył mi kosmologiczne znaczenie tego muru:

– Wszechświat zaczął się w nadzwyczajnie wysokim stanie gęstości, ciśnienia i temperatury. Tak niezwykle, że zachodzi potrzeba nowej teorii, aby to wyjaśnić. Takiej, która nie tylko musi użyć mechaniki kwantowej, ale również powinna być spójna z grawitacją, aby to zrozumieć. Owe początkowe chwile znane jako Era Plancka, okres trwający przez pierwsze sekundy życia wszechświata. Czterdzieści trzy zera przed cyfrą jeden. Niestety, nikt nie był w stanie sformułować takiej teorii. W rezultacie znane prawa fizyki są niekompletne, ponieważ urywają się akurat wtedy, gdy dochodzą do tego momentu. Mamy zatem pewien mur do obalenia, ale brakuje nam odpowiednich narzędzi. Tradycyjna fizyka zaproponowała wszechświat rozpoznawalny i przewidywalny przynajmniej w teorii. Ktoś mógł przypuszczać, że mając do dyspozycji prawa Newtona i Maxwella, wystarczy poznać z największą możliwą precyzją początkowy stan wszystkich ciał, aby wiedzieć, gdzie znajdują się w każdym momencie przyszłości. Niemniej jednak tę deterministyczną wizję kosmosu, bardzo atrakcyjną z filozoficznego punktu widzenia dla niewierzących naukowców, obaliła fizyka kwantowa Plancka, Schrödingera, Paulego, która mówi, że nie można określić obecnej ani

przyszłej pozycji zwykłego elektronu wobec jądra atomu, a co najwyżej prawdopodobieństwo znalezienia się w tym czy innym miejscu. Co odpowiedzieć na pytania typu: jak powstał świat i dokąd zmierza? Wielkim problemem współczesnej fizyki jest to, że prawa makrokosmosu i mikrokosmosu różnią się między sobą. Podczas gdy grawitacja wyjaśnia, jak powstają gwiazdy, galaktyki, gromady galaktyk, umożliwiając poznanie przeszłości tego rozległego oceanu kosmicznego, kiedy zwijamy taśmę wszechświata, wszystko, co się na niej znajduje, ulega takiej kompresji, że zaczynają tu rządzić prawa mikrokosmosu, a fizyka nie ma nic do powiedzenia.

Pierwszy fotogram, który współczesna fizyka jest w stanie uchwycić swoimi równaniami, mieści się w tym ułamku sekundy. I tu jest mur. Początek taśmy został już nagrany.

John był zafascynowany tym murem, który wyznacza granicę naszego poznania i nie pozwala zajrzeć dalej, żeby poznać sam początek kosmosu. Moment Wielkiego Wybuchu. Rozmawialiśmy również o Towarzystwie Jezusowym, ponieważ u jezuitów kształcił się przysły twórca teorii atomu pierwotnego, duchowny belgijski Georges Lemaître. Teoria ta zyska z czasem nazwę Big Bang, którą nadał jej brytyjski astronom Fred Hoyle. W zamyśle lekceważąca funkcjonuje do dziś z wielkim powodzeniem. Jak widać, Anglicy zawsze byli w opozycji do księży katolickich. Ubawiło nas to spostrzeżenie i pomimo niechlubnej tradycji uściskaliśmy się na pożegnanie.

Resztę dnia postanowiłem poświęcić zmarłemu przeorowi. Pora wziąć się do porządkowania jego papierów, nie mogę dłużej zaniedbywać swoich obowiązków wobec wspólnoty. Udałem się zatem do dawnego pokoju Carmela, otworzyłem drzwi kluczem uniwersalnym i zamknąłem je za sobą. Rozsunąłem zasłony okienne i słońce zaalało swoim światłem całe pomieszczenie. Teraz mogłem rozpocząć pracę.

Skatalogowanie książek nie zajęło mi dużo czasu. Wiele z nich znałem. Niektóre pozycje istniały w dwóch egzemplarzach, z czego jeden znajdował się w bibliotece domu zakonnego w dziale: „Teologia, filozofia, pedagogia, etyka”. Zaciekawiała mnie seria wydawnicza

o historii Towarzystwa Jezusowego. Nie znalazłem tych książek. Znalazłem też powieści. Carmelo lubił szczególnie zagadki kryminalne Agathy Christie, mówił, że odpoczywa przy takiej lekturze. Ułożyłem to wszystko w stos, żeby zabrać na górę.

Zakończywszy przegląd półek z książkami, usiadłem przy jego biurku. Kronika i księga rachunkowa były otwarte na ostatniej stronie. Odłożyłem je na bok dla Juliana. Zniosłem mu także teczkę z dokumentami domu: faktury, zlecenia bankowe do podpisu, korespondencja z urzędu miasta i inne papiery dotyczące różnych spraw. Oddzieliłem starannie materiały w moim mniemaniu administracyjne, czyli to, co powinien przejrzeć nowy przeor, od materiałów prywatnych do przeczytania i zarchiwizowania przez moją skromną osobę. Zarezerwowałem sobie prawo do zniszczenia notatek, które uznam za bezwartościowe.

Do osobistych dokumentów zaliczyłem diariusz, który Carmelo zaczął prowadzić chyba jeszcze w nowicjacie. W słowach pełnych czułości wspominał swoje dzieciństwo i rodziców, skromnych kastylijskich hodowców trzody, a ściślej mówiąc kilku wieprzków. Pisał o swoim powołaniu i decyzji wstąpienia do seminarium, o święceniach kapłańskich, krótkim pobycie na misji w Azji, niefortunnie przerwany chorobą, i o swoim przybyciu do naszego domu. Stopniowo zapiski stawały się coraz rzadsze. Ostatni z nich pochodził z 1973 roku. Zdaje się, że obowiązki przeora nie zostawiały mu czasu na pisanie. A szkoda.

W dwie godziny uporządkowałem to, co było na biurku. Kiedy podnosiłem się z krzesła przekonany, że praca zakończona, zobaczyłem coś, co kazało mi znowu usiąść.

Biurko miało szuflady. Konkretnie dwie.

Pierwsza była zamknięta. Druga też.

Uznałem, że szukanie kluczyków będzie stratą czasu. Szansa znalezienia ich była niewielka. Poczciwy przeor trzymał je zapewne w kieszeni. Jego ubraniem zajęły się już zakonnice. Teraz kluczyki dzwonią w kieszeni jakiegoś biedaka.

Użyłem zszywacza jako dźwigni i nacisnąłem ze wszystkich sił.

Zamek pierwszej szuflady wyleciał razem z kawałkiem drewna. Jeśli Matías nie znajdzie sposobu, by to naprawić, mebel nie będzie nadawać się do użytku. Rzyko zawodowe archiwisty, pomyślałem.

Wyrzuciłem na biurko zawartość pierwszej szuflady. Koperta ze starymi zdjęciami najbliższych krewnych, których już nie ma wśród żywych. Zegarek. Skórzany portfel z paroma banknotami. Paczka cukierków eukaliptusowych.

Wszystkie rzeczy razem wzięte nie przedstawiały wielkiej wartości. W każdym razie nie w sensie finansowym. Po wyjęciu pierwszej szuflady miałem ułatwiony dostęp do drugiej i nie musiałem już wyłamywać zamka. Wsunąłem rękę przez otwór i pomacałem dno. Leżała tam tylko teczka biurowa. Wyciągnąłem ją ostrożnie. Zadrżały mi ręce, gdy zobaczyłem na okładce tytuł wykaligrafowany charakterystycznym spiczastym pismem przeora.

Manuskrypt Voynicha.

Jeszcze większego wstrząsu doznałem po otwarciu teczki: była kompletnie pusta.

v

Nazajutrz wstałem oszołomiony i zmęczony. Spałem zaledwie trzy godziny.

Znaleziona teczka, chociaż pusta, świadczyła ewidentnie o związkach *Manuskryptu Voynicha* z klasztorem, w którym mieszkałem. Już wcześniej przeczuwałem, że dawny przeor – Anselmo Hidalgo – widział tę księgę, lecz nie miałem pojęcia gdzie. Teraz miałem jasność co do tego, że widział ją również Carmelo, wieloletni przeor mojej jezuickiej wspólnoty.

Pojawiły się nowe pytania. Przede wszystkim, co stało się z zawartością teczki. Ktoś ukradł? Ale kiedy? Może w noc śmierci Carmela? A jeśli to ta sama osoba, która zamknęła mnie w podziemiach? Nie mogłem również wykluczyć, że sam Carmelo usunął te dokumenty z jakiegoś ważnego powodu. To by tłumaczyło jego podenerwowanie w dniach poprzedzających zgon.

Inny aspekt niepasujący do scenariusza to moja rola w tej całej

historii. Zdawało mi się, że nikt nie wie o mojej pasji do *Manuskryptu Voynicha*. Prowadziłem poszukiwania dyskretnie, w wolnych chwilach, jakby to były zwykłe zagadki matematyczne. Żaden z moich braci nie interesuje się szczególnie technikami szyfrowania ani komputerami – używają ich tylko z konieczności – toteż nie widziałem potrzeby udzielania im informacji na ten temat. I nadal nie widzę.

Tego dnia biblioteka powinna być otwarta dla czytelników.

Nie spodziewałem się nikogo, ale musiałem wypełnić swój obowiązek bibliotekarza zgodnie z rozkładem godzin pracy. Ku mojemu zdziwieniu po drugiej stronie drzwi czekał już Simón.

– Cześć, Héctor! Szczęśliwego Nowego Roku – powitał mnie z uśmiechem.

– Nawzajem, chłopcze – odpowiedziałem. – Co cię sprowadza?

Simón miał wielką ochotę opowiedzieć mi, co ostatnio znalazł w internecie. Prowadził badania na własną rękę, czytając wszystko, co pojawiło się na ekranie komputera na hasła „alchemia” i „Enoch”, a było tego sporo.

– Miałeś rację, Héctorze. Enoch jest dla wielu wierzących ojcem alchemii, wiedzy przekazanej mu przez aniołów. Tylko Enoch znał język zdolny do przekształcania metali w złoto, a ludzi w anioły – dodał.

– Mówisz rzeczy, z którymi nawet ksiądz nie może się zgodzić – roześmiałem się.

– No dobra. Niektóre strony Web podają, że Enoch jest ojcem pisma. Prawie wszędzie pojawia się dodatkowo nazwisko tego człowieka, o którym mówiłeś, Johna Dee.

Przypomniałem sobie, że faktycznie, wspomniałem Simónowi, co łączyło doktora Dee i Kelleya, rzekomych autorów *Manuskryptu Voynicha*, z Enochem. Opowiadałem, że prowadzili rozmowy z aniołami, wcale nie takie niewinne, jak mogłoby się wydawać. Ale nie mówiłem mu nic o *Manuskrypcie Voynicha*, chyba że pamięć mnie zawodzi.

– I ten angielski magik John Dee napisał w swoich pamiętnikach, że język enochiański został mu przekazany za pośrednictwem

Edwarda Kelleya, który był jego medium – rozemocjonowany chłopak snuł dalej swoją nieco chaotyczną opowieść. – To było w tysiąc pięćset osiemdziesiątym drugim. A potem, kiedy mieszkali w Czechach, wydali całą książkę w tym języku. To było w roku... – sprawdził w zeszycie – tysiąc pięćset osiemdziesiątym piątym.

– Jaką książkę? – spytałem naiwnie.

– Nosi tytuł *Voarchadumia*, a jej głównym autorem jest... – Simón niecierpliwie kartkował zeszyt zabazgrany notatkami. – Johannes Augustinus Pantheus. Jakiś ksiądz.

Odetchnąłem z ulgą. Chłopak nie wiedział o *Manuskrypcie Voy-nicha*. Pozwoliłem mu się wygadać do końca. Muszę przyznać, że znalazł parę ciekawych rzeczy, ale wszystko mu się poplątało i wyszła z tego mieszanka, powiedziałbym, alchemiczna.

– W średniowieczu były dwa rodzaje alchemii. Spagina – zająknął się na tym słowie – i hyperchemia, czyli voarchadumia. Ta ostatnia zajmowała się transmutacją metali w złoto. Natomiast spagina uczyła, jak dzielić i rozpuszczać ciała, jak uzyskiwać substancje działaniem naturalnym lub na siłę. Czyli zajmowała się alteracją i puryfikacją ciał.

– Ciekawe – stwierdziłem naprawdę zaciekawiony.

– Więc to tak. Paracelsus ma z tym coś wspólnego o tyle, że był prekursorem. Pierwsi alchemicy stawiali sobie za cel transmutację metali, ale później zajmowali się wieloma innymi problemami. Chętni się, że mogą dorównać Bogu i stworzyć żywe istoty. Potraktowali poważnie legendę o Albercie Wielkim, który ożywił skonstruowany przez siebie drewniany automat, używając do tego celu specjalnych zaklęć. Paracelsus poszedł dalej i stwierdził, że może stworzyć żywą istotę z krwi i kości, czyli homunkulusa. W traktacie *De natura rerum* wyjaśnia, że jeśli umieścić razem różne ilości zwierzęcych płynów ustrojowych i fluidów cielesnych, to przy sprzyjającym wpływie planet wystarczy trochę ciepła, by ta mieszanka nabrała stopniowo ludzkich kształtów... małe stworzonko zacznie się ruszać, mówić i tak narodzi się homunkulus. Paracelsus wyjaśnia dalej z całą powagą, do czego przyda nam się takie stwo-

rzonko i jak je mamy karmić.

- Historia jak u Lovecrafta – podsumowałem.
- U kogo? – spytał zażenowany Simón.
- Taki pisarz z początków wieku, autor horrorów o niesympatycznych istotach z innych światów. Bardzo popularny wśród zwolenników literatury grozy – wyjaśniłem. – Pożyczę ci jakąś jego książkę, jeśli chcesz.

- Na pewno mi się spodoba. – Uśmiechnął się. – Dziękuję. Mogę dokończyć relację o moich odkryciach? Zostały mi tylko dwie strony – powiedział z pretensją.

- Jasne – ustąpiłem. – Kontynuujmy.
- Wszyscy alchemicy bez wyjątku uznawali wpływ planet na metale. Paracelsus idzie dalej i wyszczególnia rodzaje tego oddziaływania. Według niego każdy metal powstaje dzięki planecie, której imię nosi, a połączenie każdej z sześciu planet z dwiema konstelacjami zodiakalnymi nadaje szczególne właściwości temu metalowi. I tak Księżyc, srebro, zawdzięcza Baranowi, Rybie i Marsowi swoją twardość i przyjemną dźwięczność. Wenus, Bliźnięta i Waga odpowiadają za ciągliwość i niepodatność na topnienie. Z kolei Saturn, Skorpion i Koziorożec zapewniają mu gęstość i jednolitość. Mniej więcej podobnie jest z innymi metalami – szybko podsumował Simón.

Czytałem o tym, ale nie chciałem przerywać mojemu ulubionemu uczniowi, który nieźle się napracował w czasie ferii.

- Paracelsus wprowadził do alchemii moce kabalistyczne. Tu trzeba powiedzieć, co to jest kabała. Taki przedmiot, który dzieli słowa na litery i każdej literze przypisuje określoną wartość liczebną. Następnie na podstawie różnych operacji na tych liczbach wyciąga się specjalne wnioski. Założę się, że to wiedziałeś.

To prawda. Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Oprócz Paracelsusa tylko dwóch innych autorów zajmowało się kabałą alchemiczną. Pantheus, czyli ten ksiądz z Wenecji, o którym już ci mówiłem, i John Dee. Dee próbował nawet zbudować specjalną kabałę złożoną z symboli alchemicznych. To wszystko. – Simón skończył czytać swoje notatki.

– Udało mu się? – zapytałem.

– Nie wiem. Jedni mówią, że odpowiedzi udziela traktat *Monada Hieroglyphica*, inni, że *Voarchadumia* skopiowana i poprawiona przez samego Pantheusa, a jeszcze inni, że Dee zawarł ją w bardzo sławnej książce, której od wieków nikt nie zdołał odczytać, ponieważ jest napisana szyfrem. Być może w ogóle nie istnieje. Nazwano ją *Manuskrytem Voynicha*.

Oniemiałem na chwilę, po czym stwierdziłem:

– Owszem, ta księga istnieje.

V

Wieczorem spróbowałem uporządkować wyniki poszukiwań Simóna i sprawdzić, czy zgadzają się z moimi. W nagrodę za solidną pracę zaprosiłem go do kawiarni na mieście. Postanowiliśmy wybrać się tam razem następnego dnia. Simón miał – zresztą ja też – jeszcze tydzień wakacji i ani jemu, ani mnie nie uśmiechało się siedzieć przez cały dzień w zimnym ciemnym pokoju przed komputerem. Zgodnie z notatkami Simóna istniała książka – *Voarchadumia* – autorstwa niejakiego Pantheusa, czyli Johna Dee, który zawarł w niej schemat języka endochiańskiego. Ten sztuczny język, w którym znaki mają związek z kabałą, nie stwarzał większych problemów. Łatwy do tłumaczenia posłużył Johnowi Dee i Kelleyowi do oszukiwania Rudolfa II – wmawiali mu, że potrafią uzyskać kamień filozoficzny.

Wspomniana książka traktuje o hyperchemii – próbach uzyskania złota po cenie ołowiu. Z drugiej strony pojawia się *Manuskrypt Voynicha*. Manuskrypt napisany w języku całkowicie niezrozumiałym, nieenochiańskim, prawdopodobnie przez tego samego autora Johna Dee. Albo przez Dee i Kelleya, co na jedno wychodzi. Ta druga książka ma na celu bądź to dalsze oszukiwanie Rudolfa II, jak sugerują Gordon Rugg oraz inni badacze, bądź też ukrycie jakiejś dziedziny wiedzy alchemicznej związanej z Paracelsusem i jego medycyną. Przemawiałyby za tym rysunki roślin i nagich kobiet, fluidów, gwiazd i planet. Tym samym *Manuskrypt Voynicha* pozostawałby w relacji z drugą gałęzią alchemii – spagirią. To nas prowadzi ponownie

do Tychona Brahego, zagorzałego wielbiciela medycyny Paracelsusa. Okazuje się, że Tycho przybył do Czech niedługo po tym, jak zjawili się tam ci dwaj angielscy awanturnicy.

A koła astronomiczne?

Jak dotąd udało się odkryć tylko ten jeden klucz do *Manuskryptu Voynicha*. Klucz dość niejasny, który wskazuje jednak na relację Johna Dee z Tychonem Brahem. Z tego, co wiadomo, obaj prowadzili obserwacje sławnej supernowej i być może kontaktowali się listownie. To jedyny znany związek między nimi. Dee nawiązuje do supernowej w *Manuskrypcie Voynicha*, ale w jakim celu? Miałem na stole trzy krążki wycięte z kartonu przez moich siostrzeńców. Obróciłem nimi ponownie, by ustawić je w prawidłowej pozycji. Co jeszcze kryje w sobie ta zagadka? Odnalezione sylaby pasują do nazw dwunastu miesięcy roku, ale nie mają sensu poza samym diagramem. John przeczesał za pomocą swoich programów i algorytmów kolejne kilkadziesiąt stron, zamieniając miejscami znalezione przyrostki i przedrostki, ale to nic nie dało. Dowiedzieliśmy się jedynie – choć zabrzmiało to paradoksalnie – że nie wszystko jest bez znaczenia. Odebraliśmy ukrytą wiadomość: „Szukajcie dalej”.

Na stole leżał stos szpargałów, coraz więcej części owych puzzli, które rozrastały się z dnia na dzień. Rozważyłem najbardziej prawdopodobne hipotezy, wychodząc od niewątpliwego faktu, iż Lazzari, generalny bibliotekarz jezuitów, przebywał w Hiszpanii. Najpierw w Toledo, a następnie w naszym domu zakonnym – w 1770 roku, jak wynika z zapisków archiwalnych, czyli na krótko przed pierwszym rozwiązaniem Towarzystwa Jezusowego. Przypuszczalnie starał się ukryć najcenniejsze dzieła bogatego księgozbioru zakonu jezuitów, między innymi *Manuskrypt Voynicha*. To więcej niż pewne. Nie ulega wątpliwości, że księga ta przez pewien czas była w rękach jezuitów. Świadczą o tym dwa fakty: po pierwsze, zniknęła wysłana do jezuity Athanasiusa Kirchera, po drugie, pojawiła się po prawie dwustu pięćdziesięciu latach w jednym z naszych domów zakonnych w Villa Mondragone w Rzymie. W tym czasie mogła przechodzić z rąk do rąk, ale wciąż była pod naszą pieczęcią.

Lazzari inteligentnie wykorzystał pomysł Galileusza, by pozostawić dwa ślady związane z *Manuskryptem Voynicha*. Pierwszy to kartka w Biblii Ricciolego ze zdaniem: „Daremnie próbowałem to zbadać, za wcześniej”. Tak Kepler przetłumaczył łaciński anagram o fazach Wenus, które Galileusz chciał ukryć przed profanami. Dwuznaczność tego zdania na pewno nie uszła uwagi kogoś tak subtelnego jak Lazzari. Drugim śladem pozostawionym w podziemiach był anagram Galileusza poświęcony Saturnowi. Do połączenia Saturna z Cassinim brakowało tylko jednego ogniwa, które szczęśliwie znaleźliśmy w naszym archiwum, w starych planach bazyliki Świętego Petroniusza z Bolonii. Ale dlaczego dwa cytaty? Dlaczego dwa ślady?

Zrobiłem sobie kawę. Lepiej mi się myśli, gdy chodzę po pokoju z filiżanką w dłoni.

Usiadłem znowu do komputera, by po raz enty rzucić okiem na stronie *Manuskryptu Voynicha*. Sto dwie karty dwustronnie zapisane i zdobione ilustracjami. Sprawdziłem numerację. Jest pięć kart podwójnych, trzy potrójne, jedna czterokrotna i jedna sześciokrotna. Jeśli przyjąć, że początkowo była numeracja konsekwentna, rachunek się zgadza: brakuje 28 kart albo 56 stron, co na jedno wychodzi. Skonsultowałem wpisy niektórych uczestników Listy Voynicha. I rzeczywiście, jedni podejrzewają, że księga miała 234 strony co najmniej, a inni – że najwyżej 252. Przy założeniu wielokrotności kart liczba stron może urosnąć do 310. Wniosek nasuwa się sam: *Manuskrypt Voynicha* przechowywany obecnie w Dziale Ksiąg Rzadkich biblioteki Uniwersytetu Yale jest niekompletny.

Gdzie znajduje się druga część?

Pytanie samo w sobie jest ekscytujące. Wielu uczestników Listy Voynicha podejrzewało to już wcześniej, że strony z kluczami do rozszyfrowania manuskryptu zostały wyrwane z książki, tak by jej przekład stał się niemożliwy bez połączenia obu części. Udało nam się rozkodować jeden diagram, ale to nie znaczy, że nie można tego zrobić z innymi. Ktoś – jedna lub kilka osób – musiał celowo usunąć te strony. Z czego należy wnosić, iż wcześniej – zanim to nastąpiło, manuskrypt został rozszyfrowany.

Znowu zrobiłem sobie kawy i zacząłem chodzić po pokoju.

Czy ktoś doszedł do takiego samego wniosku jak ja?

Czy ten ktoś szuka drugiej, nieznannej części *Manuskryptu Voynicha*?

Czy on albo oni – jeśli jest to kilka osób – wiedzą, że książka cała lub w kawałkach była kiedyś ukryta w moim klasztorze?

Jeśli odpowiedź na to ostatnie pytanie brzmi twierdząco, to wiele dziwnych rzeczy, które wydarzyły się ostatnio w związku z naszym domem, nabiera nowego znaczenia. Co nie znaczy, że jest się z czego cieszyć.

W nocy napisałem długi list elektroniczny do Johna, wyjaśniając mu to wszystko.

Nazajutrz rano miałem już odpowiedź. Widocznie mój przyjaciel jest nocnym markiem.

Hi, Héctor!

Very, very interesting!

Ty zawsze masz rację, diabelski klecho! Rzeczywiście musi istnieć druga część *Manuskryptu Voynicha*, choć niekoniecznie w Twoim klasztorze. Miałbyś za dużo szczęścia, gdybyś rozwiązał zagadkę tego manuskryptu, nie ruszając się z domu. Wtedy naprawdę zacząłbym podejrzewać, że podpisałeś cyrograf z samym diabłem! Skłaniałbym się raczej ku tezie - co więcej, jestem prawie pewien - że brakujące strony nadal są ukryte w Italii. Co nam jeszcze zostawił Lazzari? Plan bolońskiej bazyliki Świętego Petroniusza. Co pokazuje ten plan? Meridianę Cassiniego. A co pokazuje meridiana?

Do zobaczenia.

John C.

Nigdy nie zrozumieję tej maniackiej skłonności Johna do niekończenia rozpoczętej myśli. Dobrze, że tym razem nie przysłał mi zaszyfrowanej CD.

Dla odmiany zrobiłem sobie kawę. Pierwszą tego dnia. Z parującą filiżanką wychyliłem się przez okno. Na zewnątrz panował absolutny spokój. Przedemną jeszcze tydzień wolnego. Bez uczniów, dzikich wrzasków i rzucania piłką. Nasza wspólnota z napięciem oczekiwała na rozwój wydarzeń po feriach świątecznych. Edylowie i ich potężni przyjaciele spędzali czas na nartach. W takich okolicznościach pośpiech nie jest wskazany. Można się potknąć i złamać nogę.

Meridiana to linia łącząca okrągłe zazwyczaj obszary, które światło słońca tworzy na posadzce kościoła po przejściu przez mały otwór w dachu. Zawsze dzieje się to w momencie, gdy słońce znajduje się w

najwyższym punkcie, czyli w południe. Był to prosty sposób dokładnego mierzenia czasu i nastawiania zegarów, a jednocześnie wierni z XVI i XVII wieku – kiedy nie było zegarków na rękę – wiedzieli, że pora na mszę lub inne nabożeństwo. Tym samym meridiana miała zastosowanie, powiedzmy, społeczne, aczkolwiek głównie służyła celom religii i astronomii. Odpowiedź na pytanie zadane przez Johna brzmi: meridiana pokazuje datę. Słońce przesuwając się po meridianie w miarę upływu dni i powstaje linia, wzdłuż której można zaznaczyć pory roku, przesilenia i równonocę, nie mówiąc już o takich rzeczach jak miesiące czy znaki zodiaku.

Jaka data? Ta sama czy inna?

Usiadłem do komputera i wystukałem na klawiaturze:

Cześć, John!

OK. Odpowiedź brzmi: data.

A teraz ty mi powiedz: jaka data?

Héctor

Mój brytyjski przyjaciel był chyba gdzieś niedaleko, bo po dziesięciu minutach otrzymałem nowego e-maila:

Hi, Héctor!

Oczywiście ta sama data co w *Manuskrypcie Voynicha*.

John C.

Zalogowałem się do Messengera. John już tam był. Okazuje się, że wpadł na taki sam pomysł, więc zaczęliśmy czatować online.

Hej, John.

Hi, Héctor.

Dlaczego ta sama?

Bo to najbardziej logiczne.

Why?

Zastanów się, Héctorze. Jeśli celowo rozrywasz książkę, oddzielając część kodową od zaszyfrowanego tekstu, to czy nie zrobisz tego tak, żeby ten sam klucz szyfrowy zaprowadził Cię do zaszyfrowanego tekstu?

Owszem. Bardzo dobre spostrzeżenie. Ale John Dee nie żył w czasach Cassiniego, tylko sto lat wcześniej.

Aha. Ale to Lazzari ukrył księgę, nie Dee. Należy przypuszczać, iż ten jezuita znał już sens diagramu. Bo jeśli nie, to po co, Twoim zdaniem, miałby rozdzierać *Manuskrypt Voynicha*?

Dobra, zgadzam się. Załóżmy, że to ta sama data. Mamy jeden punkt zaznaczony na prostej. Co dalej?

Nie mam pojęcia. Dlatego zarezerwowałem bilety lotnicze przez internet. Trzeba to zobaczyć *in situ*.

Że co zrobisz!?

Jutro masz samolot z Madrytu do Rzymu o szesnastej. Ja przylecę do Rzymu prosto z Londynu o siedemnastej. Zdążymy na któryś pociąg do Bolonii.

Miło, że zapytałeś mnie o zgodę.

Nie ma sprawy. W załączniku znajdziesz bilet elektroniczny. Odpowiednio zabezpieczyłem.

Widzę, że nie można Ci odmówić.

Nie można. Aha, jeszcze jedno. Bądź tak dobry i przekaż to Juanie.

Co?

Napisz do niej. Może od Ciebie przeczyta, bo moich e-maili chyba nawet już nie otwiera.

Zobaczę, co da się zrobić, Angliku. A teraz już kończmy, bo mam jeszcze coś do zrobienia.

Rozłączyłem się i westchnąłem.

Pomysł Johna był rzeczywiście świetny. Ten z meridianą, bo ten drugi był całkiem poroniony. Meksykanka nie chce nic o nim słyszeć. Spróbuję napisać, czemu nie? Od razu wysłałem do niej krótką wiadomość, że lecę do Rzymu, żeby spotkać się z Johnem, i mamy nawet nowy trop w sprawie *Manuskryptu Voynicha*. Nie wdawałem się w żadne szczegóły. Nie wspomniałem o Lazzarim, Bolonii, Cassinim i meridianie.

Bo i po co, skoro Juana nie chce już z nami pracować.

v

– Naprawdę jedziesz zobaczyć papieża?

Znalazłem doskonały powód na usprawiedliwienie mojego wyjazdu wobec Simóna i współpraci. Warto wykorzystać te kilka dni wakacji, zanim wrócę do pracy w szkole. Poza tym nigdy nie byłem we Włoszech.

– Mam nadzieję, że mi się uda. Jutro wylatuję z przyjaciółmi do Rzymu. Tylko na kilka dni, wrócę na rozpoczęcie lekcji po feriach.

Simón popatrzył na mnie zdziwiony, siorbiąc przez słomkę słodki napój gazowany. Nie muszę dodawać, że dla siebie zamówiłem cappuccino, bo nazwa brzmi religijnie i trzeba jakoś zaaklimatyzować się przed wyjazdem do Rzymu.

– Jak to się stało, że Tycho Brahe znalazł się w Pradze? – indagował Simón, wracając do interesującego nas obu tematu. – Wiem, że tam umarł albo został zamordowany, sprawa nie jest do końca jasna. Opowiedz mi o tym.

– To długa historia, jak to się mówi w bajkach – zaznaczyłem. – Jeśli chcesz, zacznijmy od początku. Tak będzie najlepiej.

– Zaczynaj – ponaglił mnie Simón.

– Trudno streścić w godzinę życie Tychona Brahego – zauważyłem. – Kiedy skończył studia uniwersyteckie i napodróżował się po Europie, postanowił osiedlić się w Bazylei. Ówczesny król Danii Fryderyk II, wiedząc o jego sławie i talencie, kazał go wezwać na dwór.

– Rzeczywiście brzmi to jak bajka – wtrącił ze śmiechem chłopiec – chociaż to o królu już słyszałem.

– Nie przerywaj i zamów sobie drugą coca-colę, bo denerwujesz mnie tym siorbaniem. – Simón spijał przez słomkę resztki napoju z kostek lodu. – Król Fryderyk zaapelował do uczuć narodowych, więzi pokrewieństwa z rodziną królewską, mówił o przyjaźni, a nade wszystko złożył isticie astronomiczną ofertę materialną po to, by Tycho nie opuścił ojczyzny i prowadził swoje badania naukowe w Danii. Owa oferta zawierała kilka posiadłości w Skanii i Norwegii, parę zamków, ponad pięćdziesiąt folwarków, kilka parafii i wysokie pensum wypłacane w gotówce z obietnicą corocznej podwyżki. Oprócz tego Tycho otrzymał od króla wyspę Hven. Nie była duża,

zaledwie cztery kilometry długości na trzy szerokości, ale Brahe dostał ją na własność i mógł nią rządzić. Mieszkańcy musieli pracować przy realizacji jego wielkiego projektu: wznoszeniu pałacu Uraniborg.

– Naprawdę istnieje czy to tylko mit?

– Można by pomyśleć, że to zwykła mrzonka, gdyż z pałacu nic mu nie zostało. Zagięły nawet sławne instrumenty i przyrządy Tychona, niektóre okazały się rozmiarów. Aby znaleźć jakiegokolwiek ślady, przekopano cały teren sto lat później, a i tak znaleziono tylko fragmenty fundamentów. Nic poza tym. Chłopi i inni mieszkańcy Hven doszczętnie ograbili zamek i zrównali go z ziemią po przymusowym wyjeździe Tychona. Zrobili to z nienawiści. Podobno przez pewien czas pałac był gniazdkiem miłości dla młodego króla Chrystiana, który spotykał się tam ze swoją kochanką. On to sprawił, że astronom popadł w niełaskę. Uraniborg został utrwalony na wielu rycinach, w niezliczonych kronikach i opowiadaniach, w dziennikach obserwacji i w opisach przeprowadzanych eksperymentów z różnych dziedzin wiedzy, nie tylko astronomii, lecz na przykład również alchemii. Sam znalazłeś konkretne informacje związane z siostrą Tychona Sophie i jej mężem, a jego szwagrem Erikiem Lange, który wiódł żywot sybaryty. Uraniborg wyglądał doprawdy jak zamek z bajki. Wszystko w nim było obmyślane i zaprojektowane w najdrobniejszych szczegółach przez Tychona. Pałac wybudowany bez liczenia się z kosztami, z wielkim luksusem i elegancją, gościł najważniejsze osobistości spośród europejskiej szlachty i arystokracji, a także przedstawicieli nauki. Uraniborg uważa się za pierwsze wielkie laboratorium naukowe w Europie, a Tychona za pierwszego wielkiego człowieka renesansu. Jeszcze dziś wśród osób przywiązujących wagę do szacowania wartości różnych rzeczy panuje przekonanie, że żaden rząd ani wtedy, ani teraz nie przeznaczył tylu środków na badania dla jednego uczonego. Tycho otrzymał mniej więcej jeden procent bogactw duńskich, które składały się wówczas nie tylko z majątku dzisiejszej Danii, lecz także całego Półwyspu Skandynawskiego ze Szwecją i z Norwegią. Nawet amerykański projekt Apollo

mający za cel lądowanie człowieka na Księżycu nie stanowił takiego obciążenia dla budżetu jednego państwa.

– Przesadzasz – skomentował z przejęciem Simón.

– Możliwe, ale to część legendy Tychona Brahego.

– Skąd nazwa Uraniborg? – zapytał.

– Urania jest muzą astronomii – odpowiedziałem. – Kiedy ten pałac stał się dla Tychona za mały, kazał wybudować dodatkowo Stjerneborg, czyli Gwiazdny Zamek. Uraniborg, który zaczęto wznosić w tysiąc pięćset siedemdziesiątym szóstym, był centrum światowej astronomii do tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego siódmego, kiedy to Tycho Brahe poszedł na wygnanie. Ponad dwadzieścia lat obserwacji astronomicznych.

– Dlaczego musiał uciekać? – zapytał Simón.

– Po śmierci króla Fryderyka Drugiego na tron wstąpił jego syn Chrystian Czwarty, młodzieniec podatny na wpływy. Tycho wraz z rodziną zajmował uprzywilejowane miejsce na dworze królewskim, toteż nie brakowało im wrogów. Znakomicie pasuje tu sławne zdanie z Hamleta: „Źle się dzieje w państwie duńskim”.

– Nowy król kazał mu się wynosić z wyspy?

– Przede wszystkim utrudnił mu życie. Przestał płacić, skonfiskował część włości, upokorzył jego rodzinę. Tycho Brahe nie bardzo mógł liczyć na pomoc mieszkańców Hven, gdyż miał opinię tyrana, który latami kazał im pracować za darmo. Dlatego nie pozostawało mu nic innego, jak zapakować wszystkie przyrządy i instrumenty i rozpocząć wraz z rodziną oraz grupą najwierniejszych pomocników wędrówkę po północnej Europie. Miał wielu przyjaciół i był bardzo sławny, toteż szybko znalazł schronienie. I to nie byle jakie, lecz najlepsze z możliwych: na dworze króla Czech Rudolfa Drugiego. Mamy rok tysiąc pięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty. Rudolf, jeszcze w pełni władz umysłowych, wielki pasjonat nauk, literatury i sztuki, mianuje Tychona cesarskim matematykiem. Wyznacza mu pensję (której Tycho nigdy nie otrzymuje w terminie) i zamek Benátky nieopodal Pragi, gdzie ma powstać nowe obserwatorium.

– A Kepler?

– Kepler pojawia się na scenie właśnie w tym momencie. Tycho rozpoczął pracę w Benátky z kilkunastoma pomocnikami i podjął na nowo obserwacje astronomiczne mniej więcej w czerwcu tysiąc sześćsetnego roku. Potrzebował dobrego matematyka. Johannes Kepler, autor świeżo wydanej książki o bryłach i planetach, wydał mu się znakomitym kandydatem, młodym i dobrze przygotowanym. Z kolei Kepler był w tak rozpaczliwej sytuacji materialnej i rodzinnej, że natychmiast przyjął propozycję Duńczyka. Niewykluczone zresztą, że sam zwrócił się do Tychona z prośbą o pracę. Doszło między nimi do wymiany dziwnej, pełnej nieporozumień korespondencji na ten temat. Żaden nie grzeszył skromnością, wręcz przeciwnie.

Zrobiłem przerwę, by dokończyć drugą kawę, która już prawie ostygła.

– Resztę historii znasz. Pracowali razem przez rok do śmierci Tychona, która, jak wiesz, przedstawia wiele znaków zapytania. W tym czasie wielki Duńczyk wyznaczył Keplerowi zadanie przeanalizowania danych dotyczących Marsa. Przekazał mu w tym celu materiały z obserwacji prowadzonych z niesłychaną precyzją przez dwadzieścia pięć lat. Początkowo Kepler myślał, że w ciągu tygodnia rozwiąże problem, lecz zajęło mu to ponad osiem lat.

Odstawiłem filiżankę na stół. Simón sprawiał wrażenie zadowolonego z moich wyjaśnień i wypicia dwóch coca-coli.

– Jeśli nie masz więcej pytań, płacę i wychodzimy – oznajmiłem. – Muszę przygotować bagaż podróżny na jutro.

– Dzięki za zaproszenie, Héctorze – powiedział Simón, wstając od stołu. – Będę dalej szukał i po twoim powrocie przedstawię ci nowe informacje na ten temat. Zobaczysz!

– Mam nadzieję. – Uśmiechnąłem się. – Zaczekaj – dodałem, przytrzymując go lekko za ramię. – Zapomniałeś wziąć książkę, którą ci przyniosłem.

Simón przeczytał na okładce: Howard Phillips Lovecraft *Mity Cthulu*.

- Spodoba ci się.
- Niezły tytuł.

- Ile czasu zamierzasz spędzić we Włoszech?
- Cztery, góra pięć dni. Znasz Johna, jest równie impulsywny, jak szczodry.

Co prawda ze strony Juliana to nie było przesłuchanie, przynajmniej nie w dosłownym znaczeniu, ale miałem wrażenie, że nowego przeora nie zachwylił mój nagły pomysł podróży. Nie dał jednak nic po sobie poznać i nie wyraził sprzeciwu. Zresztą z mojej strony to nie było żadne wykroczenie ani zaniedbanie obowiązków pracy.

- Wiem, uroczy człowiek i bardzo inteligentny – dodał. – Baw się dobrze w Rzymie. Nie zapomnij zajrzeć do Muzeów Watykańskich. Musisz zobaczyć Forum, Koloseum, Panteon i wiele innych miejsc. Byłem kiedyś w Rzymie. Wszystko mi się bardzo podobało. Jeśli chcesz, wykonam parę telefonów, żeby znaleźć dla was jakieś lokum – zaproponował. – Nie brak naszych domów zakonnych we Włoszech. Jeszcze jedno – przypomniał sobie – audiencje Ojca Świętego są w środy, nie zapomnij.

- Będę pamiętał. Dziękuję za chęć pomocy, Julianie, ale John już wszystko zarezerwował. Chcemy wykorzystać pobyt w tym kraju również pod kątem astronomii. Wszystkie włoskie miasta mają *duomo*, a prawie każde *duomo* ma meridianę.

Nie byłem pewny, czy Julian zrozumie nasz kaprys zaglądania do kościołów nie tyle z powodów religijnych, ile ze względu na zamiłowanie do astronomii. Poza tym nie miałem pojęcia, w jakim stopniu przeora zna się na astronomii i czy wie, co to znaczy meridian. Zakładałem, że tak, i nie myliłem się.

- Masz rację. W Rzymie znajdziecie meridianę w kościele Matki Bożej od Aniołów. A jeśli chodzi o *duomo*, stąpałem po meridianie w Mediolanie i we Florencji, w tej cudownej katedrze zwieńczonej kopułą Brunelleschiego. Jest również w Palermo, na Sycylii, ale to dla was za daleko. Aby zobaczyć prawdziwą meridianę, powinniście pojechać do Bolonii. Zbudował ją sławny astronom... zapomniałem nazwiska, ale ty na pewno je znasz...

Nie mógł sobie przypomnieć, choć bardzo się starał. Musiałem mu

pomóc.

– Cassini.

– No właśnie. Giovanni Cassini. Jeden z naszych protegowanych.

– Mamy z Johnem w planach wizytę u Świętego Petroniusza.

– Instrumenty i konstrukcje tego rodzaju były bardzo popularne w dwunastym wieku – kontynuował Julián. Zaskoczył mnie rozpiętością swojej wiedzy i szczegółowymi wyjaśnieniami na ten temat. – Chodziło o dokładne ustalenie, kiedy wypada Wielkanoc. Nawet w naszym kościółku Świętej Marty planowano umieszczenie meridiany, ale nic z tego nie wyszło, bo okazał się za mały.

– Poważnie? Nie wiedziałem! – wykrzyknąłem zdumiony.

– Gdybyś poszperał dokładniej w archiwum, znalazłbyś szkic planów, które nigdy nie zostały zrealizowane. Po wybudowaniu kościoła i dawnego klasztoru zamieszkały tu na pewien czas ważne osobistości Towarzystwa Jezusowego. Początkowo planowano wybudowanie większego kościoła i dużej biblioteki, ale w okresie prześladowań jezuitów, tuż przed pierwszą kasatą zakonu, pieniądze wyparowały. Może nie do końca wyparowały, lecz zostały dobrze ukryte, aby przeczekać trudne czasy. A kiedy nadeszły te lepsze, pojawiły się inne potrzeby, Towarzystwo Jezusowe podjęło na nowo i z jeszcze większą siłą działalność misjonarską, odkładając planowaną budowę na potem. Sprzyjająca okazja już się nie powtórzyła. Dlatego nasz kościół Świętej Marty ma tak niewielkie znaczenie. I brak nam miejsca na bibliotekę z prawdziwego zdarzenia, mamy tylko to skromne pomieszczenie, którym ty zarządzasz. Carmelo opowiedziałby ci dużo więcej na ten temat.

Westchnął z bólem. Wydawał się szczery. Pomyślałem, że jedyny sekret, jaki zdradził mi zmarły przeor, dotyczy podziemnych labiryntów. Ciekawe, czy Julián wie o ich istnieniu?

Nie odważyłem się o to zapytać.

Uznałem, że lepiej nikomu o tym nie mówić, nawet jemu. Miałem świadomość, że łamię jedną z podstawowych norm współżycia w zakonie, lecz byłem w takim stanie, że nie ufałem nikomu.

– Przywieź jak najwięcej zdjęć z podróży po Włoszech. Z przy-

jemnością je obejrzymy. Zwłaszcza ja – dorzucił.

– Obiecuję.

W tym momencie przypomniałem sobie, że Carmelo radził obfotografować podziemia, zanim zostaną zamknięte na zawsze. Dziwne, że wcześniej nie pomyślałem o zabranii aparatu fotograficznego na którąś wyprawę.

Może zejdę tam jeszcze raz przed wyjazdem do Rzymu.

V

Przeznaczyłem na wizytę w podziemiach nie więcej niż trzydzieści-czterdzieści minut. Miałem jeszcze dużo spraw do załatwienia i uporządkowania. Zaproszenie – a właściwie polecenie, niemal rozkaz – ze strony Johna przyszło niespodziewanie i po prostu byłem nieprzygotowany do podróży. Musiałem zaplanować swój czas prawie co do minuty. W rezultacie zostały mi góra dwie godziny na odpoczynek, wobec czego przeznaczyłem je na pilniejsze sprawy. Rezygnując ze spania, utnę sobie drzemkę w pociągu do Madrytu. Znając chaos panujący na lotnisku Barajas, wołałem przybyć przed czasem, niż spóźnić się na samolot do Rzymu.

Było już dobrze po północy, gdy udałem się do kaplicy. Zabrałem ze sobą jak zwykle plecak, do którego zapakowałem plany, jakieś narzędzia, latarkę z zapasowymi bateriami, nieodzowne tabliczki czekolady i dodatkowo tym razem cyfrowy aparat fotograficzny. Może przesadziłem z zapasem jedzenia na niecałe pół godziny, ale ostatnio zrobiłem się wyjątkowo przezorny i zachowywałem się jak maniak.

W kaplicy nie było żywego ducha.

A jeśli już, to tylko duch Carmela.

Rzuciłem smutne spojrzenie na urnę z jego prochami. Mimowolnie poleciłem się modlitwom zmarłego przeora, jakby już był świętym, i ruszyłem w dół tą samą trasą, którą on sam mnie poprowadził kilka tygodni temu.

Wszystko odbyło się normalnie. Robiłem zdjęcia na każdym poście utworzonym przez kolejne segmenty schodów i w miejscach

rozgałęziania się korytarzy. Błysk flesza rozjaśniał na moment ciemności. Zatrzymałem się dłużej w części rzymskiej, żeby staranniej uwiecznić ją na zdjęciach. Obfotografowałem ścianę z cytatem z Galileusza wyrytym z całą pewnością przez dawnego bibliotekarza jezuitów Lazzariego. Ostatni etap mojej wędrówki prowadził do muru Plancka. Nazwałem tak tę przegrodę na cześć słów wypowiedzianych przez Johna w czasie naszej wspólnej wyprawy do podziemi, kiedy natknęliśmy się na mur blokujący przejście.

Zrobiłem kilka zdjęć, dopóki nie wysiadły baterie aparatu.

Wtedy ruszyłem z powrotem tą samą drogą, rozejrzałem się po kaplicy, czy nie widać niepotrzebnych śladów mojej bytności, i wróciłem do pokoju, żeby dokończyć przygotowania do podróży.

Droga Juano!

Jedź z nimi.

Nie ma w tym nic złego, pod warunkiem że zachowasz stanowczość i pogodę ducha.

Oboje dobrze wiemy, że John nie jest Ciebie wart. On nie jest mężczyzną, z którym mogłabyś założyć prawdziwą chrześcijańską rodzinę. To ateusz, który żyje z subsydiów rządowych. Z pieniędzy kraju uważającego się wciąż za imperium, które utrzymuje w ten sposób zwykłych pasożytów, myśląc, że wychowuje nowego Newtona czy Maxwella. Setki takich pasożytów jak John okradają codziennie brytyjski skarb państwa, skazując swoich współobywateli na coś, co można by nazwać bez obaw o popełnienie błędu: nędzą naukową, ofiary eurosklerozy. Subsidia dla naukowców deprawują zapał do pracy, niszczą patriarchalny wzorzec rodziny i pomniejszają gorliwość religijną. Stanowią deprawację trzech podstawowych cech, od których zależy pomyślność własna i ogółu. Natomiast ten hiszpański ksiądz Héctor wydaje się porządnym człowiekiem, chociaż bardzo uległym wobec tamtego.

Nadal jesteśmy zainteresowani odnalezieniem i rozszyfrowaniem *Manuskryptu Voynicha*. Jesteś nam potrzebna tak samo, jak kiedyś Ty nas potrzebowałaś. Wyświadczyliśmy Ci wtedy pomoc, którą teraz

nam odwzajemniasz. I to z nawiązką. Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteśmy Ci za to wdzięczni. Wykonałaś wielką pracę na forum Listy Voynicha. Nie wolno Ci zatrzymywać się w pół drogi. W każdym razie nie z powodów uczuciowych.

Musisz kontynuować tę pracę mimo wszystko. Potraktuj ją w kategoriach osobistej ekspiacji i zbliżania się do Stwórcy.

Moja sekretarka zorganizuje Ci podróż do Europy. Przekazałem jej dla Ciebie konkretne instrukcje, które otrzymasz drogą e-mailową. Pamiętaj, że jesteśmy z Tobą w każdym momencie. Uważamy, że nie grozi Ci żadne niebezpieczeństwo.

Bądź dyskretna. Zachowuj się, jak przystoi Twojej płci, a zobaczysz, że ci dwaj nie będą Cię o nic podejrzewać. Pohamuj swoje impulsywne skłonności. Wiesz, ile wycierpiałaś. Zabierz ze sobą Pismo Święte i czytaj, kiedy najdą Cię wątpliwości i poczujesz słabnięcie ducha.

Wiesz, jak i gdzie możesz nas spotkać. Zawiadamiaj natychmiast o każdej nowości, każdym Waszym odkryciu i nowym śladzie.

On zawsze jest z Tobą.

Będziemy się za Ciebie modlić.

Z braterskim uściskiem,

Thomas

John czekał na mnie w jednym z barów na lotnisku Fiumicino w Rzymie. Jego samolot wylądował jak w zegarku, natomiast mój miał opóźnienie. Uściskaliśmy się i na początek zamówiliśmy espresso dla każdego.

- Znowu razem. Zupełnie jak narzeczeni – zażartowałem.
- Nie ten adres, książulku – odparł John z uśmiechem.
- Całe szczęście. No to jakie mamy plany? – zapytałem, sięgając jednocześnie po telefon komórkowy obowiązkowo wyłączony na czas lotu. Przed wyjazdem aktywowałem roaming, żeby mieć kontakt z moim domem zakonnym, gdzie w każdej chwili sprawy mogły przybrać nieoczekiwany obrót.

- Wieczorem możemy pojechać do Bolonii – odparł John. – Eurostar odjeżdża o dziewiątej. To jedna opcja. Druga: zostajemy na noc w Rzymie, żeby trochę pozwiedzać jutro z rana. Ale jest jeszcze trzecia opcja – kontynuował John. – Jeśli chcesz, możemy zatrzymać się we Florencji. To miasto leży w połowie naszej drogi i też ma meridianę.

Moja komórka zabrzęczała, powiadamiając o nadejściu wiadomości. Patrzyłem na wyświetlacz zaskoczony. John zauważył moje oszołomienie i nie omieszkał zażartować:

- Wiadomość od narzeczonej?
- Raczej od twojej – odpowiedziałem ku jego zdumieniu. – Przylatuje o jedenastej w nocy samolotem z Miami. Liczy, że na nią zaczekamy.

Naturalnie, że czekaliśmy. John był w euforii. Kolejne espresso i cappuccino wprawiły go w stan nerwowego napięcia. Ja przeszedłem na kawę bezkofeinową, bo obawiałem się, że potem nie zasnę. Proponowałem mu to samo, ale nie chciał. On prawdopodobnie nie

zamierzał spać tej nocy. Korzystając ze zwłoki, zarezerwowaliśmy przez internet dobry hotel na ulicy Príncipe Amadeo, bliźutko dworca Termini i kościoła Santa Maria La Mayor. Trzy pojedyncze pokoje, na wszelki wypadek. Ostrożność nie zawadzi.

Rychły przylot Juany pokrzyżował nasze zamierzenia. Nie było sensu ustalać cokolwiek bez niej. John praktycznie zapomniał, po co przyjechaliliśmy do Rzymu. Myślał jedynie o tym, by pogodzić się z piękną Meksykanką. Szczerze mówiąc, życzyłem mu tego z całego serca. Nie chciałem psuć sobie ostatnich dni wakacji i wierzyłem, że we troje lepiej nam się będzie pracować nad *Manuskryptem Voynicha*.

O jedenastej trzydzieści Juana pojawiła się w wyjściu zapowiedzianym na elektronicznych monitorach. Wydała mi się szczuplejsza i wyższa. Miała krótko obcięte włosy jak chłopak i poważny wyraz twarzy. Ubrana też inaczej niż zwykle: długa spódnica i luźny sweter pod długim płaszczem, który naprawdę był dla niej za duży. To nie była ta sama dziewczyna, która w skąpym kostiumie biegła po plaży na Wyspach Kanaryjskich.

Przywitała się lakonicznie, zaczynając ode mnie.

– Cześć, Hector. – Pocałowała mnie w oba policzki jak dawniej. – Dziękuję, że na mnie zaczekałeś.

Johna potraktowała jak powietrze i dopiero po chwili rzuciła w jego stronę:

– Cześć, John.

Anglik chciał ją objąć, ale szybko się odsunęła. Była ostra jak lancet.

– Nawet nie próbuj. Między nami wszystko skończone. Jestem tutaj tylko ze względu na *Manuskrypt Voynicha* – dodała, odpychając go od siebie rękami. – Nie lubię zatrzymywać się w połowie drogi.

John był przybity i zrezygnowany – przynajmniej w tym momencie. Spoglądał na mnie, jakby prosił o pomoc. Wzruszyłem ramionami i skierowałem rozmowę na inne tory.

– Zostajemy na noc w Rzymie – powiedziałem. – Zarezerwowaliśmy pokoje w hotelu Universo.

– Jak przystało na astronomów. – Juliana uśmiechnęła się po raz

pierwszy.

– Zwykły przypadek – odparłem. – Ale nie stójmy tak, bo nas noc zastanie. Idziemy na postój taksówek.

Po drodze wyjaśniałem Juanie, co ostatnio wydedukowaliśmy we dwóch. Opowiedziałem częściowo o powiązaniach *Manuskryptu Voynicha* z jezuitami, wspomniałem o podziemnych korytarzach (aczkolwiek bez wdawania się w szczegóły) i o Cassinim.

– Naszym celem jest Bolonia – odezwał się milczący do tej pory John.

Juana nawet na niego nie spojrzała – obawiałem się, że w ogóle nie dojdzie do porozumienia między nimi – i zwróciła się z tym pytaniem bezpośrednio do mnie:

– Dlaczego Bolonia?

– Chcemy zobaczyć meridianę w bazylice Świętego Petroniusza. Przyszedł nam do głowy ten pomysł po przejrzeniu starych dokumentów klasztornych. Meridiana jest dziełem Cassiniego. Pomagał mu w tym Riccioli, jezuicki uczony, zaprzyjaźniony prawdopodobnie z Kircherem.

– Który z całą pewnością miał w swoich rękach *Manuskrypt Voynicha* – dodała dziewczyna.

– Tak. O tym wiedzą wszyscy z Listy Voynicha – potwierdziłem.

– Niezły plan. Chociaż trochę słaby – skomentowała.

– To nie wszystko. Reszty dowiesz się w swoim czasie. – Uciąłem dalsze wyjaśnienia, ponieważ dojeżdżaliśmy do hotelu i wolałem nie zdradzać pewnych spraw przed obcymi. Nie to, żebym miał jakieś zastrzeżenia wobec taksówkarza. Rzecz w tym, że Juana wydawała mi się kompletnie odmieniona.

Zjedliśmy kanapki w kafeterii w hotelu i pomaszerowaliśmy do naszych pokoi. Umówiliśmy się, że wcześniej rano zjemy śniadanie, a potem pójdziemy zwiedzać miasto.

Jak podejrzewałem, John nie spał przez całą noc. Miał skandaliczne worki pod oczami.

– Co o tym myślisz? – spytał mnie nazajutrz przy śniadaniu, zanim dołączyła do nas Juana.

– O czym? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie, udając głupka, i zacząłem dokładnie smarować masłem kromkę chleba.

– Jak to o czym? Zmieniła się, prawda?

– No cóż, jest obrażona. Widać, że wciąż się na ciebie gniewa – odparłem. – Ale przejdzie jej to, zobaczysz. W przeciwnym razie zepsujecie mi przyjemność podróży.

W tym momencie Juana weszła do sali restauracyjnej. Nie wyglądała dużo lepiej niż wczoraj. Zdaje się, że ona też nie spała, może z powodu zmiany godzin. W towarzystwie ponurych cierpiętników przygotowywałem się do wydarzenia, które stanowi jedno z najważniejszych przeżyć dla katolickiego duchownego. Spotkanie z Ojcem Świętym, Namiestnikiem Chrystusa na ziemi. Rangi tego wydarzenia nie zmieniał fakt, że ujrzę papieża z daleka, stojąc w deszczu, na wietrze i zimnie. Rzym nie powitał nas piękną pogodą o tej porze roku.

Mimo to dzień zapowiadał się wspaniale, przynajmniej dla mnie. Postanowiłem odłączyć się jak najszybciej od tych dwojga, żeby lepiej wykorzystać moje pierwsze godziny we Włoszech. Na razie w milczeniu przemierzaliśmy ulice, szukając ciekawych miejsc do sfotografowania. Było ich całe mnóstwo! Zostawiliśmy za sobą Santa Maria La Mayor i weszliśmy w aleję Cavour wiodącą prosto do Forum, mając po lewej stronie wspaniałe Koloseum. Następnie skręciliśmy w Vittorio Emanuele i znaleźliśmy się nad Tybrem. Przeszliśmy przez most Sant' Angelo, podziwiając pałac o tej samej nazwie, w którym mieści się grób cesarza Adriana. Via della Conciliazione udaliśmy się do miasta Watykan. Kiedy dotarliśmy na miejsce, tłumy wiernych, ciekawskich i turystów wypełniały po brzegi owalny plac Świętego Piotra. My należeliśmy po trochu do każdej z tych grup. Ja byłem wierny, Juana zaciekawiona, a John przypominał z wyglądu rasowego turystę.

Zaproponowałem, żeby się rozdzielić, przez godzinę każdy robi, co chce, a potem spotkamy się na obiedzie w restauracji w centrum

miasta. Tak wydawało mi się najlepiej. Nie protestowali.

Wmieszałem się w tłum.

Było coś cudownego w tym miejscu.

Razem modliliśmy się do Boga. Młodzi śpiewali – ja też – w czasie nabożeństwa z udziałem papieża. Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał. Nikt się nigdzie nie spieszył, jakby ludziom żal było opuszczać to miejsce. Nawet wtedy gdy papież już się pożegnał, błogosławiąc zgromadzonych.

Czułem się jak nowo narodzony, gdy szedłem na ustalone miejsce spotkania. Miałem prawie godzinę opóźnienia, więc moi przyjaciele na pewno już są w restauracji. W tym czasie zdążyli pokłócić się na nowo, wolę, żeby to robili beze mnie.

Ku mojemu zdziwieniu John i Juana popijali martini pogrążeni w przyjacielskiej rozmowie.

Sprawy mają się ku lepszemu.

Albo i nie.

– Chcę znać powód.

John się zawahał.

– Nie powiem ci nic bez Héctora. Patrz – przerwał – już idzie.

– Cześć, paro zakochanych – przywitałem ich radośnie, pełen euforii po spotkaniu z papieżem. Okazało się, że strzeliłem wielką gafę.

– Nie jesteśmy parą zakochanych, Héctorze. Już nie – odparła z goryczą Juana. – Jak było?

– Wspaniale – odpowiedziałem krótko. – A wy jak spędziliście ten czas?

– Chciałem zwiedzić Muzea Watykańskie – powiedział John – ale okazało się, że w dzień audiencji papieskiej jest zamknięte.

– Innym razem zobaczysz Kaplicę Sykstyńską – starałem się go pocieszyć. – Może znajdzie się trochę czasu po powrocie z Bolonii. O której wyjeżdżamy?

– Nie wcześniej, aż się dowiem dokładnie, dlaczego musimy tam jechać – przerwała agresywnie Juana. John spojrzał na mnie bezradnie, jakby nie wiedział, co powiedzieć, i potrzebował pomocy. Do-

myślałem się, że pod moją nieobecność Juana próbowała wyciągnąć od niego informację, dlatego była taka miła i słodka. Jednak John, choć naiwny, nie dał się na to nabrać, przynajmniej tak mi się zdawało. Wiedziałem bowiem, jak bardzo mu zależy na względach Meksykanki.

Przystąpiłem więc do działania.

– Nie musisz z nami jechać, jeśli nie chcesz – oznajmiłem.

Juana nie spodziewała się takiej reakcji z mojej strony.

– Nie twierdzę, że nie chcę jechać, wręcz przeciwnie – oprzytomniała nagle. – Pragnę jedynie wiedzieć, czego tam szukamy. W przeciwnym razie – dodała – na nic się nie przydam.

– Napisałem do ciebie na prośbę Johna. Sam bym tego nie zrobił – mówiłem dalej tym samym tonem. – I wcale nie prosiłem, żebyś przyjeżdżała do Rzymu. A jeśli chcesz pomóc – dorzuciłem – bądź taka jak przedtem.

John patrzył na mnie zdziwiony, zastanawiając się, jak daleko mogę się jeszcze posunąć, i błagał mnie wzrokiem, żebym nie drażnił więcej Juany. Ta zaś odpowiedziała:

– Ja się nie zmieniałam, tylko wy. Gdy będziecie gotowi wszystko mi opowiedzieć, dajcie znać. Czekam w hotelu.

Po tych słowach wzięła torebkę i płaszcz, zapłaciła za oba martini i wyszła, nie mówiąc nic więcej.

Obiad był lekki i smaczny, ale nie mieliśmy apetytu. Odczuwaliśmy zmęczenie i prawie nie odzywaliśmy się do siebie. W duchu ubolewałem nad swoim zachowaniem wobec dziewczyny, chociaż John nie miał do mnie o to żalu. Wprost przeciwnie, to on próbował mnie pocieszyć, proponując program na resztę popołudnia.

– Nie siedź tak, Héctorze. Kończ swoją kawę i chodźmy zwiedzić kościół Matki Boskiej od Aniołów. Potem się zastanowimy, co zrobić z Juaną.

Żaden z nas nie widział wcześniej meridiany, chyba że na rysunku. Warto więc przygotować się należycie do wizyty w Bolonii. Kościół

pod wezwaniem Matki Boskiej od Aniołów i Męczenników znajdował się bliźniutko hotelu, na wprost Dworca Centralnego Termini. Powstał na miejscu łaźni Dioklecjana Caldarium. Zaprojektował go sam Michał Anioł w ostatnich miesiącach swego życia.

– Patrz, tam jest meridiana. Widzisz?

Widziałem. Prosta linia z brązu na marmurowej posadzce długości ponad czterdziestu metrów. Na tablicy wyczytaliśmy, że została zaprojektowana i wybudowana przez Francesca Bianchiniego w 1702 roku na wzór meridiany Cassiniego z Bolonii.

– Jaka piękna! Coś wspaniałego! – wykrzykiwał John, idąc wzdłuż linii w taki sposób, że ustawiał stopę za stopą. – Szkoda, że to nie południe – dodał.

– Tak, ale możemy tu wrócić jutro. Nie mamy daleko.

To nie ja powiedziałem, tylko Juana.

Stała za nami w kościele, jakby nas szpiegowała. Widząc moje zaskoczenie i niemal zagniewanie, zareagowała inteligentnie.

– Chciałam się pomodlić i zapytałam portiera w hotelu o najbliższy kościół.

Zrobiłem zdziwioną minę. Teraz chciała się pomodlić, a wcześniej, w Watykanie z papieżem, nie chciała? Usprawiedliwiała się dalej.

– Poza tym sprawdziłam w internecie i wyczytałam, że tu jest jedna z najslawniejszych linii południkowych. Nie wiedziałam, że was tu zastanę. Co za przypadek! – dodała z uśmiechem.

– W porządku, Juano – ustąpiłem. – Porozmawiamy.

Poszliśmy we troje na kolację do miłej pizzerii na placu Republiki. Przy stole przystąpiłem do wyjaśnień.

– Meridiany zaczęto tworzyć w celu precyzyjnego ustalenia dnia Wielkiej Nocy, Zmartwychwstania Pańskiego. Zgodnie z postanowieniami soboru nicejskiego miała to być pierwsza niedziela pełni Księżyca po wiosennym zrównaniu dnia z nocą.

– A więc meridiana to coś w rodzaju precyzyjnego kalendarza? – upewniła się Juana.

– Najbardziej dokładnego w tamtych czasach. Linia prosta po-

kazuje trajektorię Słońca w samo południe przez cały rok lub przez część roku, jeżeli meridiana jest na odpowiedniej długości. Na przykład – kontynuowałem – tak jest we Florencji. Otwór we wspinałej kopule Brunelleschiego znajduje się tak wysoko, że słońce wpada do katedry tylko przez kilka tygodni w okresie przesilenia letniego. Poza tym jest to niezwykle widok.

– A jak to się łączy z *Manuskryptem Voynicha*? – niecierpliwie dopytywała się Juana.

– Mamy pewne podejrzenia – odparłem.

– Jakie podejrzenia? – indagowała z niepokojem.

Spojrzałem na Johna. Anglik położył widelec na talerzu, otarł serwetką kąciki warg z resztek sosu pomidorowego i zabrał głos.

– Sądziłem, że istnieją dwie księgi. A właściwie, że oryginał został podzielony na dwie części przez bibliotekarza jezuitów, Lazzariego, który ukrył ten manuskrypt.

Juana nie wydawała się zbyt zaskoczona naszym odkryciem, natomiast chciała poznać całą historię.

– Kod z diagramu astronomicznego może służyć do rozszyfrowania czegoś, co znajduje się w nieznannej części *Manuskryptu Voynicha* – kontynuował John. – Moim zdaniem Lazzari wybrał ten sam dzień i ten sam klucz do jego ukrycia.

– Chcesz powiedzieć, że jedenastego listopada Słońce pokaże coś na posadzce bazyliki Świętego Petroniusza w Bolonii?

Juana błyskawicznie wyciągała wnioski. Ma głowę nie od parady ta dziewczyna.

– Jedenastego albo dwudziestego pierwszego. Nie wiadomo. Zresztą trop może okazać się fałszywy – zakończył John.

Twarz naszej przyjaciółki się rozjaśniła. Nareszcie uśmiechała się szczerze.

– No to jutro jedziemy do Bolonii.

Drogi Thomasie!

Wszystko w porządku. Jutro wyjeżdżamy do Bolonii. Oni odkryli, że istnieje związek między jezuitami, którzy byli w posiadaniu *Manu-*

skryptu Voynicha, i jedną ze świątyń wybudowanych przez Towarzystwo Jezusowe w tym mieście.

Trzymam się dobrze. Czuję pomoc Boga, który tak bardzo się nami opiekuje. Właśnie dowiedziałam się o rezultacie debaty w Stanowej Radzie ds. Oświaty w Kansas. To pierwsze zwycięstwo. Po nim przyjdą następne.

Moc całusów

Juana

– Co tu robisz?

Juana siedziała w hotelowej recepcji przed jednym z komputerów z dostępem do internetu dla gości hotelu. Ścienny zegar z tarczą imitującą Układ Słoneczny pokazywał godzinę dwunastą trzydzieści w nocy.

– To samo co, jak sądzę, ty zamierzasz zrobić. Sprawdzam pocztę elektroniczną. – Uśmiechnęła się lekko.

– Zgadza się – ustąpiłem. – Jeden z moich uczniów uwielbia zagadki historyczne. Obaj fascynujemy się pewną sprawą.

Spojrzała na mnie zaintrygowana.

– Opowiedz mi o tym.

– To sprawa bardzo interesująca. Nie wiąże się bezpośrednio z *Manuskryptem Voynicha*, ale coś jest na rzeczy – zacząłem wyjaśnienia, logując się jednocześnie do swojej poczty w Yahoo! i sprawdzając, czy są jakieś nowe wiadomości. Nie było.

– Nie będę mogła zasnąć, jeśli nie podasz mi wszystkich szczegółów – powiedziała z uśmiechem Juana. Nastąpiła diametralna zmiana w jej zachowaniu w ciągu paru zaledwie godzin.

– Kilka miesięcy temu ukazała się książka o Keplerze. Wiadomość jako taka nie jest niczym szczególnym. Wiele bardzo dobrych biografii poświęcono temu niemieckiemu uczonemu.

– Uhm – mruknęła dziewczyna, przysuwając swoje krzesło bliżej mojego. Poczulem lekkie zmieszanie. Dobry humor przywracał jej utraconą urodę.

– Ale w tej książce chodzi o coś zupełnie innego. Autorzy

twierdzą, że Kepler był mordercą, że zabił Tycho Brahego.

Twarz Juany wyrażała zdziwienie.

– Nie mów! – zawołała. – O ile wiem, Kepler nigdy nie żył dobrze ze swoim mentorem, ale nie podejrzewałabym go o morderstwo.

– Ja też nie. Podobnego zdania są uczestnicy forów internetowych i różnych spotkań uniwersyteckich. Tymczasem autorzy książki – kontynuowałem – sięgnęli do badań sądowych, z których wynika, że Tycho zmarł po spożyciu trującej dawki rtęci.

– Rzeczywiście tak było?

– W zasadzie tak. Stwierdzili to sami Duńczycy po zbadaniu szczątków astronoma, kiedy otwarto jego grób w czterechsetną rocznicę śmierci. Ale zarazem udowodnili, iż rtęć uważano w czasach Tycho Brahe, zwolennik Paracelsusa i medycyny zwanej alchemiczną, był specjalistą od leczenia rtęcią.

– Więc jak było naprawdę? – zaciekała się Juana. Jej czarne oczy błyszczały intensywnym blaskiem. Nie mogłem oderwać od nich wzroku.

– Prawdopodobnie sam się otrułem – z trudem wybąkałem. Dobrze, że całkiem nie straciłem głosu. – Cierpiał na ostrą infekcję dróg moczowych, odkąd na ważnym przyjęciu długo powstrzymywał chęć oddania moczu. Był tak zdesperowany, że mógł zwiększyć zalecaną dawkę środków leczniczych.

– Rozumiem. Dlaczego uważasz, że to może mieć związek z *Manuskrytem Voynicha*? – dopytywała się.

– Tycho i Kepler byli matematykami na dworze Rudolfa Drugiego, jednego z nielicznych znanych właścicieli tej książki. Zwróć uwagę, że nazwisko Keplera często pojawia się w historiach, które tropimy. Wiadomo na przykład – kontynuowałem, starając się nie ujawniać wszystkich faktów – że miał dobrych przyjaciół wśród jezuickich uczonych.

– Ktoś już o tym pisał na forum Listy Voynicha – przerwała mi Juana.

– To byłem ja – powiedziałem z uśmiechem. – Oczywiście pod zmienionym nazwiskiem.

- Upominałeś nas, że tak nie wolno. – Roześmiała się.
- Zaraziłem się od was – odparłem i puściłem do niej oko.
- Nie powinieneś tego robić – zaprotestowała.
- Czego? Pisać pod pseudonimem?
- Mówię o puszczeniu oka. Księdzu to nie przystoi.

Zaczerwieniłem się po uszy i szybko odwróciłem twarz do komputera, udając, że muszę coś sprawdzić. Juana z kolei udawała, że nic nie widzi. Wstała z krzesła, żeby się pożegnać i wrócić do swojego pokoju.

– Muszę cię teraz opuścić, ale bardzo żałuję. – Znowu uśmiechnęła się uroczo. – Nie masz przypadkiem tej książki o Keplerze? Nie mogę spać. Zawsze jestem rozbita po podróży.

– Mam. Zawsze biorę ze sobą coś do czytania. Dam ci ją jutro, jak zejdę na śniadanie.

- Z góry dziękuję. Do zobaczenia jutro, o dziewiątej w salonie.
- Do jutra, Juano. Przyjemnych snów.

V

Nazajutrz rano zastałem ich już przy stole. Nadal nie mogli spać. Ani razem, ani osobno. Przywitałem się wesoło. Wszyscy byliśmy w lepszych nastrojach niż wczoraj. Od razu podszedłem do Juany i podałem jej książkę, o którą prosiła.

– Dzięki, Héctorze – powiedziała i głośno przeczytała tytuł na okładce: – *Heavenly Intrigue: Johannes Kepler, Tycho Brahe, and the Murder Behind One of History's Greatest Scientific Discoveries*. By Joshua Gilder and Anne-Lee Gilder.

John przyłączył się do nas, rzucając kątem oka na książkę.

– To ta, o której mi mówiłeś? Byłbym zapomniał. Mam dla ciebie kopię artykułu z tego austriackiego kongresu.

Spojrzałem na niego z niemym pytaniem „dopiero teraz mi to mówisz?” wypisanym dużymi literami na mojej twarzy.

– Przepraszam – usprawiedliwił się. – Wiesz, że ostatnio byłem bardzo zajęty.

Podszedłem do bufetu, żeby wziąć kilka tostów, masło, dżem i

jajko na twardo. Juana nie odrywała oczu od okładki książki.

– Stało się coś?

– Nie, nic – odparła z wahaniem. – Tylko wydaje mi się, że znam to nazwisko.

Nie zwracając uwagi na to, co powiedziała, skierowałem rozmowę na inne tory.

– Jaki program na dziś?

– Najpierw wizyta w kościele Matki Boskiej od Aniołów. Musimy tam być punkt dwunasta – powiedział John.

– A potem wyjazd do Bolonii – dodała Juana. – Sprawdziłam rozkład jazdy. Mamy dobre połączenia. Podróż zajmie nam nieco ponad trzy godziny – wyjaśniła jeśli nie zatrzymamy się we Florencji.

Widać było, że miała wielką ochotę się zatrzymać.

– Teraz nie. Może w drodze powrotnej – zaznaczyłem.

Zostało nam zaledwie trzy dni i mnóstwo rzeczy do zrobienia. A nie wiedzieliśmy jeszcze, co nas czeka.

Eurostar przywiózł nas punktualnie do Bolonii, miasta najstarszego uniwersytetu. Pociąg przemierzył środkowe Włochy, zatrzymując się na kilka minut we Florencji. Przez okno widzieliśmy wyraźnie trzy budowle tworzące jedno z najświetniejszych skupisk dzieł artystycznych na świecie: katedrę, czyli *duomo*, Baptysterium i Wieżę. Wcześniej, przed wyjazdem z Rzymu, uczestniczyliśmy w niezwykłym widowisku przechodzenia Słońca nad meridiana w kościele Matki Boskiej od Aniołów nieopodal dworca Termini. Punktualnie o dwunastej w południe rzut obrazu królewskiej gwiazdy oświetlił marmurową posadzkę w nawie głównej dokładnie w środku chromowanej wstęgi, która oznacza jego trajektorię. Nie mogliśmy powstrzymać się od oklasków, co wypadło dość groteskowo w oczach wiernych uczestniczących w tym czasie we mszy świętej.

Przybyliśmy do Bolonii o zmroku.

Szliśmy pieszo z dworca, ciągnąc za sobą walizki. Wybrany przez nas hotel – znaleziony oczywiście w internecie – znajdował się kilka przecznic dalej, przy Via dell'Indipendenza, jednej z głównych ulic tego zabytkowego miasta. Bolonia sprawia bardzo przytulne wrażenie dzięki ceglanej zabudowie, ulicom z arkadami i średniowiecznym pałacom otaczającym dwa główne place: Piazza Maggiore i Piazza Nettuno. Przy nich znajdują się również dwie najważniejsze świątynie. Jedna pod wezwaniem Świętego Dominika, a druga – Świętego Petroniusza.

Późnym wieczorem zjedliśmy smaczną kolację w *trattorii* przy Via dell'Indipendenza. Racząc się potrawami kuchni włoskiej i wyśmienitym winem, ustaliliśmy program na dzień następny. Oczywiście najpierw wizyta w sławnej bazylice i dokładne zbadanie miejsca, gdzie Cassini skonstruował swoją meridianę.

– Co tam wyczytałeś? – spytałem Johna pogrążonego w lekturze przewodnika po zabytkach artystycznych, który kupiliśmy w ogromnej księgarni obok starego uniwersytetu.

– Wiele ciekawych rzeczy. Że bazylika nosi to imię na cześć patrona miasta, biskupa z piątego wieku. Że jest jedną z największych włoskich budowli średniowiecznych z cegły. I że budowa rozpoczęta w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym roku nigdy nie została zakończona – powiedział John, przekazując mi książkę.

Kontynuując lekturę, dowiedziałem się, że pierwotnie świątynia miała być większa niż Bazylika Świętego Piotra w Rzymie, ale potem trzeba było drastycznie zredukować wymiary, ponieważ władze kościelne przeznaczyły część środków finansowych na sąsiedni pałac Archiginnasio. Podobno sprawy tego rodzaju – a konkretnie ta – pchnęły Lutra do wystąpienia przeciw centralnej władzy katolickiej. Od XVI do XIX wieku Archiginnasio był siedzibą uniwersytetu, dlatego Święty Petroniusz stał się kościołem uniwersyteckim. Wnętrze bazyliki jest w stylu gotyckim z wielką centralną nawą otoczoną dwudziestoma dwoma kapliczkami. Ustawienie kolumn, które podtrzymują nawę i oddzielają od niej kapliczki, ma bezpośredni związek z mającą sześćdziesiąt siedem metrów meridiana. Jest to największa linia południkowa na świecie.

– Ta liczba nie jest przypadkowa – zauważyła Juana.

– Oczywiście, że nie – potwierdziłem. – Cassini starannie obserwował tor promieni słonecznych w stosunku do ścian kościoła. Na koniec postanowił umieścić mały otwór o średnicy dwóch i pół centymetra w pokryciu czwartej kaplicy po lewej stronie, co widać na załączonym rysunku.

Ilustracja z książki była identyczna – lub bardzo podobna – jak szkic znaleziony w moim klasztorze. Przedstawiała schemat bazyliki według rysunku Cassiniego.

– Co dalej? – dopytywała się Juana.

– Umieścił otwór na wysokości tysiąca stóp, tak tu jest napisane. Co w przeliczeniu na nasze jednostki miary daje nieco ponad dwadzieścia siedem metrów.

– Nieprawda – zaprotestował John, który znał się na stopach, calach i jardach.

– Przykro mi, John, ale nie masz racji. Cassini posługiwał się francuskim systemem metrycznym obowiązującym w tamtych czasach. – Uśmiechnąłem się i kontynuowałem: – Długość meridiany na poziomie ziemi, jak wyliczył Cassini, miała stanowić jedną część z sześciu tysięcy mil długości obwodu Ziemi, czyli dokładnie sześćdziesiąt sześć i siedem dziesiątych metra. Stąd takie rozmiary – zakończyłem lekturę.

– Bardzo pragnę ją zobaczyć – odezwała się Juana – ale teraz padam z nóg. Co wy na to, jeśli pójdziemy już spać i jutro wstaniemy skoro świt?

Uznawszy, że to najlepsza propozycja na tę porę dnia, zapłaciliśmy rachunek, wyszliśmy z restauracji i udaliśmy się prosto do hotelu.

v

O dziewiątej rano byliśmy już na schodach prowadzących do wejścia do bazyliki Świętego Petroniusza. Z zewnątrz budynek wygląda skromnie z powodu niedokończonej fasady i nie przykuwa uwagi nieprzygotowanego turysty. Za naszymi plecami fontanna Neptuna ze wspaniałym władcą mórz wykutym w brązie przez rzeźbiarza Giambologna.

– Zabraliście aparat fotograficzny? – spytała nerwowo Juana.

Obaj z Johnem mieliśmy swoje aparaty. A także notatki i komentarze do obliczeń wykonanych przez Cassiniego.

Weszliśmy w milczeniu. W bazylice panował półmrok, z głębi jednej z kapliczek przy głównej nawie dobiegał szmer modlitw kilkunastu osób uczestniczących we mszy. John pokazał ręką na dach. Tam wysoko, w złożonych ramkach imitujących błyszczące Słońce, znajdował się otwór, który dawał życie meridianie.

Nie powiem, żeby zrobił na mnie duże wrażenie.

Dokładnie pod nim zaczynała się linia prosta.

Podobnie jak w Rzymie linia była skonstruowana z wąskich blaszek brązu wciśniętych w marmurowe płyty. Na całej długości prostej

znajdowały się inne płyty przecinające ją w poprzek. Zdawały się wskazywać miejsca, gdzie obraz Słońca wchodził w południe w różne znaki zodiaku. Meridiana uratowała od zniszczenia kolumny ogromnej nawy i w ogóle sprawiała wrażenie, jakby cała bazylika powstała jedynie po to, by można było umieścić ten szczególny instrument, a nie na odwrót. Wszystkie kolumny pozostawały na swoich pierwotnych miejscach.

Linia łączyła północ i południe w cudowny sposób.

W oczekiwaniu na godzinę dwunastą zwiedzaliśmy dalej świątynię. Nie było nic szczególnego. Wieża z dzwonem, piękne stalle w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, i to właściwie wszystko. Zwróciliśmy uwagę na niezwykle skromny wystrój ścian, gdyż prawie nie miały fresków wbrew powszechnym zwyczajom. Były jedynie pomalowane w jasnej tonacji, różach i bieli, być może po to, by rozjaśnić ciemne wnętrza. Kiedy zbliżała się wyznaczona godzina, zajęliśmy miejsca na drewnianej ławce blisko meridiany, żeby obserwować ruch słonecznej plamy.

Obraz nie był kulisty. Zważywszy na datę – początek stycznia, a więc była zima – miał wyraźnie formę elipsy z główną osią wzdłuż meridiany. Stopień deformacji kręgu słonecznego zmienia się drastycznie wraz z upływem czasu mierzonego w miesiącach, ponieważ zmienia się położenie Słońca na niebie. Podobnie cień drzewa albo domu robi się coraz dłuższy, w miarę jak zapada zmierzch. Kiedy Słońce znajduje się w najwyższej pozycji na niebie – w czasie letniego solstycjum przypadającego w czerwcu, w dniu świętego Jana – jego obraz ma praktycznie kształt kuli. Natomiast w czasie zimowego solstycjum – w grudniu – obraz jest maksymalnie wydłużony.

– Widzisz? – zapytał John, pokazując na posadzkę bazyliki.

– Co? – odpowiedziałem pytaniem, bo nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– Rysunki na ziemi. To sześciokąty jak w wielkim plastrze miodu.

– I co z tego?

– Nic. Zwyczajna ciekawostka, nic więcej. Nowoczesne teleskopy

też składają się z sześciokątnych zwierciadeł. Można by uznać, że te rysunki zapowiadają przyszłość.

– Owszem – ustąpiłem. – Człowiek czuje się tu jak w świątyni astronomii.

– Przestańcie tyle gadać!

Juana śledziła z zapartym tchem ruch plamki słońca na marmurze. Punktualnie o dwunastej świetlista elipsa została przecięta na dwie równe części przez meridianę. Tak miało być. Potem powoli się rozproszyła.

– No dobrze – powiedziałem, przerywając ciszę, jaka zaległa po tym wydarzeniu. – I co teraz? Dowiedzieliśmy się czegoś nowego?

Patrzyłem na Johna, Juana też. W końcu to on był pomysłodawcą tej podróży. Już jesteśmy w Bolonii i widzieliśmy działanie meridiany Cassiniego!

John odezwał się wreszcie.

– Trzeba dokładnie zbadać prostą.

– Ma sześćdziesiąt siedem metrów – przypomniałem.

– Chodzi o ten odcinek, który przypada na okres między jedenastym i dwudziestym pierwszym listopada. To nie tak dużo – zareplikował.

– Najlepiej byłoby to zrobić akurat w tym czasie – wtrąciła Juana. – Może wtedy coś zobaczymy w efekcie działania obrazu słonecznego – dodała.

Zastanowiłem się nad tym. John pokręcił przecząco głową. Wydawał się pewny siebie.

– Nie. Żaden cień się nie pojawi – powiedział. – Tylko świetlista tarcza. Zresztą to dopiero za kilkanaście miesięcy – dodał.

Po czym spytał, wpatrując się w meridianę:

– Gdzie wypadnie jedenasty listopada?

– Wedle klasycznego podziału w znaku Skorpiona, który kończy się dwudziestego trzeciego. Obie daty znajdują się w tym samym sektorze prostej – zaznaczyłem.

Wszyscy troje podeszliśmy do odcinka meridiany, przy którym figurował znak Skorpiona. Nie było tam nic szczególnego. Absolutnie nic.

Po południu rozważaliśmy, czy nie spędzić tych kilku dni, jakie nam zostały, we Florencji. John nie chciał się wypowiadać. Czuł się rozczarowany i w pewnym sensie winny, że nas tu ściągnął. Na dodatek Juana okazywała mu całkowitą obojętność nawet wtedy, gdy była w znakomitym nastroju i traktowała nas – zwłaszcza mnie – z dużo większą serdecznością niż w pierwszym dniu podróży. To ona zaproponowała, żeby zostać w Bolonii jeszcze jeden dzień. Zaakceptowałem ten pomysł. John nie miał innego wyjścia, jak też na to przystać.

Późnym wieczorem znowu spotkałem ją w recepcji hotelu w takich samych okolicznościach jak dwa dni temu w Rzymie.

– Jak się masz, Héctorze – powitała mnie z uśmiechem. – Kończę pisać e-maila.

– Musisz bardzo tęsknić – powiedziałem niezręcznie, zastanawiając się, czy aby nie zdążyła się już pocieszyć po rozstaniu z Johnem. Juana zorientowała się w moich podejrzeniach i znowu się uśmiechnęła.

– Nie. Nie mam nikogo – wyznała. – Ale nadal podtrzymuję to, co ci wtedy napisałam. Nie wrócę do Johna – oświadczyła, przybierając poważny wyraz twarzy. Miałem wrażenie, że w jej głosie przebija gniew.

– Szkoda – odparłem. – Byliście tacy szczęśliwi...

– To się skończyło. Naprawdę. Nie mówmy o tym więcej – przerwała mi w pół słowa, klikając myszą w „wyślij wiadomość”. – Możemy zostać przyjaciółmi. Nie zamierzam rezygnować z pracy zespołowej przy *Manuskrypcie Voynicha*. Dlatego tu jestem. Tylko dlatego.

– W porządku, skoro tego pragniesz. Nie będę nalegał. Nie mam do tego prawa.

– Dziękuję – powiedziała.

– Coś mi się widzi, że przesłaś na protestantyzm – zmieniłem temat. – Nie chciałaś uczestniczyć w audiencji papieskiej w Rzymie. Nigdy nie rozmawialiśmy szczerze o religii.

– Jestem chrześcijanką tak jak ty – odpowiedziała. – Ale nie wierzę w rzymskiego papieża, jak mogłeś zauważyć. Skoro mnie pytasz, odpowiem: nie jestem katoliczką. Próbuję odzyskać wiarę poprzez powrót do Biblii.

Zrobiłem powątpiewającą minę. Zauważyła to.

– Mam dobrych przyjaciół w Meksyku i w Stanach Zjednoczonych. Pomogli mi, kiedy przeżywałam kryzys. Mój ojciec też mi pomógł – dodała. – Wiele im zawdzięczam. Już ci o tym pisałam.

To prawda. Nie chciałem więcej wypytywać o jej poglądy na sprawy wiary. Myślę, że nie różniły się aż tak bardzo od moich. Wolałem skierować rozmowę na tematy ściśle związane z naszym pobytem w Bolonii.

– Coś nam umyka w tej meridianie. Mam takie wrażenie, jakbyśmy czegoś nie dostrzegli.

– Ja też. Dlatego chciałam zostać dzień dłużej. Szkoda, że John tak szybko skapitulował. Przedtem był inny – dorzuciła.

Myliła się, ponieważ John wypadł nagle na schody tak podekscytowany, że nawet nie zauważył, iż jest w pizamie. Na dodatek zaczął mówić po angielsku:

– *It's the fucked Kepler!*

– Więcej szacunku! – zawołaliśmy z Juaną jednogłośnie. Niech wie, że musi liczyć się ze słowami. – Nie bądź wulgarny! – dodałem.

– Kepler – powtórzył John, przechodząc na hiszpański – ma klucz do rozwiązania zagadki.

– Owszem – przyznałem. – Wiele śladów prowadzi do Keplera, ale nie meridiana.

– A właśnie, że meridiana – oświadczył z satysfakcją John.

Jednym z najpoważniejszych rezultatów naukowych, jakie Cassini osiągnął dzięki tej meridianie, było potwierdzenie drugiego prawa Keplera, które mówi, że planeta zakreśla wewnątrz swojej orbity jednakowe pola w równych odstępach czasu. Myślałem, że Johnowi o to chodzi, ale pokręcił głową.

– Nie, nie. Pamiętasz, co mówiłeś o Lazzarim?

– Co takiego? – Nie bardzo wiedziałem.

– Że prawdopodobnie znał treść *Manuskryptu Voynicha*, zanim rozerwał go na dwie części. I że klucz zawarty w jednej części doprowadzi do miejsca ukrycia tej drugiej.

– To akurat ty powiedziałaś – zauważyłem. – I dlatego tu jesteśmy.

– Nieważne, kto co powiedział – odparł z uniesieniem John. – Lazzari wiedział, że diagram astronomiczny ma związek z supernową Tychona, i to jest w tym najważniejsze. Wkrótce potem John Dee narysował tę gwiazdę, a z daty jej pojawienia się na niebie zrobił klucz kryptograficzny albo jeden z kluczy. Tak sędzę.

– Zaczynam się w tym wszystkim gubić – wtrąciła zaniepokojona Juana. John odwrócił się w jej stronę.

– Kepler przyjaźnił się z jezuitami i mógł mieć coś wspólnego z odczytaniem przesłania *Manuskryptu Voynicha*, jeśli do tego doszło. A Lazzari mógł to wykorzystać do zakamuflowania tej drugiej części. Genialnie proste.

– Proste jak meridianą – zażartowałem, bawiąc się słowami. – Nadal nie rozumiem, do czego zmierzasz, Angliku.

– Co łączy Tychona z Keplerem? – zapytał.

– Tysiące rzeczy, do cholery! – wykrzyknąłem, tracąc cierpliwość. – Praktycznie wszystko. Pracowali razem, przecież wiesz.

– Dopiero śmierć ich rozłączyła – wtrąciła Juana, nawiązując do książki, którą jej pożyczyłem. Uśmiechała się, a ja nie wiedziałem, co ją tak bawi: moje rozdrażnienie czy arogancja Johna.

– Ile supernowych pojawiło się na naszej Drodze Mlecznej w ostatnim tysiącleciu?

– Nie tak wiele – odpowiedziałem, z trudem pohamowując wzburzenie. – Oprócz tej chińskiej, tylko dwie. Supernowa Tychona i...

– I supernowa Keplera, głupcze! – czule potraktował mnie John. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Rzeczywiście, teraz to wydawało się genialnie proste.

Kepler widział na własne oczy wybuch drugiej supernowej w 1604 roku, zaledwie trzy lata po śmierci Tychona. Paradoksalna sytuacja:

dwaj najwięksi uczeni, a w dodatku uczeń i mistrz, zaobserwowali, każdy z osobna, dwa wyjątkowo rzadkie zjawiska w historii astronomii. To drugie znane jest dziś jako supernowa Keplera. Była ostatnią gwiazdą zmienną, która wybuchła w naszej Galaktyce i nadal jest wykrywalna za pomocą teleskopów rentgenowskich i na podczerwień.

Po ustaleniu planu na dzień następny rozeszliśmy się do swoich pokojów, aby trochę się przespać. Jednak żadne z nas mimo najszerszych chęci nie zmrużyło oka tej nocy.

V

– Skupcie się – powiedział John – poszukamy teraz odcinka meridiany, który przypada na dziewiątego października.

Supernowa Keplera pojawiła się na niebie 9 października 1604 roku. Byliśmy na nogach już od kilku godzin, żeby dobrze wykorzystać nowy dzień i jak najwcześniej rozpocząć badania. Bazylika była jeszcze zamknięta, kiedy przyszliśmy z samego rana, i musieliśmy poczekać, aż otworzą drzwi na mszę o godzinie ósmej.

– To będzie w sektorze Wagi obok Skorpiona – rzekła Juana i przyspieszyła kroku. Podążaliśmy za nią ze wzrokiem utkwionym w posadzkę.

Nie zauważyliśmy nic szczególnego.

O ile poprzedniego dnia msza południowa zgromadziła w kościele około dwunastu osób, o tyle teraz, w porannej mszy, uczestniczyło zaledwie troje wiernych plus proboszcz. Nas było tyle samo. Nic więc dziwnego, że proboszcz zbliżył się z pytaniem, w czym może pomóc. Trochę po włosku, trochę po hiszpańsku wyjaśniłem, że ja też jestem księdzem, jezuitą – sprecyzowałem – a ponadto astronomem zafascynowanym meridianem Cassiniego. Mój włoski odpowiednik uśmiechnął się i ponownie zaoferował swoją pomoc. Podziękowałem, a wtedy on zaprosił mnie do wspólnego odprawienia mszy świętej. Jako że nasze poranne poszukiwania nie dały do tej pory żadnych rezultatów i nie zanosilo się na zmianę, przyjąłem propozycję proboszcza, zostawiając moich przyjaciół na kilka minut samych.

Giovanni – tak miał na imię nasz pocziwy proboszcz – wręczył mi albę oraz stulę i weszliśmy na podwyższenie, na którym stał ołtarz.

Z tego miejsca bazylika wyglądała zupełnie inaczej. Widziałem wyraźnie dziesięć wielkich filarów podtrzymujących całe sklepienie, po pięć z każdej strony. Meridiana stykała się z dwoma po mojej prawej ręce. Przy pierwszym z nich, bliżej drzwi, stali Juana i John. Uśmiechnąłem się w tym momencie i podniosłem oczy do góry.

Podziękowałem Duchowi Świętemu za pomoc.

Po Eucharystii dołączyłem do moich przyjaciół.

– Jak tam? Coś nowego? – spytałem drwiąco.

– Nic – odpowiedzieli, nie dostrzegając kpiny w moim głosie. – W tym sektorze też nic nie ma – dodał John na nowo przygnębiony.

– Kiepski astronom z tego Anglika – stwierdziłem, patrząc na Juane, która wpatrywała się we mnie zaskoczona. – Astronomowie zawsze patrzą w górę, nigdy w dół – oświadczyłem, chwytając Johna za brodę, żeby podniósł głowę.

Należało patrzeć do góry na filar, a nie na posadzkę.

W znaku Wagi prosta meridiany przylegała do pierwszej z wielkich kolumn. Z bazy kolumny, wysokiej na dwa metry i szeroka na cztery, wznosił się piętnaście metrów w górę trzon zakończony głowicą imitującą klasyczny styl koryncki. W miejscu styku ze wspornikami arkad wystawał spory wypust.

– Sądziś, że coś tam jest? – spytała zaciekawiona Juana, odgadując moje myśli.

– Nie wiem. Ale mam nadzieję, że od dawna tam nie sprzątano. Powiedzmy, od trzech wieków – oświadczyłem.

– Rok temu.

Giovanni odezwał się za moimi plecami.

Bezradność zagościła na naszych twarzach. Tylko włoski ksiądz się uśmiechał.

– Ściany straciły swój biały kolor – wyjaśniał – i w świątyni było jeszcze ciemniej niż teraz. Z niewielką pomocą biskupstwa zatrudniliśmy firmę sprząającą. Wystarczył zwykły przyrząd odkurzający, aby wyczyścić głowice kolumn z kurzu zalegającego od ponad

dwustu pięćdziesięciu lat. Potem trochę pomalowaliśmy, ale na więcej nie było nas już stać – zakończył.

– Czy coś was zaskoczyło przy tej okazji? – zapytałem z ostrożnością.

– Nie – odparł. – Tylko pospadały gwoździe i gniazda gołębi. Przy jednej z kolumn znaleźliśmy na górze starą poziomnicę, podejrzewam, że z epoki Cassiniego. Mam ją do dziś, resztę rzeczy wyrzuciłem na śmietnik. Może to było na tej kolumnie, nie pamiętam.

Dobre i to. Zachowała się jedna z wielu poziomnic używanych przy budowie ogromnej bazyliki oraz do skonstruowania doskonałego instrumentu astronomicznego. Pełen nadziei zapytałem proboszcza, czy może mi ją pokazać. Nie odmówił.

Czekając na jego powrót, usiedliśmy w ławkach. Juana wydawała się nieobecna, prawdopodobnie zmęczona długimi podróżami i bezsennością. John patrzył na nią niepewnie, zastanawiając się, co powiedzieć. Chciałem przerwać milczenie propozycją, by nasz ostatni dzień we Włoszech przeznaczyć na zwiedzanie pięknej Florencji, kiedy właśnie pojawił się Giovanni, niosąc coś w dłoniach.

– Proszę. Owinąłem ją w starą gazetę.

Wzięłem ostrożnie zardzewiały cylinder z żelaza, miał piętnaście centymetrów długości i był bardzo ciężki.

– Pokaż – poprosił John, wyciągając rękę.

Nawet nie przypuszczał, że tyle może ważyć taki przyrząd. Zaskoczony niechętny wypuścił go z rąk.

Poziomnica upadła na podłogę z wielkim hałasem. Metaliczny trzask rozszedł się echem po całej bazylice. Dwa kawałki żelaza podskakiwały na posadzce, grożąc porysowaniem białego marmuru meridiany.

Oczami poprosiłem Giovanniego o wybaczenie i podniosłem się z ławki, żeby pozbierać skorupy. Spadając, poziomnica rozbiła się na dwie połowy. Z pustego środka wypadł skrawek papieru. Podałem go Giovanniemu. W końcu to jego poziomnica i wszystko, co w niej było. Sądziłem, że to jakieś notatki z okresu budowy bazyliki. Albo dane techniczne z numerem, wagą przyrządu, tudzież instrukcją

użycia. Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego, co Giovanni przeczytał:

– *Robustae mentis esse solidam sapientiam sustinere*. Chcecie wiedzieć, co to znaczy po hiszpańsku? – zapytał, a ja kiwnąłem głową: – „Niewzruszona prawda wymaga krzepkiego rozumu”.

Giovanni wzruszył ramionami, a my patrzyliśmy na siebie w osłupieniu. Ochłonawszy, zanotowaliśmy to zdanie w notesie i kulturalnie pożegnaliśmy się z księdzem, który bezwiednie wyświadczył nam wielką przysługę.

Nie mieliśmy tu już nic więcej do roboty.

v

Przy obiedzie rozmawialiśmy o zdarzeniu. John uważał, że to cytaty z Galileusza, Keplera albo nawet jego imiennika Dee. Wiedzieliśmy, że Lazzari uwielbiał ozdobne dodatki w postaci anagramów, zagadek i zakodowanych zdań. Ja ponadto uważałem, że znowu mamy do czynienia z cytatem o podwójnym znaczeniu. Trzeba szukać dalej, nie ustając w wysiłkach. To, co jest do znalezienia, zasługuje na każdy trud. Juana beztrudnie lizała loda. Świeciło słońce i nie czuło się zimna. Czemu miałyby rezygnować ze swego ulubionego deseru?

Pogrążeni w zawilej dyskusji nad możliwym sensem cytatu nawet nie zauważyliśmy zniknięcia dziewczyny. Zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero po dziesięciu minutach, kiedy dosiadła się do nas z powrotem z paroma kartkami wydruku w ręku.

– Najbliższy pociąg do Rzymu odchodzi o piątej. Musimy się pospieszyć – przerwała nam.

– A Florencja?

– Mamy nowy ślad, który prowadzi do Rzymu. Zostało niewiele czasu – odpowiedziała.

Na jednej z karetek był rozkład jazdy pociągów. Na drugiej zdjęcie znanego obelisku z placu Minerwy w Rzymie. Mały słoń podtrzymywał na grzbiecie pięciometrowy egipski pomnik. Wiedzieliśmy skądinąd, że autorem tej kompozycji jest sławny rzeźbiarz Gian Lorenzo Bernini. Wiedzieliśmy również, że człowiekiem, który

rozszyfrował hieroglify, jest nasz stary znajomy Athanasius Kircher, wielce prawdopodobny posiadacz *Manuskryptu Voynicha* przez dobrych parę lat. Nie wiedzieliśmy jednak – a dowiedzieliśmy się, gdy Juana odwróciła kartkę na drugą stronę, pokazując nam to samo zdjęcie w dużym powiększeniu – że na cokole pomnika znajduje się owo sławne zdanie:

– *Robustae mentis esse solidam sapientiam sustinere.*

Jednocześnie dotarło do nas, że naprzeciwko restauracji jest kawiarnia internetowa i że wyszukiwarka Google jest czynna przez całą dobę.

Kochana Juano!

Z uwagą studiujemy materiały, które nam przesyłasz. Są dla nas bardzo cenne. Widać z nich wyraźnie, że *Manuskrypt Voynicha* miał burzliwy żywot, jak przystało na księgę o nadludzkim charakterze. Wiedzieliśmy, że Cassini utrzymywał bliskie kontakty z jezuitami, którzy mieli dużo wspólnego z tą księgą, ale nie byliśmy pewni, czy on też miał ją w swoich rękach. Jego mentor Riccioli był ciemnym typem, zazdrosnym o sukcesy mędrca Kirchera. Słyszałaś, że Athanasius Kircher miał opinię ostatniego z tych, którzy wiedzą wszystko? Towarzystwo Jezusowe jest zakonem zamkniętym, nie wierz we wszystko, co o sobie mówią. Są niebezpieczni z racji niemal chorobliwej wierności wobec papieża. Ogarnięci misjonarską pasją wtrącają się do polityki, krytykują naszą działalność w Ameryce Łacińskiej i Afryce, sabotują nasze przedsięwzięcia. Wielu z nich przechodzi na komunizm. Zapominają, że biedak staje się pracowity dzięki biedzie. Wszelkie formy pomocy państwowej czy międzynarodowej przyczyniają się, wbrew pozorom, tylko do zwiększenia biedy. Nic tak nie motywuje do pracy jak głód i bieda. To bodziec do rozwoju pomysłowości biednego.

Jestem pewien, że znajdziesz coś ciekawego w tej meridianie.

Co do książki, o którą pytasz, nie ma w niej żadnej tajemnicy.

Josh i Ann-Lee Gilder to wspaniali dziennikarze. Napisali znakomity esej o Keplerze. Zbieżność nazwisk bynajmniej nie jest przypadkowa. Są blisko spokrewnieni z George'em Gilderem, który bardzo pochlebnie wyraził się o ich książce na naszej stronie internetowej.

Ta para zrobiła coś, czego nikt inny nie odważył się podjąć: zbała całą sprawę od początku do końca. Dzięki odnalezionym listom i różnym dokumentom dotąd niepublikowanym i - nie wiedzieć czemu -

nawet nieprzetłumaczonym oraz na podstawie analizy spektrograficznej i sądowej dowiedli, że Tycho Brahe został otruty przez swojego aroganckiego ucznia Keplera, który podał mu śmiertelną dawkę rtęci. Sama książka stanowi również wyborną analizę relacji zachodzących między nauką i technologią. Pokazuje, w jaki sposób Kepler, zagorzały astrolog, staje się prekursorem abstrakcyjnej nauki, politycznie poprawnej w oczach natrętnych naukowców, którzy zajmują się zjawiskiem globalnego ocieplenia w licznych wszechświatach równoległych, zaludnionych przez superstruny powstałe z wibracji nicości. Piszą o tym na łamach „Scientific American” i „Nature”, dając upust swoim fantazjom, i z dumą godną lepszej sprawy prezentują osobliwe poglądy na temat formy oraz sposobu zachowania się świata takiego jak nasz, całkowicie nieprzewidywalnego bez boskiego umysłu Boga, który oni w swojej pysze ignorują. Brahe był wspaniałym astronomem, przeciwnikiem pseudonaukowej astrologii Keplera, co w zupełności mogło wystarczyć jako motyw zbrodni dla tego ostatniego.

Książka Gilderów cieszy się naszym całkowitym poparciem. Niestraszne nam reakcje różnych komisji naukowych zgorszonych posądzeniem o morderstwo jednego ze swoich najślawniejszych członków - astrologa Keplera. Prawda w oczy kole. Ci sami przymuleni nudziarze biorą za kryterium własne widzimisię, broniąc takiego Keplera lub, co gorsza, Darwina, który tyle szkód wyrządził i wyrządza umysłom naszej młodzieży. Młodzi wyrastają na niedowiarków przeświadczonych, iż wszystko robi się samo jak za sprawą magii. Nie chcą wiedzieć - albowiem nikt nie chce i nie śmie im tego powiedzieć – że istnieje wyższa inteligencja, która rządzi dobrem i złem i stworzyła nas inaczej niż zwierzęta: na swój boski obraz.

Nie zamęczam Cię dłużej. Wiesz, jak bardzo lubię pisać.

W razie potrzeby możesz nas znaleźć tam, gdzie zawsze.

Nie muszę dodawać, że czekamy na kolejne informacje dotyczące nowych śladów i odkryć.

Modlimy się za Ciebie codziennie.

Z braterskim uściskiem,

Thomas

- Znowu się spotykamy, jak co noc.
- No właśnie. – Juana się uśmiechnęła, odrywając na chwilę oczy od komputera i odwracając się w moją stronę.

Byliśmy zmęczeni po ciężkim dniu. Przybyliśmy do Rzymu późnym wieczorem. Zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu co poprzednio, w pobliżu dworca Termini. Stąd mamy wszędzie blisko. Jutro znów wychodzimy na spotkanie z Wiecznym Miastem.

V

- Wzięłeś mapę?

John odpowiedział twierdząco. Chciałem sprawdzić, jak najkrócej dojść do celu naszej dzisiejszej wyprawy i nie pobić. Szkoda, że mamy tak mało czasu. Przyjemnie byłoby powłóczyć się po Rzymie. Piękny, słoneczny poranek zachęcał do beztrudnych spacerów. Rzuciłem okiem na rozłożony plan miasta. Słoń z obeliskiem na grzbiecie znajdował się na placu Minerwy, naprzeciwko dominikańskiego kościoła Świętej Marii, gdzie kiedyś mieściła się rzymska świątynia poświęcona bogini mądrości Minerwie. Tradycja rzymska łączyła się tu z chrześcijańską. Takich miejsc w Rzymie było wiele.

– Moim zdaniem najlepiej wrócić na plac Republiki, tam gdzie niedawno byliśmy na kolacji, i skręcić w Via Nazionale, którą dojdziemy w okolice placu Minerwy. A stamtąd już tylko krok do Panteonu – powiedziałem.

Panteon, świątynia dedykowana wszystkim bogom, uważana za najpiękniejszy gmach w całym Rzymie. Z pewnością nie mielibyśmy czasu na jej zwiedzanie, gdyby nie to, że stoi w pobliżu interesującego nas posągu słonia. Umówiliśmy się, że pójdziemy do Panteonu zaraz po obejrzeniu obelisku Kirchera.

Spacerkiem doszliśmy na miejsce w dwadzieścia minut. Na placu Minerwy oczekiwał nas słoń dźwigający na grzbiecie ciężki, pięcioletni obelisk egipski. Pomnik według projektu sławnego rzeźbiarza i architekta Gian Lorenza Berniniego wykonał jego uczeń Ercole Ferrata w 1667 roku. Obeszliśmy słonia kilka razy dookoła, pstrykając zdjęcia. Juana chętnie przy nim pozowała.



- Daj spokój! Już wystarczy! – przystopowałem Meksykankę.
- Nie marudź! – krzyknęła dziwnie rozbawiona dziewczyna.
- Z zakupionego przez nas przewodnika można się dowiedzieć – zacząłem wykład – że w Rzymie jest trzysta spośród trzydziestu egipskich obelisków zachowanych w świecie. W samym Egipcie zostało ich tylko siedem. Obelisk z placu Minerwy zalicza się do najmniejszych w Rzymie. Powstał za czasów faraona Apriesa, czwartego władcy dwudziestej szóstej dynastii, który panował w latach od pięćset osiemdziesiątego dziewiątego do pięćset siedemdziesiątego przed naszą erą. Ten obelisk ma brata bliźniaka, który również znajduje się we Włoszech, ale nie w Rzymie, tylko w niedużym mieście Urbino. W pierwszym wieku zdemontowany przez Rzymian i jakiś czas potem ukryty w ziemi.

Moi towarzysze podróży słuchali z wielką uwagą, więc kontynuowałem:

- Odnaleziony w ogrodzie u dominikanów w tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym. To tam. – Pokazałem na kościół Santa Maria Sopra Minerva. – Dwa lata później papież Aleksander Siódmy polecił ustawić obelisk w miejscu, gdzie widzimy go teraz. Sam papież nie mógł uczestniczyć w uroczystej inauguracji, ponieważ zmarł dwa miesiące wcześniej, w maju tysiąc sześćset sześćdziesiątego siódmego – zakończyłem.

- Coś mi się zdaje, że ten kościół znany jest jeszcze z innych powodów – odezwał się John.

- Masz rację. W tym kościele Galileusz wyrzekł się pod przymusem poglądów heliocentrycznych. Było to dwudziestego drugiego czerwca tysiąc sześćset trzydziestego trzeciego roku. Przewodnik przytacza jego słowa:

Ja, Galileo Galilei, syn zmarłego Florentyńczyka Vincenza Galilei, w wieku lat siedemdziesięciu osobiście stanąwszy przed sądem, na klęczkach w obliczu waszym, Najdostojniejsi i Najwielebniejsi Panowie Kardynałowie, Generalni Inkwizytorzy, ze wzrokiem utkwionym w Pismo Święte, które trzymam w dłoniach, oświadczam, że zawsze wierzyłem, obecnie wierzę i z Boską pomocą wierzyć będę we

wszystko, co utrzymuje, głosi i czego naucza Święty Kościół Katolicki, Apostolski i Rzymski.

– A jest tam coś o Athanasiusie Kircherze?

– Niestety, nie ma. To przewodnik dla turystów – powiedziałem z żalem.

– To mów do nas jak do turystów – poprosił John.

– Obelisk z czerwonego granitu – zacząłem. – Wysokość pięć metrów czterdzieści siedem centymetrów. A razem z dekoracją, do której zaliczają się: słonik, piedestał i podstawa z czterema schodami, prawie trzynaście metrów. Cztery boki obelisku pokrywają napisy związane z faraonem Apriesem i egipskimi bóstwami. Ich sens nie jest zbyt klarowny, lecz wiadomo, że dotyczą fascynującej Egipcjan kwestii życia po śmierci.

– Aha. Niewiele nam to dało. Zwłaszcza że w hieroglifach nie jesteśmy zbyt biegli – ironicznie podsumowała Juana, czyniąc aluzję do *Manuskryptu Voynicha*.

– I tu jest owo sławne zdanie – powiedział John.

Rzeczywiście, na kamiennej płycie piedestału znajdował się łaciński napis zawierający między innymi zdanie, które wypadło z rozbitej poziomnicy w bazylice Świętego Petroniusza w Bolonii. W całości brzmiało to następująco:

Kto zobaczy obrazy egipskiej mądrości wyryte na obelisku niesionym przez słonia, najsilniejsze zwierzę, niech pojmie za sprawę tego symbolu, że niewzruszona prawda wymaga krzepkiego rozumu.

– Aby wyrazić siłę mądrości, papież i dominikanie postanowili przypisać mądrość zarówno Marii Pannie, jak i antycznej bogini Minerwie, a słoniowi siłę – wyjaśniłem.

– Oraz pamięć – dodał John.

– I co z tego? – dopytywała się Juana.

– Niewiele – odparłem, siadając na schodach pod trąbą gruboskórego z kamienia.

– No tak – odezwał się John. – O Kircherze wiemy, że był fanatykiem egiptologii i napisał *Obeliscus Aegyptiacus*, w którym rozszyfrowuje lub próbuje rozszyfrować niektóre hieroglify z rzymskich

obelisków. Wydał to dzieło w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym roku.

– Tak się składa, że w tym samym roku pojawił się w Rzymie *Manuskrypt Voynicha* – zauważyłem. – Prawdopodobnie Athanasius Kircher miał u siebie tę księgę do roku tysiąc sześćset osiemdziesiątego, czyli do swojej śmierci. Należy przypuszczać, że trzymał ją w swoim sławnym muzeum.

– I w tym momencie ślady się urywają – dokończyła Juana tonem raczej pesymistycznym. – Ruszaj się! Wstawaj! – zakomenderowała, ciągnąc mnie za rękaw. – Pokręcimy się trochę po Panteonie, żeby odświeżyć umysł i nacieszyć oczy.

Pokręcić się po Panteonie to brzmi logicznie. W dosłownym znaczeniu tego słowa.

Weszliśmy do środka przez wspaniały portyk utworzony z szesnastu ogromnych kolumn korynckich. Wewnątrz olbrzymia rotunda o średnicy ponad czterdziestu metrów, przykryta czaszą o takiej samej wysokości, jest największą budowlą kopułową z czasów starożytności.

– *Amazing!* – wykrzyknął John. Juana i ja nie mogliśmy wykrztusić słowa ani po hiszpańsku, ani w żadnym innym języku.

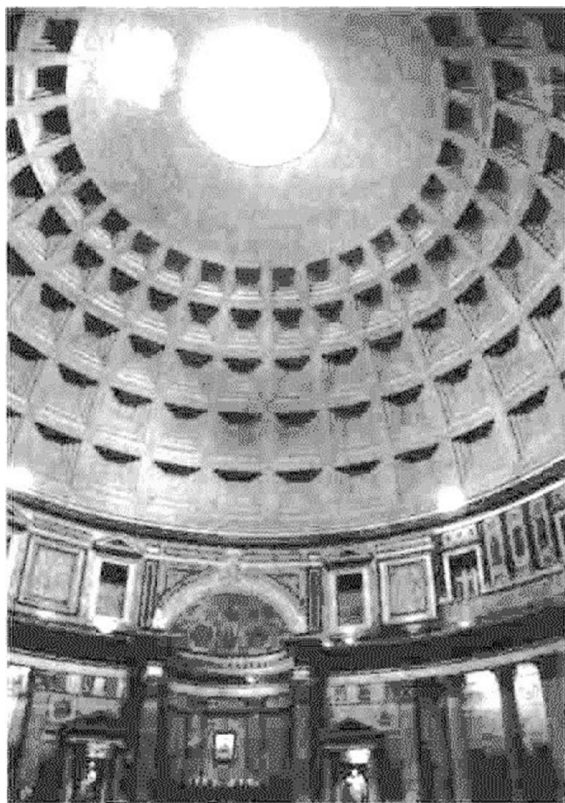


Zgodnie z rzymską wizją świata Ziemię przykrywa kopuła nieba i

taki jest sens Panteonu. Wyobraźmy sobie pełną kulę wpisaną w dużą, okrągłą salę w taki sposób, że jej wyższa połowa tworzy sklepienie, a otrzymamy obraz globu niebieskiego spoczywającego na Ziemi.

– Jego rozmiary są więcej niż doskonale – stwierdziłem, otwierając na nowo przewodnik. – Michał Anioł powiedział, że ta budowla nie powstała według projektu ludzkiego, tylko boskiego. Oparta na cylindrycznym bębnie kopuła ma taką samą wysokość jak średnicę. Jedy-
nym źródłem światła jest ten otwór w najwyższym punkcie dachu.

Spojrzelśmy do góry. Tam znajdował się *oculus*, otwór o średnicy dziesięciu metrów wycięty pośrodku czaszy. Wpadające przezeń światło ślizga się powoli po posadzce z najlepszych marmurów i porfirów sprowadzanych z całego imperium i wspina się po ścianach niczym gigantyczny zegar słoneczny. Zauważył to John i podzielił się ze mną swoim spostrzeżeniem.



– Pozwól, że sprawdzę – poprosiłem, zaglądając do przewodnika.
– Masz rację, kolego. Gmach jest tak usytuowany – kontynuowałem – że każdego dwudziestego drugiego czerwca, w czasie letniego solstycjum, dokładnie o dwunastej w południe, *oculus* oświetla główne wejście.

– Tak myślałem – rzucił ze śmiechem John.

– Oświecaj nas dalej – wtrąciła Juana. – Uwielbiam, jak czytasz, księżulku.

Mile polectany kontynuowałem lekturę:

– Proporcje i struktura Panteonu są reprezentatywne dla religijnej koncepcji Rzymian. Panteon był siedzibą wszystkich bogów, toteż Rzymianie zamierzali zsyntetyzować wielką różnorodność kultów istniejących w Wiecznym Mieście, mieście kosmopolitycznym w całym tego słowa znaczeniu. Uszanowali to chrześcijanie, którzy w roku sześćset dziewiątym zamienili go na świątynię pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny od Męczenników. Jeszcze dziś odprawiane są tu msze i nabożeństwa – zaakcentowałem.

– Chciałbyś? – zapytała Juana, odgadując moją myśl, co jej się często zdarzało.

– Jasne, kto by nie chciał. W takim niezwykłym miejscu!

– Czytaj dalej, proszę.

– Początki Panteonu sięgają dwudziestego siódmego roku przed naszą erą, kiedy to został ufundowany przez Agrypę. Sto lat później świątynię zniszczył pożar. Została odbudowana przez cesarza Hadriana, który podobno osobiście kierował pracami do spółki z wielkim architektem Apolodorem z Damaszku. Panteon był do szesnastego wieku arcydziełem techniki i architektury. Pod względem znaczenia i rozmiarów dorównała mu dopiero florencka katedra Santa Maria del Fiore ze sławną kopułą Brunelleschiego.

– Szkoda, że nie zobaczymy tego *duomo* – narzekała Juana.

– Nie damy rady zwiedzić całych Włoch w jeden tydzień – odrzekłem i podjąłem czytanie: – Kopuła spoczywa na murze o grubości sześciu metrów. Skomplikowany system sklepień i łuków z cegły przenosi ciężar betonu na miejsca o największej wytrzymałości.

Grubość kopuły maleje w wyższych partiach, a na samym szczycie wynosi zaledwie półtora metra.

– Nie ma czegoś bardziej interesującego? – przerwał John. – No wiesz, o astronomii i tak dalej.

Kartkowałem opasy przewodnik, dopóki nie znalazłem.

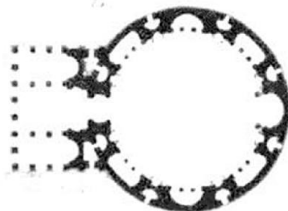
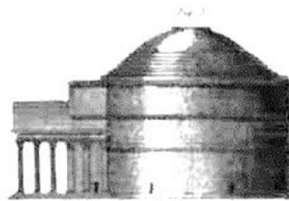
– Wewnątrz jest osiem nisz, co ma związek z rozkładem obciążenia. Jedną niszę zajmuje główne wejście, kształt siedmiu pozostałych jest na przemian prostokątny i półkolisty. Początkowo mieściły się w tych niszach wizerunki siedmiu bóstw planetarnych: Księżycy, Słońca, Merkurego, Wenus, Marsa, Jupitera i Saturna.

– Hm – chrząknął John. – Teraz są inne bóstwa, i to nie w każdej niszy.

– Istotnie – przytaknąłem, przechodząc do następnego akapitu. – Panteon przeznaczono nie tylko na świątynię chrześcijańską, lecz także na siedzibę rzymskiej Akademii Wirtuozów. Kiedyś chowano tu największych włoskich artystów. Z czasem ich szczątki doczesne przeniesiono gdzie indziej, a w Panteonie pozostał tylko grób Rafaela.

Okazały grobowiec tego renesansowego malarza znajdował się pomiędzy dwiema dużymi niszami. Przewodnik wymieniał piętnaście różnych obiektów usytuowanych na obwodzie świątyni.

Najczęściej były to grupy rzeźb i obrazy. W jednej z półokrągłych nisz, dokładnie na wprost drzwi, znajdował się główny ołtarz.



- A to co? – spytał John, pokazując inny grobowiec.
- Grób królewski – odpowiedziałem. – W Panteonie zostali pochowani Wiktor Emanuel Drugi i Umberto Pierwszy. Zajmują centralne nisze półokrągłe, nie licząc ołtarza głównego.

Było co podziwiać. Znaleźliśmy w przewodniku ciekawą wiadomość, że kopuła wielkiego amerykańskiego teleskopu w Monte Palomar koło Los Angeles (ze wspaniałym zwierciadłem o pięciometrowej średnicy z pirexu) posiada takie same wymiary jak Panteon: 44 metry w przekroju i tyle samo w wysokości. Kiedy tak rozmawialiśmy z Johnem o tej i innych sprawach, Juana przechadzała się po świątyni, oglądając wszystko z uwagą. Nagle wydała okrzyk, który rozszedł się echem po całym wielkim gmachu.

- Wystraszyła się myszy albo jakiś turysta uszczypnął ją w tyłek – zasugerował jowialnie John.

- Chodźmy lepiej zobaczyć, co się stało.

Tymczasem Juana szła do nas, żywo gestykulując, jakby nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Odetchnęła głęboko parę razy i wreszcie powiedziała:

- Chłopcy, mam dla was zagadkę. Jaką część Panteonu Słońce oświetli przez *oculus* jedenastego listopada?

Popatrzyliśmy na nią, jakby postradała rozum. Ale ona nie żartowała.

- No, powiedzmy między jedenastym a dwudziestym pierwszym listopada, za to w samo południe – odpowiedziała.

John zaczął się zastanawiać na głos:

- Gmach ma orientację północ-południe. Z tego, co wiemy, podczas letniego przesilenia promienie słoneczne wpadają przez drzwi wejściowe. Spróbujmy przeprowadzić zatem podobne rozumowanie, jak to zrobiliśmy w przypadku meridiany. W podanym przez Juanę okresie Słońce znajdzie się prawie po przeciwległej stronie, lekko na lewo.

W miejscu, na które wskazywał ręką, nieopodal głównego ołtarza stał jakiś posąg.

- Tak na oko biorąc: tam – zdecydował.
- Jesteś coraz lepszy w hiszpańskim – zauważyłem żartobliwie.

- Dlaczego tak mówisz?
- Później ci to wyjaśnię. Podejźmy do tego pomnika.

Juana zatrzymała się pośrodku świątyni i patrzyła za nami. Mógłbym przysiąc, że się uśmiechnęła, kiedy usłyszała nasz okrzyk. My też nie byliśmy w stanie pohamować zdziwienia.

Trudno zareagować inaczej, gdy człowiek widzi wyryte na kamiennym piedestale imię świętego.

„St. Athanasius”.

V

- To chyba jakieś czary – powiedział z pełnymi ustami John.

Siedzieliśmy na tarasie restauracji przy placu Rotonda na zewnątrz Panteonu. Słońce przygrzewało tak mocno, że było nam za ciepło w płaszczach. Wszędzie kręcili się turyści. John mówił dalej, nie przestając zajadać spaghetti carbonara.

- Lazzari doprowadził nas do obelisku, lecz tak naprawdę chciał, żebyśmy weszli do Panteonu. Zakładał, że kto pójdzie jego tropami, prędzej czy później trafi do Panteonu i święty Athanasius skojarzy mu się z Kircherem. Swoją drogą, to rzadkie imię.

- Tak czy inaczej, jest to wyzwanie wyłącznie dla astronomów – skonstatowałem, żując kawałek pizzy. Juana jadła najmniej. Pokosztowała sałatki i poprosiła o loda.

- Co wiemy o tym posągu? – zapytał John.

Sięgnąłem po przewodnik palcami poplamionymi oliwą.

- Wyrzeźbiony w tysiąc siedemset siedemnastym przez niejakiego Francesca Moderatiego. To wszystko.

- Pierwszy raz słyszę o takim rzeźbiarzu. Chyba nie był zbyt sławny.

- Raczej nie w porównaniu z innymi twórcami, których dzieła są w Panteonie. Zewsząd otacza nas sztuka.

- Szkoda, że nie pojechaliśmy do Florencji – wypomniała nam znowu Juana.

- Miej pretensję do siebie. Po co wpadłaś na trop tego słonia? – zaprotestowałem ze śmiechem i dodałem, odgarniając z czułością

kosmyk włosów, który spadł jej na oczy: – Mądra główka!

– Jakie jeszcze rzeźby i obrazy znajdują się w Panteonie? – zapytała.

– Zobaczmy. Według tego schematu – pokazałem na rysunek w przewodniku – mamy *Wniebowzięcie*, kaplicę pod wezwaniem Świętego Józefa z Ziemi Świętej, *świętą Agnieszkę*, *świętego Atanazego*, *świętego Rasia*, kaplicę Matki Boskiej Łaskawej, *świętą Annę z Najświętszą Panią*, *Ukoronowanie Najświętszej Marii Panny*, kaplicę Zwiastowania Pańskiego i *Matkę Boską przepasaną pasem*. To są rzeźby i obrazy o tematyce religijnej. Poza tym – dorzuciłem – mamy groby królów i Rafaela.

– Co jeszcze można powiedzieć o świętym Atanazym? – zapytał John.

– Tego nie ma w przewodniku, ale od siebie dodam, że żył w czwartym wieku, był biskupem Aleksandrii, przeciwnikiem Ariusza, od którego pochodzi herezja znana pod nazwą arianizmu. Arianie kwestionowali boską naturę Chrystusa, głosząc, iż nie ma trzech Osób Boskich, tylko jedna, Bóg Ojciec. Jako żarliwy obrońca doktryny ortodoksyjnej święty Atanazy został uznany za doktora Kościoła – dodałem.

Juana wpatrywała się nieustannie w plan sytuacyjny rotundy Panteonu, rozmieszczenie świętych dziewic i kapliczek.

– Macie ze sobą rysunki z *Manuskryptu Voynicha*? – zapytała w pewnym momencie.

– Jasne – odpowiedział John, wyciągając ze zniszczonego plecaka garść luźnych kartek papieru. – Który chcesz?

– Ten z nagimi kobietami w puszках. Héctor mówił, że widział kopię tego rysunku wykonaną przez dawnego przeora jezuitów.

Juana zaczęła porównywać otrzymany od Johna diagram z planem sytuacyjnym Panteonu w moim przewodniku.

– Czy wy widzicie to samo co ja? – zapytała.

To było dla nas wielkim zaskoczeniem.

W starym diagramie sylwetki ciężarnych kobiet otaczały w dwóch kręgach centralny motyw kozy reprezentującej astrologiczny znak

Barana.

– To zwierzę może wskazywać na konkretny miesiąc – zaczęła wyjaśniać Juana, poruszając rękami, jakby nie mogła utrzymać ich w spokoju. – Na przykład, jeśli Słońce wpada do środka w kwietniu, wtedy kózka reprezentuje znak Barana. Ale najciekawsze w tym rysunku są zamknięte w puszkach kobiety ciężarne.

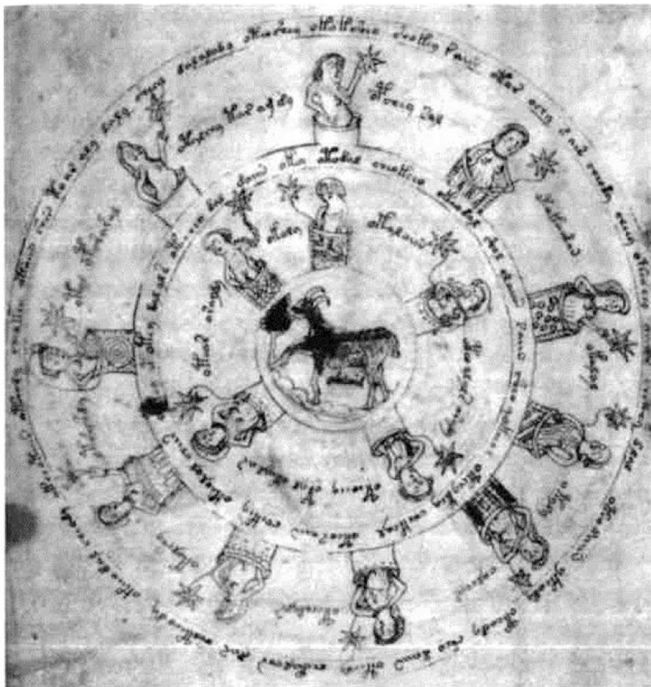
– Dlaczego? – nie mogłem powstrzymać się od pytania.

– Bo mogą oznaczać dziewice w chrześcijańskim znaczeniu tego słowa. Puszki to nisze, a nisze na obwodzie koła oznaczają... Oznaczają to.

Juana pokazywała ręką na Panteon.

John i ja popatrzyliśmy na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć.

Milczeliśmy przez dobre pięć minut pogrążeni we własnych myślach krążących wokół własnej interpretacji diagramu, który niegdyś wydawał mi się taki niezrozumiały, a tu nagle okazał się wyjątkowo prosty. John pierwszy przerwał milczenie.



– Z tego, co widzę, każda kobieta w niszy trzyma w ręku gwiazdę.

– To też się zgadza – powiedziałem, przysuwając do siebie przewodnik. – W każdym kasetonie kopuły – zacząłem czytać – znajdowała się dawniej gwiazda z brązu na niebieskim tle. Całość miała stanowić sklepienie niebieskie ze stałymi, nieruchomymi gwiazdami, jak nauczała klasyczna kosmologia. Z czasem gwiazdy zaginęły, podobnie jak pozłacane, brązowe płytki pokrywające kopułę z zewnątrz. Stało się to w szóstym wieku z powodu wielkiego zapotrzebowania na metale. Brąz zdjęty z portyku posłużył Berniniemu do wykonania wspaniałego baldachimu nad głównym ołtarzem w Bazylice Świętego Piotra.

– Ale jak to konweniuje z *Manuskryptem Voynicha*? – zastanawiała się głośno Juana. – Iz Lazzarim?

– No więc tu napotykamy pierwszą tajemnicę – odpowiedziałem. – Praktycznie wszystkie obrazy i posągi Panteonu związane z Najświętszą Marią Panną pochodzą z siedemnastego i z pierwszej połowy osiemnastego wieku. Posąg świętego Atanazego stanął tu, gdzie stoi, w roku tysiąc siedemset siedemnastym. Jeśli o to chodzi.

– Ale diagram jest dużo starszy. Z końca szesnastego wieku, jeśli przyjmiemy za prawdziwą tezę o autorstwie duetu w osobach Johna Dee i Edwarda Kelleya. – John przyszedł mi w sukurs ze swoim rozumowaniem. – Istnieją zatem dwie możliwości: albo zakładamy, że angielski mag wyczytał z kryształowej kuli, jak będą rozmieszczone obrazy i posągi w rzymskim Panteonie za sto lat, albo mamy do czynienia ze zwykłym zbiegiem okoliczności. I widzimy to, co chcemy zobaczyć – spuentował.

Juana nie poddawała się tak łatwo.

– Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie – powiedziała.

Podciągnęła do góry okulary, przesuując je na włosy i w zamyśleniu podparła ręką brodę. Znowu wyglądała prześlizgnie.

– Jasne! Nie może być inaczej! – wykrzyknęła triumfalnie.

– Tej dziewczynie buzują neurony od dwóch dni – zażartował John.

Juana zbyła milczeniem jego słowa i zaczęła wyjaśniać:

– Istotnie, widzimy to, co chcemy widzieć. Albo to, co Lazzari chciał nam zasugerować. Prawdopodobnie ani Dee, ani Kelley nie byli nigdy w Rzymie. No więc, po co namalowali takie bohomyzy? Nie wiadomo. Ale wiadomo – kontynuowała – że Lazzari musiał widzieć w Panteonie to samo, co dzisiaj my widzimy. Krąg dziewic, słońce wpadające przez otwór w górze i posąg świętego Atanazego, patrona Kirchera. Pamiętajcie, że na ślad tego uczonego naprowadził nas już w Bolonii zdaniem, które zobligowało nas do obejrzenia rzymskiego słonia z obeliskiem.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz – wtrąciłem swoje trzy grosze w chwili, gdy Juana brała oddech.

– Do tego, że teraz już wiemy na sto procent, iż w centrum całej peregrynacji jest *Manuskrypt Voynicha*. I co najważniejsze, że Lazzari gruntownie przestudiował ten manuskrypt. Nie tylko on, lecz również Kircher.

– A także Hiszpan Anselmo Hidalgo, dawny przeor jezuitów – dodałem, przytakując Juanie. – Jego rysunki korespondują z ryciną, która schematycznie przedstawia Panteon widziany przez Lazzarięgo.

– Jestem tego samego zdania – oświadczył pragmatyczny jak zawsze John. – To, co do niedawna było tylko podejrzeniem, teraz już można uznać za pewnik. Ale gdzie szukać dowodów?

– W jedynym miejscu, które odbiega od scenariusza – rzuciła enigmatycznie Juana.

– Co masz na myśli? – spyaliśmy unisono zdumieni niezwykle darem dedukcyjnym Meksykanki.

– Athanasiusa, oczywiście – odpowiedziała. – Jego posąg nie znalazł się tam przypadkowo. W listopadzie Słońce zawsze oświetla to samo miejsce w Panteonie. Lazzari dobrze o tym wiedział i wszystko zaplanował.

– Z wyjątkiem jednego, a mianowicie: posąg znalazł się w Panteonie w tysiąc siedemset siedemnastym roku – zauważył lekko poirytowany John, który nie nadążał za tempem rozumowania Juany.
– Nawet nie wiem, czy Lazzari był już wtedy na świecie, chyba że

jako malutkie dziecko.

– Do przesunięcia posągu można użyć dźwigu – dodałem. – Jednak w tamtych czasach nie było w supermarketach jogurtów z witaminami – zażartowałem, żeby zmniejszyć rosnące między nimi napięcie.

– Ktoś zrobił to za niego. Mało to było wpływowych jezuitów w Rzymie w początkach osiemnastego wieku?

Pokiwałem głową. Faktycznie, Towarzystwo Jezusowe było wtedy potęgą i można sobie łatwo wyobrazić, że ktoś – jakieś zaginione ogniwo – umieścił w tym miejscu posąg dawnego biskupa Aleksandrii.

– To oczywiste, że *Manuskrypt Voynicha* w oryginale, a może nawet w przekładzie, przechodził latami z ojca na ojca. – Znowu stroiłem sobie żarty. – Mam na myśli ojców jezuitów. Nie tylko Lazzari mógł ukryć część lub całość księgi. Niewykluczone, że sam z siebie niczego nie ruszał i nie zmieniał, tylko realizował strategię wynikającą z trudnej roli, jaka mu przypadła w udziale po pierwszym rozwiązaniu zakonu.

– Zjrzymy tam raz jeszcze? – zasugerował John.

– Obowiązkowo – odpowiedziała Juana.

Wróciliśmy zatem do Panteonu.

v

– Czym teraz powinniśmy się zająć? – zapytałem Juanę, gdy ponownie stanęliśmy w progach fascynującej świątyni.

– Oczywiście diagramem *Manuskryptu Voynicha* – odpowiedziała z niezachwianą pewnością. – Twój współpracownik już dawno zwrócił uwagę na uderzające podobieństwo między tym konkretnym diagramem a Panteonem, więc postanowili go wykorzystać jako ślad *a posteriori*. Sądzę, że bez większych trudności uzyskali zgodę na postawienie posągu świętego Athanasiusa w miejscu ściśle związanym z datą kluczem.

Juana ruszyła z determinacją w stronę niszy z posągiem tego świętego usytuowanej obok głównego ołtarza. Doszedłszy na miejsce,

usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. W jej zachowaniu nie było nic dziwnego – wielu turystów siadało tak samo, a niektórzy grali w karty w świątyni.

– W porządku. Niech siądą koło mnie – powiedziała, zwracając się do nas w trzeciej osobie liczby mnogiej, która jest powszechną formą grzecznościową w Ameryce Południowej. Johna to nie zdziwiło, może nie rozróżnia jeszcze tych subtelności gramatycznych w naszym języku, a może oswoił się z nimi na Wyspach Kanaryjskich, gdzie taka forma jest w potocznym użyciu.

Usiedliśmy obok niej, tworząc dziwne trio u stóp świętego z IV wieku w świątyni wszystkich bogów.

– Aha – rzekł po chwili John – już wiem. Gwiazdy!

– Jakie gwiazdy? – zapytałem.

– Niech zwróć uwagę na zewnętrzny krąg dziewic. – John bezwiednie użył tej samej formy grzecznościowej co Juana.

W zewnętrznym kręgu było dziesięć brzemiennej postaci. Każda trzymała gwiazdę. To wszystko.

– Héctorze, spróbuj policzyć, ile jest żeńskich wizerunków w Panteonie – poprosił.

– Już idę – odpowiedziałem posłusznie, podnosząc się z podłogi.

Liczenie zajęło mi dziesięć minut. Przy okazji zanotowałem w zeszycie kilka szczegółów, żeby przekazać je moim przyjaciołom. Wróciłem w pośpiechu, bo ciekawiło mnie, o co chodzi z tymi gwiazdami.

– Rozmieszczenie obrazów i rzeźb zgadza się z opisem w przewodniku. Przynajmniej nie żał wydanych pieniędzy – powiedziałem z uśmiechem. – Oprócz ośmiu świętych niewiast, które już znamy, znalazłem kolejną świętą Agnieszkę na obrazie ze świętym Wawrzyńcem w kaplicy Zwiastowania i jeszcze jedną Najświętszą Pannę w kaplicy Świętego Józefa na obrazie przedstawiającym Pokłon Trzech Króli. W sumie mamy dziesięć postaci kobiecych.

– Dokładnie. Dzięki, Héctorze – rzekł John. – Należało się tego spodziewać po twoich sławnych poprzednikach w Towarzystwie Jezusowym. A ponadto jedna z tych postaci wyróżnia się czymś

szczególnym.

– Mam! – wrzasnęła Juana. – Jedna z nich trzyma gwiazdę w innej ręce niż pozostałe.

Istotnie, dziewięć niewiast niejako „zapuszkowanych” podtrzymuje gwiazdy lewą ręką. Tylko jedna robi to prawą. Rysunek zawierał błąd.

– Policzmy. Jezuici musieli zauważyć ten ciekawy szczegół na rycinie. Jest nadzieja, że pozostawili nam więcej śladów.

– Od którego miejsca w kole zaczynamy liczyć? – zapytałem.

– Kiepski z ciebie jezuita! Nie miałbyś szans na powiernika sekretów *Manuskryptu Voynicha* – zaśmiała się Juana. – Oczywiście, że od postaci, na którą wskazuje centralny symbol. Aby oszczędzić sobie komplikacji, będziemy liczyć zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara.

– A na kogo wskazuje koza? – zadałem nowe pytanie zażenowany moim brakiem spostrzegawczości. Ale cóż, przez ostatnie trzy godziny nie wypilem ani jednej kawy.

Tych dwoje kpiło sobie ze mnie w żywe oczy.

– To nie koza, tylko zodiakalny Baran – zlitowała się wreszcie Juana. – Nie widziałeś tu gdzieś dziewicy z barankiem?

– Święta Agnieszka! – krzyknąłem, bijąc się otwartą dłonią po głowie.

Vincenzo Felici wyrzeźbił dla Panteonu dziewicę z barankiem. Wkrótce potem rzeźbę umieszczono w niszy z prawej strony grobowca Humberta I. Według diagramu *Manuskryptu Voynicha* pięć dziewic dzieli nas od celu. Podnieśliśmy się z podłogi i poszli zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Piątą postacią kobiecą na naszej trasie była Najświętsza Maria Panna podająca swój pas świętemu Mikołajowi z Bari.

– Istotnie, ten obraz zawiera błąd, a zatem nasze wyliczenia są prawidłowe.

Teraz ja byłem górą. Tych dwoje nie miało pojęcia, o czym mówię. Nareszcie mogłem wziąć na nich odwet za kpiny, jakie sobie ze mnie urządzali.

– Nie dręcz nas – błagała zniecierpliwiona Juana.

– To proste. Zgodnie z wierzeniami chrześcijan pas, który Maryja przekazała świętemu Tomaszowi w momencie swojego Wniebowzięcia, jest zrobiony z wełny w kolorze zielonym, ma około metra długości i kończy się węzłkami do wiązania. Jest czczony jako relikwia.

– A gdzie błąd? – zapytał John, domagając się szybszego zakończenia tej opowieści.

– Wprost rzuca się w oczy. Na obrazie jest święty Mikołaj z Bari zamiast świętego Tomasza – oznajmiłem pełen pychy i dumy z moich talentów detektywistycznych. – Myślę, że malarz zrobił to celowo, na czyjeś zlecenie.

– Co mówi o tym obrazie nasz drogocenny przewodnik? – dopytywała Juana.

Wzięłem do ręki książkę i przeczytałem:

– Obraz olejny na płótnie z postaciami Najświętszej Marii Panny i świętego Mikołaja. Namalowany w tysiąc sześćset osiemdziesiątym szóstym roku przez nieznanego artystę.

– To nie na temat – przerwał mi John.

– Wręcz przeciwnie – odparłem. – Teraz widać, że wszystko zostało znakomicie zaplanowane. Data jest niemal zbieżna z datą śmierci Athanasiusa Kirchera. Wtedy *Manuskrypt Voynicha* wyszedł z ukrycia i zaczął krążyć po ludziach.

– Pilnujcie, czy nikt nie patrzy.

Juana wspięła się na palce, próbując dosięgnąć obrazu.

– Zwariowałaś?! – szepnąłem. – Przecież tu jest system alarmowy.

Ale nic się nie stało. W każdym razie tu, w Panteonie, nic nie zadzwoniło. Chyba nikt nie zauważył wybryku Juany, zwłaszcza że o tej porze była tylko garstka turystów.

– Notuj – poprosiła Juana: – *Mensus eram coelos, nunc terrae metior umbras.*

– Co ty mówisz? – zapytał zdezorientowany John.

– Czytam, co jest napisane na odwrocie płótna – odpowiedziała.

Juana przestała wreszcie manipulować przy obrazie i zostawiła go w spokoju. Całe szczęście, bo w tym samym momencie zobaczyłem dwójkę strażników szybko zmierzających w naszym kierunku. Zadrżały mi łydki.

– Proszę opuścić muzeum. Zaraz zamykamy.

Posłuchaliśmy od razu, żeby nie musieli powtarzać wezwania dwukrotnie.

V

Zrobiło się późno, a musieliśmy jeszcze się spakować i przygotować do drogi powrotnej. Nazajutrz znowu będę w szkole, sam na sam z wielką gromadą rozhukanych uczniów, których rozpiera energia po feriach świątecznych. John wróci do swoich wykładów i pracy naukowej w Cambridge. A Juana... Kto wie, co ona zrobi? Przed nami ostatnia noc we Włoszech. Zamówiliśmy w restauracji kanapki i termos kawy i poszliśmy wszyscy troje prosto do komputerów ustawionych w recepcji dla gości hotelowych. Oba były akurat zajęte i musieliśmy poczekać kilka minut, żeby sprawdzić w internecie nasz nowy ślad.

– *Mensus eram coelos, nunc terrae metior umbras.*

– Wymierzałem niebiosa, teraz mierzyć będę cienie Ziemi – szybko przetłumaczyłem. – Ładne. Ale to zmienia postać rzeczy.

– Tak – zgodziła się ze mną Juana. – Obraz przedstawiał Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny, a zatem powinniśmy poszukać czegoś, co widać z góry. Na przykład jakiegoś cienia, który na coś wskazuje.

– Słusznie – wtrącił John. – Założę się, że to ostatnie zdanie Lazzariego też ma podwójny sens. Poszukajmy.

Zwolniło się miejsce przy jednym z komputerów. Juana usiadła, a my dwaj stanęliśmy za nią, patrząc na ekran. Nasza przyjaciółka wrzuciła do wyszukiwarki Google łacińskie słowa.

Natychmiast wyświetliły się 34 wyniki, wszystkie identyczne.

– *Mensus eram coelos, nunc terrae metior umbras. Mens coelestis erat, corporis umbra jacet. Epitaph by Johannes Kepler himself.*

– Wymierzałem niebios, teraz mierzyć będę cienie Ziemi. Dusza należała do niebios, cień ciała tu leży. Epitafium Johanna Keplera napisane przez niego samego – przetłumaczyłem.

– Wybaczcie, że nie wstanę – zażartowała Juana, cytując prześławne epitafium Groucho Marxa*.

Była jednak zaskoczona tak samo jak my. Nie spodziewaliśmy się takiego rezultatu poszukiwań.

* Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, to jest apokryf, a nie słowa Groucho Marxa. Na jego grobie nie ma takiego epitafium. Jest tylko data, imię i nazwisko oraz gwiazda Dawida.

Ten wyjazd oderwał mnie od codziennych problemów. Tymczasem w mojej wspólnocie zakonnej wrzało i lada dzień miały rozpocząć się lekcje. Julian, jako nowy przeor, wziął na siebie wszystkie trudne sprawy związane z tą funkcją, toteż czasem potrzebował wytchnienia i kiedy tylko mógł, pozwalał sobie na krótki odpoczynek. Taką okazją stał się niejako mój powrót, a może był jakiś inny powód, którego nie dostrzegałem, w każdym razie jeszcze tego samego dnia zjawił się w moim pokoju z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Witaj w domu, Héctorze! – powiedział, biorąc mnie w objęcia i ściskając wyjątkowo serdecznie. – Opowiadaj, jak ci było we Włoszech.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha, zadowolony z tak miłego przyjęcia i możliwości powspominania tych wspaniałych chwil, jakie spędziłem we Włoszech z moimi przyjaciółmi. Zacząłem opowiadać o przyjeździe do Rzymu i o spotkaniu z Ojcem Świętym, które było dla mnie wielkim przeżyciem, ponieważ pierwszy raz widziałem papieża na własne oczy. Przywołałem obraz placu Świętego Piotra i wzruszający nastrój wspólnych modlitw i śpiewów. Opowiedziałem o wizycie w Bolonii i o meridianie Cassiniego z pominięciem szczegółów naszych odkryć na temat Kirchera i Lazzariego. Na koniec zaznaczyłem, że podróż zakończyła się tam, gdzie się zaczęła, czyli w Rzymie, bo to jest miasto tak ogromne i ma tyle rzeczy do zwiedzania, że chcieliśmy poświęcić mu trochę więcej czasu nawet kosztem wizyty we Florencji, co było jednak wielkim wyrzeczeniem.

– Na waszym miejscu zrobiłbym tak samo. Pięć dni to stanowczo za mało na pobyt we Włoszech – powiedział, nie wypuszczając mnie z ramion. – Przywiozłeś zdjęcia? Daj pooglądać. Tyle lat już tam nie byłem.

Owszem, przywiozłem zdjęcia, ale nie zdążyłem jeszcze wgrać ich do komputera. Próbowałem to wytłumaczyć Julianowi, który nie widział żadnego problemu.

– No to bierz się do roboty, a ja w tym czasie zajmę się kawą. Nie znam się na tych nowoczesnych aparatach fotograficznych, ale z ekspresem do kawy radzę sobie całkiem nieźle, nawet z takim dziwacznym jak twój – dodał ze śmiechem. – Przynajmniej będę miał jakąś rozrywkę. Nie wyobrażasz sobie, co tu się działo przez tych kilka dni. Drzwi się nie zamykały, tyle mieliśmy wizyt.

Nie mogłem mu odmówić, bałem się jedynie, żeby nie popsuł mojego cennego ekspresu do kawy, który dostałem od rodziców w prezencie na ostatnie urodziny. Podczas gdy Julián napełniał pojemnik wodą i wsypywał kawę do przegródki, ja podłączyłem aparat cyfrowy do jednego z portów USB w głównym komputerze stojącym na moim biurku. Pliki błyskawicznie przeszły z jednego urządzenia na drugie, w sumie sto zdjęć wysokiej rozdzielczości. Następnie przełączyłem swój monitor na większy, dziewiętnastocalowy, który znajdował się obok na stoliku podręcznym. Julián skomentował to żartobliwie:

– Zupełnie jak w cyberkawiarni. Kawa i komputery. – Śmiał się, podając mi filiżankę.

– Szkoda tylko, że nasze komputery są przestarzałe – odpowiedziałem z uśmiechem. – Dlatego zwracam się z prośbą o skromny, lecz niezbędny budżet na unowocześnienie sprzętu informatycznego, jeśli nie teraz, to w następnym okresie obrachunkowym.

– Nie martw się, będą na to pieniądze. Muszę zobaczyć, ile nam zostanie po przeprowadzce.

– A więc to już nieodwołalne?

– Tak, i to nie od wczoraj. Już pod koniec roku było wiadomo, że ratusz nie zmieni swojego stanowiska. Nie pomogła interwencja z Madrytu w ostatnich dniach. Termin eksmisji jest już wyznaczony. Zacznij oswajać się z myślą, że w najbliższych miesiącach będziesz uczył informatyki mniszki, które udzielą nam schronienia.

Nie była to wesoła perspektywa. Przez ten tydzień wolnego lu-

dziłem się, że wszystko jakoś się ułoży. Jak się jest poza domem, sprawy zawsze wydają się dużo prostsze. Jednak Julián nie wyglądał na zbyt zmartwionego.

– Trzeba przyjąć to, co Bóg zsyła – przerwał moje myśli. – Zresztą wynegocjowaliśmy dużo lepsze warunki w porównaniu z początkową ofertą. Mamy zagwarantowane utrzymanie dotychczasowego profilu nauczania i liczby uczniów niezależnie od miejsca lokalizacji szkoły. Trzeba od razu przystąpić do budowy nowego gmachu. Nie stać nas na tracenie czasu.

– Z tego, co widzę, sytuacja nie jest taka tragiczna.

– Nie jest tak źle i miejmy nadzieję, że będzie lepiej. A teraz pokaż wreszcie zdjęcia z Rzymu.

Zamiast otwierać pliki pojedynczo, dzięki czemu miałbym czas zastanowić się, co będzie dalej, postanowiłem włączyć program konwertowania zdjęć cyfrowych do pokazu slajdów. Jest praktyczny i pozwala oszczędzić sobie pracy klikania myszą. Nie licząc sztubackich żartów młodych turystów, którzy wygłupiali się przed kamerą, przybierając wymyślne pozy, wszystkie zdjęcia były bardzo przyzwoite, tym bardziej że John i Juana prawie nie dotykali się w czasie podróży. Zresztą Julián nie należał do osób pruderyjnych, które oburzają się z byle powodu. Kliknąłem przycisk PLAY i usiadłem obok mojego przeora. Najpierw ukazało się zdjęcie robione z samolotu.

– Mój Boże, jak to miasto urosło! – zawołał.

Przez ekran przewinięło się, jedno po drugim, trzydzieści zdjęć Rzymu: ulice, fontanny, place i kościoły, nie mówiąc o kilku migawkach z Watykanu. Julián był zachwycony i nie szczędził komentarzy. Znał wszystkie zakamarki Rzymu. Pierwsza uwaga krytyczna – jeśli można tak powiedzieć – dotyczyła fotografii z audyencji papieskiej.

– To wszystko? – zaprotestował. – Prawie nie widać Ojca Świętego.

– To wszystko, na co stać zoom mojego aparatu – odparłem z rezygnacją. – Chętnie zakupię nowy, jeśli dostanę pieniądze.

– Zobaczmy, zobaczymy. No, dalej. Co tam jeszcze masz?

Nowe ujęcia Rzymu i kilka zdjęć naszej grupy. Julián odniósł się do nich z sympatią.

– To twoi przyjaciele? Są narzeczeństwem?

– Już nie, ale byli – odpowiedziałem bez entuzjazmu.

– Szkoda. Krótko ich znałem, ale wydawali mi się bardzo rozsądni.

Skinąłem głową, nie wdając się w wyjaśnienia ani przyczyny zerwania, których ja sam nie rozumiałem. Następny blok zdjęć pochodził z Bolonii. Julián znał i to miasto, choć nie tak dobrze jak Rzym.

– Piazza Maggiore?

– Aha. Fontanna Neptuna. W głębi widać bazylikę Świętego Petroniusza.

– Tak, pamiętam.

Na kilkunastu zdjęciach pojawiała się meridiana Cassiniego. Nie mówiliśmy o niej więcej niż za pierwszym razem i przeszliśmy do drugiego pobytu w Rzymie. Julian zwrócił uwagę na obelisk przed kościołem Santa Maria Sopra Minerva.

– Porcino della Minerva – powiedział, używając potocznej nazwy nadanej słońcu przez Rzymian.

– Istotnie – potwierdziłem. – A na grzbiecie dźwiga obelisk z hieroglifami, które rozszyfrował słynny jezuita Athanasius Kircher.

Julian popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Ten chłopak za dużo wie”. W każdym razie tak to odebrałem. Ani razu nie przyszło mi do głowy, żeby wyjaśnić mu, czego szukaliśmy w tym miejscu. Nawet wtedy, gdy na ekranie pojawiła się kolejna partia kilkunastu zdjęć, tym razem z Panteonu. Przeora nie dziwiło, że uwieczniliśmy tyle szczegółów.

– Panteon pozostawia niezapomniane wrażenie. Niezwykła świątynia, jedyna w swoim rodzaju. Mnie też zafascynowała. Nie ma już więcej? – spytał, gdy ekran zrobił się czarny.

– Chyba nie – odpowiedziałem, podnosząc się, by zgasić monitor.

Omyliłem się, niestety.

Popeliłem straszliwą gafę. W pośpiechu zapomniałem, że w aparacie zostały zdjęcia podziemi klasztornych robione w przeddzień mojego wyjazdu do Włoch. Pobrałem je do komputera razem z innymi i właśnie teraz powoli wyświetlały się na ekranie.

Nie wiedziałem, co począć. Wyłączyć komputer? Efektownie zemdleć jak nastolatka? Po prostu mnie zatkało.

Julian pospieszył mi z pomocą.

– Termy Karakalli? Nie. To chyba jakieś katakumby.

Zapadło milczenie między nami.

W jego słowach pobrzmiwała ironia. Patrzył na mnie, lecz teraz miał zupełnie inny uśmiech. Wstał, podziękował za miłe chwile w moim towarzystwie, odstawił filiżankę po kawie na stół i wyszedł.

– Nie chcę przeszkadzać – powiedział na zakończenie. – Na pewno masz pilniejsze rzeczy do zrobienia.

– Tak – wyjąkałem. – Muszę jeszcze przygotować się do jutrzejszych lekcji.

Jeśli uda mi się skupić na czymkolwiek.

v

Deszcz bębnił w okna klasy. Ulewa unieruchomiła moich uczniów w ławkach; siedzieli spokojnie, choć lada moment miał zabrzmieć dzwonek na przerwę. Powodem takiego spokoju mogła też być nuda (nie udało mi się wzbudzić ich zainteresowania tematem lekcji) albo ospałość typowa dla pierwszego dnia po długich feriach świątecznych. Nie chciało im się nawet patrzeć na zegar ścienny ani – tym bardziej – robić notatek z wykładu. Nie poddając się zniechęceniu, dalej mówiłem o orbitach, a zarazem czekałem równie albo jeszcze bardziej niecierpliwie niż oni na dzwonek, który mnie z tego wybawi.

– Z jaką prędkością powinniśmy rzucić kamień do góry tak, aby nie spadł z powrotem? – zadałem pytanie głośniejsze niż zwykle, żeby obudzić szanowne grono uczniów.

– Jakiego rozmiaru ma być ten kamień? – odpowiedział pytaniem na pytanie chłopak przy tablicy, który nie zrozumiał napisanego przed

chwilą równania.

- Wielkość nie ma tu nic do rzeczy – zażartowałem.

Kilkoro uczniów się roześmiało, dzięki czemu znalazłem się wreszcie w centrum uwagi. Simón podniósł dłoń z kieszonkowym kalkulatorem. On pierwszy zrobił wyliczenie.

- Z prędkością czterdziestu tysięcy kilometrów na godzinę – powiedział z wielką pewnością siebie.

- Bardzo dobrze, Simónie.

Pochwaliłem go i zacząłem wyjaśniać:

- Wynik, jaki podał wasz kolega Simón – reszta klasy popatrzyła na niego z nieskrywaną zazdrością, pomieszana z niechęcią i podziwem – oznacza tak zwaną prędkość ucieczki. Jest to najmniejsza prędkość, z jaką musi poruszać się obiekt, który chce opuścić pole grawitacyjne danego ciała niebieskiego. Jeśli dobrze obliczymy wzór zapisany na tablicy, to zobaczymy, że prędkość ucieczki z naszej Ziemi wynosi dokładnie czterdzieści tysięcy trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę. Jakikolwiek obiekt, czy to będzie kamień, czy rakieta startująca z powierzchni Ziemi, musi mieć taką lub większą prędkość, aby uciec od przyciągania ziemskiego.

Klasa słuchała z uwagą. Zagadnienia kosmiczne jak zwykle budziły ich ciekawość. Od Newtona i Keplera wcale nie tak daleko do George'a Lucasa, jak mogłoby się moim uczniom wydawać, pomijając fakt, że Lucas bardzo swobodnie traktował kwestie naukowe.

- Ponieważ siła przyciągania grawitacyjnego zwiększa się wraz z masą – kontynuowałem – trudniej uciec z Jupitera niż z Ziemi. Prędkość ucieczki zależy nie tylko od masy danego ciała niebieskiego, lecz również od jego promienia. Gdyby promień Ziemi był mniejszy, to przy takiej samej masie jak teraz prędkość ucieczki musiałaby wzrosnąć.

- A gdyby planeta była wielkości piłki? – zapytał uczeń zaintrygowany problemem rozmiarów.

- W tym przypadku rozmiar ma znaczenie. – Znowu się uśmiechnąłem. – Niezbędna prędkość ucieczki z takiej małej planety musiałaby przewyższać prędkość światła. Gdybyśmy żyli na takiej

planecie, nigdy nie moglibyśmy jej opuścić.

– Czarna dziura? – zapytał Simón.

– Aha. Nawet światło nie mogłoby uciec od siły przyciągania grawitacyjnego. To taka najprostsza definicja.

Zadzwoił dzwonek na przerwę i młodzież opuściła klasę z prędkością ucieczki albo jeszcze szybciej.

Został tylko Simón. Podeszedł do mnie, ściskając w ręku plik kartek.

– Znowu jakieś odkrycia? – spytałem, robiąc zdziwioną minę.

– To jest nawet zabawne i zaczyna mnie wciągać – odparł, podając mi swoje notatki i wydruki z komputera.

V

Przejrzałem je po obiedzie. Musiałem się pospieszyć, bo chłopak czekał na wskazówki do kontynuowania swoich poszukiwań. Odczuwałem satysfakcję, że przynajmniej jeden z moich uczniów wkłada tyle wysiłku w rozplątywanie kwestii naukowych. Nie chciałem go zawieść, zresztą mnie też wciągnęła ta pogmatwana historia. Muszę przyznać, że i tym razem nie doznałem zawodu. Wręcz przeciwnie.

Simón podjął wątek w momencie przyjazdu Keplera do Pragi, stolicy Czech. Stało się to 19 października 1600 roku. Przez kilka pierwszych, trudnych miesięcy Kepler musiał opuszczać stolicę częściej, niżby sobie tego życzył, ponieważ miał kłopoty ze zdrowiem i problemy rodzinne, ale potem osiedlił się definitywnie w tym mieście. Niedługo potem Tycho wprowadził go na dwór cesarski. Rudolf II przyjął Keplera uprzejmie i zlecił mu współpracę nad tablicami efemeryd, które układał duński astronom. Jak wiadomo, Kepler ukończył je sam wiele lat później i przejął do historii jako tablice rudolfskie od imienia dziwnego cesarza. Po rozmowie z Rudolfem II w życiu niemieckiego astronoma nastąpił zwrot. Ubogi nauczyciel matematyki z małego austriackiego miasteczka został współpracownikiem nadwornego matematyka cesarskiego. Fortuna, a także gwiazdy zaczęły się do niego uśmiechać.

Krótko trwał spokój. Kilka dni po spotkaniu z cesarzem Tycho wybrał się do dawnego protektora Edwarda Kelleya, Petera Ursinusa Rozmberka, który wydawał bankiet w swoim pałacu obok mostu prowadzącego do praskiego zamku. Kilkanaście dni potem Tycho umiera wskutek obstrukcji dróg moczowych.

W tej dobrze znanej historii jest pewien nowy szczegół. Na scenie pojawia się Edward Kelley, co prawda tylko z nazwiska, gdyż w owym czasie ten angielski oszust i szarlatan jest już w grobie. W przeciwieństwie do mnie Simón przeszedł dokładnie czeski okres życia Kelleya. Różnica między rezultatami naszego śledztwa bierze się stąd, że ja skupiłem się na związkach Kelleya z *Manuskryptem Voynicha*, podczas gdy mój uczeń, zainteresowany głównie domniemanym zabójstwem Tychona Brahego i obojętny na sprawy zaszyfrowanej księgi, zbadał życie Kelleya w Pradze.

Miejscami jego odkrycia pokrywają się z moimi. Edward Kelley i John Dee opuścili Anglię i udali się w podróż po Europie Wschodniej na zaproszenie polskiego szlachcica Olbrachta Łaskiego. Przepowiedzieli mu bowiem to, co ów łatwowierny hrabia najbardziej pragnął usłyszeć – że zostanie królem Polski. Pojechali z nim do Krakowa, a stamtąd już sami wybrali się do Czech na wieść o szlachetnym mecenasie zjawisk nadprzyrodzonych, cesarzu Rudolfie II. Łaski był już wówczas zrujnowany. W notatkach Simóna jest też informacja o hiszpańskim ambasadorze Guillénie de San Clemente, który rzekomo doprowadził do spotkania Rudolfa II z tą parą oszustów. Był rok 1585. Pierwsza audyencja poniosła fiasko. John Dee, prawdopodobnie wprowadzony w błąd przez swoje medium Kelleya, z entuzjazmem przepowiedział nową erę chwały zapoczątkowaną pełnym zwycięstwem nad Turkami, jeśli Rudolf przestanie grzeszyć*. To nie spodobało się cesarzowi. Nie pomógł przekazany przez Dee list z opisem sukcesów w transmutacji metali. Rudolf był sam ekspertem w tej dziedzinie, toteż zaczął podejrzewać oszustwo i zlecił jednemu ze swoich sekretarzy śledzenie tej pary. Rezultatem był wydany w 1586 roku cesarski dekret o wygnaniu z oskarżeniem o uprawianie czarnej magii. Do podjęcia takiej decyzji zachęcał Ru-

dolfa II katolicki papież Sykstus V. John Dee opuścił Czechy, lecz Edward Kelley schronił się w Trebon, w zamku Petera Ursinusa Rozmberka, który ofiarował mu azyl i wydał masę pieniędzy na sfinansowanie tajemnych eksperymentów.

* Ponoć Rudolf II był biseksualny i czuł ogromny pociąg zarówno do chłopców, jak i do dziewczynek. Nigdy nie zawarł małżeństwa.

A zatem ta para awanturników nie cieszyła się względami cesarza Rudolfa II. Czy mimo to zakupił od nich księgę, która z czasem zyskała miano *Manuskryptu Voynicha*? Nie wiadomo, ale syn Johna Dee wspominał przed opuszczeniem Czech, że mają dużo pieniędzy ze sprzedaży jednej z okultystycznych ksiąg ojca.

Być może księgę nabył nie Rudolf II, tylko ktoś inny?

Wiadomo natomiast prawie z całą pewnością, o czym rozmawiano wieczorem owego fatalnego 13 października 1601 roku na przyjęciu u Petera Ursinusa Rozmberka, gdzie jednym z gości był Tycho Brahe.

Mówiono o alchemii. Simón podkreślił to słowo na czerwono.

Co łączyło Kelleya z Peterem Ursinusem Rozmberkiem w okresie przed przybyciem niemieckiego astronoma na dwór cesarski?

Mój uczeń zebrał na ten temat obszerne informacje zapisane na kilku stronach. Tuż przed wypędzeniem z Czech na mocy dekretu podpisanego przez Rudolfa II relacje między Johnem Dee i Edwardem Kelleyem były dość napięte. Ten pierwszy bał się, że sam nie przetrwa bez magicznych mocy i wsparcia tego drugiego, który wykorzystywał jego lęk na swoją korzyść. Pewnego niepięknego dnia Kelley postanowił skończyć z interpretowaniem anielskich orędzi i kabalistycznych kodów i oświadczył współnikowi, że zamierza odejść. Dee zląkł się i podpisał za namową Kelleya wstydlivy układ, rzekomo podyktowany mu przez anioła, Bóg jeden raczy wiedzieć jakiego. Odtąd obaj panowie musieli dzielić się pospołu wszystkim, co posiadali. Kelley miał głowę na karku, ale był dużo biedniejszy od Johna Dee i nie miał takiej pięknej małżonki jak on. Nazywała się Jane Fromond i była – jak podają kroniki – nadzwyczajnej urody. Ów niezwykle pakt obejmował oczywiście również dzielenie się żonami. Jane Fromond nie zgodziła się na te warunki, co w połączeniu z

cesarskim dekretem spowodowało, że musiała razem z mężem opuścić Czechy i powrócić do Anglii, gdzie czekała ich wielka nędza. Po śmierci swojej protektorki królowej Elżbiety I, odepchnięty przez jej następcę, Jakuba I, John Dee musiał wyprzedawać księga po księdze, żeby przeżyć te kilka lat, jakie mu zostały. Umarł pod koniec 1608 roku.

Los Edwarda Kelleya nie był dużo lepszy, aczkolwiek pierwsze lata spędzone w cieniu Rozmberka upłynęły pomyślnie i bogini fortuna zdawała się mu sprzyjać. Miał nową żonę, Czeszkę, która dała mu syna, córkę i okazały majątek. Rozmberk ułatwił mu kupno włości wraz z chłopami, co było w owych czasach normą. Zdawało się, że Rudolf II o wszystkim zapomniał albo darował winy, w każdym razie mianował go szlachcicem. Dzięki temu Kelley mógł zostać właścicielem dwóch pałaców w samym sercu Pragi. Jednak pewne niespodziewane zdarzenie naznaczyło jego życie, tak jak kiedyś naznaczyło Tychona Brahego: stanął do pojedynku. Nie wiadomo, jak do tego doszło, ale wiadomo, że zabił swojego przeciwnika, czeskiego żołnierza. Pojedynki były zakazane, toteż Kelley znalazł się w więzieniu z rozkazu Rudolfa II. Tam cesarscy słudzy, którzy słyszeli o jego magicznych mocach, kazali sobie podać przepis na *aurum potabile*, pitne złoto, zapewniające ponoć wieczną młodość. Jak można się domyślić, nic nie uzyskali, chociaż poddali Kelleya torturom. W chwili nieuwagi strażników próbował uciec przez okno, lecz tylko złamał sobie nogę, gdy skoczył na ziemię. Zyskał tyle, że odesłano go na leczenie. W chorą nogę wdała się gangrena i trzeba było amputować. Rudolf ponownie kazał go uwięzić, tym razem pod presją katolików, którzy widzieli w Kelleyu niebezpiecznego kapłana czarnej magii. Znowu próbował ucieczki z równie feralnym rezultatem. Skacząc z okna na wóz podstawiony przez jego syna, złamał sobie drugą nogę. Nie chciał spędzić reszty życia w więzieniu, bez nóg, dlatego popełnił samobójstwo – połknął truciznę, którą sam sobie przygotował. Rudolf II nakazał konfiskatę całego mienia Kelleya. Być może w tym momencie *Manuskrypt Voynicha* znalazł się na dworze cesarskim – pomyślałem sobie. Ale istniała też możliwość, że wcze-

śniej księgę nabył Rozmberk, jeśli była ona fizycznie w rękach człowieka, który teoretycznie – tak mówił – był w stanie ją zrozumieć.

To wszystko wydarzyło się cztery lata przed przybyciem Keplera do Pragi.

v

Tyle ciekawych rzeczy znalazłem w notatkach Simóna. Może to było zabawne z jego punktu widzenia, lecz trzeba przyznać, że znakomicie udokumentowane. Po ostatniej lekcji podziękowałem mojemu uczniowi za wysiłek i zachęciłem, by zebrał jak najwięcej informacji na temat pobytu Keplera na dworze Rudolfa II. Pomyślałem, że warto też zainteresować się bliżej relacjami Rozmberka – postaci pozornie nieszkodliwej i drugoplanowej – najpierw z Kelleyem, a następnie z Tychonem Brahem. Wszyscy trzej wykazywali nadmierne zainteresowanie alchemią. W głębi ducha podejrzewałem, że *Manuskrypt Voynicha* mógł pojawić się w Pradze nie tyle na dworze Rudolfa, ile w pałacu Petera Ursinusa Rozmberka, dużo lepiej sytuowanego niż sam cesarz. Mam wrażenie, że John Dee i Edward Kelley byli autorami, a Rozmberk odegrał rolę płatnika – co do tego prawie nie było już wątpliwości, jedyną tajemnicą pozostaje treść *Manuskryptu Voynicha*.

Gdy znalazłem się w pokoju, położyłem się zaraz do łóżka. Ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Dawały o sobie znać niedospane noce we Włoszech. Przydałoby się trochę czasu na odpoczynek, lecz po powrocie od razu zaczęły się lekcje, miałem mnóstwo pilnych spraw do załatwienia, dużo pism i innych tekstów do przeczytania, informacji do wyszukania. Podobnie jak moi uczniowie nie lubię zrywać się wcześniej rano, zwłaszcza po feriach, więc najchętniej uciąłbym sobie teraz drzemkę. Resztką sił zmobilizowałem się jednak do działania. Na szczęście automat do kawy stał niedaleko. To tylko dwa kroki.

Wyrzuciłem fusy z pojemnika do kosza na śmieci. Były mniej zbite niż zwykle, a to dlatego, że ostatnio używał ekspresu Julian, który w przeciwieństwie do mnie przestrzega norm dawkowania

kofeiny. Końcówka spotkania z przeorem pozostawiła po sobie niesmak. Z filiżanką parującej kawy w ręku podszedłem do biurka. Nie mam zwyczaju gasić komputera, toteż od razu po włączeniu monitora pojawiło się na ekranie ostatnie zdjęcie, które oglądaliśmy razem. Był na nim mój prywatny mur Plancka uwieczniony w cyfrowej migawce z rozdzielczością trzech milionów pikseli. Flash aparatu nadał mu wygląd tajemniczej przeszkody nie do przezwyciężenia. Stał tam błyszczący i w pewnym sensie wyzywający, odbijając światło, które ośmieliło się go dotknąć. Powiększyłem zdjęcie i wrzuciłem je do popularnego programu Photoshop, żeby pobawić się w edytowanie. Ustawiałem kontrast, wyciągałem kontury, zmieniałem kolory. Początkowo nie miałem w tym żadnego celu, ale przyszło mi do głowy, że coś znajdę, jakiś otwór, jakieś wgłębienie albo występ, jednym słowem, coś nietypowego.

Znalazłem. Było to nawet dość zabawne.

Podczas naszej wspólnej wyprawy do podziemi John wyrył nożem na murze słowa: „John, Greenwich”. Ciekawe, kiedy i jak on to zrobił, bo ja niczego nie zauważyłem.

W każdym razie ma u mnie przechlapane, bo nie wolno bezkarnie uszkadzać historycznych zabytków Hiszpanii, na dodatek jezuickich. Straszny z niego *hooligan*, roześmiałem się w duchu.

v

Kawa rozbudziła mnie całkowicie. Porzuciłem myśl o sjeście dla podreperowania sił. Miałem dużo rzeczy do przemyślenia, jednakże leżąc w łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit, nie posunę się zbyt daleko. Lepiej już wstać i zabrać się do czytania. Jeszcze nie zacząłem tłumaczyć artykułu profesora Volkera Białasa, który dostałem od Johna. Czytanie po niemiecku przyprawia mnie o silny ból głowy, ale gotów byłem się poświęcić, aby przekonać się, co myśli o książce Gilderów chyba najwybitniejszy współcześnie znawca Keplera.

Zresztą to tylko cztery strony. Sam tytuł artykułu sugerował – raczej ironicznie – jego zawartość. *Das Gift der Publicity*, czyli dosłownie: „Trucizna reklamy”. Słowo „Gift” brzmi tak samo w obydwu

językach: niemieckim i angielskim, ale znaczy coś całkiem innego. Po niemiecku *gift* to trucizna, po angielsku – prezent. Już na wstępie Białas posługuje się grą słów opartą na podwójnym znaczeniu wyrazu. Trucizna to coś, co mistrz Tycho przyjął niejako z rąk Keplera. Zatruty prezent. Tym właśnie jest ta książka dla czytelników. Oto uzasadnienie Volkera Białasa:

Książka mówi o sobie na okładce, że jest jednym z największych odkryć w historii nauki. Ale nie trzeba tego traktować poważnie. Mamy bowiem do czynienia z utworem sensacyjnym napisanym wyłącznie dla pieniędzy. W krajach niemieckojęzycznych – w Niemczech i Austrii – publiczność omamiono ogromną, kosztowną reklamą i poddano indoktrynacji gazetowej na szczeblu lokalnym i ogólnokrajowym. I tak na przykład w tygodniku „Profil” z 3 maja 2004 roku rzuca się w oczy tytuł Do chwały przez zbrodnię i kradzież. „Süddeutsche Zeitung” z 18 maja też uwielbia grę słów, gdy pisze: „Merkur – posłaniec śmierci w szklance mleka”, nawiązując w ten sposób do roli posłańca bogów, jaką odgrywał Merkury w mitologii antycznej. Najostrzej grzmi „Oberösterreichische Nachrichten”, proponując zmianę patrona uniwersytetowi w Linzu, noszącemu dotychczas imię najślawniejszego obywatela tego miasta Johannes Keplera...*

* Merkur znaczy po niemiecku zarówno Merkury, jak i rteć.

Komentarz Volkera Białasa był z pewnością interesujący. Jednak mój niemiecki pozostawiał sporo do życzenia. Żałowałem, że nie znam tego języka na tyle dobrze, by poszukać w internecie jeszcze innych opinii o książce Gliderów. Uzbroiwszy się w cierpliwość, zacząłem powoli tłumaczyć drugą stronę artykułu. Szło mi jak po grudzie.

Jeśli chodzi o treść, Gilderowie prowadzą śledztwo dwutorowo. Pierwszy wątek bazuje na technikach medycyny sądowej. Drugi dotyczy biografii Keplera. Oba wątki łączy całkowita pewność autorów co do winy człowieka, który był nadwornym matematykiem cesarza Rudolfa II, i przekonanie, że właśnie tą winą udowodnili.

Ja doszedłem do takich samych wniosków po przeczytaniu książki.

Wątek biograficzny jest dla profesora Białasa najważniejszy. Gilderowie portretują Keplera jako człowieka porywczego, choleryka bez skrupułów. Nie szczędzą dyskwalifikatorów i ryzykownych stwierdzeń: „Bez Tychona Brahego Kepler byłby tylko nazwiskiem w przypisach do książek historycznych”. „Kepler był zgorzkniałym samotnikiem i żył na marginesie społeczeństwa”. „Tajemnica kosmograficzna jest ślepą uliczką w nauce, fascynującą, lecz fałszywą wizją wszechświata według Keplera”. „Kepler prowadził podwójną grę, robiąc ustępstwa i umizgi zarówno do kalwinistów, jak i do katolików”. „Po śmierci Tychona awansował na cesarskiego matematyka, obejmując jedną z najbardziej zaszczytnych i chwalebnych posad w Europie, na której mu od dawna zależało”. Gilderowie nakreślili tu nie tyle portret naukowca, ile karykaturę wroga. Jedną z najważniejszych postaci historii myśli europejskiej staje się w ich oczach przestępcą i wyrzutkiem społecznym, pyszałkowatym maniakem z odrażającą twarzą, okrutnikiem, oportunistą i egoistą – w amerykańskim rozumieniu tych epitetów. Według nich Kepler to osoba niepożądana. Jednym słowem: przestępca.

Volker Białas wyłuskuje i zbija po kolei te argumenty w swojej publikacji naukowej, która prezentuje się skromnie na tle sławetnej, rozreklamowanej książki Gilderów. Niektóre brzmią tak niewiarygodnie, że trudno sobie wyobrazić, by czytelnik traktował je poważnie. No bo dlaczego Kepler postanowił zabić swojego mistrza, który przedstawił go cesarzowi, pomógł uzyskać dożywotnią pensję, udostępnił mu część swoich obserwacji astronomicznych i nawet pożyczał pieniądze? Niemieckiego profesora dziwi poza tym fakt, że para autorów ze Stanów Zjednoczonych, kraju o wciąż żywym micie amerykańskiego pucybuta, szkaluje Keplera, który z nizin społecznych, dzięki własnej pracy i zaangażowaniu, wzniósł się na szczyty sławy naukowej.

W drugiej części artykułu Volker Białas zajmuje się medyczno-sądowym aspektem śmierci Tychona Brahego. Badaniem resztek włosa z wąsów duńskiego astronoma pobranych podczas ekshumacji cztery wieki po jego śmierci. Przeprowadzone analizy wykazały

wysokie stężenie rtęci, co miałyby świadczyć, iż Tycho nie umarł na infekcję układu moczowego ani z powodu niewydolności wątroby albo nerek, tylko wskutek zatrucia ciężkimi metalami, a szczególnie rtęcią. Czy rzeczywiście? Czy na podstawie próbki włosa z wąsów człowieka nieżyjącego od czterystu lat można określić z dokładnością do kilku godzin – jak chcą Gilderowie – kiedy nastąpiło spożycie i rozpoczęcie działania trucizny?

Podobnie jak Simón Volker Białas zgłębił problem z zaangażowaniem. I stwierdził, że Tycho Brahe przez trzydzieści lat życia zajmował się alchemią. Zaczął w 1571 roku pod okiem swojego wuja Steena Billego. Potem w Uraniborgu miał znakomicie wyekwipowane laboratorium do badań, między innymi nad lekami przeciwko epidemiom. W rezultacie przez wiele lat stykał się nieustannie z rtęcią.

Jest jeszcze jeden szczegół godny doktora House'a*. Mój uczeń Simón będzie zdziwiony, gdy mu o tym powiem. Sławna jest historia młodocianego pojedynku Tychona, w wyniku którego stracił nos. Było to w 1566 roku. Od tego czasu aż do śmierci, która nastąpiła trzydzieści pięć lat później, Tycho codziennie zakładał protezę zrobioną ze stopu złota, srebra i prawdopodobnie miedzi. Przed założeniem dokładnie czyścił ranę, żeby proteza dobrze przylegała. Od XIV wieku głównym składnikiem emulsji do czyszczenia ran – dziś powiedzielibyśmy: dezynfekujących – jest... rtęć.

* *Dr House* to sławny serial telewizyjny o charakterze fabularnym, gdzie ekscentryczny lekarz – gra go wspaniały angielski aktor Hugh Laurie – stosuje typowe dla Sherlocka Holmesa metody w celu ustalenia przyczyn choroby pacjentów.

Białas zasugerował, a ja znalazłem potwierdzenie tej sugestii w internecie – że wskutek codziennego stosowania leku z domieszką rtęci doszło do wysokiego stężenia tego metalu w resztkach kapilarnych Tychona Brahego.

Ze zgromadzonych tu danych doktor House wydedukowałby niewątpliwie, iż Tycho Brahe był ekscentrycznym astronomem z kompulsywną skłonnością do smarowania nosa merbrominą*. Dzień po dniu w jego wąsach – zarost nad górną wargą umiejscowiony zwykle pod nosem, z którego skapują przeróżne substancje – i na

brodzie zbierała się rtęć w ilościach przemysłowych.

* Merbrominą to współczesna nazwa handlowa merkurochromu, środka bakteriobójczego stosowanego zwykle do odkażania ran powierzchniowych skóry i błony śluzowej. Innym środkiem antyseptycznym na bazie rtęci, znanym od dawna, jest mertiolat.

Tak więc przyczyną śmierci duńskiego astronoma mogło być cokolwiek. Nawet infekcja dróg moczowych po długiej libacji alkoholowej. Prawidłową odpowiedzią na pytanie o przyczyny jest na ogół odpowiedź najprostsza.

Drogi Thomasie!

Podróż powrotna była bardzo męcząca z wieloma przesiadkami. Mam potworny *jet-lag*, padam z niewyspania i robię wszystko na odwrót. Ale jestem już w domu z moim Tatą. Widzę, że on starzeje się z dnia na dzień i robi się coraz bardziej niedołączy. Pielęgniarka, która się nim opiekuje, poprosiła mnie o pracę dla siostry z mężem w Stanach Zjednoczonych. To piękna rodzina z czwórką dzieci, pełniona miłością i czułością. Wszyscy są bardzo pracowici i wierzący. Przesyłam Ci ich adres, żebyś mógł pomóc.

Pobyty w Rzymie zakończył się wielką niespodzianką. Cały wątek jezuicki krąży, jak się domyślaliśmy, wokół Keplera. Zakonnicy przekazywali sobie książkę z rąk do rąk, pozostawiając ślady naprowadzające na miejsce ukrycia i sens *Manuskryptu Voynicha*. Zdaje się, że w pewnym momencie, wskutek konfliktu między dwoma mędrkami, Ricciolim i Kircherem, usunięto zeń część z kluczem do kodu. Może zrobiono to z ostrożności, kto wie, co im przyszło do głowy! Wilfrid Voynich musiał się dużo natrudzić, żeby nabyć to, co uważał za główny manuskrypt. Sypanie pieniędzmi i przyjaźń z jezuitami okazały się dobrą strategią.

Nie potrafię jeszcze powiedzieć, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim stary Anselmo Hidalgo. Wiem z ust Héctora, że w domu zakonnym przechowują po nim pamiątki. Wiem też, że narysował, a raczej skopiował pewne rysunki z *Manuskryptu Voynicha*, których wybór nie był przypadkowy. Klika pokoleń jezuitów posługiwało się nimi w Rzymie dla ochrony dokumentów zakonnych przed zniszczeniem. Dzięki takim subtelnym wskazówkom trafiliśmy na ostatni ślad, czyli epitafium pośmiertne Johannesa Keplera zanotowane na odwrocie obrazu w Panteonie. Nie wiemy jeszcze, co to oznacza, lecz

podejrzewamy, że jesteśmy na tropie brakującej książki kodowej, która pozwoli odczytać tajemnicę zaszyfrowanych tekstów z części przechowywanej w Yale. Wkrótce okaże się, czy Hidalgo ukrył książkę kodową w Hiszpanii. Wystarczy wejść do tych labiryntów z odpowiednią aparaturą. Wilfrid Voynich mówi w swoim pierwszym testamencie o hiszpańskim księdzu, wtedy gdy wspomina Petrusa Beckxa. To wielkie szczęście, że wdowa po Voynichu przekazała ten dokument w spadku mojemu dziadkowi. Bóg zawsze wie, co robi, nic nie dzieje się przypadkiem.

Jesteśmy coraz bliżej celu. Trzeba tylko wysondować wątek Keplera. Mimo wszystko nie uważam go za mordercę z zimną krwią, jak chcą tego krewni George'a Gildera.

Moc całusów.

Juana

Mam potworny jet-lag, padam z niewyspania i robię wszystko na odwrót. W normalnych warunkach wyspana i wypoczęta Juana nie wysłałaby na moją skrzynkę e-maila do innej osoby. E-maila, który na szczęście lub nieszczęście jest bardzo znaczący. Prawie tak samo, jak właściwy adresat, którego tożsamość sprawdziłem, wyświetlając nagłówek wiadomości. Juana i jej interlokutor, którego pełne nazwisko – Thomas van der Gil – znalazłem w informacji z nagłówka, używali wspólnej domeny internetowej. Ta domena należała do Discovery Institute. Nie wiedziałem, dlaczego Juana grała z Johnem i ze mną w chowanego, z jakiej przyczyny i w jakim celu. Intencje jej przyjaciela Thomasa, który stał za aferą ze spekulacją gruntami należącymi do mojej wspólnoty zakonnej, były bardziej przejrzyste. On dąży do znalezienia skarbu. Nie mając potrzebnej mapy, użyje maszyn drążących do wiercenia tuneli i zachowa się jak burmistrz owdładnięty obsesją budowy nowych linii metra przed wyborami.

A kim jest George Gilder?

Rzuciłem się do internetu.

Wszystkie artykuły hasłowe, jakie znalazłem na jego temat, umieszczały go po prawej – bardzo prawicowej – stronie amerykań-

skiej sceny politycznej. Postać dużego formatu o silnym charakterze i wpływach wśród słynnych „neokonserwatystów”, którzy promują i wspierają Partię Republikańską. Pisarz, filozof, guru wszelkich spraw związanych z nowymi technologiami i środkami przekazu. Wybitny członek i współzałożyciel Discovery Institute, organizacji, która ukuła termin „Inteligentny projekt...”.

Zaskoczony przerwałem czytanie. To był często poruszany w gazetach temat, dużo częściej niż sprawa Tychona Brahego zamordowanego rzekomo przez Keplera. Nauczanie w szkołach kreacjonizmu – w jego nowej wersji poprawionej i złagodzonej – jest przedmiotem burzliwych dyskusji amerykańskich instytucji oświatowych. Niedawno rozmawiałem o tym z Simómem, kiedy analizowaliśmy tajemniczy związek między Johnem Dee, Edwardem Kelleyem, Enochem i kamieniem filozoficznym.

Poszukałem czegoś więcej o George'u Gilderze. Według Wikipedii Gilder ma tam swoją stronę, a więc musi być sławny – urodził się w 1939 roku w Nowym Jorku. Studiuje na Uniwersytecie Harvarda, między innymi u Henry'ego Kissingera. Już wtedy zakłada czasopisma o tematyce politycznej. Po ukończeniu studiów w latach sześćdziesiątych pracuje, pisząc przemówienia dla takich polityków jak Nelson Rockefeller i Richard Nixon. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych publikuje z dużym sukcesem kilka własnych książek. Dla jednych jest prowokatorem w kwestiach rasizmu i machismo, dla innych – wizjonerem świata finansów i nowych technologii. Osiąga największe wpływy w administracji amerykańskiej za prezydentury republikanina Ronalda Reagana. Nadchodzą lata dziewięćdziesiąte i George Gilder staje się człowiekiem, którego wszyscy chcą słuchać. Zaczyna się szaleństwo nowych firm telekomunikacyjnych i technologicznych, błyskawiczne zyski *dot-comów*. Ale w roku 2000 pęka bańka internetowa na giełdzie Nasdaq, akcje Gildera tracą 90 procent wartości, a on sam zostaje zdruzgotany moralnie i publicznie.

Obecnie udało mu się odzyskać część wpływów i dzieli swój czas równo między działalność prozelityczną Discovery Institute i ostrą krytykę pod adresem niektórych znanych przedsiębiorców amery-

kańskich, szczególnie Billa Gatesa.

Uśmiechnąłem się, choć byłem przytłoczony. Zrobiło na mnie wrażenie, że Juana ma takich przyjaciół. Utrzymuje zażyłe stosunki z bliskimi współpracownikami prezydentów Reagana i obu Bushów. A to ci dopiero nowina!

Musi być bardzo ważne to, czego oni szukają.

v

Tego wieczoru kolacja upłynęła w spokojnej atmosferze.

Ostatnia oferta władz miejskich zadowolili większość braci wyczerpanych wielotygodniowym konfliktem z administracją. Julián mówił o tej ofercie z optymizmem i z pewną dozą osobistej satysfakcji. Wszyscy mieliśmy świadomość, że nie możemy sobie pozwolić na walkę z potężniejszymi od nas czynnikami. Ja wiedziałem teraz trochę więcej niż inni. Ale wolałem przemilczeć, że ktoś z góry – w sensie ziemskim, nie boskim – mógł kierować tą operacją. W przeciwnym razie wzięto by mnie za wariata.

Prawie nie było pogaduszek przy kawie i szybko rozeszliśmy się do swoich pokojów. Uznałem, że to sprzyjająca okazja do nowej wyprawy w podziemia.

Zawsze można odkryć coś nowego.

v

– Kto tam?

Skierowałem latarkę w stronę, skąd dobiegał odgłos kroków.

Znajdowałem się przy murze, oglądając uważnie bazgroły pozostawione, jak sądziłem, przez Johna. Znaki wyryte w kamieniu nie wydawały się świeże, co wprawiło mnie w duże zmieszanie. I właśnie w tym momencie usłyszałem za sobą czyjeś stąpanie.

– Pokaż się! – zażądałem.

W kręgu światła latarki pojawił się Julián. Nie zdziwiło mnie to. Tylko on mógł znać te przejścia.

– To ty? – powiedziałem, udając zaskoczenie.

– Spodziewałeś się kogoś innego? – odparł ze spokojem.

– Domyślałem się. Dlaczego wtedy mnie zamknąłeś? – spytałem,

nawiązując do fatalnej nocy, kiedy umarł Carmelo.

– Byłem zdenerwowany tak samo jak ty. – Uśmiechnął się i usiadł obok. – Nie przypuszczałem, że ktoś oprócz mnie wie o tych podziemiach.

– Na kilka dnia przed śmiercią Carmelo dał mi klucz i towarzyszyli mi w pierwszej wyprawie – wyjaśniłem.

– No tak – powiedział Julián, cmokając ustami. Odniosłem wrażenie, że nie spodobała mu się wiadomość o zaufaniu, jakim darzył mnie jego poprzednik. – Co jeszcze ci powiedział?

Zastanowiłem się nad odpowiedzią. Nie wiedziałem, po czyjej stronie jest Julián i czy podzielał zdanie Carmela w kwestii sprzedaży. Ale był moim przełożonym.

– Kazał mi porobić zdjęcia, które moglibyśmy wykorzystać przeciwko agencji nieruchomości – powiedziałem szczerze.

– Domyślam się, że to te, które widzieliśmy w twoim komputerze.

– Dobrze się domyślasz. Powinienem być bardziej ostrożny. – Uśmiechnąłem się z przymusem.

– Coś jeszcze? – spytał. – Dał ci coś albo pokazał, co znalazł w podziemiach?

Po krótkim zastanowieniu postanowiłem niczego nie ukrywać. Byłem już zmęczony tyloma tajemnicami. Pomyślałem, że Julián może mi pomóc.

– Mówił mi o Anselmie Hidalgu.

– To był nasz przeor z początku wieku, twórca i budowniczy naszej szkoły. Zapewne wiesz o nim więcej niż ja – zauważył, domagając się dalszych wyjaśnień.

– Ani mniej, ani więcej, jak sądzę – odpowiedziałem dwuznacznie. – Zamierzałem przejrzeć jego zapiski i inne rzeczy, które po sobie zostawił, ale sam Carmelo odebrał mi skrzynię z tymi pamiątkami. Nie rozumiem, dlaczego tak postąpił, zwłaszcza że najpierw bardzo mnie namawiał, żebym się tym zajął.

– To ja wyniosłem skrzynię z twojego pokoju – wyznał Julián. – Nie znalazłem w niej nic interesującego. Po śmierci Carmela spe-

cialnie umieściłem ją w jego pokoju, żebyś zobaczył. Na szczęście niczego nie podejrzewałeś – dodał z ulgą.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałem, podnosząc głos, który odbił się głośnym echem w murach podziemi.

– Z ciekawości. Chciałem dokładnie poznać pierwotną strukturę tego kolegium, przejrzeć dawne skrypty i akta notarialne, przeczytać akt lokacyjny. Wtedy znalazłem plan tych labiryntów.

Wydawało się, że mówił szczerze.

– Nie miałem kłopotów ze znalezieniem wejścia – kontynuował. – Gorzej będzie z wyjściem – powiedział, kręcąc głową na wszystkie strony. – Nie chciałbym krążyć tu do rana.

– Dlaczego nie zwróciłeś się z tym do Carmela? – zadałem kolejne pytanie, dobrze pamiętając, co było w skrzyni Hidalga.

– Prosiłem, ale odmówił. – Znowu odczułem jego niezadowolenie z tego, że stary przeor ufał mi bardziej niż jemu, który był prawą ręką Carmela przez wiele lat. – Nie nalegałem. Był bardzo chory i miał obsesję na punkcie tego miejsca.

– Chory?

– Tak. Ukrywał to przed wami, tylko ja wiedziałem. Cierpiał na niewydolność serca, na którą nie było ratunku. Nawet przeszczep by nie pomógł. Zresztą operacja nie wchodziła w grę ze względu na jego wiek – powiedział, ściszej głos. – Jeszcze jakieś pytanie, Héctorze?

– Tylko jedno – zagrałem *va banque*. – Co wiesz o szesnastowiecznej księdze zwanej *Manuskryptem Voynicha*?

– Nic – odparł prawie bez namysłu. – Należy do nas?

Nie umiałbym powiedzieć, czy udaje, czy mówi prawdę.

– Nie. Ale mogła należeć w pewnym okresie. Nieważne. Juana i John interesują się tym manuskryptem, który ma bardzo dziwną i skomplikowaną historię. Ich zdaniem kryją się za tym jezuici – wyjaśniłem, nie mówiąc wszystkiego, podobnie jak on.

– Daj znać, jeśli mogę ci w czymś pomóc – powiedział, wstając z kamienia. – Wracam na górę. Tutaj jest zbyt wilgotno, a wilgoć nie służy moim stawom.

– Zostanę jeszcze chwilę, jeśli pozwolisz – odparłem. – To dla

mnie jedna z nielicznych możliwości poznania warunków życia pierwszych jezuitów.

- Zostań – zgodził się.
- Bądź tak dobry i tym razem nie zamykaj drzwi.
- Nie zamknę – odpowiedział z uśmiechem, targając resztki włosów na mojej głowie.

v

Ta ostatnia wycieczka do podziemnych labiryntów nie przyniosła żadnych nowych wskazówek na temat tego, gdzie obecnie znajduje się *Manuskrypt Voynicha* albo gdzie dawniej był przechowywany w całości lub we fragmentach. Jeśli chodzi o głupi napis na murze, John sam uprzedził moje domysły, oświadczając z całą powagą, że nic nie wyrzył na tej wielkiej ścianie. Właśnie przed chwilą otrzymałem od niego tę wiadomość i dlatego postanowiłem skontaktować się z nim od razu przez Messengera. Istotnie, był po drugiej stronie komputera.

Hello, Englishman – wystukałem kpiąco na komputerze.

Hi, father – odpowiedział John w tym samym stylu.

Jesteś niewinny – wysłałem.

Widocznie to był jakiś inny John z Greenwich – odpisał.

Możliwe. Ale gdy odkryłem ten napis, natychmiast skojarzył mi się z tobą.

Zaraz ci to wyjaśnię. John Dee urodził się, mieszkał i studiował w Londynie. Na pewno prowadził obserwacje na wzgórzach Greenwich. Pamiętaj, że był astronomem.

A więc pewne ślady się powtarzają. Ciekawe dlaczego? Jeśli to znowu Lazzari wymalował te słowa, należy je odczytać jako kolejną aluzję do *Manuskryptu Voynicha* jako dzieła angielskiego maga. Ale to nam nie wnosi nic nowego.

Też tak sądzę. Wiesz coś o Juanie? – spytał, zmieniając nagle temat. – Ona nie chce do mnie pisać. Nie odpowiada na moje e-maile.

Zapomnij o niej wreszcie, tak będzie lepiej. Ta dziewczyna prowadzi podwójną grę i czasem mylą jej się karty – stwierdziłem ironicznie, bawiąc się własną grą słów.

Powiedziałem Johnowi o dziwnym liście, który trafił do mojej skrzynki elektronicznej przez pomyłkę. John zaczął wypytywać o Gilderów, jako jedyny bowiem z naszego tria nie znał paszkwila skazującego Johanna Keplera na krzesło elektryczne. Wiedział natomiast dość dużo o Discovery Institute, gdyż członkowie tej instytucji uprawiali prozelityzm w Cambridge i na innych angielskich uniwersytetach, podobnie jak to robili w Stanach Zjednoczonych.

Tak samo jak zakwestionowali teorię ewolucji, teraz zaczynają kwestionować Big Bang. Brzmi to niewiarygodnie, ale właśnie tak jest. Oni śpią z Biblią pod poduszką i w każdej chwili mogą znaleźć odpowiedni cytat, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ostatnio urządzili show w samej NASA. Obecna administracja amerykańska dostosowuje politykę naukową do swoich interesów religijnych i przemysłowych. Od globalnego ocieplenia do macierzystych komórek, że nie wspomnę o wyświechtanej teorii ewolucyjnej Karola Darwina, jak wiadomo Brytyjczyka. My, astronomowie, nie mieliśmy dotąd takich powodów do zmartwień jak paleontolodzy i biolodzy. Ale to się powoli kończy. Facet o nazwisku Deutsch, który z ramienia Białego Domu pracuje (przepraszam, pracował, bo go zwolnili, gdy wyszło na jaw, że sfałszował swoje curriculum vitae) jako public relation NASA, kazał operatorowi sieci Web wstawiać słowo „teoria” przy każdej wzmiance o Bing Bangu na stronach agencji kosmicznej.

Bardzo wymowne i ciekawe – zauważyłem.

Oczywiście Bing Bang jest teorią naukową, ale nie w takim znaczeniu, jakie on pragnął mu nadać. Ten człowiek traktuje jak świętość każdą z osobna i wszystkie naraz idee Discovery Institute. Według niego „Big Bang nie jest faktem, tylko opinią” i „nie powinno się formułować twierdzeń odnośnie do istnienia wszechświata, które wykluczałyby inteligentny projekt Stwórcy”.

Uff, to trudne do połknięcia nawet dla mnie, człowieka wierzącego.

Wy, jezuci, jesteście inni. Zawsze byliście w awangardzie.

Przesadzasz.

Nie odmawiaj sobie zasług. Słyszałem, że w Watykanie tylko jezuci jawnie bronią teorii ewolucji, angażując do tego swoich najwy-

bitniejszych naukowców i biologów.

Coś w tym musi być.

Przepraszam, ale przyszedł mój doktorant i muszę przerwać naszą pogawędkę. Wrócimy do niej przy innej okazji.

Bye.

Bye.

v

Następnego dnia rano stawiałem się w szkole jak zwykle. Wiele osób jest zdania, że wykładanie przedmiotów ścisłych i przyrodniczych przez księdza zaczyna być aktem wielkiej odwagi. Ja w pracy nauczyciela nie widzę innego ryzyka oprócz tego, że można umrzeć z nudów.

– A ponieważ Ziemia jest kulą, o czym wszyscy wiemy... – Spojrzałem po moich uczniach. Żaden nie wyraził zdziwienia. Nie-słychany postęp! – ...to gdy chcemy zlokalizować jakiś punkt na powierzchni Ziemi, korzystamy ze współrzędnych – kontynuowałem. – Konkretnie dwóch. Jedna to szerokość, która określa kąt zawarty pomiędzy promieniem przechodzącym przez ten punkt a płaszczyzną równika ziemskiego. A druga długość, czyli odległość naszego punktu od południka zerowego, mierzona wzdłuż równoleżnika. W ten sposób możemy określić bezbłądnie położenie każdego miejsca na kuli ziemskiej.

– Co to jest południk? – padło pytanie z ostatnich ławek.

– Łuk wielkiego koła na powierzchni kuli wyobrażającej Ziemię, łączący oba bieguny geograficzne. Wszystkie punkty położone na południku mają zatem taką samą długość. – Narysowałem na tablicy schemat. – Odległość między biegunem i równikiem posłużyła również do ustalenia wzorca metra, podstawowej jednostki długości, która wynosi w przybliżeniu jedną dziesięciomilową część południka ziemskiego.

Kilku chłopców ziewnęło, ale się nie zniechęciłem. Jedna ręka była już w górze.

– Ile jest południków?

– Ile zechcesz – odpowiedziałem. – Jednak ze względów praktycznych i zważywszy na fakt, iż obrót Ziemi wokół własnej osi trwa dwadzieścia cztery godziny, podzielono tę kulę, jak pomarańczę, na dwadzieścia cztery części. To są tak zwane strefy godzinne. A zatem – przedstawiłem gotowe wyliczenie – każdą z tych linii dzieli od najbliższej jedna godzina zegarowa lub piętnaście stopni, ponieważ trzysta sześćdziesiąt stopni, tyle liczy cała kula, odpowiada dwudziestu czterem godzinom.

– Od którego miejsca zaczynamy liczyć? – zapytał ten sam chłopak. Nareszcie ktoś inny, już nie tylko Simón zabiera głos na lekcji. Słuchając go, przypomniałem sobie moje własne pytanie zadane w rzymskim Panteonie, które doprowadziło nas po raz kolejny do Keplera, choć wciąż jeszcze nie wiemy, w jakim celu.

– Od Londynu – odpowiedziałem. – A dlaczego? To bardzo ciekawe.

Zadzwoił dzwonek na przerwę. Wszyscy rzucili się do drzwi, robiąc taki hałas, że chyba nie usłyszeli mojego pytania, chociaż podniosłem głos:

– Kto na ochotnika przygotowuje historię południka zerowego?

W klasie pozostał tylko Simón. Jak zwykle zgodził się bez protestu.

– Południk Greenwich umownie przyjęto za początkowy, to znaczy taki, od którego mierzy się długość geograficzną w stopniach. Przebiega przez obserwatorium w Greenwich, dla którego wybrano długość zerową. I dlatego południk też nazywa się zerowy.

Simón czytał swoje notatki przed całą klasą, stojąc przy tablicy. Zgadzały się z moimi. Obaj korzystaliśmy z internetu, a konkretnie z wolnej encyklopedii Wikipedia.

– Tak postanowiono w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku na międzynarodowej konferencji w Waszyngtonie z udziałem delegacji z dwudziestu pięciu krajów – kontynuował. – Podpisano wtedy kilka porozumień. Najważniejsze dotyczyły ustalenia, że wszystkie kraje przyjmują za punkt odniesienia jeden i ten sam południk i że przebiega on przez Greenwich. Przeciwno głosowała delegacja Santo Domingo. Wstrzymały się od głosu Brazylia i Francja.

– Tu wkraczamy w dziedzinę polityki – podkreśliłem i klepięciem w ramię odesłałem Simóna do ławki. Nie chciałem, żeby kole-dzy go wygwizdali. Resztę informacji znalazłem sam.

– Może was to zdziwić, ale Francja chciała, żeby południk zero przechodził przez hiszpańską wyspę. Kto wie jaką?

Nikt nie wiedział, więc opowiedziałem im o najmniejszej z Wysp Kanaryjskich El Hierro, która w starożytności była najdalej wysuniętym na zachód znanym lądem. Dlatego nosi również nazwę Wyspy Południowej. Już w II wieku naszej ery kartograf i astronom Ptolemeusz wykorzystał ją jako punkt odniesienia w ustalaniu współrzędnych geograficznych. To miał być kres świata. Przez długi czas uważano, że dalej nic nie ma. W XVII wieku Francuzi potwierdzili użyteczność tej wyspy jako południka zero, tym bardziej że leżała

dokładnie dwadzieścia stopni na zachód od Paryża, a to miało w tym wypadku najistotniejsze znaczenie. Jednakże batalię wygrał Londyn – konkretnie Greenwich, co na jedno wychodzi, ponieważ już wtedy dwie trzecie transportu morskiego posługiwało się w nawigacji systemem brytyjskim. Od roku 1675 Royal Greenwich Observatory ufundowane przez króla brytyjskiego Karola II zajmowało się nie tylko korygowaniem map ruchów ciał niebieskich – które osiągnęły niezwykłą precyzję w wyliczeniach Keplera – ale także i przede wszystkim określaniem długości geograficznej dla różnych miejsc, niezbędnej dla udoskonalenia sztuki nawigacji.

Zapoznałem się z tym zagadnieniem przy okazji badań nad *Manuskryptem Voynicha*. Wyznaczaniem długości geograficznej interesował się sam John Dee, który współpracował jako kartograf z Mercatorem, a także Giovanni Cassini (proponował obserwowanie galileuszowych księżyców Jupitera) i jezuita Athanasius Kircher, który zajmował się między innymi deklinacją magnetyczną. Dla krajów opierających swoją gospodarkę na żegludze, jak na przykład imperium brytyjskie, by nie szukać dalej, problem był tak poważny, że w 1714 roku admirał floty angielskiej sir Cloudesley Shovell wyznaczył nagrodę za opracowanie praktycznej metody wyznaczania długości na morzu. Dziewięć tysięcy funtów dla tego, kto rozwiąże problem długości z dokładnością do jednego stopnia. Zwyciężył zegarmistrz John Harrison, który odebrał nagrodę dopiero w 1773 roku z rąk króla Jerzego III. Harrison skonstruował precyzyjne zegary pozwalające określić długość geograficzną do połowy stopnia już w 1761 roku.

Daty się zgadzały.

– Héctorze, dobrze się czujesz?

Jeden z uczniów pociągnął mnie za rękaw.

Kiwnąłem głową, ale czym prędzej zakończyłem lekcję pod pretekstem, że mam coś ważnego do zrobienia.

To była prawda. Pospieszyłem do pokoju i zacząłem stukać w klawiaturę jak wariat, aby opowiedzieć mojemu brytyjskiemu koledze o najnowszym odkryciu, jakiego właśnie dokonałem.

– John Harrison. Royal Greenwich Observatory.

v

Szumiało mi w głowie. Łamigłóвка zaczęła nabierać sensu. Po szczególne części same łączyły się w spójną całość, ja tylko musiałem je ułożyć. Człowiek układa puzzle, zachowując się jak olbrzym spoglądający z góry, i próbuje ustalić taki kąt widzenia, żeby jak najlepiej zrozumieć, co jest linią horyzontu, co powierzchnią morza, co niebem.

Historia zmagania z wyznaczaniem długości geograficznej biegnie paralelnie do dziejów *Manuskryptu Voynicha*. Obsesję na tym punkcie miał Athanasius Kircher, człowiek, który wiedział prawie wszystko. Czy znał również kod do tego manuskryptu? Sprawdziłem strona po stronie – w internecie i na papierze – próbując połączyć jeszcze więcej części tych puzzli. Kircher dużo pisał, a jego biografia jest tak obfita, że zawsze można trafić na coś ciekawego. I tak się stało.

W 1633 roku ówczesny cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Ferdynand II na wieść o talentach niemieckiego mędrca zaproponował Athanasiusowi Kircherowi najpierw posadę nauczyciela matematyki w Wiedniu, a potem stanowisko cesarskiego matematyka nieobsadzone od trzech lat w związku ze śmiercią Johanna Keplera. Kircher przyjął tę funkcję, ale jadąc na dwór cesarski, otrzymał kontrpropozycję od kardynała Barberiniego, który wzywał go do Rzymu. Kircher postąpił jak prawdziwy jezuita, okazując posłuszeństwo, i tym sposobem znalazł się w Rzymie, gdzie przeprowadził większość swoich badań i spędził resztę życia.

A więc Kircher miał być następcą Keplera, który z kolei był następcą Tychona. Tym samym byłby niemal wnukiem duńskiego mędrca.

Kircher dokonał wielu rzeczy. Bardzo wielu. Czytałem dalej:

Do czasów Athanasiusa Kirchera nikt nie zdołał odgadnąć egipskich hieroglifów. Nikt nie widział w nich sensu. Kircher poświęcił tym badaniom większą część życia. Jak sam stwierdził, dokonał

odkrycia, że staroegipski był językiem Adama i że Mojżesz to w gruncie rzeczy legendarny egipski okultysta Hermes Trismegistus, a przekład hieroglifów stał się możliwy dzięki tajemniczej symbolice niezwiązanej z semantyką...

Znowu język Adama i Enocha. Znowu niezwykła legendarna postać Hermesa Trismegistusa. Postać tak tajemnicza i niezgłębiona, że od jej imienia pochodzi wyraz hermetyczny. Hermes Trismegistus jest uważany za egipskiego filozofa i jednego z ojców alchemii. Dziś wiadomo, że przypisywane mu dzieła powstały dużo później, nie za jego życia, jeśli w ogóle istniał realnie. Mimo to pozostaje wciąż żywy dla osób, które wierzą w to, co napisał.

Ciekawą rzeczą jest to, że okultystyczni filozofowie Grecji, Rzymu, a nawet Egiptu uważali Hermesa Trismegistusa za posłańca bogów ze względu na jego relację z pierwszym językiem, jakim mówili ludzie. W kategoriach alchemicznych i zgodnie z mitologią Hermes uosabia rtecę, a więc Merkurego. Dalej nurkowałem w morzu informacji o tej niezwykłej postaci, aż znalazłem to, czego szukałem.

Hermetyzm jest zbiorem pism z dziedziny filozofii, magii, astrologii i alchemii pod wezwaniem boga Hermesa Trismegistusa, który jest hellenistyczną syntezą greckiego Hermesa i egipskiego Tota. Hermes to Merkury, syn Zeusa, posłaniec i herold bogów, urodzony w Arkadii, przedstawiany z kaduceuszem lub złotą różdżką, w kapeluszu petasos lub w sombrero, ze skrzydełkami u nóg. Bóg elokwentny i przebiegły, wynalazca słowa i języków. Łatwo w nim rozpoznać egipskiego Tota, skrybę bogów, uczestnika sądu nad zmarłymi. Bardzo wcześnie, bo już w IV wieku przed naszą erą, Tot przekształca się w Trimegista, gdyż jego tytuł „wielki-wielki” został przetłumaczony przez Greków jako „mégistos kai mégistos kai mégistos” (po trzykroć wielki). W skrócie: Trismegistos. Po łacinie: Trimegistus.

Teraz już wiem.

V

Nie rozumiem z tego ani słowa, Héctorze.

Bo to jest bardzo trudne, John – odpowiedziałem na czacie. –

Chyba nie potrafię lepiej tego wyjaśnić. Kiepski ze mnie nauczyciel.

Nie wiem, co odpowiedzieć...

Myślę, że to może być powód, dla którego pewna grupa ludzi chce za wszelką cenę znaleźć drugą część *Manuskryptu Voynicha*.

Wszystko pasuje.

Co Juana ma z tym wspólnego?

Obawiam się, że bardzo dużo. Prawdopodobnie weszła do klubu Listy Voynicha z zamiarem uzyskania informacji. Jest specem od szyfrów matematycznych. Wiesz o tym również dobrze jak ja.

Zakochała się we mnie...

To był wypadek.

A ja w niej.

To był błąd, Angliku.

Chyba nadal ją kocham.

Bo jesteś głupi.

Nie dręcz mnie – błagał. – Jak oni trafili na wasz ślad?

- Poprzez testament samego Voynicha. Podejrzewam, że są tam wyszczególnione warunki transakcji nabycia *Manuskryptu Voynicha*. Prawdopodobnie Towarzystwo Jezusowe zobowiązało starego antykwariusza do zachowania sekretu, traktując to jako część umowy kupna-sprzedaży.

Spróbuję znaleźć coś na ten temat. W końcu Voynich mieszkał przez wiele lat w Londynie.

W porządku.

Co jeszcze? Mamy coś więcej o Johnie Harrisonie?

Uff – sapnąłem w klawiaturę. – Nie mamy. Zabrakło mi czasu.

Coś nowego o Lazzarim?

Też nie.

Hidalgo?

Czeka cierpliwie, aż się nim zajmę. A także jego poprzednikami.

Kepler?

To mój faworyt. W pierwszej wolnej chwili poszperam w jego życiu.

– Dobrze. Spróbuję wpaść do ciebie za dwa tygodnie – dodał.

Bye, John.

Bye, Hector.

v

Juana chwilowo nic nie wiedziała o tej powodzi informacji.

Nie rozmawialiśmy z nią o Johnie Harrisonie ani o problemie długości geograficznej, jaki pojawił się w związku z *Manuskryptem Voynicha*, ani też o Hermesie Trismegistosie i teoriach Athanasiusa Kirchera.

Chociaż udawałem beztroskę, a nawet dobry humor, to jednak po przeczytaniu jej uwag, przeznaczonych dla tajemniczego Thomasa van der Gila – i omyłkowo wysłanych do mnie – postanowiłem działać ostrożniej. Ale jak się okazało, tylko ja byłem nieufny.

Cześć, Héctorze, mój ulubiony jezuito!

Życie w Meksyku jest nudne. Tęsknię za Wami, zwłaszcza za Tobą. Praca w terenie to nie to samo co prowadzenie badań przy komputerze. Kiedy jesteśmy razem, mój umysł jest bardziej otwarty i szybciej kojarzy. Nie myśl sobie, że nic nie robię. Robię bardzo dużo.

Wróciłam do programów steganograficznych, ale nie bardzo mam się czym pochwalić. Wydaje się, że nie ma nic więcej oprócz kalendarza. Odtworzyłam mechanizm tego diagramu i próbuję go zastosować do słów „voynichiańskich”, które występują na rysunkach z zapuszkowanymi kobietami. Wycięłam sobie nawet nowe krążki z tektury. Kręcę nimi we wszystkich kierunkach i jak dotąd nie znalazłam ani baranka, ani innego koziorożca. Wygląda na to, że ten rysunek nie ma własnego życia poza tym, które wymyślili dla niego jezuici dwieście lat później. Jest tylko częścią kamuflażu maskującego parę istotnych przestań, które zawiera *Manuskrypt Voynicha*.

Dużo bardziej poszczęściło mi się, jeśli chodzi o epitafium Johanna Keplera. Zaczęłam szukać, gdy tylko John wspomniał, że macie nowy trop związany z Athanasiusem Kircherem i Hermesem Trismegistosem. Możemy spotkać się wszyscy troje na czacie i wymienić się informacjami.

Jutro o piątej po południu według Twojego czasu? Johnowi pasuje ta godzina.

Przesyłam Ci pikantnego całusa, żebyś zrobił się czerwony na twarzy.

Kocham Cię jak brata.

Juana

John jest bardziej niebezpieczny niż Juana, bo nie umie utrzymać języka za zębami, pomyślałem ze złością. Choć w sumie nie ma nic złego w tym, że Juana ponownie dołączyła do ekipy. Odkąd wiedziałem – to znaczy, zdawało mi się, że wiem – jakie są intencje jej przyjaciół, nie wydawali mi się już tacy groźni. Szansa na przetłumaczenie *Manuskryptu Voynicha* była wciąż tak znikoma, że pomoc ekscentrycznych, ultrakonserwatywnych milionerów amerykańskich mogła nawet okazać się przydatna. O przyszłość mojej wspólnoty zakonnej byłem spokojny. Z ostatnich rozmów z Julianem wynikało, że dostaniemy duże pieniądze za budynek. W tej sytuacji nie warto się na nich boczyć. W pracy nad rozszyfrowaniem tych najbardziej skomplikowanych hieroglifów w historii każdy ochotnik jest mile widziany, nieważne, czym się kieruje.

Ale z Juaną nigdy nic nie wiadomo i lepiej się mieć na baczności.

W tłumaczeniu *Manuskryptu Voynicha* nie posunęliśmy się do przodu od dnia, kiedy natrafiliśmy przypadkowo na związek nazw miesięcy kalendarzowych z rysunkiem na jednej ze stron astronomicznej części manuskryptu, w którym słusznie dopatrzyliśmy się supernowej. Fortuna uśmiechnęła się do nas w momencie, gdy potraktowaliśmy znaki umieszczone na rysunku w trzech koncentrycznych kręgach, tak jakby to była kombinacja cyfr do sejfów, i zaczęliśmy je przestawiać. Okazało się, że kombinacje prefiksów, sylab i sufiksów podobne do tych, które już wcześniej proponowali badacze z Listy Voynicha, działają tak samo. Od czasu tego zaskakującego, lecz pojedynczego odkrycia każde z nas pracuje osobno.

O słuszności przyjętego modelu świadczy fakt, iż pewne tropy historyczne, które dotąd miały cechy domysłu, teraz okazały się praw-

dziwe. Data odkrytej przez duńskiego astronoma Tychona Brahego supernowej, która wzięła od niego swoje imię, pomogła ustawić kombinacje znaków na właściwej pozycji. Ponieważ John Dee pisał o tej gwiazdnej eksplozji, a sam Tycho czytał jego teksty, ten angielski mag jawił nam się jako najbardziej prawdopodobny autor *Manuskryptu Voynicha*. Kolejnym krokiem naprzód było stwierdzenie, że autorstwo księgi, która miała dotrzeć na dwór cesarza Świętego Imperium Rzymskiego Rudolfa II, można przypisać duetowi złożonemu z Johna Dee i Edwarda Kelleya.

Jaka jest treść tej księgi? Z upodobań i skłonności obu szarlatanów wynikałoby, że musi mieć jakiś związek ze światem alchemii. Ryciny roślin sugerowałyby aspekt leczniczy, większość zainteresowanych skłania się jednak ku przypuszczeniu, że chodzi o kamień filozoficzny. Oprócz treści duże znaczenie ma intrygująca forma. W jakim języku księga została napisana? Gdzie są klucze umożliwiające przetłumaczenie? Tu otwiera się wielki znak zapytania, na który wciąż nie ma odpowiedzi. Jeśli zakładamy, że wiele lat potem jezuitom udało się zdobyć tłumaczenie, to ktoś musiał wcześniej je zrobić, być może z ich pomocą.

Trop jezuicki, jak go nazywamy, przyniósł dobre rezultaty. Z jednej strony wiele osób związanych z Towarzystwem Jezusowym wiedziało o istnieniu tej księgi. Listę tych osób otwiera Athanasius Kircher, który otrzymał w Rzymie *Manuskrypt Voynicha* przywieziony z Czech przez jego praskiego lekarza i przyjaciela Marcusa Marciego. Być może Kircher miał też tłumaczenie tego manuskryptu. Od niego dowiadują się o tej księdze inni uczeni, jak na przykład rywal Kirchera, jezuita Giambattista Riccioli, równie inteligentny jak on. Albo protegowany Ricciolego, sławny astronom Giovanni Cassini. Potem jezuitci długo nic nie mówią o tajemniczym manuskrypcie, aż do czasów Lazzariego. Ten bibliotekarz zakonu jezuitów otrzymał trudne zadanie ocalenia najcenniejszych ksiąg w obliczu nadciągającej kasaty zakonu. Wywiązał się z niego w ten sposób, że rozdzielił księgozbiór na części, ukrywając jedne, dzieląc inne na jeszcze mniejsze partie. W stosunku do *Manuskryptu Voynicha* zastosowano

obie metody, zważywszy na jego wartość. Przy podziale odłączono księgę kodową, bez której nie da się pojąć znaczenia całości. Mając tylko jedną część, nie da się przetłumaczyć całości, a jedynie rzeczy proste i oczywiste, jeśli można tak powiedzieć o skomplikowanym diagramie z supernową.

Myślę, że teksty *Manuskryptu Voynicha* nadal pozostają w ukryciu. Na światło dzienne wyszła tylko jedna część – ta zaszyfrowana. Stało się to w początkach XX wieku. Księgę, którą obecnie znamy i która znajduje się na Uniwersytecie Yale, zakupił antykwariusz Wilfrid Voynich. Transakcji dokonano w Rzymie, w jednym z naszych domów zakonnych, które tonęły w długach i popadały w ruinę. Drugą część księgi, czyli zestaw kodowania znany prawdopodobnie Athanasiusowi Kircherowi, ukryto w nieznanym miejscu. Być może, jak chcą niektórzy, Lazzari wywiózł ją do Hiszpanii. Być może nadal znajduje się w murach naszego domu.

Kto przetłumaczył *Manuskrypt Voynicha*?

Tu nie ma żadnych dowodów, tylko same domysły. Edward Kelley zostaje w Czechach sam po ucieczce Johna Dee do Anglii. Zajmuje się alchemią razem z Peterem Ursinusem Rozmberkiem. Ten ostatni kilka lat potem będzie gościł Tychona Brahego na długiej, mocno zakrapianej kolacji, która wpędzi astronoma do grobu. Brahe przekazał swojemu znakomitemu uczniowi Johannesowi Keplerowi wszystkie wyniki pomiarów orbity Marsa, które mają mu pomóc w dokładnym opisie ruchów tej planety. To prawdziwy skarb, efekt trzydziestoletniej pracy duńskiego astronoma. Jeśli nie obawiał się tego zrobić, to dlaczego nie miałby przetłumaczyć do spółki z Keplerelem naszej tajemniczej księgi, a przynajmniej spróbować? Wiedział, że zawiera – może zawierać – ważne klucze do rozwiązania sekretów alchemii. Takie rozumowanie wydaje się logiczne. Jeśli dodamy do tego, że wkrótce potem *Manuskrypt Voynicha* wpada w ręce jezuitów i że Kepler miał wśród nich wielu wypróbowanych przyjaciół – co nie było dobrze widziane w środowisku protestanckim i spotkały go z tego powodu różne przykrości – można przyjąć, że księga przeszła również przez jego ręce.

Jeśli znalazł się ktoś na tyle genialny i wytrwały, by podjąć się tego tłumaczenia, był to na pewno Johannes Kepler.

My, jezuici, zawsze byliśmy misjonarzami i wychowawcami młodzieży. Zakładaliśmy szkoły najpierw w Europie, a potem w innych częściach świata. Zawsze darzyliśmy podziwem ludzi świątłych, inteligentnych i rozumnych.

Tak zaczynał się jeden z rozdziałów wspomnianej książki poświęconej historii Towarzystwa Jezusowego, którą znalazłem w bibliotece. Gruby, stary tom. Sięgnąłem po niego w nadziei na znalezienie czegoś o Keplerze.

I nie pomyliłem się. Wzmianka była krótka, lecz znacząca.

W ciągu całego burzliwego życia Johannes Kepler utrzymywał z nami skomplikowane relacje. Niektórzy członkowie zakonu ofiarowali mu przyjaźń, pomoc i schronienie, kiedy został odrzucony przez swoich współwyznawców. To jezuici udzielili mu wsparcia, pomagali w pracy i modlili się o jego nawrócenie. Od czasu do czasu pojawiały się w Pradze plotki na ten temat, podobnie jak wcześniej w Grazu, lecz, niestety, Kepler nigdy nie wyparł się swojej luterkańskiej wiary...

Pozostał luteraninem, choć swoi go nie uznali. To dlatego zyskał sobie przydomek „protestanckiego Galileusza”. Znalazłszy się w Pradze, mieście, do którego moi jezuicki przodkowie przybyli w 1556 roku, podjęliśmy działania takie same jak wcześniej w Grazu. Święty Piotr Kanizy nawrócił całą Bohemię na katolicyzm. W Pradze założyliśmy Collegium Clementinum, które podobnie jak wszystkie inne jezuickie placówki szybko stało się wpływową i politycznie atrakcyjną uczelnią. Wcześniej inicjatywy tego rodzaju należały do utrakwistów – umiarkowanych zwolenników Jana Husa (husytów) reprezentujących liberalny katolicyzm, odłam bardziej schizmatycki niż heretycki* – którzy rządzą Uniwersytetem Karola od momentu jego założenia w 1384 roku przez cesarza Karola IV. Rudolf II,

podobnie jak jego ojciec Maksymilian, pragnął pozostawać na uboczu konfliktów religijnych. Ale był pod przemożnym wpływem swej katolickiej matki i wywierał presję na frakcję protestancką. Dlatego ścigał do Pragi kapucynów, którzy przyłączyli się do jezuitów i w ten sposób kontrreformacja zyskała na sile. W 1602 roku, dwa lata po przybyciu Keplera, który zajmował już wtedy stanowisko cesarskiego matematyka, cesarz oświadczył, że tylko katolicy i utrakwiści mogą pozostać w Bohemii, i wypędził protestantów. Jednakże Kepler nie był zmuszony do opuszczenia Pragi. Z jednej strony jego zasłużona sława – nie był zwykłym nauczycielem matematyki, tylko najlepszym w całym imperium – a z drugiej przyjaźń z jezuitami sprawiły, że nie musiał po raz kolejny udawać się na wygnanie. Zresztą Rudolf II, zbyt zajęty i przejęty swoimi problemami, podatny na głęboką depresję, nie przywiązywał nadmiernej wagi do dogmatów religijnych. Smutny i strapiony w miarę upływu lat stawał się coraz większym introwertykiem. Miewał częste kryzysy i halucynacje. Przepęnlony lękiem otaczał się astrologami i alchemikami, matematykami i astronomami, takimi jak Kepler, wszelkiego rodzaju magami, a nawet żydowskimi mistykami.

* Jednym z wielkich utrapień husytów był podział na kleryków i laików. Pierwsi przyjmowali komunię pod postacią chleba i wina, czyli *sub utraque specie* – stąd nazwa: utrakwiści. Drudzy tylko pod postacią chleba.

– Jak Jehuda Loew, wielki rabin Pragi, mistrz kabały.

Simón pojawił się po feriach z nowymi rewelacjami. Zarzucił papierami moje biurko, na którym nie było już ani krztyny wolnego miejsca, i zaczął mnie bombardować datami, faktami i wydarzeniami z pogranicza nieprawdopodobieństwa.

– Kto to? – spytałem szczęśliwy w swojej ignorancji.

– Bardzo dziwny osobnik. Przebywał na dworze Rudolfa Drugiego w tym samym czasie co Tycho Brahe i Johannes Kepler. Nie wiem, czy się znali i utrzymywali ze sobą kontakty, ale wszystko możliwe. Sam podsunałeś mi niechcący tę myśl – dodał.

– Nie przypominam sobie. Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

– Dałeś mi do przeczytania książkę Lovecrafta. Genialna!

– Nadal nie widzę związku – zaprotestowałem.
– Jeśli dobrze rozumiem, w mitach Lovecrafta jest pełno dziwnych stworzeń, bóstw oraz istot pozaziemskich i okrutników, którzy przybyli na Ziemię przed ludźmi. I wciąż tu są.

– Zgadza się, jego książka przedstawia taki swoisty panteon – powiedziałem, wspominając w duchu wizytę w Rzymie i nierozstrzygniętą zagadkę.

– No właśnie. Tak mi się to spodobało, że zacząłem szukać w internecie. Uwielbiam literaturę fantastyczną i horroru. W ten sposób trafiłem na Golema.

– Golema?

To imię coś mi mówiło.

– No tak, na Golema i homunkulusy. Pamiętasz? Mówiliśmy o nich, kiedy zajmowaliśmy się Paracelsusem.

– Pamiętam – potwierdziłem. – Homunkulus! To słowo pojawia się po raz pierwszy w jego tekstach o alchemii.

Paracelsus utrzymuje, że stworzył takiego ludzika z kości, spermy i fragmentów skóry oraz sierści zwierzęcia. Jego homunkulus byłby więc hybrydą. Ta człekokształtna istota musi wiernie służyć swojemu twórcy, nie ma własnego rozumu i wykonuje dosłownie najbrutalniejsze rozkazy swojego pana. Coś fantastycznego.

– Aha – przytaknął. – Mity Lovecrafta częściowo wywodzą się z tych fantazji. Niektórzy sądzą, że homunkulus i Golem to jedno i to samo.

– Ale co to jest Golem i co ma wspólnego z tym rabinem? – spytałem coraz bardziej zaintrygowany.

– Ten rabin nazywał się Jehuda Loew Ben Becalel, to znaczy: Jehuda Loew, syn Becalela. Był mistykiem, wybitnym znawcą świętych ksiąg. Większą część życia spędził w Pradze. Poza środowiskiem judaistycznym zyskał sobie uznanie jako twórca Golema.

– Czyli... – ponagliłem Simóna.

– Golem jest w pewnym sensie przodkiem Pokemona – zażartował Simón. – Ale zanim ewoluował tak nisko, był nadprzyrodzoną istotą ze świata literatury fantastycznej, stworzoną z gliny, tak jak Bóg

stworzył Adama w Księdze Rodzaju. Tylko że Golema stworzył człowiek, a więc rezultat był trochę wadliwy – zaśmiał się mój uczeń. – Podobno Golem istniał naprawdę, nie tylko w literaturze. Jehuda Loew stworzył go dla obrony Żydów z praskiego getta przed atakami antysemitycznymi. Tak mówi legenda apokryficzna. Tchnął w niego życie, recytując wersety w języku Adama i Enocha. Znakiem rozpoznawczym Golema jest wypisane na czole słowo *emet*, jedno z hebrajskich imion Boga. W miarę dorastania ten nieludzki stwór stawał się coraz bardziej gwałtowny, zabijał każdego, kto mu stanął na drodze i siał postrach na ulicach Pragi. Koszmar skończył się, gdy obiecano twórcy Golema, że ustanie przemoc wobec Żydów. Wtedy Jehuda Loew stał z czoła Golema pierwszą literę, zamieniając słowo *emet* w *met*, co znaczy śmierć. Taki był koniec Golema.

– Jest coś prawdziwego w tej historii? – spytałem zafascynowany opowieścią Simóna.

– Tak, choć trudno w to uwierzyć. Rabin Loew istniał w rzeczywistości, jest ceniony wśród Żydów jako badacz starych ksiąg. Jego grób w Pradze jest wciąż atrakcją turystyczną i przyciąga rzesze zwiedzających. Wiadomo również, że za życia co najmniej raz spotkał się z Rudolfem Drugim.

– Kiedy?

– Dokładnie dwudziestego trzeciego lutego tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Jehuda Loew piastował urząd wielkiego rabina Pragi od tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego. Jego sława zataczała coraz szersze kręgi i cesarz wezwał go do siebie. W audyencji uczestniczył również syn rabina Sinai i zięć Izaak. Rozmowa dotyczyła kabały, którą pasjonował się Rudolf Drugi, a Jehuda znał ją doskonale. Umarł w tysiąc sześćset dziewiątym w Pradze, więc mógł znać zarówno Tychona, jak i Keplera. Co prawda nie ma na to dowodów, ale wiadomo, że spotkał się parę razy z Johnem Dee i Edwardem Kelleyem.

– Sądzisz, że Tychona zamordował jakiś specjalnie wyszkolony Golem? – zapytałem podstępnie.

– Nie wykluczam takiej możliwości – roześmiał się – lecz bar-

dziej mi odpowiada wersja z trucizną.

– Jestem innego zdania – wyznałem. – Może dlatego, że nao-glądałem się zbyt dużo odcinków *Dr. House'a*.

Wyjaśniłem Simónowi moją teorię z merbrominą. Tak jak przy-puszczałem, okazał duże zainteresowanie i namawiał mnie, żebym to opublikował. Ale gdzie?

v

Już jestem.

Juana przybyła punktualnie na nasze wirtualne spotkanie. John trochę się spóźnił. Przez parę pierwszych minut panowała grobowa cisza, z czego wywnioskowałem, że tych dwoje ma za sobą prywatną rozmowę. Uznałem to za normalne – John mnie uprzedził, że pragnie pogodzić się z Juaną – więc zaczekałem, aż ochłoną na tyle, że będzie możliwość porozmawiania w sieci we troje.

Przede wszystkim szukałam grobu Keplera – rozpoczęła Juana. – I tu pojawiło się pierwsze rozczarowanie. Johannes Kepler został pochowany na protestanckim cmentarzu Świętego Piotra w miej-scowości Regensburg siedemnastego listopada tysiąc sześćset trzydziestego roku. Na pogrzeb przybyło mnóstwo ludzi. Jedni znali go osobiście, inni tylko ze słyszenia. Grób przykryto płytą z epitafium, które Kepler sam dla siebie ułożył, tknięty nagłym przecuciem w przebłysku świadomości albo w momencie depresji, nie wiadomo.

Wymierzałem niebios, teraz mierzyć będę cienie Ziemi.

Dusza należała do niebios, cień ciała tu leży – zacytowałem piękne zdanie napisane specjalnie na tę okazję. – Ale dlaczego jesteś roz-czarowana? – zapytałem.

Ponieważ Kepler, nawet martwy i w grobie, nie uniknął nieszczęść wojennych – odparła Juana. – Kilka lat po jego śmierci Regensburg stał się sceną gwałtownych konfliktów i walk w ramach wojny trzydziestoletniej (1618-1648). Wielu protestantów, którzy znaleźli tu schronienie, dostało się niechcący między dwa ognie: z jednej strony siły cesarskie, z drugiej zaś luterańskie. Doszło do wielkiej bitwy, w której kawaleria zrównała z ziemią cmentarz Świętego Piotra. Grób

Keplera uległ zniszczeniu, nic nie pozostało, nie ma śladu po płycie. Nie wiadomo, gdzie teraz poniewierają się jego doczesne szczątki.

A więc nic z tego? – wtrącił po raz pierwszy John.

Kompletnie nic. Ale ostatnio postawiono mu pomnik nieopodal dawnego cmentarza.

Jestem sfrustrowany! – skomentowałem. – Okazuje się, że epitafium nie jest śladem.

Zaczekaj, Héctorze. Teraz będzie część najciekawsza i najbardziej zadziwiająca. – Musiałem przerwać, bo na moim monitorze szybko przesuwwały się słowa wystukiwane przez Juanę. – Hermes Trismegistus. Wedle waszych informacji Athanasius Kircher uważał go za starożytnego filozofa istniejącego w rzeczywistości. To jeszcze nie wszystko. Zidentyfikował go jako Mojżesza, który potrafił tłumaczyć pierwsze hieroglify zapisane w języku Adama.

I co dalej? – ponagliłem lekko niezadowolony z tego, że John wygadał się przed nią z naszych odkryć.

Najważniejszym spadkiem po Hermesie Trismegistusie jest tak zwana Tabula Smeragdina, czyli Szmaragdowa Tablica. Wedle tradycji albo legendy zawiera ona tekst, który jest oryginalnym źródłem filozofii hermetycznej i alchemii. Hermes wyrył go na szmaragdowych płytkach czy tabliczkach umieszczonych następnie w Królewskiej Komnacie Wielkiej Piramidy Cheopsa. Rzekomo zostały znalezione przez samego Aleksandra Wielkiego. Cała ta historia ma charakter apokryficzny, niemniej jednak treść Szmaragdowej Tablicy przetrwała do naszych czasów i jest dobrze znana badaczom filozofii okultystycznej od co najmniej dziesiątego wieku.

Nie widzę związku z epitafium – oświadczyłem.

Zobaczysz, jeśli przeczytasz jedno i drugie, a zwłaszcza gdy zwrócisz uwagę na główną sentencję: *To, co jest na dole, jest jak to, co na górze, a to, co jest na górze, jest jak to, co jest na dole.*

No właśnie – przerwał John. – Kepler mówi to samo w swoim epitafium. Że najpierw patrzył w górę, a potem w dół. Albo na odwrót.

– Jeden wielki galimatias, choć musi być w tym jakaś logika z punktu widzenia Athanasiusa Kirchera i jezuitę, który przypuszczalnie

napisał to zdanie na odwrocie płótna w rzymskim Panteonie – odezwał się znowu. – Jak brzmi pełny tekst tej Szmaragdowej Tablicy, Juano?

Zaraz wam wyślę, tylko skopiuję. W zasadzie uważa się, że jest to przepis na kamień filozoficzny niezbędny do transmutacji podstawowych metali w złoto, o czym dobrze wiemy. Skoro słońce oznacza w alchemii złoto, które jest ponad wszystkimi innymi rzeczami, każdy metal może zostać przekształcony w złoto – wyjaśniła. – Już mam kompletny tekst. Jest powszechnie znany w wersji łacińskiej, chociaż istnieją wątpliwości, czy rzeczywiście powstał w tym języku. W tłumaczeniu wygląda to tak:

Prawdziwe, bez fałszu, pewne i najprawdziwsze

to, co jest na dole, jest jak to, co na górze,

a to, co jest na górze, jest jak to, co jest na dole,

by dokonać cud Jednej Rzeczy.

*I tak jak wszystkie rzeczy pochodzą od Jednego poprzez mediację
Jednego,*

*tak wszystkie rzeczy zrodzone są z tej Jednej Rzeczy przez ad-
aptację,*

Słońce jest jej ojcem, Księżyc jej matką,

Wiatr nosił ją w swoim łonie, ziemia wykarmiła.

Ojciec wszelkiej Doskonałości całego Świata jest tutaj.

Jej moc pozostaje cała nawet wtedy, gdy przemienia się w Ziemię.

*Oddzielisz Ziemię od Ognia, subtelność od grubiaństwa, delikatnie
i nadzwyczaj pomysłowo.*

Wznosi się z Ziemi do Nieba i z powrotem schodzi na Ziemię

i przyjmuje w siebie moc rzeczy wyższych i niższych.

Tak posiędziesz chwałę całego Świata.

A wtedy wszelka ciemność od ciebie ucieknie.

Tu jest moc ponad moce, najsilniejsza siła forticy,

*k która przezwycięży każdą subtelną rzecz i przeniknie w każdą
recz stałą.*

Tak został stworzony Świat.

Będą wspaniałe adaptacje

osiągalne w sposób, o którym była mowa.

Dlatego nazywano mnie Hermesem Po Trzykroć Wielkim,

posiadaczem trzech części filozofii całego Świata.

To, co miałem powiedzieć o Słonecznym Dziele, jest teraz zakończone.

Epitafium Keplera nabiera głębszego sensu – napisałem po przeczytaniu przekładu Szmaragdowej Tablicy – gdy się zna cytat *Wznosi się z Ziemi do Nieba i z powrotem schodzi na Ziemię i przyjmuje w siebie moc rzeczy wyższych i niższych.*

Właśnie to chciałam wam uzmysłowić – wystukała zadowolona Juana.

v

Nasz czat dobiegł końca. Juana przeprosiła, że musi się wyłączyć, bo ojciec wzywają do jakichś czynności domowych. Wymieniłem jeszcze z Johnem parę prywatnych uwag. Obiecał przesłać mi pocztą elektroniczną wszystko, co znalazł na temat Wilfrida Voynicha. Juana o tym jeszcze nie wie – zaznaczył. Chwilę potem otwierałem plik dołączony do krótkiego e-maila.

Wyłfrid Michał Hadbank-Wojnicz – tak brzmi pełne imię i nazwisko Wilfrida Voynicha – urodził się 31 października 1865 roku w Kaunas na Litwie. Syn skromnego polskiego oficera ukończył z wyróżnieniem studia na wydziale chemii Uniwersytetu Moskiewskiego. Dał się porwać ideałom anarchistycznym i komunistycznym, wstępując do tajnej organizacji. Aresztowany za tę działalność został zesłany na Syberię. W 1890 roku udaje mu się wrócić do Rosji, a następnie uciec za granicę, najpierw do Hamburga, potem zaś do Londynu.

John wyjaśnił mi w swoim e-mailu, że właśnie z tego powodu zainteresował się niezwykłym życiem Wilfhda Voynicha.

W Londynie Wojnicz poślubia Lily Boole, córkę sławnego matematyka o tym samym nazwisku*. Razem z nią i z innymi uchodźcami z Europy Wschodniej podejmuje pracę w strukturach propa-

gandowych rewolucyjnej organizacji typu komunistycznego. Wiadomo na przykład, że potajemnie wprowadzili do Rosji tłumaczenia *Manifestu komunistycznego* Engelsa i *Kapitału* Marksa. Wojnicz zajmował się nie tylko propagowaniem literatury rewolucyjnej, lecz także przetłumaczył na angielski wielu ważnych autorów rosyjskich. Takie były początki późniejszego sławnego antykwariusza, tłumacza i eseisty Voynicha. Zmienia litewskie imię i nazwisko – Wylfrid Michał Hadbank-Wojnicz – na łatwiejsze do wymówienia dla Anglików: Wilfrid Michael Voynich i odtąd używa tylko tego, podpisując się krótko: Wilfrid M. Voynich. Inteligencja i ciekawość pchnęły go w kierunku starych, rzadkich książek. Na handlu inkunabulami można było zarobić duże pieniądze. W 1897 roku jest już wpływowym antykwariuszem i kolekcjonerem. Z pewnością miał zmysł do handlu, lecz mimo to wydaje się prawie niemożliwe, by w tak krótkim czasie dorobił się ogromnego majątku. Nie wiadomo też, w jaki sposób został właścicielem wyjątkowo cennej kolekcji starych manuskryptów. W 1898 roku wydał pierwszy katalog rzadkich książek (w sumie do 1902 roku wydał ich cztery) liczący ponad 1100 stron w luksusowej oprawie. W tymże 1902 roku cieszy się opinią najbardziej znanego sprzedawcy starych książek w Londynie. Otwiera antykwariat przy Soho Square 1.

* George Boole (1815-1864) – angielski matematyk i filozof, twórca tzw. algebry Boole'a, która leży u podstaw współczesnej arytmetyki komputerowej, uważany za jednego z założycieli nauk komputerowych.

Voynich wiele podróżował po Europie w poszukiwaniu książek do swoich katalogów. W 1912 roku podczas jednej z takich podróży zatrzymuje się we Włoszech, a dokładnie, w kolegium jezuickim Villa Mondragone we Frascati koło Rzymu...

Ta część historii jest wszystkim dobrze znana. Lub prawie. Miejscowy bibliotekarz Anselmo Hidalgo – nareszcie ten Hiszpan pojawia się na scenie wydarzeń – zaoferował mu kilka woluminów, spośród których Voynich wybiera jeden, wyjątkowo dziwny. Jest to niewielkich rozmiarów książka spisana piórem na pergaminie z cielejącej skóry z ilustracjami dziwnych roślin, nagich kobiet, cylindrowych naczyń i

kart astralnych. Napisana w języku, który budzi konsternację, ponieważ nie można go zrozumieć.

Oczywiście jest to książka znana dziś jako *Manuskrypt Voynicha*.

Resztę wydarzeń John relacjonuje krótko i wężłowato. W 1914 roku Voynich rozstaje się z żoną Lily Boole i przenosi interes do Nowego Jorku. W roku 1915 – Hidalgo przyjeżdża wtedy do Hiszpanii, by objąć zwierzchnictwo nad naszym nowym domem zakonnym – *Manuskrypt Voynicha* pojawia się po raz pierwszy publicznie. Ściśle mówiąc, w przeglądzie „Bulletin of the Art Institute of Chicago”, który służy Voynichowi jako odskocznia do zaznajomienia ekspertów z arkanami nabytej kilka lat wcześniej księgi. Od tego momentu zaczynają się pojawiać liczne próby rozszyfrowania i przetłumaczenia *Manuskryptu Voynicha*.

Trzeba przyznać, że relacja Johna zawiera wiele ciekawych rzeczy. Ale posiada też luki, które sam muszę wypełnić.

V

Tego dnia spędziłem na pracy w archiwum ponad trzy godziny.

W internecie nie ma całej historii Towarzystwa Jezusowego. Musiałem zakasać rękawy i wziąć się do roboty w starym stylu. Zacząłem od przeglądania ksiąg z dziennym zestawieniem przychodów i rozchodów. To nasze najstarsze archiwalia. Nic dziwnego, że uchodzimy za merkantylistów, pomyślałem z ironią, skoro zarchiwizowaliśmy głównie książki rachunkowe. W rejestrach wydatków znalazłem nazwisko Lazzariego w związku z kilkoma podrózkami do Toledo w towarzystwie paru innych zakonników, których nazwiska nic mi nie mówiły. To by się zgadzało ze wzmianką historyczną, jakoby ojciec Lazzari, bibliotekarz Collegium Romanum, zabiegał o audiencję u kardynała Zelady (który miał opinię najbardziej antyjezuickiego wśród purpuratów papieża Klemensa XIV) w sprawie zbiorów bibliotecznych Towarzystwa Jezusowego. W wyniku tej interwencji Zelada przyjął część kolekcji do swojej biblioteki tolekańskiej.

Z archiwalnych materiałów historycznych wynotowałem też kilka dobrze znanych faktów. W okresie od końca wojen napoleońskich, od

roku 1814 do 1824, nowy papież przywraca nasz zakon i majątek. Lista odzyskanych budynków jest długa. Do najważniejszych należą znajdujące się w Rzymie: kościół Gesu, Collegium Germanicum, Collegium Romanum, Nowicjat Świętego Andrzeja, kościół Świętego Ignacego i oczywiście Obserwatorium Astronomiczne i Panteon.

Nie wiedziałem, że Panteon należał do naszego zakonu.

I to akurat w okresie bardzo istotnym dla historii *Manuskryptu Voynicha*.

Ten szczegół pozwala łatwiej zrozumieć, dlaczego moi sławni przodkowie poruszali się po świątyni z taką swobodą i mieli łatwość pozostawiania śladów dla potomnych.

Wróciłem do Lazzariego i Hidalgo. Ten ostatni przyjął – chętnie lub pod przymusem – zwierzchnictwo nad nowym Kolegium w Hiszpanii wybudowanym na ruinach dawnego klasztoru, w którym przebywał kiedyś Lazzari (co jak co, ale nazwisko głównego bibliotekarza pojawia się wyjątkowo często) z zamiarem ukrycia części księgozbioru jezuitów. Hidalgo, który sprzedał manuskrypt samemu Voynichowi, mógł myśleć, że jego sekret nigdy nie wyjdzie na jaw z powodu braku stronic z kluczem szyfrowym.

Albo odwrotnie, Hidalgo przybył do Hiszpanii, żeby szukać brakujących stronic. Jeśli Voynich zapłacił dużą sumę pieniędzy za księgę nieczytelną, to z pewnością był gotów zapłacić jeszcze więcej za drugą część *Manuskryptu Voynicha*, która umożliwi odczytanie tej pierwszej.

Nieprzewidziane zdarzenie miało zakłócić rytm moich badań.

Co prawda nie takie znowu nieprzewidziane.

I nie tylko nie zakłóci, lecz pomoże moim badaniom, a dodatkowo wprowadzi miłe ożywienie. Zbliży się obrączkowe zaćmienie Słońca i John będzie w Hiszpanii, a przy okazji mnie odwiedzi. Jego zdaniem najlepszym miejscem do obserwacji jest środkowy pas od Galicji do Walencji przez całą Kastylię. Wydarzenie wspaniałe. Na następne zaćmienie tego rodzaju trzeba będzie czekać dwadzieścia lat.

Tak więc nie było w tym nic nieprzewidzianego. Zaćmienia Słońca można wyliczyć z matematyczną dokładnością, i to od dawna. Przyczynili się do tego w dużej mierze Tycho Brahe i Johannes Kepler.

Moi uczniowie byli rozentuzjasmowani prawie tak samo jak ja. Niezwykłe wydarzenie astronomiczne o niezwykłej urodzie – Księżyc znajdzie się pomiędzy Słońcem a Ziemią i zasłoni Słońce, zostawiając tylko wąski pierścień światła słonecznego wokół swojej tarczy. Stanie się to dopiero za tydzień, ale młodzież już przygotowała ciemne okulary ochronne, prymitywne teleskopy do obserwowania korony słonecznej w projekcji na papierowy ekran i aparaty fotograficzne z odpowiednim filtrem. Zaznaczyliśmy sobie ten dzień w kalendarzu.

Zaćmienia Słońca są dość częste, co roku można je obserwować w różnych częściach świata, ale to najbliższe zapowiadało się szczególnie atrakcyjnie. W Hiszpanii nie było takiego od 1959 roku i nie będzie do 2026 roku. To dużo czasu. Nie można stracić takiej okazji. Ostatnie zaćmienie obrączkowe – chyba najbardziej spektakularne – podziwiano na Półwyspie Iberyjskim 9 stycznia 1777 roku, dwadzieścia osiem lat temu.

– Héctorze, co to właściwie jest obrączkowe zaćmienie Słońca? – wypytywali niecierpliwie.

– Zaćmienie mamy wtedy – zacząłem wyjaśniać – gdy Księżyc znajdzie się pomiędzy Ziemią a Słońcem i zakryje światło słoneczne. Za kilka dni będziemy mieć zaćmienie prawie całkowite, ponieważ tarcza lunarna ustawi się dokładnie naprzeciwko tarczy solarnej. W tym czasie Księżyc jest w pozycji najbardziej oddalonej od Ziemi, dlatego jest trochę mniejszy. Dzięki temu nie zapadnie całkowita noc i zobaczymy świetlisty pierścień wokół naszego satelity. Zaćmienie, czyli eclipsa, znaczy po grecku: zniknięcie – dodałem. – Eclipsy mają wspaniałą historię.

– Opowiedz nam coś – poprosiła z przejęciem jedna z dziewczyn.

– Starożytni nie potrafili obliczać ruchów ciał niebieskich, toteż zaćmienia napawały ich panicznym lękiem. Dotyczyło to wszystkich ludów bez wyjątku, Majów, Chińczyków czy Egipcjan. Na ogół wiązano z tym klęski i nieszczęścia. Na przykład Chińczycy uważali, że wielki smok pożera Słońce. Astronomowie mieli obowiązek powiadomić o tym cesarza z pewnym wyprzedzeniem. Odstraszano bestię biciem w dzwony i na wszelkie sposoby starano się zapobiec panice. Dwaj cesarscy astronomowie zostali zgładzeni, ponieważ pomylili się w przewidywaniach. Majowie składali ofiary z ludzi. U niektórych ludów władza była przekazywana na kilka godzin w ręce innego króla, żeby potem obciążyć go winą za to nieszczęście. Ale wraz z nadejściem astronomii – kontynuowałem – zaczęto dostrzegać pewną periodyczność zaćmień. Już cztery tysiące lat temu astronomowie Mezopotamii ustalili, że takie zjawisko zdarza się raz na dwieście dwadzieścia trzy miesiące. Ale dopiero dużo później udało się przewidzieć zaćmienie. Uczynił to Tales z Miletu w roku pięćset osiemdziesiątym piątym przed naszą erą. Rezultat był cudowny.

– Dlaczego? – zapytał Simón, który dotąd nie otwierał ust.

Sięgnąłem po przyniesioną na tę okazję książkę. Kroniki Herodota. Przeczytałem krótki akapit:

Podczas walki dzień nagle ustąpił przed nocą. Tę przemianę przepowiedział był Jończykom Tales z Miletu, a jako termin ustalił właśnie ten rok, w którym ona istotnie nastąpiła. Lidyjczycy jednak i Medowie, widząc, że z dnia zrobiła się noc, zaniechali walki i obie

strony tym bardziej się pospieszyły, by zawrzeć pokój.

Odłożyłem książkę na bok i wyjaśniałem dalej:

– Herodot opowiada nam, jak przepowiednia Talesa uważanego za jednego z pierwszych greckich myślicieli położyła kres bitwie, która jeszcze się nie zaczęła. Sam Arystoteles powiedział, że to zaćmienie oznaczało dokładny moment narodzin filozofii.

– Hector zawsze mówi to samo – poskarżył się jakiś chłopak. – Że wszystko zaczęło się od astronomii.

– Bo ja w to naprawdę wierzę – odparłem z uśmiechem. – W chwili gdy istota ludzka wyprostowała się i zaczęła chodzić na dwóch nogach, przestała patrzeć w ziemię. Następnie podniosła wzrok ku niebu. To była tylko kwestia czasu. Wtedy zaczęła też stawiać sobie pytania, rozumować i myśleć. Stała się inteligentna.

– Przecież inteligencja jest darem boskim, no nie? – zaprotestowała pierwsza dziewczyna, zawsze świetnie przygotowana na lekcjach religii.

– Jest nim jako całość – odpowiedziałem. – Bóg stworzył świat. I człowieka na swoje podobieństwo. Ale nie szukajmy boskich wyjaśnień tam, gdzie nauka potrafi wyjaśnić rzecz po prostu swoimi metodami.

– Mój tata mówi, że małpa nie może zamienić się w człowieka. I że to się nie zgadza z Biblią – wytoczył najważniejszy argument sceptyczny uczeń.

– Co jeszcze mówi twój tata?

– Że nie można ufać jezuitom.

Cała klasa ryknęła śmiechem. Dołączyłem do nich. Dzwonek na przerwę wyratował mnie z opresji. Od rana dzieciaki dają mi do wiwatu.

V

– Zajrzyj do mnie po lekcjach, Héctorze. Musimy porozmawiać.

Głos Juliana po drugiej stronie telefonu brzmiał przyjaźnie. Nasza ostatnia zasadnicza rozmowa odbyła się w podziemiach domu obok ogromnej kamiennej ściany, która odgradzała nas od dawnych ście-

ków rzymskich i wyrosła wiele lat temu. Zgodziłem się na spotkanie zarówno z przyjaźni, jak i z posłuszeństwa.

Stałem właśnie przed jego drzwiami i pukałem.

– Wejdz – odezwał się zza drzwi.

v

Gabinet był zavalony papierami. Do obowiązków ekonoma, które czyniły go de facto odpowiedzialnym za nasz wikt i opierunek, doszły obowiązki przeora, toteż wszelka decyzja związana z naszą najbliższą przyszłością była w jego rękach. A z pewnością niektóre z nich już zapadły.

– Chciałem ci coś pokazać.

Podał mi teczkę z pożółkłymi kartkami papieru. Jakieś dziesięć–dwanaście arkuszy.

– Co to? – zapytałem, nie zaglądając do środka.

– Dokumenty z jednej z szuflad w biurku Carmela – powiedział.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Chciałem poprosić o wyjaśnienie, ale uznałem, że najpierw muszę zapoznać się z zawartością teczki. W środku był testament napisany po angielsku. Wyraz ostatniej woli niejakiego... Wilfrida Voynicha. Dostałem od Juliana dokument, którego nie znalazłem w gabinecie zmarłego przeora, kiedy wykonywałem swoje obowiązki archiwisty. Wtedy teczka była pusta.

– Niedawno pytałeś mnie o manuskrypt jakiegoś Voynicha i powiedziałem ci, że nic o tym nie wiem, ale potem przypomniałem sobie, że skądś znam to nazwisko. Tego szukałeś?

– I tak, i nie. – Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. – Oczywiście ten dokument ma dla mnie wielką wartość. Ale to nie jest *Manuskrypt Voynicha*, szesnastowieczny rękopis w nieznanym języku, dotychczas nieprzetłumaczony – kontynuowałem – tylko testament angielskiego antykwarium pochodzenia rosyjskiego, który odnalazł ów rękopis w początkach wieku.

Julián popatrzył na mnie ze smutkiem. Poczulem wstyd. Powinieniem był mu więcej zaufać. Julián wiedział o istnieniu podziem-

nych labiryntów, mógł się domyślać, że skrywają coś wartościowego – akcję usuwania nas z tego miejsca przeprowadzono zbyt agresywnie jak na firmę deweloperską – ale chyba nic nie wiedział o dziwnych losach starego rękopisu sporządzonego drobiazgowo prawdopodobnie przez Johna Dee, angielskiego maga. Postanowiłem uchylić rąbka tajemnicy.

– Nie wiem, jak do tego doszło – zacząłem ostrożnie – ale przez parę wieków *Manuskrypt Voynicha* ten należał do Towarzystwa Jezusowego. Trzymaliśmy go w ukryciu. Być może dlatego, że poruszał sprawy nienadające się do upowszechnienia, a może, powodowani dumą i pychą, chcieliśmy najpierw złamać kod i opracować tłumaczenie, a dopiero potem wydobyć go na światło dzienne.

– Gdzie teraz jest ta księga? – spytał z nieskrywaną ciekawością Julian.

– Na uniwersytecie amerykańskim w Yale – odparłem – jako przedmiot badań prowadzonych przez setki osób z całego świata.

– Na czym polega problem?

– Nikt nie umie jej odczytać. Niektórzy sądzą, że w przeszłości przetłumaczył ją jakiś jezuita, po czym wyjął i ukrył gdzieś strony zawierające kody. Pewne ślady – tu pozwoliłem sobie na maksimum niedyskrecji – prowadzą do Hiszpanii. Są związane z okresem kasaty zakonu i konieczności ukrycia naszych ksiąg i rękopisów – zakończyłem.

– Mamy to w naszym archiwum?

– Co? – odpowiedziałem pytaniem, udając niedomyślnego.

– Tę część z kodami.

– Nie mamy. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo – odparłem.

– Wobec tego nie ma o czym mówić. Zatrzymaj te papiery, jeśli chcesz.

– Dziękuję, Julianie. To ja już sobie pójdę.

– Tobie należą się podziękowania za dobrze wykonywaną pracę. Zobaczymy się przy kolacji.

Do kolacji, a nawet potem siedziałem nad testamentem Wilfrida Voynicha.

Pierwsze strony zawierały typowe adwokackie formalności, zawierały paragrafy z długą listą rzeczy należących do Voynicha, które na określonych warunkach miały być przekazane różnym członkom rodziny albo stowarzyszeniom kulturalnym i naukowym z tamtych czasów niekoniecznie wymienionym z nazwy. Spis przekazywanych książek wydawał się niekompletny. Widać było, że brakuje sporo stron testamentu. Jak mogłem wyczytać z preambuły, dokument miał być podzielony po śmierci autora, przy czym każdy z beneficjentów powinien był otrzymać kopię tekstu wspólnego i strony przeznaczone tylko dla niego. Beneficjentów było wielu, między innymi Oswaldo Pizarro. Domyśliłem się, że to ktoś z rodziny Juany, może nawet jej dziadek. To by się zgadzało z tym, co napisała do Thomasa van der Gila.

v

Miałem przed sobą kopię zapisu testamentowego na rzecz Anselma Hidalga, przeora naszego klasztoru w roku 1915. Testament został spisany w 1930 roku, rok przed śmiercią Voynicha. Antykwariusz prawdopodobnie nigdy się nie dowiedział, już umarł, i z jakiegoś powodu – który poznałem dopiero po przeczytaniu testamentu – uznał za konieczne wyjaśnić mu przed śmiercią sprawy utrzymywane dotąd w tajemnicy.

Cztery ostatnie strony testamentu mówiły o „zaszyfrowanej księdze Rogera Bacona”, jak nazywał ją Voynich. On sam zmarł przekonany, iż *Manuskrypt Voynicha*, który później weźmie od niego swą nazwę i zachowa ją do dziś, jest niewątpliwie dziełem franciszkańskiego mędrca. Opisywał szczegółowo, jak doszło do nabycia tej książki i na jakich warunkach sporządzono umowę kupna-sprzedaży. Wyrażał podziękowanie dla Towarzystwa Jezusowego za udostępnienie tak cennej książki do badań naukowych. Warunki transakcji uwzględniały żądanie jezuitów, by nie ujawniać pochodzenia książki, dokładnej ceny, nazwisk osób uczestniczących w pertraktacjach

(okazuje się jednak, że nastąpił przeciek w sprawie Anselma Hidalga, skoro John sam na to trafił) oraz zastosowanej przez jezuitów metody zabezpieczenia książki kodowej.

A więc istniała taka księga i Voynich o tym wiedział.

Ale to nie wszystko. Antykwariusz oświadczał, że nie zdołał jej znaleźć, i dlatego zwraca swojemu jezuickiemu partnerowi opis tej metody, który miał posłużyć do zlokalizowania książki. Następnie pojawiło się coś, co mnie zaskoczyło. Na ostatniej stronie testamentu przeznaczonego dla Anselma Hidalga Voynich odtworzył niezbyt dokładną wersję... Szmaragdowej Tablicy!

Starożytny tekst legendarnego Hermesa Trismegistusa posłużył jezuitom do ukrycia informacji o drugiej części *Manuskryptu Voynicha*, tak jak podejrzewaliśmy. To znaczy, że jesteśmy na właściwym tropie. Kolejni jezuitcy strażnicy klucza kodowego kontynuowali proceder Athanasiusa Kirchera. Z tonu ostatnich akapitów testamentu Voynicha można było wywnioskować, że cenny skarb przepadł i nikt, włączywszy w to członków mojego zakonu, nie potrafi go odnaleźć. W którymś momencie historii, być może na skutek dwóch kasat albo przez zapomnienie, niedopatrzenie łańcuch przekazu informacji został zerwany.

Ojciec wszelkiej Doskonałości całego Świata jest tutaj.

To, co miałem powiedzieć o Słonecznym Dziele, jest teraz zakończzone.

Prawdziwe, bez fałszu, pewne i najprawdziwsze

to, co jest na dole, jest jak to, co na górze,

a to, co jest na górze, jest jak to, co jest na dole,

by dokonać cud Jednej Rzeczy.

Tu jest moc ponad moce, najsilniejsza siła fortocy,

która przewycięży każdą subtelną rzecz i przeniknie w każdą rzecz stałą.

Tak został stworzony Świat.

Dlatego nazywano mnie Po Trzykroć Wielkim,

posiadaczem trzech części filozofii całego Świata.

*Słońce jest jej ojcem, Księżyc jej matką,
Wiatr nosił ją w swoim łonie, ziemia wykarmiła.
Ojciec wszelkiej Doskonałości całego Świata jest tutaj.
Jej moc pozostaje cała nawet wtedy, gdy przemienia się w ziemię.
Oddzielisz Ziemię od Ognia, subtelność od grubiaństwa,
delikatnie i nadzwyczaj pomysłowo.
Wznosi się z Ziemi do Nieba i z powrotem schodzi na Ziemię,
i przyjmuje w siebie moc rzeczy wyższych i niższych.
Tak posiądziesz chwałę całego Świata.*

*I tak jak wszystkie rzeczy pochodzą od Jednego poprzez mediację
Jednego
tak wszystkie rzeczy zrodzone są z tej Jednej Rzeczy przez adapta-
cję
A wtedy wszelka ciemność od ciebie ucieknie.
Będą wspaniałe adaptacje,
osiągalne w sposób, o którym była mowa.*

Teraz tylko Hermes Trismegistus ze swoją dziwną, alchemiczną wizją świata może nam podpowiedzieć, co Lazzari i jego ludzie zrobili z księgą, którą odczytał Kircher – ostatni z tych, co wszystko wiedzieli.

Natychmiast wysłałem do Johna pierwszą z pięciu strof, w których jezuici zapisali na nowo tekst ze Szmaragdowej Tablicy. A także do Juany. Czemu nie?

v

John odezwał się pierwszy na Messengerze.

Nie masz nic łatwiejszego? – zaczął kpiąco.

Wyteż umysł, Angliku – odparłem, rumieniąc się w swojej samotni na myśl o tym, że ośmieszam się przed przyjacielem. – Przepisuję jeszcze raz.

Od nowa skopiowałem pierwszą część cytowanego przez Voynicha tekstu, jego pierwszą strofę.

I co? – spytałem zaraz potem. – Jak to wyjaśnić?

- Odpowiem jednym słowem: Kepler.

- Teraz ty jesteś górą – stwierdziłem ironicznie. – Oświeł mnie swoją wiedzą, Johnie – poprosiłem tym samym tonem.

To proste, nawet zbyt proste – zaczął. – Kepler napisał w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym roku książkę *Harmonices Mundi*, czyli *Harmonia światów*, którą sam uznał za swoje największe dzieło. Poświęcił je swoim ostatnim teoriom, włącznie z Trzecim Prawem Keplera, które mówi, że kwadraty okresów obiegów planet wokół Słońca są proporcjonalne do trzecich potęg ich średnich odległości od Słońca. Wszystko jest w doskonałym porządku. Tak więc Ojcem wszelkiej Doskonałości całego Świata nie jest nikt inny jak sam Kepler.

- Spodziewaliśmy się tego – przerwałem Johnowi.

To, co miałem powiedzieć o Słonecznym Dziele, jest teraz zakończone – kontynuował. – To jaśniejsze niż Słońce. Ruch planetarny wokół królewskiej gwiazdy zostaje uregulowany przez niemieckiego mędrca. To wszystko jest prawdziwe, pewne i najprawdziwsze. Potem Kircher lub ktoś, kto posłużył się *a posteriori* apokryficznym tekstem ze Szmaragdowej Tablicy, aby skierować poszukiwaczy do miejsca ukrycia kluczy kodowych do *Manuskryptu Voynicha*, doda słynne powiedzenie „na górze i na dole, na dole i na górze”, którego Johannes Kepler użyje w swoim epitafium. Jeszcze jeden ślad, który idealnie pasuje. Doskonałość całego Świata – zauważył John, wracając do pierwszego wiersza.

Zaczekaj! A co z ostatnim zdaniem? – przypomniałem. – Co jest cudem Jednej Rzeczy?

Przez chwilę nic się nie działo na monitorze, po czym odezwała się Juana:

Czyż nie jest cudem rozwikłanie *Manuskryptu Voynicha*, dzieła jedyne w swoim rodzaju? – napisała.

v

Tak jak się obawiałem – i na co chyba liczyłem – John i Juana pracowali razem nad fragmentem, który im przesałem. „Jedna Rzecz” mogła z powodzeniem nawiązywać do *Manuskryptu Voyni-*

cha jako całości. Według moich przyjaciół dokonanie cudu Jednej Rzeczy to nic innego jak rozwiązanie zagadki zawartej na jego stronach. Kircher przeczytał tę książkę i – jak wynika z pierwszej strofy – zrozumiał wszystko dzięki Keplerowi, który przedstawił mu tłumaczenie hieroglificznego tekstu. Dlatego składa mu hołd w analizowanym przez nas fragmencie. A więc nie pomyliłem się. Możliwe, że *Manuskrypt Voynicha* przesłał Kircherowi jezuita Marcus Marci, który dowiedział się o jego rychłej nominacji na stanowisko cesarskiego matematyka. Kircher zastąpił Keplera. W ten sposób my, jezuitci, zapewniłiśmy sobie posiadanie cennej książki. Athanasius Kircher trafił w końcu do Rzymu, a książka razem z nim.

Pomyślałem, że zrewanżuję się moim przyjaciołom za wybryk z tajemniczą CD, którą podsunęli mi kilka tygodni temu, żeby zachęcić mnie do intensywniejszej pracy nad *Manuskrytem Voynicha*. Postanowiłem wysłać im drugą strofę.

*Tu jest moc ponad moce, najsilniejsza siła fortecy,
która przewycięży każdą subtelną rzecz i przeniknie w każdą rzecz
stałą.*

Tak został stworzony Świat.

*Dlatego nazywano mnie Po Trzykroć Wielkim,
posiadaczem trzech części filozofii całego Świata.*

Z tym że ja – w przeciwieństwie do nich – nie znałem rozwiązania tej zagadki.

v

Podczas gdy moi przyjaciele głowili się nad zadaniem, zająłem się inną niecierpiącą zwłoki sprawą. Chodziło o brytyjskiego zegarmistrza Johna Harissona, który rozwiązał problem mierzenia długości geograficznej na pełnym morzu. Co takiego on znalazł w tej historii, że jego imię jest wymalowane na murze zasłaniającym przejście w naszym podziemnym labiryncie?

Jak zwykle sprawdziłem w internecie.

John Harrison nie miał nic wspólnego z jezuitami. Ani z *Manu-*

skrypcem Voynicha, ani z próbami rozszyfrowania. Czy wiedział coś o kodach, kluczach, księdze kodowej? Kircher poświęcił sporą część życia na znalezienie praktycznej metody określania długości geograficznej, zajmował się tym również John Dee, a nawet Tycho Brahe. A jeśli to ma być cecha, która łączy protagonistów skomplikowanych dziejów *Manuskryptu Voynicha*, to powinien posiadać ją człowiek, który ukrył klucze do rozszyfrowania. Klucze tak precyzyjne, jak precyzyjny był Kepler przy wyliczaniu orbit planetarnych. A John Harrison to uosobienie precyzji. Zegarmistrz doskonały.

Problem długości geograficznej powstaje wraz z przemieszczaniem się na zachód. Przy każdej zmianie położenia o piętnaście stopni długości geograficznej nasze zegary spóźniają się o sześćdziesiąt minut w stosunku do czasu lokalnego dla miejsca, z którego wyruszyliśmy. Znając dokładnie lokalny czas w dwóch punktach, możemy obliczyć odległość między tymi miejscami. Siedemnastowieczni żeglarze orientowali się w czasie według Słońca. W ten sposób mieli jeden z dwóch niezbędnych punktów odniesienia. Dla celów żeglugi potrzebowali wiedzieć, która jest godzina w jakimś innym punkcie odniesienia, na przykład w Greenwich. W XVII wieku istniały już bardzo precyzyjne zegary, ale były to zegary wahadłowe. Nie najlepiej funkcjonowały na pokładzie statku przy ciągłym kołysaniu morskich fal.

Aby zsynchronizować taki zegar pokładowy z zegarem w Greenwich, wymyślano najrozmaitsze strategie. Niektóre tak ciekawe, jak pomysł z głośnym strzelaniem z dział armatnich starannie rozmieszczonych na Atlantyku. Klęska tych metod i wielka waga problemu spowodowały, że w 1714 roku angielski rząd ogłosił sławny konkurs z nagrodą w wysokości dwudziestu tysięcy funtów dla zwycięzcy, który zdoła określić długość z dokładnością do pół stopnia, co odpowiadało zaledwie dwóm minutom czasu realnego mierzonego za pomocą zegara. Kto był w stanie skonstruować przenośny zegar o takiej precyzji?

Tylko John Harrison.

Harrison zaprojektował i zbudował różne zegary, a każdy kolejny

bardziej precyzyjny od poprzedniego. Najlepszy z nich miał tylko trzynaście centymetrów średnicy i ważył niecałe dwa kilo. 18 listopada 1761 roku Wiliam Harrison junior wyruszył do Indii Zachodnich, zabierając na pokład ten ojcowski wynalazek. Po przybyciu na Jamajkę 19 czerwca 1762 roku sprawdzili, że zegar miał tylko pięciosekundowe opóźnienie w stosunku do pomiarów astronomicznych opartych na położeniu gwiazd stałych względem Księżyca. Dalsza część historii Harrisona dotyczy przede wszystkim jego starań, by odebrać zasłużoną nagrodę, co nie było takie łatwe. Ostatni model zaprojektowanego przez niego zegara zabrał na pokład kapitan James Cook, wyruszając w trzyletnią podróż od tropików do Atlantyku. Dienne zmiany w mierzeniu czasu nigdy nie przekroczyły ośmiu sekund, co odpowiada odległości dwóch mil nautycznych. To było naprawdę imponujące.

Po co ludzie zadawali sobie tyle trudu z mierzeniem czasu i odległości?

Głównie po to, by żeglować. Jezuici mieli w tym szczególny interes, ponieważ ich misje rozciągały się i nadal się rozciągają po całym świecie. Athanasius Kircher pragnął opracować w tym celu precyzyjną i dokładną *mappa mundi*.

Nagle przypomniałem sobie epitafium Keplera:

Wymierzałem niebiosa, teraz mierzyć będę cienie Ziemi.

Johannes Kepler i Tycho Brahe spędzili całe życie na obserwowaniu nieba. Ustalili i wymierzili z absolutną precyzją położenie gwiazd i planet. Jeśli Kepler zakładał, że po śmierci pójdzie do nieba – a był głęboko wierzący – to co mógł stamtąd obserwować i mierzyć? Odpowiedź była jedna.

v

A więc to, czego szukamy, jest mapą? – napisał John z drugiej strony monitora.

Właśnie tak, Angliku. Z góry widać Ziemię, tylko mniejszą – zauważyłem. – Reprezentacją Ziemi na papierze jest mapa, bardzo, ale to bardzo precyzyjna – odpowiedziałem na jego pytanie.

Gdzie mamy szukać tej mapy? – wtrąciła Juana, którą również zaprosiłem na czat.

Tego akurat nie wiem – napisałem. – Może odpowiedź jest ukryta w tekście Wilfrida Voynicha do przyjaciół jezuitów.

W każdym razie – kontynuowałem – szukamy czegoś, co przedstawiałoby mapę z końca siedemnastego lub początków osiemnastego wieku, czyli najbardziej zbliżoną do rzeczywistości *mappa mundi*, która uwzględniałaby z jednej strony technologiczne wynalazki Harrisona, z drugiej odkrycia i ekspedycje Cooka, a jednocześnie kierunki ekspansji jezuitów.

Zaczynamy od analizy tekstu – wystukał John – bo nic więcej nie mamy, a trzeba się czegoś trzymać.

Tu jest moc ponad moce, najsilniejsza siła fortecy – przypomniałem pierwszy wiersz drugiej strofy. – Jakieś sugestie?

Jeśli te słowa odnoszą się bezpośrednio do *Manuskryptu Voynicha* – zaczęła Juana, trzymając się swojego wątku – to czy twój klasztor możemy uważać za fortecę?

Obawiam się, że nie – odpisałem. – Nie mamy wysokich murów z blankami ani fos. Nigdy nie mieliśmy.

Zostawmy to na razie - kontynuowała Meksykanka. – Załóżmy na początek, że chodzi nam o zamek. Jakiś kasztel.

Kaszteli w Kastylii nie brakuje, prawda? – włączył się John. – Który z nich mogli wziąć pod uwagę jezuita?

Wszystkie. Jeśli oczywiście ukryli w tym regionie księgę kodową do *Manuskryptu Voynicha* – odparłem rozczarowany naszym brakiem wyobraźni. – Przejdźmy lepiej do następnego zdania.

Która przezwycięży każdą subtelną rzecz i przeniknie w każdą rzecz stałą – tym razem skopiowała to Juana. – Nic mi nie przychodzi do głowy.

Co jest w stanie przeniknąć ciała stałe? – zapytałem.

Na przykład kwas lub promienie rentgenowskie – odpowiedział John bez większego przekonania. – Te ostatnie odkryto dopiero w dwudziestym wieku, więc odpadają.

Zastanówmy się nad kwasem – zasugerowałem. – Które z was zna

się na chemii?

Ja – odpowiedział znowu John. – Kwas siarkowy? Woda królewska?

Woda królewska, podoba mi się ta nazwa. Co to jest? - zapytała Juana.

Roztwór stężonego kwasu solnego i azotowego. Substancja żrąca w kolorze żółtym. Rozpuszcza wszystko, nawet złoto i platynę, czyli metale szlachetne zwane królewskimi. Dlatego tak się nazywa. Mało odczynników posiada tę cechę – odpisał John w odpowiedzi na pytanie Juany.

No to jeszcze bardziej mi się podoba – zabrała głos na ekranie Juana. – Świetnie współgra z alchemią, zwłaszcza gdy człowiek sobie uzmysłowi, że inspiracją do tekstów hermetycznych jest kamień filozoficzny. A jeśli chodzi o miejsce...

Jeśli chodzi o miejsce – przerwał jej John – to może być woda w rzece obok czegoś królewskiego. Powiedzmy, zamek królewski nad rzeką.

Zrobiliśmy krok naprzód, choć nie wiem, czy w dobrym kierunku – zauważyłem z lekkim ożywieniem. – Teraz trzecie zdanie: *Tak został stworzony Świat* – napisałem. – To bardzo dwuznaczne.

Świat został stworzony w ciągu sześciu dni, a siódmego dnia Bóg odpoczął. Wszystko jest w Księdze Rodzaju – napisała Juana.

Spodziewałem się najgorszego i nie omyliłem się.

Nie pleć głupstw – zareagował natychmiast John. – Mamy wspólną teorię Big Bang, która wyjaśnia stworzenie wszechświata. Nie trzeba uciekać się do Biblii i kościelnych kazań.

Tak, tak, masz rację – zadrwiła Juana. – Wspólna teoria, dobrze powiedziałeś.

Nie klóćcie się – zainterweniowałem. – Big Bang jest faktem naukowo udowodnionym. Początkiem wszechświata takiego, jaki znamy. Jednocześnie my, ludzie wierzący – świadomie stanąłem po stronie Juany, by uniknąć większego zła – uznajemy oparty na wierze argument, że Bóg jest Pierwszym Sprawcą.

Tym, który zasadził ziarenko – teraz ironizował John. – Nie wchodź

do wody, jak się nie chcesz zamoczyć, Héctorze.

Czego się czepiasz? – zareplikowałem nerwowo. – Ojciec Big Bangu był jezuitą, jak ci wiadomo. To Georges Lemaître, wspaniały matematyk i fizyk. Jego argumenty mają silne podstawy naukowe. Zasługą Edwina Hubble'a jest głównie potwierdzenie za pomocą obserwacji tego, co ten belgijski jezuita osiągnął w pracy nad równaniami Einsteina. Jeśli wszechświat jest w stanie ekspansji, jak ocenił Hubble przy użyciu teleskopów, można logicznie pomyśleć, że w przeszłości zajmował przestrzeń coraz to mniejszą i w jakimś początkowym momencie był skurczony do stadium „prymitywnego atomu”. Tak twierdzą dziś prawie wszyscy, lecz nikt nie opracował tej myśli naukowo, dopóki Georges Lemaître nie przedstawił jej w artykule opublikowanym w prestiżowym czasopiśmie angielskim „Nature” w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym, jeśli się nie mylę – zakończyłem z lekką zadyszką po długim i szybkim uderzaniu w klawisze.

Jak możesz mówić takie rzeczy! – ruszyła do ataku Juana, występując tym razem przeciwko mnie. – Jesteś księdzem, sługą Boga Stwórcy!

A co to ma do rzeczy? – broniłem się gwałtownie, odpierając zarzuty ze wszystkich stron. – Lemaître nie był księdzem, który poświęcił się nauce, ani naukowcem, który został księdzem. Od początku był jednocześnie i księdzem, i naukowcem. Te dwa światy są kompatybilne. Część naukowców, w tym Einstein, spoglądali nieufnie na Lemaître'a, lecz on traktował swoją hipotezę naukową najzupełniej poważnie i uważał, że wspiera w ten sposób religijną koncepcję stworzenia. Jednakże nigdy nie próbował podporządkować nauki religii. Był przekonany, że nauka i religia to dwie różne drogi komplementarne, które łączą się w prawdzie. Już jako przewodniczący Papieskiej Akademii Nauk uważał, że wypadałoby wyjaśnić tę sytuację, i radził Ojcu Świętemu Piusowi Dwunastemu unikać deklaracji, które prowadziłyby do nieporozumień. Pius Dwunasty wziął to pod uwagę w swoich wystąpieniach publicznych, gdyż liczył się ze zdaniem Lemaître'a.

Na czym stanęliśmy? – spytał nerwowo John.

Daj mi jeszcze minutę – poprosiłem.

Szybko przerzuciłem książki na półce, szukając pewnego tekstu. A kiedy znalazłem, poszukałem jeszcze raz w Google, zaznaczyłem i skopiowałem, zamiast go przepisywać. Zajęło mi to minutę.

Chrześcijański naukowiec ma takie same środki jak jego niewierzący kolega. Ma też taką samą wolność umysłu, jeśli jego pojęcie na temat prawd religijnych odpowiada poziomowi wykształcenia. Wie, że wszystko uczynił Bóg, lecz wie również, że Bóg nie wyręcza swoich stworzeń w działaniu. Wszechobecna działalność boska jest wszędzie ukryta. Nigdy nie uda się zredukować Najwyższej Istoty do hipotezy naukowej. Dlatego naukowiec-chrześcijanin ma odwagę iść naprzód z przekonaniem, iż jego badania nie są w konflikcie z wiarą.

Nie przekonałeś mnie – napisał John.

Mnie też nie. Choć z zupełnie innych powodów – odezwała się Juana.

Nie pozostaje nam nic innego, jak ponownie skupić się na tekście Wilfrida Voynicha i jego manuskrypcie. Nie traćmy więcej czasu na takie dyskusje – poprosiłem.

Przez dłuższą chwilę rozbieraliśmy drugą strofę na czynniki pierwsze.

Bez większych rezultatów.

– Mam nowe informacje o Golemie.

Simón wrócił do klasy, zamiast grać w piłkę jak jego koledzy. Oderwałem wzrok od poprawianych klasówek.

– Opowiadaj.

– Sam zobacz. Homunkulus alchemika Paracelsusa i Golem żydowskiego rabina z Pragi często występują razem. Można ich nawet pomylić.

Położył na stole plik stron wydrukowanych z internetu. Były na nich dziwne ludziki o najrozmaitszych kształtach i kolorach.

Obejrzałem to i pokręciłem głową.

– Simónie, to tylko wytwór fantazji. Oddalamy się od głównego tematu, którym jest śmierć astronoma i alchemika Tychona Brahego. On nie był czarownikiem, tylko poważnym naukowcem – zaznaczyłem.

Simón spojrzał na mnie rozczarowany.

– Myślałem, że to może ci się przydać – powiedział na swoją obronę. – Zostawiam ci te kartki.

I wyszedł, bo jeszcze było trochę czasu do końca przerwy.

Uporządkowałem biurko nauczycielskie, układając po jednej stronie klasówki, a po drugiej wydruki Simóna. Kartki były nieponumerowane. Rzuciłem okiem na pierwszą z brzegu. Zawierała opis mandragory, dziwacznej rośliny o właściwościach halucynogennych, która kojarzyła się zazwyczaj z magicznymi rytuałami. To może być ciekawsze niż klasówki, pomyślałem znudzony poprawianiem zadań.

styki naukowej. Według tego źródła istnieją dwa różne rodzaje homunkulusa, w zależności od metody użytej do jego wytwarzania. Jedna z nich wykorzystuje korzeń mandragory. Według podań ludowych mandragora rośnie pod szubienicami, tam, gdzie spada nasienie wisielca, który ponoć tuż przed śmiercią ma silną ejakulację. Korzenie mandragory przypominają kształtem zarys ludzkiej istoty. Wygląda to jak kukielka. Aby ożywić taki korzeń, trzeba wyrwać go w piątkowy poranek przed świtem, używając do tego celu czarnego psa. Potem umyć i zalać mlekiem z miodem – niektóre przepisy zalecają dodatek krwi. Powstanie z tego karzelek, który będzie strzegł swojego pana tak samo wiernie jak Golem.

Muszę przyznać, że to ciekawe.

Po powrocie do pokoju zacząłem szukać więcej informacji na temat tej dziwnej rośliny. Wyraz „mandragora” pochodzi z języka greckiego i oznacza: „szkodliwa dla bydła”. W skład chemiczny mandragory wchodzi głównie alkaloidy, toteż w dużych dawkach może być trująca. Używano jej również jako środka znieczulającego, ponieważ te alkaloidy działają łagodząco na bodźce nerwowe. Korzeń mandragory jest gruby i rozgałęziony, przypomina swym kształtem śmiesznego człowieczka. To już wiedziałem. Należy do rodziny psiankowatych, po łacinie *solarium*, co znaczy „roślina nocnych cieni”.

Tyle znalazłem w dziale botanicznym i ogrodniczym. Część magiczna jest dużo bardziej rozbudowana i fascynująca. Według legendy, kiedy wrywamy mandragorę – to znaczy wyciągamy na wierzch człowieczka ukrytego pod ziemią – roślina krzyczy tak okropnie, że można zwariować, a nawet zginąć od tego krzyku. Dlatego istnieje specjalny proceder wrywania, który pozwala uniknąć tych niepożądanych skutków. Polega to na tym, że przywiązujemy roślinę do psiego ogona i szybko się oddalamy, szczując psa. Po wyciągnięciu korzenia mandragory na światło dzienne zwierzę prawdopodobnie zdechnie od jej przeraźliwego krzyku, lecz jego właściciel staje się posiadaczem cennego korzenia, nic nie ryzykując. Oprócz właściwości przeciwbólowych i nasennych mandragora ma

zbawienne skutki dla bezpłodnych kobiet, o czym wspomina Księga Rodzaju. Stosowano ją również jako afrodyzjak.

Dlaczego ta roślina tak mnie frapuje?

Niechący przyszedł mi na myśl trzeci akapit z testamentu Wilfrida Voynicha:

Słońce jest jej ojcem, Księżyc jej matką,

Wiatr nosił ją w swoim łonie, ziemia wykarmiła.

Jej moc pozostaje cała nawet wtedy, gdy przemienia się w ziemię.

To brzmiało zupełnie jak zagadka, której rozwiązaniem jest mandragora. Ta roślina żyje w słońcu, ale potrzebuje też księżyca i cienia, żeby rosnąć. Wiatr unosi jej nasiona, zanim spadną na ziemię, żeby wykiełkować. A poza tym, jak mówi legenda, wyrasta z nasienia wisielca spływającego na ziemię, które mimo kontaktu ze śmiercią niesie w sobie płodność.

Czy to nie fantastyczne?

Ale najciekawsze miało się dopiero zdarzyć.

Manuskrypt Voynicha obfituje w ryciny egzotycznych roślin, w większości nieznanych lub wymyślonych. Zapamiętałem, że niektóre z nich mają grube, mięsiste korzenie... zupełnie jak mandragora.

Włączyłem komputer i sprawdziłem fotokopie stron *Manuskryptu Voynicha*. Zacząłem od ostatnich. Co za niezwykła zbieżność! Miałem to samo uczucie, jak wtedy, gdy zrozumiałem, że jezuici posłużyli się rysunkami kobiet w puszkach, by zaprowadzić nas do Panteonu. Po raz kolejny ślad umieszczony *a posteriori* przez nieznanego jezuitę wskazywał na ścisły związek między *Manuskrytem Voynicha* a lokalizacją kluczy kodowych.

Dziwne znaki „voynichiańskie” przeplatały się z czymś, co można chyba uznać za korzenie egzotycznych mandragor. Ale najdziwniejsze było to, że obok figurowały wieże. Przy każdym kolejnym rysunku.

Były to wieże zamkowe.



v

Jesteś pewien, że ta trzecia strofa ma nam uzmysłowić związek mandragory z jakimś zamkiem, w którym ukryto księgę kodową? – napisał John.

Czemu nie? – odpisałem. – Mielibyśmy kolejny znak, by szukać królewskiego kasztelu w Kastylii nad rzeką. Musi to być zamek, który służył kiedyś za więzienie.

Dlaczego więzienie? Nie rozumiem – napisał John.

Rusz głową, to zrozumiesz – odpowiedziałem.

Ruszam, ale to nie pomaga.

Spróbuj jeszcze – zaproponowałem. – Dlaczego mandragora rośnie na terenie więzienia? Bo to było miejsce egzekucji.

Hm. Trochę naciągane. Z tego, co wiem, w Hiszpanii rzadko stosowano karę śmierci przez powieszenie. Były inne sposoby – przypomniiał. – À propos, nie wiesz, co się dzieje z Juaną? Dlaczego nie zaprosiłeś jej na czat?

Zaprosiłem, ale nie przyszła.

Jeszcze nie skończyłem pisać tego zdania, kiedy pojawiła się Juana, wypełniając monitor słowami z szybkością karabinu maszynowego.

John, Hector, witajcie – zaczęła. – To, co mówisz o mandragorze, jest bardzo ciekawe i rzeczywiście może mieć związek ze sławną ryciną z *Manuskryptu Voynicha*, na której widać zamki, ale ja uważam, że trzecią strofę z testamentu Voynicha można wyjaśnić dużo prościej, i dziwię się, że wy, astronomowie, na to nie wpadliście.

Co chcesz powiedzieć? – spytałem.

Zaczekaj, już kopiuję: *Słońce jest jej ojcem, Księżyc jej matką, wiatr nosił ją w swoim tonie, ziemia wykarmiła*. A teraz pytanie: jaki efekt wywołuje Księżyc i Słońce na ziemi.

Przyptywy i odpływy? – odparł przytomnie John.

Ciepło, ale nie gorąco – napisała i na pewno uśmiechała się pod nosem. – Druga odpowiedź: co robi wiatr według poetów?

Porusza Księżycem, żeby przykryć Słońce! – odpowiedziałem błyskawicznie.

Chodzi ci o zaćmienie Słońca? – zapytał oszołomiony John.

No tak! Po co komplikować to, co jest oczywiste – odpisała Juana.

Ale co ma wspólnego zaćmienie Słońca z zamkiem i całą resztą? – zaprotestował John, który nie był dziś w dobrej formie.

Już wcześniej miałem to na końcu języka, ale wydawało mi się niemożliwe, dopiero teraz doznałem olśnienia:

SIMANCAS!

Mam nadzieję, że moi przyjaciele nie obrazili się, gdy nazwę tego sławnego zamku napisałem dużymi literami*. Zrozumieli, że to pod wpływem emocji, a nie z braku wychowania. Wszystko pasowało. Puzzle ułożyły piękną całość łącznie z fosą i blankami murów. Gdy Juana powiedziała o zaciemnieniu Słońca, zapaliło mi się w głowie światelko. Moim uczniom bardziej niż historia opisana przez Talesa z Miletu spodobała się właśnie opowieść o zaćmieniu Słońca w Simancas. Może dlatego, że to niedaleko od naszego miasta, a może z powodu legendy, w jaką obrosło niezwykle wydarzenie z roku 939. W owym czasie toczyły się walki o ziemie nad Duero. Armia króla Leónu Ramira II starła się z andaluzyjskim wojskiem kalifa Abd al-Rahmana III pod murami miasta Simancas. Wszystko zaczęło się od tego, że Abd al-Rahman III wyruszył na podbój chrześcijańskich terytoriów na północy. Zgromadził u swego boku rzesze wojowników, mógł również liczyć na pomoc Abu-Yahyi, gubernatora Saragossy. Król Leónu Ramiro II poprowadził do bitwy nie tylko swoje oddziały, ale także armię hrabiego Kastylii Fernána Gonzáleza i żołnierzy przybyłych z Galicji i Austrii oraz z królestwa Nawarry. Kroniki tak przedstawiają to wydarzenie:

* W internetowych rozmowach na czacie pisanie dużymi literami uważa się za brak wychowania, ponieważ oznacza to samo, co wściekły krzyk w zwykłej rozmowie.

Kiedy wojska starły się pod Simancas, nastąpiło przeraźliwe zaćmienie Słońca i w południe żółtawa ciemność zakryła ziemię, ku wielkiemu przerażeniu naszych i niewiernych, którzy też nigdy w życiu nie widzieli czegoś podobnego. Przez dwa dni jedni i drudzy stali naprzeciwko siebie, bojąc się poruszyć. W końcu ci z Al-Andalus przegrali bitwę, a po powrocie do Kordoby Abd al-Rahman III kazał ukrzyżować trzystu dowódców za tchórzostwo.

Zaćmienie Słońca w Kastylii kojarzy się natychmiast z bitwą pod Simancas i warownym zamkiem położonym w strategicznym miejscu nad Pisuergą, ważnym dopływem wielkiej rzeki Duero, zaledwie

dziesięć kilometrów od Valladolid, stolicy kastylijskiej. Kolejne puzzle też układają się same. Obecny zamek pochodzi z XV wieku. Został wzniesiony przez admirała Kastylii don Fadrique Enríqueza i potem przekazany Koronie. Dlatego Karol V, a zwłaszcza Filip II byli jego właścicielami. Postanowili ulokować tam Główne Archiwum Królestwa, które mieści się w zamku do tej pory. W wiekach XVI i XVII został przebudowany i dostosowany do swojej nowej funkcji. Prace toczyły się pod kierunkiem architektów Juana de Herrery i Francisca de Mory. W pierwszym okresie mieściło się w nim państwowe więzienie.

Wszystko pasuje. Nawet więzienie.

Jezuici mądrze wybrali ten zamek na miejsce ukrycia *Manuskryptu Voynicha*. Czy może być dla cennego dokumentu kryjówka lepsza niż wielkie Archiwum Korony hiszpańskiej? Idealne miejsce na przechowywanie tajemniczej księgi. Może tam leżeć latami i nikt się nie zorientuje. W wiekach XVI i XVII archiwum w Simancas stanowiło centrum administracyjnej działalności rozległych terytoriów Korony, dlatego dziś jest jednym z najważniejszych ośrodków badawczych dla naukowców zajmujących się historią Europy. Hiszpania, wielka światowa potęga za panowania Karola V i Filipa II, miała w Simancas główne ogniwo całego łańcucha organizacyjnego.

Zarówno Juana, jak i John – który i tak zamierzał mnie odwiedzić w najbliższym czasie – zarezerwowali natychmiast bilety lotnicze do Madrytu. Byli rozentuzjzmowani tak samo jak ja możliwością rychłego odnalezienia drugiej części *Manuskryptu Voynicha*, księgi kodowej, czyli czegoś, co pozwoli nam wreszcie złamać szyfr. Za dwa dni znowu mieliśmy się spotkać we troje.

v

– Ślicznie wyglądasz – powiedziałem do mojej przyjaciółki Juany, kiedy wysiadła z pociągu.

– Tobie też nic nie brakuje – odpowiedziała z uśmiechem, podając mi ogromną walizę, którą już znałem. O mało się nie przewróciłem pod jej ciężarem.

Jak zwykle pocałowaliśmy się w oba policzki i wymieniliśmy uściski. Wydawało mi się, że drżała, gdy ją przytuliłem na powitanie.

John miał przyjechać za dwie godziny. Postanowiliśmy zaczekać na niego w kawiarni dworcowej. Nie chciałem pytać, dlaczego nie umówili się w Madrycie, żeby przyjechać razem, zresztą domyślałem się powodu. Nie układało się między nimi i gdy praca nad *Manuskryptem Voynicha* wymagała bezpośredniego spotkania, zawsze starali się, żebym był z nimi. A raczej między nimi.

Skorzystałem z okazji, by zadać jej kilka pytań. Nie odważyłem się tego zrobić listownie ani przez telefon, ale na swoim terytorium miałem większą pewność siebie. Moje miasto, mój dom zakonny, mój zamek – mogę chyba tak powiedzieć – i filiżanka mocnej kawy na stole. Zebrałem się na odwagę i zapytałem:

– Juano, właściwie dlaczego chcesz rozwikłać tajemnicę *Manuskryptu Voynicha*?

Spojrzała na mnie zdziwiona. Po kilku sekundach odpowiedziała:

– Myślę, że z tych samych powodów co ty. Z tych samych co John i wiele innych osób z Listy Voynicha. Pasjonują nas tajemnice, zagadki, szyfry i klucze.

Uśmiechnąłem się z powątpiewaniem. Wyczuła, że jej nie dowierzam.

– Może ktoś cię poprosił, żebyś tym się zajęła?

– Nawet jeśli tak było, co to zmienia? – rzuciła wyzywająco.

– W zasadzie nic – odpowiedziałem – ale lubię wiedzieć, czy mogę zaufać przyjaciółom.

– Mnie możesz zaufać – rzekła, patrząc mi w oczy. Po czym dodała: – Owszem, ktoś mnie o to poprosił. Ktoś, komu dużo zawdzięczam. Bardzo dużo.

– Dlaczego ten ktoś chce mieć tłumaczenie *Manuskryptu Voynicha*? – pytałem dalej spokojniejszym już tonem, gdyż wyczułem, że Juanie ciąży ten sekret i chętnie się od niego uwolni. Była zdeterminowana jak ktoś, kto przychodzi się wypowiedzieć, by odzyskać wreszcie spokój duszy.

– Nie mogę odpowiedzieć ci na to pytanie, Héctorze. Naprawdę

nie mogę.

Poczułem się zawiedziony. Pomyślałem, że trzeba postawić sprawę jasno.

– Kim jest Thomas van der Gil?

– Przyjaciel.

– To wszystko? – zacząłem się niecierpliwić.

– Przyjaciel mój i mojego ojca – odpowiedziała miękko i spuściła oczy. – Pomógł mi, kiedy byłem w klinice. Pamiętasz? Pisałam ci o tym.

– Tak, pamiętam. Nie masz się czego wstydzić – zaznaczyłem.

– Nadzwyczajny człowiek! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak daleko sięgają jego wpływy i jakich ma przyjaciół.

– Wiem coś na ten temat. Internet jest potęgą. Ale nie rozumiem, co w tym nadzwyczajnego, że ktoś ma wpływy i władzę.

– Źle mnie zrozumiałeś, Héctorze. Miałam na myśli jego sposób mówienia i dar przekonywania. Potrafi dotrzeć do każdego człowieka ze Słowem Bożym. Dawać nadzieję na nowe życie.

– Jestem jezuitą, Juano – przerwałem z lekka rozdrażniony, że tak się zachwyca tym osobnikiem. – Nie miałem jeszcze szczęścia otrzymać skierowania na misję, ale wiem, co to znaczy głosić Dobrą Nowinę.

– Zdaję sobie z tego sprawę i podziwiam cię za to. Ale kiedyś już rozmawialiśmy, że mamy różne wizje Kościoła.

– To nie jest teraz najważniejsze. Tu chodzi o mój klasztor i mój dom, o moich braci.

– Nie wiem, jak do tego doszedłeś, że to my kupujemy budynek. Chociaż znając twoją inteligencję, nie powinnam się dziwić.

– Po co wam to? – zapytałem trochę rozniewany na Juanę za jej nagłą szczerość. – Po co wam ta kupa cegieł? Tam nie ma tłumaczenia *Manuskryptu Voynicha*.

– Nie jesteśmy o tym przekonani – zaznaczyła, odzyskując pewność siebie.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że ślad wiodący do Simancas jest całkowicie wiarygodny. Testament Wilfrida Voynicha mówi o tym

wyraźnie.

– My też mamy część testamentu – odparła.

– Wiem – potwierdziłem. – Domyślam się, że dlatego chcecie nabyć nasz teren.

– Nie ukrywam, że tak – powiedziała. – Wiedzieliśmy o podróży Lazzariego do twojego klasztoru i o umowie kupna-sprzedaży między Voynichem i Anselmem Hidalgiem dużo wcześniej, niż ty zacząłeś szperać w waszym archiwum. Pierwszą ofertę złożyliśmy jakiś czas temu.

– Dlatego mi groziliście? – Podniosłem nieco głos.

Juana się wystraszyła.

– Nikt ci nie groził.

– Nie?

Moja cierpliwość była już na skraju wyczerpania.

– Oczywiście, że nie – odparła. – Sama to zrobiłam, choć zapewniam cię, że nie mam dużej wprawy w przełazeniu przez mur i malowaniu graffiti nocą.

Uzmysłowiłem sobie w tym momencie, że Juana złożyła mi wizytę – jako Waldo przemieniony w piękną kobietę – zaraz po tej aferze z odkryciem napisu w języku „voynichiańskim” na murze przyszkolonego dziedzica.

– To nie było skierowane przeciwko tobie – wyznała.

Zdziwiłem się. Juana zamierzała udzielać dalszych wyjaśnień, świadoma, że prędzej czy później ta prawda musiała wyjść na jaw.

– Gniew Achillesa nie spada na Hektora – powiedziałem, otwierając szeroko oczy.

– Nie! – Roześmiała się po raz pierwszy. – Gniew Achillesa spada na Agamemnona, wodza wojsk greckich. Przypomnij sobie porwanie Chryzeidy i Bryzeidy.

Niewiele pamiętałem z *Iliady*.

– Chcieliśmy wyrzucić presję na twojego byłego przeora. To nie był dobry pomysł, jak sądzę.

Fatalny. Zwłaszcza jeśli wiedzieli o jego złym stanie zdrowia. Carmelo, oprócz tego, że uczył greki w szkole, znał częściowo

historię *Manuskryptu Voynicha* jako wieloletni przełożony naszego domu, interesował się dziwnym słownictwem i przechowywał w swoim biurku zapis testamentowy sporządzony przez Wilfrida Voynicha, a poza tym pochodził z rodziny skromnych hodowców trzody. O tym wszystkim dowiedziałem się dopiero po jego śmierci.

– Aha – pojąłem wreszcie. – Agamemnon i jego świniopas.

– No właśnie. On to rozumiał, ale nie chciał nic słyszeć o sprzedaży. Julian jest nam bardziej przychylny – wyznała. – Bardzo nam przykro z powodu tego, co stało się z Carmelem. Na wieść o jego śmierci podwoiliśmy ofertę i złożyliśmy nowemu przeorowi nasze najszczerze kondolencje.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Jeśli Julian – mój obecny przeor – uzgodnił już uczciwą cenę za ziemię i, jak się zdaje, druga część *Manuskryptu Voynicha* nie została ukryta ani w archiwum biblioteki, ani w podziemnym labiryncie, nie ma większego znaczenia, czy kilof obróci to wszystko w pył, czy nie. W końcu mówi się o nas, że jesteśmy zakonem merkantylistycznym. Trudno.

W tym momencie zapowiedziano przez megafony pociąg z Madrytu, którym przyjeżdża John.

– Chodźmy na peron – zaproponowałem Juanie, biorąc ją za rękę. Jednocześnie położyłem na stole banknot pięcioeurowy, żeby uregulować rachunek za konsumpcję. – Twój były narzeczony zaraz tu będzie.

Uśmiechnąłem się do niej. Odpowiedziała porozumiewawczym uśmiechem.

Oboje za wszelką cenę pragnęliśmy rozwiązać tajemnicę *Manuskryptu Voynicha*. Potem będzie czas na rozmowy.

Juana zamieszkała w tym samym hotelu co poprzednio – takim z wieloma gwiazdkami, jak mówiła żartobliwie – a John przyjął zaproszenie Juliana do naszego domu, gdzie czekał na niego wolny pokój. Wieczorem, kiedy Juana została w swoim hotelowym apartamencie, żeby odpocząć po długiej podróży z Meksyku, zrobiliśmy

sobie z Johnem mocną kawę w moim pokoju. Z nim też chciałem porozmawiać na osobności, twarzą w twarz.

– Jak się masz? – zacząłem.

– Średnio na jeża. Raz na wozie, raz pod wozem – odpowiedział z celową dwuznacznością.

– A dokładniej?

– Chodzi o Juanę. Wciąż ją kocham – przyznał.

– Nie trać nadziei – próbowałem go pocieszyć.

– Ale ona już nie jest taka sama. Coś się w niej zmieniło po tamtej kłótni na Wyspach Kanaryjskich.

– Może ma inne priorytety, inne cele... innych przyjaciół – powiedziałem znacząco.

John spojrział na mnie zaskoczony. Przełknął ślinę i zapytał cicho:

– Jest inny mężczyzna w jej życiu?

– Nie w tym sensie, jak myślisz. Nie jest w nim zakochana – odpowiedziałem.

– Jak to?

– Czasem są takie długi, których nigdy nie udaje się spłacić. Niektórzy nazywają to sentymentalnym szantażem. Inni, bardziej obrazowo, praniem mózgu albo robieniem ludzi w bambuko.

– W bambuko? – powtórzył John, który nie znał tego wyrażenia.

– Tak mówią moi uczniowie. – Roześmiałem się. – Nie przejmuj się Juana. Nic jej nie jest. Wciąż o tobie myśli.

– Tak sądzisz? To świetnie. A teraz podaj mi więcej szczegółów o Simancas – powiedział, zmieniając temat rozmowy. – Nie mogę czekać do jutra.

Spotkaliśmy się we troje na śniadaniu w kawiarni obok hotelu Juany. Ponownie zreferowałem – tym razem w obecności Meksykanki – to, co wiedziałem na temat dawnego Archiwum Korony hiszpańskiej, i dlaczego uważam, że tu, a nie gdzie indziej jezuita ukryli część *Manuskryptu Voynicha*. Nie miałem pojęcia, jak wygląda poszukiwany przez nas dokument. Może to strony wyrwane z oryginału – na co wskazywałyby stan przechowywanej w Yale księgi. Może zwykła mapa – co sugeruje postać Johna Harrisona, zegarmistrza, który pracował dla Royal Greenwich Observatory – a może oddzielny rękopis z podpisem Johannesesa Keplera jako autora i Athanasiusa Kirchera jako właściciela.

– Wracając do testamentu Wilfrida Voynicha znalezionej w moim domu zakonnym – zacząłem – przypomnę, że pierwszy akapit jest niczym innym jak hołdem autora złożonym Johannesowi Keplero-
rowi, który przetłumaczył *Manuskrypt Voynicha*. Wszyscy troje zgadzamy się, że ta interpretacja wydaje się najbardziej prawdopodobna. Drugi akapit pozostawił nam więcej znaków zapytania. Zaczynał się od zdania: *Tu jest moc ponad moce, najsilniejsza siła fortecy*.

– I dlatego od razu pomyśleliśmy o zamku – wtrąciła Juana.

– Faktycznie – podjąłem wątek. – A teraz uwaga! Królewskie Archiwum w dawnym zamku Simancas nosiło nazwę Forteca. Tak więc to zdanie nabiera jeszcze więcej sensu. W fortecy były pomieszczenia ogniod odporne, gdzie przetrzymywano najważniejsze zbiory. Dlatego można mówić o „najsilniejszej sile fortecy”.

– Zgoda – tym razem przerwał mi John. – Przechodzimy do następnego zdania.

– Uznaliśmy je za wskazówkę lokalizacji. Kwas, który przenik-

nie w każdą rzecz stałą, to woda królewska, najbardziej znana substancja żrąca w tamtych czasach. Zgodziliśmy się, że chodzi o rzekę i o królów. W tym wypadku o Karola Piątego i jego syna Filipa Drugiego.

– I utknęliśmy przy trzecim zdaniu: *Tak został stworzony Świat* – przypomniała Juana.

– Niestety – potwierdziłem. – Proponuję ominąć to zdanie, żeby uniknąć niepotrzebnych dyskusji religijnych o stworzeniu świata.

Popatrzyli na mnie ze zdumieniem, ale nie wyrazili sprzeciwu.

– Dwa ostatnie zdania same nasuwają dość oczywiste skojarzenia. Zechciejcie zauważyć, że jezuicki redaktor usunął ze Szmaragdowej Tablicy nazwisko jej autora Hermesa Trismegistusa po trzykroć wielkiego. Czemu to zrobił? – zapytałem sam siebie i odpowiedziałem: – Z pewnością miał w tym swój cel.

– Co chcesz powiedzieć? – zastanawiał się John, odczytując ponownie wspomniany fragment: – *Dlatego nazywano mnie Po Trzykroć Wielkim, posiadaczem trzech części filozofii całego Świata.*

– Przydomek „wielki” nosiło niewiele historycznych postaci. Najczęściej konkwistadorzy, cesarze lub osoby obdarzone specjalną mocą. I tak mamy Aleksandra Wielkiego, Karola Wielkiego, świętego Alberta Wielkiego i świętego Grzegorza Wielkiego. Kto mógł być posiadaczem trzech części świata w pewnej epoce?

Popatrzyli po sobie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Tylko władca ogromnego imperium obejmującego Kastylię, Aragonie, Katalonię, Nawarrę, Walencję, Roussillon, Franche-Comté, Niderlandy, Sycylię, Sardynię, księstwo Mediolanu, królestwo Neapolu, Oran, Tunis, Portugalię, a także kolonie afroazjatyckie, całą świeżo odkrytą Amerykę i na dodatek Filipiny. To było imperium, nad którym nigdy nie zachodziło słońce.

– Filip Drugi – powiedziała Juana.

– Właśnie to chciałem wam uzmysłowić. Filip Drugi, wielki protektor archiwum w Simancas.

– No dobrze, a co z trzecim akapitem? – zapytał John.

– Problem został rozstrzygnięty, gdy Juana zasugerowała, że

chodzi o zaćmienie Słońca. Jak to możliwe, że my, astronomowie, sami na to nie wpadliśmy? Wstyd! – uśmiechnąłem się do Johna.

– Twoje uwagi o mandragorze też były przydatne – przyznała Juana.

– Ale ty wygrałaś. Niechcący dałem się ponieść fantazji, zupełnie jak dziecko – odpowiedziałem, myśląc o moim dzielnym pomocniku Simónie. – Zresztą – mówiłem dalej – przejrzałem na oczy, gdy przypomniałem sobie o sławnym zaćmieniu Słońca podczas bitwy pod Simancas. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak poprowadzić badania w terenie.

– Kiedy? – zapytał John z niepokojem.

– Choćby jutro – odparłem. – Jestem wolny przez cały dzień. Autobusy do Simancas odchodzą co dwie godziny.

Dałem im do przeczytania niedużą broszurę o archiwum na zamku w Simancas i pożegnałem się. Musiałem wracać do swoich obowiązków dydaktycznych. Tymczasem moi przyjaciele mogą pozwiedzać miasto.

Zostawiłem ich nareszcie samych.

v

– Forteca Simancas sięga dawniejszych czasów niż historia obecnego zamku.

Zacząłem czytać gruby przewodnik, który zabrałem do plecaka razem z innymi papierami. Wycieczka do Simancas miała być krótka, ale pomyślałem, że przyda się coś poczytać w podróży. Tych dwoje słuchało mnie uważnie. Juana, jak zwykle, przesunęła okulary przeciwsłoneczne z oczu na czarne włosy i wpatrywała się we mnie jak zahipnotyzowana, by nie uronić ani słowa. Z kolei John – też jak zwykle – nie odrywał oczu od Juany. Reszta pasażerów, w większości turyści, nie zwracała na nas większej uwagi, biorąc nas chyba za studentów, bo tak wyglądaliśmy.

Przez dłuższą chwilę zabawiałem moich przyjaciół informacjami z przewodnika.

– Osada Simancas, położona w dolinie Duero u zbiegu z rzeką

Pisuergą, stała się strategicznym punktem w konflikcie królestwa Leónu z muzułmanami. Słynna bitwa pod Simancas w roku zaćmienia Słońca jest tego najlepszym dowodem. Simancas było naówczas największym miastem w regionie, dopóki nie zostało zdominowane przez szybko rozwijające się Valladolid. Dziś liczy zaledwie cztery tysiące mieszkańców.

– Kiedy wybudowano zamek i archiwum? – zapytała Juana.

– Według tej książki w tysiąc czterysta sześćdziesiątym siódmym Henryk Czwarty zlecił Pedrowi Niño, który był zarządcą Valladolid, wybudowanie fortecy w mieście Simancas. Wkrótce potem miasto podbija admirał Kastylii Fadrique Enriquez, który zostaje pierwszym panem nowo wybudowanego zamku – czytałem dalej. – Z czasem Królowie Katolicy* odzyskują dla Korony rozmaite strategiczne budowle położone w sercu Kastylii. Jedną z nich jest forteca w Simancas, która wraz z twierdzami Medina del Campo i Arévalo należy wówczas do najpotężniejszych w Kastylii. Po upadku powstania Comuneros** cesarz Karol Piąty zamieni fortecę w więzienie dla znamienitych powstańców. Za króla Karola wojna dobiega końca i zamek przekształca się w siedzibę nowo powołanego Głównego Archiwum Korony kastylijskiej. Kolejni królowie rozbudowują zamek i poszerzają zasoby archiwalne. Najpierw syn króla Filip Drugi (wielki architekt splendoru Simancas), potem jego wnuk Filip Trzeci. Proces ten jest kontynuowany za panowania Filipa Piątego i Karola Trzeciego. Obecnie zamek nadal jest siedzibą Głównego Archiwum.

* Los Reyes Católicos (hiszp.) – wspólny tytuł nadany królewskiej parze Izabeli I Katolickiej i Ferdynandowi II Katolickiemu przez papieża Aleksandra VI.

** Powstanie Comuneros w Kastylii (1520-1521) było zbrojnym wystąpieniem miast kastylijskich przeciwko Koronie. Niektórzy historycy uważają je za pierwszą nowożytną rewolucję przeciw zakusom króla Karola panującego w Hiszpanii jako I i w Niemczech jako V. Zamierzał zmodyfikować rząd i obsadzić cudzoziemców na wpływowych stanowiskach. Ze względu na swój demokratyczny i liberalny charakter rebelia comuneros uchodzi za prekursorkę rewolucji francuskiej (cytat z Wikipedii).

– To znana i sławna instytucja – zauważył John.

– Jedno z najważniejszych na świecie archiwów historycznych w

Europie, ustępuje miejsca tylko watykańskiemu. Posiada niezwykle cenne dokumenty Korony Kastylii i wszystkich posiadłości imperium hiszpańskiego z czasów jego największej chwały.

Dojeżdżaliśmy na miejsce.

Forteca Simancas nie różni się zbytnio wyglądem od innych zamków z tamtych czasów. Zachowała się w znakomitym stanie. Według przewodnika, który miałem ze sobą, można to przypisać dwóm powodom. Po pierwsze, dlatego że zawsze ktoś w niej mieszkał, najpierw kasztelan, a potem, gdy przestała odgrywać rolę wojskową, archiwista, po czym to ostatnie stanowisko długo było dziedziczne, przekazywane z ojca na syna. Drugi powód jest taki, że zamek wciąż przebudowywano i rozbudowywano, aby zapewnić lepsze warunki funkcjonowania archiwum. Nie bez kozery normatywy dotyczące archiwistyki w Simancas są najstarsze na świecie.

Fortecę otacza ze wszystkich stron mur w kształcie pentagonalnym z basztami połączonymi kurtynami z kamienia, które wieńczy krenelaż i chodnik straży. Zamek oddziela od muru fosa z dwoma stałymi mostkami. Do zamku prowadzą dwie bramy wejściowe.

Juana była pod wielkim wrażeniem średniowiecznej zabudowy obronnej.

– Brakuje tylko rycerzy, który wyszliby nam na spotkanie – westchnęła żartobliwie.

– No, to nie jest Camelot – skomentował John w przyпыlywie brytyjskiej dumy.

Podczas gdy tych dwoje zabawiało się opowieściami o okrągłym stole i fantastycznych turniejach rycerskich, ja porównywałem informacje z przewodnika z widokiem, jaki rozciągał się przed moimi oczami. Cztery duże wieże strzegły zamku z czterech stron. Piąta, mniejsza, znajdowała się nad głównym wejściem.

– Cztery słupy jak w *Manuskrypcie Voynicha* – powiedziałem.

– Gdzie te słupy? – zapytał John, który nie znał wszystkich znaczeń tego słowa.

– Słup oznacza w tym wypadku owalną basztę – odpowiedziałem. – Ucz się terminów architektonicznych.

– Może wreszcie wejdziemy? – zaproponowała zniecierpliwiona Juana.

– Dobrze – zgodziłem się.

Wewnątrz zamku była sala recepcyjna z nowoczesnym umeblowaniem i paroma komputerami, oczywiście świeżej daty.

Zza kontuaru przywitała nas uprzejmie młoda i uśmiechnięta dziewczyna, pytając, czy przychodzimy jako turyści, czy w celach naukowych. Juana i John spojrzeli na mnie, jakbym to ja miał podjąć decyzję i udzielić inteligentnej odpowiedzi. Nie zastanawiałem się długo.

– Najpierw chcielibyśmy zwiedzić zamek – oświadczyłem.

Wejście było bezpłatne. Recepcjonistka podała nam trzy foldery.

Zacząłem czytać:

Archiwum Główne w Simancas należy do najważniejszych w Europie. Konsultacja naszych zbiorów jest nieodzowna dla badaczy historii zajmujących się okresem od końca XV wieku – panowanie Królów Katolickich – do roku 1800, czyli epoki określanej mianem nowożytnej. Obok wyjątkowych walorów archiwistycznych posiada szczególną wartość architektoniczną: chociaż wygląda jak zamek, w rzeczywistości jest to archiwum wybudowane ad hoc w połowie XVI wieku. Nigdy wcześniej nie powstała na świecie budowla przeznaczona od razu na archiwum. Jest to zatem jednocześnie klejnot dokumentalistyki i architektury.

Nic specjalnie nowego, lecz czytałem dalej:

Za panowania Królów Katolickich i Karola V zamek pełnił nadal funkcję fortecy jako magazyn broni, skarbiec i więzienie. W 1540 roku Karol V postanawia zgromadzić najważniejsze dokumenty w jednej z baszt zamkowych. W tym celu dokonuje się adaptacji górnej kondygnacji wieży północnej, która otrzymuje nazwę Archiwalnej. Takie są początki archiwum w Simancas. Syn Karola V Filip II postanawia przeznaczyć na archiwum całą fortecę. Powierza to zadanie architektowi Juanowi de Herrerze, który przybywa do Simancas w 1574 roku i sporządza projekt archiwum, respektując fragmenty budowli, które nadają jej wygląd zamku, a mianowicie: mury obronne, cztery

baszty, czyli słupy, basztą z bramą wejściową i kaplicę.

Folder zawierał również trasę zwiedzania i plan schematyczny archiwum.

Na przekór Johnowi postanowiliśmy zacząć zwiedzanie od kaplicy.

Kaplica została wybudowana przez ród Enríquezów w XV wieku. Nie było w niej dużo do oglądania, oprócz kilku obrazów o wartości artystycznej i herbów, prawdopodobnie rodziny Enríquezów. W pewnym momencie John zadarł głowę do góry.

– Gwiazdy!

Rzeczywiście całe sklepienie było wymalowane w gwiazdy.

– Gwiezdny zamek – rzekłem z zachwytem, wspominając obserwatorium wielkiego Tychona Brahego na wyspie Hven.

– Nieźle jak na początek – uśmiechnęła się Juana.

Dalsza część zwiedzania wiała nudą. Trasa obejmowała w zasadzie tylko dziedziniec i dwie duże czytelnie. Nic więcej. Między jedną a drugą znajdowała się wieża Archiwalna, przechrzczona później na wieżę Filipa II. Tenże król kazał odpowiednio przystosować pomieszczenie, w którym znajdował się depozyt archiwalny, w związku z czym podzielono je na dwie części, górną i dolną, połączone pięknymi drewnianymi korytarzami. Oprócz wieży Filipa II są wieże: Robót i Lasów, Karola V i Biskupia. Ta ostatnia ma imponujące zwieńczenie w kształcie dzwonu z latarnią w części górnej.

Podczas tego krótkiego spaceru odezwałem się tylko raz, żeby zaspokoić ciekawość Johna.

– Latarnia to mała wieżyczka, wyższa niż szersza, z otworami, którą czasami umieszcza się na budynkach i kopułach kościołów. Światło wpadające przez otwory latarni rozjaśnia mrok pomieszczenia.

– Czyli coś w rodzaju świetlika – zauważyła Juana.

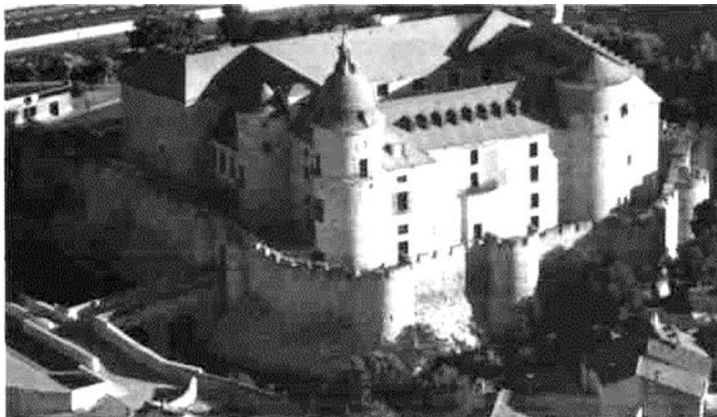
– Mniej więcej – przyznałem.

– To bardzo ciekawe – skomentował John nasze wyjaśnienia zachwycony nowo poznanym wynalazkiem.

Nie mogliśmy wejść na żadną z wież ani zwiedzić innych po-

mieszceń. To, co zobaczyliśmy, w żaden sposób nie łączyło się z *Manuskryptem Voynicha*. Nie było też okazji do zadawania pytań na ten temat.

Oczywiście taki tytuł nie figurował w katalogu archiwum.



- Co teraz? – zapytała Juana.
- Musimy się zastanowić nad naszym następnym krokiem – odparłem. – Nie wiadomo, w którą stronę się udać.
- Zostały nam jeszcze do zinterpretowania cztery strofy Szmaragdowej Tablicy – powiedział John, kończąc lampkę wina. – Bardzo dobre – dodał.
- Tekst jest nazbyt niejasny, a turyści nie mają prawa wstępu do większości pomieszczeń naukowych – zaznaczyłem. – Simancas wciąż pozostaje niezdobytą twierdzą, jak chcieli twórcy archiwum.
- A także jezuici – dodała z uśmiechem Juana, która zamówiła tylko sałatę i wodę mineralną, jak zwykle przestrzegając surowej diety. – W związku z tym mam do ciebie prośbę, Héctorze.
- Proś tymi ustami ociekającymi oliwą, a niczego ci nie odmówię.
- Roześmiała się ubawiona, wycierając usta serwetką.
- Chciałabym zobaczyć to drugie archiwum.
- Jakież? – zapytałem, choć powinienem był od razu się domyślić.
- Twoje. John widział twoje klasztorne archiwum i sławny podziemny labirynt, a ja nie – poskarżyła się.

– Już ci mówiłem, że tam nic nie ma – odparłem rozdrażniony niespodziewaną prośbą. – Sprawdziłem parokrotnie. A poza tym – okrasilem swoją odmowę ironią – niedługo będzie twoje. To kwestia czasu, poczekaj trochę.

John patrzył na nas zdziwiony. Streściłem mu w kilku słowach treść mojej ostatniej rozmowy z Juaną bez wdawania się w szczegóły.

– Nie jest już tajemnicą, że Juana ma przyjaciół, którzy są bardzo zainteresowani *Manuskryptem Voynicha* – powiedziałem Johnowi.

Dziewczyna uciekła oczami, jakby czuła się winna. Zreflektowałem się poniewczasie, że jestem niesprawiedliwy wobec niej.

– Zresztą to nieistotne – poprawiłem się. – Najważniejsze, że wszyscy troje pragniemy rozwiązać tę zagadkę, obojętnie z jakiego powodu.

– Nawet gdyby nikt mnie o to nie prosił, zajmowałabym się *Manuskryptem Voynicha* sama dla siebie – zaprotestowała Juana. – Więc jak?

Ponawiała prośbę o zwiedzenie labiryntu.

– Zgoda – odparłem. – Ale muszę zapytać Juliana i wziąć od niego klucz, bo już go nie mam. Myślę, że się zgodzi.

v

Julián nie miał nic przeciwko temu.

Następnego dnia przyjął Juanę i Johna, potraktował ich uprzejmie, jak to było w jego zwyczaju, i pozwolił nam zejść do podziemi. Może już po raz ostatni przed oddaniem budynku.

Zażądał jedynie zachowania dyskrecji.

– Idźcie tam lepiej nocą, kiedy wszyscy będą spać. Reszta wspólnoty nie musi o niczym wiedzieć, zwłaszcza teraz, przed wyprowadzką. Jeśli znajdziecie cokolwiek, co miałoby związek z tą dziwną księgą, muszę o tym wiedzieć – podkreślił na zakończenie. – Héctorze, sam otworzysz dyskretnie drzwi do biblioteki i wpuścisz swoich przyjaciół.

John i Juana stawili się punktualnie i o północy zapukali delikatnie do drzwi.

– Wejdźcie – powiedziałem. – Ściany nie mają uszu.

Przygotowałem wcześniej sprzęt podstawowy. Jak zwykle, zapasowe baterie, latarki, drobne narzędzia, zeszyt, aparat fotograficzny i ciepłe ubranie. Nie zapomniałem oczywiście o batonikach.

– Od tego się tyje – zaprotestowała Juana.

– Nie musisz jeść – odpowiedział John, wkładając pierwszy batonik do ust.

– Nie guzdrać się! Szkoda czasu. Umówiłem się z Julianem, że zostawi klucz w drzwiach za ołtarzem.

Ruszyliśmy bez przeszkód. W miarę jak posuwaliśmy się, pokazywałem Juanie różne pomieszczenia i korytarze. Miałem ze sobą rysunki i schemat poszczególnych miejsc. Zaciekały ją pozostałości po czasach rzymskich. Przystanąła na chwilę przed cytatem z Galiusza wyrytym na ścianie przez Lazzariego. Na koniec zatrzymaliśmy się przed zaporą, którą John ochrzcił kosmicznym mianem muru Plancka.

– Dalej nie da się iść – powiedział Anglik.

– Chyba że wpuścisz tu swoje koparki – szepnąłem do ucha Juanie. Udała, że mnie nie słyszy, a może naprawdę tak było. Wpatrywała się z napięciem w zestaw kamiennych, idealnie gładkich bloków.

– Co jest za tym murem? – zapytała po chwili.

– Nicość doskonała – zażartowałem, robiąc aluzję do metafory Johna. – Z dobiegającego nas szumu i z położenia całości możemy wywnioskować, że to szum ścieków wpadających z pewnej wysokości do szerszego koryta, może nawet rzeki, która przepływa przez miasto. Przypuszczam, że usuniecie ten mur, aby uniknąć wypadków – dogryzałem jej dalej.

– To ci nic nie mówi? – zapytała Juana, nie zwracając uwagi na moje złośliwości.

– A co miałyby mi mówić? – odpowiedziałem, wzruszając ramionami i spoglądając na Johna, który powtórzył mój gest.

– Kurtyna kamiennego muru jak na terenie zamku, a pod spodem rzeka – rzuciła od niechcienia.

– Sporo kilometrów dzieli nas od Simancas, jeśli o to chodzi.

- Ale rzeka jest ta sama, prawda?
- No tak – ustąpiłem.
- Co ci każe myśleć, że Lazzari lub inni posłużyli się archiwum w Simancas w sposób konwencjonalny? – zapytała ostro dziewczyna.
- Logika. To chyba jasne – odpowiedziałem.
- Zdeponować szesnastowieczny manuskrypt w Głównym Archiwum Historycznym Korony bez żadnej fiszki w katalogu?

Gdzie tu logika? Oddać taki drogi manuskrypt, który być może należał do kuzyna Filipa Drugiego i nie powiedzieć o tym nikomu?

- To nie jest logiczne, Héctorze. – John dołączył do Meksykanki.
- Prędzej należałoby pomyśleć, że twoi poprzednicy ukryli manuskrypt w sposób, nazwijmy to: atypowy – rozważała Juana. – Zwolennikom kasaty Towarzystwa Jezusowego nigdy nie przyszłoby do głowy szukać zapieczętowanej komnaty z królewskimi dokumentami, nawet gdyby przetrząsnęli cały klasztor – podsumowała.

– Co ci każe myśleć, że manuskrypt wciąż tu jest? – zapytałem rozdrażniony spostrzegawczością mojej towarzyszki wyprawy.

- Intuicja. – Uśmiechnęła się. – Silniejsza od logiki.

v

- Może twój przyjaciel Thomas kupi zamek w Simancas, żeby go zburzyć? – powiedziałem złośliwie do Juany, przygotowując dla nas kawę.

Byliśmy we troje w moim cyberpokoju, rozważając dalszy plan działania. John chwilowo nie zwracał na nas uwagi zajęty odpowiadaniem na pilne e-maile. Jeden z jego współpracowników powiadomił go o odkryciu supernowej w odległej galaktyce.

- Thomas jest do tego zdolny i do wielu innych rzeczy – odparła ironicznie Juana.

– Wiem, że nasze Ministerstwo Kultury nie widziało by żadnych przeszkód w sprzedaży zamku – kontynuowałem drwiąco. – Demontaż kastylijskich archiwów to ulubione zajęcie ministerialnych urzędników*.

* W 2006 roku hiszpańskie Ministerstwo Kultury postanowiło przenieść część

dokumentów archiwalnych dotyczących wojny domowej z Salamanki do Katalonii.

– Masz więcej takich genialnych pomysłów? – zapytała Juana.

– Uspokójmy się – zaproponowałem. – Jeśli przyjąć twoją zważoną sugestię, to by znaczyło, że makiaweliczni jezuici z osiemnastego wieku znaleźli sposób na dotarcie do archiwum w Simancas tak, żeby nikt ich nie widział. Weszli do fortecy jak do własnego domu, przestawiali meble, pozamieniali portrety szlachty według swojego widzimisię, a wszystko po to, by zostawić na półce, poza zasięgiem ciekawskich oczu, klucze do *Manuskryptu Voynicha* – ironizowałem. – I na dodatek umieścić tę półkę w komnacie z pancernymi ścianami.

– Pomijając ozdobniki twojej inwencji, myślę, że było tak, jak mówisz.

– A potem wzięli starożytny tekst Szmaragdowej Tablicy – kontynuowałem – żeby dostosować do niego kryjówkę i odpowiednio pokierować krokami poszukiwaczy księgi.

– Aha – przytaknęła Juana. – Znowu pozostawili ślady *a posteriori*.

– Czy coś straciłem? – zapytał John, włączając się do naszej rozmowy.

– Właściwie nie – odpowiedziałem. – Nasza przyjaciółka sugeruje, że jacyś zakapturzeni mnisi, na dodatek jezuici, nie kapucyni, wynajęli łódkę i popłynęli stąd do Simancas, żeby ukryć księgę.

– Jesteś dziś wyjątkowo zgryźliwy – stwierdził z uśmiechem John.

– To chyba z niewyspania – przyznałem.

– Popłyniemy łódką! – zawołała rozentuzjasmowana Juana. – Zrobimy taką rekonstrukcję wydarzeń jak w kryminalistyce.

Popatrzyłem na nią zdumiony. Jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe, zaskoczyła mnie odpowiedź Johna.

– Jestem gotów, choćby zaraz, jako ten skromny pielgrzym z Cambridge – powiedział z zadufaniem.

– Powariowali – jęknąłem, chowając twarz w dłonie.

Miałem do czynienia z wiosłami może kilka razy w życiu. Juana nawet tego nie. John, owszem, znał się na wiosłowaniu, ale to niewiele zmieniało. Znalezienie łódki – czteroosobowej pirogi – okazało się dużo łatwiejsze, niż myślałem.

Wystarczyło pójść do klubu żeglugi rzecznej i wypożyczyć za niewielką opłatą.

Na szczęście płynęliśmy w dół rzeki i prąd nam sprzyjał. Mimo to zajęło nam ponad godzinę dotarcie do Simancas. Parę razy musieliśmy wychodzić na brzeg, żeby ominąć wodospady, które pozostały po starych młynach. Było już późno w nocy, gdy dostrzegliśmy oświetlone wieże fortecy.

– Teraz trzeba uważać na wszelkie wiry i inne dziwne rzeczy – powiedział John. – Mogą być spowodowane bliskością jaskini albo ukrytego zakola.

– Nie chcę narzekać – odrzekłem bez przekonania – ale za dnia byłoby na pewno łatwiej.

– Nie protestuj i poświeć latarką na brzeg – uciszyła mnie Juana zachwycona naszą niespodziewaną wyprawą.

Zbadaliśmy kilka możliwych ścieżek wychodzących z rzeki do miasta. Ale wszystkie prowadziły donikąd.

– Co to?

John pokazywał na starą przykrywę z żelaza z rodzaju tych, które kiedyś służyły do zamykania ujścia kanałów ściekowych. Znajdowała się blisko brzegu w takim miejscu, że widać ją było tylko z rzeki.

– Pomóż – poprosił mnie zadyszany.

Zdołaliśmy ją unieść i przesunąć na bok. Straszliwy fetor o mało nas nie przewrócił, kiedy zajrzeliśmy do środka.

– To nie jest dobry pomysł – rzekłem.

– Do zewnętrznego muru zamku mamy niecałe sto metrów – nalegała Juana.

– Héctor ma rację – wtrącił John. – Jeśli to jest fosa septyczna, jutro znajdą nas sztywnych.

– Ja się nie boję.

Zanim zdołaliśmy ją powstrzymać, Juana schodziła po zarde-

wiałych schodach biegnących trzy-cztery metry pod ziemią. Juan spojrzął na mnie i podążył za nią.

Co miałem robić? Poszedłem za nimi, szepcząc modlitwy.

Na szczęście wewnątrz dawało się oddychać. Podziękowałem niebiosom za ten dar. Podziemny korytarz przypominał mi trochę te klasztorne. Był wąski, wilgotny, poprzecinany segmentami schodów, które wznosiły się lub opadały w zależności od ukształtowania terenu.

– Ciekawe, od jak dawna nikt tu nie zaglądał – powiedział John idący na przedzie.

– Co najmniej od trzystu lat – odpowiedziałem. – Koniec trasy! – zawołałem, oświetlając latarką boczne drzwi z próchniejącego od robaków drewna. – Pchaj, John.

Drzwi ustąpiły za pierwszym popchnięciem, wyskakując z zardzewiałych zawiasów. Narobiły przy tym hałasu, który nas trochę przeraził.

– Jesteśmy chyba pod zamkiem – szepnęła Juana.

– Mam nadzieję, że nie trzymają tu straży – skomentowałem. – W przeciwnym razie na górze jest już alarm.

– Co teraz? – spytał John.

Znajdowaliśmy się w szerszym pomieszczeniu. Coś jakby skład starych mebli i przeróżnych narzędzi.

– To mi wygląda na opuszczony magazyn – powiedziałem. – Proponuję odsunąć szafy od ścian, gdzieś tu musi być przejście.

Wzbijając chmury kurzu, odsunęliśmy nieco dwie stare dębowe szafy. Kosztowało nas to dużo więcej wysiłku niż wyważenie drzwi. Na tym mogliśmy poprzestać. Za jedną z szaf był w ścianie otwór tak mały, że z trudem mógł pomieścić skuloną osobę.

– Idę. Zobaczę, co tam jest, i zaraz wracam – oświadczyła Juana, wysuwając się do przodu. Szybko wślizgnęła się przez otwór i po niecałej minucie była z powrotem. – Myślę, że nam się uda – powiedziała z euforią. – Po drugiej stronie jest też szafa. Ktoś porobił w niej dziurki na wysokości oczu. Widać przez nie odrestaurowaną salę. Nie wiem, co tam jest, ale to przestrzeń cywilizowana.

Przycisnęliśmy się po kolei, najpierw John, potem ja, przez ciasny

otwór. Wychodząc po drugiej stronie, byliśmy w zamku Simancas.

– Nieźle. – Uśmiechnąłem się.

Znajdowaliśmy się w sali tortur.

Wyczytałem wcześniej w przewodniku, że to jedna z atrakcji dla zwiedzających. Tu poniósł karę biskup Zamory, don Antonio Acuña, jeden z przywódców powstania Comuneros w Kastylii, który walczył w bitwie pod Villalar. Trzej słynni powstańcy – Padilla, Bravo i Maldonado – zostali rozstrzelani nazajutrz po bitwie, natomiast biskupa zamknięto w zamku, żeby dać mu szansę pokajania się.

Niewdzięcznik, zamiast się kajać, udusił kasztelana fortecy. Ujęto go przy próbie ucieczki i dokonano egzekucji w jednej z baszt zwanej odtąd Biskupią. Było to w 1521 roku.

– Jest pierwsza przeszkoda – mruknąłem, rozejrzawszy się po obszernej sali, i pokazałem na zawieszone na ścianach kamery.

– Wyłączone – uciął John, patrząc na jedną z nich. – Z pewnością działają tylko w godzinach otwarcia, żeby obserwować zwiedzających. Można z tego wyciągnąć pozytywny wniosek w drugiej ważnej sprawie.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– Nocne strażę. Jeśli kamery są wyłączone, to monitory też nie działają. A więc nikt nas nie obserwuje na wartowni.

– Co to? – wtrąciła Juana, pokazując jakieś elektroniczne urządzenie.

John obejrzał je z miną znawcy.

– Nie ma się czym przejmować. To czynniki przeciwpożarowe z alarmem. Z tej strony nic nam nie grozi, dopóki nie zaczniecie palić – zażartował.

– Która godzina? – zapytałem.

– Dochodzi szósta. Wkrótce zacznie świtać – odpowiedziała Juana. – Z folderu, który nam dali, wynika, że archiwum otwierają o dziewiątej trzydzieści.

– Mamy dwie godziny z kawałkiem na poszukiwania – zaznaczył John.

– Zaczynamy od głównych pomieszczeń – zdecydowałem.

Poruszaliśmy się po zamku prawie z całkowitą swobodą. Z wyjątkiem opancerzonych i ogniotrwałych komnat w wieży Filipa II wszystkie inne stały dla nas otworem. Wejście przegradzał tylko gruby sznur z tabliczką: „Osobom nieupoważnionym wstęp zabroniony”. Zostały nam do obejrzenia już tylko wieże, właśnie zamierzaliśmy to zrobić, gdy John kazał nam się zatrzymać.

– Popracujmy trochę głową, a nie nogami – poprosił. – Czego my właściwie szukamy? Chodzimy z kąta w kąt jak głupi – zaprotestował.

– Co sugerujesz? – zapytałem niechętnie. – Nie mamy za dużo czasu na myślenie.

– Sam nie wiem – odpowiedział. – Przejrzyjmy przynajmniej końcowe wersety Wilfrida Voynicha. Te, których jeszcze nie analizowaliśmy.

Juana spojrzała na mnie, po czym wyciągnęła z plecaka pogniecioną kartkę papieru, którą sam jej dałem.

– Doszliśmy do tego zdania – zaczęła czytać: – *Oddzielisz Ziemię od Ognia, subtelność od grubiaństwa, delikatnie i nadzwyczaj pomyślowo. Wznosi się z Ziemi do Nieba i z powrotem schodzi na Ziemię, i przyjmuje w siebie moc rzeczy wyższych i niższych. Tak posiadziesz chwałę całego Świata.*

– Pierwszy wiersz – powtórzył John – to: *Oddzielisz Ziemię od Ognia, subtelność od grubiaństwa, delikatnie i nadzwyczaj pomyślowo.*

– Poszukajmy komina – zaproponowałem bez przekonania.

– Daj spokój, to wcale nie jest dowcipne – zarzuciła mi Juana. – Myśleliśmy o mapie, pamiętacie? – Popatrzyła to na mnie, to na Johna.

Byliśmy w niewielkiej czytelni zwykle zamkniętej dla publiczności. Małe okna wychodziły na centralny dziedziniec ze skromnym ogrodem. Na jednej ze ścian sali, gdzie nie było półek, wisiał wielki dywan sięgający od sufitu do podłogi – olbrzymia *mappa mundi*.

– Ciekawe – mruknął John, oświetlając go latarką.

– Rzeczywiście – powiedziałem. – To chyba wyrób osiemna-

stowieczny. Widać na nim cały Nowy Świat, wyspy na oceanach i południowe wybrzeża.

– Wszystko, co John Harrison i James Cook dodali do map – podsumował John. – Ale dla mnie nie ma tu nic interesującego.

Juana podeszła bliżej i pogłaskała dywan. Przesunęła palcem po miękkiej powierzchni wzdłuż całej Ameryki Południowej, zaczynając od Meksyku.

– Patriotka z ciebie – skomentowałem jej zachowanie.

– A z ciebie idiota – odparła. – Nie widzisz, jakie to łatwe?

Zanim skończyła mówić, rozległ się przenikliwy dźwięk, który prawie zagłuszył jej słowa. Juana wprawiła w ruch niewidzialny mechanizm, którego koła zębate na pewno potrzebowały oleju, podobnie jak moje zmęczone neurony domagały się kawy.

– Jak to zrobiłaś, siostrzyczko? – spytałem zdumiony, patrząc, jak otwierają się małe drzwi ukryte za dywanem.

– Oddzieliłam Ziemię od Ognia – zaśmiała się. – Jestem zdolna!

– Uruchamia się mechanizm po naciśnięciu na Patagonię – zauważył John. – Ziemia Ognista. To proste jak przeczytanie całego zdania, w sensie dosłownym.

– No właśnie – przyznała triumfująca Juana. – A teraz wchodzimy do środka.

Następne zdanie tej strofy okazało się jeszcze prostsze. Drzwi, które otworzyły się jak za sprawą magii, prowadziły do ścieżki między murami, a ta wiodła do jednej z wież.

– Jezuici ułatwili nam to zadanie – powiedziała Juana, recytując z pamięci: – *Wznosi się z Ziemi do Nieba i z powrotem schodzi na Ziemię*. Trzeba wejść i zejść.

– Po co wchodzić i schodzić bez celu? To głupia zabawa – zaprotestowałem. – Jestem zmęczony.

– Ale nie psuj nam zabawy, na pewno coś jest na górze – zachęcił mnie John z nogą na pierwszym stopniu schodów.

Lecz nic tam nie było oprócz oślepiającego słońca, które wpadało przez duże okna. Zważywszy na późną godzinę i zmęczenie, postanowiliśmy zakończyć na dziś eksplorację terenu i wrócić tą samą

drogą, którą przyszliśmy.

Następnym razem pójdzie nam łatwiej.

Powrót okazał się dużo mniej skomplikowany. Szliśmy po naszych śladach, zostawiając wszystkie rzeczy w takim stanie, jak je zastaliśmy. Przeszliśmy w odwrotnym kierunku kanałem podziemnym, a po wyjściu na powierzchnię ukryliśmy pirogę w trzinach – nie było sensu wiosłować pod prąd za dnia, a poza tym śnialiśmy się ze zmęczenia. Polami na przełaj doszliśmy do szosy, zatrzymaliśmy pierwszy lepszy autobus w kierunku miasta i po dotarciu na miejsce od razu pożegnaliśmy się, żeby odpocząć.

Chociaż ja nie miałem takiego szczęścia.

Ledwie zasnąłem po wypiciu kawy, obudził mnie telefon od Matiasa. Simón czekał na mnie w bibliotece już od dłuższej chwili.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – przywitałem go ironicznie, mocno zaspany.

– Dowiedziałem się nowych rzeczy, Héctorze.

– Mam nadzieję, że to interesujące, bo jak nie, to dostaniesz zawieszenie *a divinis* – powiedziałem.

– Na zawsze?

– Do spraw boskich – odrzekłem, nie chcąc i nie mogąc wdawać się w szczegóły.

Simón nie zrozumiał mojej odpowiedzi, ale chyba to mu nie przeszkadzało. Pragnął podzielić się ze mną swoimi najnowszymi odkryciami. Sam go zachęcałem, żeby przynosił wszelkie ciekawe informacje związane z alchemią albo z mandragorą.

– Popatrz na to – powiedział, podając mi wydruk jakiejś strony internetowej. – Alchemicy symbolicznie przedstawiali siedem metali za pomocą drzewa, że niby są jak gałęzie wyrastające z jednego pnia. Wspólny pień był początkiem i esencją tego wszystkiego.

– Znowu kamień filozoficzny – przerwałem może zbyt ostro,

zmęczony po nieprzespanej nocy i sceptycznie nastawiony do fantastycznych opowieści Simóna.

– Analogia między metalami i roślinami na tym się nie kończy – kontynuował chłopiec. – Według alchemików metale przechodzą taki sam rozwój jak rośliny. Ten proces niekoniecznie musi się odbywać z udziałem człowieka. Nasionko rozwija się w ziemi, wyrasta z niego roślina, potem kwitnie i owocuje. To wszystko dzieje się samo pod wpływem sił natury. Podobne rozumowanie można zastosować do metali. – Do czego zmierzasz? Zasadzimy śrubkę – żartowałem.

– Wszystko, co istnieje w naturze, ma swoją własną esencję, która pozostaje niezmienną nawet wtedy, gdy to coś ulega zniszczeniu – czytał Simón, nie reagując na moje drwiny. – Ta esencja pozostaje tak długo, jak długo szczątki nie rozpadają się całkowicie. Uważano, że niektórzy alchemicy potrafili przywrócić esencji materię i uczynić ją na nowo widoczną.

– Jacy alchemicy? – zapytałem. – Było ich bardzo wielu.

– Tu jest napisane, że hermetycy.

– Hermetycy? – Zaskoczyła mnie ta odpowiedź.

– Tak. Jeden z nich nawet był w stanie wskrzesić różę z popiołów. Uczynił to w obecności królowej Szwecji Krystyny w roku tysiąc sześćset osiemdziesiątym siódmym.

– Z pewnością jakiś szarlatan – skomentowałem lekceważąco.

– Ale jezuita. – Roześmiał się, lecz dopiero później zrozumiałem dlaczego. – Ten facet badał nie tylko róże, lecz również słoneczniki. I oczywiście mandragory. Zajmował się także metalami. Napisał książkę pod tytułem *Ars Magnetica Opus Tripartitum*, w której opowiada między innymi, że słoneczniki zwracają się ku słońcu, przyciągane niewidzialną siłą magnetyczną, jaką emanuje to ciało niebieskie. Starożytni Egipcjanie i Grecy uważali słoneczniki za święte rośliny. Mandragorę również.

– Masz coś jeszcze o korzeniach mandragory? – zacząłem się interesować.

– Dawni Germanowie otaczali ją wielką czcią, nazywali *alrunami* i trzymali w szkatułkach, karmiąc i pojąc winem. Traktowali te

korzenie jak karzełki, które miały ich bronić przed złymi duchami i demonami. Hipokrates zalecał korzeń mandragory na zwalczanie melancholii i depresji. Lecnicze i magiczne właściwości tej rośliny znane były również Syryjczykom, Arabom i Chaldejczykom. A także Persom. Kircher – czytał dalej – wspominał o tajemnych mocach przypisywanych mandragorze przez Persów i niezwykłych skutkach jej zażywania.

– Powiedziałeś Kircher? Athanasius Kircher?

– Tak, to ten uczony jezuita – odparł Simón. – Myślałem, że wiesz, o kim mówię. Ten od książki o magnetyzmie. To on wskrzesił różę.

– Kircher pisał o wielu różnych sprawach – usprawiedliwiłem swój brak spostrzegawczości.

V

Po odejściu Simóna zostałem przez chwilę w bibliotece, a potem wróciłem do pokoju i zacząłem gorączkowo surfować po internecie, szukając nowych informacji. Istotnie, Kircher był sympatykiem filozofii, lecz nie podzielał zwyczajów alchemików. Zatrzymał się niejako w połowie drogi między jednymi i drugimi. Powęszyłem również na stronach Listy Voynicha. Codziennie ktoś występuje z jakimś nowym pomysłem. Konkretnie szukałem komentarzy dotyczących botaniki. Zdaniem większości badaczy spośród wszystkich roślin w *Manuskrypcie Voynicha* udało się zidentyfikować tylko słoneczniki i korzenie mandragory. Przy czym te pierwsze nie były jeszcze znane w okresie sporządzania tego manuskryptu.

Nie wiem dlaczego, ale miałem wrażenie, że Athanasius Kircher doszedł do identycznego lub podobnego wniosku jak ja. Po rozpoznaniu tych dwóch roślin mądry jezuita mógł pogłębić badania na ich temat. Tym bardziej jeśli miał możliwość przetłumaczenia towarzyszących rysunkom tekstów.

Ja takiej możliwości nie mam i nie miałem.

Czytałem kolejne strony internetowe. *Manuskrypt Voynicha* zawiera kilka rysunków i rycin przedstawiających coś, co przypomina

mandragorę. Prawie zawsze towarzyszą im pojemniki na leki. Albo wieże. Badacze *Manuskryptu Voynicha* różnie nazywają te cylindryczne formy po lewej stronie. Jedni uważają, że to musi mieć związek z medycyną, skoro rysunek przedstawia rośliny lecznicze. Inni – między innymi ja – widzą tu tylko wieże.

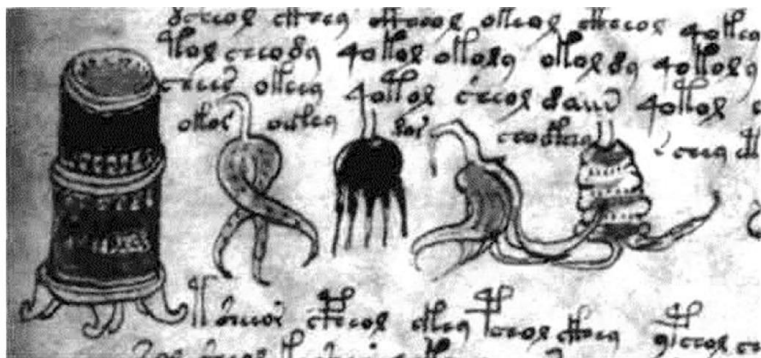
W pewnym momencie byłem o krok od połączenia wątku mandragory z wieżami i zamkiem, lecz zaraz o tym zapomniałem, zwłaszcza gdy Juana zasugerowała, że trzeci fragment analizowanego przez nas tekstu mówi o zaćmieniu Słońca.

Wróciłem do strony z wieżami i analizowałem najdrobniejsze szczegóły. Jeśli Kircher z takim zainteresowaniem studiował mandragorę, być może również ci, którzy ukryli klucze od *Manuskryptu Voynicha*, odnosili się z respektem do tych sympatycznych, jakże „ludzkich”, roślin. Może niepotrzebnie odrzuciłem tak szybko własne wnioski.

Wpatrywałem się uporczywie w cztery wieże.

Cztery jak w Simancas.

Jedna z nich ma korzenie. Korzenie mandragory.



- Sądzę, że księga kodów jest w wieży Biskupiej.
- Logika czy intuicja? – spytała z uśmiechem Juana.

Spotkaliśmy się na obiedzie. Oni pospali dłużej i nie mieli takiej skolatanej głowy jak ja. Robiłem, co mogłem, żeby uzasadnić swoją tezę.

- Obie rzeczy naraz, Juano – odpowiedziałem. – Zdanie ze

Szmaragdowej Tablicy brzmi: *Wznosi się z Ziemi do Nieba i z powrotem schodzi na Ziemię*. Wczoraj dotarliśmy do wieży w fortecy Simancas. Wszystko logicznie się układa.

– Ale nie byliśmy w wieży Biskupiej – zauważył John – tylko w Leśnej, tej najmniej ważnej.

– I nic w niej nie znaleźliśmy – uciałem.

– Może szukaliśmy za słabo. Mieliśmy mało czasu – skomentowała Juana. – Pamiętaj, że doprowadziło nas do niej przejście ukryte w dywanie.

– Pamiętam i tu mi coś nie pasuje – oświadczyłem. – Wcześniej wszystko funkcjonowało logicznie, popsulo się dopiero wtedy, gdy weszliśmy do tej wieży. Czuję, że należy szukać w wieży Biskupiej, intuicja mi to mówi.

– Znając ciebie, jestem pewien, że twoja intuicja ma logiczne podstawy – powiedział John.

– Znaleźliśmy w *Manuskrypcie Voynicha* figury z rzymskiego Panteonu. Mam wrażenie, że są tam również wieże z zamku Simancas. Tak sędzę – wyjaśniłem. – Jedna z nich różni się od pozostałych. Wystają z niej korzenie mandragory. Zobaczcie sami.

Pokazałem im rysunek.

– To musi być wieża Biskupia – kontynuowałem – ponieważ właśnie tam odbywały się egzekucje. A jak wiadomo z legendy, mandragora rośnie tylko w takich miejscach.

– Nic nie stracimy, jeśli sprawdzimy. Ja wierzę w intuicję, przecież wiesz – powiedziała z uśmiechem Juana. – Zresztą i tak musimy tam wrócić, żeby dokończyć pracę.

– Ale tym razem pojedziemy autobusem. Całe ramię boli mnie od wiosłowania – oświadczyłem usatysfakcjonowany, że stanęło na moim.

v

Ostatni autobus przywiózł nas do Simancas o ósmej wieczorem. Stanowczo za wcześnie, by próbować przedostać się do zamku podziemnym przejściem. Wieczór był pogodny, więc usiedliśmy na

tarasie kawiarni przy głównym rynku, żeby omówić dalszą strategię działania i przeanalizować do końca tekst hermetyków, którym posługiwali się jezuici przy pozostawianiu śladów.

– *Wznosi się z Ziemi do Nieba i z powrotem schodzi na Ziemią, i przyjmuje w siebie moc rzeczy wyższych i niższych. Tak posiądziesz chwałą całego Świata* – przeczytałem ponownie.

Przyjaciele spoglądali na mnie pustym wzrokiem. Nie ustępowałem.

– Czego potrzeba, żeby posiąść chwałę? – zapytałem. – Chwałę całego świata.

– Bogactwa? Władzy? – myślała głośno Juana.

– Zwycięskiej bitwy! – zawołał triumfalnie John.

To proste. Poprzedni akapit nawiązywał do zaćmienia Słońca. Zaćmienie Słońca w bitwie pod Simancas. Zwycięstwo armii królestwa Leónu nad muzułmanami.

– Kurde, teraz wszystko jest jasne – wykrzyknęła kulturalna jak zawsze Juana. – W tej bitwie król Leónu Ramiro Drugi otrzymał „moc rzeczy wyższych i niższych”. Oczywiście w postaci zaćmienia Słońca. To astronomiczne zjawisko jest „rzeczą wyższą”. Natomiast pomoc ze strony wojsk Galicji, Asturii i Nawarry można określić jako „rzecz niższą”.

– Świetnie – pochwaliłem ją. – Jednak nadal nie wiemy, czego szukać w wieży.

– Ani w której wieży – przyciął mi John.

Odczekaliśmy jeszcze pół godziny i wstaliśmy od stołu. Ruszyliśmy w stronę ukrytego wjazdu, mijając opuszczone gospodarstwo. Droga biegła stromo pod górę i w dół, trochę bładziliśmy, ale wreszcie doszliśmy do starego kanału ściekowego.

Cuchnęło w nim jeszcze bardziej niż poprzedniej nocy.

– Dalej, pospieszcie się – nalegałem, zatykając nos ręką przed intensywnym smrodem. – Pamiętajcie, że musimy dziś wyrzucić zamek do góry nogami.

– Nie zostawimy kamienia na kamieniu – dodał John. – Co do mnie, chciałbym jak najszybciej skończyć i trochę się przespać, żeby

jutro mieć siły do obserwowania Słońca.

Istotnie, obrączkowe zaćmienie Słońca było zaplanowane na jutro i nie ma jak tego odwołać. Zacznie się punktualnie o dziesiątej, potrwa około dwóch godzin. O dziesiątej pięćdziesiąt osiem – jak w zegarku – nastąpi najbardziej spektakularna faza, gdy Księżyc zakryje prawie całą powierzchnię Słońca.

– Ja też nie mogę nawalić, bo uczniowie od dawna na ten dzień czekają – powiedziałem. – Rano muszę jeszcze zamontować teleskopy i lornetki. I trzeba będzie zająć się rodzicami, którzy przyjdą razem z dziećmi. Oby tylko starczyło mi dla wszystkich okularów – wyliczałem głośno swoje obowiązki tonem, w którym radość mieszała się z niechęcią.

– Nie gadaj tyle i włącz do środka!

Juana znowu przejęła inicjatywę i zwinnie wsunęła się w cuchnący czarny otwór. Po kilku metrach schodzenia w dół i przebyciu takiego samego odcinka w linii poziomej przyzwyczailiśmy się do smrodu. Idąc równym tempem, szybko znaleźliśmy się przy pierwszych drzwiach, a potem w komnacie tortur, gdzie było nasze sekretne wejście do fortecy Simancas.

– Nic się tu nie zmieniło od wczoraj – stwierdziłem, zataczając koła latarką, żeby oświetlić pomieszczenie. – Chodźmy od razu do Sali Dywanowej.

Wszystko było na swoim miejscu, tak jak zostawiliśmy kilka godzin wcześniej. Mała czytelnia wyglądała na nigdy nieużywaną, zresztą była zamknięta dla publiczności i służyła jako magazyn dokumentów nowszych. Najstarszy był tu stojący na stole komputer.

– Kurde! Przecież to dwieście osiemdziesiąt sześć z systemem MS-DOS – stwierdziła z rozbawieniem Juana.

– Komputer Filipa Drugiego – naigrywałem się razem z nią.

– Traciecie tylko czas, pospieszcie się.

John uruchamiał ukrytą za gęstym dywanem sprężynę. Mechanizm zazgrzytał i zapiszczał tak samo jak poprzednio.

– Skarzy się, że musi pracować dwa razy z rzędu w ciągu trzystu lat. *Made in Spain*. – John również stroił sobie żarty.

Popatrzyłem na niego z rozczuleniem i zaczęliśmy wchodzić przez otwór w dywanie. Nie zdarzyło się nic nowego. Przy schodach na wieżę Juana się zatrzymała, a my razem z nią.

– Jeśli dobrze pamiętam, wczoraj poszliśmy od razu na górę, prawda?

– Dobrze zapamiętałaś, Juano – potwierdziłem.

– *Wznosi się z Ziemi do Nieba i z powrotem schodzi na Ziemię* – wspomógł mnie John. – Najpierw na górę, potem w dół.

– A na górze nic nie było – rozmyślała na głos Meksykanka.

– Nic a nic – przytaknąłem. – Te małe schodki łączą się prawie od razu z głównymi. Na górze widzieliśmy tylko wąskie okno z gniazdami jaskółek.

– Nie było żadnych mebli ani półek. Tylko drewniane poszycie dachu – John uzupełnił moje wyjaśnienia.

– Powtarzam, że to nie jest ta wieża, której szukamy – powiedziałem. – Wieża Biskupia znajduje się dokładnie naprzeciwko.

– Zatem dlaczego droga prowadzi tędy? – zastanawiała się Juana.

– Żeby dać ci szansę wykazania się znajomością geografii – zapikilem.

Nie zwracając na mnie uwagi, Juana zaczęła szybko schodzić po schodach.

– Zaczekaj, wariatko. Nie przewróć się!

– Za mną! – krzyknęła piskliwym głosem.

Kiedy dołączyliśmy do niej z Johnem, uśmiechnęła się z satysfakcją, ukazując nam nowy korytarz tak samo wąski jak poprzednie.

– *Voilà* – powiedziała z dumą. – Założę się o wszystko, co chcecie, że ten podziemny korytarz przecina po przekątnej cały teren fortecy.

Rzeczywiście tak było. A na drugim końcu nowe schody. Przy puszczałnie prowadziły do wieży Biskupiej.

– Nie ruszę się stąd, dopóki nie wyjaśnisz, jak na to wpadłaś – powiedziałem błagalnie.

– Héctorze, kochanie. – Uśmiechnęła się do mnie szelmowsko. – Tekst mówi, że trzeba się wznieść, a następnie z powrotem zejść. Jeśli

„z powrotem”, to znaczy, że już raz było schodzenie w dół.

– Wolę, jak ty to mówisz – oświadczyłem i zacząłem wspinać się po stromych schodach nie do końca przekonany o słuszności rozumowania Meksykanki. Byłem jednak usatysfakcjonowany, że znalazłem się wreszcie w wieży Biskupiej, tej samej, gdzie parę wieków wstecz został stracony biskup Antonio Acuña za udział w powstaniu Comuneros.

Podobnie jak w pierwszej wieży ukryte schodki lekko skręcały, łącząc się z głównymi, ale w taki sposób, że łatwo było przeoczyć ten skręt. Prosty system podwójnych drzwi sprawiał, że gdy się szło z przeciwnej strony, wyrastająca krawędź ściany zasłaniała wejście na główne schody.

– Myślę, że współcześni konserwatorzy znają te wszystkie zakamarki. Każda szanująca się forteca ma wyjścia awaryjne, żeby można było wymknąć się z oblężenia.

– Z pewnością tak jest – zgodziłem się z twierdzeniem Johna. – Ale te ostatnie odcinki nie łączą się z pierwszym przejściem, tym, które znaleźliśmy, idąc od strony rzeki. Ta droga nadal pozostaje sekretem.

– Tak samo jak *Manuskrypt Voynicha*. – Juana, jak zwykle trafnie, przywróciła nas do rzeczywistości i przypomniała o naszym zadaniu.

Znaleźliśmy się pod zadaszaniem w kształcie dzwonu. Było późniejsze niż sama wieża, ozdobione przepiękną latarnią architektoniczną, niestety, w nocy ponurą i ciemną. Do latarni wchodziło się po wysokich drewnianych schodach przymocowanych do wewnętrznych ścian wieży gwoździami i sznurami. Nie wyglądało to zbyt solidnie.

– Ciekawe, jak często są używane? – zastanawiał się John.

– Chyba nie za często – powiedziałem, dotykając poręczy. – Nie budzą mojego zaufania.

– *Stairway to Heaven** – szepnęła Juana, podnosząc głowę.

* *Stairway to Heaven (Schody do nieba)* to tytuł chyba najbardziej znanej piosenki brytyjskiej grupy rockowej Led Zeppelin z 1971.

– Mam nadzieję, że zawsze słuchasz jej w odpowiednim

brzmieniu – zażartowałem.

– Oczywiście – nie pozostała mi dłużna. – Najpóźniej jutro John przetłumaczy nam tę piosenkę z każdej możliwej strony**.

** Część chrześcijańskich fundamentalistów jest zdania, że gdy się odtwarza tę piosenkę wstecz, słychać słowa zaczynające się od: „Tu jest mój słodki Szatan”. Oczywiście zespół zawsze temu zaprzeczał, podobnie jak nie zgadzał się z twierdzeniem, że tekst jest apologia heroiny.

– Mogę przetłumaczyć – zgodził się Anglik.

– Przyjrzyjcie się temu – zaproponowałem, wracając do właściwego tematu rozmowy, i skierowałem ich wzrok na strukturę zwieńczającą wieżę. – Ta kopuła w kształcie dzwonu nie ma bębna ani żebrowania, ma natomiast piękną latarnię, która prawdopodobnie za dnia daje dużo światła. Jeśli jest dobrze zaprojektowana – dodałem – światło pada równomiernie na powierzchnię w dole. Tam – wskazałem na ziemię pod moimi stopami.

– Wystarczy już tych szczegółów architektonicznych, Héctorze. Twoje wyjaśnienia są świetne – pochwaliła mnie Juana – ale tu nie przydadzą nam się tak jak w rzymskim Panteonie.

– Może jednak – rozważał John.

Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia.

– W którą stronę zwrócona jest wieża i latarnia? – zapytał.

– Na wschód – odpowiedziałem, kiwając głową potakująco, bo wiedziałem, że o tym samym myślimy.

– O co chodzi tym razem? – zapytała z nieskrywaną ciekawością Juana.

– Jeśli się nie mylę, John ma na myśli jutrzejsze zaćmienie Słońca.

– Nie mylisz się – zapewnił mnie John.

– Podczas zaćmienia – kontynuowałem – Słońce nie osiągnie jeszcze zenitu, lecz jego promienie wpadną do środka wieży przez szybki latarni. Gdyby to był zwyczajny dzień, mielibyśmy tu wszystko wspaniale, jednolicie oświetlone. Całe pomieszczenie ze schodami i dolną częścią wieży.

– Ale jutro będzie inaczej – znowu przerwał mi John.

– Tak, jutro będzie inaczej – kontynuowałem. – Jutro przez pół godziny będziemy mieć grę światel i cieni na wszystkim, co tu widać i czego nie widać.

– *Wznosi się z Ziemi do Nieba i przyjmuje w siebie moc rzeczy wyższych* – wyrecytowała Juana. – Teraz wszystko rozumiem.

– Prawdopodobnie było jakieś zaćmienie Słońca wkrótce po pierwszym rozwiązaniu Towarzystwa Jezusowego – poinformowałem. – Ale nie mogę teraz stwierdzić tego z całą pewnością, bo nie mam ze sobą notatek.

– W takim razie co proponujesz? – zapytał John.

– Jasne, że poczekamy.

Juana zadecydowała za nas troje.

Nie pozostawało nam nic innego. Po pierwsze, za dnia personel archiwum nie wpuściłby nas do wieży bez uzasadnionego powodu. Nie mieliśmy żadnego upoważnienia do prowadzenia badań i na pewno nam odmówią, jeśli powiemy prawdę. Po drugie, było już bardzo późno. Wstawał nowy dzień. Za dwie godziny zacznie świtać, a za sześć godzin rozpocznie się widowisko astronomiczne.

Sięgnęliśmy z Johnem po batoniki. Juana zrobiła to samo.

V

– Długo jeszcze? – pytał niecierpliwy John.

– Księżyc zacznie przesłaniać Słońce za jakieś dwadzieścia minut – odpowiedziałem po cichu.

Na szczęście nie zapomnieliśmy o wzięciu komórki. Wystarczył jeden telefon do Juliana, by usprawiedliwić moją nieobecność w pracy w tak wyjątkowym dniu.

Musisz mieć niezwykle ważny powód, aby nie obejrzeć takiego zaćmienia, powiedział, nie wnikając w szczegóły. Zapewnił mnie, że sam się wszystkim zajmie w szkole.

– A teraz – powiedziałem, gdy zegar wybił godzinę rozpoczęcia zaćmienia Słońca – uwaga na wszystko, co się rusza.

Wokół nas zaczęły gromadzić się cienie. Oddychaliśmy powoli, jakby nasz oddech mógł zakłócić niepowstrzymany ruch Księżyca. Z

daleka dobiegała nas krzątanina pracowników archiwum, jakieś telefony, banalne rozmowy o złym stanie kserokopiarki, przerzucanie się dowcipami z poczty elektronicznej.

– Chodźmy to zobaczyć – zawołał ktoś z głębi jednej z czytelni, mając z pewnością na myśli kulminacyjny moment zaćmienia.

John i Juana spojrzeli na mnie pytająco.

– Za pięć jedenasta – szepnąłem. – Jeszcze trzy minuty do maksymalnego zakrycia Słońca.

– Tam! – krzyknęła Juana.

Pokazywała na otwór klatki schodowej. Czarny jak węgiel.

– Nic nie widzę w dole – powiedziałem, pochylając się nad poręczą. John też nie zauważył nic szczególnego.

– Porusz ramą okna, jeśli dosięgniesz – poprosił.

Nie dałem rady. Ale próbując wykonać tę czynność, dostrzegłem prawdopodobnie to samo, co widziała Juana. Kute kraty chroniące szyby w okienkach odbijały się na dole w szczególny sposób. Metalowe dziurki spełniały taką samą funkcję jak gnomon otworkowy w górze nad meridiana i cała wieża funkcjonowała jak *camera obscura*. Podobne rzeczy zdarzają się w katedrach.

Jakieś piętnaście metrów pod nami rysunek pierścienia – rzut dyfrakcyjny figury utworzonej przez Słońce i Księżyc razem – nałożył się na jedno z żelaznych okuć starych kufrów, które tam stały. Pół tuzina skrzyń obitych aksamitem wykonanych na zamówienie Filipa II do transportu i przechowywania dokumentów archiwalnych od stuleci chroniło swą zawartość lepiej niż szafy zamykane na zasuwę z żelaza.

– Musi być tam! Jestem pewna!

Juana była podekscytowana. Weszła jeszcze wyżej na drewniane stopnie górnego odcinka schodów wewnątrz latarni. Jeden ze starych, zardzewiałych wkrętów skorodowanych przez bezlitosny wpływ czasu obluzował się pod jej ciężarem.

John próbował złapać spadającą dziewczynę, ale skutek był taki, że oboje polecieeli na dno wieży.

Dwie karetki pogotowia z Valladolid przyjechały na miejsce w niecałe pół godziny. Powstało wielkie zamieszanie. Kilkanaście osób przybyło do wieży zaalarmowanych hukiem i krzykami. Juana skrzyła sobie kark. John miał więcej szczęścia, upadł na nią, amortyzując uderzenie, i chociaż stracił przytomność, doznał tylko drobnych kontuzji i zadrapań, nie licząc skręcenia w kostce.

Nie wiedziałem, co powiedzieć i jak to wszystko wyjaśnić.

Najpierw policja, potem sędzina zadawali mi całą masę pytań. Co robiliśmy w archiwum? Kim byli ci cudzoziemcy i czego szukali? Jak doszło do wypadku?

Nie chcieli uwierzyć, że jestem jezuitą, nauczycielem w szkole średniej. Na szczęście rozpoznał mnie jeden z urzędników sądowych, ojciec dwójki moich uczniów. Od tego momentu wszystko stało się trochę prostsze.

Jeśli cokolwiek w tych okolicznościach mogło wydawać się proste.

Zadzwoiłem do Juliana z komisariatu. Zjawił się natychmiast, ale nie chciał i nie mógł o nic pytać. Byłem zmęczony przesłuchaniem. Starłem się w miarę logicznie przedstawić całe zdarzenie. Przez pięć długich godzin odpowiadałem – lub próbowałem odpowiedzieć – na wszystkie pytania sędziny, usiłując zachować spokój, modląc się za moich przyjaciół – w pierwszej chwili myślałem, że oboje nie żyją – i szykując się do wizji lokalnej. Wszystko naraz. Jednocześnie dokładałem wszelkich starań, by nie wspomnieć ani słowem o *Manuskrypcie Voynicha*.

Wieczorem mogłem wrócić do domu zakonnego.

Byłem zdruzgotany psychicznie i fizycznie.

Nie zmrzyłem oka przez te kilka godzin, kiedy leżałem w łóżku w swoim pokoju. Na drugi dzień, wczesnie rano, poszedłem do szpitala. Pozwolono mi zobaczyć Johna. Był przytomny i wyglądał dobrze.

– Co z Juaną? W którym jest pokoju?

Nie odważyłem się powiedzieć przyjacielowi, że zginęła po upadku ze schodów. John niewiele z tego pamiętał. Okłamałem go, mówiąc, że Juana ma lekkie obrażenia i wkrótce oboje wrócą do domu. Tymczasem jej zwłoki leżały już na stole sekcyjnym. Dwie godziny później ciało przewieziono do Madrytu, a stamtąd drogą powietrzną do Meksyku. Zadzwoiłem do ambasady meksykańskiej w Hiszpanii, by po długich próbach i błaganiach uzyskać informację, że powiadomiono jej ojca i będzie czekał na lotnisku.

W południe musiałem znowu stawić się w sądzie.

v

– Lepiej się pan czuje?

Sędzina wyglądała na bardziej wypoczętą niż ja i uśmiechała się do mnie. Zaproponowała kawę i papierosa. Sama paliła kompułsywnie.

Kawę przyjąłem z wdzięcznością.

– Zaczniemy od początku? – spytała uprzejmie.

Skinąłem potakująco głową.

Ponownie wyjaśniłem – starając się, by wypadło to bardziej przekonująco niż za pierwszym razem – że ja i moi przyjaciele byliśmy w Simancas jako turyści. Że pasjonujemy się astronomią – nie na próżno John Carpenter pracuje jako astrofizyk w Cambridge – i chcieliśmy obejrzeć zaćmienie Słońca z szesnastowiecznej wieży, by mieć takie doznania jak wodzowie w sławnej bitwie pod Simancas.

Ufałem – i słusznie – że sędzina nie jest na tyle obeznana z historią, by wykryć błędy chronologiczne w mojej narracji.

– Dlaczego nie poprosiliście o pozwolenie?

Pytanie było oczywiste, gorzej z odpowiedzią. Wyjąkałem coś w rodzaju, że nie mieliśmy czasu, bo moi przyjaciele musieli szybko wracać do pracy na uniwersytecie. Że w Hiszpanii jest straszna biurokracja, więc nawet nie próbowałem występować o zgodę. Wziąłem na siebie winę.

– Co mi pan tu opowiada o biurokracji – skomentowała sędzina, zaciągając się papierosem. – Niech pan lepiej powie, jak, do cholery, weszliście do tej wieży? Simancas zawsze było fortecą, a teraz, jako archiwum ministerstwa, ma jeszcze lepszy system zabezpieczeń.

Próbowałem ją przekonać, że to nieprawda, że alarm nie działał i wykorzystaliśmy chwilę nieuwagi strażnika w bramie, by wejść niepostrzeżenie, że nie zrobiliśmy nic złego ani nienormalnego.

– Nic złego ani nienormalnego? – przerwała ze sceptyczną miną. – Jeśli pan sądzi, że kobieta z rozwaloną głową jest czymś normalnym, niech Bóg ma pana w swojej opiece.

W tym momencie przypomniałem sobie Juanę i zacząłem płakać. Sędzina zlitowała się i dołąła mi kawy.

– Sprawdziliśmy to, co pan mówił o swoim przyjacielu – powiedziała, dając mi czas na opanowanie łez. – Wszystko się zgadza. Jeśli chodzi o Meksykankę, jej paszport jest w porządku, ambasada zapewnia o jej niewinności. Zdaje się, że ojciec tej kobiety jest ważną osobistością w Meksyku. Wobec tego uznamy całe zajście za nieszczęśliwy wypadek.

– Oczywiście, że to był wypadek! – krzyknąłem oburzony. – Bierze mnie pani za mafiosa.

– Proszę się uspokoić – powiedziała. – Wypił pan za dużo kawy.

– Ona spadła, bo te stare schody załamały się pod jej ciężarem – kontynuowałem mocno poruszony. – Były całkiem przegniłe. John chciał ją podtrzymać i upadł razem z nią.

– W tej konkretnej sprawie poprosiłam o rozmowę dyrektora archiwum. Myślę, że nie ma pan nic przeciwko tej konfrontacji.

– Oczywiście, że nie. Zresztą – dodałem ze zrezygnowaną miną – pani tu rządzi.

– Nie należy dramatyzować – odparła, dając jakiś znak sekretarce. Ta wróciła po minucie z eleganckim mężczyzną o miłym wyglądzie, dobiegającym sześćdziesiątki. Ucisnął mi rękę, kiedy sędzina nas przedstawiała. Nie wydawał się specjalnie zmartwiony czy zaniepokojony. Złożył mi kondolencje z powodu śmierci Juany, dżentelmen w każdym calu. Nie robił żadnych wyrzutów.

Sędzina zabrała głos.

– Kwestia bezpieczeństwa i stanu budynku może skutkować przykrymi konsekwencjami dla archiwum i dla ministerstwa, któremu ono podlega – zaczęła. – Ale tylko wtedy, gdy rodzina ofiary podejmie jakieś kroki prawne. Na dzień dzisiejszy nic mi o tym nie wiadomo.

– Baszta, gdzie doszło do wypadku, jest zamknięta dla publiczności – wyjaśnił dyrektor – z powodów związanych zarówno z kwestią bezpieczeństwa, jak i z funkcjonowaniem archiwum. Zwiedzający nie mają bezpośredniego dostępu do dokumentacji, chyba że za specjalną zgodą.

– Wiem o tym – potwierdziłem.

– Dlatego – dyrektor mówił dalej spokojnie, lecz stanowczo – ani archiwum, ani ministerstwo nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to, co się zdarzyło. Żadne odszkodowanie dla osób trzecich nie wchodzi w grę.

– Nikt nie zgłasza takich roszczeń – poinformowała sędzina. – Ale jeszcze nie wiemy, co postanowi rodzina denatki.

– Wobec tego nie ma o czym mówić – uciał dyrektor.

– Czy archiwum zamierza podjąć jakieś kroki prawne? – spytała kobieta, zapalając nerwowo kolejnego papierosa. Dyrektor zrobił niezadowoloną minę, gdy poczuł dym na twarzy, lecz odpowiedział na pytanie:

– Sprawdziliśmy, że niczego nie brakuje. Szkody są minimalne. – Spojrzał na mnie. – Potraktujemy to jako przykry incydent wtargnięcia młokosów na zamknięty teren.

Nie wiem, kogo z naszej trójki dyrektor archiwum próbował zaliczyć do młokosów, ale rozumiem, że chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę i uniknąć pytań o bezpieczeństwo pracowników.

– W porządku – skomentowała sędzina, zamykając teczkę z dokumentami, jakby chciała pokazać, że czas składania zeznań dobiegł końca. – To ułatwia sprawę. Bardzo dobrze, że żadna ze stron nie zamierza rozdrapywać ran. Oczywiście będzie prowadzone dalsze dochodzenie w tej sprawie, co oznacza, że w każdej chwili mogą panowie otrzymać nowe wezwanie do stawienia się w sądzie. Trzeba poczekać na raporty biegłych i lekarza medycyny sądowej. Nie chcę panów zanudzać takimi szczegółami. Mam nadzieję, że nie będziemy się często widywać w najbliższej przyszłości.

Popatrzyła na nas ze współczuciem. Byłem jej za to wdzięczny, podobnie jak na początku przesłuchania.

– A teraz – dodała – panowie wybaczą, wzywają mnie inne sprawy. Ubolewam, że zabrałam panom tyle cennego czasu.

v

– Proszę zaczekać!

Usłyszałem, że ktoś za mną woła. Odwróciłem się i zobaczyłem na szczycie schodów gmachu sądowego dyrektora archiwum. On dopiero wychodził, ja byłem już na ulicy. Zatrzymałem się.

– Dziękuję, że pan czekał – powiedział, kiedy zrównał się ze mną. – Chciałem porozmawiać na osobności, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Oczywiście – odpowiedziałem. – Ma pan przeze mnie dużo kłopotów, przepraszam.

– A pan stracił przyjaciółkę – pokręcił ze smutkiem głową. – Dostał pan już za swoje. Chodźmy. – Chwycił mnie lekko za ramię. – Zauważyłem, że jest pan amatorem kawy, a w tym barze na rogu parzą wyśmienicie.

Weszliśmy do baru i zamówiliśmy po filiżance kawy. Rzeczywiście była dużo lepsza niż w gmachu sądowym.

– Czy mogę zadać panu niedyskretne pytanie? – zaczął dyrektor.

– Proszę bardzo – pozwoliłem. – Ale uprzedzam, że jestem trochę nerwowo.

– Czego pan szukał w archiwum?

– O co panu chodzi? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie, lekko zakłopotany.

– Ta wersja z zaćmieniem Słońca jest dobra dla sędziny. Ale ja już długo pracuję w tym miejscu i różne rzeczy widziałem, dlatego panu nie wierzę.

– Szkoda, bo mówię prawdę – starałem się, by wypadło to przekonywająco. – Chcieliśmy obejrzeć zaćmienie Słońca przez latarnię z wieży Biskupiej.

Westchnął.

– Przykro mi z powodu śmierci waszego przeora. Był wspaniałym człowiekiem o wielkiej kulturze.

Zdębiałem. Czyżby ten człowiek znał Carmela?

– Kiedy dowiedziałem się o wypadku, zdziwiło mnie, że jest w to zamieszany jezuita. Podobno kręcił się pan po archiwum już wcześniej. Coś w tym musi być.

– Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć – ustąpiłem. – Ale proszę nie mieszać do tego zakonu. John i nieszczęsna Juana to moi przyjaciele, świetni naukowcy, pracownicy uniwersyteccy. Spotykaliśmy się prywatnie.

– Coś panu powiem. Za każdym razem, kiedy przenosimy część dokumentów w inne miejsce, zawsze są jakieś niespodzianki. Zawsze. Zwoje, które się zapodziewiają, kufry z podwójnym dnem, pozaginane stronice, coś ginie, coś się znajduje – zaczął wyliczać, zamawiając jednocześnie drugą kawę. – Licząc łącznie książki i dokumenty, mamy w archiwum ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy pozycji. Dwanaście kilometrów regałów. Prawie trzydzieści milionów stron. Bez przerwy coś nas zaskakuje. Jest niemożliwością utrzymać to wszystko pod kontrolą.

Zaczynał mnie intrygować. Czyżby odnaleźli książkę kodową do *Manuskryptu Voynicha*? Tymczasem dyrektor mówił dalej:

– A ponadto jest jeszcze umeblowanie. Zachowaliśmy meble z

piętnastego wieku oprócz tych, które dostawiamy w celu zmodernizowania systemu bibliograficznego i dla bezpieczeństwa samych dokumentów. To, co wydarzyło się w zeszłym roku, ma z tym związek. Przedtem postanowiliśmy – zrobić pauzę, żeby wychylić swoją drugą filiżankę kawy – odesłać raz na zawsze na emeryturę część z licznych kufrów, które kazał wykonać sam Filip Drugi, żeby służyły jako skarbcce. Chwilowo umieściliśmy je na parterze, ale gdy tylko będzie to możliwe, odeślemy je do Muzeum Regionalnego. Trochę więcej kurzu – dodał – nie może im zaszkodzić.

A więc podczas zaćmienia światło padało na okucia kufra, który znalazł się na dole baszty dopiero w zeszłym roku? Do rozpaczy doprowadzała mnie myśl o głupim wypadku Juany. Niczego nie widzieliśmy. Jak zawsze chcieliśmy widzieć. Kiedy ja ubolewałem nad tą pomyłką, dyrektor nadal drobiazgowo wyjaśniał mi ulepszenia, jakie wprowadził w życie.

– Zdołaliśmy odnowić główne komnaty. Wszystko jest ognioodporne i niepalne. Pierwotnie też tak było zaprojektowane. I zainstalowaliśmy bardzo kosztowny system alarmowy, który nigdy nie działa.

Zastąpił kawę koniakiem i zmienił temat.

– Może pańska przyjaciółka miałaby więcej szczęścia, gdyby alarm był podłączony – wyraził przypuszczenie. – W rzeczywistości powinniśmy pozwać techników firmy, która go instalowała. Ale, drogi przyjacielu, firma pochodzi z Madrytu. Z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. A ja nie chcę mieć do czynienia z komisjami polityków.

Zaczynałem tracić cierpliwość.

– Skąd pan znał Carmela? – przerwałem mu.
– Zadzwoń do niego, kiedy pojawiły się te książki – odrzekł.
– Jakie? – spytałem zaintrygowany.
– Opróżniliśmy skrzynię, która pozostawała w ukryciu przez dwa stulecia czy coś koło tego. Stała za ścianą, którą trzeba było zburzyć przy zakładaniu systemu wentylacyjnego w tej złowieszczej wieży Biskupiej. Nie, to było gdzie indziej – znowu zmienił temat rozmowy.

– Wszędzie tu są jakieś korytarze, ukryte przejścia, ruchome ściany. Ten zamek jest jak ser *gruyère*. Wciąż nas nachodzą konserwatorzy zabytków i tylko zawracają głowę.

Miał rację z tym serem, ale poprosiłem, żeby dokończył wątek z moim zmarłym przeorem.

– W środku były przede wszystkim dokumenty z czasów Habsburgów. Akta związane z Patronato Eclesiástico* i Radą Kastylii. Szybko przejęli je historycy. Ale były też rzeczy niemające nic wspólnego z archiwum historycznym.

* Real Patronato Eclesiástico, przywilej przyznany Ferdynandowi Katolickiemu w roku 1505 przez papieża Juliusza II, na którego mocy Korona mogła sprawować bezpośredni patronat nad Kościołem w hiszpańskiej Ameryce, wyręczając w tym Stolicę Apostolską.

– Na przykład?

– Księgi rachunkowe jezuitów. I książki. Też jezuickie.

– Skąd pan wie, że to były książki jezuickie? – spytałem lekko zmieszany.

– Bo wszystkie były z ekslibrisem. Wie pan, to taki znak własnościowy.

– Wiem, co znaczy ekslibris. Zajmuję się naszą biblioteką.

– No to powinien pan znać tę sprawę, o której mówię.

Zrobiłem minę człowieka niedoinformowanego, a on mówił dalej:

– Widząc, że to nie są nasze książki i nie mają nic wspólnego z naszym archiwum, skontaktowałem się z waszym zakonem. W ten sposób poznałem przeora Carmela. Mogę powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy.

– Nic o tym nie wiedziałem – rzekłem rozczarowany.

– Myślałem, że znowu jakiś jezuita tu się kręci, bo czegoś u nas szuka. Mam zbyt bujną wyobraźnię, to deformacja zawodowa – przyznał.

– Co to były za książki? Pamięta pan jakiś tytuł albo autora? – spytałem gasnącym głosem.

– Jakies nieznanne. Carmelo wyjaśnił, że zostały ukryte w czasach pierwszej kasaty Towarzystwa Jezusowego – odpowiedział. – Zapa-

miętałem tylko manuskrypt Johanna Keplera, tego astronoma. Nieduża książeczka z obrazkami. Spodobałaby się panu jako miłośnikowi gwiazd.

Na moment zatrzymało mi się serce, zanim znowu spytałem:

– Czy Carmelo powiedział panu, co zamierza zrobić z tymi książkami?

– Odesłać je do Rzymu, żeby je sklasyfikowano. Nic więcej nie wiem.

V

Kiedy dotarłem do domu, dawno minęła pora kolacji, więc poszedłem prosto do kuchni, żeby wreszcie posilić się czymś innym niż kawa. Tam zastał mnie Julian. O nic nie pytając, poklepał mnie po ramieniu. Przedstawiłem mu przebieg wizyty w sądzie i zrelacjonowałem część rozmowy z dyrektorem archiwum. On też nic nie wiedział o starych jezuickich książkach.

– Carmelo stał się w ostatnich latach bardzo małomówny – powiedział. – Mogłeś się już o tym przekonać.

Chciałem się dowiedzieć, czy jest jakiś sposób, żeby odnaleźć ślad książek.

– Zostaw wreszcie tę sprawę! – odpowiedział z irytacją. – Sam widzisz, co osiągnąłeś.

Po tej radzie nastąpiła krótka i niezbyt subtelna reprimenda, którą uznałem za zasłużoną. Może nadszedł już czas, żebym odłożył na bok swoje obsesje i skupił się na uczniach i na własnej wspólnotie. Żebym porzucił swoje fantazje.

Przerwał nam Matías.

– Héctorze, odbierz telefon w salonie. Zamiejskowa do ciebie.

Przeprosiłem ich obu i wyszedłem z kuchni. Podniosłem słuchawkę i zadrzałem na dźwięk akcentu meksykańskiego, który nie da się pomylić z innym.

– Ojciec Hector? Mówi Oswaldo Pizarro z Meksyku.

Przez kilka chwil milczałem, zanim odzyskałem panowanie nad moim ciałem i umysłem.

– Tak. Przy telefonie – odpowiedziałem. – Proszę pozwolić, że przekażę panu braterski uścisk z Hiszpanii. Bardzo mi przykro z powodu tego, co przytrafiło się pańskiej córce.

Po krótkiej ciszy, w której wydało mi się, że mój rozmówca ociera chusteczką łzy, rozmowa potoczyła się dalej.

– Dziękuję, ojczu. Bóg dał, Bóg wziął. Teraz moja córka jest z Panem. Właśnie odebrałem jej ciało z lotniska. Jej dusza jest już w niebie.

Przez kilka minut mówiliśmy o tym wydarzeniu, o silnej i czarującej osobowości jego córki i o formalnościach w ambasadzie i w sądach, które na szczęście poszły sprawnie.

Zapytałem go też dyskretnie, czy zamierza podjąć jakieś kroki prawne.

– Nie. Niech się pan nie martwi. Adwokaci nie zwrócą mi córki, a dolarów nie potrzebuję – uciął krótko. – Przed chwilą rozmawiałem z tamtejszą sędzią i tak jej to przedstawiłem.

– Uważam, że to właściwa decyzja – odrzekłem.

– Ja też tak uważam. – I dodał: – Byłoby nam miło ojca poznać. Czy mógłby ojciec przyjechać na pogrzeb Juany?

Zaskoczyła mnie ta liczba mnoga, gdyż myślałem, że jest wdowcem. Zrozumiałem, że ma na myśli rodzinę. Nie miałem dotąd czasu, żeby pomyśleć o pogrzebie, ale czułem osobisty i moralny obowiązek polecieć do Meksyku. Zapewniłem go o mojej obecności na uroczystościach żałobnych i pożegnaliśmy się serdecznie i uprzejmie. Julián nie wyraził żadnej obiekcji, bym następnego dnia wieczorem udał się do Ameryki. Obiecałem mu, że będzie to koniec tej historii.

Ale skłamałem.

V

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem następnego ranka, jeszcze zanim poszedłem zobaczyć się z Johnem – który dowiedział się już od lekarzy, co spotkało Juanę, i dostał od nich silną dawkę środków uspokajających – było odszukanie książki telefonicznej Towarzystwa Jezusowego w moich zagraconych szufladach. Gdy miałem ją

wreszcie w swoich rękach i znalazłem potrzebne numery telefonów, przystąpiłem do dzieła.

Po wielu rozmowach zamiejscowych i międzynarodowych, długich oczekiwaniach i konsultacjach okazało się, że nikt w naszym centralnym archiwum w Rzymie nie potrafi poinformować mnie o losie kilku starych książek przekazanych z naszego domu niespełna rok wcześniej.

Nigdzie nie pojawiał się ślad tej przesyłki.

Po prostu nigdy takiej przesyłki nie było.

Meksyk jest olbrzymim miastem. Z samolotu na krótko przed wylądowaniem na lotnisku Ciudad de México – nadal nazywanym przez większość ludzi Międzynarodowym Lotniskiem Benita Juareza i chyba najbardziej zatłoczonym w Ameryce Łacińskiej – mogłem oglądać bezlik ulic i budynków, które ledwie mieszczą się w już i tak ogromnej niecce utworzonej przez otaczające ją wulkany i góry. Miasto zostało zbudowane na miejscu dawnego jeziora i dziś żyje w nim od dwudziestu do trzydziestu milionów osób. Określenie liczby mieszkańców miasta Meksyk to wielkie przedsięwzięcie, podobnie jak poruszanie się po nim. Samochody i autobusy konkurują ze spieszącymi się przechodniami i ulicznymi straganami we wciskaniu się w jakąś wolną przestrzeń. Widać tu nędzę wielu, ale również wyrafinowanie i luksus nielicznych. Miasto Meksyk przytłacza każdego przybysza i mnie też przytłoczyło.

Mój bedeker – zawsze kupuję przewodnik, gdziekolwiek przyjeżdżam – podkreślał, że być może jest to największe miasto świata. Również trzecie pod względem skażenia atmosfery i jedno z najbrudniejszych, ze średnią siedmiu szcurów na jednego mieszkańca. Ja nie zobaczyłem żadnego, ale wzdrygnąłem się na samą myśl o jego systemie kanalizacji. Nie miałem zbytnej ochoty na następne podziemne przygody. Wiele do zwiedzania i podziwiania: ponad tysiąc pięćset pomników, sto dwadzieścia muzeów i gigantyczna sieć metra, którym każdego dnia porusza się ponad pięć milionów osób.

Wszystko wydawało mi się ogromne.

Moja taksówka przejechała obok niewiarygodnego placu „komputeryzacji”. Według kierowcy jest ponad tysiąc dwieście sklepów zgromadzonych w tym miejscu, gdzie można znaleźć wszelkiego rodzaju *hardware* i *software* – z licencją lub bez – do osobistych

komputerów. Miejskowa legenda powiada, że można tu wejść z pustymi rękami i wyjść ze wszystkim, co potrzebne do zbudowania statku kosmicznego.

Było więcej ogromnych rzeczy w ogromnym mieście Meksyk.

Jak jego cmentarz.

Według mojego nieodłącznego przewodnika największy na świecie.

V

Wykręciłem numer telefonu komórkowego Oswalda Pizarra.

– Halo?

– Oswaldo? Tu Héctor, hiszpański jezuita. Właśnie przyjechałem do hotelu – odpowiedziałem.

– Jak to dobrze, że ojciec już jest. Mam nadzieję, że podróż była przyjemna.

– Wspaniała – odrzekłem.

– Właśnie skończyło się nabożeństwo w naszej wspólnocie. Poprowadził je pastor Carlos Queiroa, który zechciał tu przybyć na zaproszenie mojej drugiej córki Mercedes. Oboje przemawiali, mówiąc o tym, że Juana przebywa już w obecności Boga. To było wzruszające.

– Tak – przyznałem nieco zmieszany określeniami użytymi przez mojego rozmówcę i nieuniknionym *jet-lag*. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że Juana należała do jednego z wyznań ewangelickich.

– Mój dobry hiszpański przyjacielu – mówił dalej jej ojciec – proszę wybaczyć, że nie czekałem na lotnisku. Spadło na mnie zbyt wiele spraw, jak na takiego zmęczonego starca. Natychmiast wysłałem do hotelu auto.

– Proszę nie robić sobie kłopotu. Mogę wziąć taksówkę, jeśli poda mi pan adres – odpowiedziałem.

– To żaden kłopot. Poza tym wyjeżdżamy właśnie na cmentarz. Tam się spotkamy.

– Oczywiście – odrzekłem, zanim odłożyłem słuchawkę.

Nie minęło nawet piętnaście minut – i mniej niż jedna, odkąd wyszedłem spod prysznic – kiedy zadzwoniono z recepcji, by mnie powiadomić, że przed drzwiami hotelu czeka na mnie samochód. W pośpiechu wziąłem ze sobą kilka rzeczy – paszport, notes i niewielką Biblię, na wypadek gdyby ktoś poprosił mnie o wygłoszenie kilku słów – i zjechałem na dół. Na zewnątrz stała, a jakże, ogromna czarna limuzyna z przyciemnionymi szybami, a przy niej kierowca przy otwartych drzwiach, zapraszając mnie do wnętrza.

– Dzień dobry, ojcie Hektorze – powiedział, rozpoznając mnie może po wiszącym na mojej szyi krucyfiksie lub po nienuiknionej niezręczności turysty, który wyszedł z hotelu bezpośrednio po przyjeździe.

– Dzień dobry – odpowiedziałem na powitanie, wsiadając jednocześnie do olbrzymiego auta.

Dojazd na cmentarz zajął nam ponad godzinę. W czasie drogi kierowca rozmawiał kilkakrotnie przez telefon, dając jakieś polecenia i prosząc o instrukcje. Okazało się, że orszak żałobny rozdzielił się z powodu korków ulicznych i jego część błądziła po metropolii, usiłując znaleźć jakąś przejezdną drogę na cmentarz. Wydało mi się nawet, że policja raz po raz ułatwia nam przejazd. Kierowca dostrzegł moje zdziwienie i ograniczył się do uwagi:

– Tu, w Meksyku, panuje wielki szacunek dla zmarłych.

Przytaknąłem z zadowoleniem skinieniem głowy.

Pogrzeb odbył się w prywatnej kaplicy rodziny Pizarrów. Było nas nie więcej niż czterdzieści osób. Wzruszony ucisnąłem ojca Juany i przez kilka minut ani on, ani ja nie mogliśmy powstrzymać łez. Podobnie z jej siostrą. Mercedes była fizycznie bardzo podobna do Juany, a zdaniem wszystkich obie były niemal identyczne z ich matką, która zmarła, kiedy były jeszcze dziećmi. Ewangelicki pastor zakończył krótką ceremonię pogrzebową wyrecytowaniem kilku psalmów, a ja zostałem uprzejmie zaproszony do wspólnej ich lektury. Pogrążyliśmy się na chwilę w modlitwach. Kiedy trumna została opuszczona do grobu, krewni i przyjaciele zaczęli się rozchodzić.

Ja zostałem, modląc się w milczeniu, aż poczułem delikatne do-

tknięcie w ramię. Był to kierowca limuzyny.

– Bardzo proszę. Jest późno, a o tej porze panuje piekielny ruch.

Uśmiechnąłem się, usłyszawszy ten nieopatrzny i mało właściwy przymiotnik. Zamknąłem Biblię i poszedłem z nim na parking.

Również tym razem uprzejmie otworzył przede mną drzwi samochodu. Wewnątrz ktoś już na mnie czekał. Tym razem miałem jechać w towarzystwie.

V

– Proszę pozwolić, że się przedstawię – powiedział nieznajomy. Silny akcent amerykański zdradzał, skąd pochodzi. Rozpoznałem w nim jedną z osób uczestniczących w pogrzebie. Jedną z niewielu, które się ze mną nie przywitały.

– Proszę pozwolić, że zgadnę – odpowiedziałem, podczas gdy szofer zamykał za mną drzwi i przez chwilę byliśmy sami. – Van der Gil.

Przytaknął głową i podał mi rękę.

– Zgadza się. Thomas van der Gil.

– Nie wiem doprawdy, czy jest mi miło – powiedziałem równie zaskoczony, jak zakłopotany, ściskając jego dłoń.

– Proszę posłuchać. Mam nadzieję, że nie wziął sobie ojciec zbyt do serca niektórych naszych czynów. Chcemy tylko wydobyć prawdę na światło dzienne – dodał.

Przez chwilę przyglądałem mu się badawczo. Za niewielkimi okularami i za eleganckim popielatym garniturem krył się nerwowy, dynamiczny i chudy mężczyzna. Z tych, co to na pewno biegają co rano przez godzinę, zanim zasiądą do śniadania z dżemem truskawkowym w ogrodzie wypielegnowanym przez żonę i pół tuzina emigrantów bez zielonej karty. Już chciałem uciec od tych złych myśli, kiedy samochód gwałtownie zahamował. Może po to, żeby mnie w nich utwierdzić.

– Przekłęci łachmaniarze! – zawołał. I zaczął bić wściekle kostkami upierścienionych palców w szybę oddzielającą nas od kierowcy. Ten, za całe wyjaśnienie, ograniczył się do wzruszenia ramionami.

– W tym kraju nie da się żyć. Całe szczęście, że trzymamy ich prezydenta za jaja.

– Juana była Meksykanką – odrzekłem. – I dzieckiem Bożym, jak pan i jak ja.

– Juana była wyjątkiem. Była niewiarygodnie inteligentna jak na kobietę.

Znowu wbilem w niego wzrok, tym razem z wściekłością. Jego następne pytanie w niczym mi nie pomogło.

– Ma to ojciec, prawda?

– Co takiego? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Jak to co? Książkę kodową. Juana regularnie do mnie pisywała.

– Nie wiem, o czym pan mówi – skłamałem, odwracając wyjaśnienia.

– I dlatego ojciec ją popchnął – wywnioskował z uśmiechem.

Zagotowała się we mnie krew. Nie wypada uderzyć kogoś pięścią, jak się nosi krucyfiks na szyi. Musiałem się pohamować, zaciskając zęby.

– Jezuici są z natury pyszałkowaci. Nie mówiąc już nic o naukowcach. Mają zwyczaj zabijać, żeby przywłaszczyć sobie cudze odkrycia – ciągnął, prowokując mnie.

– Taka księga nie istnieje – odpowiedziałem, przetykając obelgi, jakie cisnęły mi się na usta. – Niczego nie znaleźliśmy w fortecy w Simancas. I z całą pewnością nie popchnąłem Juany. Pewna sędzina bada fakty i zeznania, z którymi może się pan zapoznać. A naoczny świadek na szczęście powraca w szpitalu do zdrowia. Choć ze złamanym sercem – dodałem, myśląc o moim przyjacielu Johnie.

– To szczegóły. – Nadal się uśmiechał. – Szczegóły, które, jak ojciec z pewnością wie, można korzystnie modyfikować. Proszę współpracować.

Ruchem głowy odmówiłem.

– Chcecie więcej pieniędzy? Już zapłaciliśmy za ten teren dwukrotnie więcej, niż jest wart. I prawdopodobnie nic tam nie ma.

– Bardzo wątpię, żeby pan wiedział, jaka jest prawdziwa wartość działki w Hiszpanii – zdobyłem się na ironię. – W każdym razie nie

chodzi tu o pieniądze.

– Proszę posłuchać – powiedział, zmieniając ton głosu i jednocześnie swoją strategię. – Od wielu lat nie daje nam spokoju ten zaszyfrowany rękopis. Nawet sobie ojciec nie wyobraża od jak wielu. Nie tylko Juana pracowała nad nim przez całe lata, usiłując go przetłumaczyć. Nasi najlepsi eksperci od świętych tekstów nie wątpią w jego autentyczność i pragną poznać jego zawartość, pragną dowiedzieć się, czy kryje na swoich stronicach niepodważalny dowód bezpośredniej boskiej interwencji w naszą ewolucję. Nieomylny i rozstrzygający dowód. Inteligencja jest czymś zbyt złożonym, by mogła zostać stworzona przez przypadek. Nie jesteśmy małpami – dodał.

– Rzeczywiście, jesteśmy ludźmi – odpowiedziałem wyzywająco. – Ale mamy wspólnego kudłatego przodka, który chodził na czworakach i nie odróżniał jajka od kasztana.

– Ojciec, choć jezuita i komunista – wrócił do prowokacji jako broni – jest kapłanem. A przeczy istnieniu Boga.

– Nie przeczę, w żadnym wypadku – odrzekłem. – W rzeczywistości jest znacznie bardziej logiczne przyjąć, że racjonalność natury odzwierciedla działanie osobowego Boga, który ją stworzył. Natury posiadającej zdolność tworzenia kolejnych form, nie wiedzieć jak złożonych i skomplikowanych. Łącznie z tym, co niezbędne do powstania istoty ludzkiej z jej inteligencją. Ale myślenie, że ten Bóg był tak niezręczny, by musiał modyfikować własny projekt z każdym krokiem, jaki stawia natura, wydaje mi się po prostu głupie.

– Widzę, że ma ojciec Biblię – powiedział, spoglądając na siedzenie obok mojego. – Ale z ojca słów wnoszę, że rzadko ją czyta.

– Biblia po prostu uczy, że świat został stworzony przez Boga, i przekazuje tę prawdę za pomocą pojęć obiegowych w czasach jej redaktorów – odparłem, potrząsając nią. – Jakkolwiek inna nauka o początku i powstaniu wszechświata jest obca intencjom Biblii, która nie zamierza uczyć, jak zostało zrobione niebo, ale jak się do niego dostać.

– Ładne zdanie. Pewnie jakiegoś jezuitę.

– Niezupełnie. Jana Pawła Drugiego – odrzekłem.
– Na jedno wychodzi – zaopiniował z pogardą. – Katolicy zawsze wierzą w teorie i hipotezy uczonych marzycieli, jak Kepler czy Darwin.

– Teoria ewolucji jest czymś więcej niż hipotezą – odrzekłem porywczo, rozkładając równocześnie wycinek, który był schowany wewnątrz kart mojej Biblii: – „W rzeczywistości jest godne uwagi, że ta teoria ewolucji narzuciła się stopniowo duchowi badaczy pod wpływem serii odkryć dokonanych w rozmaitych dziedzinach wiedzy. Zbieżność, której w żaden sposób nie poszukiwano ani nie powodowano, wyników niezależnie od siebie prowadzonych prac już sama w sobie stanowi znaczący argument na rzecz tej teorii”*. Trzymałem to na taką okazję – dodałem z zadowoleniem, skończywszy czytać. – Znowu Jan Paweł Drugi.

* Słowa Jana Pawła II wygłoszone do członków Papieskiej Akademii Nauk na zgromadzeniu plenarnym 22 października 1996.

– A co zrobi kolejny Ojciec Święty, kiedy rzeczywiste przesłanie *Manuskryptu Voynicha* wyjdzie wreszcie na światło dzienne? – odrzekł. – Nie zawsze jezuitom będzie się udawało go ukryć. Taka pobożność wobec papieża nie może być dobra.

– A dlaczego my, jezuici, mielibyśmy go ukrywać?

– Nie odrobiłeś pracy domowej, chłopcze? – zapytał z kolei on, zamieniając nagle uprzejmą formę, jaką wobec mnie stosował, na obraźliwą formę per ty. – Nawet byle kobieta jest bardziej oświecona od ciebie.

Tym razem rzeczywiście o mało co go nie uderzyłem. Dzięki jakimś boskiemu przypadkowi moja ręka zaplątała się w łańcuch, który miałem na szyi, i to mnie powstrzymało. Inaczej schwytałbym go za gardło. Dobrze się bawił, prowokując mnie. Mój gest go nie zniechęcił. Wyjął jakąś kartkę, podobnie jak zrobiłem to ja przed kilkoma sekundami. Ostrożnie ją rozłożył, zmienił okulary i zaczął czytać.

– „Drogi Thomasie! Wyjaśnienie hermetycznego tekstu jezuitów jest niemal zakończone. Dziś wieczorem wracamy do Simancas w

przekonaniu, że jest tam schowane tłumaczenie dokonane przez Keplera. Ani John, ani Héctor nie zwrócili uwagi na znaczenie ostatniego, najważniejszego ustępu”. Czy mam czytać dalej, Héctorze?

Ostatni ustęp. Odtworzyłem go w pamięci:

„I podobnie, jak wszystkie rzeczy powstały z Jednego, za pośrednictwem Jednego, tak też wszystkie rzeczy zrodziły się z tej Jedynej Rzeczy, poprzez adaptację. Wówczas wszelka ciemność odbiegnie od ciebie. Pojawią się wspaniałe adaptacje, których sposobem jest ten, o którym powiedziano”.

Co znaczył cały ten galimatias, który Juana, jak twierdziła, rozszyfrowała? I dlaczego nic nam o tym nie powiedziała?

– Proszę mnie z łaski swojej oświecić – zgodziłem się. – Nie sądzę, żeby cokolwiek mnie jeszcze zdziwiło.

– Zdziwi cię. A jeszcze bardziej, jeśli sądzisz, że napisali to jezuici.

– To nie jest tekst jezuicki – przypomniałem mu. – To bardzo dobrze znany tekst hermetyczny, który po prostu został użyty przez Towarzystwo dla ukrycia domniemanej książki kodowej. Nie warto się tu czegoś doszukiwać.

– Jakie przypisałybyś znaczenie temu fragmentowi: „Wszystkie rzeczy powstały z Jednego, za pośrednictwem Jednego”?

– Rozmawialiśmy o tym przed kilkoma minutami. Bóg jest Stwórcą, Jednym. Właściwie zapisanym dużymi literami.

– Słusznie. Choć raz się zgadzamy.

– Mam nadzieję, że tylko raz – odciąłem się.

– „Wszystkie rzeczy zrodziły się z tej Jedynej Rzeczy, poprzez adaptację. Wówczas wszelka ciemność odbiegnie od ciebie. Pojawią się wspaniałe adaptacje, których sposobem jest ten, o którym powiedziano” – przeczytał ponownie. – Znowu oczekuję twoich sugestii na ten temat.

Nie miałem ich.

– Pozwól, że ci pomogę. Ale najpierw przypomnijmy sobie historię. Rękopis został znaleziony w szesnastym wieku, prawdopo-

dobnie przez Johna Dee albo Edwarda Kelleya. Następnie przeszedł w ręce cesarza Rudolfa Drugiego, a od niego do jezuitów, być może za pośrednictwem Johanna Keplera.

– Tak – przyznałem. – To robocze przypuszczenie, którego trzymaliśmy się przez cały ten czas.

– I ani Dee, ani Kelley nie odkryli, że *Manuskrypt Voynicha* został napisany przez samego Enocha? Czyż nie mówimy o boskim i bezpośrednim przekazaniu ludziom daru pisma przez Boga? Czyż nie w ten sposób pozbyli się ludzie swojej ciemnoty? Czyż nie mamy do czynienia z pierwszym spośród języków, tym używanym przez naszych pierwszych rodziców? Czyż nie są godnymi podziwu adaptacjami tego pierwszego boskiego pisma nasze obecne języki? Skąd pochodzą greka, łacina lub angielski, jak również wszelka inteligentna forma komunikowania się? Dlaczego mała nigdy nie mogłaby napisać *Boskiej komedii* czy *Don Kichota*, choćby przez miliony lat siedziała przed klawiaturą i waliła w klawisze?

Van der Gil był czerwony z podniecenia.

– To Bóg! – krzyknął. – Objawione słowo Boga!

Odetchnąłem głęboko, żeby wprowadzić do płuc nową porcję powietrza.

– Przypadek jest niemożliwy! – powiedział sentencjonalnie, uderzając dłonią w moją Biblię.

Usiłowałem sprowadzić rozmowę na inne niejasne punkty, podczas gdy w głowie przetwarzałem pełną parą informacje, których dostarczał mi Thomas van der Gil.

– A gdyby tak było, jak pan mówi, po co plamić imię Johanna Keplera? Dlaczego szkalować jednego z wielkich matematyków historii, jedyne go zdolnego podołać ogromnemu wyzwaniu intelektualnemu rozwikłania tego rzekomego boskiego legatu?

– Ponieważ był zbrodniarzem, mój przyjacielu – odpowiedział już spokojnie. – Porządek społeczny można utrzymać tylko wówczas, kiedy zbrodnia nie pozostaje bezkarna. Kara ma służyć za nauczkę i ostrzeżenie dla całego społeczeństwa. To jeden z filarów postępu i pomyślności. W rozluźnieniu praw gnieździ się nędza.

– I wszystkie pańskie dowody obciążające opierają się na znalezieniu czterysta lat później rtęci na wąsach Tychona Brahego?

– Każdy sąd przysięgłych w moim kraju uznałby go za winnego. A ponadto są wskazówki.

– Jakie wskazówki prócz tego, że Brahe niemal przez czterdzieści lat dezynfekował swój nos merbrominą? – zapytałem oburzony.

– Przypuszczalnie Kepler skradł *Manuskrypt Voynicha* owej tragicznej nocy, kiedy odbyła się kolacja w pałacu Petera Ursinusa Rozmberka – odrzekł bez zakłopotania i nie zważając na moje argumenty. – Według naszych ostatnich ustaleń Rozmberk był bardzo wpływowym alchemikiem, bliskim przyjacielem zarówno Tychona, jak i Edwarda Kelleya. Ten ostatni miał mu sprzedać *Manuskrypt Voynicha* może dlatego, że Rudolf Drugi, chociaż był cesarzem, nie mógł za niego zapłacić. Jest bardzo możliwe, że podczas kolacji Rozmberk starał się przekonać Tychona, by zajął się jej przekładem.

Znałem część tej historii, ale swobodna interpretacja mojego rozmówcy wyprowadzała mnie z równowagi.

– A po co była Keplerowi książka rzekomo zajmująca się alchemią, dziedziną, która zupełnie go nie interesowała?

– Zazdrość – odparł obojętnie. – Wiedząc, że przekład tej książki stanowi wyzwanie matematyczne, chciał pokazać wszystkim, że tylko on jest zdolny mu sprostać. Ale musiał najpierw wyeliminować swojego rywala i mistrza, wielkiego Tychona Brahego. To samo zrobił z danymi astronomicznymi orbit planetarnych, które Brahe przez całe dekady opracowywał z milimetrową precyzją. Ukradł je bez najmniejszych skrupułów.

To nie miało żadnego sensu, ale zadałem ostatnie pytanie, żeby całkowicie rozbroić tego człowieka.

– A jak, do diabła, Kepler rozszyfrował *Manuskrypt Voynicha*? Tymczasem jego odpowiedź rozbroiła mnie.

– Zapytaj swoich kolegów w Rzymie. Pewnie coś o tym wiedzą.

Samochód podjechał pod wejście do mojego hotelu. Szofer wy-

siadł, żeby otworzyć mi drzwi.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – pożegnał mnie Thomas van der Gil. – Niedługo.

– Już panu wcześniej mówiłem, że to nie dla mnie przyjemność – odpowiedziałem, ściskając niechętnie dłoń, która przepęłniała mnie odrazą.

– Niech cię zbytnio nie dziwią moje ostatnie słowa. Rozmawialiśmy z dyrektorem tego waszego archiwum w Hiszpanii. Okazał się znacznie bardziej skłonny do współpracy niż jezuici. I znacznie tańszy – dodał.

– Co się stanie z naszym klasztorem? – zapytałem, ściskając wciąż jego dłoń.

Wzruszył ramionami. Potem uśmiechnął się i powiedział:

– Jeżeli nie znajdziemy książki kodowej Keplera, może znajdziemy ropę naftową. Albo broń chemiczną. Kopiać, zawsze znajduje się coś cennego – dodał z ironią.

– Oby znalazł pan prawdę – rzekłem.

– To największy skarb.

– Niech pan w to nie wątpi – odpowiedziałem, puszczając wreszcie jego rękę.

– Przyjemnej powrotnej podróży.

– Dziękuję.

Odwracając się do niego plecami, wszedłem do hotelu. Skierowałem się prosto do kawiarni.

Podniosłem słuchawkę. Matías wyrwał mnie z głębokiego snu.

– Jakiś chłopak na ciebie czeka, chyba twój uczeń, Héctorze.

Wyrzałem przez okno. W drzwiach biblioteki stał Simón.

– Cześć, Héctor. Jak minęła podróż? – przywitał się, wymachując nad głową gazetą.

– Dobrze! – krzyknąłem. – Już schodzę, żeby ci otworzyć.

Spałem prawie dwanaście godzin. Pierwszy raz odreagowywałem w ten sposób podróż samolotem, która, trzeba to przyznać, była wyjątkowo długa. Rozmowa z Simónelem ożywił moje neurony. Prawie zawsze miał coś ciekawego do przekazania.

Po drodze do biblioteki przypominałem sobie o Johnie. Zadzwo- niłem z komórki do szpitala. Pielęgniarka poinformowała mnie, że kilka godzin temu został wypisany i opuścił szpital. Zastanawiałem się, gdzie poszedł. Zostawił u nas część swoich rzeczy. Jego komórka nie odpowiadała.

– Cześć, Simón! – Uścisnąłem mocno dłoń chłopca na przywi- tanie. Chyba wydorósł od naszego ostatniego spotkania. A może dorosłości dodawał mu lekki meszek pod nosem i plik gazet, które trzymał pod pachą.

– Czytałeś to? – spytał, zanim zdążyłem zamknąć drzwi.

Rozpostarliśmy na stole jedną z gazet:

Kreacjonizm zyskuje na popularności w Watykanie kosztem ewo- lucjonizmu. E.G. (korespondent w Rzymie). Jan Paweł II zdawał się akceptować darwinowską teorię ewolucji gatunków, gdy określił ją jako „coś więcej niż hipotezę”. Lecz w Watykanie Benedykta XVI ewolucjonizm i jego obrońcy nie są zbyt dobrze widziani. Jezuita, ojciec George Coyne, został odsunięty od kierowania papieskim Obserwatorium Astronomicznym Specola Vaticana po tym, jak

skrytykował przy różnych okazjach hierarchów katolickich, którzy jak arcybiskup Wiednia, kardynał Christoph Schoenborn, utrzymują, iż „darwinizm jest nie do pogodzenia z credo katolickim”, i okazują przychyłność ruchowi kreacjonistycznemu, który twierdzi, iż świat i człowiek zostali stworzeni dokładnie tak, jak mówi Biblia w Księdze Rodzaju. Odejście siedemdziesięcioletniego jezuita ze stanowiska dyrektora Obserwatorium, które sprawował od 1979 roku, ma swoją bezpośrednią przyczynę: ojciec Coyne cierpi na raka jelita grubego i musiał poddać się chemioterapii. Oficjalnie zrezygnował z powodu złego stanu zdrowia, lecz cytowane wczoraj przez „Corriere della Sera” źródła watykańskie twierdzą, że ta rezygnacja została wymuszona, by położyć kres jego „polemicznym” wypowiedziom. Następcą Coyne'a, ojciec José Gabriel Funes, czterdziestotrzyletni jezuita z Argentyny, powiedział „Corriere della Sera”, że jako dyrektor Obserwatorium będzie wypowiadać się tylko na temat „gwiazd, planet i nic poza tym”.

– Pierwszy raz o tym słyszę – przyznałem. – Znam ojca Coyne'a od lat. Był kiedyś w Hiszpanii na sympozjum w Madrycie. Wiedziałem o jego chorobie. Ale nic mi nie mówi nazwisko jego następcy – dodałem.

– Tu jest napisane, że to jezuita – zauważył Simón.

– Faktycznie – odparłem z grymasem irytacji. – Ale nawet wśród członków Towarzystwa Jezusowego nie ma całkowitej zgody w kwestiach naukowych. Poczekajmy, aż się wypowie Ojciec Święty.

– Już to zrobił.

Simón wziął inną gazetę – tym razem nie lokalną, lecz o zasięgu krajowym – i pokazał wiadomość na pierwszej stronie. Zdaje się, że przez te kilka dni, kiedy mnie nie było, przetoczyła się istna burza z piorunami.

Kościół katolicki o krok od odrzucenia teorii Inteligentnego Projektu. Czasopismo „Nature” odsłania tajemnice seminarium w Castel Gandolfo – donosi nasz włoski korespondent G.E. Zdaniem „Nature” Kościół katolicki zamierza odrzucić teorię Inteligentnego Projektu. Czasopismo opiera to przypuszczenie na wypowiedzi biologa mole-

kularnego Petera Schustera, uczestnika tegorocznego prywatnego seminarium naukowego z papieżem Benedyktem XVI w Castel Gandolfo. Prawdopodobnie zwycięży teistyczne podejście do ewolucji mówiące, że jest ona zgodna z bożym zamysłem, który przejawia się w stałym działaniu Boga. Radykalne stanowisko Inteligentnego Projektu nie ma szans przetrwania. Dyskusje podczas spotkania w Castel Gandolfo wskazywałyby na to, że Kościół przychylnie patrzy na ewolucjonizm teistyczny, którego główna zasada głosi, iż ewolucja biologiczna została zainicjowana przez Boga. Niewykluczone, że dojdzie do odrzucenia podstawowej zasady Inteligentnego Projektu, według której Bóg, jak zegarmistrz, ingeruje we wszystkie sprawy świata, który stworzył [...]. „Odniosłem wrażenie, że istnieje powszechna zgoda co do tego, że biologia ewolucyjna jest niewątpliwie nauką, a nie hipotezą” – oświadczył Schuster.

– Ciekawe, jeden artykuł zaprzecza drugiemu – stwierdziłem lekko zdziwiony. – Pewnie dlatego, że wydawcy też reprezentują odmienne opcje – dodałem, przeglądając czołówki gazet. – Ci pierwsi chcą nas stąd wyrzucić. Tym drugim nie przeszkadza obecność kilku księży na prowincji.

Z daleka dobiegł mnie głos Juliana:

– Héctorze, już wstałeś?

Co miałem odpowiedzieć? Uśmiechnąłem się uprzejmie do mojego przeora.

– Zajrzyj tutaj, jak będziesz mógł.

Odprawiłem Simóna i poszedłem na górę.

Co takiego mogło się jeszcze zdarzyć podczas mojej nieobecności?

V

Julián przywitał mnie w salonie uściskiem. Przez chwilę rozmawialiśmy o moim pobycie w Meksyku. Nie ukrywałem zmęczenia i przygnębienia.

– Odpoczniesz w weekend – powiedział. – Musisz nabrać sił do poniedziałku, bo chłopcy wejdą ci na głowę.

Przytaknąłem i podziękowałem za słowa otuchy.

– Co nowego w sprawie eksmisji? – zapytałem.

Potwierdził, że jest już termin rozpoczęcia przeprowadzki. Pokazał pierwszy czek od firmy budowlanej. Wysokość kwoty przyprawiała o zawrót głowy.

– To tylko dwadzieścia pięć procent całości – oświadczył z satysfakcją.

– Był tu John? Nie dzwonił po wyjściu ze szpitala? – wypytywałem, nie okazując żadnego zainteresowania sprawami ekonomicznymi.

Julián pokręcił przecząco głową.

– Nie martw się. Na pewno nic mu nie jest.

Usiłowałem odsunąć złe przeczucia, jakie nachodziły mnie w związku z Anglikiem. Kolejne pytanie Juliana pomogło mi oderwać się od tych myśli:

– Znasz ojca José Gabriela Funesa?

Po raz drugi w ciągu zaledwie dwudziestu minut słyszałem to nazwisko.

– Nie znam go osobiście – odpowiedziałem – lecz wiem, że został mianowany dyrektorem Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego.

– Tak jest. – Julián się uśmiechnął. – Chce, żebyś z nim współpracował.

– Ja? – Myślałem, że się przesłyszałem.

– Ty – potwierdził mój przeor. – Ktoś musiał mu powiedzieć, że mamy w Hiszpanii świetnego młodego astronoma i naukowca. Utalentowanego i pracowitego – dodał z dumą.

– Kto mu to powiedział? – rzuciłem ze złością. Julián był zaskoczony moją reakcją. Spodziewał się czegoś innego.

– Nie cieszy cię ta propozycja?

– Oczywiście, że cieszy – wyjąkałem. – Ale jestem jeszcze zmęczony po podróży – szukałem jakiegoś usprawiedliwienia – i martwię się o Johna.

– Przemysł to sobie. – Poklepał mnie po ramieniu. – Taka okazja nieczęsto trafia się w życiu.

Wróciłem do swojego pokoju.

Przed wszystkim potrzebowalem porządnej dawki kofeiny. Muszę przestawić się na normalne tryby działania. Z filiżanką w dłoni włączyłem komputer. W poczcie elektronicznej miałem ponad dwadzieścia wiadomości. Najnowsza była od Johna.

Nadeszła niecałą godzinę temu.

Przeczytałem głośno, jakby to była modlitwa.

Kochany Héctorze!

Za pół godziny wylatuję do Londynu. Czuję się dobrze. Po wyjściu ze szpitala natychmiast pobiegłem na dworzec kolejowy, a potem na lotnisko, (Piszę do Ciebie z jednego z terminali Barajas). Nie wytrzymałbym tu ani chwili dłużej. Bądź tak dobry i prześlij mi moje rzeczy do Cambridge.

Nie chcę mieć więcej nic do czynienia z *Manuskrytem Voynicha*.

Ściskam,

John

Nie był zbyt wylewny, ale za to szczery.

Postanowiłem nie odpowiadać na ten list. Trzeba uszanować jego decyzję. *Manuskrypt Voynicha* przyniósł mu same nieszczęścia. John nie poczuje się lepiej, jeśli mu opowiem, że księga kodowa opracowana przez samego Johannesesa Keplera istnieje w rzeczywistości. Że znalazł ją dyrektor archiwum w Simancas i przekazał mojemu dawnemu przeorowi Carmelowi, który odesłał tę księgę do Głównego Archiwum Towarzystwa Jezusowego w Rzymie.

Mało brakowało, a ja też miałbym ją w swoich rękach.

Znowu zadzwonił telefon.

– Héctor? Ktoś do ciebie – usłyszałem głos Matíasa z drugiej strony.

Połączył mnie z dzwoniącym.

– Ojciec Héctor?

Mój rozmówca miał wyraźny akcent argentyński.

– Tak, przy telefonie – odpowiedziałem. – Kto mówi? – spyta-

łem, znając z góry odpowiedź.

– José Gabriel Funes. – Potwierdziły się moje przypuszczenia. – Jezuita z Rzymu. Świeżo mianowany na dyrektora Obserwatorium Astronomicznego w Castel Gandolfo.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – wyjąkałem, zakładając, że zaraz padnie propozycja współpracy, o której kilka minut temu napomknął Julián.

– To ja czuję się zaszczycony – odpowiedział łagodnie. – Poinformowano mnie, że mamy coś wspólnego.

– Istotnie. – Powoli odzyskiwałem spokój. – Miłość do Jezusa Chrystusa i upodobanie do astronomii.

– Aha – potwierdził. – Być może jeszcze coś – dodał i miałem wrażenie, że w tej chwili się uśmiecha.

– Co jeszcze? – zapytałem wprost.

– Miłość do starych rękopisów – wyznał.

Czyżby klucz do *Manuskryptu Voynicha* znowu znalazł się w Rzymie? Serce zaczynało mi walić jak szalone. Nie mogłem powstrzymać dalszych pytań.

– Ma brat tę księgę? Można ją przetłumaczyć? Co zawiera?

Po drugiej stronie linii telefonicznej nastąpiła cisza. Po chwili José Gabriel Funes odezwał się znowu:

– Wszystko w swoim czasie, Héctorze. Na razie – powiedział, ważąc słowa – proponuję u nas pracę.

– Nie możecie go przetłumaczyć? – dopytywałem się.

– Narzędzia są, ale nie starcza inteligencji – przyznał. – Czuję się jak Tycho Brahe, gdy próbował coś zrobić z wynikami obserwacji Marsa. A Ojciec Święty się niecierpliwi.

Po czym dodał ze śmiechem:

– Przydałby mi się tutaj Johannes Kepler.

Kilka uwag od autora

Tajemniczy manuskrypt opiera się na faktach i postaciach realnych, nawet jeśli czytelnik zasugerowany tematyką książki nie odniesie takiego wrażenia. Wymyśliłem tylko postacie głównego bohatera narratora i dwójki zaprzyjaźnionych z nim naukowców. Jak wielokrotnie była o tym mowa w powieści, *Manuskrypt Voynicha* jest tajemniczą księgą, której nikomu dotychczas nie udało się rozszyfrować. Naprawdę znajduje się w Dziale Ksiąg Rzadkich biblioteki Uniwersytetu Yale, i naprawdę sporo osób próbowało go przetłumaczyć, ale jak dotąd bez powodzenia. W internecie można znaleźć mnóstwo informacji na ten temat, więc nie będę zanudzać czytelnika szczegółami. Zainteresowanych odsyłam do Google. Jeśli ktoś woli książki w twardej okładce zamiast sieci komputerowej, może sięgnąć po znakomity esej Marcela Dos Santosa, który niedawno ukazał się nakładem wydawnictwa Aguilar pod tytułem *El Manuscrito Voynich: El libro más enigmático de todos los tiempos (Manuskrypt Voynicha. Najbardziej enigmatyczna księga wszystkich czasów)*. W internecie istnieje też Lista Voynicha i nie brak badaczy reprezentujących bardzo różne dziedziny oraz środowiska, którzy pracują nad różnymi teoriami, usiłując przeniknąć tę tajemnicę. Należy do nich również Gordon Rugg cytowany w powieści jako autor artykułu o *Manuskrypcie Voynicha* w prestiżowym czasopiśmie „Scientific American”, co pokrywa się z prawdą. Potraktowałem z maksymalnym szacunkiem historię i koleje losów tej księgi, jej zniknięcie i pojawienie się po wielu latach w bibliotece jezuitów, a także kolejne próby jej odczytania. Pozwoliłem sobie nawet na „transtekstualność” – modne obecnie słowo – prób podejmowanych na przykład przez Hiszpana Francisca A. Violata, który podobnie jak Brytyjczyk Rugg uważa *Manuskrypt Voynicha* za mistyfikację i dowodzi za pomocą prostego systemu krążków, że można generować w triadach całą serię fantastycznych słów bez żadnego realnego znaczenia.

Tak jak realny jest *Manuskrypt Voynicha*, nie mniej realna – niestety –

jest książka *Heavenly Intrigue* amerykańskiego pisarza Joshuy Gilder'a i jego żony, wydana w 2004 roku. Z tego, co wiem, została już przetłumaczona na angielski i niemiecki, przy czym oba wydania można nabyć w Hiszpanii przez internet. Podobnie jak bohater *Tajemniczego manuskryptu* ja też skorzystałem z Amazona, żeby znaleźć tę książkę. I z Google, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o jej autorach. Śmierć Tychona Brahego jest ze względu na towarzyszące jej okoliczności jednym z najdziwniejszych epizodów w historii astronomii, a jego burzliwa, lecz owocna relacja z Johannesem Keplerelem – kluczowym wydarzeniem w rozwoju wiedzy naukowej. Sam Carl Sagan uznał za stosowne opowiedzieć w jednym z odcinków swojego niezapomnianego serialu dokumentalnego *Cosmos* o tym intelektualnym przymierzu, które w bardzo krótkim czasie spowodowało prawdziwą rewolucję w pojmowaniu wszechświata. Pojawienie się w tym samym miejscu i tym samym czasie takich gigantów, jak Galileusz, Johannes Kepler i Tycho Brahe, to szczególnie koincydencja, która była kamieniem milowym nie tylko w historii astronomii, lecz w historii całej nauki. Bez nich nasza teraźniejszość wyglądałaby zupełnie inaczej. Ale po co było wydawać książkę tak druzgocącą, jak bezużyteczną, tendencyjną i sensacyjną zarazem? Na to pytanie skromny naukowiec w roli powieściopisarza nie umie odpowiedzieć, chociaż próbował zgłębić wyobraźnią różne mroczne i mętne sytuacje, które w naszym nowoczesnym społeczeństwie i na naszych oczach usiłują podważyć wiarygodność samej nauki. Społeczność naukowa nie pozostała obojętna wobec zniewag i oszczerczej kampanii skierowanej przeciwko jednemu ze swoich najślawniejszych członków, jakim był Johannes Kepler. To jest realny fakt. Niemiecki profesor Volker Białas mówił o tym na kongresie astronomii w Austrii. Białas, który cieszy się wielkim autorytetem jako znawca Keplera, udostępnił mi kopię swojego wystąpienia dotyczącego konspiracyjno-paranoicznej teorii przedstawionej w książce Gilderów. Jestem głęboko wdzięczny jemu, a także Lotti Jochum, mojej koleżance z Instytutu Astrofizyki na Wyspach Kanaryjskich, która była uprzejma przetłumaczyć ten tekst z niemieckiego, ponieważ sam nie dałbym rady.

Jednocześnie pragnę wyrazić w tym miejscu ogromne podziękowania całej ekipie wydawnictwa Roca Editorial – a szczególnie pani dyrektor

Blance Rosa Roca – za okazane mi zaufanie i pomoc przy publikacji tej powieści. Nie mogę pominąć Cesara Sanza, Any Ruiz i Antonia Cruz, którzy udzielili mi wielu dobrych rad podczas redagowania.

Przypadek zrządził, że losy *Manuskryptu Voynicha* i Johannesesa Keplera skrzyżowały się w Czechach z początków XVII wieku za panowania cesarza Rudolfa II. Posłużyło mi to za kanwę, na której osnułem wiele wątków *Tajemniczego manuskryptu*.

Nie wiadomo, czy Kepler miał coś wspólnego z tym rękopisem.

Ale to jeszcze nie znaczy, że nie miał.

La Laguna, Teneryfa, 1 października 2006